

Artur BANIEWICZ

AFRYKANKA

Czerwone słońce płonęło nad jej głową. Zamazywało szczegóły i kradło kolory, pozostawiając czarne kontury postaci, samotny refleks światła odbity od hełmu eskortującego ją żołnierza i coś, co sprawiło, że moje sklezione snem powieki umknęły jedna od drugiej, pozwalając oczom chłonąć widok, a umysłowi zapamiętywać.

Aureolę. Rozedrganą, złotoróżową poświatę, która otaczała zarys kobiecej głowy aż po smukłą, pochyloną ze zmęczenia szyję.

Czułem, że jest wyczerpana; wyczytałem to z rytmu, w jakim kołysała się na grzbiecie osiołka, z układu widocznej pod brzuchem zwierzęcia bosej stopy, o której wiedziałem, że jest obolała od marszu po skalistych bezdrożach. Wyczuwałem wiele rzeczy, których moje oczy nie potrafiły dostrzec. Jej siłę, tak różną od siły wbitego w pancerz żołnierza, który prowadził osła za uzdę. I jej urodę. Też inną, odmienną od urody młodych kobiet mojego świata. I smutek.

Nie musiałem zaglądać w jej oczy, na pewno wielkie, bardzo ciemne i bardzo błyszczące, by wiedzieć, jak mało jest w nich radości. Nie chciałem w nie zaglądać, choć mogłem: koniec mojej pryczy prawie dotykał ściany z zakratowanym oknem. Wystarczyło odepchnąć się od glinianego muru, by dopaść prętów i ogarnąć wzrokiem większy, prawdziwszy kawałek świata. Może nawet – gdybym okazał się szybszy – wyciągając z całych sił ramię, zdołałbym musnąć koniuszkami palców podrapaną stopę ciemnookiej. Ale nie zrobiłem tego.

Był grudzień, z nieba lał się żar, od którego drżało powietrze, a ona jechała na osiołku. Zawsze wyobrażałem to sobie właśnie tak i choć nigdy nie wierzyłem, by u źródeł tej wizji było coś więcej niż piękny mit, siedziałem w bezruchu nawet wtedy, gdy po kobiecie i jej kłapouchu pozostała tylko chmurka wirującego w słońcu kurzu.

Uśmiechnąłem się do osadzonych w glinie krat mojej celi. Był grudzień, z nieba lał się żar, a Betlejem leżało raptem sto dni marszu stąd.

*

Coś zabrzączało wysoko w górze. Podnosiłem głowę, kiedy półlitrowa puszka rąbnęła mnie w potylicę.

– Jesteście dupa, nie oficer, Koziej. Mówiłem: tą, którą trzymacie w lewej ręce. Pustą, Koziej. Jak na ten przykład wasza głowa.

Bez pośpiechu przewróciłem się na plecy.

– Po pierwsze: nie pusta, tylko w czapce – stwierdził z godnością podporucznik Koziej, kucając przy oknie i opierając kolano o kratę. – Po drugie: w lewej miałem akurat pełną, co prowadzi do wniosku, że to wy, Koliszewski, jesteście... O, obudził się.

Usiadłem po turecku i posłałem w stronę okna smętny uśmiech.

– Czołem, panowie – mruknąłem, masując się po czaszce. – Co to miało być: wstęp do

przesłuchania?

– Wpadliśmy sprawdzić, czy ktoś tu jeszcze gnije – wyjaśnił podporucznik Koliszewski. Tak jak Koziej był w szortach, ale brakowało mu wojskowego akcentu w postaci błękitnej czapeczki z emblematem ONZ.

– Mumifikuję się – poprawiłem. – A cóż miałbym robić?

– Koziej wysunął śmiałą hipotezę, że pana wypuścili. – Usiadł przed oknem i pociągnął z puszki. – I że z tej radości pogna pan do miasta uchlać się w porządnej knajpie.

Schyliłem się i podniosłem puszkę z glinianego klepiska. Żywiec, w dodatku schłodzony. Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy niebieska czapeczka Kozieja nie zmieniła barwy na czerwoną, a jemu samemu nie sypnął się bujny siwy zarost. Był grudzień, miesiąc cudów i Świętego Mikołaja.

– To dla mnie? – zapytałem niepewnie.

– Alkohol niszczy mózg – poinformował mnie Koliszewski.

– Wie coś o tym – zapewnił Koziej. – Jest pijakiem.

– Obaj jesteśmy – ciągnął niezrażony Koliszewski. – Ludźmi do szpiku kości zepsutymi, egoistami i świniami.

– Wiem coś o tym. – Otworzyłem puszkę. – Jestem waszym sąsiadem.

Byłem nim dostatecznie długo, by poprzedzić pierwszy łyk kilkoma pociągnięciami nosa i badaniem końcem języka. Na trzeźwo płatali małpie figle tylko jeden drugiemu. Ale teraz trzeźwi nie byli.

– Zero mydła – powiedział ze smutkiem Koziej. – Zero pieprzu i środków na przeczyszczenie. Może doktor śmiało pić naszą krwawicę.

– Przyszłście po zwolnienie – zgadłem. – Ktoś chce posłać was gdzieś, gdzie strzelają, a nie ma piwa i lodówek.

– Nasze stalowe rumaki czekają – Koliszewski próbował je wskazać patetycznym gestem, ale areszt przesłaniał widok na park maszynowy, gdzie na naczepach ciągników siodłowych grzały się cielska czołgów.

– Tak sobie pomyślałem, że warto spełnić dobry uczynek – wyjaśnił Koziej. – Pomóc bliźniemu, ot tak, bezinteresownie, jak w bajce...

– Ty?! – oburzył się Koliszewski. – Ty pomyślałeś?!

– ...a gdyby uniósł się honorem i chciał się odwdzięczyć, to nic z tego, żadne trzy życzenia. Jedno symboliczne życzonko, góra.

Piłem, nie spiesząc się, a mimo to obaj milczeli grzecznie, śląc mi zza krat przyjazne uśmiechy dobrych ludzi.

– No – odetchnąłem, odstawiając puszkę pod pryczę, obok butów. – Do rzeczy. Co to ma być?

Popatrzyli po sobie, szukając otuchy jeden u drugiego. Koliszewski znalazł jej odrobinę więcej.

– To, co pan w domu po powrocie zastanie, a czego się nie spodziewa – wyrecytował. I ciszej, wyraźnie niepewnie, dodał: – Chyba.

– Bawicie się w wiedźminów? – zapytałem zdziwiony.

– Geralt Koliszewski – powiedział ze smakiem Koziej. – Ładnie.

– A przy okazji... Moglibyście oddać mojego Sapkowskiego.

– Nie oddałeś doktorowi książek?! – zapalał świętym oburzeniem Koliszewski. – Przynosisz hańbę korpusowi...

– Czas skazańca jest cenny – wszedłem mu w słowo. – Czego chcecie?

Jeszcze raz wymienili się spojrzeniami. Padło na Koliszewskiego.

– Ja człek prosty, to i gadał będę prosto. Baby chcemy.

Przyglądałem im się dłuższą chwilę, przepuszczając przez palce cenny czas skazańca. Próbowałem zrozumieć, na czym polega dowcip.

– I po to przyszliście do mnie? Tutaj?

– Faktycznie paskudne miejsce – zgodził się Koziej. – Ale gnany żądzą samiec gotów jest...

– Ja miałem mówić – przerwał mu Koliszewski. – Baby chcemy, sąsiedzie. Ona tam schnie, sąsiad tu schnie... Całkiem bez sensu.

– Poczucie humoru już mi wyszło – oznajmiłem ponuro. – Nie wiem, w którym momencie się śmiać.

Dali mi chwilę do namysłu. Albo sobie – do zejścia na ziemię.

– Chodzi o tę laskę przed pana namiotem – powiedział zupełnie normalnym głosem Koziej. – Pomyśleliśmy, że skoro pana zapuszkowali... Oczywiście rozumiemy, że jej przemycenie kosztowało. Dorzucimy się.

– Nie wiem, o czym mówicie – wyznałem.

– Pan straci forszę – zaczął wyliczać na palcach. – Ona czas, czyli też forszę. A któryś z nas okazję.

– Tylko jeden?

– Mamy resztki przyzwoitości – pochwalił się Koliszewski.

Pomyślałem, że w tej ulepionej z surowej gliny norze naprawdę powoli ulegam procesowi mumifikacji. Ze zdolnością dedukcji było u mnie nie najlepiej. Wieki temu powinienem zgadnąć, o kim mówią.

– W porządku. – Uśmiech, który im posłałem, nie był mimo wszystko stuprocentowo szczerzy. – Jeśli powie: „Tak”, jest wasza.

Zanim poprawiłem poduszkę, już ich nie było.

*

Po przemianowanej na areszt lepiance sala konferencyjna wydała mi się oazą luksusu. Stół długości pasa startowego, wyściełane krzesła, wentylatory. Efekt potęgował barwny wystrój, uzyskany dzięki imponującej kolekcji zdobiących ściany map, wykresów i schematów organizacyjnych, na których widok każdy szpieg umarłby z zachwytu, a które mówiły wszystko o środkach, planach i metodach działań UNIFE.

Żadna z zasiadających przy stole osób nie dorabiała raczej szpiegostwem: brak entuzjazmu aż kłuł w oczy. Inna sprawa, że o świcie nawet wśród rasowych agentów trudno o zapal.

– Dziękuję, sierżancie – odsalutował hinduskiemu podoficerowi blondyn w nowiutkim mundurze. – Dzień dobry, panie kapitanie. Porucznik Jaskólski, oficer dyżurny bazy. Proszę, niech pan siada.

Wybrałem krzesło naprzeciwko szpakowatego czterdziestolatka w oliwkowym kombinezonie pilota.

– O Jezu! To Szczebielewicz ma być tym lekarzem? – Podobnie jak Jaskólski, posługiwał się angielskim. – Czemu nikt mnie nie uprzedził, że kompletujecie następną parszywą dwunastkę?

Uśmiechnąłem się do niego. Powitanie z jego sąsiadem ograniczyłem do zdawkowego skinienia głową. W przeciwieństwie do majora pilota Morawskiego, major kapelan Lesik nie cieszył się moją sympatią. Do siedzącej jeszcze dalej Joli dotarł siłą rzeczy nieco drętwy uśmiech, ale nie przejęła się tym. Ktoś, kto wygląda jak zaspana Barbie, raczej nie popadnie w kompleksy z takiego powodu.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała cicho, rzucając mi powłóczyście spojrzenie spod uczernionych rzęs. Przez chwilę próbowałem wyobrazić ją sobie wyczekującą cierpliwie przed moim namiotem. Ją – bo któż inny wchodził w rachubę? Znałem parę pań ze stołecznego szpitala UNIFE, ale żadnej, z powodu której moi sąsiedzi przerywaliby libację i wizytowali areszt. Młoda, ładna, wolna i – kwestia fundamentalna – skłonna do składania mi wizyt mogła być co najwyżej siostra Jolanta.

Chociaż, prawdę powiedziawszy, teraz, mając trzeźwy, nie rozłączący się od upału i senności umysł, nie bardzo w to wierzyłem. Gładka buzia, duże niebieskie oczy, złote loki do łopatek. Obiektywnie biorąc – co najmniej ładna dziewczyna. Faceci pewnie notorycznie oglądali się za nią na ulicy. Czegoś mi w jej twarzy brakowało, ale właśnie dlatego nie miała powodu odwiedzać mnie popołudniami. Na pewno znalazłaby kogoś, kogo właśnie Barbie rajcuje.

– Major Wołynow z Kazachstanu. – Jaskólski wskazał krępego blondyna w wieku Morawskiego. – Kapitan Zanetti, Włochy. – Ten dla odmiany był młodszy i ciemny, jak na południowca przystało. – Siostrę, jak rozumiem, pan zna. Polecicie razem.

– Polecimy?

– Czekamy tylko na drugiego pilota. Sprawa wynikła dość nagle i trzeba było pożyczyć kogoś od rolników. Zaraz powinien być.

Podszedł do największej, przedstawiającej całą Etiopię mapy i długopisem wskazał jakiś punkt w pobliżu somalijskiej granicy.

– Wczoraj w okolicy osady Kasali niezidentyfikowane śmigłowce ostrzelały... eee... fabrykę.

– A nie kosmodrom? – Morawski nie zadał sobie trudu tłumaczenia na angielski. – Fabryka w Ogadenie? Tam nawet dróg nie ma. Cała gospodarka to paru facetów na wielbłądach i trochę bydła.

– A wie pan, jak jest po angielsku garbarnia? – rzucił mu ponure spojrzenie porucznik. – No właśnie. Przepraszam, panowie – wrócił do urzędowego języka UNIFE. – Kontynuujmy. A więc ostrzelano wieś. Przypadkiem był tam patrol błękitnych hełmów. Szósta Brygada z Ferfer. Odpowiedzieli ogniem i jedna maszyna spadła. Dowódca próbował odszukać wrak, ale pojawił się inny śmigłowiec, szturmowy. Ostrzelał naszych i ranił jednego żołnierza.

– Co znaczy: szturmowy? – Morawski nadal ział sceptycyzmem. – Somalia nie ma ani jednego...

– O co chodzi z tym lataniem? – upomniałem się. Jaskólski posłał mi cieplejsze spojrzenie.

– Kasali leży dziewięćset kilometrów stąd i o czterysta od najbliższego porządnego szpitala. W pobliżu nie ma bezpiecznego lądowiska, więc samolot nie wchodzi w grę. Pozostaje śmigłowiec.

– Dziewięćset kilometrów – powtórzył Morawski. – No cóż.

– Oczywiście po drodze uzupełnicie paliwo. W Dire Dawa.

– Dire Dawa jest ostrzeliwana – wtrącił Zanetti. – Nie byłoby lepiej wybrać trasy wzdłuż doliny Shebele? Mamy tam...

– Ja tylko przekazuję rozkazy – rozłożył ręce Jaskólski.

– Jedno pytanie – obiecał Morawski. – My, to znaczy wszyscy tutaj oprócz pana, tak? I co jeszcze? Chodzi mi o ciężar ładunku.

– No... zabierzecie trochę leków...

– Trochę to znaczy ile? Sto kilogramów? Tona?

– Doktorze? – posłał mi pytające spojrzenie. Odesłałem mu swoje: mocno zdziwione i nieco urażone.

– Co „doktorze”? Przeprowadzili mnie tu prosto z... – szukałem przez chwilę angielskiego zamiennika słowa „pudło”, ale oczywiście nie znalazłem – z więzienia. Nawet nie wiem, po co.

Cudzoziemcy popatrzyli na mnie z zaciekawieniem. Jola jakby z zaniepokojeniem. Lesik – bez żadnych emocji.

– Nie? Myślałem, że... no, nieważne. Leki już są. Macie je tylko zawieźć. Niewiele tego – mówił coraz wolniej, najwyraźniej dochodząc do jakiegoś nieprzyjemnego miejsca. – I jeszcze

coś.

– No? – ponaglił go Morawski.

– Z lekami poleci ktoś z etiopskiego ministerstwa rolnictwa. Jedna osoba. Z... no, powiedzmy... bagażem.

– Co znaczy: „Powiedzmy bagaż”?

– Może po prostu pokażę panu rozkazy – uśmiechnął się blado Jaskólski. – A pan, doktorze, niech skoczy do siebie po rzeczy. Za pół godziny startujecie.

*

Dochodząc do namiotu Kozieja i Koliszewskiego, nie spieszyłem się. Mój spoczywający pod łóżkiem plecak, zgodnie z obowiązującymi w kontyngencji zasadami, zawierał wszystko, czego potrzeba, by w sposób stosunkowo cywilizowany przeżyć w buszu. Doszedłem do wniosku, że mam mnóstwo czasu. Błąd polegał na tym, że pomiąłem czynnik sąsiadów.

Najpierw, tuż za rogiem ich namiotu, nadziałem się na stolik zasypany czasopismami typu „Playboy dla dorosłych” i puszkami po piwie. Był to niewinny wstęp do kolejnej niespodzianki, którą mnie uraczyli. Przed wejściem do mojego namiotu, połączony z nim końcem uzdy, drzemał na stojąco spory osioł.

Gapilem się na niego całe wieki, a potem równie długo rozglądałem się po okolicy, szukając jakiegoś logicznego wyjaśnienia. Nie znalazłem. Mój namiot stał na skraju rzędu bliźniaczych namiotów, rozdzielonych kępami krzewów i ocienionych paroma rachitycznymi drzewkami. Z przodu ciągnęła się długa ściana tartacznej hali, ale tartak nie pracował od lat, leżał w obrębie obozu i nie był miejscem, po którym włóczyli się tubylcy ze swoimi osłami. Po prawej, za zasiekami, znajdowało się podmiejskie śmietnisko, pamiętające dawne, dobre czasy, gdy ze stolicy wywożono śmieci. Było to naprawdę dawno – cały teren zdążył zarosnąć suchymi badyłami. Zdesperowany zamachowiec mógł przy dużym szczęściu zakraść się od tej strony – zwykle szczęście nie wystarczyłoby przeciw strzegącej nas elektronice – ale nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak i po co przerzucalby przez płot to bydło.

Ze wszystkich pozostałych stron rozłożył się wojskowy obóz, pełen ludzi, broni i pojazdów, ale na pewno nie osłów.

Pomijając te dwunożne.

– Koziej i Koliszewski! – wrzasnąłem. – Zbiórka przed namiotem!

Zbliżała się oficjalna pobudka, nie zdziwiłem się więc, kiedy wyszli, zaspani i ziewający, ale już częściowo ubrani, zaledwie po kilkunastu sekundach.

– O! – zdziwił się Koliszewski. – Doktor nawiał z celi śmierci.

– To ta krata – wysunął hipotezę Koziej. – Jak się oparłem, mało nie wypadła;

przytrzymywać musiałem... Dzień dobry, sąsiedzie.

– Co to jest? – warknąłem, wskazując palcem.

– Jakbym był dobry z biologii, też bym poszedł na medycynę i opędzał się teraz od panienek – westchnął Koliszewski. – Ale po mojemu to może być osioł. Jak myślisz, Koziej?

– Jestem kawalerzysta, ale pancerny. Skąd mam wiedzieć?

– Skąd go wystraszeńście? – Nadal byłem twardy.

– My? To sąsiad sobie zamówił luksusową, mobilną dziewczuchę.

Koziej rechocąc zwałił się na stolik. Próbowiałem się nie śmiać, ale przykład okazał się zbyt zaraźliwy.

– No dobrze – powiedziałem, gdy trochę mi przeszło. – Co jest grane? Jaka dziewczucha? Nie otrzeźwieliście po wczorajszym?

– Czarna i zimna jak gład – westchnął ponownie Koliszewski. – Nie wiedziałem, że Afrykanki potrafią być takie. Wszystkiego próbowaliśmy: piwa, wódki, czekolady, inteligentnej rozmowy... Koziej przekartkował wszystkie nasze świerszczyki; emerytce by zwilgotniało... I nic.

– Wpędziła nas w kompleksy – Koziej uniósł głowę znad stołu. – Jestem kłębkiem nerwów, mój Boże... Taki wstyd.

– Nawet kocem wzgardziła – dodał Koliszewski. – Wolą tę szmatę.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na burą płachtę, leżącą w nieładzie przy wejściu do mojego namiotu.

– Chcecie powiedzieć...?

Nie dokończyłem. Późno, bo późno, ale obrazek zajął mi się w końcu z czymś, co wczoraj zobaczyłem.

– Oho, a oto i Panna Lodówka – mruknął Koziej.

Odwróciłem się powoli.

W różowym świetle poranka okazała się zwykłą dziewczyną z krwi i kości. Trochę zaspaną, trochę potarganą, o ile można użyć tego słowa w odniesieniu do rodowitej mieszkanki Czarnego Łądu. Inna sprawa, że trudno byłoby uznać ją za typową Amharkę: czarne, zebrane nad lewym uchem włosy lśniły i wiły się, zamiast wściekle skręcać, długi nos rozszerzał się nieznacznie tylko przy nozdrzach, a skóra miała barwę bliższą miedzi niż mlecznej czekoladzie. Była wysoka, odrobinę tylko niższa ode mnie, szczupła i długonoga. Susza i wojny wstrząsające krajem sprawiły, że trzy czwarte Etiopczyków przypominały obciążone skórą szkielety, ale ona była po prostu szczupła.

– Mój Boże – pokręcił głową Koziej. – Taka maszyna...

Nie musiałem pytać, co ma na myśli. Dziewczyna miała na sobie spięty na lewym ramieniu kawałek zielonej, lekkiej tkaniny, fakt, że spory i okrywający ciało aż po kolana – ale praktycznie

nic więcej. Pasiasta różowo-złota chusta, zarzucona na ramiona, nie liczyła się jako ubranie: można by przez nią czytać. W sumie strój osłaniał bardzo wiele, nie był jednak w stanie przesłonić podstawowego faktu: że tam, pod spodem, znajduje się doskonale uformowane, nagie, kobiece ciało.

Bose stopy, tak jak przypuszczałem, były podrapane. I tak, jak przypuszczałem, nie przeszkadzało to ciemnoskórej poruszać się z lekkością i wdziękiem, o którym niejedna baletnica może tylko marzyć.

– Dzień dobry, czarnulko – wyszczerzył zęby Koliszewski. – Nie masz pojęcia, ile straciłaś tej nocy. Z taką jak ty mógłbym przerobić cały taki świerszczyk – trącił leżące na stole magazyny. – Miałabyś ślicznego, zdolnego dzidziusia i takie wspomnienia, że ho, ho.

Kąciki pełnych, ale tylko pełnych, nie odpychających nadmiarem ust uniosły się, tworząc uprzejmy, zdawkowy uśmiech. Niedoszła szczęśliwa matka zatrzymała się przed nami i rzuciła mi trochę niepewne, a trochę zaciekawione spojrzenie.

– Twój romantyzm wpędzi cię do grobu – stwierdził Koziej. – Dzidzius? Popatrz tylko na nią. Czy tak wygląda uczciwa etiopska dziewczyna? Kochać się z taką na wariata to jak grać w ruską ruletkę. Dobrze mówię, doktorku?

Skinąłem głową. Trudno wypierać się własnych słów, szczególnie wobec kogoś, kto zmieniał moje obowiązkowe dla obu stron pogadanki o higienie w autentyczny kabaret.

– Próbowaliście z nią mówić po angielsku? – zapytałem, patrząc w oczy dziewczyny. Były duże, ale nie tak ciemne, jak sobie wyobrażałem.

– Też na to wpadliśmy – pochwalił się Koliszewski. – Dobra, droga dziwka powinna choć trochę znać angielski. A tu ani be, ani me. Właśnie to mi się w niej podoba: nie jest zepsuta.

– Jemu się podoba, że pewnie nie jest droga – zdemaskował kolegę Koziej. – Jak dla mnie to musi być dziewczyna z głębokiej prowincji. Mieszkała gdzieś, gdzie można być tak biednym i dzikim, by chodzić boso, a zarazem nie umrzeć z głodu. Znudziło jej się biegać z dzidą po buszu, więc zapakowała dobytek na osła i przyjechała robić karierę w stolicy. A swoją drogą... jak pan ją wyhaczył?

– Nie mam pojęcia, kto to jest – westchnąłem z rezygnacją.

– Już wiem! – ucieszył się Koliszewski. – Pamiętacie Jekylla i Hyde'a? Widocznie to u was skaza zawodowa. Jak sobie medyk da w szyję, to biega po burdelach, zamawia panienki, a potem trzeźwieje, robi wielkie zdziwione oczy, że niby kto? Ja? A w życiu!

Dziewczyna zarzuciła nagle chustę na głowę, pochylając się przy tym. Spod odsłoniętej pachy błysnęło diamentami osadzonych na włosach kropelek wody. Krótko, bo połączyła ten ruch z obrotem na pięcie.

Patrzyłem na jej plecy, kiedy schylała się nad leżącymi obok osła jukami, i próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, cóż takiego niezwykłego kryje się w zarysie kobiecego karku.

Wzajemny układ słońca i zarzuconej na głowę chusty był inny i dziewczyny nie otaczała już poświata. Prawdopodobnie nigdy więcej nie dane jej będzie ukazać się żadnemu mężczyźnie w drżącym blasku aureoli – musiałby być zaspany, patrzeć z dołu, praktycznie z poziomu ziemi, przez ciasne okienko, które sprawi, że widać ją będzie albo w jednej linii ze słońcem, albo wcale. Musiałaby jechać bokiem na osiołku, w upale, musiałby kończyć się grudzień, a mężczyzna musiałby urodzić się gdzieś, gdzie koniec grudnia jest czasem szczególnym.

Zbyt wiele było tych zastrzeżeń.

Bose stopy dziewczyny były rudoszare od kurzu etiopskich dróg. Nie próbowała ich myć, choć wilgotne obrzeża dekoltu sugerowały, że właśnie skorzystała z jakiegoś kranu. Taki sam rudoszary nalot pokrywał te miejsca jej sukni, w które wsiąkał pot. Nawet żółto-różowa chusta, płonąca wczoraj żywym ogniem czystego światła, stała się jedynie kawałkiem przybrudzonego perkalu.

Dla każdego, z nią samą włącznie. Ale nie dla mnie. Nie mogłem wymazać z pamięci tych kilku sekund zawieszenia między jawą a snem; chyba nawet chciałem, ale już wtedy czułem, że nic z tego nie będzie.

Odwróciła się i podeszła na tyle blisko, że poczułem ulotny zapach jej ciała. Nie potrafiłbym go nazwać; wszystko, co dało się stwierdzić, to to, że się pojawił.

– Patrzcie państwo – usłyszałem głos Kozieja. – Faktura. Co to się porobiło... Ciekawe, czy płatny seks można odliczyć od podatku?

Brązowa dłoń o paznokciach koloru orzechów zawisła przed mą piersią. Kartka, format A4, złożona, zaskakująco czysta.

Ostrożnie ująłem papier. Nie dotknęliśmy się.

– Od podatku może – zgodził się Koliszewski. – Ale stawkę ubezpieczenia to doktorkowi podniosą jak nic. One tu w Afryce wszystkie albo już złapały Adasia, albo są na dobrej drodze.

– Cholera – wymamrotałem.

– Porażenie ceną – wysunął hipotezę Koziej.

– „Kapitan Szczebielewicz – odczytałem. – Proszę zapewnić daleko idącą opiekę przedstawicielce Ministerstwa Rolnictwa Rep. Etiopii pannie G. Asmare w zakresie zakwaterowania, konsultacji medycznej i transportu do m. Kasali, a także przekazać w miarę możliwości leki i środki opatrunkowe według załączonego spisu”.

– Podpisano: „Gen. bryg. Adam Zaręba” – dokończył Koliszewski, nie patrząc na opatrzone oenzetowskim logo arkusz, za to uśmiechając się łajdacko. Posłałem mordercze spojrzenie najpierw jemu, potem Koziejowi. Uczciwi ludzie padliby może nie martwi, ale przynajmniej w drgawkach.

– Jak wrócę, to was zabiję – obiecałem.

– Idziem w bój – oznajmił dumnie Koliszewski. – Między przemytniki, muzułmany, szakale

i insze plugastwo. Kresów bronić. Cóż nam, straceńcom, pogrózki waszmości.

– Moment, sąsiedzie – uniósł palce Koziej. – Jedno zastrzeżenie: pokazała nam ten kwit dopiero na dobranoc, jak wystrzelaliśmy całą amunicję. Pewnie myślała, że z zemsty każemy ją wywalić.

– Już nie żyjecie – rzuciłem twardo.

Dziewczyna uśmiechała się przyjaźnie do całej naszej trójki. Miała bałagan w genach, ale niezależnie od tego, ilu jej przodków przywędrowało zza mórza i pustyń, uśmiech odziedziczyła po najczarniejszych z protoplastów. Był szeroki, śnieżnobiały i po dziecięcemu radosny.

– Miss Asmare – powiedziałem powoli, by dłużej mieć pretekst do zagłądania jej w twarz. – *Do you speak English?*

Dorzuciła garść kpiny do swego uśmiechu, a ja przeżyłem lekki wstrząs, bo nawet bez przeczącego ruchu głowy widać było, że kpi z własnej ignorancji.

– Mówiłem, że nie mówi – przypomniał Koliszewski. – W tym cały dramat, nawiasem mówiąc. Gdyby była w stanie docenić naszą elokwencję, siłą nie wygonilibyśmy dziewczyny z namiotu. A swoją drogą kiepsko tu z kadrami, skoro panienka z ministerstwa nie zna języków.

– Mieli tu makaroniarzy – popisał się wiedzą historyczną Koziej.

– No dobra, niech ci będzie. Ale buty to kto jak kto, ale Włosi znali, nawet za Benita. Czy Etiopia leży już tak bardzo, że gości z ministerstwa nie stać na buty i majtki?

– Wie pan chyba więcej od nas – mruknąłem, zerkając w stronę bioder panny G. Asmare. – No nic, panowie. Na mnie czas. Muszę się przebrać.

*

Mój pistolet leżał w depozycie, więc wyprawę na wschodnie kresy Etiopii rozpocząć musiałem od ponownej wizyty w kompleksie sztabowych blaszaków. Było to o tyle niezręczne, że odtrąbiono już pobudkę i przez całą drogę czułem na sobie dziesiątki, jeśli nie setki ciekawskich spojrzeń. Oficer z plecakiem, ale bez pasa, w towarzystwie czarnoskórej wieśniaczki i osła musiał budzić sensację.

Przed wejściem powstrzymałem dziewczynę ruchem dłoni, zdjąłem tornister i wygrzebałem zeszytek z opracowanym na potrzeby żołnierzy kontyngentu słowniczkiem polsko-angielsko-amharskim. Odszukałem słowo „czekać” i wskazałem palcem.

– Mam nadzieję, że chociaż czytać umiesz – uśmiechnąłem się i prawie natychmiast straciłem dobry humor, bo panna Asmare podsunęła mi z kolei przed nos następny arkusz A4, tym razem z listą medykamentów. – Cholera, jeszcze i to... Słuchaj: zaraz lecimy – pokazałem niebo i zacząłem zataczać szybkie kręgi dłonią. – Helikopter, wrrr... Rozumiesz? Tam – wskazałem wschodnią część świata. – Kasali. Zaraz. – Tym razem pokazałem na zegarku. – Nie

ma czasu. Nie zatrzymam maszyny dla paru...

Szarpnęła gniewnie brzegi kartki.

– No dobrze. Czekaaj tu. Pilnuj plecaka. I daj ten papier.

Pewnie nic nie zrozumiała, ale pozwoliła mi wejść do budynku razem ze specyfikacją. Jaskólskiego nie było. Mojego wista też. W zamian za podpis brazylijski pomocnik oficera wręczył mi inny, nowy pistolet.

– Mogę zadzwonić? Dzięki.

Wybrałem numer izby chorych, przedyktowałem pielęgniarce krótki spis i zażądałem dostarczenia całości na lądowisko. Wyszedłem, wziąłem tornister, skinąłem na dziewczynę i pilnując tym razem, byśmy szli ramię w ramię, zacząłem budować za pomocą słownika zdanie mające brzmieć: „Jak zamierza pani załatwić problem osła?” Oprócz widoku wyszczerzonych radośnie zębów wiele nie zyskałem.

W sąsiedztwo pomalowanego na biało sokoła dotarliśmy równocześnie z landroverem, który wypuł czerwonego z pasji cywila z wielką torbą podróżną. Przybysz miał trzydzieści lat, urodę hollywoodzkiego gwiazdora, długie jasne włosy spięte w kucyk, dzinsy, białą koszulkę i okulary przeciwsłoneczne. Miał też pretensje do majora Morawskiego.

– To zwykle draństwo! Różne cuda widziałem, ale to już przegięcie! Macie cztery własne załogi! I co, wszyscy nagle boleści dostali?!

– Mnie pytasz? – zapytał ponurym głosem Morawski.

– Twój wiatrak, nie? – blondas kopnął mściwie koło śmigłowca. – To kogo mam pytać? Nikt nie chce słuchać, że też miałem plany! Lecisz, koniec, kropka. Bo wojsko ma sraczkę. Ciekawe, że jak trzeba lecieć nad jakieś jezioro, to się kolejka...

– Pan jest drugim pilotem? – zapytał mało przyjaznym tonem kapelan. – No, w końcu.

Landrover odjechał i choć nie chowaliśmy się za nim, właśnie teraz spojrzenia obecnych skupiły się na naszej grupce. Bo grupkę, czy mi się to podobało, czy nie, tworzyliśmy.

– Ile można dostać w Etiopii za zastrzelenie rządowego osła?, – zapytał Morawski po chwili znaczącego milczenia.

– Lepiej: oślicy. – Uśmiech siostry Joli był zadziwiająco zimny jak na kogoś o urodzie lalki.

– Sam tu nie przylazł.

Zatrzymałem niepewne spojrzenie na Jaskólskim.

– Zajmie się nim pan? – skinąłem głową w stronę kłapoucha.

– Osłem? – zdziwił się. – To pan nie wie? Leci z wami.

– Bardzo śmieszne. – Nikt się jakoś nie śmiał. Nagle przejrzałem na oczy. – Jezu, chyba żartujecie... Osiół?! Do Ogadenu?!

Morawski dźwignął się bez zapału.

– Kończ waść, wstydu oszczędź... Dobra, ładujemy bydlaka. Ona – wskazał Etiopkę – zna

jakieś języki?

– Swoj – mruknąłem.

– Fajnie. Kolego Olszan, bierzecie forszę od ich Ministerstwa Rolnictwa. Pomóżcie kolezance wprowadzić na pokład firmowy pojazd.

– Odwal się – warknął blondyn. – Nie jestem woźnicą. I w życiu nie widziałem, żeby ktoś śmigłowcem osła woził. Tylko jakiś durny trep mógł wpaść na taki pomysł. Co to ma być? Kawaleria powietrzna?

– Zaraz. – Powoli dochodziłem do siebie. – O co tu chodzi?

– Dostałem podpisany przez Zarębę rozkaz – wzruszył ramionami Jaskólski. – Jego sekretarka dzwoniła i pytała, czy pilot nie robi problemów z powodu osła.

– Robi – zapewnił Morawski. – Ale mus to mus. Przyprawdzicie żyrafę, to też polecę. Ostatecznie ja tylko kieruję tą arką.

Powiedział, co miał do powiedzenia, odwrócił się i dołączył do Wołynowa. Dopiero teraz zauważyłem, że przedstawiciel Kazachstanu krząta się po kabinie, mocując pasy do zaczepów. Wszystkie cztery sokoły polskiego kontyngentu były maszynami wielozadaniowymi, czyli, mówiąc inaczej, zaopatrzone je w mnóstwo punktów mocowania, mogących przytrzymać tuzin siedzeń, palety, dwie pary noszy czy zbiorniki. Oczywiście nie równocześnie, ale wewnątrz było funkcjonalne i w grę wchodziły różne kombinacje ludzi oraz ładunków.

Zajrzałem do środka. Nosze wisały pod sufitem, medykamenty trafiły do bagażnika. Sam bagażnik przesłonięty był blokiem trzech wygodnych foteli samochodowego typu. Reszta pasażerów, nie licząc osła, musiała zadowolić się zamocowaną wzdłuż lewej ścianki ławką. Przy prawej ścianie ustawiono dodatkowy zbiornik. Osioł też miał tam trafić. Pasy pod pierś i brzuch już czekały. Pozostawało go tylko wprowadzić.

– Ma ktoś marchewkę? – zapytałem ponuro, oceniając różnicę poziomów między ziemią a progiem kabiny.

– Może poszukam tłumacza – zaproponował niepewnie Jaskólski.

– Zna osła? – zapytałem cierpko.

– No nie, ale ta czarna... Trzeba by jej wyjaśnić, o co chodzi. Może jakoś wprowadzi tego...

– ...śmierdziela – dokończyła Jola. Starła się trzymać możliwie daleko zarówno od osła, jak i od jego właścicielki.

– Coś z tym trzeba zrobić – wyraził swoją opinię Lesik. – Przecież nie będziemy podróżować razem z osłem. To śmieszne.

– Obawiam się, że będziemy – mruknąłem.

– Jestem oficerem i kapłanem – przypomniał zimno.

– Dawno temu pewna dziewczyna przyjechała do Betlejem na osiołku – wzruszyłem ramionami. – Ale fakt: ani gwiazdek, ani święceń nie miała. Tylko ciężki brzuch i obolałe nogi.

Dość długo panowało milczenie tak intensywne, że można by je kroić nożem i sprzedawać pechowcom mieszkającym wokół Okęcia. Nawet panna G. Asmare przyglądała mi się badawczo, małpując wszystkich obecnych.

– Do roboty – przerwał ciszę Morawski.

Panna Asmare złapała kłapoucha krótko przy pysku, podprowadziła do drzwi sokoła. Pomrukując pieszczotliwie i ostrzegawczo zarazem, uniosła nogę i postawiła ją na stopniu.

– To nie będzie takie proste – stwierdził Morawski, ale kiedy złapałem za siodło, chwycił z drugiej strony. – Co ona chce...?

Udzieliła mu odpowiedzi, jednym płynnym i dość ryzykownym ruchem pokonując metrową różnicę poziomów i ciągnąc na siebie trzymany oburącz pysk. Zaparłem się z całych sił, oczekując gwałtownego szarpnięcia w tył. Major, najwyraźniej też nie mający ochoty oglądać wylatującej jak z procy dziewczyny, wziął ze mnie przykład. Obaj wylądowaliśmy na kolanach: wredne bydlę lekko i bez żadnej niechęci wystrzeliło nagle w górę. Zdążyłem dostrzec odskakującą na bok Etiopkę, po czym grzmotnąłem barkiem o burtę maszyny.

Morawski podniósł się, klnąc pod nosem, otrzepał spodnie, sprawdził, czy nikt nie został stratowany, i poszedł w ślady Olszana, zajmując miejsce w fotelu pilota. W chwilę później przed śmigłowcem zatrzymała się sanitarka. Kiedy odbierałem karton z lekami, zajęczała turbina.

– To też dla pana – Jaskólski wręczył mi kopertę. – Rozkazy.

– Aż tak formalnie?

– To daleki lot! – Robiło się głośno, stopniowo musieliśmy przechodzić do krzyku. – No i kwestia dowództwa!

– Nie rozumiem!

– Pan nimi dowodzi! – wskazał wyjąca maszynę. – Lepiej mieć papier, jak się jest kapitanem, a trzeba komenderować majorami! No nic, powodzenia! Przywieźcie chłopaka żywego!

*

Instrukcja mieściła się na jednej kartce. Morawski zapoznał się z nią, nim przekroczyliśmy dość płynną granicę Addis Abeby, kiwnął głową i zajął się lawirowaniem między górskimi szczytami. Złożyłem papier i wróciłem do przedziału pasażerskiego. Uchyliłem się przed ciosem oślego ogona i rozejrzałem się za wolnym miejscem.

Wielkiego wyboru nie było: miejsca pierwszej klasy, te z tyłu, zostały błyskawicznie zajęte przez Jolę, Lesika i Zanettiego, któremu, sądząc z kierunku spojrzeń, bardziej chodziło o blondynę w kusych szortach niż miękki fotel pod zadkiem. Wołynow, wyraźnie senny, kiwał się na tylnym końcu obciągniętej dermą ławki. Ośli pysk, obwąchujący jego nogę, wyraźnie go

nie wzruszał.

Przedstawicielka etiopskiego rządu przysiadła skromnie na przeciwległym końcu ławki. Najdalej jak się dało od ludzi, którzy mieli jasną skórę, okrywali ją prawdziwymi ubraniami i nosili buty. Inna sprawa, że co druga rdzenna Polka, wepchnięta przez los do pełnego nieznanym wnętrza, usiadłaby tak samo. Mogłem zająć miejsce technika pokładowego w przejściu między przedziałami albo to obok niej. Różnica sprowadzała się do widoków. Malowniczy krajobraz albo profil ponurego osła, który w każdej chwili mógł stracić cierpliwość. Afryka z lotu ptaka jest piękna. Nikt rozsądny nie mógłby mieć pretensji, że...

Usiadłem obok dziewczyny o imieniu zaczynającym się na „G”.

Przez dłuższy czas panowało milczenie. Łoskot wirnika uniemożliwiał sensowną rozmowę. Na szczęście mieliśmy na pokładzie chociaż jednego pilota, który przywykł do myśli, że z tyłu ma pasażerów, a nie desant, i że ci pasażerowie mogą oczekiwać od lotu czegoś więcej niż wysadzenia w miejscu, gdzie nie strzelają zbyt gęsto.

– Niech pan założy słuchawki! – zaproponował przechodzący od siedzenia do siedzenia Olszan. – Puszczę wam muzykę!

Powtórzył to jeszcze trzy razy, kucając dokładnie naprzeciw środkowego z trzech foteli i przytrzymując się gołych kolan Joli. W zasadzie wybrał optymalny wariant, ale ujrzałem w nieco innym świetle jego bezinteresowną uprzejmość.

Słuchawki, wyposażone też w mikrofony, wisiały przy pulpitych rozmównic. Mój znajdował się nad lewym ramieniem Etiopki. Odpiąłem pas, wstałem i właśnie wtedy maszyna wpadła w jakiś powietrzny wybój.

Nie planowałem tego: ręka sama złapała się odsłoniętego barku dziewczyny. Albo raczej: młodej kobiety. Kiedy odwróciła nieznacznie głowę, chroniąc nasze nosy przed zderzeniem, a może tylko, jak większość ludzi, unikając widoku obcych oczu tuż przed twarzą, zauważyłem delikatną siateczkę rys w miejscach, gdzie zbiegają się powieki. Jej skóra była świeża, ale już nie świeżością nastolatki; panna Asmare urodziła się najmniej ćwierć wieku temu i jak na afrykańskie standardy była już panną lekko podstarzałą.

Cofnąłem dłoń. Za szybko. Odwróciła głowę o dalsze kilkanaście stopni i przez chwilę jej regularny profil zlewał mi się w oczach z mglistym profilem jakiejś filmowej bohaterki, pięknej, szlachetnej i spoliczkowanej przez męża brutalą. Oczywiście idiotyzm – nic się nie zgadzało. Mimo to moja prawa ręka, nie pytając o zgodę, zerwała z uchwytu nie jeden, a dwa komplety słuchawek. Może gdyby trzeba było je podłączyć, wykonać jeszcze jeden ruch, zdążyłbym się wycofać. Ale końcówki tkwiły w gniazdkach. Opadłem na ławkę i po sekundzie wahania położyłem na kolanach dziewczyny jeden z zestawów. Nie widziałem, jak go zakładała. Patrzyłem uparcie na wyraźnie zdziwioną Jolę i dopiero po dłuższej chwili wyczułem ostrożny ruch po swej lewej stronie.

– Bez przesady, panie doktorze. – Odezwali się równocześnie: Elvis i siostra Jolanta. – I tak jest szczęśliwa, że leci.

– Słucham? – Byłem trochę rozkojarzony, mój organizm dziwnie reagował na sąsiedztwo nagiej miedzianoskórej dziewczyny mającej na sobie tylko zielone prześcieradło. Albo raczej: reagował niepokojąco naturalnie.

– Samym lotem do końca życia będzie szpanować u siebie na wsi.

Teraz zrozumiałem. W gruncie rzeczy myśleliśmy o tym samym.

– Żałuje jej pani? – zdobyłem się na uśmiech.

– Po prostu naoglądałam się zbyt wielu etiopskich wszy, świerzbu... Ktoś przecież założył po niej te słuchawki.

– Pani Jolu – powiedziałem łagodnie – ona pracuje w ministerstwie.

– Pan w to wierzy? – roześmiała się. – Wystarczy spojrzeć...

– Może jakiś jej krewny pracuje – odezwał się Lesik. Mówił do niej; na mnie od początku starał się w ogóle nie patrzeć. Z wzajemnością zresztą. – W Afryce władza jest po to, by z niej czerpać garściami. Są jak dzieci: żadnych zahamowań. Ich wojny mają w sobie coś z porachunków między bandami wyrostków. Dlatego są takie okrutne. Dziś bez zbrojnej eskorty nawet misjonarz nie bardzo może wyjść z hotelu.

– Nadal zjadają? – Nie mogłem się powstrzymać. Jola zachichotała, dość szybko jednak zapanowała nad sobą.

– Bardzo zabawne – rzucił zimno Lesik. – Szkoda, że zapomniał pan dodać, kto tak naprawdę morduje w Etiopii księży.

– Wszyscy – wzruszyłem ramionami.

– Pana ulubieńcy. Komuniści Mojlego.

– To ten gruby w białym mundurze? – zapytała Jola.

– Gruby to generał Degawi – sprostowałem po sekundzie wahania. Nie byłem pewien, czy faktycznie nie wie. Teoretycznie mogła po prostu lać oliwę na wzburzone wody. – Mojle jest chudy i nosi okulary. Ale komunistą raczej trudno go nazwać: przymierza się ponoć do restytucji cesarstwa. Nawiasem mówiąc, to on wygrał wybory.

– Zdaniem Hawany i Pekinu – stwierdził z satysfakcją Lesik.

– I Sztokholmu.

– Nie znam się na tym – wyznała Jola. – Nie interesuję się polityką. To znaczy owszem, na wybory chodzę – zastrzegła się. – Ale tutaj... Jaka to różnica, czy rządzi Sambo czy Bambo?

– Mała – przyznał Lesik. – To, czy bawią się akurat w komunizm, nacjonalizm czy nawet chrześcijaństwo, nie zmienia faktu, że to wszystko jest przygnębiająco powierzchowne. Mojle dziś przeprowadza reformę rolną, jutro ogłosi się cesarzem i zacznie bronić plantatorów przed chłopstwem, a pojutrze, kto wie?, może przejdzie na islam. To czerwony aparatczyk, szkolony

w Moskwie. Chorągiewka, dokładnie jak ci nasi. Tyle że panowie z SLD są trochę sprytniejsi.

– Podobno Murzyni mają niższą inteligencję – pochwaliła się erudycją. – W „Wyborczej” pisali, że w Stanach robili takie testy. Za to są lepsi w sporcie, w bieganiu...

– Mają bodajże inną budowę stóp – wyjaśnił Lesik. – Rasa to nie tylko kwestia ilości pigmentu. Ale główny problem to różnice kulturowe. Czy się to komuś podoba, czy nie – rzucił mi wymowne spojrzenie – współczesna cywilizacja wyrosła z chrześcijaństwa. Do kolorowych prawda dotarła późno, niekiedy wcale...

– Gwoli ścisłości. – Nie mogłem powstrzymać się ani przed polemiką, ani przed rzutem oka na zbudowane inaczej stopy, spoczywające obok moich wojskowych kamaszy. – Etiopia jest chrześcijańska o połowę dłużej niż Polska.

Nie wiem, jak gapiąc się na nogi dziewczyny, wyczułem, że się uśmiechnęła. Ale tak właśnie było. Kiedy uniosłem wzrok, wciąż miała ten uśmiech na twarzy. Troszkę za późno zorientowała się, na co patrzę. Odruchowo odwróciła głowę, ale prawie równie szybko zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia spóźniła się z unikiem. Dużo wolniej obróciła twarz jeszcze raz, układając jej mięśnie w lekko rozbawionym uśmiechu, mówiącym: „No i przyłapałeś mnie?”. Nie wyglądała na kogoś odczuwającego wielki respekt do takiego białego ważniaka jak ja.

Pomyślałem, że znalazła w moim nie dość ukradkowym spojrzeniu coś, co dodaje kobietom pewności siebie, niezależnie od koloru skóry i ilości pieniędzy zainwestowanych w garderobę. Kiedy, nie przestając patrzeć mi w twarz, założyła nogę na nogę i jej lewa stopa zawisła tuż przy mojej łydce, zyskałem dowód tak wyraźny, że aż kłujący w oczy.

– Nie do wiary. – Śmiech Joli do złudzenia przypominał prychnięcie. – Ona pana najwyraźniej...

I w jakikolwiek sposób zamierzała dokończyć, miała rację.

– Swoją drogą ciekawe, kto to taki – mruknął Lesik. – Na urzędniczkę nie wygląda.

– Urzędniczka! – Tym razem Jola otwarcie prychnęła, nie siląc się na śmiech. – W Addis Abebie pod każdą latarnią... Chociaż nie: tamte się lepiej ubierają. I nie cuchną osłem.

– Jest pani doskonale zorientowana – stwierdziłem z uznaniem.

– Pan to zawsze żartuje... A ja chciałam tylko powiedzieć, że dla takiej nie jest problemem załatwić sobie przelot rządowym śmigłowcem. Sam pan mówił, że tu biorą wszyscy. Niekoniecznie w gotówce.

Pomyślałem, że pewnie ma rację. Zwyczaj zakładania nogi na nogę nie kojarzy się z Afryką – oprócz kobiet odczuwających potrzebę ładnego siedzenia, niezbędne są do tego jeszcze krzesła. Oczywiście zachodnia cywilizacja zapuściła tu korzenie, wciąż jednak najbardziej europejskie w sferze obyczajów były kobiety, które z Europejczyków żyły. W większości przypadków oznaczało to prostytutki. Nie była chuda, była ładna, śmiała... Cholera.

– Nie czepiajmy się dziewczyny – zaproponowałem. – Nie przepuszcza forsę na ciuchy,

wiezie rodzinie leki, dba o zwierzęta, no i wraca z zepsutego miasta na zdrową moralnie wieś. O niewielu współczesnych kobietach można powiedzieć tyle dobrego.

– Prawdziwa święta – burknęła Jola. – Zobaczymy, co pan powie, jak wpakuje panu te brudne nogi na kolana.

Na tym zamknęliśmy temat.

*

Nie wiem, co mnie obudziło. Raczej nie żaden gwałtowny manewr: w obawie przed buntem osła Morawski wyjątkowo ostrożnie sterował maszyną. Wiem natomiast, co błyskawicznie wymiotło ze mnie resztki senności – uświadomiłem sobie po prostu, że w charakterze poduszki używam prawego ramienia panny Asmare.

Podczas snu moje biodra zjechały na samą krawędź ławki; gdyby nie pas, z pewnością wylądowałbym tyłkiem na podłodze. Na pół leżąc, z nogami pod oślim brzuchem, musiałem przechylić się w którymś momencie i mój policzek trafił już poniżej twardego kostnego węzła ramienia, gdzie były tylko mięśnie i gdzie było miękkie.

Zanim się poderwałem – o wiele za szybko – zdążyłem odnotować, że stopy dziewczyny rozstawione są wyraźnie szerzej, a dłoń przytrzymuje się uda. Nie jest łatwo być stabilnym oparciem dla kogoś, kto waży przeszło siedemdziesiąt kilo i całymi godzinami próbuje cię zepchnąć z pozbawionej poręczy ławki. Pomyślałem, że musiałem dać jej się we znaki, ale i tak pierwsze spojrzenie posłałem w stronę tylnych siedzeń.

W spojrzeniu Joli ewidentnie brakowało ciepła.

Nie miałem odwagi właśnie teraz, czując na sobie jej wzrok, choćby zdawkowym uśmiechem podziękować innej dziewczynie. Wyraźnie czułem całe mnóstwo obolałych od bezruchu mięśni, co znaczyło, że jej dostało się jeszcze gorzej. Mogła mieć brązową skórę i inną budowę stóp, ale to nie zmieniało faktu, że jest takim samym jak ja człowiekiem. Byłem jej winien ten uśmiech. I pozostałem z długim, tchórzliwie wykorzystując fakt, że Wołynow pochyła się w moją stronę.

– Chyba jesteśmy! – zawołał po rosyjsku.

Miał rację. Sokół, lecący dotąd w tempie dwustu kilometrów na godzinę jednym i tym samym kursem, przechylił się nagle, zwolnił. Tuż za oknem przemknął czubek blaszanego komina, dziwnie swojskiego na tle prymitywnych lepierek, akacji, palm i poszarzałej od wszechobecnego kurzu ni to sawanny, ni to pustyni.

Morawski wylądował z pierwszego podejścia i od razu wyłączył silniki. Przez rozsunięte drzwi zajrzała do wnętrza wąsata, przykryta błękitnym beretem głowa białego mężczyzny w mundurze.

– Witamy w Kasali – powiedział po polsku. – Sierżant sztabowy Ciołkosz, niańka tej bandy. Jak tam lot? O, do licha... A cóż to?

Był zdziwiony, ale nie porażony widokiem osła. W tych stronach nie brakowało ani osłów, ani ciężarówek przewożących każdy ładunek, jaki dało się upchać na platformę.

– Doktor Szczebielewicz. – Pierwszy zeskoczyłem na ogadeńską ziemię i pierwszy uścisnąłem dłoń sierżanta. – Gdzie ranny?

Podrapał się po regulaminowo gładkim policzku, powiódł niepewnym spojrzeniem ode mnie do Morawskiego i z powrotem.

– To wy nic nie wiecie? Jeszcze wczoraj zawiadomiliśmy Abebę. Urbański zmarł.

Jola, odpinająca nosze, przestała je odpinać. Z urażoną miną zeskoczyła na ziemię, ignorując usłużnie podsuniętą rękę Zanettiego.

– Jak to: zmarł? To po co tłukliśmy się pięć godzin?

– Urbańskiemu też jest przykro – pocieszyłem ją.

– Nikt się z nami nie łączył w czasie lotu – uprzedził pytania Morawski. – Przynajmniej pan Olszan nie wspomniał mi o tym. On zajmuje się radiem. O ile akurat nie puszcza muzyczki.

– Pan Olszan uprzejmie donosi, że nikt nas nie wywoływał – oświadczył blondas, gramoląc się z kabiny. – Ale dziura... Gdzieś ty nas przywiózł, chłopie?

– Nie jest tak źle. – Wyglądało na to, że nie mam tu już nic do roboty, starałem się więc podnosić morale. – Mają nawet komin.

Oprócz komina za strzechami lepianek widać było dach jakiegoś wyższego, krytego prawdziwym dachem budynku.

– Gdzie dowódca? – rozejrzałem się po placu otoczonym chaotycznie rozrzuconymi domami. Wylądowaliśmy na południowym skraju osady, obok niedużej sadzawki, w której przed chwilą pluskała się gromadka nagich dzieci. Teraz ciemnoskórzy malcy zgromadzili się naturalnie wokół sokoła, podobnie jak paru dorosłych, nie mających akurat nic lepszego do roboty. Za stadem chudych krów dostrzegłem rząd miniaturowych namiotów z wojskowych pałatek; dalej stały trzy ciężarówki i jakieś wozy terenowe, przesłonięte kępami roślinności. Biwak wyglądał na pusty, jedynie przy kuchni polowej kręcił się rozebrany do pasa kucharz.

– Powinien zaraz być, na pewno was nie przegapił. Wyprowadził pluton na te pagórki. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Wioska leżała w dolinie, otoczona łagodnymi, z rzadka porośniętymi wzgórzami. Dzięki temu była tu woda i sporo zieleni, ale z wojskowego punktu widzenia miejsce nie zachwycało.

– Jeśli to nie tajemnica... – Ciołkosz przyglądał się operacji wyprowadzania osła. – Po co ich przywieźliście?

– Dodatek do rządowej przesyłki.

Przedstawiłem mu pozostałych członków ekspedycji. Olszana i Jolę z daleka – od razu poszli

badać przydatność sadzawki w charakterze basenu. Całe towarzystwo zresztą zaczęło się rozchodzić i na posterunku pozostał tylko Morawski. Panna Asmare stała wprawdzie obok i usiłowała zamocować karton z lekami do osłego siodła, duchem była jednak gdzieś daleko. Sądząc z wyrazu jej twarzy – w niezbyt przyjemnym miejscu.

– Czyli rannego mamy z głowy – podsumowałem ponuro. – A co z tym zestrzelonym śmigłowcem? Jest czy go nie ma?

– Odleciał na północ – westchnął sierżant. – Tam są skałki, coś w rodzaju wąwozu, jeśli wierzyć Mengeszy – skinął w stronę rozmawiającego z Lesikiem tubylca w dżinsach i brudnej białej koszuli do pół uda. – To nasz tłumacz, trochę mówi po angielsku. Wypytał tutejszych.

– To daleko?

– Z kilometr od... co jest?

Dopiero teraz zauważyłem obwieszzonego bronią szeregowego, który bez pośpiechu minął gromadę gapiów i niedbale trącił palcami okap hełmu. Był w kamizelce przeciwodłamkowej, miał saperkę, bagnet i komplet granatów, ale brakowało mu bluzy i podkoszulka. Mimo to spływał potem. Jak wszyscy. Po wysokogórskiej Abebie i klimatyzowanym śmigłowcu Ogaden z miejsca porażał upałem.

– Panie kapitanie, szeregowy Maciaszek prosi o pozwolenie zwrócenia się... Szefie, porucznik kazał powiedzieć, że będzie za godzinę. Wziął trzech ludzi i poszedł się rozejrzeć. Tak z dziesięć minut temu.

– Dziesięć? Czołgałeś się tu, Maciaszek?

– Ale szefie, no przecież mamy nie biegać przy czarnych...

– Zakaz biegania? – zainteresowałem się.

– Filipiak ma swoje metody – wzruszył ramionami sierżant. – Mówi, że jedziemy tu głównie na autorytecie białego człowieka. Biały jest lepszy, silniejszy, mądrzejszy itede. Ma tak wyglądać, żeby żadnemu tubylcowi nie przyszło w ogóle do łba, że można do niego strzelać.

– Stara brytyjska szkoła – rzucił od strony kabiny Morawski. – Trzcinki ten wasz porucznik przypadkiem nie nosi?

– A propos Angoli – przypomniał sobie Ciołkosz. – Mam w termosach schłodzoną herbatę z cytryną. Chodźcie, panowie, siądziemy w cieniu, wypalimy po jednym i powiecie, co w świecie słyhać. Maciaszek, zostajesz tu i pilnujesz śmigłowca. Możesz zdjąć żółwia, ale jak zobaczę, że ktoś tu łązi i wycieraczki odkręca, to biedna twoja dupa.

Usłyszałem głuchy stuk. Panna Asmare, mamrocząc coś, co raczej nie nadawało się do powtórzenia w etiopskich salonach, cisnęła ze złością zbyt krótkim sznurkiem i schyliła się po leżący pod osłem karton.

– A co z nią, wodzu? – zapytał Morawski. – Ładna dziewczyna, ładny osiołek... Jeszcze ich ktoś zwinie. Może lepiej odprowadzić pod drzwi ratusza i oddać za pokwitowaniem? Jest tu jakaś

władza?

– Wojska nie ma. Pilotowali nas tu gliniarze, ale jak przyleciały śmigłowce i sfajczyły im ciężarówkę, wskoczyli na drugą i zwiali. Teraz chyba rządzi dyrektor garbarni. Ma zegarek, lakierki i podobno motor. Miły gość, to u niego położyliśmy Urbańskiego.

Dziewczyna próbowała umieścić pudło pod pachą, co z czysto geometrycznych względów było równie beznadziejne, jak obejmowanie oburącz śmigłowca. Dopiero zapierając jedną krawędź o kolano zdołała uwolnić prawą rękę, nie gubiąc przy tym kartonu. Złapała osła za uzdę i zrobiła coś, co od biedy przypominało krok do przodu.

– Jakby była naprawdę czarna – roześmiał się Ciołkosz – toby wiedziała, że do noszenia służy głowa. Na sudańskiej granicy widziałem jedną...

Oderwałem wzrok od kępki włosów pod jej pachą, podszedłem do dziewczyny i wyjąłem jej karton z rąk. Znieruchomiła.

– Mengesza! – Kudłacz zostawił kapelana i zbliżył się z umiarkowanym zapalem. – Zapytaj panią, dokąd chce iść.

Zapytał. Odpowiedziała i Mengesza przetłumaczył na angielski.

– Ona mówi: iść do dom stryj jej, dyrektor Asmare, i później iść ludzie dyrektor zabrać leki dla krowa i inne zwierz z helikopter.

Ciołkosz zagwizdał cichutko.

– To jest ta sławna bratanica starego Smarka? No, no...

Dziewczyna rzuciła mu nijakie spojrzenie.

– Sławna? – Morawski uniósł brwi.

– Chwalił się, że ma bratanicę, która skończyła szkołę za granicą. Chociaż... bo ja wiem? Może ma ich więcej. Ta jakoś nie bardzo...

– Najnowsza moda – stwierdziłem niedbale. – Totalny luz, żadnych butów, ekologiczne, proste. Mogę pożyczyć tłumacza?

Kiwnął głową, przyglądając mi się nieufnie. Nie miał pewności, czy tylko żartuję. W czasach, gdy wojskowymi śmigłowcami latają czesani w kucyk piloci i osły, bosonoga studentka w zielonym prześcieradle nie szkuduje już tak bardzo.

Skinąłem na dziewczynę, zawołałem Mengeszę i ruszyliśmy w głąb osady. Była całkiem spora. Przy niektórych domach z gliny, drewna i kamienia pobudowano zagrody dla bydła, było też zaskakująco wiele ogródków. Na obrzeżach stały prymitywne, sklecone z gałęzi i traw domki, a nawet skórzane namioty koczowników, zaś na szczycie porośniętego akacjami pagórka rozłożyło się coś, co pełniło tu rolę dawnego europejskiego dworu. Dom był duży, murowany, miał ganek z drewnianymi kolumnami i kamienne schody. Nie kojarzył się z Afryką. Otaczający go murek, już z wszechobecnej wokół gliny, wycinał z półpustynnego Ogadenu enklawę rozbuchanego życia roślinnego. Rosły tu obok siebie drzewa cytrusowe, dynie, cebula, groch,

palmy daktylowe i całe mnóstwo innych drzew, krzewów oraz warzyw, których jako zagorzały wróg prac na działce nie potrafiłem zidentyfikować. Większości zresztą nie udałoby się uprawiać nad Wisłą. Z całego tego bogactwa największe wrażenie zrobił na mnie spory zagon ziemniaków – nie miałem pojęcia, że potrafią przeżyć w Etiopii. Niektóre drzewa, chyba owocowe, też wyglądały znajomo, ale z braku owoców nie miałem pewności w tym względzie.

Źródło cudu, jaki się tu dokonał, stało obok i nazywało się wiatrak. Lekka stalowa konstrukcja wznosiła się na kilkanaście metrów, a długie ramiona nawet teraz, przy bezwietrznej na pozór pogodzie, obracały się leniwie, napędzając prądnicę.

Dom opasywał autentyczny trawnik, w dodatku sprawiający wrażenie wystrzyżonego, a nie wyskubanego przez kozy. Pomieszczenia gospodarcze, choć wzniesione z tanich lokalnych materiałów, dumnie połyskiwały blaszanymi wrotami i wywietrznikami, zabawnie kontrastującymi ze strzechą. Pomyślałem, że garbarnia musi przynosić niezłe dochody.

Dziewczyna pchnęła furtkę i wprowadziła osła do środka. Zerknąłem niepewnie na przechadzającego się po ogrodzie wysuszonego dziadka z jakąś archaiczną flintą, bez dwóch zdań stróża, ale albo był już zbyt zniedołężniały i nas nie zauważył, albo zostaliśmy uznani za uprawnionych do wejścia.

Wyzbyłem się wątpliwości, kiedy z budynku wypadła gromada pstrokato ubranych kobiet i półnagich dzieci, a panna Asmare znikła w tłumie witających ją domowników. Wszyscy próbowali mówić naraz, skutkiem czego gwar narastał i co ambitniejsi zaczęli krzyżeć. Wyjątek stanowiła gruba, czarno odziana baba o twarzy zakrytej kwefem – ta jazgotała gniewnie od początku. Dwie inne, identycznie ubrane, choć szczuplejsze towarzyszki awanturującej się jędzy nie miały szans dojść do głosu.

Powitanie, kłótnia czy cokolwiek to było, ciągnęłoby się pewnie w nieskończoność, na szczęście jednak zgiełk zwabił na werandę czarnoskórego mężczyznę w spodniach od tropikalnego garnituru, półbutach i koszuli noszonej zachodnią modą w spodniach. Miał około pięćdziesiątki, nosił srebrne okulary i cieszył się autorytetem, bo na jego widok całe towarzystwo natychmiast umilkło.

Panna Asmare wspięła się po schodkach i z nieco bladym uśmiechem cmoknęła go w policzek. Potem zaczęli rozmawiać i choć nie zrozumiałem ani słowa, stało się dla mnie jasne, że ta jedyna w całej gromadzie bosonoga kobieta jest kimś szczególnym, kto może zwracać się do gospodarza jak równy do równego.

– Mengesza – rzuciłem półgłosem – o czym oni mówią?

– On mówić: dziewczyna z dobry dom nie jeździć sama daleko i hańbić rodzina, mąż i wszystkie, a ona mówić: mieć lek dla krowy, wielbłąd i ludzie, teraz szanować wuj wszyscy dużo, dużo, nawet Sabah.

– Nawet co?

– Sabah. On jest kto, nie co. Ja nie znam na pewno, ale jest jeden ważny człowiek i on się też nazywa Sabah. Dużo stado, mnóstwo wielbłąd. Tu i Somalia. Może być on właśnie. Mister Asmare wołać, sir.

Gospodarz posłał mi przyjazny uśmiech i zaczął gestykulować, zapraszając do środka. Z potoku słów wyłowiłem „dyrektora” i jego nazwisko.

– Powiedz, że może mi mówić „doktorze” – poradziłem Mengeszy. – Bo mam trudne nazwisko. Aha, i przedstaw nas sobie z panną Asmare.

Zrobił zdziwioną minę, wyraźnie nie rozumiejąc końcówki, ale dziewczyna, która liznęła szkół i wielkiego świata, poszła za przykładem stryja i wyciągnęła dłoń w moją stronę. Czarna wiedźma zagulgotała. Naruszyliśmy granicę dobrych obyczajów, choć nie na tyle, by ona naruszyła ją w innym miejscu i obraziła gospodarza, wszczynając awanturę.

– Gabriela Asmare.

– Szczebielewicz – wymruczałem, ostrożnie ściskając jej długie palce. Nie były szorstkie, jak dłonie większości Afrykanek, i kończyły się paznokciami, które skrócono nożyczkami, a nie nożem czy przy pomocy zębów. – Eee... Jacek.

– Szsz... szczsss... – zasyczała z bezradnym, choć i rozbawionym uśmiechem. – Ejacek?

Myślałem o jej imieniu. Gabriela... Etiopczycy praktycznie nie używają europejskich imion. Z drugiej strony – rodzina Asmare wyraźnie należała do elity, a tacy ludzie łatwiej przejmują obce wzorce. Dziadek startował pewnie tak jak Mengesza, tyle że przy wojskach Mussoliniego. Stąd Gabriela, a nie na przykład Marie czy Jane. Włosi zabijali, ale i budzili respekt. Nie byłem pewien, jak jest tutaj, ale w niejednym kraju Czarnego Lądu białe imię bywa równie ważną przepustką do kariery, jak świadectwo dobrej szkoły. Bratanica dyrektora miała święte prawo nazywać się tak, jak się nazywa, nie znając przy tym ani jednego angielskiego słowa. Ale przecucie, mówiące mi, że z tą dziewczyną nie wszystko jest tak, jak się na pozór wydaje, bardzo szybko znalazło potwierdzenie w pełnych dumy słowach jej wuja.

– Mister Asmare mówić – przetłumaczył Mengesza – że młoda dama bardzo mądra i nie być zadziwiony doktor jej tradycje, bo ona uczył i długo, długo mieszkał na Europie. W kraj Holland.

Próbowałem złowić spojrzenie Gabrieli, ale przekraczała już próg, a dyrektor brał mnie pod pachę i ciągnął w głąb domu, za pośrednictwem Mengeszy zachęcając do zaszczytowania go krótką rozmową przy kawie.

Zaprowadził mnie do reprezentacyjnej sali, urządzonej w stylu, który określiłbym jako euro-arabo-afrykański. Kominek, niski stół z pufami zamiast krzesel, lamparcia skóra, mnóstwo ni to kotar, ni dywanów na ścianach, ozdobne kompozycje z tarcz, włóczni i zakrzywionych mieczy, bęben w kącie, biurko z lampą kreślarską – jedna wielka mieszanka, która architekta wewnątrz przyprawiłaby o zawał, ale mnie się podobała. Usiedliśmy. Dziewczyna zawahała się; przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym on powiedział coś polubownym tonem, a ona pokiwała

głową i wyniosła się za drzwi. Może i była bardzo mądrą dziewczyną, która długo mieszkała w Holandii, ale ten dom stał w bardzo afrykańskim zakątku Afryki i to liczyło się bardziej.

Córki, względnie służące dyrektora – a może i żony – przyniosły kawę z dodatkami, owoce, orzeszki, herbatniki i figi. Pan Asmare przeprosił za skromny poczęstunek i wyjaśnił, że kobiety dopiero gotują obiad. Ja z kolei przeprosiłem za najście i zapewniłem, że w najlepszych restauracjach Addis Abeby nie zetknąłem się z równie przyjemną atmosferą i takim bogactwem przekąsek, co tchnęło szczerością, jako że nie włączyłem się po stołecznych knajpach.

Jakiś czas gawędziliśmy o wszystkim i o niczym: polityce, urokach Etiopii i suszy, fatalnie wpływającej na interesy. Strumień informacji sączył się przez dalekiego od ideału tłumacza w tempie tak powolnym, że mogliśmy wymieniać pierwsze uprzejmości do kolacji.

Dowiedziałem się, że ośrodek skupu skór i garbarnia, zbudowane przez komunistyczny rząd Mengistu Hajle Mariama, są dziełem nieżyjącego brata gospodarza, który był bardzo wielkim i szanowanym człowiekiem i którego na studia do Europy posłał jeszcze sam cesarz. Pan Asmare, dawniej – jeśli dobrze zrozumiałem – feudał, potem dyrektor, teraz, w nowym ustroju, stał się współwłaścicielem zakładu, którego większą część zatrzymało sobie państwo. Ale transport, energia i chemikalia są drogie i interes nie idzie bardzo dobrze.

Podziękowałem za opiekę nad rannym i zagadnąłem o nalot.

– Mister Asmare mówi: głupi pilot – wyjaśnił Mengesza. – Tu żaden wojsko, dobre miejsce, każdy pasterz, wszyscy mogą przyjść, sprzedać skóra i dostać pieniądze, czy to Etiopczyk, czy Somalijczyk, obojętne. Zapal fabryka, wszystkie ludzie nieszczęśliwy. Mister Sabah duży przyjaciel dyrektor Asmare i krótko rodzina, każdy wie i żaden mudżahedin nie robi źle nikt w Kasali.

– Co znaczy: „krótko rodzina”? I kto to jest ten Sabah?

Twarz gospodarza rozjaśnił uśmiech satysfakcji.

– Sabah wielki wojownik, w Mogadiszu zabijać Amerykanin i drugi żołnierz. Walczył w Afganistan i podobno Czeczenia. Teraz robi handel, ma dużo wielbłąd i ludzie z bronią. Wielki pan. Bardzo uczony, w Anglii i Koran u Afgańczyk. Mnóstwo ludzi mówi: teraz nie, ale później on może jest gubernator Ogaden. Ogaden etiopski... gubernator, somalijski... też gubernator. Może być, Ogaden sam sobie, jak Erytrea... jeszcze lepiej. Może prezydent Wolny Ogaden. To wielki człowiek. A teraz żeni panna Gabriela i to wielki zaszczyt.

Minęło kilka sekund, nim przypomniałem sobie o obowiązku okazania entuzjazmu. Wypadło zaledwie znośnie. Wielki wojownik zabijający amerykańskich żołnierzy podczas pamiętnej, zakończonej totalną kląpą interwencji ONZ w Somalii jakoś nie pasował mi na męża delikatnej dziewczyny o sarnich oczach. Faceci strzelający zza węgła do kogoś, kto próbuje ratować od śmierci głodowej ich rodaków, nigdy nie cieszyli się moją sympatią. Problem leżał jednak gdzie indziej. Próbowałem nie przyznawać się przed samym sobą, ale wiedziałem, że nie lubię Sabaha

nie za to, co zrobił, a za to, co zrobić zamierza.

Kompletny bezsens.

– Mister Asmare prosi doktor i inny dowódca UNIFE obejrzeć fabryka i zjeść kolacja. Uroczysty wieczór ten dzisiaj.

Wzmianka o innych dowódcach sprowadziła mnie na ziemię.

– Postaram się przyjść, ale teraz muszę wracać. Jestem żołnierzem, mam rozkazy. Może wyjedziemy z Kasali przed obiadem.

*

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy. Zamykając za sobą furtkę, odwróciłem się i wtedy ją zobaczyłem.

Stała w oknie i przesłonięta siateczką gęstej moskitiery znów była, jak za pierwszym razem, pozbawionym twarzy cieniem. Pomyślałem, że gdyby nie zieleń sukni, nie wiedziałbym nawet, że to ona, ale czułem, że okłamuję samego siebie. Nie ruszała się, po prostu stała z dłońmi na parapecie i patrzyła. Nawet wtedy, gdy uniosłem rękę i bardzo lekko, prawie nie używając nadgarstka, pomachałem jej na pożegnanie.

*

– Agnieszka Wielogórska – powiedziała perkatonosa kobieta o szerokiej twarzy i brązowych oczach. – „Gazeta Wyborcza”. I trochę TVP.

Dłoń miała dopasowaną do reszty: krótką, szeroką i krzepką.

– Jacek Szczebielewicz – przytrzymałem spoconą rękę o sekundę dłużej, niż to było konieczne. – Wojsko Polskie. I trochę UNIFE.

Roześmiała się i od razu zrobiła się ładniejsza. Młodsza chyba nie: uśmiech pogłębia zmarszczki. Nie, żeby te jej jakoś kłuły w oczy, ale w naturze nie wyglądała na młodszą. Trzecia dekada życia ze wskazaniem na jej drugą połowę.

– Dobrze, że tylko trochę – powiedziała, ściągając przewieszony przez szyję aparat z obiektywem wielkości armatniej lufy. Strąciła przy okazji kapelusz, odsłaniając kudłatą głowę. Miałem okazję przekonać się, że mój telewizor nie zniekształca barw: włosy były takie jak na ekranie, ni to szare, ni rude.

– Nie bardzo rozumiem... – podałem jej zgubę.

– Niektórym te niebieskie czapki poopadały na oczy i uszy – wyjaśniła, siadając na wymontowanym z samochodu fotelu, opartym o bok tegoż samochodu. Niewielki, krótki i szeroki suzuki samuraj wyglądał na sfatygowanego, był oliwkowozielony i zakurzony, czyli do

złudzenia przypominał swoją ubraną jak na safari, zmęczoną, spoconą i umorusaną użytkowniczkę. – Nic nie widzą, niczego nie słyszeli.

– Nawet rzecznik prasowy?

– Niech mnie pan nie rozśmiesza, i tak ledwo żyję. – Wyciągnęła nogi w ciężkich pionierkach. – Jak niby mam pytać o cokolwiek faceta, który siedzi tysiąc kilometrów stąd? Zresztą z nim przez szerokość własnego biurka ciężko się rozmawia. I pomyśleć, że to Brazylijczyk...

– Rozumiem – usiadłem obok niej. – Liczy pani na solidarność plemienną. I pewnie złą opinię, jaką cieszą się lekarze wojskowi.

– A cieszycie się?

– Niektórzy mówią, że nie jesteśmy prawdziwymi żołnierzami.

– To parszywcy... A jesteście?

– Nawąchałem się więcej prochu niż niejeden generał. Lekarz zabezpiecza strzelania, wie pani. A w czasie wojny też wyprawia na tamten świat więcej ludzi niż facet prowadzący tyralierę.

Jej uśmiech przygasł. Jakiś czas patrzyła na parę dwudziestolatków, siedzących przy kuchni. Do niedawna byli jej eskortą i dała im w kość, włączając się między posterunkami. Cała trójka wróciła przed chwilą; Agnieszka Wielogórska przywitała się z biwakującymi nad stawem pasażerami sokoła i precyzyjnym manewrem dopadła mnie w pobliżu swego samochodu, z dala od ciekawskich uszu.

– Teraz pan nie zdążył – mruknęła.

– Teraz nie.

– Wiem: to kiepski moment – zastrzegła się – ale nie powiedziałby mi pan, panie Jacku, dlaczego ten chłopak musiał umrzeć?

– To ma być pytanie do lekarza?

– A czy ja mówię: „Panie doktorze”? Nie zauważył pan, że się spoufalam?

Umiała nagradzać uśmiechem moje żarty, sama też potrafiła mnie rozbawić. W naturze była sympatyczniejsza niż w oficjalnej, gazetowo-ekranowej wersji. Miała klasę.

– To zaszczyt dla skromnego łapiducha.

– Może pan dostąpić jeszcze większego – powiedziała, wachlując się kapeluszem. – Z ludźmi, którzy nie doznali trwałego skurczu języka, szybko przechodzę na ty. Nawet bez bruderszaftu.

– O mój Boże! A... nie da się z bruderszaftem?

Miała klasę, była kimś, nie porażała z miejsca urodą – z takimi kobietami, nawet jeśli, tak jak ona, nie noszą obrączki, łatwiej mi przychodzi swobodna rozmowa. Zero szans na coś więcej, język nie płacze się człowiekowi w nadziejach i wątpliwościach.

– Zaczynam wierzyć – błysnęła zębami – w to, co o panu mówią.

– Tu? – zdziwiłem się. – W Ogadenie?

– Major Morawski powiedział, że nawiązał pan już pierwszy udany romans z lokalną pięknością i powinnam na pana uważać.

– Zabiję go – posłałem mroczne spojrzenie w stronę stawu.

– Też dobry temat – zgodziła się. – Ale póki co... Niech pan puści choć trochę farby, błagam. Wie pan, ile kosztuje to safari? – zabębniła lakierowanym paznokciem o karoserię samuraja. – Redakcja dawno powiesiłaby mnie za jaja, gdyby nie płęć. Są źli i domagają się sensacji. A tu pachnie czymś ciekawym. Mam już cudowne tło: samotny patrol, ziemia niczyja, tajemnicze śmigłowce, tajemnicza katastrofa... Chwyta pan, prawda? No i nie mogę ruszyć z miejsca, bo Filipiak na każde pytanie odpowiada typaniem oczu. Nic nie wiem.

– Nic to przesada – zaoponowałem. – Skądś się pani tu wzięła.

– Z rozpaczy się wzięłam. Pojechałam do Ferfer, bo nasi złapali facetów szmuglujących broń. Okazało się, że dwóch pastuchów kupiło okazyjnie dwa chińskie kałasze i używało do odpędzania hien. Mało mnie szlag nie trafił. Akurat trafił się Filipiak z tym transportem ziarna, więc... Temat taki sobie, ale z braku laku... Przyjechaliśmy tu, oddaliśmy przesyłkę i już myślałam, że zdechnę z nudy, kiedy zjawiły się te śmigłowce.

– I zwietrzyła pani sensację – dopowiedziałem. – Cóż, obawiam się, że żadnej Ameryki pani nie odkryje. Wiadomo, że Somalia wspiera ogadeńskich rebeliantów. Wiadomo, że ich lotnictwo nie tylko naruszało granicę, ale strzelało i rzucało bomby.

– Z awionetek. Zestrzelony śmigłowiec to nowość.

– No... chyba tak. Tyle że ja go nie widziałem.

– Jasne. I nie rozumie pan, czego właściwie chcę. Więc wyjaśniam: chcę wiedzieć, dlaczego wysyłają tu na gwałt maszynę z ekipą dochodzeniową, to po pierwsze. I po drugie: dlaczego supernowoczesny śmigłowiec szturmowy czai się pół nocy w krzakach i próbuje zmasakrować każdego, kto stara się zbliżyć do miejsca katastrofy. Jeśli to nie śmierdzi, to może pan iść po swoją walizeczkę i amputować mi nos.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Dziewczyny o dyskusyjnej urodzie nie ryzykują jej resztek ot tak, bez powodu.

– Zacznijmy od tego, że mieliśmy zabrać rannego.

– Który dawno nie żył, kiedy wylatywaliście.

– Tak mnie pani dusi, że zdradzę pewną tajemnicę: w wojsku bywa niezły bajzel. Podejrzewam, że po prostu sekretarka położyła Zarębie meldunek po niewłaściwej stronie biurka.

– On nie ma sekretarki.

– Ma – uśmiechnąłem się z wyższością. – To akurat wiem.

– Nie ma – zapewniła uśmiechając się o parę milimetrów szerzej ode mnie. – Tak się składa, że próbowałam pisać na ten temat.

– Jaki temat?

– Inny – przywołała mnie do porządku – Grajmy dalej. Pana serw. Doktor Szczebielewicz miał leczyć. A inni?

– Ekipa dochodzeniowa. Jeśli spada bojowa maszyna niewiadomego pochodzenia, posyła się kogoś, kto zbada szczątki.

– Dwóch ludzi? Tak szybko?

– Jak szybko, to tylko dwóch, bo o fachowców niełatwo.

– Szczupły zespół, nie uważa pan?

– To nie pasażerski odrzutowiec. Nie trzeba badać przyczyn, szukać winnych. Wystarczy ustalić, co spadło z nieba. Założę się, że wystarczyłby ten pan Filipiak.

– Filipiak nie jest mój. Za to ten Rosjanin jest pana.

– To Kazach – uściśliłem. – A... co pani ma przeciw Wołynowowi?

– Widziałam ten drugi śmigłowiec – uśmiechnęła się krzywo. – Ten który strzelał. Filipiak mówi, że to rosyjska maszyna.

*

– Porucznik Filipiak, Szósta Pancerna, Stargard – zaszalutował do hełmu i od razu ściągnął go z ociekającej potem głowy.

Morawski, jako najstarszy stopniem, dokonał prezentacji naszej trójki. Kolejno ściskaliśmy zakurzoną dłoń porucznika.

– Wodzom nie spodobałby się pana hełm – wyraziłem swoją opinię. Oenzetowski błękit zniknął pod łaciatym pokrowcem maskującym.

– Mnie też się nie podoba – mruknął. – Ale ktoś tu najwyraźniej nie wie, że jesteśmy neutralni.

– Znalazł pan ten wąwóz? – przeszedł do konkretów Morawski.

– Znalazłem. – Filipiak oparł karabin o koło ciężarówki, w cieniu której próbowaliśmy stać. Na próbie się w zasadzie skończyło, bo równik przebiegał niedaleko i cienia było tyle, co kot napłakał. – Można spokojnie zjechać na dno, nawet samochodem.

– A jest po co? – zapytał Olszan. Jako cywil, którego nie obowiązują zasady przyzwoitości, stał obok nas w samych slipach i ociekał wodą ze stawu.

– Całą dziurę zasypało odłamkami – kiwnął głową Filipiak.

– I co zrobicie? – Olszan powiódł wzrokiem po twarzach. – Pewnie chcecie obejrzyć te kawałki?

– Ja tu na szczęście jestem za szofera – błysnął zębami Morawski.

– Dlaczego zaraz na szczęście? – westchnąłem bez przekonania.

– Bo to nie ja będę musiał powiedzieć Olszanowi, że zamiast z cycatą panienką w Abebie spędzi noc pod pałatką z paroma skorpionami. I kapelanowi, i siostrzyczce...

– Przeżyję – skrzywił się Olszan. – Jola też ma czym oddychać.

– To chyba nie musi trwać godzinami? – popatrzyłem niepewnie na Wołynowa. Stał nieco z boku i wszyscy trochę go ignorowali, rozmawiając po polsku, ale ostatecznie jako Słowianin mógł sporo rozumieć.

– Nie liczyłem na to – Morawski był okrutny. – Spuszczony ze smyczy ekspert nie wraca tak szybko do nogi. Prawdę mówiąc też chętnie pogrzebałbym w szczątkach. Taka okazja nie zdarza się często.

– Nie ma sprawy – mruknąłem ponuro. – Im więcej nas będzie, tym szybciej to odfajkujemy.

– Aha – kiwnął głową Olszan. – Aluzję zrozumiałem.

Odniosłem wrażenie, że Filipiak chciał coś powiedzieć. Ja też chciałem i w obu przypadkach skończyło się to dobrowolną rezygnacją.

– Kiedy możemy ruszyć, panie poruczniku? – zapytałem.

– Pan też...? – urwał. – Za dziesięć minut będę gotowy.

*

Równo po dziesięciu minutach krótka kolumna pojazdów ruszyła na północ. Pododdział, którym dowodził Filipiak, formalnie był plutonem, ale skierowanej na południe Etiopii Szóstej Brygady Kawalerii Pancерnej nie stać było na operowanie regulaminowymi plutonami. Zbyt rozległy teren, zbyt szczupłe siły. W efekcie narzuconej tymi czynnikami reorganizacji czołgistów przemieszano z piechotą i siłami wsparcia już na najniższym szczeblu, dysponowaliśmy więc bardziej urozmaiconym parkiem maszynowym niż niejeden tradycyjny batalion.

Przodem posuwał się odkryty UAZ z karabinem maszynowym. Jechał wolno, nie tyle z szacunku dla siedzących z tyłu ekspertów, co z uwagi na Filipiaka, który, oparty pośladkami o górną krawędź fotela, wodził lornetką po horyzoncie. Nawet przy ostrożnej jeździe porucznik nie mógł być choć w połowie tak skuteczny jak posługujący się stabilizowanym celownikiem dowódca sunącego z tyłu czołgu T-72, ale dobry oficer nie rezygnuje z niczego, co choć trochę zmniejsza ryzyko. Inna sprawa, że to samo można powiedzieć o patologicznym tchórze. Nie znałem go i niczego w tej kwestii nie potrafiłem jeszcze stwierdzić.

„Był ostrożny – to jedno nie ulegało wątpliwości. Przejazd ubezpieczał stojący na skraju osady rozpoznawczy samochód pancerny BRDM-2 w jego zmodernizowanej, wyposażonej w radar wersji, i już on sam przekreślał z niemal stuprocentową gwarancją szansę na zaskakujący atak wrogich śmigłowców. W pagórkowatej okolicy porośniętej setkami parasolowatych akacji

dobry pilot mógł wprawdzie zbliżyć się bez wystawiania maszyny na widok, ale unoszony podmuchem pyłu zdemaskowałby go znacznie wcześniej. Taki typ ataku nie wydawał się sensowny: przy wymianie ognia z niewielkiej odległości nawet pojedynczy piechur z karabinem staje się zagrożeniem. My mieliśmy coś więcej: ciężarówkę z dwulufowym działkiem przeciwlotniczym na skrzyni. Wyposażone w tachometryczny celownik ZU-23 było wystarczająco dobre, by poradzić sobie z napastnikiem, wyskakującym nagle zza okolicznych wzniesień. Jeżeli coś zagrażało kolumnie, to raczej schematyczny ostrzał z wysoka i daleka. Schematyzm nie sprzyja wprawdzie zaskoczeniu, ale każdy schemat staje się nim dlatego, że bywa skuteczny.

Siedząc w szoferce zamykającego kolumnę stara 266, zastanawiałem się, czy wybrałem właściwy pojazd. Mając w celowniku UAZ-a, czołg i ciężarówkę, każdy pilot wojskowy wybrałby na ofiarę ten drugi, ale sprawa nie była tak oczywista. Wojna nie polegała na niszczeniu najwartościowszych obiektów przeciwnika – niszczy się głównie te łatwo dostępne. T-72 nie był bezsilną tarczą strzelniczą. My tak.

Na szczęście nikt nie próbował strzelać. Cali i zdrowi dotarliśmy na skraj rozpadliny. Wyglądała trochę jak staw, z którego spuszczone wodę, pozostawiając kamienie, dużo wodorostów i śmieci. W tej ostatniej roli znakomicie sprawdzały się szczątki maszyny. Mnóstwo szczątków. Spodziewałem się czegoś w rodzaju resztek ogniska: czarnego, wypalonego kręgu, i rzeczywiście było tu sporo czarnych plam śmierdzących spalenizną, ale na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że śmigłowiec w znacznie większym stopniu rozpadł się na kawałki, niż spłonął.

UAZ zjechał na dół, dostarczając ekspertów prosto na miejsce pracy, reszta wozów pozostała na górze. Obsługi kamionów zabrały się do rozstawiania trójnogów, operatora naramiennej wyrzutni rakiet przeciwlotniczych typu Grom Filipiak ustawił osobiście.

– Do roboty, panowie – rzuciłem zachęcająco. – Możecie zaczynać.

Obaj, i Włoch, i rosyjski Kazach, mieli trochę nietęgę minę, ale trudno oczekiwać tęgiej u kogoś, komu kazano sprzątać w odrobinę tylko przestudzonym piecu hutniczym. Piloci, może dlatego, że ochotnicy, od razu zaczęli krążyć między wysokimi do piersi suchorostami.

– Tak – przełknął ślinę Zanetti. – Oczywiście. Czego mamy szukać?

Przyglądałem mu się przez chwilę ze zdziwieniem.

– Chodzi o to, na ile dokładnie...? Po prostu macie stwierdzić, co to było.

– Śmigłowiec – stwierdził Wołynow, szybko, ale dość ponuro. Uśmiechnąłem się na znak, że doceniam dowcip.

– W porządku – powiedziałem. – Sprawdźcie, jaki to był typ, poszukajcie kawałka czegoś z numerami fabrycznymi i wracamy.

– Może gdzieś leży tablica rejestracyjna – mruknął Zanetti i poszedł szukać. Ciągle nie

byłem pewien, do jakiego stopnia żartują.

Przez kwadrans kręciliśmy się dość bezładnie po zaroślach, kucając raz po raz, biorąc do ręki kawałek blachy, kształtownika czy zębaki po to tylko, by po chwili odłożyć znalezisko na miejsce. Oglądaliśmy resztki potężnych turbin i powbijane w zbocza dolinki łopaty; zbrylone od żaru koło i drugie koło, które wyglądało tak dobrze, że po usunięciu kikuta goleni i owinięciu w papier można by je z powodzeniem umieścić w sklepie z częściami do śmigłowców. Był to pierwszy dowód rzeczowy, który Zanetti zdecydował się wrzucić do UAZ-a. Przełamał chyba wewnętrzne opory pozostałych, bo nagle wszyscy zaczęli znosić do samochodu całe naręcza znalezisk. Sam dołożyłem do kolekcji rękojeść drążka i pudło wypełnione elektroniką – może radio, może komputer, diabli wiedzą.

Potem znalazłem pilota.

Składał się z głowy, szyi, kawałka prawego barku, dwudziestu centymetrów kręgosłupa i strzępu ciała, na którym trzymała się lewa ręka, obcięta dopiero w nadgarstku. Nie można zostać lekarzem, nie szatkując ludzkich zwłok. Po paru latach studiów człowiek uodparnia się na widoki, które przeciętnego zjadacza chleba zmuszają do błyskawicznego rzygnięcia tymże chlebem, i ja nie byłem żadnym wyjątkiem od tej reguły. Mimo to musiałem na chwilę przysiąść na jednym z kamieni.

Nikt nie zwrócił uwagi na to, że siedzę. Olszan grzebał w tym, co już zgromadzono w samochodzie, Wołynow pił wodę z manierki, a pozostali chodzili powoli z wbitym w ziemię wzrokiem, wypatrując odpowiednika tablic rejestracyjnych. Wziąłem głęboki oddech i chwytem za kask odwróciłem poszarpane popiersie twarzą do góry.

Mężczyzna był biały. Miał niebieskie oczy, z których jedno ocalało. Nie wyglądał na wojskowego – ci nie paradują z tygodniowym zarostem. Eksplozja, zupełnie nieprawdopodobne szaleństwo twardych jak skała gazów, fruwającego metalu i ognia przemieszanych z kawałkami zwyczajnej, przyjaznej człowiekowi przestrzeni, pozbawiła go połowy dolnej szczęki, ale pozostawiła srebrny łańcuszek na szyi.

Był chrześcijaninem. To, że nie zdecydował się na krzyż, nie budziło we mnie żadnych skojarzeń. Nigdy nie zastanawiałem się, jaki procent wiernych zamiast krzyża nosi na piersi medaliony z Marią trzymającą małego Jezuska. Pewnie spory. Wiedziałem tylko, że jest coś znajomego w tej cieniutkiej, starannie wytłoczonej blaszce.

Zbyt znajomego.

Niepokojąco znajomego.

Nie czułem żaru, którym słońce zalewało ziemię. Próbowałem znaleźć źródło ogarniającego mnie mrocznego przeświadczenia o zbliżającym się nieszczęściu i te próby angażowały trochę zbyt wielkie obszary mego mózgu – to wszystko. Nie było mowy o żadnych zimnych ciarkach, biegających po plecach. Trzeba czegoś cholernie mocnego, by poczuć chłód, klęcząc w rudym

piasku pod słońcem Ogadenu.

Ciarki pojawiły się, gdy obróciłem medalik i zobaczyłem litery.

Były tylko dwie. Pierwsza imienia, pierwsza nazwiska. Inicjały. Nigdy nie przypuszczałem, że można zmarznąć na widok wygrawerowanych na jakiejś blaszce inicjałów, ale wyraźnie brakowało mi wyobraźni.

Przełknąłem ślinę, puściłem medalion i popatrzyłem na zamkniętą w skorupie kasku twarz.

Z góry stoczył się kamyk. Filipiak. Trochę blady.

– Ależ parszywie to wygląda... – Miał dość rozsądku, by uciec spojrzeniem w bok. – Znaleźliście coś... ciekawego?

– Nie znam się na śmigłowcach – mruknąłem.

– No tak. – Stał, spoglądając na UAZ-a. – Przynieść saperkę?

– Nie trzeba. – Zrozumiałem, o co pyta. – Jak ich zestrzeliliście?

– Przypadek. Nikt nie widział tego śmigłowca, wszyscy zajęci byli tamtym drugim, uzbrojonym. Inna sprawa, że i tamtego nie widzieliśmy. Błyski wystrzałów, i tyle. Etiopczycy pojechali z ziarnem do garbarni, chcieli od razu zwalić ładunek, my zaczęliśmy się rozkładać na noc. Tamci chyba przegapili naszą obecność, podlecieli od złej strony, zza budynków. A ci tutaj... Wielogórska wypuściła się do przodu. Po drodze co i rusz to robi. Wie pan: fotki maszerującej kolumny; ładnych ujęć szuka. Przez głowę mi nie przeszło, że ktoś może... Dałem jej dwóch chłopaków do obstawy, i tyle. Jak dojeżdżaliśmy do Kasali, było już za ciemno na zdjęcia, ale panią redaktor przycisnęła potrzeba, wypuściła się za wioskę, no i... Jak poszła w krzaki, jeden z żołnierzy usłyszał, że coś przelatuje górą. Akurat zaczęła się strzelanina nad wioską, więc kropnął z beryla. Zdążył zauważyć jakieś iskrzenie. Widocznie trafił pilota albo coś się zapaliło. Odlecieli kawałek... i bum.

– Nie lecieli nad Kasali? – wskazałem ochłap pod stopami.

– Nie. Mieli po prostu pecha. Chce ich pan pozbierać?

– Postaram się.

Zajęło mi to kwadrans. Zorientowałem się, że nie muszę krążyć wokół epicentrum wybuchu – to coś, co rozerwało śmigłowiec, musiało eksplodować za kabiną pilotów i w grę wchodził stosunkowo wąski sektor. Przeszukałem też teren na pozostałych kierunkach, bo maszyna musiała być spora i w tylnej części mogła przewozić kilka innych osób, ale nie udało mi się znaleźć najmniejszego śladu ich zwłok. Biorąc pod uwagę, że obecność dwóch pilotów ustaliłem bez cienia wątpliwości, było to odkrycie o gatunkowym ciężarze dowodu sądowego.

W czarnym foliowym worku, których kilkanaście sztuk dołączono do zestawu pierwszej pomocy, udało mi się zgromadzić około trzydziestu kilogramów mięsa i kości. Dwa koszarne, mocno niekompletne puzzle, z których jednak nawet student medycyny poskładałby fragmenty dwóch białych mężczyzn. Do worka trafiły też resztki butów, kawałek uda ze spodniami

i pistoletem w kieszeni, nadpalona kabura z rewolwerem o skrzywionej lufie, zegarek, paczka amerykańskich prezerwatyw i parę podobnych drobiazgów, które pakowałem hurtowo. Na szczęście wybuch obszedł się z ludźmi jeszcze brutalniej niż ze śmigłowcem i osiemdziesięciu procent ciał po prostu nie było – mogłem wziąć pod pachę i zanieść do samochodu dwóch dużych facetów.

Specjalnym klejem z dołączonej do każdego worka tubki zakleiliśmy folię i uśmiechnąłem się blado do Wołynowa. Niósł jakąś skrzynkę.

– Koniec? – Był sam, więc posłużyłem się rosyjskim.

– Chyba. – Spojrzał na zasypane złomem wnętrze samochodu. – Dziwne. Nie paliło się prawie, a napisów ani śladu.

– Byli tu nielegalnie. Oficjalnie Somalia w ogóle nie ma lotnictwa wojskowego. Nie wiem nawet, czy ma już legalną armię. Wszystko, czym walczą, jest z kontrabandy. Pewnie usunęli fabryczne oznakowania. Chyba że to rupieć po paru demobilach, z czwartej ręki. – Przerwałem na chwilę. – Wie pan już, co to było? Puma? UH-1? Mił?

– Nie mam pojęcia – wyznał zadziwiająco bezwstydnie.

– Rozumiem – powiedziałem po sekundzie trochę usztywnionym tonem. – Nie moja sprawa, jasne.

– Guzik pan rozumie. Zwyczajnie nie wiem. Może gdyby to był Mi-8 albo Mi-24, rozpoznałbym jakiś kawałek. A może nie. Nie znam się na śmigłowcach.

– Proszę?

– Trochę nimi latałem – wzruszył ramionami. – Jako pasażer. Raz mnie zestrzelili, jeszcze w Afganistanie. To wszystko.

Próbowałem znaleźć przekorny błysk w jego oczach. Nic z tego.

– Byłem pewien, że wy obaj... – Zastygłem na moment, z lekka porażony. – Zaraz... Ale Zanetti zna się na lotnictwie?

– Zna się – przytaknął i dopiero teraz pojawiło się to, czego bezskutecznie szukałem. – Jest kontrolerem lotów. Wie pan, takim facetem, który siedzi przy radarze i mówi: „Skręć w lewo, teraz sto metrów niżej, dobrze, dobrze, o cholera, uderzyłeś w drzewo...”

Nie miałem siły się śmiać.

– Cudownie – mruknąłem. – Wyszedłem na kretyna.

– Po prostu nie mieli kogo posłać – rzucił tonem pocieszenia. – Normalka. Trzeba dopełnić formalności, chociaż nikogo tak naprawdę nie obchodzi, co tu się spaliło i dlaczego.

Wrzucił do samochodu okopconą skrzynkę i odszedł.

Zerknąłem na blaszane pudło, bardziej uwędzone w dymie, niż wypalone w ogniu, pośliniłem palec i potarłem pokrywę. Kształt przebijał spod czarnego nalotu już przedtem, więc nie zaskoczył mnie błysk czerwieni.

Krzyże na apteczkach z reguły są czerwone.

*

– Ubyło ich – mruknął Morawski, podając mi worek ze szczątkami pilotów. Agnieszka Wielogórska, nadal urażona z powodu zakazu wstępu na miejsce katastrofy, strzeliła migawką aparatu.

– Mówiłem: miazga. Musieli przewozić kupę trotylu.

Agnieszka przesunęła się parę kroków w bok i sfotografowała nas tym razem na tle płytkiego dołu i dwóch spoconych żołnierzy, którzy wykopali go w cieniu parasolowatego drzewa.

– Arabowie? – Nie widział mojego pierwszego znaleziska, a patrząc na to, co zbierałem w mniejszych kawałkach, nie miał szans wyrobić sobie zdania na temat rasowej przynależności lotników.

– Dlaczego akurat Arabowie?

– To był somalijski śmigłowiec – rzucił mi ponure spojrzenie. – Połowa ich pilotów to ochotnicy, którzy przybyli tu bronić islamu.

– A konkretnie: co to było? – popatrzyłem mu w oczy. – Somalia nie produkuje własnych śmigłowców.

– Konkretnie? – powtórzył powoli. – Kupa spalonego złomu.

– No to z pilotami sprawa wygląda dokładnie tak samo.

– Naprawdę nie sposób...?

– Mam rozkleić? – poruszyłem opartym o ziemię workiem. Skrzywił wargi w cierpkim uśmiechu i pokręcił głową. Podniosłem worek i złożyłem w grobie. Był okrągły i bardziej przypominał okop.

– Może trzeba było zabrać kapelana – westchnęła Agnieszka.

– Zasypcie – skinąłem na rudego starszego szeregowego, dowodzącego parą grabarzy.

Pomogłem im obłożyć mogiłę paroma kamieniami, po czym wsiedliśmy do UAZ-a i wróciliśmy do Kasali. Trafiliśmy na obiad. Chyba podły, sądząc po minach przybyszów z Addis Abeby.

– Aż tak źle? – Morawski zajrzał do menażek.

– Mamy tu czekać do jutra – poskarżyła się Jola. Miała na sobie tylko jednoczęściowy, mocno powycinany kostium kąpielowy, dzięki czemu mało który z posilających się w cieniu samochodów żołnierzy narzekał tego dnia na kucharza. Prawdopodobnie nie zauważyli, co jedzą.

– A co się stało?

Filipiak, nie przerywając zucia, podał mi kartkę.

– Odlot do Dire Dawa jutro, godzina dziesiąta – streściłem Morawskiemu gryzmoły

radiotelegrafisty. – Mamy zabrać wszystkie znalezione szczątki, ciało Urbańskiego i... o!

– Co: „O!”? – zapytał, kiwając na kucharza i wskazując kociół.

– I redaktor Wielogórską – spojrzałem podejrzliwie na Agnieszkę.

– Zabrać? – warknęła. – Po pierwsze: mam w nosie wasze rozkazy. Po drugie: jeżdżę wypożyczonym samochodem i muszę go zwrócić.

– Samochód możemy wziąć – rzucił bez przekonania Filipiak. – I tak wracałby przez Ferfer. Podrzuci się go przy pierwszej okazji.

– Za miesiąc albo dwa? Dzięki, nie skorzystam.

– Muszę przypomnieć – powiedział bez zapału – że zgodziła się pani podporządkować moim... poleceniom. Taka była umowa.

– A zwróćcie mi koszty wynajmu? – Filipiak zasznurował usta. – No właśnie... A w ogóle to jakiś idiotyzm. Skąd komuś przyszło do głowy, żeby mnie stąd zabierać? Kto się pod tym podpisał? Zaręba?

– Porucznik Jaskólski – zerknąłem na kartkę. – Oficer dyżurny.

– Zaczynam nie lubić tego faceta – mruknął Olszan.

– Sam tego nie wymyślił – wysunąłem przypuszczenie.

– Sam nie, ale głupio. Mamy wracać wzdłuż granicy.

– Tak przylecieliśmy – przypomniał Morawski, chlubiąc barszcz.

– Przylecieliśmy też głupio. Drugi raz nie musi się udać.

Jola oblizała łyżkę, uśmiechnęła się do mnie, wskazała najpierw kuchnię, potem czystą menażkę stojącą obok jej biodra. Nie wyglądało na to, by naczynie trafiło tam przypadkiem.

– Nie mamy osła – uśmiechnąłem się bez radości. – Będzie lżej.

Powinienem dodać, że sokołowi. Bo mnie jakoś nie. Patrzyłem na różowe, pomarszczone podbicie bosej stopy dziewczyny i próbowałem wmówić sobie, że jest dużo lepiej zharmonizowane z barwą reszty nogi niż podbicia stóp Murzynek. To akurat nie było trudne. Trudność sprawiało mi pogodzenie się z myślą, że pewnie już nigdy w życiu nie będę miał okazji przyjrzeć się nogom panny Asmare i sprawdzić, czy razi mnie ten szczegół jej powierzchowności. Chodziła boso, złotawy brąz jej łydek już w okolicy smukłych kostek płynnie przechodził w rudawy nalot etiopskiego pyłu. Brud rzadko służy kobiecej urodzie, ale Gabriela zdawała się stanowić pod tym względem wyjątek.

– Będziemy rzut beretem od granicy – rzucił ponuro Olszan. – Jakiś Somalijczyk wypatrzy nas na radarze, pošłą myśliwiec i żegnaj Krzychu... Nie muszą nawet naruszać etiopskiej przestrzeni, żeby nas zdmuchnąć rakieta.

– Oni nie mają myśliwców – stwierdził spokojnie Morawski.

– No to awionetkę ze strzałą uwiązaną drutem do skrzydła. Dużo na nas nie trzeba.

– O co ci chodzi? – Major przyjrzał mu się uważniej.

– Teraz, jak już wiemy, że somalijskie śmigłowce się nikomu nie przyśniły, wypadałoby ostrożniej planować przeloty, nie sądzisz? To muzułmanie, honorowe chłopaki. Zestrzeliliśmy im maszynę, więc dla zachowania twarzy muszą spuścić naszą. Nie jestem wojskowym, ale na chłopski rozum widać, że gdybyśmy polecieci najpierw na południe...

– Zawsze możesz się zabrać z panią redaktor – przerwał mu Morawski. – Ja mam taki parszywy zawód, że muszę wykonywać rozkazy.

– Pomyślę o tym. – Olszan uśmiechnął się pod nosem i z nagle obudzonym zainteresowaniem przejechał wzrokiem po sylwetce Agnieszki. W szortach i podkoszulku wyglądała nieźle, lepiej niż jako telewizyjne popiersie. Mimo pewnej masywności ramion, ud i łydek nie dało się jej określić mianem grubej. Była opalona i to też pomagało. W tej chwili była także – co odnotowałem ze zdziwieniem – lekko speszona.

– Nie ma sprawy – błysnęła zębami, co tylko podkreśliło rumieniec. – Zawsze służę pomocom ofiarom dyktatorskich zapędów armii.

– Tu można zdechnąć z nudów. – Jola dokończyła obiad i uznała to za dobry moment do wygłoszenia kolejnej skargi.

– Zawsze możemy zwiedzić garbarnię – posłałem jej uśmiech. – Mamy zaproszenie. Wycieczka, a potem kolacja u dyrektora.

– W prawdziwym, etiopskim domu? – ucieszyła się Agnieszka. – Idę!

– Jak dają piwo, to ja też – zgodził się łaskawie Olszan. Potem, po paru sekundach wpatrywania się w talerz dziennikarki – względnie skrzyżowane nogi zastępujące stół – dodał miękko: – A zresztą... Może być i bez piwa.

Pomyślałem z zazdrością, że właśnie znalazł sposób na nudę.

*

Z wycieczki po garbarni w Kasali zapamiętałem trzy rzeczy: smród gnijącego mięsa, stos bydlęcych, ozdobionych wielkimi rogami czaszek na początku linii technologicznej i równie wielką trupią czaszkę na dużej kadzi z kwasem.

– No, jakby w to trafili, wiele by z tej budy nie zostało – wyraził swą opinię Morawski i był to praktycznie jedyny komentarz wygłoszony przez członka oprowadzanej grupy wewnątrz głównej hali. Przedtem, gdy oglądaliśmy spaloną ciężarówkę, która sprowokowała śmigłowiec, i potem, gdy zwiedzaliśmy biuro, gdzie pan Asmare pokazywał nam próbki wyrobów, parę osób zabrało głos, ale na obróbce skór nie znał się najwyraźniej nikt i wszyscy po prostu potulnie słuchali. Obchód pustej i przeraźliwie brudnej fabryczki, cuchnącej rozkładem, chemikaliami i ropą, był formą zapłaty za możliwość zjedzenia egzotycznej kolacji.

Z zaproszenia zdecydował się skorzystać, kto tylko mógł – czytaj: uzyskał zgodę Filipiaka.

Oprócz towarzystwa, które przyleciało sokołem, przy suto zastawionych stołach zasiadł sam porucznik, dwaj dowódcy drużyn i plutonowy Mazurek, dowódca rozpoznawczego BRDM-a. Na szczęście dla Mengeszy byliśmy tylko dodatkiem do czysto lokalnej uroczystości. Gospodarz zaprosił dwa razy tyle swych rodaków i w zatłoczonej jak tramwaj izbie zrobiło się natychmiast na tyle gwarno, że każdy mógł swobodnie rozmawiać z sąsiadami, nie zaprzatając sobie głowy tymi z gości, którzy go nie rozumieją. Pan Asmare, przedstawiciel rządzącej Etiopią amharskiej elity, był chrześcijaninem, może i dość egzotycznym z polskiego punktu widzenia, ale nie wzdragającym się przed alkoholem. Nieźle schłodzone, trochę dziwne w smaku lokalne piwo i zupełnie już swojski, rozrobiony wodą i sokiem spirytus błyskawicznie oczyściły atmosferę z początkowej sztywności i po paru minutach wszyscy czuli się jak na polskim weselu.

Nie przesadzałem z pićciem, ale jak na swoją normę wlałem w siebie całkiem sporo pod palące żywym ogniem sosy i koźle mięso z rusztu. Potrzebowałem alkoholu.

Winę ponosiła Gabriela Asmare, dziewczyna, na cześć której zorganizowano tę imprezę.

Byliśmy w Afryce i istota drugiego gatunku, jaką jest kobieta, nie mogła odgrywać głównej roli nawet przy tego rodzaju okazji. Ale była tu. Siedziała naprzeciw mnie, oddzielona szerokością stołu, i była inna. Miała na sobie beżową sukienkę w duże białe grochy, szeroki, lakierowany pas ze złotą klamrą i idealnie dobrane do reszty beżowe pantofle na wysokim obcasie. Jej smolście czarne, połyskujące włosy, ściągnięte mocno do tyłu, sprawiały wrażenie całkiem prostych, a delikatna gładka skóra, pachnąca młodymi jabłkami, zdawała się być ledwie o ton ciemniejsza od spalonego na brąz oblicza siedzącego obok Filipiaka.

Była piękna; teraz już nie zgrabna, ładna czy atrakcyjna, ale do bólu piękna i bardzo chciałem, by jej tu nie było.

Błagałem też los, by pozwolił kolacji ciągnąć się w nieskończoność.

Jadła, piła, uśmiechała się – śmiech to za mocne słowo – i rozmawiała z lekko otumanionym Filipiakiem, oferując mu coś, o czym marzyłem i czego nie dane mi było dostąpić.

Słowa, które rozumiał. I zrozumienie jego słów.

Nie wiem, jak doszli do tego, że oboje znają niemiecki. Przegapiłem ten moment, bardzo wolno dochodząc do siebie po wstrząsie, jakim było jej pojawienie się wśród biesiadników i cudowna przemiana bosonogiego Kopciuszka w księżniczkę najczystszej krwi. Rozmawiała za pośrednictwem Mengeszy ze wszystkimi gośćmi, skwitowała uprzejmym uśmiechem zapewnienie Lesika, że pomodli się o jej małżeńskie szczęście, pochwaliła krój bluzki Joli – tej samej, co rano – a potem nie wiadomo kiedy wdała się w pogawędkę z porucznikiem.

Do mnie nie odezwała się słowem.

Po raz pierwszy w życiu czułem żal do losu, który sprawił, że w ogólniaku trafiłem do klasy uczącej się angielskiego. Niemiecki potrafiłem odróżnić od innych języków – to wszystko. Garści słów, które znałem, nie wystarczyło nawet do odgadnięcia ogólnego tematu ich rozmowy.

Jak każdy Polak wychowany na peerelowskiej telewizji potrafiłbym zapewne wziąć do niewoli niemieckiego żołnierza, zmusić do podniesienia rąk, popędzić i zwymyślać od świń, ale oni nie rozmawiali o wojnie i mogłem tylko gapić się bezradnie przez stół.

No i pić.

Nie wiem, jak długo to trwało. Pochłonałem cały półmisek owoców, więc chyba minęło sporo czasu, nim wyniosło mnie za drzwi. Dopiero na werandzie zauważyłem, że niebo zrobiło się granatowe i że mój zamroczony mózg miał całkiem konkretny powód, by dać nogom rozkaz wymarszu. Jeden, za to nabrzmiały ważnością.

Stałem, rozglądałem się po pięknie utrzymanym ogrodzie i dziwiłem się rozmiarom własnej ignorancji. Po niemal roku spędzonym wśród czarnych ludzi nie byłem pewien, co robi czarny człowiek, kiedy przychodzi czas opróżniania pęcherza. Mogłem tylko stać i przebierać nogami, czekając na przypływ natchnienia.

Ktoś wyszedł z domu i zatrzymał się za moimi plecami. Tak jak ja patrzył na ogród, który nie wiadomo czemu zaczął pachnieć jabłkami. Mnóstwem soczystych, zielonych...

Odwrociłem się błyskawicznie, tyle że mocno za późno.

Uśmiechnęła się tym mądrzejszym, pobłażliwym uśmiechem, który mają tylko kobiety, uniosła dłoń, pokazując, że nie ma się czym przejmować, a potem ujęła mnie pod ramię i zaprowadziła na tyły domu, gdzie ukryta dyskretnie pośród krzewów stała drewniana budka. Przed drzwiami puściła mój łokieć i wciąż, choć inaczej, uśmiechnięta, ścisnęła koniec nosa, parodiując pełne odrazy skrzywienie twarzy.

– Śmierdzi? – domyśliłem się. – To nic, droga Gapo, u nas też. Prawo biologii. Hej... co ty robisz?

Robiła coś cholernie niekonwencjonalnego: otwierała drzwi i pakowała się ze mną do wnętrza. Fakt, że dość przestronnego, ale podlegającego prawom biologii z całą spotęgowaną upałem mocą.

Było tu dość ciemno, nie na tyle jednak, bym nie widział, jak rozbawiła ją moja panika. Bo byłem spanikowany. Przez dwie czy trzy sekundy, dopóki nie sięgnęła w kąt i nie podsunęła mi pod nos rolki papieru toaletowego.

Dopiero teraz parsknęła śmiechem. Dosłownie: rozśmieszyłem ją swoją nieszczęśliwą miną tak bardzo, że dostało mi się po twarzy paroma drobinami śliny.

Po chwili śmiałem się razem z nią. Po następnej wziąłem się w garść, wypchnąłem ją na zewnątrz, zatrzasnąłem drzwi i chichotaliśmy każde po swojej stronie. Długo. Zdążyłem opróżnić pęcherz, zapiąć spodnie, wyjść i pokazać jej jeszcze swoje zęby.

– Danke szen, szen Gabriela. Niesamowita jesteś, Gapo.

Zamrugała powiekami, jakby zdziwiona, a potem szybko rozciągnęła usta w uśmiechu mówiącym: „Nie rozumiem, ale i tak cię lubię”. Skłoniła się błazeńsko i zaprowadziła mnie do

stolika z miską, wodą i mydłem.

Myłem ręce najwolniej, jak potrafiłem. Chodziło mi nawet po głowie, by rozebrać się do pasa, ale nie byłem dostatecznie wstawiony i wystarczająco odważny. Nie chciałem wracać do huczącej gwarem izby, do ludzi, którzy mnie nie obchodzili i którzy pewnie nie zauważyli mego zniknięcia. Nie chciałem, by ona wracała.

Gdybym wypił trochę więcej... gdyby ona wypła...

To nie miało sensu.

Odłożyłem mydło na miejsce i wróciliśmy.

*

– Redaktorka się załazała – wymamrotał Olszan głosem sugerującym, że redaktor Wielogórska nie jest pod tym względem osamotniona.

– To nie ja wywaliłam się na pysk – zaprotestowała.

– No nie, na pysk to ja... Ale załazała się ty.

– Jola się załazała – zachichotała. – Doktorze, doktorze, niech jej pan pomoże...

– A niby co robię? – wystękałem. Dziewczyna, mrucząc co parę kroków: „Jak w dupie u Murzyna”, wisiała mi u ręki, odzyskując pełnię sił tylko wtedy, gdy Lesik próbował podchodzić bliżej i podpierać ją z drugiej strony. Morawski, jedyny posiadacz latarki, wymachiwał nią jak dyrygent batutą, pogwizdując „Hej, sokoły”.

– Mówi wierszem, Jezu – zachwycił się Olszan. – O, kurrr... przepraszam, kamień. Albo koryto? Co to ja chciałem...? Aha: zdolna z was bestia, Wielogórska.

– Wiem.

– I skromna – dorzuciła Jola, utwierdzając mnie w podejrzeniu, że nie jest z nią aż tak źle.

– Zalet ci u mnie dostatek. I cóż z tego?

– Jak to co? – zdziwił się Olszan. – Śpisz na forsie, choćby to.

– Dużo komu po forsie w zimną afrykańską noc.

– Hę?

– Nie przytulisz się do forsy – westchnęła.

– W zimną afrykańską? – zapytał się po chwili Olszan. Teraz ona pomilczała przez chwilę. Może była bardziej pijana, niż myślałem. Albo na odwrót.

– Aaa... nie. Mówię ogólnie. – Jeszcze raz westchnęła. – W Polsce jeszcze bardziej marznę.

– Biedna Agnieszka.

Zza pogrążonych w mroku chat błysnęło pierwsze obozowe ognisko. Z ciemności wyłaniały się bryły pojazdów, długa sylwetka śmigłowca.

– Panowie na lewo, panie na prawo – wydał komendę Olszan. – Mam w mojej bryczce dwie

niezłe laski... tego... chciałem powiedzieć ławki.

– Chciałeś powiedzieć: w mojej bryczce – zgromił go major. – Hej, miało być na lewo!

– Damy trzeba odprowadzić, muzyczkę puścić... O żeż ty! Kto tu postawił UAZ-a?!

Nie wiem, jakim cudem udało mu się wpaść na zaparkowany kilka metrów od sokoła wóz – latarka dyżurnego oświetliła białą bryłę dużo wcześniej. Mimo to Olszan nie tylko zderzył się z tylną klapą, ale zawisł brzuchem na jej krawędzi. Jakiś czas śmiał się z pewnym wysiłkiem i przy akompaniamencie obu pań.

– Nie dotkniesz jutro sterów – zdecydował Morawski. – Jeden śmigłowiec już utopiłeś.

– Jestem trzeźwy! – zaprotestował Olszan. – Mój umysł działa jak szwajcarski śmigło... ten, zegarek. Pełna kontrola sytuacji.

– Bawisz się w trzepak? – Agnieszka zamierzyła się dłonią na jego wypięte pośladki.

– Mam udowodnić? Pierwiastek ze stu? Dycha! Stolica Brazylii? Brazylia! Stolica Watykanu? Watykan! O, i nie ma główicy. Ktoś podpieprzył. Widzicie?

– Mielicie tam bombę? – udała przestрах Jola. Byłem wdzięczny Olszanowi, bo chowając twarz w dłoniach uwolniła w końcu moje ramię.

– Idź spać – warknął Morawski. – Już cię tu nie ma! Jak nie wytrzeźwiejesz do dziesiątej...

– Dobra, dobra, idę...

Morawski wymruczał: „Dobranoc” i odmaszerował w stronę ognisk.

– Pani Jolu, chyba musimy pomóc Krzysiovi – powiedziałem.

Zdażyłem złapać go za kołnierz. Wyprostował się już sam, ale udało mi się skorzystać z resztek blasku oddalającej się latarki i zajrzeć do wnętrza UAZ-a. Wciąż leżała tam bezładna sterta pamiętek po somalijskim śmigłowcu. Wyglądała identycznie jak ostatnio.

To znaczy – w moich oczach.

Wypiłem trochę za mało i dlatego byłem teraz sam i byłem rozgoryczony. I nie ufałem swoim oczom.

*

Apteczka leżała na wierzchu i odbiegała kształtem od kawałków śmigłowca – nie potrzebowałem światła, by ją odnaleźć. Może narobiłem trochę hałasu, ale przechadzający się dookoła biwaku wartownik raczej nie powinien mnie usłyszeć. Podoficera dyżurnego nie liczyłem – jego psim obowiązkiem było pilnowanie radiostacji.

Na otaczających wioskę wzgórzach czuwały trzy z czterech pancernych pojazdów plutonu i dziesięciu żołnierzy. Byliśmy bezpieczni i nikt nie powinien zaprzątać sobie głowy nocnymi Markami, łączącymi za potrzebą. Udało mi się przenieść apteczkę do swego śpiwora i nikt chyba nawet nie zauważył, że z niego wypelzłem. Byłem boso, a lekki wiaterek, szeleszczący

w koronach palm i akacji, zacierał odgłos kroków.

Mijając terenowe suzuki, usłyszałem coś, nie był to jednak dźwięk wyostrzający czujność. Pewności nie miałem, ale wiele przemawiało za tym, że mógłbym przedefilować tędy, łomocąc podkutymi buciorami w najlepszym wehrmachtowskim stylu, i też nie zostałbym zauważony. Chociaż Agnieszka Wielogórska nie spała.

Pomyślałem, że nie zmarznie tej nocy.

Minąłem stara, którym jeździła trzecia drużyna, przeszedłem obok namiociku z pałatki, pod którym pochrapywał kapelan, i podszedłem do bewupa dowódcy. Żarzyło się tu niewielkie ognisko, a przy składanym stoliku obciążonym pudłem radiostacji kiwał się na płóciennym krzeselku kaprał w kamizelce kuloodpornej, ale bez hełmu.

– Masz herbatę?

– Zbożówkę – trącił termos, stojący obok. – W środku jest kubek.

Kawa była gorzka i miała temperaturę ludzkiego ciała. Dostarczała organizmowi trochę niezbędnej do życia wody, ale nic ponadto.

– Zaraz zmiana wart? – zapytałem, ocierając usta. Kiwnął głową. – Masz zapasową latarkę?

Wstał, przeszedł na tył bojowego wozu piechoty, obok którego siedział i z którego akumulatorów czerpała energię radiostacja. Po chwili wręczył mi bez słowa płaskie pudełko.

– Przejadę się z nimi. Jakoś nie mogę spać.

– Tak jest.

Poszło gładko, ale ostatecznie dzieliła nas potężna przepaść dobrych dziesięciu stopni, nie mówiąc o tym, że wcześniej czy później mógł mi się nawinać pod strzykawkę. Kierowca honkera miał o dwie belki mniej i teoretycznie sprawa była jeszcze łatwiejsza, ale wolałem się zabezpieczyć. Dopadłem go samego przy samochodzie.

– Jak się nazywasz, kolego? – zapytałem.

– Szeregowy Plichta, panie kapitanie.

– Kiedyś trafisz do Addis Abeby. Nie przydałby ci się krótki urlop zdrowotny, jak już tam będziesz?

– No... pewnie.

– Doskonale. Wobec tego podrzucisz mnie w jedno miejsce, potem powolutku, ale naprawdę powolutku, rozwieziesz chłopaków i wrócisz w to samo miejsce. Gdyby ktoś pytał, to zostawiłem coś przy grobie. Ale tylko gdyby ktoś pytał.

– Ta... tak jest.

– I pożycz mi tę łopatkę.

Patrzył z niedowierzaniem, jak chowam pod bluzę jedną z samochodowych saperek, ale perspektywa paru wolnych dni zasznurowała mu usta. Zająłem miejsce obok niego, na tylne ławki zważyło się ze szczękiem metalu ośmiu żołnierzy z kolejnej zmiany i samochód ruszył.

W wybranym za dnia miejscu kazałem się Plichcie zatrzymać, zeskoczyłem i nie włączając latarki, ruszyłem w głąb pustkowia. Kiedy straciłem z oczu reflektory honkera, przeszedłem do truchtu.

System obronny wioski był prawie szczelny, ale ukierunkowany na zewnątrz. Szkie posturków i stref widoczności nie stanowił żadnej tajemnicy – obejrzałem go sobie jeszcze przed kolacją i nie miałem teraz większych problemów z dyskretnym dotarciem w pobliże grobu. Moim przeciwnikiem nie był radar czy nocne celowniki – był nim czas. Plichta nie mógł się wlec w nieskończoność trasą liczącą cztery kilometry.

Dotarłem biegiem na miejsce i od razu zacząłem kopać. Na szczęście nie lubiłem facetów ze śmigłowca i ich grób, wykonany pod moim nadzorem, był nieprzyzwoicie płytki.

Dokopałem się do worka zlanego potem – kiedy człowiek się spieszy, coś takiego jak płytkie doły nie istnieje. Rozciąłem folię i omal nie zwymiotowałem, uderzony obuchem smrodu. Wystawione na słońce mięso może wysychać, jeśli w powietrzu brakuje wilgoci, ale kiedy zamknie się je w prawie hermetycznym opakowaniu...

Oddychając wyłącznie przez usta wysypałem całą zawartość na piach i podeszwami butów – podeszwy najłatwiej wytrzeć, nie tracąc czasu – zacząłem spychać do wykopu to, czego nie potrzebowałem. Czyli prawie wszystko: kawałki kończyn, kości, jelita. Czułem się parszywie, ale pośpiech łagodził odrazę, wyrzuty sumienia i wszystko to, co odczuwa człowiek, kopniakami umieszczając szczątki bliźniego w sprofanowanym przez siebie grobie.

Moja parciana raportówka nawet po usunięciu przegródki nie imponowała pojemnością, zdecydowałem się więc tylko na cztery dowody rzeczowe. Pierwszym był pistolet wyjęty z kieszeni na anonimowym udzie. Udo trafiło z powrotem do grobu, podobnie jak rewolwer z krzywą lufą. Z numerem drugim, prawym uchem, też poszło łatwo – jakiś odłamek odciął je niemal w całości i wystarczyło wrzucić je do worka. Numer trzeci, kask lotniczy, pękł na pół i po rozcięciu scyzorykiem wyściółki dało się go upchnąć tak, że zajmował stosunkowo niewiele miejsca.

Czwórkę musiałem niestety zmniejszyć. I zmniejszyłem, odcinając nożem i ciosami saperki głowę od tego, co zostało z rąk i tułowia lepiej zachowanego pilota. Pomijając stopień rozkładu ciała, scenerię i narzędzia, było to trochę jak sekcja zwłok w dawnych, WAM-owskich czasach, ale jakoś nie udało mi się tego wszystkiego pominąć i czułem się źle.

Związałem i zakleiłem worek, pomagając sobie kolanem wepchnąłem do raportówki i zasypałem grób. Złapałem latarkę i z saperką w dłoni pognałem w stronę narastającego pomruku silnika.

*

Nikt nie zapytał, dlaczego wyląniam się z atramentowych mroków, a potem, gdy już ulokowałem się na ostatnim wolnym miejscu – dlaczego śmierdzieć. Bo oczywiście śmierdziałem. Mimo podjętych środków ostrożności jakiś fragment mego munduru musiał zetknąć się z gnijącym mięsem, bo oprócz kwaśnej woni przepoconych mundurów szeregowych wyraźnie czułem trupi odór.

Wartownik, witający nas na skraju obozowiska, też o nic nie pytał. Ominąłem go łukiem, zostawiłem raportówkę obok swego posłania – miejsce dobre jak każde inne – i poszedłem nad staw umyć, co się da. Oczyszcziłem pobieżnie buty i mundur, potem sam wlałem do wody i pluskałem się parę minut, nadrabiając dwudniowe zaległości. Wyszedłem na brzeg, usiadłem i zabrałem się do usuwania śladów ekshumacji ze swej garderoby.

Uporałem się ze spodniami i kończyłem zakładać drugi but, kiedy przez szelest liści przebiły się odgłosy kroków.

Ktoś biegł. Ciężko, z wysiłkiem.

Zerwałem się i zdążyłem nawet wyciągnąć wista z kabury, ale nim w ogóle pomyślałem o strzelaniu, ten ktoś włączył swój biologiczny dopalacz i przemknął obok stawu jak dobrze kopnięta piłka.

Kiedy ucichł szcęk przeladowywanej broni, usłyszałem dudnienie liczniejszych i chyba cięższych stóp. Ktoś krzyknął od strony obozu. Ktoś inny przebiegł przed moją twarzą. Był ubrany na biało i dzięki temu go dostrzegłem: wzrok nie sięgał tu dalej niż na kilka metrów. Drugiego i trzeciego nie udało mi się już wyłowić z ciemności.

Byli na tyle blisko, że przez moment czułem wyraźny, zwierzęcy zapach. Taka z grubsza woń unosiła się nad końskimi, oślimi i bydłęcymi targami, które miałem okazję odwiedzić w ramach zwiedzania Etiopii, i w podobny sposób pachnieć musieli ogadeńscy koczownicy. Nie wiem, czy zdałem sobie z tego sprawę już wtedy, czy dwie sekundy później, kiedy, poprzedzona trzaskiem wystrzału, na niebie rozbłysła biała raca.

W chybotliwym świetle dostrzegłem sylwetki trzech biegnących mężczyzn w luźnych strojach poganiaczy wielbłądów. Nie wyglądali na żołnierzy, ale połowa uzbrojonych tubylców, chodzących z karabinami i strzelających do siebie w ramach prowadzonej na szeroką skalę wojny domowej, też nie wyglądała, a ci tutaj byli uzbrojeni. Pierwszy, wyprzedzający pozostałą dwójkę o ładne kilkanaście kroków, miał w ręku coś pośredniego między szablą a maczetą, zaś jeden z jego towarzyszy biegł z karabinem przy brzuchu.

Poderwałem pistolet, mierząc w jego plecy, ale nie strzeliłem. Tacy jak ja żołnierze głębokiego zaplecza nie mają we krwi błyskawicznego dziurawienia wszystkiego, co się rusza.

Wartownik okazał się mniej wstrzemięźliwy. Inna sprawa, że chyba też nie zareagował jak stary wyjadacz: człowieka z maczetą, oddalonego zaledwie o kilka skoków od niego, zatrzymała nie kula, a huk wystrzału.

Kula, konkretnie dziewięćmilimetrowy pocisk pistoletu maszynowego glauberyt, wzbija chmurę pyłu daleko z tyłu, aż na mojej wysokości, dobre piętnaście metrów za facetem z karabinem. I to właśnie facet z karabinem wywinął nieoczekiwanie kozła, gubiąc broń i ginąc w dużo większym obłoku kurzu.

Właściciel maczety zastopował błyskawicznie i jeszcze szybciej wypuścił z ręki swoje żelastwo. Trzeci z biegaczy nie miał takiego refleksu, ale i on się w końcu zatrzymał. Obaj podjęli mądrą decyzję, bo już po paru sekundach podoficer dyżurny odpalił następną rakietę, do której, jeden po drugim, dołączały reflektory.

Nie chowając pistoletu, podszedłem do pechowca z karabinem. Nie wyglądało na to, by wartownik trafił tam, gdzie mierzył – prawdę mówiąc wątpiłem, by w ogóle próbował mierzyć w coś konkretnego – ale trzeba przyznać, że strzał mu wyszedł. Kula przebiła na wylot prawe kolano, nie tylko obalając szarżującego napastnika, ale z miejsca pozbawiając go przytomności.

Nikt więcej nie próbował strzelać. Podobała mi się ta wstrzemięźliwość. Nawet świecący mi prosto w oczy szperacz nie budził we mnie protestu. Niewiele co prawda widziałem, ale zyskałem pewność, że sam jestem łatwy do rozpoznania i asekurowany przez co najmniej kilka luf.

– Co się dzieje? – Filipiak wydawał się bardziej poirytowany niż wystraszony. – Grochulski?

Dopiero teraz rozpoznałem wartownika: to ten rudy, przydzielony nam w charakterze grabarza. Ale nie jemu dostało się najbardziej ponure ze spojrzeń porucznika. Znacznie więcej zastrzeżeń Filipiaka budził ktoś, kto w trakcie strzelaniny kleił się do pleców rudzielca, a teraz, lekko rozchwiany, stał u jego boku.

Czyli Gabriela Asmare.

– Co ona tu robi, do kurwy nędzy? Który był taki mądry, żeby...? – Porucznik nie dokończył, ale też niespecjalnie musiał, bo widok był dość jednoznaczny. Zakłopotana, nie bardzo przytomna dziewczyna z mocno potarganą fryzurą miała minę kogoś, kogo przyłapano i kto nie miałby nic przeciwko krótkotrwałemu zapadnięciu się pod ziemię. A także długie gołe nogi... i nocną koszulę, nie zakrywającą nawet połowy ud. Ktoś taki, oglądany na tle wojskowych kwater, nie mógł się podobać żadnemu dowódcy.

– Ale panie poruczniku, ja tylko...

– Ty ją wpuściłeś do obozu?

– Tak jest, ale...

– Kurwa twoja mać, chłopie, czy ci zupełnie mózg zżarło?! Co ci się wydaje, że gdzie jesteśmy?! W Zakopanem?! Że tu można wziąć panienkę na noc, rzucić parę złotych i po kłopotcie?! To Trzeci Świat, jełopie, tu się obcina jaja za samo patrzenie na cudzą babę, rozumiesz?!

Grochulski nie próbował nawet otwierać ust, stał tylko z nieszczęśliwą miną i czekał, aż

burza sama minie.

– Przepraszam, poruczniku – powiedziałem cicho. – Może lepiej byłoby go najpierw wysłuchać. To faktycznie trochę inaczej wyglądało.

Posłał krytyczne spojrzenie nie tyle mnie, co mojej nagiej piersi, ale, jak oczekiwałem, skinął niechętnie głową. Rudzielec zrobił głęboki wdech i zaczął mówić.

– No więc obchodziłem akurat śmigłowiec, kiedy usłyszałem, że ktoś biegnie z tamtej strony – pokazał staw. – Ciemno było, ale nie chciałem strzelać rakieta, bo to jakoś tak... no, nie wyglądało na atak.

– Co się dzieje? – Olszan pojawił się nagle obok nas ubrany w same slipy, i to wciągnięte na lewą stronę. W dłoni zaciskał metalową rurkę od samochodowego lewarka. W środku wojskowego obozu nie była to broń budząca wielki respekt i pewnie dlatego zignorowano jego pytanie.

– Wtedy ona... ta pani podbiegła – ciągnął Grochulski. – Krzyknęła, że ją gonią i od razu buch za moje plecy, mało mi nóg torbą nie podcięła...

– Torbą? – Porucznik rozejrzał się. – Maciaszek, przynieś to.

Skorzystałem z podpowiedzi i od razu posłałem nadchodzącą od strony biwaku Jolę po moją lekarską walizkę.

– To nie bomba – powiedział poważnym tonem Morawski, ubrany niewiele lepiej niż jego kolega pilot, ale uzbrojony w pistolet i zapasowy magazynek, wepchnięty za gumkę pasiastych bokserów. – Inaczej się to robi. Pamiętam, jak w Abebie jeden taki wkręcił się na lotnisko i omal nie wysadził połowy maszyn kontyngentu. Czternastolatek. Taki chudy, że zupełnie nie było widać, co ma pod koszulą, a miał dwadzieścia kilo trotylu. Dzięki Bogu...

– Do czego pan zmierza, panie majorze? – zapytał Filipiak.

Dopiero teraz Morawski wyszczerzył zęby i przestawał udawać kogoś zupełnie trzeźwego.

– Jeżeli szukacie ochotnika do przeprowadzenia rewizji osobistej, to byłem pierwszy.

Trzydziestolatek z przestreloną nogą jęknął, próbował usiąść. Przytrzymałem go i kilka razy stuknąłem się w pierś, powtarzając: „Doktor”. Z rozcinaniem mu spodni na razie się wstrzymałem.

– To nie jest śmieszne. – Filipiak był tylko porucznikiem, więc nie bardzo mógł powiedzieć starszemu oficerowi, żeby się zamknął i dał mu pracować, ale widać było, że to właśnie chciałby zaproponować. I Morawski zrozumiał: uniósł dłonie w przepaszającym geście, cofając się i składając niemą obietnicę nie wtrącania się więcej. – Grochulski?

– Tak... No więc słychać było, że ktoś jeszcze biegnie. Odpaliłem raketnicę i zobaczyłem tych facetów. Byli blisko. Ten z przodu miał jakąś cholerną szablę, a ten – wskazał rannego – strzelbę. Zawołałem, żeby stanęli...

– Na pewno?

Chyba wszyscy zrozumieli, o co chodzi Filipiakowi.

– Niech pan przyjmie, że zawołał – powiedziałem. – W ciemno potwierdzam każde słowo. Jeśli ci trzej przyślą plemiennego adwokata, to go zniszczymy przed każdym sądem. Gnali z bronią w środek wojskowego obozu. W nocy. Gdyby wartownik chciał odfajkować wszystkie regulaminowe ceremonie... To wyjątkowo przejrzysta sytuacja.

– Adwokat mógłby zapytać, dlaczego Grochulski przepuszcza dziewczynę, a strzela do mężczyzn. – Wymowne spojrzenie porucznika utknęło na chwilę na moim gołym torsie. – Ciekawe, skąd wiedział, że to nie stróż goniący złodziejkę?

Chyba nie tylko ja zrozumiałem, o co naprawdę pyta. Ale to ja musiałem wysilić aktorski talent i odegrać święte oburzenie.

– Zaraz, chyba pan nie myśli...? Po prostu się myłem! Sam!

Nie wypadłem przekonująco, ale trudno wmawiać innemu facetowi, że nocna schadzka z dziewczyną klasy Gabrieli to z gruntu absurdalny pomysł. Uratował mnie chyba jej strój: nie tak wyglądają zepsute panny, przekradające się do koszar polowych w celu uprawiania seksu.

– No i strzał ostrzegawczy – burknął, powracając spojrzeniem do Grochulskiego. – Chociaż tyle powinienes pamiętać z regulaminu.

– To był właśnie ostrzegawczy – powiedział cicho rudy. – Chciałem pod nogi, ale tak jakoś...

– Uważaj, Filipiak – nie wytrzymał bawiący się rurką Olszan. – Jak już zaczną pytać, ktoś się może zainteresować, dlaczego ten pluton tak marnie strzela. I wyjdzie na to...

– Może pan iść spać – przerwał mu porucznik. – Dama czeka.

Dopiero teraz zauważyłem brak Agnieszki. Jako dziennikarka mocno się skompromitowała. Jako przyzwoitą dziewczynę skompromitował ją ten długowłosy, szczerzący zęby typ, strojąc małpią minę i drapiąc się z małpią otwartością mocno poniżej pępka.

– Co racja, to racja. Czekaj i marznie. Dobranoc, panowie.

Wetknął rurę pod pachę i odmaszerował w stronę samuraja. Nie miał daleko. Chyba pochopnie oskarżałem redaktor Wielogórkę: mogła słyszeć i widzieć wszystko, nie zadając sobie trudu kompletowania garderoby.

– Piloci cywilni są beznadziejni. – Morawski uznał za stosowne odciąć się od jaskiniowych manier kolegi po fachu. – No, nic. Co robimy z tym bigosem? Zaraz może się tu zbiec pół wioski.

Nie uwzględnił faktu, że Kasali leży pośrodku ziemi niczyjej i tubylcy zdążyli się nauczyć niewtykania nosa w porachunki ludzi z karabinami. Trochę czasu minęło, a między chatami widać było tylko żołnierzy, sprawdzających, czy w mroku nie czają się kolejne niespodzianki.

– Mengesza! – Nasz tłumacz zaraził się chyba neutralnością od swych rodaków, bo ani przedtem, ani po zniecierpliwionym okrzyku porucznika nie udało mi się go dostrzec. – Widział go ktoś?

Rozpoczęły się poszukiwania. Zjawiła się też Jola i mogłem przystąpić do udzielania pomocy największemu przegranemu tej awantury. Był mokry od potu, pojękiwał z cicha.

– Siostrzo, spirytus i wata, a potem niech pani przyniesie łubki.

– Niedobrze? – zapytała niepewnie, grzebiąc w walizce.

– To kolano. – Ostrożnie dezynfekowałem otwór wlotowy. – Bez operacji pewnie nigdy nie będzie chodził jak trzeba.

– Chce go pan...? – Chyba ją wystraszyłem, choć to raczej ten pod nami powinien zawyć ze strachu.

– Niech pani nie żartuje, pani Jolu. Ja? Tutaj?

Filipiak, bezskutecznie wypatrujący tłumacza, zaklął pod nosem.

– Dobra, nie ma na co czekać – zdecydował. – Trochę kulawo nam to wychodzi, ale spróbuję po niemiecku.

Grochulski obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, ale się nie odezwał. Filipiak zaczął dość łagodnie. Nie znam niemieckiego, nie sądzę jednak, by powiedział coś tak wstrząsającego, by dało się tym wyjaśnić zachowanie panny Asmare. Jeżeli zatoczyła się i utrzymała na nogach tylko dzięki interwencji rudzielca, na którego ją zarzuciło, to raczej nie z winy porucznika. Nie byłby tak zaskoczony, a ona nie miałaby twarzy zniekształconej heroiczną, wyraźnie przegrywaną walką o zachowanie przytomności umysłu.

– Co się z nią dzieje? – zaniepokoił się Morawski.

– Czegoś za dużo wypła... przeprasza... – Filipiak podszedł bliżej, by lepiej słyszeć coraz bardziej bełkotliwe mamrotanie dziewczyny. – Łap ją!

Grochulski zdążył chwycić osuwające się ciało. Od razu przykucnął, sadzając zupełnie bezwładną Gabrielę na trawie.

Przez jakiś czas otrząsaliśmy się z wrażenia.

– Nie podoba mi się to – rzucił w przestrzeń Filipiak.

– Etiopska woda – mruknął nie do końca przekonany Morawski. – I głowa też. No dobra, nie ma co radzić. W śmigłowcu jest wolna ławka. Siostrzyczko, pomoże pani? Połóżmy ją, niech to odeśpi.

Jola każdym mięśniem wyrażała niechęć do jego propozycji, ale miała dość poczucia zawodowego obowiązku, by nie protestować otwarcie. We trójkę przenieśli Gabrielę do sokoła.

– Zastrzelę tego cholernego Mengeszę – obiecał Filipiak.

Zdążyłem dokończyć opatrunek, a Mengesza nadal żył. Gdzie – nikt nie wiedział. Minął kwadrans, nim Filipiak pogodził się z myślą, że może tak do samego rana stać i gapić się bezsilnie na ponurych jeńców, trzymany pod lufami, i na swoich żołnierzy, których znudził cały incydent i którzy coraz wymowniej spoglądali w stronę namiotów.

– Co dalej? – Naszpikowany morfiną ranny zapadał w sen, mogłem zatroszczyć się

o przyszłość. – Ogłaszamy stan wojenny?

– O co panu chodzi? – Skinął na podoficera. – Druga drużyna może iść spać, pierwsza zostaje pod bronią.

– Jeżeli grozi nam strzelanina, to może lepiej będzie odlecieć już teraz. Dobrze by mu to zrobiło – wskazałem rannego. – Im prędzej trafi do szpitala, tym lepiej.

Nie zdążył odpowiedzieć.

– Źle robicie – usłyszałem głos mówiący po angielsku z gardłowym, odmiennym od nadwiślańskiego akcentem. – Sabah zabije was wszystkich. Jeżeli nie wypuścicie nas, nie oddacie jego kobiety i nie zapłacicie za ranę jego kuzyna, to już jesteście martwi.

Brzmiało to dość ponuro i kto jak kto, ale odpowiedzialny za cały oddział porucznik Filipiak nie powinien kwitować słów odzianego w biel jeńca radosnym uśmiechem.

– Mówisz po angielsku? – To pytanie też mógł sobie darować.

– Nazywam się Rhida – ciągnął zimnym, nie bardzo kojarzącym się z jeńcami tonem czterdziestolatek o brezniewowskich brwiach. – Jestem kuzynem pułkownika Sabaha i żądam odpowiedniego traktowania.

– Zjazd rodzinny – mruknął Morawski nie bardzo cicho, ale przynajmniej w języku przodków. – Sami kuzyni.

– Oczywiście, panie Rhida. Będzie pan odpowiednio traktowany. Może pan powiedzieć, dlaczego urządzaliście to... te biegi? Z bronią?

Nie brzmiało to jak przesłuchanie. Widać było, że Filipiak jest naprawdę ucieszony, mając wreszcie rozmówcę. Ale sama wymowa faktów była, jaka była, i były właściciel szabli spuścił odrobinę z tonu.

– To rodzinna sprawa. Nie mogę o niej mówić z obcymi.

– Chcieliście zabić pannę Asmare? – Filipiak był bliższy klepania tego faceta po plecach, niż zadawania równie drastycznych pytań, wziął je więc na siebie.

– Kobiety? – Rhida uśmiechnął się ze szczerym rozbawieniem i równie szczerą pogardą. – Może biali mężczyźni walczą z kobietami. My nie.

– Mielicie broń – przypomniałem.

– Ona miała nóż. Jest szalona. Chcieliśmy ją rozbroić, by nikogo nie pokaleczyła, to wszystko. Czy ktoś do niej strzelał? Czy mój kuzyn miał wyrzucić karabin i szukać w ciemności kija? Czy ktoś naprawdę myśli, że chcemy zabić dziewczynę, wrócić do pułkownika Sabaha i powiedzieć: „Zastrzeliliśmy twoją ukochaną żonę, okryliśmy hańbą i śmiesznością ciebie, nas i cały ród”? Tak myślicie?

– Nie myślimy tak – zapewnił Filipiak. – I bardzo nam przykro z powodu tego niefortunnego incydentu.

Rhida skinął łaskawie głową.

– Rozumiem. Zabierzemy teraz Omara i dziewczynę. O odszkodowaniu możemy pomówić jutro.

– Nic złego się jej nie stanie? – zapytał Filipiak, a ja poczułem nagły skurcz żołądka, bo nie wyglądało na to, by żartował.

– Pułkownik dał jej rodzinie pięć tysięcy dolarów w wielbłądach, bydło i złocie. Nie po to, by ją teraz zamordować.

Logicznie to brzmiało. I szczerze – nie podobał mi się ten facet, ale nawet ja nie potrafiłbym zarzucić mu, że łączy jak pies. Filipiak nie miał ochoty zarzucać mu czegokolwiek.

– Dobrze – powiedział krótko.

– Co: dobrze? – Rhida, podobnie jak ja, chyba nie zrozumiał.

– Niech ich pan zabiera.

Kuzyn pułkownika Sabaha, człowieka wielkiego i gubernatora *in spe*, nie podskakiwał jakoś z radości. Był zaskoczony szybkim doprowadzeniem negocjacji do finału, ale tylko tyle. Ja też nie podskoczyłem. Chociaż trochę mnie to kosztowało.

– Na sekundę, panie poruczniku...

– Później, doktorze.

– Później będzie po herbacie.

Zignorował mnie i uśmiechnął się zachęcająco do Rhidy. Spojrzałem na Morawskiego. Wzruszył ramionami, deklarując życzliwą neutralność.

– Oczywiście ten żołnierz zostanie surowo ukarany – nie tyle zapytał, co stwierdził Rhida. Poszukał wzrokiem Grochulskiego, ale rudzielec, sprytny jak wszyscy rudzi, usunął się dowódcy sprzed oczu i obchodził teraz obóz łukiem tak szerokim, że bez noktowizora nie sposób go było wypatrzeć. Oficjalnie wciąż stał na warcie.

– Eee... ukarany? – Filipiak musiał włożyć trochę wysiłku w podtrzymanie uśmiechu. – No tak. Oczywiście.

– Zaraz go rozstrzelamy – powiedziałem. – Przedtem utnę mu nogę.

– Moment, panie Rhida... O co chodzi, doktorze? – Naturalnie przeszedł na polski. – Chce pan wszystko spięprzyć? Przecież dobrze pan wie, że z tym karaniem to kit. Facet stara się zachować twarz. Też pewnie wie, że Grochulskiemu włos nie spadnie. Nie będę ryzykował życia moich ludzi dla... cholera, nawet nie wiem, o co panu chodzi!

– O to, o co wszystkim chłopcom w niebieskich hełmach. O prawa człowieka.

– Mocne – przyznał Morawski.

– A konkretnie? – wycedził porucznik. Chyba naprawdę nie wiedział.

– Panie Rhida – zignorowałem go – jest noc. Panna Asmare jest w szoku. Zemdlała. Śpi. Rano odprowadzimy ją do domu jej stryja.

Zmierzył mnie długim i nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Pan tu jest dowódcą. – Odszukał wzrokiem porucznika.

– Tak.

– Więc sprawa jest zamknięta. Zabieramy ją i idziemy. Filipiak rzucił mi na poły błagalne, na poły ostrzegawcze spojrzenie. I tym razem musiałem go zignorować.

– Ale to ja dowodzę ekipą, z którą przyleciała panna Asmare.

– Źle pan robi. – Ocienione krzaczastymi brwiami oczy wydawały się czarniejsze od najgłębszych studzien. – Depcze pan honor mego rodu.

– Rano – uśmiechnąłem się z wysiłkiem. – Omara możecie zabrać, pożyczymy wam nosze. A swoją drogą... Dlaczego uciekła?

Wpatrywał się w moją twarz i chociaż wiedziałem, że po prostu ocenia atuty stron, nie mogłem się wyzbyć myśli, iż zostaję zapamiętywany. Ludzie starają się utrwalić w pamięci wizerunek wroga.

Byłem wstrząśnięty, kiedy się nagle uśmiechnął.

– Dziewicze lęki. Bała się pierwszej nocy. To wszystko.

*

Przebudzenie było mało przyjemne: ktoś po mnie przebiegł. Poderwałem się, macając wokół śpiwora w poszukiwaniu kabury, a on pognął dalej. Nikogo więcej nie rozdeptał, ale narobił zamieszania i wywołał proces lawinowego budzenia.

Nikt nie strzelał, nic nie wybuchało. Cokolwiek się stało, nie wymagało naprawdę gwałtownej reakcji i chłopcy z Szóstej Pancernejsz pokazali klasę, nie strzelając do kolegów ani nie dziurawiąc bagnetem kogoś, kto zbyt energicznie poruszał się w ciemności.

Bo ciemno było teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wiele dają małe, rozpalone w obozie i wokół niego ogniska, dopóki nie przygasły niemal zupełnie.

Szybko zrozumiałem, co jest nie tak – pomijając bieganie po śpiących ludziach. Jednym z podstawowych obowiązków, a prawdę mówiąc także główną rozrywką wartownika było podrzucanie do ognia.

– Włącz prąd! – Głos Filipiaka, na pozór spokojny, zagłuszył niepewny szmer rzucanych szeptem pytań. – Wszyscy zostają na miejscu. Nie odbezpieczać broni.

Ktoś uruchomił generator i nagle zrobiło się widno. Ujrzałem krzywiących się, mrużących oczy ludzi, wyglądających spod pałatek i siedzących na śpiworach z karabinami w ręku. Oraz Wołynowa, który zaciskając w prawej dłoni pistolet, wyciągał lewą jakieś pudło z niedopałka centralnie umieszczonego ogniska. Pudło musiało być gorące, bo puścił je szybko i kopniakiem wypchnął ze sterty żaru. Albo był marnym futbolistą, albo skrzynka była ciężka.

– Grochulski, wartownika do mnie, ale już! Doktorze!

Prawie równocześnie dopadliśmy boku bewupa. Wciąż stał tu stolik pod radiostacją, krzeselko, termos z kawą i karabin oparty o koło. Był też podoficer. Ale układ był inny.

Kapral leżał twarzą do ziemi i nie ruszał się, a kiedy przewróciłem go na wznak, natychmiast zrozumiałem, że nigdy więcej się nie ruszy. Jego gardło było jedną wielką raną.

– Kurrrwa mać – Filipiakomal nie połamał sobie zębów, przyciskając dolne do górnych. – Jak, do kurwy nędzy?! Jak?!

Zamknąłem powieki szeroko otwartych, szklistych oczu.

– Parę minut – powiedziałem, dziwiąc się własnemu spokojowi.

– Nie żyje. – Wciąż nie przewyciężył szczękoscisku.

– I tak bym mu nie pomógł. Nie da się założyć opaski... – urwałem i odwróciłem lekko głowę kaprala, chcąc się upewnić, że moje palce nie robią mi makabrycznych dowcipów. – O cholera.

– Co?

– Ma dziurę w czaszce. Chyba... chyba po kuli.

Tak czy inaczej nie żył i może dlatego Filipiak dość gładko przeszedł do porządku dziennego nad otworem w jego potylicy. Było zresztą coś ważniejszego od człowieka, którego zabito dwa razy.

– Panie poruczniku! – rozległ się głos Grochulskiego. – Szybko!

Nie miałem tu nic do roboty. Pobiegliśmy obaj. Szybko.

Wartownik leżał na brzuchu po drugiej stronie śmigłowca. Światło zawieszonych nisko lamp praktycznie tu nie docierało, ale Grochulski miał latarkę i nie musiałem po omacku szukać krwi. Miałem do dyspozycji także oczy. I uszy.

Kiedy ostrożnie przewracałem żołnierza na plecy, usłyszałem jęk.

Nie było krwi. W przeciwieństwie do podoficera, wartownik miał na głowie hełm, ale i on wyglądał na cały. Filipiak, pełen najgorszych obaw, zaczął szukać w okolicy bioder, gdzie kończyła się kamizelka.

– Świeć w twarz – zażądałem. Dość brutalnie rozwarłem powieki wartownika i prawie się uśmiechnąłem, widząc skurcz źrenicy. – Trochę wody, Grochulski.

Pomogło. Wystarczyło ćwierć manierki, by wartownik zajączał wyraźniej, obrócił głowę.

– Chyba nic mu nie jest – postawiłem diagnozę, a następnie, na przemian polewając go i poklepując, zacząłem cucić chłopaka. Zanim udało mi się go posadzić z otwartymi oczami i boleśnie wykrzywioną twarzą, dookoła zgromadził się mały tłum, a na plac przed stawem wtoczył się z rykiem mocno rozpedzony BRDM.

– Co się dzieje, panie poruczniku? – Plutonowy Mazurek zeskoczył z wozu, nim ten stanął na dobre. – Dlaczego radio nie odpowiada?

– Nie? – Morawski wyręczył porucznika, który z noktowizorem w garści obracał się na pięcie, przepatrując otoczenie biwaku.

– Próbowałem się z wami łączyć, zapytać o ten samochód, ale...

– Jaki samochód? – warknął Filipiak, nie opuszczając szkieł.

– Pewnie UAZ-a – usłyszałem nieco bełkotliwy, dziwnie beztroski głos Olszana. Tym razem założył slipy prawidłowo, ale trzeźwiejszy raczej nie był. – Wszystko jest, a UAZ-a nie ma.

Filipiak nie zgubił noktowizora, ale zrekompensował to sobie prawie udaną próbą zgniecenia przyrządu w palcach.

– Nie ma UAZ-a – powiedział głosem, którego żaden żołnierz nie chciałby słyszeć u przełożonego. – Wspaniale. Panie Mazurek, o co pan chciał zapytać?

W tej chwili plutonowy nie miał ochoty pytać o cokolwiek.

– Przed chwilą... to znaczy przed czwartą, akurat jak wypadła zmiana, chłopaki przy południowej drodze widzieli samochód. Jechał na światłach, wolno, z waszej strony... Myśleli, że to zmiana, bo niby co? No, ale jak przejechał, to się trochę... Nikogo pan nie wysyłał?

Filipiak nie chciał kłąć w obecności zaspanej, przestraszonej pielęgniarki, więc tylko pokręcił głową.

– Dobra, stało się, potem będziemy... Niech pan bierze beerdeema i goni ich. Czwarta trzynaście... Nie są jeszcze daleko. Może złapiecie ich na radarze.

Mazurek i Grochulski rzucili się w stronę samochodu pancernego. Kilku żołnierzy reanimowało ogniska, kilku innych spoglądało znad luf karabinów w otaczający obozowisko mrok:

– Polecę – oznajmił nagle Morawski. Tym razem spał w kombinezonie, więc po prostu zrobił zwrot na pięcie i pobiegł do śmigłowca.

– Hej, zaraz... – zaprotestował płacząco drugi pilot sokoła. – Chwila, ja jestem goły!

Morawski nie zwrócił na niego uwagi. Trzasnął drzwiami i prawie zaraz potem odezwał się rozrusznik.

– Bielski plus trzech do śmigłowca! Co tu się stało? – Filipiak pochylił się nad podtrzymywanym przeze mnie wartownikiem.

– Me... Mengesza. Przyłożył mi nóż... nie myślałem, że... Jezu, moja szyja... Nie mogę ruszać szyją.

– Ty głupi kutasie, nawet cię nie drasnął! Przestań wstawiać kit!

Złapałem Filipiaka za rękę.

– Niech nim pan nie potrząsa. Gardła mu nie podcięli, ale dostał zdrowo po karku. Gdyby nie hełm i kamizelka...

– Mengesza cię tak...? – Uspokoił się natychmiast.

– Nie... Stał z przodu. Chyba jeszcze ktoś... nie słyszałem.

Ja też słyszałem coraz mniej. Morawski rozgrzewał silniki.

– Budzę Agę! – zawołał Olszan. – Drugiej takiej hecy w życiu nie obejrzy, zabiłaby mnie...

Przebiegł pod ogonem sokoła, omal nie rozbijając głowy. Wirnik drgnął, zaczął się obracać. W którymś momencie zza białej sylwetki śmigłowca wytoczyła się mniejsza bryła samuraja. Samochód rozjechał ognisko, omal nie potrącił któregoś z żołnierzy, zniknął za bewupem dowódcy. Honker zatrzymał się obok Filipiaka – musiałem przegapić jakiś rozkaz porucznika.

Coś mokrego uderzyło mnie w lewą dłoń. Hałas silników narastał.

– Jedzie pan?! – złapałem go za rękaw. Musiałem krzyczeć.

– Chcę złapać tego śmierdziela!

– Nie może pan zostawić plutonu!

Trzasnął mnie po łapie i przeskoczył burtę samochodu. Kierowca zwolnił sprzęgło i wóz błyskawicznie znikł w mroku. Poczułem, że ręka piecze mnie jak po zetknięciu z koniuszkiem papierosa. Nie ta, po której oberwałem od Filipiaka. Lewa.

Łopaty zeszywniały od rozciągającej je siły odśrodkowej, turbiny wyły, wiatr wzbudzony w wirniku próbował zwalić mnie z nóg. Kątem oka dostrzegłem Olszana biegnącego w stronę sokoła. I dopiero wtedy odblokowała mi się klapka w mózgu.

Poderwałem się później, ale miałem bliżej. Otworzyłem gwałtownym szarpnięciem prawe drzwi dokładnie w tym samym momencie, w którym długowłosey nagus rozsuwał lewe.

– Dajcie dziewczynę! – wrzasnąłem do zdezorientowanych żołnierzy, którzy wsiedli przed chwilą i nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Nie wiem, czy usłyszeli, ale chyba okazałem się niezłym mimem, bo któryś chwycił pod pachami leżącą na ławce Gabrielę i szarpnął w moją stronę. Olszan z małpią zręcznością przedostał się do przejścia między kabinami, znikł mi z oczu.

Sokół drgnął i ruszył. Na razie tylko do przodu, ale kiedy w końcu udało mi się nieco rozpaczliwym wyrzutem ciała sięgnąć ramienia dziewczyny, tylne koła oderwały się od ziemi.

Zaparłem się kolanem tuż pod progiem. Dopiero teraz mogłem ciągnąć. Żołnierz, spłoszony nagłym kołysaniem, puścił Gabrielę, zatoczył się na fotel. Poczułem, jak moja lewa stopa odrywa się od podłoża, ale nie to było problemem, a szybkość zachodzącego procesu. Morawski ponosił maszynę energicznie i gdybym choć trochę zamarudził z wyciąganiem dziewczyny, znalazłaby się za progiem dopiero parę metrów nad ziemią. Dla kogoś nieprzytomnego upadek z takiej wysokości to niemal pewna śmierć, zwłaszcza że wyciągałem ją głową w przód.

Nie było czasu na delikatne manewry. Zawiesiłem się całym ciężarem na jej ręce. Żołnierz z fotela, może nie dżentelmen, za to osobnik obdarzony wyobraźnią, pomógł mi, popychając nogą biodro Gabrieli, i jakoś wspólnymi siłami wyrzuciliśmy ją ze śmigłowca.

Spadła oczywiście na mnie. Zabolalo, bo koła wisały już dobry metr nad ziemią, niczego sobie jednak nie uszkodziłem i leżąc na wznak, mogłem z całkowitą jasnością umysłu śledzić to, co działo się w górze.

A działo się źle.

Sokół był ze trzy metry nad nami, kiedy coś zmaćliło półprzezroczyste koło, wyrysowane

rozmażanymi od szybkości łopatami. Nic nie usłyszałem, w obozie paliło się jednak dość świateł i wyraźnie widziałem to, co przytrafiło się jednemu z ramion wirnika.

Łopata wyłamała się z ogólnego rytmu, wyhamowała, wpadła na sąsiadkę. Cios dopadł ją wprawdzie już w locie, ale właśnie dlatego długie na siedem metrów skrzydło odleciało w mrok nie jako strzała, ale pod postacią młynkującego zabójcy, gotowego kosić wszystko, na co natrafi.

Wtedy jednak nie myślałem jeszcze o ludziach, którzy mogą znaleźć się na drodze latającej kosi.

Sokół zaczął dygotać. Wciąż się unosił i wolno przesuwał do przodu, wyglądał jednak jak pojazd z filmu science fiction tuż przed przejściem w nadprzestrzeń: wibrował tak straszliwie, że w moich oczach zaczynał się rozmazywać. W wyciu turbin i łomocie wirników pojawił się jakiś żalony, błagalny ton.

Zepchnąłem z siebie dziewczynę, przetoczyłem się na jej pierś, przygniotłem do ziemi. Z góry lał się huk i pył, cała chmura pyłu, a potem ziemia pod nami zadrżała, zrobiło się jeszcze ciemniej i ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że hałas zaczyna przygasać.

Uniosłem głowę i wypluwając piach spomiędzy zębów patrzyłem na stojący na ziemi śmigłowiec. Cały. No... prawie cały.

Gabriela poruszyła się pode mną, coś mamrotała. Wstałem i jako jeden z ostatnich, na trochę miękkich nogach podszedłem do kabiny pilotów. Była oblepiona ludźmi: chyba połowa z tych, którzy zostali w obozie, rzuciła się wywlekać załogę z maszyny. Diabli wiedzą dlaczego: Morawski wybił kołami niezłe dziury w ziemi, ale nawet golenie, nie mówiąc o reszcie sokoła, wyglądały na nieuszkodzone.

Druga połowa obozu popędziła śladem łopaty. Która nie mogła być daleko – nie da się odlecieć daleko po oskalpowaniu stara 266 z nawleczonej na stalowe pałaki plandeki i skoszeniu sześciometrowego drzewa.

Tłum przy kabinie rozpadł się, kiedy błądy i wściekły Morawski wytoczył się na zewnątrz i z zadartą głową zaczął przyglądać się krążącemu leniwie wirnikowi. Żeby nie tracić czasu, klął przy tym tak straszliwie, że lada chwila na ziemię posypać się musiały pierwsze uschnięte uszy gapiów.

Nic mu nie było. Na całych i zdrowych wyglądali też ludzie plutonowego Bielskiego, a Olszan, szczęśliwy pijak, uśmiechał się nawet z miną trzynastolatka, który zyskał możliwość opowiadania kumplom o zupełnie niesamowitej przygodzie.

Minąłem zataczającą się, bosą Agnieszkę, która ubrana w długą koszulkę i chyba nic więcej mocowała się z lampą błyskową, raz po raz wpadając na stojącego obok bewupa. Sprawiała wrażenie zalanej w trupa i bez wątplenia potrzebować będzie pomocy – ale nie teraz.

Przez chwilę łudziłem się, że biegnący w moją stronę żołnierz po prostu chce przyłączyć się do zbiegowiska. I że tylko przypadkiem musiał po drodze przeskakiwać nad ściętym czubkiem

palmy. Ale oczywiście myliłem się. To nie była najlepsza z moich nocy.

– Panie doktorze, szybko! Coś się stało Świergockiemu!

Dziesięć metrów za kikutem drzewa czekało na mnie kilku przejętych, milczących dwudziestolatków. Mieli broń, niektórzy hełmy, a jeden zdążył nawet założyć kamizelkę, ale wyglądali na gromadkę bezradnych, przestraszonych chłopców, nie mających pojęcia, co zrobić z leżącym pośrodku kolegą.

Świergocki był nieprzytomny i tu, w ciemności, wyglądał na nietkniętego. Nigdzie nie dostrzegłem krwi, a o dwa kroki dalej leżała w rzadkiej trawie najwyżej jedna trzecia oderwanej łopaty sokoła. Ale nie łudziłem się. Problemy, moje problemy, naprawdę duże, zaczęły się właśnie w tym momencie.

*

– Zwiął. Parę razy mignął na radarze, ale w końcu przepadł.

Nikt nie skomentował słów Filipiaka. Było chłodno, słońce dopiero przed chwilą wychyliło zza horyzontu skraj czerwonej tarczy; siedzieliśmy wokół ogniska, otuleni kocami, piliśmy kawę i staraliśmy się nie myśleć o przyszłości.

– Co się stało? – Pomagając sobie kijkiem, Filipiak zdjął czajnik znad ognia, rozejrzał się za kubkiem. – Miał pan za nami lecieć.

Brzmiało to niedbale. Na pozór. Śmigłowiec był prawie stuprocentową gwarancją zakończenia pościgu sukcesem.

– Odpadła jedna z łopat. – Morawski też mówił spokojnym głosem i też grał, choć nie musiał wkładać w to aż tyle serca. – I tak mieliśmy szczęście. Gdybym wystartował parę minut wcześniej, miałby pan sześć grobów do wykopania.

– Siedem – poprawił go Olszan, wytrwale masujący skronie i leczący się w ten sposób z kaca. – Była jeszcze ta czarnula z tyłu.

– Czarną doktor wyciągnął – wprowadził następną poprawkę plutonowy Bielski, pełniący chwilowo obowiązki wodza naczelnego. Sierżant Ciołkosz i większość wojska spali jeszcze w najlepsze.

– Jak to: odpadła łopata? – zamrugął powiekami Filipiak.

– Jakiś śmierdzący skurwiel oblał ją kwasem – wyjaśnił Morawski. – Znaleźliśmy ślady gliny. Musiał z niej zbudować na płacie całą sadzawkę, bo kwas działa powoli i gdyby po prostu polać, większość by spłynęła. Dlatego mówię o szczęściu. Parę minut wcześniej kompozyt nie był pewnie jeszcze głęboko przeżarty. Zgubilibyśmy łopatę w locie.

– Sabotaż? – Filipiak ciągle nie potrafił uwierzyć, choć w końcu dopatrzył się zmiany w wyglądzie śmigłowca. – Ale... Przecież Mengesza nie mógł...

– Mógł – wyprowadziłem go z błędu. – Był z nami w garbarni; widział zbiornik z kwasem i te drzwi na haczyk. Swobodnie poruszał się po obozie. Podejrzewam, że akurat jego nikt o nic nie pytał. Zna angielski, chodził do szkoły. Miał prawo wpaść na ten numer z kwasem.

– Ale po co...? – urwał, uświadomiwszy sobie, że zna odpowiedź.

– Pościg – uśmiechnąłem się gorzko. – Trudno zwać przed śmigłowcem. Musiał nas uziemić.

Przez chwilę milczeliśmy, siorbiąc kawę. Morawski, który pierwszy skończył, oddał kubek rudowłosemu chłopakowi o zmęczonej twarzy. Widać było, że po nocnych wrażeniach i przejażdżce samochodem pancernym Grochulski potrzebuje gorącej kofeiny.

– To jeszcze nie wszystko. – Nikt się nie kwapił do przekazywania złych wieści, wziąłem je więc na siebie. – Ktoś wrzucił do ogniska, a przedtem chyba zalał kwasem pana krótkofalówkę. Wołynow ją wyjął, ale... To ta lepsza wiadomość. A gorsza jest taka, że jeden z żołnierzy został uderzony kawałkiem wirnika. Ma połamaną miednicę i być może uszkodzone organy wewnętrzne.

– To... poważne?

– Niekoniecznie. Ale trzeba go stąd zabrać jak najszybciej. Żaden samochód. Tylko drogą lotniczą.

– Rozumiem. – Może i był przegrany jako dowódca, ale na szczęście wciąż się nim czuł. – Majorze, co z waszym radiem?

– To poletko Olszana. Póki działa, owszem, ale jak coś się chrzani, ja co najwyżej potrafię zawołać technika od łączności.

– Chce pan powiedzieć...?

– Będzie grać – powiedział słabym głosem Olszan. – Coś się rozłączyło od tych drgawek, ale to dobra katarynka, a ja po średnim wykształceniu jestem właśnie elektronik. Ale, szefie, jedna sprawa: to nie jest takie cudo, jak ten wasz kombajn. Nie ten zasięg. Pięćset kilometrów na dobrej antenie, nie więcej.

– Wystarczy – mruknął Filipiak. – W Imi jest stacja retranslacyjna.

– Zjem coś i zajmę się radiem. A ten pana operator... Dobry jest?

– Giełza? Czy ja wiem? Prosto po technikum.

– Poborowy? Na takim sprzęcie? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Zastępstwo – wzruszył ramionami. – Normalnie jest kontraktowy, ale tak wypadło. Grochulski – wskazał rudego – też robi za siebie i operatora radaru. Mamy w Ferfer małą epidemię, no i święta idą.

Olszan odstawił kubek i odszedł w kierunku śmigłowca. Jakaś staruszka dreptała z dzbanem po wodę. Wieś powoli budziła się do życia.

– Nie podoba mi się to – westchnął Morawski. – Nie rozumiem, po co Mengesza miałby to

robić. Korzystnie tego UAZ-a nigdzie w okolicy nie sprzeda, a robić sobie wroga z całego UNIFE dla paru groszy...

– Nie był sam – przypomniał Filipiak, patrząc w moją stronę.

– Tym bardziej: jest ich dwóch do podziału.

– Albo więcej. – Nadał świdrował mnie wzrokiem, zbyt otwarcie, bym mógł nie uznać tego za prowokację.

– Chyba wiem, do czego pan zmierza – powiedziałem powoli.

– Bo to cholernie oczywiste.

– Myśli pan, że to ten Arab? – zapytała Jola.

– Somalijczyk – sprostował Filipiak. – Tak, myślę, że to może mieć sporo wspólnego z tą Asmare i jej nową rodziną. Po muzułmanach nie takich rzeczy można się spodziewać, a Rhida otwarcie się odgrażał.

– Aresztuje go pan?

– Może. A może po prostu zawrzemy pokój. Ten cały Sabah może nam jeszcze narobić kłopotów. Jego narzeczona chwaliła się wczoraj, że ma pod sobą tysiąc wojowników. Gdyby się okazało, że facet kręci się w pobliżu z jakimś ułamkiem tego tysiąca...

– Skąd się wziął Mengesza w pana plutonie? – zapytał Morawski.

– Przydzielili mi go na czas tej wyprawy. Ale pracował dla UNIFE już kilka miesięcy.

– To niezła posada jak dla Etiopczyka, prawda?

– Myślałem o tym – zgodził się Filipiak. – Ma pan rację, na pierwszy rzut oka zrobił marny interes. Za ewidentnie kradzionego UAZ-a dostanie... bo ja wiem?... ze dwa tysiące. Albo kulkę. Stracił posadę wartą cztery setki miesięcznie. Ale z drugiej strony mógł potrzebować forsę już teraz. Może mieli go zwolnić... Różnie bywa.

– Sabah to bogaty człowiek – przypomniał Morawski. – Samochód, parę tysięcy za pomoc... To już by nie był dla Mengeszy taki marny interes. Oczywiście nie jest wcale pewne, czy chciał kraść UAZ-a.

– Przecież ukradł – zdziwiła się Jola.

– Mogli potrzebować czegoś, czym wywiozą dziewczynę. To przy założeniu, że po nią przyszli. Mogli też zwać samochodem, bo coś poszło nie tak, albo zwyczajnie, ze strachu, że za ten numer z kwasem zrobimy łapankę i... – pociągnął palcem po gardle. – Jeśli przyjąć, że chodziło o zemstę, to mogło tak wyglądać.

– Nieźle namieszała ta... – Jola nie dokończyła, ale każdy bez trudu dopowiedział sobie resztę. – Myśli pan, że to przez nią? Jeden chłopak zamordowany, jeden pewnie inwalida, a wszystko dlatego, że jakaś głupia krowa schlała się i uciekła z domu?

– Gdzie ona jest? – zapytał Filipiak. – Grochulski, dawaj tu tę swoją księżniczkę.

Pokazałem rudemu śmigłowiec, a kiedy odszedł, zapytałem:

– Co chce pan zrobić?

– Na początek wyjaśnić, o co chodzi. A potem załatwić problem najmniejszym kosztem. Podręcznik dowódcy, rozdział pierwszy.

Domyślałem się, co mu chodzi po głowie. Gabriela Asmare chyba też i zapewne w związku z tym kazała na siebie czekać – najpierw Grochulskiemu, który szybko wyszedł ze śmigłowca i skrupulatnie zasunął drzwi, a potem nam. Nie zmarnowała jednak czasu. Kiedy się w końcu pojawiła, była nową Gabriellą, Gabriellą Numer Cztery. W dżinsach, białej koszuli z długimi rękawami i białych tenisówkach kojarzyła się z dziewczyną ze studenckiej prywatki, nie przykładającą wielkiego znaczenia do garderoby, ale na swój sposób elegancką. Filipiakowi trochę wydłużyła się mina.

– *Guten Tag, Fräulein Asmare* – wskazał jej miejsce przy ognisku.

– Patrzcie no, jak się wystroiła. – Jola nawet nie próbowała ukrywać zazdrości. Wciąż była w tych samych szortach, sandałach i bluzce, co w Addis Abebie. Miała prawo skręcać się na widok wieśniaczki, zmieniającej strój cztery razy częściej niż ona.

– Niech ją pan zapyta, dlaczego tu przybiegła w nocy – pospieszył z radą Morawski.

– Biegła, bo ją gonili – przetłumaczył Filipiak.

– Tyle akurat wiemy. Ale dlaczego?

– Moment, niech mi pan nie przeszkadza. – Tym razem kwestia porucznika była dłuższa i wyraźnie gniewna. Dziewczyna odpowiedziała w paru oszczędnych słowach, wyraźnie oszczędzając też mięśnie twarzy, co sprawiło, że jej oblicze pozostało idealnie beznamienne. – Mówi, że to jej prywatna sprawa.

– Ubierze taki asfalt koszulę – splunął do ognia Bielski – i od razu mu się we łbie przewraca. A kopnąć ją w zadek i fora...

– Musiałby się pan rozebrać – posłałem mu cierpki uśmiech.

– Co?

– Inaczej byłaby to obraza munduru. Polski żołnierz nie kopie kobiet. Życie żołnierza wymaga poświęceń.

Pociemniał na twarzy i zasznurował usta. Zrozumiałem, że nigdy nie wybierze mnie na swego lekarza rodzinnego.

Filipiak uciszył nas i zadał następne pytanie. Odpowiedziała. Znow zapytał, znowu odpowiedziała. I tak dalej, i tak dalej. Czekaliśmy w pokorze na wyjaśnienia i tylko z miny porucznika wnioskowaliśmy, że będą drastycznie krótsze od ich rozmowy.

Mieliśmy rację.

– Szlag by ją trafił... Chce, żeby ją zabrać do Addis Abeby albo gdzie indziej. Ma dość Kasali. Nic więcej nie mogę od niej wyciągnąć.

– Jak na faceta przesłuchującego po niemiecku jest pan przygnębiająco nieskuteczny –

zauważyłem.

– Oni tu mieli Włochów – uśmiechnął się Morawski. – Może Zanetti by ją lepiej postraszył? Obudzić go?

– To nie jest śmieszne – warknął Filipiak. – Czego tu?

Grochulski stał w całkiem przyzwoitej odległości, wcale nie bliżej niż inni raczący się kawą członkowie pościgu. Jego wina sprowadzała się do dziwnego wyrazu twarzy. Okrzyk dowódcy spłoszył go trochę, ale nie zgasił tego czegoś, co połyskiwało w oczach.

Filipiak powiedział coś do dziewczyny. Nie podobał mi się ani ton, ani – tym bardziej – gest ręki, którą energicznie wskazał środek wsi.

– Co jej pan powiedział? – Właściwie nie musiałem pytać: twarz Gabrieli zeszywniała na podobieństwo drewnianej maski.

– To, od czego należało zacząć: żeby wracała, skąd przyszła.

Próbowałem odnaleźć jej spojrzenie. Nie udało się, patrzyła w dół, może na swoje zaciśnięte pięści, może na ognisko. Zastanawiała się nad czymś i mimo całkowitego bezruchu czułem, że nie jest to łagodny proces. W końcu wstała, powiodła po nas twardym, wzgardliwym spojrzeniem. Nie wiem, czy zrobiła dla mnie jakiś wyjątek, bo akurat po mojej twarzy jedynie się prześliznęło.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła iść w stronę, którą jej wskazał Filipiak. Nawet nie do śmigłowca, po torbę – szła prosto do domu.

– Nieładnie – mruknął Morawski.

Nie słuchałem go. Patrzyłem ze zdziwieniem na Grochulskiego, który nagle wyrósł na jej drodze. Zatrzymała się. Chyba też zdziwiona.

– Chce pani tam wrócić?! – Był zbyt wzburzony, by zniżyć głos. – Do tych pojebanych nożowników?! Teraz, po tym wszystkim?!

Próbowała go obejść. Złapał ją za rękę, przytrzymał. Patrzyłem na opięte błękitem, cudownie wypełniające przestrzeń spodni pośladki i na wąski pasek plastiku, wychylony z tylnej kieszeni. Był coraz niżej i dopiero kiedy zaczął się także zbliżać, uświadomiłem sobie, że idę w stronę dziewczyny.

– Odbiło ci, Grochulski? – doleciał z tyłu głos porucznika. Powtarzałem sobie, że to właśnie to, że ktoś postępuje może i ładnie, ale głupio; daje się ponieść emocjom, zapominając, do kogo mówi.

Jeszcze kilka kroków. Bezsens?

Niesamowita jesteś, Gapo.

Pamiętałem jej zdziwienie. I uśmiech, który szybko zepchnął je z twarzy.

Bezsens. Można nie rozumieć słów, ale rozumieć drugiego człowieka. Uczucia są uniwersalne. I łatwiej je wyrażać, mówiąc, choćby bariera językowa sięgała od butów po orbite

Księżycu. A jeżeli ktoś jest w dodatku wzburzony...

Słowa Grochulskiego nic nie znaczyły. Nic.

Dwa kroki. Jeden. Zdziwione, gniewne i bezradne szare oczy pod marchewkową grzywką. I pochylająca się, kryjąca w ramionach niczym w oczekiwaniu ciosu głowa Gabrieli.

Drgnęła, kiedy jej dotknąłem – nie byłbym dobrym kieszonkowcem. Plastikowa okładka była czarna, anonimowa, mogła zawierać wszystko. To znaczy: wszystko, co da się wtłoczyć w formę cienkiej książeczki.

Jest przerażająco wiele takich rzeczy. Bałem się otworzyć to coś, czymkolwiek było. Teraz, kiedy już wiedziałem, co chciałbym zobaczyć w środku, nagle zacząłem się bać. Szansa była tak mała...

Odwracała się powoli, a kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, wciąż wpatrywałem się w czerni okładki.

Wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „No i co z tego?”, wyciągnęła rękę i zrobiła to, na co brakowało mi odwagi. Jej twarz nie wyrażała niczego, była zupełnie nieodgadniona.

Tak jak orzeł z pierwszej strony jej paszportu.

*

– Gabriela Wiesława Asmare. – Coś hipnotycznego musiało być w zestawieniu tych słów, bo Morawski powtórzył je już trzeci raz. – Łodzianka.

Nikt się nie odzywał. Otrząsanie się z szoku musi potrwać.

Poszukałem wzrokiem Gabrieli Wiesławy, ale i mnie chyba zdrowo znokautowało, bo odnalazłem jedynie sylwetkę Grochulskiego. Stał przy zamkniętych drzwiach śmigłowca i chyba rozmawiał z kimś, kto ukrył się w kabinie transportowej.

– Ryszard Balon Morawski. – Major zamknął w końcu paszport. – Ależ nas wykołowała.

– Ludzka bezczelność nie zna granic – wycodziła przez zęby Jola.

– Tak czy inaczej to zmienia postać rzeczy. – Wyciągnąłem rękę po paszport. – Jest obywatelką Rzeczypospolitej i mamy obowiązek zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Obywatelka – rzucił z przekąsem Bielski. – Kabaret, cholera.

– W zasadzie nie ma znaczenia, jakiego państwa ma obywatelstwo – myślał na głos Filipiak.

– Holland, Poland, jeden pies. Służymy w siłach zbrojnych ONZ. Nigdzie nie jest napisane, że żołnierze ONZ mają ochraniać akurat obywateli polskich. Obojętne: białych, czarnych czy pasiastych. Formalnie...

– Zrobiła z pana idiotę – przerwałem mu. – Trudno. Ale niech pan nie bierze sobie tego do serca i nie opowiada idiotyzmów. Formalnie?! Niech pan obudzi Wielogórską i zapyta, co prasa robi z oficerem, który w imię formalizmu zostawia Polkę na pastwę krwiożerczych

nożowników.

– Co wy wszyscy z tymi nożownikami? – skrzywił się.

– Rozszarpią pana. Wszyscy, od „NIE” po „Gazetę Polską”. Żaden dowódca w całej historii naszej wojskowości nie miał tak złej prasy, jaką pan będzie miał, jeśli zostawimy teraz tę dziewczynę.

– Fakt – przyznał Morawski. – Osobiście musiałbym kopnąć pana w dupę, a i tak mój honor zawodowy leżałby w gruzach.

– Odczepcie się, dobrze? Wcale nie powiedziałem, że ją tu... – Filipiak poderwał się, gniewnie strzepnął piach ze spodni. – Niech jej pan powie, że może z nami jechać. Ma być gotowa, bo w każdej chwili możemy ruszać. I niech pan wyjaśni całą tę nocną hecę.

– Przecież nigdzie nie jedziemy – przypomniałem. – Świergocki ma zmiążdżone biodro.

– Nie mam sklerozy, pamiętam. Właśnie dlatego macie być gotowi do wyjazdu. Jeśli nie uda się nawiązać łączności, wyruszamy do Ferfer.

– W porządku – zgodziłem się. – Ale powoli. – Teraz dla odmiany on skinął głową. – I potrzebuję sanitarki. Da mi pan honkera?

– Niech pan robi, co trzeba. Nie chcę więcej trupów w plutonie.

Rozeszliśmy się: on w stronę posterunków, ja – śmigłowca. Grochulski dyskretnie wyniósł się w okolice kuchni polowej, Olszan dłubał w wyniesionym na zewnątrz radiu. Mogłem rozmawiać swobodnie.

To znaczy: mógłbym. Gdybym wiedział, jak zacząć.

Siedziała na środkowym fotelu, z nogą niedbale, po męsku przełożoną przez udo drugiej. Włosy, zebrane z tyłu, nie wydawały się długie, ale nikt nie pomyliłby jej z chłopakiem, co bardzo często przytrafia się takim jak ja dyletantom, oglądającym telewizyjne migawki z czarnej Afryki. Jej twarz, może i trochę dzika, była stuprocentowo kobieca.

Usiadłem na końcu ławki. I utknąłem. Była za blisko, ciągle pachniała jabłkami i nie przypominała tamtych Gabriel Asmare, które znałem.

Patrzyła na mnie bez uśmiechu.

– Proszę, pani paszport. – Odebrała go bez słowa. – Mogę wiedzieć, po co to było? – Uniosła pytająco brwi. – Cały ten teatr.

Uśmiechnęła się cierpko, połową ust.

– Wrodzona delikatność – mruknęła, a ja przeżyłem lekki wstrząs, bo jej polszczyzna była idealna, pozbawiona jakiegokolwiek obcego nalotu. – Nie chciałam sprawiać nikomu przykrości.

– Nie rozumiem...

– Kiedy zjawiłam się przed pana namiotem, z namiotu obok wyszedł porucznik Koliszewski, wytrzeszczył oczy i zanim zdążyłam powiedzieć: „Dzień dobry”, wrzasnął, cytując: „Jezu, Koziej, zobacz, jaką dupencję doktorowi przywieźli”, koniec cytatu. Wyszedł Koziej, skrzywił się

i oświadczył, że owszem, ale cycki to mam za małe. – Moje spojrzenie odruchowo opadło niżej, a kiedy ułamek sekundy później podniosła je napływająca do twarzy fala krwi, oczy Gabrieli pełne były niczym nie maskowanej kpiny. – Ponieważ pólkule mózgowie mam trochę większe od tych tam, dolnych, przyszło mi do głowy, że panom oficerom byłoby łyso, gdybym nagle przemówiła po ludzku. A potem poszło już z górki.

– Trochę więcej rozumiem – przyznałem – ale ciągle...

– W którym momencie miałam przestać, pana zdaniem?

Przemyślałem to sobie.

– Przepraszam – powiedziałem i zabrzmiało to dokładnie tak, jak brzmieć powinny przeprosiny. Nie pamiętałem wszystkich słów, jakie padły, ale kontekst trudno było zapomnieć. – Bardzo panią przepraszam. Czuję się...

– Parszywie – wyręczyła mnie. – Tak właśnie myślałam: że będzie panu z tym ciężko. Akurat panu.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja wiem. Dziękuję. – Błysnęła zębami. – Był pan w porządku. Zafundował mi pan odlotową dyskotekę.

Zaraziła mnie tym uśmiechem. Siedzieliśmy potem jakiś czas, nie odzywając się do siebie. Powinno być do bólu niezręcznie. Nie było. Nie przeszkadzało mi, że jesteśmy sami, że nie potrafię nic powiedzieć, a ona tak wyraźnie to widzi. Było to dość przerażające, a ja nie umiałem się tym nawet zbytnio przejmować i to z kolei budziło dreszcz strachu w tej części mego umysłu, która, okopana za szanćcami wiedzy o życiu i świecie, broniła się na pozycjach zdrowego rozsądku.

– Przyszedł mi pan coś powiedzieć – mruknęła w końcu.

– Ja? No... tak. – Zupełnie zapomniałem, że Filipiak posłał mnie z konkretną misją. – Mam powtórzyć, że może pani z nami jechać.

– To znaczy... lecieć? Z panem, tak?

– Z latania nic nie będzie. Nie pamięta pani? Śmigłowiec kaput.

– Co miałabym pamiętać? – zapytała nieufnie.

Prawda: kiedy wróciłem od Świergockiego, spała w najlepsze w miejscu, gdzie ją zostawiłem. Uśmiechnąłem się gorzko i w paru zdaniach streściłem jej przebieg wypadków. Była wyraźnie wstrząśnięta, odczekałem więc chwilę z zamykającym kwestię pytaniem:

– Czy w związku z tym mogłaby pani wyjaśnić, o co wam poszło?

– Ja... Myśli pan, że to z mojego powodu?

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego pani uciekła i jak bardzo rozgniewało to Rhidę. Nie wiem, jakie ma prawo do ścigania pani. Nic nie wiem. Dlatego pytam.

Przesunęła końcem języka po ustach. Kiedy zdążyły wyschnąć – też nie wiedziałem. Kapitan

Szczebielewicz, żywy pomnik ignorancji.

– Nie chciałam o tym... Ale jeśli sprawy zaszły tak daleko... Dobrze, to żadna tajemnica. Szara proza życia. Ja... wie pan, miałam wyjść za mąż. No więc... rozmyśliłam się.

– Wczoraj w nocy? – na pół spytałem, na pół stwierdziłem.

– Tak wyszło.

– I co: spakowała pani torbę i w koszuli nocnej...? Dość kusej, nawiasem mówiąc...

– Nie wierzy mi pan? – Była smutna, ale nie gniewała się.

– Powiedzmy, że wskazuję miejsca, gdzie inni mogą powątpiewać.

– Walizki miałam spakowane od dawna, teraz po prostu złapałam pierwszą z brzegu. A przebrać się nie zdążyłam. – Połączyła smutek z uśmiechem. – Co do długości koszuli, to przywiozłam ją z Europy. My, dzicy, sypiamy nago. Tak, że mogło być gorzej.

Rola prokuratora służyła mi – chyba się nie zaczerwieniłem.

– Ale o co konkretnie poszło? Uroczysta kolacja, goście, gratulacje, potem kładzie się pani spać... I co? Zły sen?

– Myśli pan, że byłam trochę...? – postukała się wymownie po szyi. – Fakt, wypiłam sporo. Ale wiedziałam, co się ze mną dzieje.

– Przynajmniej dopóki nie urwał się pani film.

– Nie byłam pijana – stwierdziła z urazą. – To środki nasenne. Trochę za dużo... wzięłam. Dlatego mnie ścieło. Potem – podkreśliła.

– A co było przedtem? Dlaczego panna młoda w przeddzień ślubu ucieka boso do obcych ludzi?

Błysnęła zębami bez wielkiej radości.

– Boso, bo dzika. A ucieka... no, bez wielkiej psychologii... chyba dlatego, że jej trochę tej dzikości zabrakło. Niech pan sobie spróbuje wyobrazić, że żenią pana z Murzynką z dżungli. Dopuszcza pan myśl, że mógłby zwiać oknem pięć minut przed powiedzeniem: „Tak”?

– To co inne... – ugryzłem się w język, oczywiście za późno.

– Bo to ja jestem ta czarna i nie ma problemu? – Nie to zamierzałem powiedzieć, ale nie czułem się na siłach prostować. – Można być bardziej czarnym, a mimo to też się bać.

Milczałem jakiś czas, unikając jej wzroku.

– Filipiak dowodzi oddziałem wojskowym – pozbierałem się w końcu. – Interesują go konkrety, a nie psychologia. Chciałby na przykład wiedzieć, kto zabija mu ludzi. I czy dalej będzie próbował.

– Jeśli to przeze mnie – uśmiechnęła się niewesoło – to nie da się bez psychologii. Wszystko sprowadzałoby się do urażonych ambicji, podeptanych obyczajów, tak czy inaczej rozumianego honoru... Nie wiem. Nie mam pojęcia, co może zrobić Sabah. Między innymi dlatego za niego nie wyszłam. Nie ze względu na kolor skóry. Jak na Somalijczyka to z niego prawdziwy blondyn.

– Nie myślała pani wcześniej, że możecie do siebie nie pasować? – Też zdołałem się uśmiechnąć. – Nie kolorem. Resztą.

– Mam trzydzieści lat. – Nie byłem pewien, na ile gorzko to powiedziała. – Nie jestem głupiotką smarkulą. Głupia może tak, ale już nie na ten sposób. Jasne, że myślałam. Tylko że takie stare pudła nie zawsze mogą przebierać w tłumie królewiczów z bajki.

– Przepraszam. Nie powinienem...

– Lekarz jest jak spowiednik – pocieszyła mnie.

– A propos spowiedników... – Mój umysł spłodził pomysł, który nie bardzo mnie zachwycał, ale ostatecznie byłem lekarzem i w pewnych okolicznościach podobały mi się pomysły typu: „Utnijmy temu facetowi nogę”. – Jak u pani wyglądają te sprawy?

– Jakie? – rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

– No... religia.

– To ma coś do rzeczy? – zapytała cicho.

– Byłoby łatwiej, gdyby wyglądało to tak, że... no... katolicka dziewczyna ucieka od narzeczonego muzułmanina. Rozumie pani.

– Komu byłoby łatwiej? I co? – Od razu zrozumiałem, że mogę spisać koncepcję na straty. A przy okazji także przyjaźń z Gabrielą Asmare. Chyba po raz pierwszy doszukałem się chłodnego, pogardliwego błysku w jej oczach. – Chce pan powiedzieć, że jeśli nie dołożę do paszportu świadectwa chrztu, to niestety muszę poczekać na inny autobus?

Kierująca się logiką część mego mózgu zatarła ręce. Notowania Szczebielewicza leciały na łeb, powinienem się cieszyć. Nie przyjmowałem wprawdzie do wiadomości, że mógłbym stanąć przed koniecznością dokonywania trudnych życiowych wyborów w związku z Gabrielą Asmare, ale wychodząc w jej oczach na gnojka, mogłem nie przyjmować tym śmieiej.

Problem w tym, czy logiczna część mózgu była w większości.

– Chciałem powiedzieć, że jeśli zaczną strzelać do tych chłopców – wskazałem kciukiem ściankę, za którą rozciągał się biwak – to może będzie wam z tym lżej. Im i pani.

– Zapomniał pan o sobie.

– O sobie wiem, że religia to ostatnia rzecz, za którą chciałbym dać się zabić. Co do nich nie mam takiej pewności.

Opuściła głowę. Przez jakiś czas wydawała się być całkowicie pochłonięta skubaniem sznurówki.

– Nie muszę z wami jechać – powiedziała cicho.

– Ale chce pani. – Nie odpowiedziała. Wiedziałem, że nie odpowie. – Dlaczego trzeba było aż Grochulskiego, żeby panią tu zatrzymać?

– Nie muszę z wami jechać – powtórzyła, nie unosząc wzroku.

– Rozumiem.

Podniosłem się i wyszedłem ze śmigłowca.

*

Po zainstalowaniu brezentowego dachu i podwieszeniu noszy na jego pałkach, honker od biedy upodobił się do sanitarki. Nie chciałbym nią podróżować w upale i kurzu po wybojach etiopskiej drogi, mając zmiądzoną miednicę, ale na szczęście od przesiadki na prawdziwy pojazd pomocy medycznej dzieliło Świergockiego najwyżej sześć godzin. Tyle, według ostrożnie skalkulowanego planu Filipiaka, miał potrwać dojazd na miejsce spotkania z samolotem sanitarnym. Olszanowi wspomaganemu przez niedużego okularnika nazwiskiem Giełza udało się uruchomić radiostację sokoła. Połączenie było kiepskie, dogadali się jednak. Dowództwo UNIFE zdecydowało się na mieszany wariant ewakuacji rannego. Razem z kolumną Filipiaka mieliśmy dotrzeć do szosy Werder-Geladi, odległej o sto trzydzieści kilometrów, i przesiąść się na pokład turbośmigłowego Ae270, szybkiego, lekkiego samolotu, zdolnego dolecieć tam z Addis Abeby, usiąść na drodze i wrócić z dziewięcioma pasażerami bez konieczności tankowania. Sokół, jako niezdolny do lotu, miał pozostać na łasce losu i lokalnych władz etiopskich. Oba pilotom nakazano wracać z nami.

Przygotowałem honkera, przenieśliśmy do niego swoje rzeczy i ukrytą w śpiworze apteczkę z rozbitego śmigłowca. Raportówki nie musiałem przemycić: wypchanych toreb, tornistrów i temu podobnych krążyło tego ranka po obozie tak dużo, że nikt nie miał prawa zwrócić na nią uwagi. Pluton współczesnej piechoty skazany na kilkudniową autonomię nie ogranicza się do wyposażenia każdego żołnierza w plecak. Mając do dyspozycji odpowiednio dużo pojazdów, można zabrać takie luksusy jak książki, odtwarzacze, lampy naftowe i temu podobne rekwizyty, które nie są konieczne, by przetrwać, ale znakomicie podnoszą morale. Oczywiście przede wszystkim zapakowano na ciężarówki i wozy bojowe przedmioty użyteczne: miny, taśmy zasiekowe, szpadle, kilofy, worki, siatki maskujące i tak dalej. W sumie było tego zbyt dużo, by bez dokładnej kontroli dało się wychwycić nielegalny przewóz czegoś mniejszego od pianina. Samych kanistrów na wodę, kołyszących się wzdłuż burt samochodów i transporterów, Filipiak zabrał tyle co ludzi, nic więc dziwnego, że formująca się kolumna przypominała cygański tabor.

Pod kierownictwem sierżanta szefa kilku żołnierzy wycięło piłą spalinową dwa drzewka, z których sklecono coś w rodzaju platformy. Zamocowana na grzbiecie stara cysterna, miała posłużyć jako laweta do przewozu zwłok. Pomysł wydawał się dość makabryczny, ale nikt nie miał lepszego. Samochodów było wprawdzie więcej niż sprzętu pancernego, jednak po utracie UAZ-a i przekwalifikowaniu honkera na sanitarkę w grę wchodziły jedynie ciężarówki. Star szefa wiozł oprócz sprzętu kwatermistrzowskiego żywność i choć konserwom nie szkodzi sąsiedztwo trupów, późniejszym konsumentom owych konserw – już trochę tak. Drugim starem

jechała trzecia, i tak poszkodowana przez los drużyna plutonu. Nie mieli własnego bewupa, a ich dowódcy podcięto w nocy gardło. Ostatnia ciężarówka wiozła armatę przeciwlotniczą, amunicję do niej i gromadkę ludzi, od których, w przypadku pojawienia się wrogiego śmigłowca, zależał los nas wszystkich. Wolnych miejsc było w kolumnie jeszcze sporo, nie dało się jednak ulokować dwóch trupów z dala od ludzi i jedzenia, a zarazem dyskretnie i w miarę godnie. Na szczęście Lesik, potencjalny oponent, miał kłopoty z kacem i nie protestował.

Zanetti i Agnieszka Wielogórska byli w lepszej formie, ale też kategorycznie odmówili spożycia śniadania. Jolę bolała głowa, a Olszan wyplukiwał resztki alkoholu z organizmu takimi ilościami kawy, że specjalnie dla niego kucharz odpalił ruszt pod najmniejszym kotłem kuchni polowej. Wszystko to sprawiło, że Filipiak nabrał respektu dla etiopskich trunków i gładko przeszedł do porządku nad kwestią stanu emocjonalnego panny Asmare ubiegłej nocy.

Pożyczyłem od Ciołkosza dwóch ludzi z karabinami, kazałem im czekać przy honkerze i udałem się nad staw. Jak większość byłych „sokolników”, nie mających nic do roboty, Gabriela siedziała nad wodą – choć niedokładnie tam, gdzie inni – mocząc nogi i obserwując poranne pojenie bydła. Po nocnej strzelaninie wieś wydawała się jeszcze bardziej pusta i martwa niż wczoraj.

– Potrzebuję tłumacza. Gdyby pani mogła...

Wstała bez słowa, schyliła się po buty, nie zakładając ich, ruszyła w stronę samochodu. W wozie, może z uwagi na towarzystwo pary szeregowych, też nie próbowała chować stóp w tenisówkach.

Tym razem nikt nie witał nas przed domem dyrektora Asmare. Dookoła nie widać było żywego ducha, okiennice pozamykano, a przed bramą leżał zapinany na zamek błyskawiczny worek z grubej czarnej gumy.

– Cholerne dzikusy – mruknął kierowca, szeregowy Andrusiak. – Nawet zwłok nie uszanują.

Spojrzałem kątem oka na dziewczynę: gdyby nie brąz jej skóry, byłaby teraz bardzo blada.

– Chyba nie chcą z nami rozmawiać – domyśliłem się. Skinąłem na żołnierzy. Andrusiak został przy wozie; w rękach trzymał glauberyta i widać było, że nie robi tego z czystej chęci imponowania gapiom. W otaczającej nas pustce było coś niepokojącego. – Nie pożegna się pani?

Stała plecami do mnie, ale z tyłu przeczący ruch głową jest równie czytelny. Nie widać za to łez. Nie miałem pojęcia, że płyną z jej oczu, dopóki nie odwróciła się i ścierając je z policzków nie wróciła do samochodu.

Nie płakała, po prostu spod powiek wylały się po dwie czy trzy krople. Twarz pozostała nienaturalnie spokojna, a kiedy żołnierze przytaszczyli worek, przejęła od tego z przodu uchwyt i pomogła umieścić ciało na noszach.

*

Kolumnę otwierał bojowy wóz piechoty drugiej drużyny. Trzydzieści metrów za nim włókł się czterdziestką sierżant Ciołkosz swoim starem, dalej bliźniacza ciężarówka trzeciej drużyny, cysterna ciągnąca kuchnię polową,czołg, sanitarka, suzuki samuraj Agnieszki, wóz opelotki, drugi bewup i zamykający sznur pojazdów BRDM. Trzystumetrowa kolumna robiła wrażenie raczej kompanii niż plutonu, a w razie ataku byłaby też mniej wrażliwa na ostrzał granatników czy karabinów. Inna sprawa, że kilka podobnych incydentów z udziałem Błękitnych Hełmów należało traktować jako nieszczęśliwe wypadki – żadna z walczących stron nie zadzierała celowo z UNIFE. Podczas krótkiej zbiórki, przeprowadzonej przed wyjazdem, Filipiak wyjaśnił, iż nie oczekuje żadnych kłopotów związanych z wojną i wszelkie środki ostrożności podejmowane są mocno na wyrost. Pasażerowie – czyli my, „sokolnicy” – mogą nie zaprzętać sobie głów sterczącymi na wszystkie strony lufami. Natomiast panom żołnierzom przypomina się, że oczy służą do patrzenia, i to nie na karty czy zdjęcia gołych pańienek. Ta ostatnia uwaga wydała mi się trochę nieprzemyślana: cały dwuszereg wykonał natychmiast pachnące buntem: „Na lewo patrz!” i bez mała pięćdziesiąt par oczu zaczęło rozbierać wzrokiem trzy stojące z boku młode kobiety. Było mi szczerze wstyd, kiedy w chwilę później zagarnąłem do swej sanitarki aż dwie z nich, w dodatku młodsze i ładniejsze.

Już po paru kilometrach zorientowałem się, że układ jest fatalny. Naszpikowany środkami przeciwbólowymi Świergocki spał, kołysząc się w rytm łagodnego falowania gruntowej drogi, a opieka nad nim sprowadzała się do siedzenia obok. Honker miał teraz dwie dwuosobowe, zakończone podłokietnikami ławki przy lewej burcie i oczywiście obie panie ulokowały się na przeciwległych końcach każdej z nich. Nie byłby to problem, gdyby nie Lesik, który zajął fotel obok kierowcy. Mogłem albo wpakować mu się na kolana, albo dokonać wyboru, którego wcale nie chciałem dokonywać. Gdyby łopata trafiła Świergockiego wyżej lub niżej, byłbym kryty – ale biodro miał jak każdy pośrodku ciała i wybór ławki należał wyłącznie do mnie.

Usiadłem bliżej głowy pacjenta. Udo w udo z pielęgniarką.

– Na szczęście wracamy – powiedziała. – Mam dość tej dziczy.

– Co stolica, to stolica – zgodziłem się. Próbowałem ocenić, czy jej biodra i ramiona są aż tak szerokie, że musi kleić się do mego boku, a także doszukać się jakichś emocji w twarzy Gabrieli. W obu przypadkach bez powodzenia.

– Nie wiem, jak można tu żyć – zwierzyła się Jola jakiś czas potem. – Upał, brud, smród i muchy.

Przymknąłem oczy. Sen nie byłby złym rozwiązaniem.

– I pomyśleć, że w kraju jest teraz całkiem biało. – Chwila przerwy. – Chciałabym tam być. Święta... Co to za święta bez śniegu?

– Mnóstwo ludzi na świecie musi się bez niego obyć.

– Ale dla nas to już nie to – powiedziała cicho. – Muszą być białe. – Jakiś wybój przycisnął ją mocniej do mego boku i choć potem rzuciło nami do przodu, już tak pozostała. Była miękka i ciepła. – Białe.

Zasypiałem. Dobrze jest zasypiać, mając obok piękną dwudziestolatkę, która nie ma nic przeciw temu, by się do ciebie przytulić. Myślę, że w niebyt odpłynąłem uśmiechnięty.

*

Huk był przeraźliwy. Z samej definicji – przeraził mianowicie kierowcę. Tylko mocno wstrząśnięty szofer potrafi skręcić nagle pod kątem prostym, wlokąc się czterdziestką. Andrusiak dokonał tego, a ja wyfrunąłem z siedzenia, trzasnąłem czołem w ściankę – na szczęście z brezentu – i jedynie cudem uniknąłem upadku na biodro Świergockiego.

Dobra ćwiartka zachodniego horyzontu znikła za ogromną chmurą pyłu, a wokół wozu latały płonące gałęzie. Ktoś krzyczał. Smagany piachem samochód resztkami rozpędu wtoczył się na pagórek, silnik zawył i zgasł, gdy spanikowany Andrusiak puścił zbyt gwałtownie sprzęgło.

– Miny! – Lesik otworzył kopniakiem drzwi. – Padnij!

To, co wykrzykiwał, nie miało sensu, ale praktycznie wszyscy, którzy mieli taką możliwość, wylądowali na brzuchach. Rzucająca się do wyjścia Jola nie zwróciła uwagi, że klęczę na jej drodze, skutkiem czego oboje runęliśmy na podłogę. Gabriela, która zdążyła otworzyć tylne drzwi i wyskoczyć, przeoczyła gęstą kępę zarośli przed przednim zderzakiem Honkera. Wóz cofnęło, a ona, uderzona trochę poniżej pośladek, upadła na twarz i znikła, przykryta cielskiem nasuwającego się na nią samochodu. Jeden Lesik, ignorując własny apel, pognał w poprzek zbocza, krzycząc coś niezrozumiale.

Andrusiak wziął się w garść, wbił stopę w hamulec.

– Zaciągaj ręczny! – Wytoczyłem się, zanurkowałem pod tylną oś. Kilkanaście metrów od nas T-72 wrywał drodze kilkanaście kilogramów piasku, hamując gwałtownie i obracając wieżę. Chyba nikt nie strzelał, ale nie obchodziło mnie to w tej chwili. Mój strach koncentrował się tam, pod spodem.

Honker, jak to terenówka, miał spory prześwit, ale tu nie było ani płasko, ani równo. W momencie upadku Gabriela nie znajdowała się na domiar złego w osi wozu, co znaczyło, że jeśli nawet nie głowę i korpus, to w każdym razie którąś z kończyn mogło rozjechać koło.

– Gapa?!! – Mój krzyk wdarł się w śmierzącą dymem i spalinami ciemność, pękł w zderzeniu ze sterczącym z traw głazem. Między nim a obudową przekładni zostało może parę centymetrów. – Ga...pa?

Szarość, pył w oczach. Niewiele widziałem.

Coś się poruszyło, stuknęło, ni to jęknęło, ni zasyczało. Moja ręka wystrzeliła do przodu.

Trafiłem w coś miękkiego, co od razu umknęło w bok. Stuknęło głośniejsze.

– Auuuua... Moja głowa! – Głos był płaczliwy, ale i kojąco gniewny. – Nie po oczach! Cholera...

– Nic ci... nic pani nie jest? – Było za ciasno, by pchać się tędy do niej, jednak nie dlatego leżałem przez chwilę nieruchomo. Ulga dosłownie mnie sparaliżowała. I jeszcze coś: po dwóch zderzeniach głowy z podwoziem dziewczyna chwyciła mnie za rękę. Raczej w obronie oczu, niż z potrzeby duchowego wsparcia, ale...

– Ciężkie przestraszenie – wystękała. Zaczęła wypelzać spod samochodu z boku, między kołami. Świergocki nie ruszał się, nie jęczał. Jola, wystraszona, lecz cała, klęczała na piasku przy kiwających się drzwiczkach. Mówiła coś, nie słyszałem jej jednak, bo tuż obok ryczał silnik beerdeema – samochód pancerny, mocno przechylony na bok, forsował stok po prawej stronie drogi. Sto metrów wcześniej trakt zaczął opadać; katastrofa, czy jakkolwiek to zwać, dopadła kolumnę na dnie płytkiej dolinki. Była wąska, więc chcąc ominąć samuraja, Mazurek musiał zaryzykować wywrotką. Nie zastanawiałem się, po co.

Na czworakach dopadłem prawego boku honkera, złapałem Gabrielę za łokcie, szarpnąłem tak, że odleciałem z pół metra do tyłu, nim ziemia grzmotnęła mnie w plecy, a twarz dziewczyny w żołądek.

– Ręce mi urwiesz! – wrzasnęła. Puściłem jej łokieć – jeden – i równie mało delikatnym ruchem kolana, przewróciłem ją na plecy, samemu obracając się na brzuch i zyskując swobodę ruchów. Na moment znikła mi z oczu w obłoku czarnego dymu. Pomyślałem, że czołg, wbrew temu, co mi się wydawało, musiał oberwać.

Potem pojawiła się znowu. Była szara na twarzy – może od kurzu – i nie próbowała się wyrwać. Bała się. Oboje się baliśmy.

– To mina?

Potrząsnąłem głową. Sądząc po rozmiarach rozpełzającej się chmury kurzu, ładunek eksplodował kilkanaście metrów od drogi. Nikt nie zakopuje min, nawet kierunkowych, tak daleko. Czyli pocisk. Filipiak, było nie było zawodowiec, ocenił to chyba podobnie. Gęsty, rozlewający się szeroko dym bez ognia dowodził, że nie min się obawia. Nikt nie stawia zasłony dymnej, kryjąc się przed zakopaną w ziemi śmiercią, a czołg, co zrozumiałem dopiero teraz, nie płonął, tylko toczył się wzdłuż drogi z uruchomionym agregatem dymotwórczym.

– Wszyscy oprócz załóg z wozów! – usłyszałem głos porucznika, dobiegający z pokładowej radiostacji. – Rozproszyc się! Kierowcy...

Przestałem go słuchać, bo Andrusiak wziął rozkaz do siebie i wyprysnął z kabiny. Ręcznego oczywiście nie zaciągnął. Honker zaczął się staczać ku drodze. Poderwałem się na klęczki, zagarnąłem pod kolanami obie nogi Gabrieli i, waląc się na nie piersią, omal nie wymusiłem na dziewczynie przewrotu w tył z pozycji leżącej.

– Jola! Uważaj!

Nie musiała: miała ciut więcej rozsądku od nas i w porę odsunęła się od samochodu. Mnie też się udało. Lewy but zjechał trochę, ale opona jedynie otarła się o podszwę. Żadna z naszych czterech stóp nie pozostała w koleinie, nie dała się zmiążyć. Ale niewiele brakło.

T-72 puknął salwą granatów dymnych. Rzeka czerni, ciągnąca się za czołgiem, zyskała w mgnieniu oka sporą odnogę, wysuniętą tym razem przed pojazd. Stalowy kolos wyhamował, zaczął zawracać.

Leżałem na Gabrieli, z jej nogą przerzuconą przez bark, i próbowałem zrozumieć, o co w tym chaosie chodzi. Właśnie wtedy nadleciał drugi pocisk. Nie usłyszałem go, ale zdążyłem dodać dwa do dwóch i kiedy rąbnęło, wiedziałem już, co jest grane.

Ziemia i dym. Droga biegła tu w obniżeniu i to właśnie różnica poziomów ocaliła czołg po raz pierwszy. Potem siła rozpędu wyniosła siedemdziesiątkę dwójkę na bardziej odkryty teren, więc dowódca zaczął bronić się tym, co mu pozostało: zasłoną dymną i ucieczką do wąwozu.

Mądrze zrobił: to coś, co z przeraźliwym hukiem rozerwało się gdzieś w burej chmurze, rozcinając ją długim na kilkanaście metrów sztyletem ognia, prawdopodobnie uporałoby się nawet z najgrubszym czołowym pancernem T-72. A przecież nadleciało z boku.

Podmuch uderzył nas w twarze, sypnął piachem, zagwizdał odłamkami. Z tyłu trzasnęła szyba samochodu. Daleko z przodu żółta wstęga znaczyła ślad umykającej ciężarówki. Coś syczało.

Nie, nie coś – ktoś. Gabriela. Dotykała kamienistego gruntu tylko głową, ramionami i górną połową pleców – to musiało boleć. Honker minął nas już, więc cofnąłem się szybko. W krytycznym momencie miałem brodę niemalże w jej kroczu, potem, przez dłuższą chwilę, jedna jej noga opierała się o mój bark, druga, mocno wyrzucona w bok, jeszcze bardziej obscenicznie sąsiadowała z biodrem – nic dziwnego, że dopadło mnie w końcu oczywiste skojarzenie i w przypiływie lekkiej paniki popełniłem kolejną gafę. Nie próbowałem asekurować pośladek dziewczyny i na „do widzenia” grzmotnęła jeszcze nimi o ziemię.

Przez króciutką chwilę, ułamek sekundy zaledwie, miała w oczach autentyczną złość i chęć wzięcia odwetu. Potem pozostał sam ból.

– Moje kości! – stęknęła. I zdobyła się na bohaterski wysiłek, odwracając kierunek podkówki wygiętych ku dołowi ust. Dookoła ryczały silniki, wirowały strzępy płonącej trawy, a ona wyteżała mięśnie i budowała dla mnie uśmiech. – Już pana nie lubię. Weterynarz od koni.

Nie odezwałem się. Po głowie chodziła mi tylko jedna myśl, a ta nie nadawała się do ubierania w słowa. Nie mogłem powiedzieć, że ja też właśnie przestałem ją lubić.

Sprawy zaszły o krok dalej.

*

– Co to było? – zapytał w imieniu wszystkich Morawski.

– Złapaliśmy dwa krótkie impulsy – Filipiak, spocony i ponury, wskazał górną część łagodnego stoku. BRDM, pochylony nosem ku drodze, gotowy do błyskawicznego skoku w dół, pod osłonę matki-ziemi, stał tam i węszył, młynkując anteną radaru. – Siedem i pół oraz osiem kilometrów stąd. W dwudziestosekundowym odstępie. Potem już nic.

Wołynow zagwizdał przez zęby.

– Śmigłowiec?

– Na to wygląda – westchnął porucznik.

– Niemożliwe – stwierdził spokojnie Morawski. – Widziałem, kiedy zaczęli. Jeszcze kurz nie opadł, a antena już chodziła. Sekundy. Nie zdążyłby zwać tak daleko. Przy trzech, czterech kilometrach w momencie otwarcia ognia potrzebowałby... no, z półtorej minuty. Obrót, rozpędzanie... Nie, niemożliwe.

Nikt nie miał nic do powiedzenia: to on był alfą i omegą. Dla wszystkich, z Olszanem włącznie. Ale nie dla panny Asmare.

– Musiałby zdrowo przyhamować – mruknęła, marszcząc brwi.

– Proszę?

– Cztery kilometry w półtorej minuty, tak pan powiedział. To daje z grubsza kilometr na dwadzieścia parę sekund. I to wliczając obrót i rozbieg. A potem, jak się już rozpędził, w dwadzieścia sekund zrobił tylko pół?

Przez chwilę wszyscy powtarzali w myślach jej rachunki.

– Może Grochulski coś schrzanił – powiedział niepewnie Filipiak.

– Oby – mruknął Morawski. Porucznik uniósł brwi. – Bo jeśli miał rację, to były dwa i jeden strzelał, a drugi pokazał się na radarze. Albo... Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego? – Agnieszka nadal była skacowana, a wyskakiwanie z samochodu i przeczekiwanie ostrzału w jakiejś dziurze nie poprawiło jej samopoczucia. W końcu jednak odezwał się dziennikarski instynkt.

– Bo na świecie produkuje się tylko kilka pocisków o takim zasięgu. I praktycznie żaden z nich nie jest dostępny w Afryce. Nie mówiąc o tym, że żadnego nie da się wystrzelić z byle wiatraka. Aparatura naprowadzająca jest cholernie droga, cholernie tajna i sprzedaje się ją w pojedynczych egzemplarzach najbardziej zaufanym sojusznikom.

– Może trochę konkretniej – upomniał się kapelan.

– Mówiłem: to praktycznie niemożliwe.

– Ale co by to było, gdyby praktyka zawiodła? – przyciskał Lesik.

– Pomijając prototypy? Południowoafrykańska mokopa, rosyjskie wichr i ataka, no i amerykański hellfire.

– I nie da się tego kupić? – upewniła się Agnieszka.

– Nie da się?! – parsknął Lesik. – Nie słyszy pani? Rosyjski wicher!

Zrozumiała. Popatrzyła wymownie na Wołynowa.

– Jestem obywatelem Kazachstanu – posłał jej kpiący uśmiech, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Lesik odczekał, dopóki się nie oddali, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Mój Boże, zawsze to samo, zawsze oni... Nawet tutaj, na końcu świata. Czy to się nigdy nie skończy?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Tak naprawdę nie zadał pytania.

– Tak czy inaczej zaraz ruszamy – odezwał się Filipiak po dłuższej pauzie. – Teraz naprawdę ostrożnie. Czuję, że to nie koniec.

*

Jako wieszcz porucznik Filipiak zrobiłby karierę. Zdążyłem zbadać Świergockiego, a kolumna przebyć pięć kilometrów. Zdejmowałem właśnie stetoskop, kiedy coś huknęło z przodu.

– Kolumna stać! – szczechnął głosem Filipiaka osadzony w tablicy rozdzielczej radmor. – Spokojnie, nikogo nie widać.

Obróciłem głowę. Gabriela nie musiała – czułem na sobie jej wzrok od dawna – ale nim zaczęła rozglądać się za rozbłyskami strzałów, tłumem facetów z maczetami czy podobnym nieszczęściem, przez sekundę marnowała czas na patrzenie mi w oczy. Miałem wrażenie, że chce coś powiedzieć. Pewnie przypisałem jej własne intencje.

– Tu Hanusik, panie poruczniku. – Dowódca jadącego w szpicy BWP-1 miał albo gorszy nadajnik, albo kłopoty z głosem. – Chyba... chyba wjechaliśmy na minę. Nie wiem, co z załogą.

Z załogą było to samo, co z nim: wszyscy żyli, byli cali i mocno wstrząśnięci. Kiedy dotarłem do czoła kolumny, cała dziewiątka kłębiła się wokół wozu, roztrzasała to, co zaszło. Nie dziwiłem się im: rozciągnięta za szerokim zadem bewupa gąsienica została rozerwana może bez chirurgicznej precyzji, ale za to wyjątkowo brutalnie. Koło, pod którym eksplodowała mina, wyglądało jeszcze gorzej.

– Lekka – Filipiak dźwignął się z kolan. – Poszły dwa ogniwa, to wszystko. Biercie się do roboty, Hanusik. Staśko, przejdź się kawałek.

Dopiero teraz zauważyłem, że jeden z szeregowych ma na uszach słuchawki, a w ręku sondę elektromagnetycznego wykrywacza min. Skinął głową i zygzakując od koleiny do koleiny, ruszył wzdłuż drogi. Chyba wierzył w jakość swego sprzętu, bo szedł dość szybko.

– W porządku, doktorze – Filipiak zdobył się na słaby uśmiech. Odeszliśmy na bok. – Nic nikomu nie jest.

– Pomijając bewupa.

– Za pół godziny będzie na chodzie. Mamy zapasowe ogniwa.

– Oby więcej niż ci faceci min – powiedziałem cicho, bo sianie defetyzmu nie jest najlepszą metodą na przetrwanie.

Nie wyglądał na rozgniewanego i to była ta jaśniejsza strona medalu. Świat, także wojskowy, pełen jest ludzi, którzy obrażają się na kogoś niszczącego ich różowe wizje.

– Niech pan to odpuka. – Mówił jeszcze ciszej niż ja. – Jeszcze jedna i trzeba będzie zrezygnować z tej drogi.

– Chwileczkę... Jak to: zrezygnować? Innej nie ma.

– A myśli pan, że dlaczego akurat panu każę odpukiwać?

Popatrzyłem na otaczające nas pustkowie, upstrzone plamkami rzadko rosnących krzaczków i karłowatych drzew. Oglądane z daleka łagodne stoki pagórków wydawały się gładkie jak autostrada. Ale nią nie były.

– Jeden mocny wstrząs może zrobić z niego kalekę – powiedziałem sucho. – I jeszcze coś: jadąc na przełaj musielibyśmy jeszcze bardziej zwolnić. Nie zdążymy na samolot.

– Może przylecieć później.

– Ale nie w nocy. Znam tę maszynę. Nikt się nie zgodzi, by lądowała po ciemku na etiopskiej szosie. Pomijam już kwestię łączności...

– To uprzejmie z pana strony – uśmiechnął się gorzko.

Przerwał. Staśko klękał po lewej stronie drogi. Bardzo powoli.

Tym razem obeszłoby się bez napraw: mina, którą wręczył porucznikowi po paru minutach ostrożnej pracy, miała rozmiary małej konserwy i nie zniszczyłaby gąsienicy. Miała urywać nogi lub rozwalać koła samochodom.

– Metal tylko w zapalniku – powiedział Staśko. Był spocony jak szczur. – Tyle co nic... Ledwo ją słyhać.

– Znasz ten typ?

– Nie wiem... Chińska chyba.

Filipiak ruszył w stronę beerdeema, otwierając mapnik.

– Może... Czołg jest najmocniejszy – rzuciłem niepewnie, kiedy zbliżaliśmy się do sanitarki.
– Gdyby jechał przodem...

– Myślałem o tym – mruknął, nie odrywając wzroku od przygnębiająco monotonnego arkusza mapy, niemal zupełnie pozbawionego symboli dróg i osad. – Ale nie możemy ryzykować. To podstawa naszej opelotki.

– Czołg? – zdziwiłem się. T-72 uzbrojony był co prawda w wielkokalibrowy karabin maszynowy, zainstalowany obok wjazdu dowódcy, ale nawet w Europie, gdzie krajobraz był urozmaicony i pancerniaczy mieli dużo więcej okazji postrzelać z bliska do celów powietrznych,

nikt nie traktował już zbyt serio tego typu oręża.

– Jeśli to był faktycznie śmigłowiec i strzelał z sześciu, siedmiu kilometrów, to gromem guzik zwojujemy. Nawet gdyby zawisł wysoko i nie stosował uników. Po prostu za duży dystans. A armata czołgowa doniesie.

– Trafić w śmigłowiec z sześciu kilometrów? – popatrzyłem na niego jak na wariata. Uśmiechnął się, chyba z uznaniem.

– Brawo, doktorze. Nie da się, nawet z amerykańskiego czołgu. Ale mamy w rękawie... no, może nie asa... damę, powiedzmy. Testowaliśmy w Stargardzie nowe zapalniki czasowe do odłamkowo-burzących. Generalnie z myślą o piechocie pochowanej za przeszkodami, ale można z tego walić i do śmigłowców. Procedura jak przy strzelaniu do wozów, tyle że system kierowania ogniem programuje dodatkowo zapalnik i granat wybuchu w zamierzonej odległości.

– Wskazał przyczajony między parą pagórków czołg. – Wóz Drabowicza ma odpowiednią przystawkę. I pociski.

– Możemy zestrzelić tego drania? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Z tej odległości? Wątpię. Za duży rozrzut. Ale sam pan widział: i on nas nie trafił. Powyżej pięciu tysięcy metrów laserowy podświetlacz już stwarza problemy. Może wystarczy trzymać łobuza na dystans. A jak mu raz stodwudziestkapiątka pieprznie kilkanaście metrów od maszyny, to nabierze respektu. Chociaż osobiście mam nadzieję, że podleci bliżej i dostanie paroma odłamkami. O ile to w ogóle śmigłowiec.

– O ile? – zaskoczył mnie. – A niby co?

– Myślałem o tym. Grochulski tylko zastępuje operatora, nie bardzo się zna na radarze. Może ustawił złą skalę. Nietrudno o pomyłkę, jak do człowieka strzelają. A granica jest tuż obok. Tutaj nie, ale pod Harerem był taki przypadek: przez trzy dni z rzędu coś blokowało drogę, rozwalając wozy prowadzące konwój. Jedzie kolumna, pierdut, i najsilniejszy z wozów osłony wylatuje w powietrze. Od trafienia z góry, żadna mina. Dobrze, że nie na nas padło, tylko na wojaków Degawiego. Wybuchła mała panika, nikt nie wiedział, co jest grane. Okazało się, że ktoś, nie wiadomo: Somalijczycy czy tamtejsi muzułmanie, dorobił się samobieżnej haubicy 152 mm i paru pocisków kierowanych do niej. W nocy przekraczali granicę, stawali z dziesięć kilometrów od szosy, facet z podświetlaczem chował się przy drodze, wybierał cel... Potem w osłonie ważniejszych konwojów latały tam uzbrojone awionetki, więc na trzech razach się skończyło, ale samej haubicy nie udało się załatwić.

– Myśli pan, że to po prostu... działa?

– Tu i ówdzie Etiopczycy donoszą o niespodziewanych atakach ogniowych przy użyciu ciężkiej amunicji. Parę razy ktoś przywalił im kasetowymi; to nie to, co kierowane, ale jak na Afrykę też pierwsza liga. Więc może teraz padło na nas. Mogą planować poważniejszą akcję w tej okolicy; te śmigłowce po coś tu latały. A do poważniejszej akcji mogli przydzielić lepszy

sprzęt. Inna sprawa, że równie dobrze mógł nas ostrzelać jakiś dzcip z pepekiem. Wcale nie z sześciu czy siedmiu, a z trzech kilometrów. Jeśli się potem nie ruszał albo jechał za wzgórzami, na radarze nie byłoby go widać.

– Ale coś się pokazało – przypomniałem.

– Nie upieram się, że tak było. Tyle że sprzęt przeciwpancerny nie jeździ sam. Nawet najstarsza malutka to w tych stronach zbyt wielki rarytas, by ryzykować. Cokolwiek to było, musiało mieć osłonę. Może to właśnie pojazd obstawy widział Grochulski.

Trochę podniósł mnie na duchu.

Pół godziny później kolumna ruszyła w dalszą drogę. Nic się nie zmieniło, oprócz tego, że niemal cała załoga prowadzącego wozu przesiadła się na dach, stosując stary patent z Wietnamu, Afganistanu i innych lokalnych wojen o stosunkowo małej intensywności. Szansa, że ktoś ostrzela kolumnę z karabinu, była stosunkowo niewielka, a dodatkowa warstwa pancerza pod pośladkami podnosiła i bezpieczeństwo, i morale. Filipiak doskonale to rozumiał i dlatego nie protestował. Miał rację. Jego problem jako dowódcy polegał na tym, że miał też pecha.

Z odległości dwustu metrów wybuch lekkiej przeciwpiechotnej miny zabrzmiał jak puknięcie petardy. Kurzu, wypłutego spod gąsienicy, też było tyle, co kot napłakał i co najmniej połowa z oblepiających pancerz żołnierzy zeskoczyła z hamującego wozu z czystej ciekawości.

– Znowu – westchnęła Gabriela. – Jak tak dalej pójdzie...

Nie dokończyła. Na naszych oczach eksplodowała następna mina. Jeden z żołnierzy wylądował wprost na niej. Rozpalone gazy bez trudu wyrwały się spod swej ofiary, siekąc ziarnami piachu i tworząc na ułamek sekundy jaskrawą plamę ognia. Chłopakiem rzuciło na pół metra w górę. Był ostatni, który znikł mi z oczu w potężnej chmurze pyłu – cała reszta runęła na ziemię odrobinę wcześniej.

– Zostać w wozach! – warknęło radio głosem Filipiaka. – Pobocze może być zaminowane!

– Jedź, Andrusiak – powiedziałem.

– Nie słyszał pan?!

– Jedź – powtórzyłem ostrzej. – To rozkaz.

Kątem oka dostrzegłem Gabrielę, pochylającą się ku mej torbie. Jakoś udało się jej to połączyć z otwarciem drzwi, choć kierunki były dokładnie przeciwne. Jola i Lesik siedzieli sztywno, jak przyklejeni.

– Droga zablokowana – powiedział szybko kierowca.

– Masz cały Ogaden do dyspozycji. Gapa, zostań! – Też byłem niezły: patrząc na Andrusiaka wzrokiem zdolnym przepalić deskę, zauważyłem, że dziewczyna jest już jedną nogą na zewnątrz. – Zanim dobiegniemy, chłopak się wykrwawi.

– Nie słyszał pan? – zapytał słabym głosem Lesik. – Nie możemy ryzykować. Tu wszędzie mogą leżeć miny.

Czekałem jeszcze sekundę. Silnik terkotał na jałowym biegu, a Andrusiak skulił się jak ktoś, kto gotów jest przyjąć najwściekleszy wrzask, ale na pewno nie tknie kierownicy.

– Wszyscy z wozu! – Zacząłem się przeciskać między fotelami.

Andrusiaka wymiotło, fakt, że nie bez mojej pomocnej dłoni. Lesik też ochoczo złamał rozkaz dowódcy kolumny. Nie sprawdzałem, co z dziewczynami: były młode i lepiej posługiwały się nogami niż ja honkerem. Nim uporałem się z biegami, tupot stóp o podłogę umilkł.

Wrzuciłem jedynkę i wystartowałem jak żuźlowiec. Parę metrów przed zadem czołgu skręciłem na pobocze. Nie eksplodowało mi w twarz. Wrzuciłem dwójkę i dopiero wtedy mignęło mi w lusterku coś białego.

– Miała pani wysiąść! – Odruchowo zdjąłem nogę z gazu.

– Jedź! Już za późno!

Nie miałem czasu klócić się, nie mówiąc o zatrzymywaniu wozu i wyrzucaniu jej. Była spora szansa, że sama wyleci – przez dach, na którymś z wybojów. Do ostatniej chwili wyciskałem z silnika wszystko, na co było go stać. Zapomniałem o Świergockim, ale chyba dzięki temu honker dostarczył nas do pacjenta, a nie jego zwłok.

Żołnierz o trupiobladej, dziwnie drobnej w zestawieniu z hełmem twarzy leżał pośrodku drogi, przysypany wciąż opadającym pyłem. Wyglądał okropnie, niewiele lepiej niż wykopane ze świeżego grobu ciało, lecz poruszał się. Jego lewa noga kończyła się w połowie podudzia rozdętym kielichem soczystego, spływającego krwią mięsa. Ze spodni pozostały nadpalone strzępy, prawa noga, nienaturalnie skrzycona, musiała być złamana, a strzępy buta, stopy i łydki pokrywały całe ciało aż po okap hełmu. Mimo to nie stracił przytomności. To nie było sprawiedliwe. Leżał, otoczony wianuszkami zszokowanych kolegów, przyglądających mu się z góry, tak wielkich i tak bezradnych.

Któryś rozrywał opatrunek osobisty. Zaczął chyba dość dawno, ale wyraźnie mu nie szło.

– Zostaw! – powstrzymałem innego, próbującego podnosić głowę kolegi. Otworzyłem walizkę, wyciągnąłem opaskę uciskającą. – Dajcie hełm! Tu, pod kikut! I trzymać w górze!

Zamiast błękitnego hełmu między ziemię a poharataną nogę wepchnęło się kolano w błękitnych dzinsach. Gabriela. Od razu nią zakolebało. Przez chwilę widziałem w tym wstęp do omdlenia. Uwalane w piachu ludzkie mięso miało na drugim końcu wielkie, przerażone oczy – taki widok ma prawo zwalić z nóg. Trochę za późno pomyślałem, że gdybym zabrał Jolę, byłoby mi łatwiej. Chłopak umierał, sekundy miały zdecydować o przytrzymaniu go po tej stronie, a ja byłem sam.

Nie doceniłem jej. Nie stała się balastem; podarowała mi z dziesięć sekund, wyszarpując z walizeczki nie tylko strzykawkę, ale i igłę, rozdzierając opakowania i łącząc jedną z drugą.

– Przytrzymam!

Zamieniliśmy się: ja chwyciłem za strzykawkę, ona za opaskę. Kiedy rozbijałem o kant walizki pierwszą ampulkę, krew już prawie nie wypływała z rany – ręce miała równie sprawne jak język i umysł. Z opatrunkiem nie radziła sobie już tak dobrze, ale to mogło poczekać.

– Kamizelka – rzuciłem. – Trzeba zdjąć. I dawać lodówkę.

Ruszyli się w końcu: dwaj zaczęli rozbierać kolegę, trzeci zanurkował w sanitarce, by powrócić z niewielkim białym pudłem, zasilanym z akumulatora. We czwórkę rekompensowali mi brak pielęgniarki. Pod niektórymi względami byli nawet lepsi: Jola nie uporałaby się w takim tempie z wyłuskaniem sporego mężczyzny z ciężkiej jak siedem nieszczęść kamizelki. Pozbawiłaby mnie tym samym ostatniej szansy, jaką byłby masaż serca i wprowadzenie igły wprost w ten najważniejszy z mięśni.

Na szczęście sprawy nie zaszły tak daleko. Serce nie stanęło. Zmierzyłem ciśnienie. Było źle, ale nie tragicznie.

– W książeczce ma grupę krwi – odszukałem wzrokiem Hanusika. Natychmiast rzucił się do wnętrza bewupa: ranny, podobnie jak paru innych, nosił pod kevlarem jedynie podkoszulek. – Pani Gabrielo, w wozie jest pudło z zestawem infuzy... no, kroplówka.

Nie wyglądała za dobrze: kiedy brązowe dłonie znieruchomiały z braku sensownego zajęcia, brązowa twarz zaczęła szarzeć. Uznałem, że zrobiła swoje. Poza tym najlepiej orientowała się, gdzie co leży.

Powrócili z Hanusikiem jednocześnie. Ranny nazywał się Lewandowski i miał zerówkę. Jego pech nadal działał: Urbański miał grupę A i to z myślą o nim zaopatrzono mnie w taki, a nie inny bank krwi. Mogłem zafundować mu raptem ćwierć litra. Na początek nie było to tak mało, ale nim toczący się poboczem czołg przywiózł na pokrywie silnika Filipiaka i wszystkich, których wygoniłem z sanitarki, przyłapałem się na bardziej długofalowym myśleniu.

– Żyje? – Pytanie nie było za mądre: nikt gorączkowo nie podłącza do kroplówki nieboszczyka. Rozumiałem jednak porucznika. Był tylko młodym, rozpoczynającym służbę oficerem, który stracił dziesięć procent swoich ludzi. Jego kariera nie leżała jeszcze w gruzach, ale włos, na którym zawisła, trzeba było oglądać przez lupę.

– Ostrożnie, panie poruczniku – odezwał się poniewczasie Staśko. Nie zauważyłem, kiedy wyciągnął induktor i zaczął sprawdzać teren za bewupem, ale uświadomiłem sobie, że dość długo oprócz mnie i Gabrieli nikt się tu nie przemieszczał ani na krok. I że ci, którzy w końcu zaczęli, uważnie patrzyli pod nogi, wybierając miejsca pobłogosławione śladem stopy lub gąsienicy.

Filipiak zeskoczył z błotnika, ignorując ostrzeżenie. On jeden. Lesik profilaktycznie złapał Jolę za rękę. Chyba niepotrzebnie: na widok węższej tuż obok sondy sama ciaśniej przywarła do wieży.

– Nie ruszymy wcześniej niż za trzy godziny. – Wołałem powiedzieć to teraz. Filipiak był zdruzgotany, nie powinien tak mocno protestować. – Chociaż lepiej w ogóle. Niech przysła

śmigłowiec.

– Trzy godziny? – popatrzył półprzytomnie na woreczek z krwią.

– Nie musi wracać do Addis Abeby. Ma dotrzeć tutaj i podrzucić rannych na szosę. Jakoś mu potem dowiozą paliwo.

Nie był w aż tak kiepskiej formie, jak myślałem.

– Nawet jak wszystko dobrze pójdzie, do samolotu zaczną ich ładować za pięć godzin. My możemy być na szosie za trzy.

– Z parą trupów. – Zamocowałem rurkę do białej w ramię igły. – Jak rozumiem, mamy zostawić drogę i gnać na przełaj. Nawet Świergockiego to może zabić. Tego tutaj zabije na pewno. Zresztą nie w tym rzecz. Potrzebuję trzech godzin, żeby go w ogóle przygotować do jakiegokolwiek transportu. Nie po bezdrożu... do jakiegokolwiek.

– Rozumiem. – Miał twarz starego człowieka. – Spróbuję połączyć się ze sztabem. Niech pan robi swoje. Hanusik, weźcie się za bagnety i zaczniście sprawdzać, czy nie ma więcej tego gówna. I uważajcie.

Wrócił na czołg po własnych śladach.

– Tu są miny, sestro – usłyszałem głos Lesika. – Nie ma sensu ryzykować.

Miał świętą rację, ale sam święty chyba nie był, bo kiedy po jakimś czasie zerknąłem za siebie, w pobliżu nie było nie tylko T-72 i wystraszonej dziewczyny w szortach. Brakowało też kapelana.

Zaraz potem Gabriela wymruczała coś niewyraźnie, przełożyła kikut na kolana jednego z żołnierzy i pobiegła za sanitarkę. Była rozsądną dziewczyną, więc zwymiotowała za lewym kołem – najdyskretniej, jak się dało, a w miejscu, gdzie na pewno nie leżały miny.

*

Lewandowski przeżył, ale poza tym nic nie szło dobrze. Świergocki gorączkował i nie chciał jeść. Z nieba lał się żar, Olszan i Giełza biedzili się z nawiązaniem łączności, Filipiak kazał żołnierzom ryc doły strzeleckie, a chłopcy Hanusika znaleźli plastikowe przeciwpiechotne paskudztwo, na które indukcyjny wykrywacz nie reagował. Drugą identyczną minę wypatrzył ktoś pośrodku drogi zaledwie kilkadziesiąt kroków dalej – trudno było wymyślić wymowniejszy znak ostrzegawczy.

O czternastej ucieszony Giełza podbiegł do Filipiaka i zameldował, że nawiązał łączność. Sam generał Zaręba we własnej osobie pragnie porozmawiać z panem porucznikiem, chociaż warunki atmosferyczne są podłe i trudno będzie się dogadać. Nie przesadził: Filipiak spędził przy radiu dobry kwadrans, porykując chwilami tak, że słyszeli go pewnie w Kasali. Potem zarządził zbiórkę wszystkich od kaprała wzwyż.

– Na początek złe wieści. – Mówił cicho: albo ochrypl, albo nie chciał straszyć kręcących się w pobliżu szeregowych. – Nie będzie śmigłowca. Mamy jechać do szosy. Ale nie drogą. Dwadzieścia kilometrów stąd ciągnie się pasmo wzgórz i zdaniem generała jest to idealne miejsce na zasadzkę. Mamy je objechać od wschodu. Teren jest tam płaski, mało uciążliwy dla rannych. Stracimy godzinę, ale to bez znaczenia, bo samolot i tak się spóźni. Jakies problemy techniczne.

– A dobre wieści? – zapytałem. – Chyba że to już te...

– Może wyślą w powietrze samolot z aparaturą do retranslacji. Będziemy mieli łączność także w marszu, na ukaefie.

*

Nie powiem, że z góry postawiłem krzyżyk na śmigłowcu, ale zabezpieczyłem się i wygospodarowałem kąt w ciężarówce z zapasami. Przenieśliśmy Świergockiego na posłanie ze śpiworów, trochę dłużej trwało udzielanie instrukcji Joli, wyznaczonej do opieki nad nim. Nie była zachwycona, ale kiedy zwabiona damskim towarzystwem trójka Morawski-Wołynow-Zanetti postanowiła przenieść się ze swymi kartami na jej ciężarówkę, odzyskała humor. Mnie też się on poprawił: major Lesik, odmówiwszy parę modlitw nad Lewandowskim, skorzystał z wolnego miejsca pod pancierzem i przeniósł się na bewupa. Dopiero gdy zabrakło tej dwójki, uzmysłowiłem sobie, jak ciężka atmosfera panowała w honkerze, nim zaczęto do nas strzelać i wysadzać nas w powietrze. Oboje źle znosili towarzystwo czarnoskórej dziewczyny, która w chamski sposób okazała się Polką. Nie wiem, czy miotała nimi złość, czy wyrzuty sumienia, ale to obojętne – ludzie po prostu nie lubią, gdy coś nimi miota.

Gabriela ożyła. Kiedy pojazdy jeden po drugim robiły w lewo zwrot, zjeżdżając z drogi, w niczym nie przypominała sennej lalki kiwającej się przy drzwiach. Siedziała pośrodku tylnej ławki, a jej oczy lśniły. Lewandowski spał. Andrusiak wypatrywał min i był niewiele mniej anonimowy od głuchego taksówkarza. Nie potrafiłem znaleźć żadnego pretekstu, mogącego uzasadnić fakt, iż nie gapię się na swoją sąsiadkę. Gapiłem się więc. Oczywiście udając zainteresowanie samurajem, wlokącym się z tyłu. Ona patrzyła – względnie udawała, że patrzy – na prawo i w przód. Co jakiś czas nasze spojrzenia się krzyżowały. I wtedy natychmiast uciekaliśmy od siebie wzrokiem.

– Jeszcze cztery godziny – powiedziała po upływie całej wieczności.

– Słucham?

– Mówię, że musi się pan pomęczyć jeszcze cztery godziny.

– Nie męczę się – zapewniłem, odkręcając butelkę z wodą. Nie od razu zrozumiałem, co ją rozbawiło w takim zestawieniu słów i czynów.

– Wszyscy biali się tu męczą. To Afryka.

Biały. Pierwszy raz przykleiła mi tę etykietkę. Dziwne, ale nie pomyślałem, że może postrzeżać mnie w ten sposób. Było to tym bardziej idiotyczne, że mnie samemu kolor jej skóry od samego początku przesłaniał wszystko, co znajdowało się pod nim.

– W porządku – zgodziłem się. – Jestem dwa razy bardziej udręczony niż pani.

– Skąd pan wie, że akurat...? – urwała. – A, no tak. Faktycznie, połowa mojej krwi jest biała.

– Kobieta mutant – pokiwałem ze zrozumieniem głową. Roześmiała się. Odwzajemniłem błysk zębów i zapytałem: – A tak naprawdę?

– Standard – wzruszyła ramionami. – On czarny student z dolarami, ona głupiutkie blond dziewczę, wdychające przed wystawą Peweksu.

Zgubiłem gdzieś swój uśmiech.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Jak mówię? – wyciągnęła rękę. – Mogę?

Oddałem jej butelkę. Miała klasę i wiedziałem, że nie przetrze szyjki palcami w geście równie bezsensownym, co powszechnym. Nie spodziewałem się jednak czegoś takiego.

Przez chwilę, niedługą, ale znaczącą, dotykała butelką dolnej wargi, potem wolno, zbyt wolno uniosła naczynie i jej usta zamknęły się delikatnie na czymś, co parę sekund wcześniej ja obejmowałem ustami.

Nie zauważyłem, czy coś wypiła. Chyba tak – w jej oczach obawy było trochę więcej niż uśmiechu i desperacji. Prawdopodobnie starała się zachować przynajmniej pozory normalności, zostawić kawałeczek tarczy, którą zdecydowała się opuścić, a która mogła ją ocalić, gdyby okazało się, że zaufała niewłaściwej osobie. Pewności jednak nie miałem. Jej ust nie zwilżyła ani jedna kropla, były suche. I coraz większe.

W końcu zorientowałem się, że to nasze twarze są dużo bliżej siebie. Dzielilo je czterdzieści centymetrów... trzydzieści...

Nie tylko ja się pochylałem w jej stronę. Ona też nie siedziała bez ruchu. Jeszcze tylko ćwierć metra, a jej usta...

Nie wiem, które z nas stchórzyło. Honker podskoczył na wyboju, zakolebał nami, otrzeźwił, podrzucił dogodne alibi, pozwalające wycofać się z twarzą.

Nie dotknęliśmy się nawet. Nie stać nas było na to. Ale przy całej świadomości tego faktu głowa aż dzwoniła mi od kołaczącego się po niej słowa: „Jeszcze”. Jeszcze nie było nas stać. Teraz. W tej chwili.

Jednak istniało coś takiego jak przyszłość.

Cofnąłem się powoli. Tak jak ona. To nie była ucieczka. Widziałem uśmiech w jej oczach. Zdziwienie, niedowierzanie, resztki strachu – jednak przede wszystkim uśmiech.

– I co ja najlepszego robię – powiedziała cicho. – Teraz na pewno źle mnie pan zrozumie.

Muszę chyba zostać w butach.

Nie próbowała udawać, że nic się nie stało.

– W ogóle nie rozumiem – przyznałem.

– Ten wstęp o białych i czarnych... Chciałam zrećznie przejść do tego, że my, Murzyni, też chętnie pozbywamy się nadwyżek ubrania. W tym wypadku butów.

– To ta domieszka białej krwi. – Musiałem zebrać sporo odwagi, by powiedzieć coś takiego. Wolałbym odgryźć sobie pół języka, niż zranić tę dziewczynę, ale czułem, że unikanie drażliwych tematów daleko nas nie zaprowadzi. – Za to w Polsce musiała pani marznąć.

– Tylko zimą. – Chyba jej nie uraziłem. Podobnie jak ja musiała być trochę pijana tym, co się stało.

– Nie rozumiem pani źle – obiecałem.

– To miłe, ale rozmyśliłam się – powiedziała, zakładając nogę na nogę. Była w spodniach, więc tym razem zrobiła to po męsku. Tak było wygodniej. Za lekkimi zderzeniami naszych kolan, wywołanych podłą jakością szlaku, nie musiała kryć się premedytacją.

Ale mogła. Byłem żołnierzem, ryzyko miałem wpisane w zawód. Sznurówka była tuż obok. Zaoszczędziłem nam obojgu wielu słów, pociągając za jej koniec. Gabriela zastygła. Czekałem parę sekund, ale nie skorzystała z szansy. Pomyślałem, że wyjdę na ostatniego idiotę, jeśli wszystko skończy się na rozwiązaniu jej buta, wobec czego, nadal nie za szybko, ująłem go oburącz i zsunąłem ze stopy. Pod spodem była szara skarpetka o przybrudzonym podbiciu.

– Nie wiem, co powiedzieć – mruknęła.

– „Dziękuję” – podpowiedziałem. – „Z drugim sama sobie poradzę”.

– Hmm – posłała wymowne spojrzenie za moje plecy. Z faktu, że nie ugrzęźliśmy dotąd w jakiejś kępie krzaków, wynikało, że ciągle jest tam szeregowy Andrusiak.

– I tylko tyle ma pani do powiedzenia?

– Chyba naprawdę jestem dość gapowata – poszerzyła blady uśmiech. – Swoją drogą to nieładnie przezywać biedne murzyńskie dziewczyny.

– Czy biedna murzyńska dziewczyna pozwoli mówić sobie po imieniu? Z wzajemnością, ma się rozumieć.

– W tych kwestiach nie mamy wiele do gadania.

– Jeśli pani nie chce... – zacząłem, zdziwiony i trochę dotknięty.

– Chcę. Ale zwracam uwagę, że to może być źle odebrane.

Cholera. Miała rację. Białym mężczyznom przez wieki łatwiej przychodziło całowanie takich jak ona, sypanie z nimi i robienie im dzieci niż przechodzenie na „ty”.

– Komu zwracasz uwagę? – Wziąłem się w garść i posłałem jej twarde spojrzenie. Trochę potrwało, nim zrozumiała. W zamian za oczekiwanie podarowała mi żalną, przepraszającą minę.

– Tobie – powiedziała cichutko, po czym maska pękła, ukazując szelmowski uśmiech od ucha do ucha. – Ejackowi.

– To było wredne – odpowiedziałem uśmiechem.

– Gniewasz się?

– Musiałaś nieźle się bawić. To znaczy... chwilami – zreflektowałem się. – Cholera, przepraszam... Głupoty...

– Wiem – przerwała mi łagodnie. – I nie jest tak, jak myślisz. To naprawdę było zabawne. Nie wszystko, pewnie, ale gdybyś słyszał, jak mnie podrywali Koziej i Koliszewski... Odlot, mówię ci. Nigdy w życiu się tak nie uśmiełam. Oczywiście w duchu. – Przyglądałem jej się z niedowierzaniem. – Myślisz, że mam nie po kolei w głowie? – Trafiła, więc milczałem dalej. – Po prostu całe wieki nie słyszałam polskiego słowa. A po amharsku mówię za słabo, żeby wyczuć, w którym momencie zacząć się śmiać. Zresztą w Kasali mało kto mówi po amharsku. No i mamy tu u nas wojnę, głód... Nie ma się z czego cieszyć.

– U nas? – powtórzyłem cicho. Dopiero teraz udało mi się ztrzeć uśmiech z jej twarzy. Długo myślała nad odpowiedzią.

– U nas – mruknęła z wyczuwalnym brakiem przekonania. Czuję, że nie chce o tym mówić. I że już powiedziała dużo.

– Głupio wyglądasz w jednym bucie – zmieniłem temat. – No, już.

Chyba naprawdę starała się przekonać i mnie, i siebie, że to właśnie Afryka jest jej domem, bo już bez słowa pozbyła się i buta, i skarpet. Podwinęła też nogawki. Kiedy na koniec uniosła głowę, w jej oczach znów migotały iskierki kpiny.

– Don Juan to z ciebie żaden – oświadczyła. – Tyle gadania, żeby zdjąć dziewczynie głupie buty. Dam ci radę: jak będziesz chciał jakąś zaliczyć, zapraszaj na śniadanie. Do wieczora zdąży się rozebrać.

Skinąłem głową, ale tym razem nie potrafiłem się roześmiać. Patrzyłem w okno i próbowałem wyobrazić sobie czarnoskórego mężczyznę, któremu Gabriela Asmare powie kiedyś coś takiego. Otaczający nas świat był ogromny, bezkresny. Ale może zbyt mały pod tym względem.

*

Do szyku, w jakim jechaliśmy w poprzek ogadeńskiego pustkowia, najlepiej pasowało staropolskie określenie „kupa”. Honker, z uwagi na wrażliwy ładunek narzucający tempo, trzymał się zwykle z przodu, ale raz po raz wyprzedzał go BRDM, łączący rolę zwiadowcy z funkcją wozu dowodzenia. Filipiak wypuszczał się nim półtora kilometra przed resztą, samochód stawał w wyżej położonym miejscu i przeczesywał radarem przestrzeń. Trwało to pięć

minut, w trakcie których wlokące się stadko mijało owczarka i zostawało daleko za sobą. Potem cykl się powtarzał. Nie było to ani ekonomiczne, ani bezpieczne dla samotnego zwiadowcy, ale inaczej się nie dało: stacja radiolokacyjna wykrywała nawet piechurów, lecz pod warunkiem, że sama nie poruszała się w tym czasie.

Po godzinie Filipiak zastopował całą grupę.

– Doktorze, na sekundę – przemówiło radio jego głosem. BRDM zatrzymał się niedaleko, ale porucznik i tak wyszedł mi naprzeciw. Mimo upału miał na sobie komplet oporządzenia, a w dłoni, czego nie dało się wytłumaczyć chęcią dawania przykładu, trzymał lornetkę.

– Złe wiadomości?

– Niech pan spojrzy. Tam, do przodu.

Spojrzałem. Kawałek Ogadenu, rozciągający się na południowym wschodzie, przypominał marne boisko, płaskie i porośnięte niegodną wzmianki trawą. Drzew praktycznie nie było.

– Tam nic nie ma – powiedziałem niepewnie, oddając lornetkę.

– Właśnie. Gołe, odkryte pole. Ani jednej kryjówki.

– I dobrze. Żaden partyzant z bazuką... – urwałem. – Cholera.

– No właśnie – pokiwał głową. – Patelnia. Idealne warunki dla pocisku kierowanego.

Zrozumiałem, co czego zmierza. Ale nie wybił mi broni z ręki.

– Nie ma ich tam – oświadczyłem z przekonaniem, patrząc na zamykający równinę łańcuszek wzniesień. – Strzelali z zachodu i na zachód uciekli. My skręciliśmy na wschód. To wielki kraj. Od biedy mogliby zdążyć dojechać tam samochodem czy nawet haubicą, ale niby skąd mieli wiedzieć, że akurat tam mają czekać?

– Nie możemy jechać dalej – powiedział cicho.

– Musimy! Już i tak jesteśmy umówieni na styk. Jeszcze godzina zwłoki, a nie zdążymy przed zmrokiem. Trzeba będzie czekać do rana.

– Wiem. Ale to nie musi być samochód albo haubica. Śmigłowiec też wchodzi w rachubę. A śmigłowcem mogli spokojnie zdążyć.

– Morawski mówi, że to niemożliwe.

– Niemożliwe, że strzelali w nas wichrem, mokopą albo hellfire'em. Zgoda. Ale już ta ataka... Wie pan, co to takiego? – Uznał pytanie za retoryczne i sam na nie odpowiedział: – Unowocześniona wersja pocisku, którego używają Mi-24. Nasze chociażby. Morawskiemu chodziło pewnie po głowie te osiem kilometrów, więc założył, że pocisk może więcej. Niby słusznie, bo mało kto strzela na maksymalny dopuszczalny instrukcją dystans. Więc wziął pod uwagę to, co przeleci dychę.

– I miał rację. – Bronilem nie tyle fachowości majora, co swoich pacjentów. – Jak możesz strzelać z bliska, nie strzelaj z daleka. Zasada stara jak świat. A oni mogli. Grom niesie na pięć z kawałkiem. Zresztą te całe ataki to też nie kałasznikowy. Byle kto nie kupi ich na straganie.

Ruscy je mają, ale nie wiem, czy ktoś więcej.

– Zna się pan na tym? – uniósł lekko brwi.

– Trochę. Wojsko to moje hobby – mruknąłem. Nie dziwiłem się jego zdziwieniu. Armie, wbrew pozorom, pełne są osobników nie odróżniających M-16 od M-60 i mila od miga. – Wiem na przykład, że nikt nie montuje tego systemu na małych śmigłowcach. Rosjanie robią, co mogą, żeby upchnąć swoją broń za granicę, a jakoś nie słysząc, by zachęcali biedne kraje dysponujące tylko lekkimi śmigłowcami do zakupu takich rakiet.

– To nie musi być lekki śmigłowiec – rzucił posępne spojrzenie w stronę wzgórz na południu.

– To w ogóle nie musi być śmigłowiec – poprawiłem go. – Sam pan obstawiał haubicę albo samochód z wyrzutnią.

– Przemysłałem to. Zasuwał dziewięćdziesiątką. Ciut za szybko.

– Zaraz – przypomniałem sobie. – Czy takie radary nie rozpoznają automatycznie celu? No wie pan: człowiek, pojazd kołowy, czołg...

– Owszem. Ale muszą dobrze pomacać obiekt wiązką. A ten ledwie mignął zza wzgórz.

– Efekt Dopplera. Radar rejestruje ruch. A chyba trudno pomylić ruch wirnika z czymkolwiek innym.

– Chyba trudno – zgodził się. – O ile widzi się łopaty, a nie głowicę. Albo, powiedzmy, kurz.

– Uniosłem brwi. – To dobry sprzęt. Służy między innymi do namierzania eksplozji. Wie pan: w artylerii.

– Potraficie dostrzec chmurę kurzu, a nie odróżniacie samochodu od helikoptera? Gratuluję.

Milczał przez chwilę. Dawał mi czas, bym ochłonął.

– Nie mogę ryzykować – powiedział w końcu cicho. – Może to i samochód, ale wiemy, że po okolicy kręci się szturmowy śmigłowiec.

– Szturmowy?! – Chyba dał mi za mało czasu. Byłem rozgoryczony i zły. – Bo rozwalil ciężarówkę z ziarnem?! Widzieliśmy ją: dostała w sam środek rakieta niekierowaną. Jedną! Wie pan, co to znaczy? Że podleciał blisko i prawie im ją włożył. Jeśli tak walczą szturmowe śmigłowce, to ja jestem...

– Wielogórska go widziała.

– Dziennikarka – prychnąłem szydyczko. – Pewnie nie odróżnia śmigłowca od młockarni.

– Nie bardzo – przyznał spokojnie. – Ale nie było jeszcze całkiem ciemno, a ci dwaj przelecieli tuż obok. – Uśmiechnął się pod nosem. – Ponoć omal nie wleciała we własne gówno od podmuchu. Jej słowa. A po rolce papieru nawet ślad nie został: odfrunęła w siną dal.

– Dwaj? Oba śmigłowce?

– Dwaj faceci. Jeden za drugim. Ten drugi wyżej. Widziała sylwetki w kabinie. – Milczałem, porażony ciężarem gatunkowym dowodu. Tylko w wyspecjalizowanych maszynach

szturmowych stosuje się tego typu układ foteli. Ale nie powiedział jeszcze najważniejszego. – I jeszcze coś. To na pewno nie był Mi-24. Miał płaskie oszklenie kabiny.

Wojsko było moim hobby. Prawie od razu zrozumiałem, co to oznacza. Ale właśnie dlatego walczyłem do końca.

– Przywidziało jej się. Noc, zaskoczenie... Zwiewali spod ognia, pewnie szybko. Nie miała czasu się przyjrzeć.

– Miała – powiedział bez triumfu, raczej z żalem. Ale właśnie dlatego mu uwierzyłem. – Zdążyła nawet pstryknąć fotkę.

– Co?

– Michnik powinien dać jej podwyżkę – uśmiechnął się smętnie. – Rasowa dziennikarka. W gównu może wpadać, ale zdjęcie i tak robi.

– I... wyszło? Po ciemku?

– Jest pewna, że tak. Będzie czytelne.

– Będzie?

– Kiedy się je wywoła. To nie cyfrzak. Ma zwykły aparat.

*

– Nie może tego zrobić! – Na twarzy Gabrieli niewiara walczyła z oburzeniem.

– Dowódca może wszystko – stwierdziłem filozoficznie. – Na wojnie przynajmniej.

Od kilku minut grupa wozów sunęła skrajem zadrzewionego terenu, ale dopiero przed chwilą ktoś zorientował się, że zmieniliśmy kurs. Padło pytanie przez radio, Filipiak ograniczył się do suchego przypomnienia, by jechać za nim, a dziewczyna utkwiała we mnie wyczekujące spojrzenie. Musiałem wyjaśnić, w czym rzecz.

– Bzdura! Nie jesteśmy na wojnie!

– O co ci chodzi? – zapytałem zdziwiony.

– O niego – poruszyła wspartą o brzeg noszy stopą. Od jakiegoś czasu przeżywałem duchowe rozterki w związku z jej pozą: jako lekarz miałem ochotę usunąć to obce, przybrudzone ciało z sąsiedztwa pacjenta, zaś jako mężczyzna czerpałem głęboką przyjemność z gapienia się na jej bosą nogę.

– Filipiak odpowiada za wszystkich.

– Ale inni nie umrą, jeśli nie zdążymy na samolot.

– Nie znasz się na współczesnym uzbrojeniu. W odkrytym terenie nie mamy szans. Jeśli to jest to, o czym Filipiak myśli, może mieć do szesnastu pocisków kierowanych. Ale nawet gdyby polowało z jednym tylko pakietem czterech sztuk, to zostały mu dwie. Taka rakietka trafia w pojazd w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Mając dwie, prawie na pewno załatwi czołg.

A wtedy podleci bliżej i za pomocą działka zrobi sieczkę z reszty. Albo za pomocą rakiet niekierowanych.

– Dlaczego? – rzuciła buntowniczym tonem.

– Bo jesteśmy słabsi.

– Dlaczego ktoś miałby robić sieczkę z oddziału UNIFE?

Poruszyła drażliwy temat. Staralem się o tym nie myśleć.

– Widać ma powody.

– Może się nie znam na broni – przyznała niechętnie – ale trochę tu mieszkam. Tu nikt z wami nie walczy. A jeszcze przy użyciu jakiegoś superśmigłowca... Bzdura.

– Chłopaki mówią, że to ruskie helikoptery – odezwał się po raz pierwszy nasz kierowca. – Ten zestrzelony też. I że dlatego rąbnęli nam w nocy akurat UAZ-a. Bo po numerach można by dojść, co to za maszyna i smród by się zrobił.

– Rosjanie? – Gabriela posłała mi spojrzenie, w którym wyrzut walczył z nadzieją. – Mówiłeś, że to Mengesza...

– Bo to on. W każdym razie pomagał.

– I... wszystkie szczątki były w tym gaziku? – upewniła się. – Czyli to wcale nie musiało chodzić o mnie?!

– Daj spokój – wzruszyłem niechętnie ramionami.

– Ale to wszystko wyjaśnia!

– Nie, to jest tylko w miarę sensowne. Wiem, że przyjemniej by ci było ze świadomością, że nie masz z tym nic wspólnego, ale...

– Przeceniasz mnie – rzuciła szydyczko. – Wolę wyrzuty sumienia niż jakieś cholerne KGB i śmigłowce na karku. Z wyrzutami da się żyć.

– Niby logiczne – przyznałem. – Ale po pierwsze, istnieje coś takiego jak logika kobieca, a po drugie, skoro panowie czekałsi buchnęli już komplet dowodów, wcale nie muszą nastawać na nasze życie.

– Jak jesteście tak cholernie, po męsku logiczni, to po kiego jeździcie w kółko, byle bliżej zarośli? Nie ma Rosjan, nie ma problemu. Sabah nie dogoni samochodów na wielbłądzie. Powinieneś iść do Filipiaka i przekonać go, że...

– Boisz się Sabaha?

– Nikt nie musi się go bać – wykonała zręczny unik. – Jeśli tylko przestaniemy krążyć i ruszymy na południe.

– Zapytam inaczej. Załóżmy, że stajemy tu na nocleg. Myślisz, że twój narzeczony mógłby na nas napaść?

Nie odpowiedziała od razu.

– Mała szansa. Ale prędzej on niż jakiś ruski śmigłowiec.

Wtedy zabrzmiało to dość optymistycznie. Minutę później wydźwięk jej słów nie wydawał mi się już tak optymistyczny. Minutę później ciężarówka trzeciej drużyny wyleciała w powietrze.

*

Z medycznego punktu widzenia był to bardzo dobry strzał.

Kilka sekund przed uderzeniem pocisku plutonowy Bielski wypatrzył go przez peryskop i zdążył zawołać do mikrofonu: „Uwaga rakietka!”. Dwaj żołnierze trzeciej drużyny, ci, którzy wyskoczyli z rozpędzającego się wozu, wyszli z tarapatów bez szwanku. Ich dowódca popisał się refleksem i błyskawicznie wykorzystał ostrzeżenie. Star zdążył przyspieszyć i odjechać spory kawałek, nim dopadła go nadlatująca z południa śmierć. Dzięki temu w momencie wybuchu obaj skoczki byli daleko i mocno rozrzedzony strumień odłamków nie wyrządził im krzywdy.

Sześciu pozostałym odłamki też nie zaszkodziły. Pocisk uderzył w tylną ściankę szoferki i całe nadwozie samochodu znikło w kuli ognia.

Z medycznego punktu widzenia był to bardzo dobry strzał. Żadnych urazów: ci, którzy nie wyskoczyli, zginęli momentalnie. Poza stwierdzeniem zgonu nie miałem nic do roboty. Prawdę mówiąc, i to sobie darowałem: nim w ogóle dotarłem w pobliże, resztki ciężarówki płonęły jak dobrze ułożony stos pogrzebowy, szybko zmieniając w dym i parę to, co zostało z ludzi.

Tylko dwa czarno-czerwone ciała wyrzuciło poza szczątki samochodu. Oba miały niewiele wspólnego z istotami ludzkimi, choć nie dostało im się tak jak pilotom spod Kasali. Jeśli zadałem sobie trud przykłonienia nad jednym i drugim, to wyłącznie z myślą o kolegach nieboszczyków, przyglądających mi się z zarośli.

Odpalenie rakiety okazało się zarazem pierwszym i ostatnim elementem krótkiej potyczki. Nie padł ani jeden strzał; coś, co nas zaatakowało, zapadło się jak pod ziemię, nie ponawiając próby. Pewnie dlatego, że ofiara została ostrzeżona i zdążyła odbić na północ, kryjąc się za kępami roślinności, pagórkami i dymem.

Wyskoczyłem z sanitarki stosunkowo wcześnie, nim Andrusiak rozpędził wóz. Gabriela nie zdążyła, a nasz kierowca chyba nie wziął przykładu z Filipiaka i większości innych, którzy pozatrzymywali się tuż za pierwszymi w miarę przyzwoitymi osłonami. Wywiózł dziewczynę gdzieś dalej i kiedy wybiegła na odkrytą przestrzeń, podnosiłem się już znad drugiego trupa.

– Schowaj się! – rzuciłem dość spokojnie. Jej biała koszula była wyraźnym celem, ale nie wierzyłem, by ktoś marnował dalekonośny pocisk przeciwczołgowy na pojedynczego człowieka.

Nie schowała się, czekała na mnie parę kroków przed pierwszą kępą zarośli. Ramię w ramię, milcząc, wdrapaliśmy się na niewysoki pagórek. BRDM stał tuż za nim. Obracająca się antena sięgała nawet wyżej, ale Filipiak niewiele ryzykował: samochód miał w dole jeszcze kawałek stoku i mógł spokojnie zejść z drogi nadlatującej rakiecie.

– Nikt nie przeżył – stwierdziłem krótko, podchodząc do patrzącego przez lornetkę porucznika. – Możemy jechać.

Skinął głową. Na tym pewnie by się skończyło, ale nie byliśmy sami.

– Zapomniał pan o czymś. – Od eksplozji minęło już trochę czasu i w głosie Lesika nuta przygany górowała nad drzeniem. – Trzeba ich pochować. To ludzie.

Wzruszyłem ramionami i popatrzyłem pytająco na Filipiaka.

– To już bez znaczenia – powiedział zduszonym głosem. – Nie dotrzemy przed zmrokiem do szosy. Teraz już na pewno nie.

– To śmigłowiec, prawda?

Morawski też zdążył tu dotrzeć, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Nic dziwnego. W uszach fachowców stwierdzenie, że mamy na karku któryś ze śmigłowców szturmowych najnowszej generacji, odpowiadało z grubsza okrzykowi: „Jezus, Maria, koniec z nami!”

– Kozłowski! – Głos porucznika brzmiał beznamiętnie, trochę arogancko, czyli tak, jak należy. Żołnierze nie lubią takiego tonu, ale rola dowódcy nie polega na budzeniu sympatii, tylko respektu. – Pałatka, trzech ludzi i poprzynosić zwłoki. Szyszkowski z wyrzutnią melduje się przy beerdeemie. Szefie, niech załogi przećwiczą błyskawiczną ewakuację. Teraz, póki stoimy.

– Jasne. – Ciołkosz nie potrzebował drobiazgowych wyjaśnień. Jechał tuż za trafioną ciężarówką i zapamiętał lekcję na całe życie.

– Nogi całe? – Filipiak zwrócił się do dwóch spoconych i bladych zarazem szeregowych, siedzących obok z wyrazem oszołomienia na twarzach. Wyglądali jak inni, pomijając brak broni u jednego z nich, ale domyśliłem się, że patrzę na niedobitków trzeciej drużyny.

I faktycznie: tylko ten z karabinem kiwnął głową. Drugi chyba w ogóle przegapił pytanie.

– Możecie chodzić? – upewnił się Filipiak.

– Chodzić? – zainteresował się Morawski.

– Nie chcę ryzykować. Kto nie musi jechać, idzie pieszo.

Ułatwił mi decyzję.

– Ktoś go widział? – zapytałem.

– Nie sądzę – wzruszył ramionami. – A dlaczego pan pyta?

– Muszę wiedzieć, co to jest.

Przyglądał mi się przez chwilę nieco rybim wzrokiem.

– To ja muszę – powiedział w końcu. – Pan niech się martwi rannymi.

– Właśnie to robię. Chcę wiedzieć, czy gdybym wziął sanitarkę i pojechał w stronę szosy, byłoby to samobójstwo czy tylko ryzyko.

Nie od razu odpowiedział. Był na tyle znieczulony nieszczęściem, które się na niego zważyło, że po prostu na serio rozważył pomysł. To inni patrzyli na mnie jak na wariata.

– Nigdzie pan nie pojedzie – oświadczył wreszcie.

– Powinniśmy o tym pomówić. W wolnej chwili.

Skinął głową, co każdy mógł sobie odczytać, jak chciał, po czym odszedł ku dymiącym szczątkom stara. Dopiero na otwartej przestrzeni dołączali do niego jeden po drugim wyposażeni w łopaty i gaśnice pechowcy, wyznaczeni do drużyny pogrzebowej.

– I co teraz? – przeszedłem na angielski, trochę z uwagi na Zanettiego i Wołynowa, ale głównie po to, by zalegający w pobliżu szeregowi nie dowiedzieli się zbyt wiele.

– To śmigłowiec – stwierdził Wołynow.

– Na pewno? – skrzywił się sceptycznie Olszan. – Chłopaki mają radar. Chyba by go wypatrzyli, nie?

– Beerdeem akurat jechał. Jak jedzie, radar nie działa.

– Ja obstawiam samochód – upierał się Olszan. Zauważyłem uśmiech, jaki posłał równocześnie trzymającej się jego boku Agnieszce, i nawiedziła mnie wątpliwość co do szczerości jego intencji. Mógł po prostu podnosić ją na duchu.

– Rąbnęli zza tych wzgórz. A to sześć kilometrów stąd. Lądowe wyrzutnie nie strzelają tak daleko.

– Postęp techniczny. – Znów posłał dziennikarce uśmiech typu: „Spokojnie, maleńka, jesteś ze mną”. Wyzbyłem się wątpliwości.

– Tutaj? – roześmiał się gorzko Morawski. – Zresztą mniejsza o zasięg. Samochód nie miał prawa zdążyć. A już na nas czekali.

– Bo zrobiliśmy przerwę. – Chyba nawet sama Agnieszka zorientowała się, co jest grane. Uśmiech, jaki posłała Olszanowi, był blady jak ona, ale właśnie przez to słodki. – Na rowerze by zdążyli.

– To nie tak. – Wołynow przyszedł z pomocą koledze po stopniu. – Nie wiedzieli, którądy pojedziemy, więc nie mogli wyruszyć wcześniej. Trzeba mieć dużą przewagę szybkości, żeby podejść maszerującą kolumnę, nie dając się zauważyć.

– Zostawiamy ślad – dołączyłem do dyskusji. – I kurzymy.

– On mocniej, bo musiałby jechać szybciej. To śmigłowiec. Zatoczył łuk, zerknął parę razy z daleka, może nawet lądując, żeby go radar nie wykrył, znalazł na mapie to gołe pole i... – Wołynow przerwał, marszcząc brwi. – Ciekawe.

– Co?

– Mało brakowało, a wjechalibyśmy jak pod widelec. Chyba mamy gorsze mapy.

*

Po dwudziestu minutach sześć ciał poowijanych w worki i pałatki złożono na dachach bewupów. Tyraliera ludzi i maszyn ruszyła na północ. Plan był prosty: kierowcy mieli poruszać

się krótkimi skokami od osłony do osłony, a piesi iść za nimi, trzymając odstęp. BRDM przemieszczał się na przemian z resztą i sprawdzał radarem okolice.

Nikt nie strzelał, ale i tak było parszywie. Pocisk miał nadlecieć od tyłu. Raczej szybciej od dźwięku, więc bez ostrzeżenia. Niby wiedziałem, że tylko idiota polowałby na mnie rakieta wartości dobrego mercedesa, jednak przez cały czas czułem przykre swędzenie pleców.

Honkera i Gabrię straciłem z oczu prawie od razu i prawie na dobre: Andrusiak do ryzykantów nie należał i starał się mieć między sobą a potencjalnym napastnikiem kogo się tylko dało. Nie miałem do niego o to nawet pretensji, dopóki nie przypomniałem sobie o czymś.

Dopałem stojącej sanitarki biegiem, nie przejmując się zbytnio, że mój nagły zryw może rzucić na ziemię całą tyralierę. Udało mi się zdrowo nastraszyć wysuniętą do przodu i szukającą dobrych ujęć Agnieszkę, a Andrusiak profilaktycznie wyskoczył z szoferki i stojąc na ugiętych nogach, wypatrywał na przemian nadlatującej rakiety i najbliższego dołka. Na ich tle Gabriela wyglądała nieprzyzwoicie pogodnie. Zębów wprawdzie nie szczyrzyła, ale odniosłem wrażenie, że nie jest zmartwiona stosownie do okoliczności.

– Coś się stało? – Czekala na mnie, kucając w tylnych drzwiach.

– Wsiadaj.

Zeskoczyła miękko na wypaloną słońcem, żółtą i rzadką trawę. Zaraz potem Andrusiak zmienił koncepcję przetrwania, wpakował się na fotel i wystartował ku kępie oddalonych o dwieście metrów akacji.

– Daję zły przykład, rozbijając się wozem? – zażartowała.

– Dajesz. – W porę zauważyłem brak butów. – Chodząc boso.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy tu biegleś, jeździłam. A właściwie dlaczego biegleś?

Co niby miałem powiedzieć? Prawdę? Że zdążyłem się stęsknić? Że przeraziła mnie wizja wylatującej w powietrze sanitarki? Że nie wiem, co począć z problemem Gabrieli Wiesławy Asmare, i chcę ją mieć obok siebie, by szukać podpowiedzi w jej gestach i słowach?

A może, że po prostu lubię na nią patrzeć?

– Przypomniało mi się, że jestem za równouprawnieniem – burknąłem.

– A tak naprawdę? – spoważniała.

– Jechaliście pierwsi, a tamci już dwa razy na nas czekali.

Zatrzymała się. Brwi powędrowały do góry.

– Myślisz, że...? – obróciła się na pięcie, posyłając zaniepokojone spojrzenie w ślad za honkerem. – Może powinieneś mu powiedzieć, żeby trzymał się gdzieś pośrodku?

Skinąłem niezobowiązująco głową. Tyraliera pieszych powoli zrównywała się z nami, więc ruszyliśmy naprzód. Przez dłuższy czas milczeliśmy. Starałem się znaleźć jakiś neutralny temat.

– Nie bołą cię nogi? To znaczy... bez butów. – Ciut za późno doszedłem do wniosku, że temu

tematowi trochę brakuje neutralności.

– Lata treningu. – Uśmiechnęła się. – To mój strój służbowy.

– Służbowy? – Miałem chorą wyobraźnię, no i pamiętałem ucisk jej uda na barku, ciężar pośladków napierających na pierś. Podświadomość dodała ten kawałek Joli o dziewczynach spod stołecznych latarni.

Zerknęła na mnie. Coś ją chyba zastanowiło. Zaraz potem błysnęła zębami w kpiącym uśmiechu.

– Nie bój się. – Dopiero po głosie poznałem, że kpina jest przyprawiona goryczą i wymierzona głównie w nią samą. – To nie to, co myślisz.

– Proszę? – wymamrotałem. Jej apel odniósł dokładnie odwrotny skutek: omal nie wpadłem w panikę. Atrakcyjne kobiety mają to do siebie, że przypisuje się im wszelkie niezwykle cechy, w tym talenty telepatyczne. Byłem niemal pewien, że mnie przejrzała. I niezależnie od tego, ile racji miała moja chora wyobraźnia, coś właśnie okropnie spieprzyłem. Obrażając śmiertelnie Gabrielę porządną lub oddając się na łaskę Gabrieli zepsutej.

– Nie uczę ich, jak kisić kapustę – powiedziała odrobinę za wolno. Nadal się uśmiechała, ale chyba właśnie w tym momencie nawiedziła ją myśl, że możemy się nie rozumieć. Uratowała mnie kępa kolczastych krzewinek, która pojawiła się nagle między naszymi stopami. Te bose skręciły w jedną stronę, te w wojskowych butach w przeciwną. Zdążyłem przegnać myśli i emocje z powrotem w głąb głowy. Kiedy ponownie odnalazła wzrokiem moją twarz, nie znalazła już raczej dowodów winy.

– Deptać – dorzuciła. – No wiesz: w beczce.

Pomyślałem, że coś zbliżonego do prawdy chyba jednak jej zaświtało.

– Tu rośnie kapusta?

– Tu nic nie rośnie – uśmiechnęła się gorzko. – Kultura rolna też nie. A za to mi płacą: za podnoszenie kultury rolnej. Chodzę do nich boso, ubieram się jak wszyscy, nie maluję i nawet co niektórzy uznali mnie za swoją, ale to gówno daje. Jedni nie ufają mi, bo jestem obca, a drudzy nie chcą słuchać, bo baby z sąsiedztwa zwyczajnie nie wypadają.

– Nie nosisz butów, bo chcesz zyskać ich zaufanie? – w końcu zrozumiałem. – Gapa, to nie dziewiętnasty wiek! Afryka też poszła naprzód.

– Poszła i zawróciła – wzruszyła ramionami. – Tutaj przynajmniej. W Kasali żadna kobieta nie nosi butów. Od wielkiego święta najwyżej. To biedni ludzie. – Milczała przez chwilę, po czym uśmiechnęła się nieoczekiwanie. – Ty też jesteś biedny w tych kamaszach. Murzyni wiedzą, co robią, biegając po buszu boso i w spódniczkach z trawy.

– Fajnie by było – przyznałem. Moje skarpety zdawały się mlaskać przy każdym kroku, a mundur lepił się do ciała, gdzie tylko mógł.

– W kraju zwykle chodziłam w spodniach – klepnęła się po udzie opiętym błękitem dzinsów.

– Tu nie mogę. Nie idzie wytrzymać.

– To na naszą cześć? – Nie powinienem tego robić, ale nie mogłem się powstrzymać i musnąłem palcem jej kieszeń.

– Koszulka nie komponuje się z szortami.

Fakt: nadal była w tej z długimi rękawami; podwinęła je tylko.

– Nie masz czegoś lżejszego?

– Złapałam pierwszą z brzegu torbę, całkiem bez sensu. Skarpety, spodnie, piżama, podkoszulki...

– Podkoszulki? No to czemu...?

– Stary polski zestaw – wzruszyła ramionami. Nadal się uśmiechała, choć była w tym odrobina zakłopotania. – Mówiłam: nawinęła się nie ta torba. Te z rękawkiem są głównie czarne, nie na chodzenie po słońcu.

– Czarne?

– Dziewczyny lubią czerń. Wyszczupła. I rzadziej trzeba prac.

– Rozumiem. Jesteś grubym damskim leniem.

– Czarne dziewczyny dodatkowo wybiela – dorzuciła z uśmiechem. – Lubiałam wyglądać jak mocniej opalona Polka.

– A te bez rękawów? – Rozsądek apelował o zmianę tematu, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Rozmawialiśmy o najszcześniejszych w świecie kawałkach bawełny: dotykających jej w miejscach, o których moje dłonie i usta mogły tylko pomarzyć.

– Są bez rękawów. Nie wypada ich nosić.

– Prześwitują? – udałem zgorszenie.

– A szyją takie? – Ona z kolei udała entuzjastyczne zainteresowanie. Oboje mogliśmy się pośmiać. Chyba dodało jej to odwagi, bo wyjaśniła spokojnie: – Z Kasali do Addis Abeby podróżuje się przez niespokojne rejony. W stolicy jest jeszcze gorzej. Lepiej nie rzucać się w oczy. Bosonoga wieśniaczka z osłem mniej ryzykuje niż wielkomiejska panienska w adidasach czy, nie daj Boże, garsonce.

– No i?

– Bosonogie wieśniaczki nie golą pach.

Chyba udało mi się zaczerwienić; niezły wyczyn w takim upale. Pewnie dlatego nie udałem chwilowego ataku roztargnienia: brak jakiegokolwiek komentarza skompromitowałby mnie do reszty.

– To dlatego się pocisz? Żeby się nie wydać niemodną?

– Niechlujną – poprawiła. – To nie kwestia mody.

Już wiedziałem, dlaczego o tym mówimy. Dręczyło ją to.

– To jak najbardziej kwestia mody.

– Szanująca się dziewczyna używa dziś mydła, pasty do zębów i maszynki. Reszty nie musi, ale tego tak.

Też byłaby co najmniej różowa, gdyby jej mama spotkała pod Peweksem, dajmy na to, Szweda. A jednak nie sprawiała wrażenia stęsknionej do zamknięcia tematu.

– Zgoda na mydło i pastę. Ale maszynka? – pokręciłem głową.

– Pocieszasz mnie. – Zmarszczyła czoło, udając, że się zastanawia. – Albo próbujesz uratować żyletkę.

– Nie mam czego. Została w Addis Abebie. Trzeba było wejść do namiotu i korzystać z okazji.

– I spać w twoim łóżku, co?

– I spać w moim łóżku – zgodziłem się. Lekko zawirowało mi w głowie na myśl, że mógłbym ją tam znaleźć. Ją, albo chociaż wilgotną od potu pościel z odciskami kobiecych krągłości. Zapach Gabrieli, może jakiś włos na poduszce. Albo i niżej: ostatecznie strasznie niechlujna z niej dziewczyna.

Niech ją diabli wezmą. Mogła to zrobić. Czołgiem nie wywlekliby mnie z namiotu, Morawski zawiózłby do Kasali innego lekarza, a my oboje nie wpakowalibyśmy się w to szambo.

– I bez tego popsulałam ci opinię.

– No właśnie. Koziej i Koliszewski swoje już wiedzą.

– Doktor sypia z tubylczymi dziwkami – poszerzyła uśmiech. – W dodatku tanimi.

– Wyglądasz na ekskluzywną – powiedziałem, ryzykując zerknięcie z ukosa w jej oczy. Maszerowaliśmy cały czas, patrząc głównie do przodu. Może dlatego rozmawiało nam się tak łatwo.

– Ekskluzywne są białe. A te średnio drogie mają maszynki, lakier i wszystko, co lubi biały żołnierz. Nie wiedziałeś?

Zrozumiałem, o co pyta. Pomogła mi w tym przekornym spojrzeniem.

– Przyjechałem tu zbijać forszę, a nie puszczać ją na panienki.

– No tak, lekarz – pokiwała głową. – Pod ręką tłum pielęgniarek, w odwodzie pacjentki. – Przeszła w milczeniu kilkanaście kroków. – A tak serio: uważasz, że to coś złego? No wiesz, chwila radości z panną spod latarni? Całe miesiące tu gnijecie. Wojna, zero kobiet...

Chyba zależało jej na odpowiedzi.

– Chwila radości? – powtórzyłem. – Jeśli radości, to chyba nie.

– No tak – pokiwała domyślnie głową. – Tylko jak tu się cieszyć? AIDS szaleje, a dziewczyny biorą drogo albo nie gołą pach.

Nadal nie byłem pewien, co się za tym wszystkim kryje: niewinny flirt, jawna próba podrywu czy zwykła ucieczka od niewesołej rzeczywistości. Ale widok spoconej twarzy,

schylanej ku łokciowi i przecieranej rękawem, rozjaśnił mi nieco w głowie.

– Naprawdę ci to przeszkadza? – zapytałem trochę ciszej. Posłała mi pytające spojrzenie. – Mogę pogadać z Wielogórką. Pewnie ma wszystko, czego damie potrzeba do szczęścia.

– Daj spokój – uśmiechnęła się kwaśno. – Męża, samochodu i kosmetyczki się nie pożyczają. Myślałam, że może ty... Ale skoro nie wzięłeś, to zamknijmy ten temat. Jakoś się przemęcę w długim rękawie.

– Po co się męczyć? Załóż podkoszulek. I szorty – dodałem. – Nóg nie musisz chować.

– Skąd wiesz? – zapytała przekornie.

– Widziałem. Depilatora nie muszę od Wielogórskiej pożyczać. Ani maści na odchudzanie czy żylaki.

– Niczego nie musisz od niej pożyczać – rzuciła odruchowo.

– Fakt. Byłabyś ekskluzywna, jakby co. – Zaszliśmy dostatecznie daleko, bym znalazł w sobie odwagę powiedzenia jej tego wprost. – Bez żadnego wspomaganie, tak jak stoisz. Mogę wykombinować ci tę maszynkę, ale moim zdaniem to bez sensu.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem. Albo masz specyficzny gust.

– Mam specyficzny. Przebierz się w wolnej chwili. Nie kręć mnie mocno spoczone dziewczyny. Jak już musisz w rękawach, to trudno, ale załóż przynajmniej spódnicę.

– Na wojnę nie chodzi się w spódnicy – mruknęła.

Dopiero kiedy to powiedziała, znalazłem się z powrotem na ziemi. Przez chwilę nie było mnie tutaj. Czarna magia czarnej dziewczyny.

– Która jest? – Nie nosiła zegarka, co nie dziwiło specjalnie w przypadku osoby zbyt subtelnej, by kłuć oczy sąsiadek widokiem sandałów na nogach.

– Dochodzi trzecia. A co, zgłodniałaś?

– Nie zdążymy na samolot.

Zabrzmiało to tak, jakby była urażona. Po raz kolejny złapałem się na myśli, że zupełnie jej nie znam. I na innej, brzydszej.

– Jest mały – powiedziałem, nie patrząc w jej stronę. – Nie wiem, czy zgodziliby się...

– O czym ty mówisz? – przerwała mi niezbyt łagodnie.

– No... może źle zrozumiałem, ale wydawało mi się, że chcesz lecieć z nami do Addis Abeby.

– Niby z jakiej racji? – To już brzmiało wręcz brutalnie. – Mówimy o rannych, nie o mnie. Zapomniałeś? Masz dwóch pacjentów.

– Chciałbym zapomnieć – westchnąłem.

– Będziemy tu nocować? – Złość, o ile to była złość, od razu jej przeszła. Było zresztą za gorąco, by się długo złościć.

– Chyba tak.

– Przeżyją to? – zapytała ciszej.

– Chyba tak.

Przez jakiś czas pomagała sobie w myśleniu, gryząc wargę.

– Gdyby wziąć samochód i... co w tym śmiesznego?

– Nic. Po prostu proponowałem to Filipiakowi.

– Aha – mruknęła. – I nie zgodził się?

– Mamy o tym jeszcze porozmawiać.

– Miejmy nadzieję, że w tym tygodniu.

Nie skomentowałem. Parę minut później dotarliśmy do krawędzi głębokiej na jakieś osiem metrów i czterokrotnie szerszej rozpadliny, biegnącej w poprzek. Wyglądała jak koryto sezonowej rzeki i roślinności było tu faktycznie więcej, ale dno było suche jak pieprz. Przeciwległy brzeg leżał nieco niżej, co z kolei mogło wskazywać na przynależność tej dziury do licznych we wschodniej Afryce uskoków tektonicznych. Niezależnie od genezy było to coś, czego Filipiak szukał: wspaniały, naturalny okop. Zanim jeszcze bewupy rozjechały się w przeciwne strony, szukając dogodnego zjazdu, zrozumiałem, że dotarliśmy do kresu naszej wędrówki na północ. Widok Giełzy, zdejmującego z ciężarówki odcinki masztu, był jednoznaczny.

Skorzystałem z faktu, że Andrusiak nie ma dokąd uciekać, i zbadałem Lewandowskiego. Jego stan się nie zmienił. Z jednym wyjątkiem.

– Coś śmierdzi – oświadczyła nagle Gabriela.

– Zagadka – mruknąłem. – Na pięć liter i ciągnie się za wojskiem.

Zignorowała mnie, weszła do samochodu i kucając przy noszach, parę razy demonstracyjnie pociągnęła nosem. Jak zaintrygowany psiak. Albo...

Nie, nie myślałem o niej w ten sposób. Byłoby mi pewnie lżej, gdybym potrafił. Ale żyłem wśród białych ludzi i zastanawiałem się, ilu z nich dopatrzyłoby się w niej teraz małych cech. Miliony? Tysiące? Na pewno wielu. Nazwaliby ją tak, jedni po cichu, inni nie.

– No tak. – Nie zauważyłem, kiedy odsunęła koc. Lewandowski miał na sobie granatowe spodenki i mnóstwo bandaża poniżej kolan.

– Zawołam Jolę – powiedziałem szybko. Nie dość szybko: zdążyła sięgnąć między uda nieprzytomnego chłopaka, wsunąć palce w nogawkę. Diabli wiedzą po co. Teraz, gdy zabrakło koca, smród aż dusił.

– Daj spokój. To jak przewinąć niemowlę. Mamy to we krwi.

– Nie musisz tego robić.

– Panie Andrusiak – zignorowała mnie – proszę przynieść wodę.

Zmierzył ją długim spojrzeniem. Jego lewa brew powędrowała ironicznie do góry. Wyobraziłem sobie, z jaką gorliwością wypadłby z sanitarki, gdyby poprosiła go o to samo Jola

czy Wielogórska.

– Przykleiłeś się? – warknąłem. Wsiadł, ale kanistra poszedł szukać aż na wozie kwatermistrzowskim, ignorując dużo bliższą cysternę.

– Mógłbyś tego nie robić? – Odezwała się dopiero, gdy znikł za zaroślami. – Sama bym sobie poradziła.

– Albo i nie.

– Zawsze sobie radzę – powiedziała z jakąś chłodną zaciekłością.

– No to powodzenia.

Wsiadłem i trochę zszedłem, a trochę zjechałem po piaszczystym zboczu na dno wąwozu. Po prawej Giełza z Olszanem wybierali miejsce pod węzeł łączności, u góry po lewej T-72 opuszczał lemiesz, szykując się do poprawiania zjazdu. Ściany rozpadliny, w niektórych miejscach niemal pionowe, gdzie indziej spływały z równiny całkiem łagodnie, ale to, co piechura zmusza do lekkiego wysiłku, może zastopować nawet najlepszy wóz terenowy.

– Zostajemy na noc? – zapytałem składającego mapę Filipiaka.

– Nie wiem. Ustawimy antenę i spróbujemy nawiązać łączność.

– A te fortyfikacje? – wskazałem żołnierzy. Znosili z góry naręcza worków i łopat.

– Na wszelki wypadek – mruknął. – Ten cholerny wiatrak może nadlecieć w dowolnej chwili z dowolnego kierunku. Nie zaatakował od razu, bo otwarty teren nie służy i jemu. No i byliśmy przygotowani. Na jego miejscu zatoczyłbym łuk, odczekał i wyskoczył od słońca – wskazał oslepiająco białą plamę zawieszoną na niebie. – Najlepiej przed zmierzchem. Nie widać cię, a lecisz nisko i możesz uskoczyć za górkę.

– Myśli pan, że będzie się bawił w takie podchody?

– Mam nadzieję, że nie. – Sądząc po tonie, za wiele tej nadziei nie było. – Może polezie na chama. A wtedy, z obserwatorami na górze, będziemy mieli szansę na pierwszy strzał. No i zawsze jest szansa, że nie uda mu się zmylić groma.

Grom, wystrzeliwana z naramiennej wyrzutni lekka rakietą przeciwlotnicza, reklamowany był jako rodzimy stinger – pocisk, który, jak wiadomo, przepędził Rosjan z Afganistanu.

– Wtedy, w Kasali – przypomniałem sobie – odpaliliście raketę?

– Nie. Szyszkowski trochę się pogubił, a tamci trzymali się nisko. Prawdę mówiąc to nikt nikogo nie widział. No i nie mamy celownika na podczerwień. – Widząc moją minę, rzucił tonem pocieszenia: – Na szczęście Ruscy zawsze mieli kłopoty z nocną optyką.

– Ruscy? Mówił pan, że to nie Mi-24.

– Zgadza się – przyznał. – Po mojemu, to Mi-28. Taki rosyjski apache. Nowszy, lepiej opancerzony i dużo groźniejszy.

– Oni to w ogóle produkują?

– Dla siebie może i nie – zgodził się. – Ale dzisiaj o nowoczesną rosyjską broń łatwiej za

granicą niż w Rosji.

Nie pociągnąłem dyskusji. Miałem dość zmartwień i wołałem przejąć jego wiarę we wschodni rodowód naszego prześladowcy. Rosjanie nadal mieli się czym chwalić, jeśli chodzi o broń, ale mimo wszystko ich strzelające zabawki były trochę mniej zabójcze od tych zachodnich.

Zostawiłem Filipiaka i poszedłem obejrzeć Świergockiego. Potem usiadłem z Jolą na jakimś zwalonym pniu i przez jakiś czas przedstawiałem swoją wizję opieki nad rannymi w warunkach frontowo-pustynnych. Już wtedy miałem niewielkie nadzieje na szybką ewakuację. Ich resztek pozbawił mnie Lesik. Wyglądał jak chmura burzowa i parł w poprzek rodzącego się obozowiska niemal równie szybko.

– Musi pan z nim porozmawiać – oświadczył z miejsca.

– Z Filipiakiem?

– Z Zarębą. Chce, żebyśmy tu nocowali.

– Tutaj?! – jęknęła Jola. Chyba nie słuchała mnie uważnie: od kwadransa tłumaczyłem jej, jak funkcjonuje klimatyzacja z wody i ręczników w szpitalu zbudowanym z wypełnionych ziemią worków. Jeśli chłonęła tę wiedzę z myślą o Addis Abebie, czarno widziałem przyszłość.

– Musi mu pan wytłumaczyć, że mamy rannych – kontynuował Lesik. – Że mogą nie przetrzymać w takich warunkach.

– Filipiak nie próbował? – zapytałem bez zapału.

– Filipiak myśli teraz, jak się wykręcić od odpowiedzialności.

Dźwignąłem się z pnia. Trochę za późno zauważyłem, że honker stoi już na dole, a Gabriela przygląda nam się, siedząc w otwartych drzwiach. Nie umiałem rozgryźć wyrazu jej twarzy.

Radiostację sokoła umieszczono prowizorycznie w przedziale desantowym jednego z bewupów. Jej świętej pamięci poprzedniczka, która poległa od kwasu i ognia, jeździła honkerem: na szczeblu plutonu nie było wozów bojowych przystosowanych do przewozu tego typu sprzętu.

– Właśnie idzie – dokończył jakąś dłuższą kwestię siedzący na obramowaniu wjazdu Filipiak. Przedtem leżały tam worki ze zwłokami, ale teraz znikły. – Doktorze, generał chce z panem pomówić.

Zdjął i podał mi lotniczy kask: nadajnik nie miał głośników. Drugi kask tkwił na głowie Olszana, czuwającego nad jakością połączenia. Teraz pilot zdjął go i położył na dachu. Było względnie cicho, więc stojący blisko słyszeli, o czym mowa.

– Szczebielewicz – powiedziałem beznamiętnie. W wojsku można policzyć na palcach facetów, którym rozmowa z generałami sprawia wielką frajdę, ale ja miałem specjalne powody, by unikać kontaktów z zastępcą dowódcy UNIFE. Humor psuła mi też Gabriela: oczywiście musiała podejść akurat teraz, stanąć obok i strzyc uszami. – Odbiór.

– Co jest z tymi rannymi, doktorze? – Być może trzaski zakłóceń sprawiły, że głos Zaręby brzmiał zaskakująco łagodnie.

Przedstawiłem stan obu pacjentów, rokowania, problemy oraz obawy. Na wszelki wypadek raz i drugi zwolniłem przycisk, wpuszczając go na falę, ale nie skorzystał z okazji. Uświadomiłem sobie, że także generałowie mają nad sobą kogoś, kto może ich wezwać na dywanik i rozliczyć z ośmiu martwych podwładnych.

– Zrozumiałem – powiedział, gdy skończyłem. – Ustaliliśmy z porucznikiem, że nie możecie ryzykować jazdy na południe. Jeśli rzeczywiście jest tam wrogi śmigłowiec, musimy go najpierw zneutralizować. Ale to potrwa. Nie zdążymy rozpiąć nad wami parasola lotniczego przed zmrokiem. Nocne lądowanie na szosie też nie wchodzi w rachubę. Wniosek jest następujący: jeśli to nie jest absolutnie konieczne, nie powinniście opuszczać tego wąwozu. Tylko w ostateczności zezwalam panu na wzięcie sanitarki i dostarczenie rannych w miejsce spotkania z samolotem sanitarnym. Ale na kierowcę musi pan znaleźć ochotnika.

– Aż tak źle z nimi nie jest. – Czuję, że nie brzmi to dobrze, choć przy drobnym uzupełnieniu była to święta prawda. Mało która rana jest równie zabójcza, jak trafienie pociskiem przeciwpancernym.

– Rożu... – Seria trzasków zniekształciła głos generała. Olszan zaczął regulować radiostację. – ...powinny zjawić się mirage... okręcają się nad... ewno go znajdują.

– Fala nam zanika – rzucił Olszan, pochylając się nad kaskiem. – Generale, proszę powtórzyć.

Zaręba powtórzył, i to trzykrotnie. Chodziło o to, że wkrótce – tak się wyraził – miały dotrzeć do nas francuskie myśliwce – chyba z bazy w Dżibuti – i spróbować załatwić problem niewidzialnego śmigłowca. Odbiór był coraz gorszy i na koniec przestałem rozumieć cokolwiek. Olszan litościwie wyłączył nadajnik.

– Spróbujemy później – powiedział, zdejmując kask. – Zresztą chyba wszystko jasne. Hotel pod gwiazdami raz jeszcze.

Filipiak odszedł w stronę napelniających worki żołnierzy. Skoro zostawaliśmy, miał kupę roboty. Ja też. Gabriela powinna to uwzględnić i wstrzymać się z łapaniem mnie za łokieć.

– Nie możecie tego zrobić! – Palce miała silne i twarde.

– O co chodzi? – Oczywiście wiedziałem.

– Chcesz tu czekać nie wiadomo jak długo? A jeśli któryś umrze?

– Szybki transport po bezdrożach też im nie wyjdzie na zdrowie.

– Przedtem mówiłeś co innego.

– Przedtem do nas nie strzelali – przypomniałem. Przez chwilę przyglądała mi się z mieszaniną zdziwienia i rozczarowania.

– Przynajmniej jesteś szczery.

– O co ci chodzi?

– Myślałam, że chociaż spróbujesz ich ratować. Jesteś lekarzem. Gdybyś powiedział, że musimy jechać, tobyśmy pojechali.

– Niekoniecznie – zauważyłem. – A przede wszystkim nie musimy.

– Powinni jak najszybciej trafić do szpitala.

– Ale nie na pole bitwy. Przypomnij sobie tamtą ciężarówkę.

– On odleciał. – Walczyła z uporem godnym lepszej sprawy. – Nie jest idiotą, wie, że wezwiemy na pomoc myśliwcę. Dawno jest w Somalii.

– Na to bym nie liczył – wspomógł mnie Olszan. – Jak facet ma jaja, przycupnie gdzieś, przeczeka i znów spróbuje.

Zadał jej bolesny cios. Myślałem, że ostateczny. Okazało się, że wytrącił jej tylko broń z ręki. To zwykle wystarcza, ale ona miała jeszcze gołe ręce i zdecydowała, że nimi też może walczyć.

– Tu też będzie pole bitwy. – Nie patrzyła na żadnego z nas i chyba po tym poznałem, jak wiele kosztuje ją ta rozmowa.

– Myśli pani o tych facetach z szablami? – zdziwił się Olszan.

– Mają coś więcej niż szable. I są naprawdę niebezpieczni.

– I są daleko. – Chciałem to już zakończyć. – Daj spokój, paroma pastuchami na wielbłądach nie przestraszysz Filipiaka.

Milczała, patrząc na żołnierzy rozpinających siatkę maskującą nad starem cysterną. Mocno się pociła. Męczyłem ją.

– Po prostu chodź ze mną i powiedz, że powinni być ewakuowani.

– To, że powinni, to on wie i beze mnie.

– Proszę cię. Zrób to dla mnie.

Dopiero teraz popatrzyła mi w oczy. Może potrafiłbym odmówić, ale nie chciałem toczyć psychologicznych zapasów w obecności Olszana.

Filipiaka znaleźliśmy na zachodnim końcu zajętej przez pluton części wąwozu. Stał z Bielskim, objaśniając mu jakiś szkic. Obok T-72 wygrzebał dla siebie płytki okop przy pomocy opuszczanego lemiesza – głębokiego się nie dało, z uwagi na zalegające pod piaskiem skały – a teraz załoga napełniała ziemią worki i nadrabiała nimi niedostatki osłony. Podobne prace prowadzono na całej długości rozpadliny: półnadzy żołnierze osłaniali workami co wrażliwsze elementy samochodów, rozpinali płachty maskujące, ścinali i znosili na dół całe drzewka, sadząc je obok ciężarówek. Tylko pozostawiony na górze BRDM uniknął przekształcenia w bezkształtny pagórek. Już sam rozmach przygotowań marnie wróżył inicjatywie Gabrieli.

Ta oczywista prawda nie znalazła drogi do jej umysłu.

– Nie możemy tu zostać – wypaliła od razu z najgrubszej rury.

– Proszę? – zdziwił się porucznik.

– Doktor Szczebielewicz twierdzi, że ranni muszą jeszcze dzisiaj znaleźć się w szpitalu – gładko złamała zasady uczciwej gry. Otworzyłem usta, ale od razu je zamknąłem. Neutralność zwykle popłaca.

– Nie zatrzymuję – zerknął na mnie z odrobiną ironii. – Niech pani znajdzie sobie szofera i jedzie. Pani może prowadzi?

Przygryzła wargę, by skryć upokorzenie. Filipiakowi też nie przyznałbym nagrody fair play.

– Nie chodzi o mnie – powiedziała cicho. – Mogę jechać przodem, proszę bardzo. Tego śmigłowca już tu prawdopodobnie nie ma. Za to pułkownik Sabah zjawi się na pewno.

– To ten pani niedoszły?

– To też – spokojnie skinęła głową. – Ale przede wszystkim jest człowiekiem, który przepędził stąd regularną armię etiopską. Nie może go pan lekceważyć.

– Gdzież bym śmiał lekceważyć pani narzeczonego...

– Proszę bardzo, może się pan ze mnie nabijać do woli.

– Porucznik się nie nabija – zełgałem dla dobra sprawy. – Stara się tylko powiedzieć, że z dwojga złego woli wieśniaków ze strzelbami.

– Nie wierzycie mi – powiedziała z goryczą.

– Odjechaliśmy szmat drogi – złagodził ton Filipiak. – Nawet gdyby potrafili nas znaleźć, to konno i na wielbłądach...

– Wiem, że trudno uwierzyć, ale czarni też miewają ciężarówki – wykrzywiła usta w nieładnym grymasie. – I nie tylko.

Następny faul. Ta rozgrywka robiła się zbyt brutalna: co sobie Filipiak myślał, to myślał, ale jak dotąd nie dał jej odczuć, że zauważa specyficzny kolor jej skóry. Szczególnie wyraźnie rzucało się to w oczy, gdy tak jak teraz oglądało się go na tle beczelnie uśmiechniętego Bielskiego. Z takim wyrazem twarzy plutonowy nie przeżyłby ani minuty w Harlemie czy Soweto.

– Nie oddamy mu pani, jeśli o to chodzi – oświadczył sucho Filipiak. Jej twarz pociemniała. Strzał był celny, a rana bolesna.

– Myśli pan, że chcę ratować tyłek? – Nie dała mu odpowiedzieć. – No dobrze, chcę: każdy woli żyć. Ale o was też się boję. Pan nie zna Sabaha, ja tak. Wiem, że się tu zjawi i że poleje się krew.

– Najwyżej zrobi się z pani wdowę – nie wytrzymał Bielski.

– Jeśli nie możemy odjechać – zignorowała go – niech pan przynajmniej przygotuje się do obrony. Bardzo pana proszę.

– A co niby robimy? – wzruszył ramionami Filipiak.

– To wszystko – zatoczyła dłonią krąg – na wypadek nalotu, prawda? A ja mówię o ludziach

z karabinami. Powinniśmy się okopywać na górze.

Filipiak odwrócił się i ruszył ku środkowi obozowiska. Omal się od niej nie uwolnił: poszła za nim głównie po to, by nie zostawać w pobliżu Bielskiego.

– Dlaczego pani myśli, że będą nas ścigać do upadłego? – zapytał.

– Nie powiedziałam, że...

– Gdyby nie miny, a teraz śmigłowiec, bylibyśmy daleko. Nawet na ciężarówkach mogliby nas gonić całymi dniami. Ten pani Sabah musi zdawać sobie z tego sprawę. A jednak uważa pani, że ruszy w pościg, mimo że nie ma żadnych szans.

– Ma – uśmiechnęła się blado. – Sam pan widzi: utknęliśmy.

– Problem w tym, że nie mógł tego przewidzieć.

– Problem w tym, że jego prowadzi Allah.

– Dlaczego? – Czuję, że stawiając to pytanie w zastępstwie nieco oszołomionego porucznika, w jakimś sensie ją zdradzam.

– O co ci chodzi?

– Skończ, skoro zaczęłaś. – Było mi jej żal, ale żałowałem też siebie i większości spośród prawie pięćdziesięciu innych. – Dlaczego Sabah ma prawo wierzyć, że wypełnia wolę boską?

– Ja wcale nie...

– Dlaczego?

Zlizała pot z górnej wargi. Czuję się parszywie: znęcałem się nad nią, bo zamiast trzymać język za zębami, próbowała nas ostrzec.

– On... zrobiłam coś... – Zaczerpnęła ogromny haust powietrza i wypchnęła to z siebie. – Rozplątałam szablę jego matkę.

Filipiak zderzył się z jakąś niewidzialną ścianą. Ja potknąłem się o mniejszy, za to materialny kamień.

– Co zrobiłaś?!

– Nie wiem, czy ją zabiłam. – Najgorsze już powiedziała, szło jej teraz lżej. – Dali mi narkotyk, byłam półprzytomna. Pamiętam, że zerwałam ze ściany taką jakby turecką szablę, wiecie, jak z Sienkiewicza, i... – Złączyła dłonie na nieistniejącej rękojeści i całym ciałem, z gracją baletnicy, wyprowadziła cięcie. Niemal słyszałem świst klingi. – Wszystko z niej wypłynęło. Jelita, krew... Wszystko.

Czekałem na łyzy. Nie popłynęły. Wspomnienie wstrząsnęło nią, ale właśnie nią, a nie jej sumieniem.

– No... ładnie. – Filipiakowi musiało mocno zaschnąć w gardle. Nadchodzący z naprzeciwka Lesik i Agnieszka aż się zatrzymali na widok jego miny.

– Ale dlaczego? – I znowu to mnie przypadło najtrudniejsze pytanie.

– Byłam... nie wiedziałam, co robię.

– Dobra – zgodziłem się. – Nie wiedziałaś. Ale dlaczego, do nagłej cholery, zrobiłaś harakiri własnej teściowej?! Różne rzeczy się robi na haju, ale jakiś, choćby pokręcony sens to jednak ma!

Ktoś, chyba Lesik, wymamrotał: „Matko Boska!”. Obejrzała się, jakby przestraszona.

– Co tam się stało? – Szedłem za ciosem. – Musisz nam powiedzieć!

Szarpnęła się, posyłając mi dzikie spojrzenie.

– Odczep się!

Rzuciła się biegiem ku brzegowi wąwozu. Stok był tu stromy; raz i drugi zjechała na kolanach i łokciach, ale i tak znikła za krawędzią, nim ktokolwiek zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia.

– Czy ja dobrze zrozumiałam? – zapytała Agnieszka Wielogórska. Była zmęczona, ale właśnie dlatego spalający mgiełkę otępienia blask w jej oczach stał się tak łatwy do wychwycenia.

– Niech pani tego nie robi – rzuciłem ostrzegawczo.

– Czego?

– Nie bawi się w dziennikarkę. Przynajmniej teraz.

Popatrzyła na mnie z mieszaniną wyrzutu i wyzwania. W końcu wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok na Filipiaka.

– I co teraz?

Czułem, że najchętniej powtórzyłby manewr Gabrieli.

– Nic – mruknął.

– Jak to? – zdziwił się, nawet bez zbytniego oburzenia, major Lesik. – Ta kobieta przyznała się właśnie do morderstwa. – Filipiak rzucił mu ponure spojrzenie. – Pozwoli jej pan uciec?

– Pieszko i bez wody? O czym ksiądz mówi...

W zasadzie w stu procentach się z nim zgadzałem, ale do nóg nie przemówiła logika i korzystając z zamętu w głowie, poniosły mnie w górę stoku. Bałem się. Jeśli pognąła na osłep w bezmiar tego bezwodnego pustkowiec, jeśli Filipiak się mylił...

Nie mylił się. Siedziała po turecku, wsparta o drzewo, z odrzuconą do tyłu głową, i gdyby nie to, że wybrała niewłaściwą stronę pnia, można by ją wziąć za studentkę czy młodą urzędniczkę, która podczas przerwy śniadaniowej wyszła na słońce, by popalać twarz.

Patrzyła w niebo oczami, które nie widzą.

– Mogę usiąść?

Żadnej reakcji. Dostrzegłem wychyloną zza krawędzi wąwozu Agnieszkę. Osunąłem się na trawę po północnej stronie pnia, pogroziłem jej pięścią. Uśmiechnęła się leciutko i znikła.

– Nie załatwisz tego w ten sposób. – Nie widzieliśmy się i to ułatwiało mi zadanie. – Będą pytać do skutku.

– Zostaw mnie. – Zgaszony głos kogoś, kto nie ma sił walczyć.

– Chcę ci pomóc.

– Pewnie.

– Nie zachowuj się jak dziecko. Mamy prawo wiedzieć. Jeśli Sabah nas znajdzie i zacznie się walka... Przecież w to wierzysz, prawda?

– Boję się tego. – Ledwie ją słyszałem.

– Rozumiem: „Może się jednak nie zjawi, więc nie muszę mówić”.

– Daj mi spokój.

Dałem. Na całą minutę.

– Mówiłaś coś o narkotykach. Co to miało znaczyć?

– Nic. Odejdź. Proszę.

– Co, popalałyście sobie w ramach wieczorku zapoznawczego?

– Proszę...

Czułem, że za chwilę zrobi coś strasznego. Ucieknij. Wydrapie mi oczy. Rozplacze się. Tak czy inaczej zniszczy coś, co między nami było... mogło być? W co wierzyłem, że będzie?

Gubiłem się w tym wszystkim. Pozostało zdać się na instynkt, i to właśnie on, nie bawiąc się w budowanie uzasadnień, kazał mi odejść.

*

– ...już taką dziurę, że można będzie niedługo tańce urządzać, a Giełza dalej kopie. – Olszan mówił zarazem niedbale i cicho, co rzadko chodzi w parze. – Ale w końcu stąd wyjedziemy. Dlatego uważam, że powinien dać go pan na suzuki. To ostatni wóz, do którego strzelą.

Filipiak trzasnął trzymanym w dłoni butem o kamień, na którym siedział, zaczął wysypywać piasek.

– Ciekawe, skąd pan wie – mruknął. Zwolniłem, zaciekawiony.

– Nie marnuje się rakiet na byle co. Mało ich mają.

– Ostatnio strzelali do ciężarówka – włączyłem się do rozmowy.

– No i skasowali jedną z drużyn. – Olszan nie był chyba zadowolony z rozszerzenia kręgu dyskusantów, ale ostatecznie podrzuciłem argument stronie przeciwnej. – Może zresztą liczyli, że pozbawią nas wody albo amunicji... No i to jednak ciężarówka, a nie jakiś cywilny pędrak. A za pierwszym razem polowali na czołg.

– BWP ma pancierz – zauważył Filipiak. – W samochodzie byle odłamek może zniszczyć nadajnik.

– Ale właśnie w bewupy będą strzelać.

– Prawdopodobnie – zgodził się. – Dlatego nie namawiam, by się pan przesiadł. Giełza jakoś

sobie poradzi.

– No, nie wiem... Tak między nami, to on jest dość cienki.

– Jadąc i tak nie będziemy używać krótkofalówki.

Olszan uniósł ręce w żartobliwym geście kapitulacji i odszedł w stronę okopu, do którego pół godziny wcześniej przeniesiono nadajnik. Spod siatki maskującej gramolił się akurat Morawski. Jak na pilota przystało, błyskawicznie wypatrzył manierkę w mej dłoni.

– I tak się nudzisz – błysnął zębami, podchodząc i wyjmując mi ją z ręki. – Przyniesiesz sobie nową.

Górna część jego kombinezonu zwisała za pośladkami, podtrzymywana pasem z kaburą, a zastępujący ją podkoszulek wyglądał jak mokra szmata, którą wycierano bardzo brudną podłogę. Inaczej mówiąc: major prezentował się dokładnie tak jak wszyscy, którzy wzięli się za łopaty.

– Coś nowego? – wskazałem okop. Z ustawionym na zewnątrz wawozu masztem łączył go długi kabel anteny kierunkowej.

– Nic. – Morawski opróżnił połowę manierki i zrobił sobie krótką przerwę. – Czekamy.

– Na mirage?

– Albo ruski śmigłowiec. – Minę miał raczej ponurą.

– Też myślisz, że to rosyjska maszyna?

– Jeśli wierzyć Wielogórskiej... Szturmowiec, płaskie oszklenie, rakiety o zasięgu sześciu, siedmiu kilometrów... To cholernie ogranicza pole manewru. Apache, supercobra, rooivalk, mangusta, tiger, no i rosyjski Mi-28. RPA i Europa odpadają, za mała produkcja, praktycznie tylko na własny użytek. Europejskie maszyny nie strzelają zresztą na razie tak daleko. Amerykanów możemy z góry skreślić. Zostaje mil.

Miał rację. Nie wystarczy mieć pieniądze – duże, nawiasem mówiąc – by stać się szczęśliwym posiadaczem takiego, dajmy na to, apache'a. Trzeba jeszcze uchodzić za stuprocentowo lojalnego i liczącego się sojusznika Stanów Zjednoczonych. Egipt, Izrael, Arabia Saudyjska – na tym według mojej wiedzy kończyła się lista nienależących do NATO użytkowników ekskluzywnej maszyny.

– To chyba lepiej? – rzuciłem niepewnie.

– Że mil? Nie wiem. – Łyknął z manierki. – Elektronikę może mieć słabszą, ale też niekoniecznie. A sama maszyna... Ponoć kaliber poniżej 25 mm nie robi na niej wrażenia. Wielkie, ciężkie, dobrze opancerzone bydlę. W lokalnej wojnie, gdzie śmigła więcej kul niż rakiet, chyba wolałbym latać takim niż zachodnim.

– Gdybyś to ty teraz na nas polował... Co byś zrobił?

– Wyniosłbym się w diabły – uśmiechnął się krzywo. – Tyle że ja nie jestem bojownik islamu; mam ambicję żyć, nie ginąć w dżihadzie.

– Skąd wiesz, że to muzułmanie?

– Nie wiem. Ale Mi-28 ma jeszcze i tę dobrą stronę, że wywodzi się z Mi-24. A dwudziestkączwórką latały i latają setki pilotów w co najmniej kilkunastu krajach świata. W tym wielu Arabów. Nawet gdybyś kupił na czarno zachodnią maszynę, pozostałby ci problem pilota i strzelca. No i mechaników. Tu masz je z głowy: za psie pieniądze albo i za „Allah zapłać” możesz mieć dobrze przeszkolony, lojalny personel. W przypadku muzułmanów gotów polec dla świętej sprawy.

– Ci nasi chyba się do tego nie palą. Mogli ostrzej przyciskać; przy odrobinie szczęścia samym działkiem wypruliby z nas flaki.

– Z czołgu nie – przypomniał. – A propos flaków: to prawda z tą twoją dziewczyną?

Uniosłem twarz. BRDM wciąż tkwił na górze, trudno powiedzieć dlaczego, bo radar był przenośny i równie dobrze można było go ustawić na trójnogu. Na razie jednak dźwigał go samochód pancerny z zamkniętym wewnątrz Grochulskim, który obiecał mi mieć na oku pewną czarnoskórą i nękaną czarnymi myślami pannę.

– Moją? – zdziwiłem się, trochę przesadnie i za późno.

– Nie, moją... – Uśmiechnął się kpiąco. – A tak w ogóle, to uważaj: narazisz się takiej, i ciach: nie ma cię. Przynajmniej jako faceta.

– Bardzo śmieszne.

– Fakt – przyznał. – Niewesoło to wygląda. Padła nawet sugestia, by założyć jej kajdanki i postawić obok wartownika.

– Co za palant wyskoczył z...? Lesik!

Nie odpowiedział. Czyli trafiłem.

– Mam trochę piwa – mruknął. – Napijesz się?

– Może później. Muszę zmienić Jolę.

Obaj wiedzieliśmy, że to wykręt.

Ruszyłem w stronę sanitarki. Dzielila się dużą siatką maskującą z płytkim okopem, który zniszczył resztki szans na przyjaźń między mną a zagonionym do łopaty Andrusiakiem. Przy jednym z cherlawych drzewek, podtrzymujących odciąg, ubrany w marynarską koszulkę Wołynow rozmawiał z wbitym w kevlar, wciąż regulaminowym Filipiakiem.

– ...zmienić szyki. – Major mówił łagodnym tonem. – Jest przekonana, że najpóźniej jutro będzie tu co najmniej setka partyzantów.

– Na wielbłądach – uzupełnił Filipiak. – Wiem, słyszałem.

– Nieważne, na czym przyjadą. Afgańczycy chodzili pieszo, a i tak dali nam nieźle w dupę.

– Co powinniśmy zrobić? – Wtrącanie się do cudzych rozmów zaczynało mi wchodzić w krew. – Majorze? Zna się pan trochę na tym, prawda?

– Nie powinien pan czasem zajrzeć do rannych? – zainteresował się lodowato uprzejmy

Filipiak.

– Po co? Skoro wszyscy mamy zginąć przed świtem...

– O co panu chodzi, doktorze?

– O nic. Po prostu jej wierzę. I zastanawiam się, co zrobimy, jak tam – uniosłem głowę – pojawią się faceci z karabinami.

– Tam stoi samochód pancerny. – Głos porucznika wciąż był zimny, ale brakowało mu twardości lodu. – Gdyby ktoś nas atakował, to mam trzydziestu ludzi, których można posłać na górę.

Może nawet by mnie przekonał, gdyby udało mu się przekonać samego siebie. Wołynow uniemożliwił mu to chyba samą swoją obecnością. Przez jakiś czas milczeliśmy. Autorytetowi Filipiaka coś się należało.

– Majorze? – rzuciłem Wołynowowi znaczące spojrzenie.

– Tu są gęste zarośla... gdzieś tam. – Ostrożnie ważył słowa. – No i północny brzeg leży niżej. Gdyby zaczęli strzelać z obu stron, to nasi ludzie na południowym stoku nie mieliby osłony z tyłu.

– Okop to to nie jest – przyznał Filipiak.

– Kiedyś osłanialiśmy grupę ciężarówek w dolinie. Kompania piechoty na bojowych wozach piechoty i mój pluton. Dowiedzieli nas śmigłowcami jako wsparcie, no i dowódca piechoty uznał, że powinniśmy się okopać obok jego maszyn. Okopaliśmy się, on rządził. Przyszło paru Afgańczyków z automatami i spalili nam trzy ciężarówki. Kapitan zmądrzał i mówi: „Poślij chłopców na najbliższe wzgórza, to żaden łachudra z automatem nam nie podskoczy”. Obsadziliśmy najbliższe. Tamci przytargali szpagina i zanim ich bewupy wymacały, rozwalili następne cztery ciężarówki. Wróciłem do kapitana i mówię: „Dorzuć pluton, a zajmiemy wszystkie wzniesienia, z których widać dolinę”, a on, że nie, bo nie wolno rozpraszać sił. No i następna grupka, tym razem z wyrzutnią pepeka, puściła mu z dymem jednego BWP.

– Dał panu pluton – dokończyłem – ale kiedy obsadziliście dalsze wzgórza, Afgańczycy przyciągnęli moździerz. Wtedy wy trzeci pluton i do przodu, a oni haubicę...

Roześmiali się obaj. I o to chodziło.

– No dobrze, doktorze, niech pan wyciąga maść na bąble. Właśnie załatwiliście chłopakom długie i ciężkie wykopki.

*

Wytrzymałem do zmroku. Głównie dzięki Grochulskiemu, który trzykrotnie schodził po wodę i mijając honkera, leciutko kiwał głową. Nie miałem odwagi pytać, a on – z własnej inicjatywy zdawać mi raportu. Sanitarka stała pośrodku długiego na ćwierć kilometra

obozowiska i bez przerwy ktoś się tu kręcił. Poza tym była tu Jola, siedząca na fotelu z wypchanych piachem worków i zalewająca mnie potokiem słów.

Nie wiedziałem, czy to reakcja na ustępujący stres, czy wręcz odwrotnie. Przed zagonieniem chłopaków do kopania dołów strzeleckich Filipiak zrobił zbiórkę i przekazał dwie wiadomości. Zła była o jeźdźcach Sabaha. Dobrą przekazali piloci francuscy. Lecąc w naszym kierunku, zauważyli na radarach duży śmigłowiec, który z maksymalną szybkością przekraczał granicę, umykając w głąb Somalii.

Zamieniliśmy jedną nowoczesną, morderczą maszynę na trudną do ustalenia liczbę staroświeckich koczowników, którzy też mieli ochotę mordować. Nikt nie był pewien, czy powinien się cieszyć. Ja też nie, ale powoli dojrzywało we mnie przekonanie, że pierwszą rzeczą, którą Somalijczycy wezmą na cel, będzie biała plama pewnej znanej mi koszuli.

– ...w autentycznej skórze zebry, wyobraża pan sobie? – ciągnęła swą opowieść Jola. – Istny cyrk, wszyscy się do ścian odwracali, żeby się idiotce w twarz nie roześmiać. A Zaręba to się po prostu jak burak zrobił. No to już wtedy wiedziałam, że ją odeśle. A ta podchodzi do generała i takim kocim głosem: „Białe tango, białe tango, szefuniu...” Jak Boga Kocham, tak powiedziała: „Szefuniu”. I w dodatku leciał jakiś szybki kawałek, Zaręba by w życiu nie skakał jak pajac na oczach połowy oficerów kontyngentu... Mówi, że nie, a ona, wyobraża pan sobie?, wiesz mu się na szyi i mało w ucho nie gryzie. Musiała być w trupa zalana. Na szczęście się akurat obok porucznik Koziej kręcił... Zna pan Kozieja? Straszny zgrywus; kiedyś, jak przychodził do jednej pielęgniarki, to cały szpital sikał. No i ona wisi generałowi na szyi, de Sousa to na żyrandol się gapi, to w okno, że niby nie zauważył, a tu podchodzi Koziej i mówi: „Ty zebra, ja koza, my tańczyć mnóstwo bardzo”. Potem chodziły słuchy, że Stary miał go za to awansować, ale ktoś mu szepnął, że po tym balu wylądowała u porucznika w łóżku, więc nic z tego... Swoją drogą to możliwe, bo wie pan co? Ona w ogóle majtek nie nosiła, i to nigdy, nie tylko jak szła do pracy, kawę Zarębie parzyć. Puszczala się podobno ze wszystkim, co chodzi. Nawet jakiś Murzyn... tak słyszałam. Aż trudno uwierzyć, że tyle czasu ją trzymał w sekretariacie. Zwykle kurwiątko.

W wąwozie nastąpiła już noc. Żołnierze rozpalali ogniska. Kucharz szykował późną kolację; aromat parzonej herbaty rozlewał się szeroko i odczuwałem go niemal równie wyraźnie, jak woń swego potu. Najmocniej pachniała oczywiście Jola, spryskana perfumami od stóp do głów. Zastanawiałem się, czy torba Gabrieli dorównuje pod tym względem zawartości jej skromnego skądinąd bagażu. Co zabiera z domu dziewczyna, która właśnie pochlastała szablą niedoszlą teściową? Chyba jednak nie kosmetyki. Bieliznę? Tam, w Addis Abebie, nie nosiła nic pod spodem. Całkiem jak sekretarka Zaręby. Co jeszcze je łączyło? Na pewno nie lądowanie w łóżku Kozieja. A w łóżku Murzyna? Obie okryły hańbą dumnych wodzów. Jedną kosztowało to posadę. Druga...

– Zaraz wracam – podniosłem się, zaskakując i Jolę, i siebie.

Na górze wcale nie było widniej, choć nad zachodnim horyzontem jarzyło się pasemko purpurowego blasku. Omal nie zламаłem nogi, w ostatniej chwili przeskakując nad dobrze zamaskowanym okopem. Z boku ktoś pobrzękiwał saperką w półmroku. Nie widziałem go. Za to koszulę Gabrieli zauważyłem prawie od razu, choć była brudna i było jej mniej.

– Co ty robisz? – Było to jedno z moich najgłupszych pytań: trzeba było być ślepym, głuchym i całkiem niewrażliwym na kilogramy wirującego wokół kurzu, by nie zauważyć, że kopie. Dół miał ze trzy metry długości i wgrzyzał się w ziemię na głębokość od połowy do półtora metra.

– Robaków... szukam... na przynętę. – Nie podniosła głowy, przedzielając słowa machnięciami solidnie obciążonej łopaty. Pogłębiała płytszy koniec rowu, dzięki czemu dobrze widziałem pokryte błotem plecy. Podwinęła koszulę aż pod piersi, ale najwyraźniej niewiele to pomogło: pot lał się z niej całymi szklankami.

– Ktoś ci kazał...? – Ugryzłem się w język. Za późno: liczył się ton, nie słowa. Warczałem, zamiast mówić. Zastygła z wbitą w piach saperką, a potem powoli obróciła w moją stronę twarz, którą widziałem głównie dzięki temu, że lśniła od wilgoci. Pomyślałem, że jest naprawdę czarna, przede wszystkim jednak mdlilo mnie od pewności, że identyczne myśli chodzą po głowie i jej. Bo jest mądra, a ja głupi.

– Nikt mi niczego nie kazał. – Chyba powiedziała to przez zęby. Moje sumienie wiedziało, co robi, skręcając się z poczucia winy. – Odejdź, przeszkadzasz mi. – Zabrzmiało zbyt impulsywnie, więc dodała równie impulsywnie: – Zasłaniasz światło.

– Nie bądź taki Diogenes – burknąłem.

Roześmiała się. Nieoczekiwanie, bez odrobiny starań z mojej strony. To wcale nie miał być żart, po prostu następne skojarzenie, jak to z czarnymi, posyłanymi do kopania rowów.

– Nie bądź taki Aleksander.

Ona żartowała z premedytacją. Też skutecznie. Śmiałem się przez chwilę razem z nią; nie dlatego, że dałem taką plamę i umykałem przed karą, ale dlatego, że po prostu mnie rozbawiła.

– Kolacja – powiedziałem, kiedy żywiołowy chichot przeszedł w szeroki uśmiech. Byłem na fali i pewnie dlatego dokonałem wyczynu, który chwilę wcześniej przekraczałby moje możliwości.

Sięgnąłem po jej rękę jak po coś swojego i prawie nie udawałem, że pomagam jej w ten sposób wydostać się z okopu.

– Dzięki – wymruczała.

Przeszliśmy całe cztery kroki, nim pozwoliłem jej dłoni wysunąć się z mojej. Od biedy dało się to wyjaśnić roztargnieniem.

– Pomyślałam, że skoro nie mam nic do roboty, to mogę im pomóc.

– Nic do roboty? A kto mi pomoże przy rannych?

– Masz już jedną.

Czekałem na słowo: „Pielęgniarka”. Nie padło.

– Od nadmiaru głowa nie boli. A łopata to nie narzędzie dla kobiet.

– To Afryka, ignorancie. Tu kobiety kopią, sieją i zbierają plony. Rola mężczyzn polega na doglądaniu interesu i płodzeniu dzieci.

Wyprzedziłem ją o dwa kroki, zeskoczyłem za krawędź wąwozu, wyciągnąłem ręce w górę w niemej propozycji. Zawahała się.

– No chodź. Jak mi pół personelu spadnie i połamię nogi, będę zhańbiony jako facet nie potrafiący upilnować interesu. A wtedy będę musiał ratować twarz tłukąc cię bambusowym kijem.

Jej zęby błysnęły różowym blaskiem płonących pod nami ognisk.

– Ależ ze mnie egoistka – wyznała ze skruchą. Omijając ręce, wsparła dłonie o moje barki i zeskoczyła. Chwyciłem ją za biodra, ale za późno: poczynając od okolic odsłoniętego pępka, a na podbródku kończąc, ciało Gabrieli przesunęło mi się po czole, nosie i ustach. Nie wiem, jakim cudem nie runęliśmy w dół stoku.

Odskoczyliśmy od siebie i do wąwozu zeszliśmy w metrowym odstępnie. Wymruczała coś o herbacie i oddaliła się w stronę kuchni.

*

– Jaki lokal, taka kuchnia – stwierdził Olszan po paru minutach ciszy wypełnionej szczękiem łyżek. Siedział obok nóg Wielogórskiej z tacką na kolanach, i choć opierał się bardziej o fotel z worków niż jej udo, było coś niesamowicie intymnego w tej scenie. Raz po raz wychwytywałem chłodne spojrzenia kapelana, a i Jola nie zerkała w ich stronę z całkowitą neutralnością. Każdą kobietę musiał boleć widok takiego przystojniaka u stóp innej. Fakt, iż stół był maleńki, a siedziska tylko cztery, tylko częściowo rozgrzeszał winowajcę.

– Ciesz się, że masz choć tyle – westchnęła Agnieszka. – Wiem, że to nieodpowiedni moment, ale... czy to był pogrzeb, proszę księdza?

Nie miała racji: moment był odpowiedni. Najlepszy dowód, że nikt się nie zakrztusił. Inna sprawa, że bardziej za sprawą Ciołkosza, który przydzielił każdemu VIP-owi miejsce przy jednym z dwóch stolików. Porcje prawdziwych żołnierzy trafiły na ten rozstawiony obok punktu dowodzenia, natomiast cywilbanda, kobiety i osobnicy podszywających się pod wojsko mieli jeść przed sanitarką. Zostaliśmy wrzuceni z Lesikiem do jednego worka i schłodziliśmy w nim atmosferę na tyle skutecznie, że byle wzmianka o pogrzebie nie robiła już na nikim wrażenia.

– Ależ skąd! – oburzył się kapelan. – Filipiak nie dał mi ani jednego żołnierza. Nawet do kopania grobów i sporządzania krzyży, nie mówiąc o ceremonii.

– Ma na głowie żyjących – zauważył Olszan.

– Oczywiście – zgodził się Lesik. – Ale zmarłym należy się odrobina szacunku, a on... Niech sobie pani wyobrazi: powiedział, że daje czołg na dziesięć minut, bo ma ważniejsze sprawy na głowie. Dziesięć minut! Po siedemdziesiąt pięć sekund na każde ludzkie istnienie. Nie, pogrzeb jeszcze się nie odbył, skoro o to pani pyta.

– Przecież ich zasypali – Jola posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Tylko na noc. Nie zostawię tak tego.

– Na pewno zgodzi się przydzielić ludzi – rzuciła Wielogórska tonem pocieszenia. – Do tej pory nie było czasu, wszyscy pracowali. Teraz zjedzą, odpoczną trochę i urządzi się porządek...

– Nie mogą tu zostać – przerwał jej. – Przemyslałem to. Póki w grę wchodził śmigłowiec, to co innego. Ale teraz, okazuje się, może tu wpaść banda fanatycznych dzikusów, nienawidzących wszystkiego, co zachodnie. Pamięta pani, co robili z ciałami amerykańskich żołnierzy w Mogadiszu? A Irak? Te radosne tańce nad kałużami krwi? Nie możemy dopuścić, by teraz bezczeszczono ciała naszych. Będę się stanowczo domagał ewakuowania ich stąd.

Znów było cicho przez jakiś czas.

– Chyba się najadłem – poinformował wszystkich Olszan. – Ciekawe, od kogo wojsko kupuje to coś.

– Fakt. – Agnieszka, świadoma swej winy, ochoczo skorzystała z okazji, by zmienić temat. – Nawet ja lepiej gotuję.

– Porównywanie się z producentem tego tutaj nie ma sensu, ale trochę mnie zaniepokoiłaś. Myślałem, że jesteś bardziej kobieca.

– Świnia.

– Strażniczka domowego ogniska nie może truć męża, dzieci...

– Wyhamuj, pilocie pieszy. Jakie ognisko? Jestem taka zabiegana, że jaja jem tylko na miękko.

– Ktoś się w tobie zakocha, i co? – Ukucnął, by nalać sobie herbaty. – Zagłodzisz biedaka? Zabijesz miłość spalonym schabem? Do serca mężczyzny trafia się przez żołądek. U was też, pani Gabrysiu?

Nie zauważyłem, kiedy nadeszła. Może dlatego, że zmieniła koszulę na czarny podkoszulek, a dzinsy na szorty, które też były wprawdzie błękitne, lecz których było zdecydowanie mniej. Podkoszulek nie miał rękawów, ale też nie odsłaniał ramion; nie zmuszał dziewczyny odciętej od własnej łazienki do takiej uwagi jak klasyczny podkoszulek z wąskimi ramiączkami. Gdyby świeciło słońce, uznałbym strój za kompromis między skrępowaniem własną cielesnością a potrzebą chłodu. Zaczynała się jednak noc, zimna jak wszędzie, gdzie brakuje chmur i wody, więc nie byłem pewien, jak interpretować jej wybór.

– Pomijając kolor – mruknęła – wszyscy faceci są jednakowi.

Może nie było czego interpretować? Może nie pamiętała już, o czym mówiliśmy, maszerując za sanitarką? Wzięła pierwszy z wierzchu czysty zestaw – oto najprostsze wyjaśnienie.

Zaterkotał generator i nagle w wąwozie zrobiło się względnie widno. Coraz więcej półnagich żołnierzy z łopatkami w dłoniach schodziło na dół; przed kuchnią utworzyła się nawet mała kolejka.

– Naprawdę? – Jola nie uniosła wzroku znad swej porcji. – Czyli to kolor się pani nie podobał w narzeczonym?

– Siostró – mruknął z wyrzutem Lesik.

– Siadaj – wstałem od stołu. – Przyniosę ci kolację.

– Nie jestem głodna.

– Proszę z nami usiąść – poparła mnie Agnieszka. – Nic pani nie jadła od wczoraj.

– Nie jestem... – Usiadła.

Kiedy wróciłem z kuchni, miejsce Joli było puste.

– Podobno pracujemy w jednej firmie? – przerwał milczenie Olszan.

– Dla ministra rolnictwa? – uśmiechnęła się. – Owszem. Nie jestem tylko pewna, czy dla tego samego. Panu pewnie płaci rząd Degawiego?

Oczy Wielogórskiej załśniły.

– Chce pani powiedzieć...?

– Mnie zatrudnili, jak rządził Mojle.

– To znaczy, że załatwiając pani lot, Zaręba wsparł rebelię? Boże, ale numer. Mogę o tym napisać? Proooszę...

– To Degawi jest rebeliantem. A generał o niczym nie wiedział. – Czułem, że nie wkłada całego serca w jego obronę. – Był tak zaskoczony, kiedy Murzynka przemówiła po polsku, że...

– Murzynka to chyba za mocno powiedziane – uśmiechnął się Olszan. – Jak to tam było z pani starymi, pani Gabrysiu?

Każdy inny ryzykowałby cios ledwie napoczętą porcją. Albo łyzy. Ale nie ten ładny, niesforny chłopiec, jakby wyjęty z amerykańskiego filmu. Była kobietą i nie obraziła się. Więcej: podarowała mu uśmiech.

– Jedna babka była Dankilką, druga pół Polką, pół Ukrainką ze Lwowa. Dziadek Amhar z matki Erytrejki, drugi Polak z Łodzi, ale z nazwiska trochę jakby... no, Bauman się nazywał. Tak że generalnie ma pan rację. Strasznie jestem skundlona.

– Prawdziwa mozaika religii – zauważył Lesik. – Ale pani, jak rozumiem, jest katoliczką?

– Nie wiem – zamyśliła się nad uniesioną łyżką. – Chodziłam na religię, ochrzcili mnie, więc pewnie... Nie, nie wiem.

– Nie wie pani? – Był niemile zaskoczony.

– A konkretnie – pospieszyłem jej z pomocą – co tu robisz? To znaczy: jak zarabiasz na

życie?

– Jestem ekspertem Ministerstwa Rolnictwa do spraw wdrażania nowych upraw. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Dumnie brzmi, ale w Polsce po prostu skończyłam akademię rolniczą.

– Nie dość, że ładna – pokiwał głową Olszan – to jeszcze mądra. Niech pani tylko nie mówi, że umie gotować, bo mi serce pęknie.

– Biedaczek. – Uśmiech Agnieszki wypadł chłodno.

– Żebyś wiedziała. Dwie szalowe dziewczyny naraz. Oczywiście nadal cię lubię, ale rozumiesz: co micha, to micha.

– Poddaję się – powiedziała szybko Gabriela. – Też marnie gotuję. Zresztą nic by z tego nie wyszło: pracujemy dla konkurencji.

– A, faktycznie. – Odwrócił głowę i nie spiesząc się, pocałował Agnieszkę w gołę, umiarkowanie czyste kolano. – Wygrałaś, Wielogórska.

Zesztywniała. Przede wszystkim jednak wypiękniała. Oczywiście była też zakłopotana. Wszyscy byliśmy, pomijając głównego winowajcę. Zziajany żołnierz podbiegł do stolika w najbardziej stosownej chwili.

– Panie kapitanie, szybko... Chyba udar słoneczny.

*

Szeregowy Maciaszek świecił nagim torsem, ale na głowie miał czapkę. Niczego to być może nie dowodziło, podobnie jak nieistotna mogła być stojąca obok puszka żywieckiego piwa.

Badałem nieprzytomnego chłopaka, słuchając jednym uchem jego kolegów. Jeśli im wierzyć, Maciaszek nigdy nie chorował, nie skarżył się na bóle głowy, nie odwiedzał lekarzy, nie ćpał, a nawet nie pił – może trochę przesadzili, ale w każdym razie uwierzyłem im, że coś podobnego jemu akurat przydarzyć się nie powinno.

– Tak po prostu usiadł i zasnął? – upewniłem się.

– Jedliśmy, nagle odstawił talerz, ziewnął i patrzę... leży.

– Porażenie słoneczne? – Trzeba przyznać Filipiakowi, że wstrzymywał się z pytaniami aż do końca oględzin. – Odwodnił się?

– Przenieście go – skinąłem na otaczających nas żołnierzy. – Pani Jolu, proszę przygotować posłanie obok sanitarki. I zestaw do płukania żołądka. Zaraz przyjdę.

Nie wstając, sięgnąłem po puszkę. Zostało w niej jeszcze z pięćdziesiąt gram czegoś, co pachniało ciepłym piwem i wylane w postaci kilku kropel na język także ciepłym piwem smakowało.

– Chyba nie nałał tam wódki? – W oczach Filipiaka zatlił się gniew.

– Przejdźmy się.

Powoli ruszyliśmy na wschód. W pobliżu cysterny nie było ani umocnień, ani tym bardziej legowisk, mogliśmy rozmawiać swobodnie.

– Nie daję głowy – zastrzegłem – ale to wygląda na zatrucie.

– Zatrucie? To znaczy... coś zjadł?

– Nie mówię o nieświeżej kaszance. Bez analiz niczego konkretnego nie powiem, ale ogólnie biorąc, ten chłopak chyba ciągle jest w znakomitej formie. Tyle że śpi.

– Zaraz... chce pan powiedzieć...?

– Dokładnie. Coś takiego jak u Gabrieli. Narkotyk. Środek nasenny. Znowu nie daję głowy – uniosłem puszkę – ale to pewnie to. Skąd się wzięła? To pierwsza, jaką widzę.

Nie chciał mi wierzyć. To się rzucało w oczy.

– Na jakiej podstawie...? Nie, to śmieszne. Sugeruje pan...

– Gdyby to była nastolatka, którą rzucił chłopak, nie zastanawiałbym się ani przez sekundę. Klasyczny przypadek nadużycia środków nasennych. Ale on chyba nie popełniał samobójstwa, prawda?

– Maciaszek? Wykluczone. To nie ten typ. Zresztą... kto by łykał proszki, a potem siadał i wcinał kolację?

– W dodatku tak podłą – dokończyłem, myślami błądząc już gdzie indziej. – Mają tam latarkę? – Wskazałem bewupa drugiej drużyny, wyznaczającego wschodni kraniec biwaku. – Chcę coś sprawdzić.

W wozie dyżurował kierowca i celowniczy, minimalna załoga zdolna poprowadzić pojazd do walki. Pożyczyłem latarkę, odeszliśmy na bok, usiadłem i zacząłem oglądać puszkę.

– No, proszę. O, tu. Jak pan sądzi, co to takiego? Przez chwilę na przemian oglądał i obmacywał wskazaną wypukłość.

– Może w fabryce... – Urwał i westchnął. – Ma pan rację. Była dziurka i ktoś ją zakleił. Ale to bez sensu. Po co?

Bardziej zwałił się na ziemię niż usiadł obok mnie.

– Ktoś mógł przygotować sobie taką zabawkę dla kawału i odłożyć do tornistra na stosowną chwilę. Nawet sam Maciaszek. Jeśli miał więcej puszek, mógł się pomylić. Albo podwędził komuś to piwo. W wojsku wszystko miewa nogi i lubi wędrować.

– Wyglupiają się czasami – mruknął. – Ale nie do tego stopnia.

– Pana ludzie miewają piwo?

– Na patrolu? To głównie proste chłopaki, po zawodówce albo i bez. Przed wojskiem mało który pracował, a jeśli już, to za grosze. Tu biorą dwa razy tyle, co ich majster. Zależy im na służbie w kontyngencie.

– Czy tam u was, w Ferfer, mogli mieć dostęp do igły i strzykawki?

– Raczej nie. Punkt medyczny prowadzą Finowie. Rozumie pan: bariera językowa, no i oni są raczej... No, naród dilerów to to nie jest.

Milczeliśmy jakiś czas. Wieżyczka bewupa drgnęła, celowniczy pokazywał dowódcy, że czuwa. Albo po prostu czuwał.

– To się nie trzyma kupy – mruknął Filipiak. – Jak na kawał mało śmieszne i ryzykowne, a jak nie kawał, to co?

Nagle doznałem olśnienia. O ile wolno nazwać tak coś, od czego świat mrocznieje do granic piekielnej ciemności.

– Poruczniku, niech pan szybko powie: wszyscy już jedli?

Zesztywniał. Od razu zrozumiał.

– Lepiej, żeby się pan mylił. – Zerwał się niewiele wolniej od kogoś, kto usiadł na grzechotniku. – Bo jak nie, to tylko posterunki...

Nie pobiegł wprawdzie, ale czułem, że zdrowie kucharza wisi na cienkiej nitce: gdyby spróbował łać komuś w menażkę, Filipiak prawdopodobnie posunąłby się do przestrzelenia mu chochli, a był zbyt roztrzęsiony, by porządnie celować.

Na szczęście dyscyplina funkcjonowała jak należy.

– Ośmiu – Filipiak wskazał czekające na podgrzanie tacki z drugim daniem. – Załogi wozów. Nie przychodzili po jedzenie. Słuchaj, Puzewicz – zwrócił się do trochę wystraszonego kucharza. – Niech cię ręka boska broni, żebyś miał któremuś dać choć skórkę od chleba. Zamknij interes i raz-dwa ściągaj mi tu kierowców z wozów dyżurnych.

Kucharz pomknął jak strzała.

– To mało prawdopodobne – pocieszyłem Filipiaka. – Nie bawiłby się z puszką, gdyby planował przerobienie całego plutonu na śpiących rycerzy za pomocą kotła i gulaszu.

– Zawsze może improwizować – mruknął. – Co tu się, kurwa, dzieje?

Nie umiałem odpowiedzieć. I chyba nie chciałem.

– Pogadam z tym kolegą Maciaszka. Może coś zauważył.

Kolega nazywał się Grabowski i był celowniczym granatnika RPG-7, do którego Maciaszek nosił amunicję. Obaj należeli do drużyny Bielskiego, tej szczęśliwej, która nie poniosła dotąd strat. Maciaszek był pierwszym z ośmiu podwładnych plutonowego, który ucierpiał w trakcie tej najczarniejszej w dziejach UNIFE ekspedycji.

Jeśli wierzyć Grabowskiemu, ta łaska boska dawała się łatwo wyjaśnić. Ani on, ani koledzy nie robili kawałów, nie przyprawiali piwa, nie przemycali go, nie kradli, nie znali fińskich sanitariuszy i generalnie znakomicie nadawali się na bohaterów szkolnych czytanek.

– Dobra. – Pozwoliłem mu się wygadać. – Teraz powiedz, skąd twój kumpel miał to piwo, i masz tydzień urlopu w Abebie.

Zerknął niepewnie na porucznika, a potem, z wahaniem, na mnie.

– Żadnych kar – obiecałem. – Dla nikogo.

– No... nie wiedziałem, że to ważne... Tylko, jak można, to żeby pan porucznik nikomu... Głupio tak jakoś. Naprawdę żaden z chłopaków kropki piwa nie zabrał i dlatego Maciaszek się skusił. Ta puszka wyleciała z kieszeni Pawlikiewiczowi.

– Komu?

– To ten kapral – Filipiak przeciągnął palcem po gardle. Odprawił żołnierza gniewnym gestem i rzucił mi ponure spojrzenie. – Pogadam z załogami wozów, chociaż to chyba faktycznie dmuchanie na zimne. Ale potem musimy porozmawiać. Poważnie.

*

Płukanie żołądka nie przywróciło Maciaszkowi przytomności, ale też jego stan nie uległ pogorszeniu. Mianowałem go na pacjenta numer dwa, ułożyłem pod siatkowym baldachimem i wymusiłem na Joli obietnicę regularnych kontroli.

– Zresztą wszystkich musimy mieć cały czas na oku – zakończyłem.

– Mam siedzieć całą noc? – Nie próbowała kryć niechęci. – Ledwie trzymam się na nogach. Z dyżuru mnie ściągnęli, to już druga doba.

– Będziemy się zmieniać. Pani, ja i Gabriela.

– Chce pan powierzyć rannych tej Murzynce?

– Muszę. Ja też ledwie żyję. – Nie przekonałem jej, ale wołała chyba podzielić wysiłek na troje, niż płacić własnym snem za przyjemność wbicia paru szpilek w skórę barwy czekolady.

– Jeszcze jedno – przypomniała sobie. – Mógłby pan załatwić większy przydział wody? Cała się lepiej – dodała z dość dwuznacznym uśmiechem. Mogłem go obejrzeć ze szczegółami: nasz schron dorobił się żarówki.

Siatka, okop obłożony workami, samochód, skarpa – wbrew pozorom byliśmy nieźle odizolowani od otaczającego nas obozowiska. Już teraz. A przecież długa afrykańska noc dopiero się zaczynała. Wiedziałem, że oboje myślimy o tym samym. Postarała się.

– No... zobaczę. – Zacząłem się pocić dwa razy szybciej. Nie byłem pewien, czy naprawdę chcę stąd uciec. Jej twarz, piersi, biodra, nogi – wszystko było jeśli nie idealne w proporcjach, to przynajmniej do ideału zbliżone. Hormony robiły swoje.

– Pan powie, że to dla rannych.

Była ładna, klęczała obok i w dodatku udzielała nacechowanych życiową mądrością rad. Hormony miotały się po całym ciele, ze szczególnym uwzględnieniem środkowych partii. Coś się jednak zmieniło.

– Zobaczą – powtórzyłem i na czworakach, najkrótszą drogą, wydostałem się spod siatki.

Jeszcze w Kasali darowałbym sobie poszukiwania Ciołkosza i bez pytania wziął któryś

z porozwieszanych po samochodach kanistrów. Teraz, choćbym chciał, nie mogłem: nie wiedzieć kiedy, wszystkie znikły. Znalazłem je w niszy, wygrzebanej w północnym stoku, chyba za pomocą czołgowego lemiesza. Stos blaszanek okryto plandeką i zamaskowano paroma krzakami.

– Jak stoimy z wodą? – Idąc tu, myślałem, że dobrze, ale zaniepokoił mnie siedzący obok magazynu starszy szeregowy nazwiskiem Bubula, kierowca wozu kwatermistrzowskiego i prawa ręka szefa. Zdążyłem zaobserwować, że nie był typem rwącym się do pracy i jeśli marnował tu czas wolny, siedząc obok kamizelki i hełmu, to nie bez powodu.

– Właśnie mówię księdzu – rozłożył ręce Ciołkosz – że leżymy.

Miałem pecha do Lesika tego wieczora. On też wolałby mnie nie oglądać, ale tym razem za naburmuszoną minę odpowiadał sierżant.

– Nie mówię o praniu. Chcę się tylko trochę obmyć.

– Ja to rozumiem, proszę księdza, ale porucznik... Jasne, znajdzie się kanisterek, ale mam prośbę: gdzieś na boku, po cichu. Większość pełnych baniaków miałem na tej rozpie... rozbitej ciężarówce. A cztery poszły w diabły od odłamków, jak Ruscy do czołgu strzelali. No i Filipiak kazał oszczędzać, tak na wszelki wypadek.

– Kazał racjonować wodę? – upewniłem się.

– No, nie do picia. Ale reszta... To co, przejdzie się ksiądz kawałeczek? Po co ludzi w oczy kłuć? Tam za cmentarzykiem wąwóz skręca, jest trochę zarośli, a jeszcze światło dochodzi. Poślę Bubulę z miską i baniakiem, dobrze? Górą pójdzie, dyskretnie. To za pięć minut, co?

Lesik oddalił się bez słowa. Ja stałem dalej, też bez słowa.

– O Jezu... Doktor też? – jęknął Ciołkosz. – Słowo honoru, że...

– Doktor jak doktor, ale jego dziewczyny...

Roześmiał się boleśnie, jak pacjent z żartu dentysty.

– No dobra. Ale jeden kanister na cały szpitalik.

– Ile tego jest? – spojrzałem na plandekę.

– W tym problem – mruknął. – Nie nabraliśmy wody w Kasali. Cienko z pastylkami odkażającymi. Pomyślałem, że w Werder czystą weźmiemy. Kto mógł przewidzieć... Więc ściągnąłem wszystko tu, żeby nóg nie dostało.

*

Natknąłem się na obie równocześnie: jedna wychodziła spod siatki, druga unosiła obciążoną kamieniami krawędź dwa metry dalej, szykując się do zanurkowania pod pofałdowany pagórek. Obie znieruchomiały, wpatrzone w dzwigany przez Bubulę dwudziestolitrowy kanister. Postawił go i szybko odszedł, chyba podobnie jak ja zakłopotany wyzierającym z kobiecych spojrzeń głodem.

– No, dziewczęta, mamy co pić.

Marne otwarcie. Sam sprowokowałem coś, do czego nie musiało dojść.

– Tylko do picia? – upewniła się Gabriela. Kiwnąłem głową, też nie tak stanowczo, jak należało. – Czyli z kąpieli nici? Może to i dobrze, bo zapomniałam szamponu.

– Pełny. – Jola zdążyła wygramolić się spod siatki i opukać kanister. Uśmiechnęła się. – Już myślałam... Kawalarz z pana.

Psiakrew. Nie miałem dość odwagi, by pozbawić jej złudzeń. Dzięki temu przestały być złudzeniami.

– No... możecie się trochę... – utknąłem, szukając słowa nie budzącego głupich skojarzeń, a równocześnie narzucającego oszczędzanie wody. Do głowy uparcie przychodziło mi podmywanie i tylko ono. – To musi starczyć dla nas i rannych, więc nie przesadzajcie. Ciołkosz...

Uciszył mnie zgrzyt ciągniętej po piasku blachy: Jola zniknęła z łupem w czeluści sztucznego pagórka.

– Zajęte! – usłyszałem. – Nie podglądać!

Przekorny i nasycony kokieterią ton mówił coś dokładnie przeciwnego. Znow zacząłem odbierać nachalne depesze od hormonów.

– Co z tym chłopakiem? – Gabriela usiadła po turecku obok sanitarki. Przypomniała mi o czymś. Hormony pochowały się w norach.

– Mówiłaś – zacząłem ostrożnie – że dali ci narkotyk. No wiesz.

– Nie chcę do tego wracać – powiedziała szybko. – Nie teraz.

Gdzieś obok, blisko, zgrzytnął miękko zamek błyskawiczny – Jola zdejmowała szorty. Słyszałem szelest ubrania, klapnięcie zrzuconego sandała. Nie spieszyła się. I chyba nie wkładała całego serca w zachowanie ciszy. Coraz trudniej było mi walczyć z własną wyobraźnią.

– Wygląda na to, że ktoś podtruł Maciaszka.

– Podtruł?! – Od razu zrozumiała. – To... to nie ma nic wspólnego ze mną. – Widziałem, że zastanawia się gorączkowo, czy aby na pewno.

– Może. Tylko że nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić. Nikt nie wie, co i dlaczego ci podano. Sprawy zaszły za daleko, Gapa. Musisz się wypowiedzieć ze wszystkiego. Filipiak nie...

Umilkłem, patrząc z niepokojem na przebiegających między ogniskami gońców i półnagich żołnierzy, odstawiających kubki i wciągających kamizelki kuloodporne.

– Właż do dziury – rzuciłem.

– Idę z tobą.

– Zostajesz – rzuciłem za siebie, ruszając wydłużonym krokiem. Zabrzmiało dobrze, zdecydowanie, tylko kierunek okazał się nie ten: szła obok mnie. – Masz zostać w okopie, rozumiesz?

– Moja nie mówić polski – burknęła. Skapitulowałem.

Jakaś para taszczyła na górę cekaem. Lesik dopinał kamizelkę.

– Jakiś ruch na radarze. – Oprócz nas wokół Filipiaka zebrał się prawie cały przysłany ze stolicy zespół i porucznikowi nie wypadało tego zignorować. – Trzy echa, dwa kilometry stąd, szybkość piętnaście.

– Metrów na sekundę? – Morawski podrapał się po szorstkim policzku. – Na niskim pułapie? Jak na noc całkiem...

– Kilometrów na godzinę. Drzewa zniekształcają echa, więc Grochulski nie może się zdecydować, czy to wolne łąziki, czy szybkie wielbłądy. Tak czy siak, idą po naszym śladzie. Co pani o tym sądzi?

Zaskoczył wszystkich, Gabrielę też. Zdażyła oswoić się z rolą osoby odrobinę trędowatej, której dyskretnie się unika.

– Ja? No... tu nie ma żadnego szlaku. I nikt nie podróżuje nocą. Jakaś dziura i... – Nabrała powietrza jak przed nurkowaniem. – To ludzie Sabaha.

– Wszyscy? – Wielogórska wahała się między ulgą a zawodem.

– Zwiadowcy. Nie słyszała pani? Ma około tysiąca wojo... żołnierzy.

– Doktorze – Filipiak sięgnął po hełm – proszę się zająć swoją grupą. Schowajcie się gdzieś. A pani pójdzie ze mną.

Gabriela odruchowo zerknęła w moją stronę, ale już wtedy jej głowa wykonywała potakujące ruchy. To nie była prośba o protekcję.

– W porządku, cho...

– Moment – przerwałem jej brutalnie. – To także moja grupa.

Ton – ton był nie taki. Uświadomiło mi to kilka zdziwionych spojrzeń. Morawski lekko kręcił głową, a Gabriela...

Powiedzmy, że patrzyła na mnie.

– Bez obaw – mruknął Filipiak, zapinając pasek pod brodą. – To nie randka. Może będę potrzebował tłumacza.

Następny. Morawski, teraz on. Byłem dla niej po prostu uprzejmy. To, że inni nie byli, nie znaczy jeszcze... Ale nie to mnie martwiło.

– O czym pan chce z nimi rozmawiać? – Nie dałem mu szansy na odpowiedź. – Idę z wami. Major Morawski mnie zastąpi. I niech jej pan załatwi hełm i kamizelkę.

– Nic mi nie będzie – powiedziała miękko. I przecięła spór w zarodku, wbiegając z kozią zręcznością na krawędź wąwozu. Mimo palących się nadal ognisk, stała się zawieszoną w nicości plamą szortów. Zmaterializowała się ponownie dopiero, gdy dotarłem na górę. Mignęły mi jasne tenisówki, potem wyciągnięta w dół ręka.

Wdzięczność? Może żart – kiedy już pomogła mi sforsować ostatni, pionowy odcinek, dostrzegłem błysk zębów. A może po prostu, jak ja, czerpała przyjemność z faktu stykania się

naszych ciał?

Bo czerpałem. Niepokoiło mnie to. Przyjemności kosztują.

– Są kilometr stąd! – usłyszałem stłumiony okrzyk od strony samochodu pancernego. Z przodu ktoś podrzucał gałęzi do płonącego na przedpolu ogniska. Niepotrzebnie. Wschodzący księżyc już teraz zalewał sawannę większą ilością światła. Wiedziałem, że kiedy wzrok przywyknie do mroku, będę widział całkiem daleko.

– Odpalaj, Szewczyk. – Porucznik ruszył w stronę beerdeema.

– Co pan chce zrobić? – Nadal okazywałem nieufność, ale przynajmniej w marszu. Warknął silnik, ktoś otworzył boczny właz.

– Przejechać ich i upozorować wypadek. Uwaga na głowę. – Przepuścił przodem dziewczynę, w ostatniej chwili powstrzymując odruch pchnięcia znikających w wozie pośladków. – Nie chcę, by zobaczyli te okopy.

Następny sensowny pomysł, który mi się nie spodobał. Tym razem nie protestowałem: była już wewnątrz, mógł z nią po prostu odjechać. Wsiadłem i zatrzasnąłem drzwiczki, których stary sowiecki samochód dorobił się kosztem pary opuszczanych kół, pozwalających mu niegdyś pokonywać transzeje. Ruszyliśmy. W zmodernizowanej wersji BRDM oferował załodze trochę więcej miejsca, ale nie na wiele się to zdało. Grochulski, dżentelmen z bożej łaski, zaczął się kręcić, próbując jak najwygodniej usadowić damę, skutkiem czego wszyscy wpadali na wszystkich i dopiero gdy kierowca zaczął hamować, zapanował jaki taki porządek.

– Oho, są – Filipiak oderwał oczy od peryskopu. – Widzisz ich?

– Widzę – zameldował Grochulski z podwieżowego kosza. – Mętne typy.

– To uważaj, bo nie będzie cię miał kto na urlop... Mogłaby pani usiąść tu, gdzie ja teraz? – Znow zaczęli się przepychać. – Klęknie pani i wystawi tylko głowę przez górny właz. Jakby co, starczy się schylić. Szewczyk, zgaś światła, bo im konie spłoszysz.

Zatrzymaliśmy się. Wyszedł przez półkolisty właz w dachu. Gabriela od razu zaczęła wyglądać na zewnątrz. Kierowca wyłączył silnik.

– Niech zostaną tam, gdzie są – dobiegł zza pancerza głos Filipiaka. Dziewczyna przetłumaczyła. Melodia obcego języka brzmiała dziwacznie w zestawieniu ze znajomym głosem.

– Nie próbowali uciekać? – zapytałem szeptem. BRDM miał z przodu dwa okna, ale teraz zasłaniały je stalowe pokrywy i nic nie widziałem.

– Nie – mruknął Grochulski. Krótka pauza. – Jeden ma chyba radio.

Zastanawiałem się, co chciał przez to powiedzieć. I co chce nam przekazać gniewny głos, wykrzykujący w oddali.

– Nie całkiem rozumiem. – Swój głos Gabriela trzymała na dużo krótszej smyczy. – W przybliżeniu chodzi o to, że chcą zabrać mnie i kogoś z zakrwawioną... aha, nie... rudego...

chcą zabrać pana Grochulskiego i mnie. Jeśli się pan nie zgodzi, ogłoszą światu, że jesteście bandą złodziei cudzych kobiet, i cały świat ruszy na was.

Wysiadłem bocznymi drzwiami. Za wiele nie zobaczyłem: trzy niewyraźne, duże plamy cienia.

– Niech im pani powie, że zażalenia na nas mogą wnosić w każdej placówce UNIFE oraz u odpowiednich przedstawicieli etiopskich...

– Moment! – Przerwałaby mu wcześniej, ale trochę potrwało, zanim otrząsnęła się z wrażenia. – To prości pasterze!

Nie powiedziała wprost, co powinien zrobić z tą prawniczą gadką, ale taka sugestia wyraźnie wisiała w powietrzu.

– Mów po swojemu – poradziłem. – W razie czego poświadczymy, że porucznik odczytał im całą konwencję genewską i...

– Sięga po broń!!! – wrzasnął Grochulski. Filipiak runął na ziemię i dopiero wtedy sam zaczął krzyczeć: żołnierz wygrał z dyplomata.

– Nie strzelaj! Niech ich pani pow...!

Gabriela też krzyczała, ale niczego nie dało się już zmienić.

Krótką i może dlatego przeraźliwie głośna seria przecięła jej słowa. Grochulski użył lżejszego z zamontowanych w wieży karabinów, PKT kalibru 7,62, i posłużył się nim wstrzemięźliwie: tylko jeden z cieni zmałał nagle, gdy pociski zdmuchnęły jeźdźca z siodła. Niestety Gabriela umilkła, a dwaj pozostali jeźdźcy nie zrozumieli sytuacji.

Ten z prawej, wrzeszcząc dziko, zawrócił konia i pocwałował z powrotem na południe. Ten z lewej zaczął strzelać.

Co najmniej pięć pocisków zabębniło o blachy. Dopiero wtedy przemówił ponownie karabin Grochulskiego. W taśmie co trzeci nabój był smugowy i właśnie jeden z takich błyszczących punkcików przeleciał przez ciało koczownika.

Jeszcze nim ogień ustał, usłyszałem brzęk padającej klapy. Nie wiem, jakim cudem mój sparaliżowany mózg złożył z tego w ułamku sekundy klarowną wizję buchającej czerwienią dziewczęcej twarzy. Wiem, że logiką się nie popisał: zamiast w drzwi, skoczyłem do góry, na dach.

Omam nie zdarłem paznokci, najpierw w trakcie wspinaczki, potem – mocowania się z włazem. Jeśli nie zdążyła schować głowy...

Zdążyła. Była szybka, co udowodniła jeszcze raz, wyskakując nagle z półokrągłego luku jak diabeł z pudełka. Dostałem w żuchwę jej czołem.

– Ży...?!

– Jace...?!

Dwa łęki, gasnące w skurczonych żołądkach, dwie obolałe głowy, kilka sekund kurczowego

uścisku jej palców na moim ramieniu. Ciepło w miejscu, gdzie kończyła się pacha, a zaczynała dziewczęca pierś; ciepło, wilgoć i miękkość dawno nie golonych włosów.

Chcieliśmy coś powiedzieć, wyłgać się jakoś z lęku w oczach i tych wciąż zaciskanych palców. Nie umieliśmy.

– O kurwa, Grochu... – Kierowca szczęknął sąsiednim włazem, wychylił głowę. – Załatwiłeś ich. A niech to... Jezu.

Kilkaset metrów stąd, pod brezentem i symboliczną warstwą ziemi, puchły w procesie rozkładu zwłoki jego kolegów. Ale rozumiałem jego emocje. Do tej pory sam czułem się jak świadek serii tragicznych wypadków: coś zabiło ośmiu młodych mężczyzn, ale właśnie coś, jakaś bezosobowa, niematerialna siła. Teraz na naszych oczach po raz pierwszy doszło do walki ze Złem i Zło przegrało. To było nowe doświadczenie. Szewczyk nie oglądał pewnie nigdy umierających ludzi i nie mógł przejść łatwo do porządku dziennego nad faktem, że kumpel z załogi właśnie rozstrzelał dwóch żywych mężczyzn.

– Przepraszam, Grochulski. – Filipiak brzęknął o pancierz jakimś żelastwem. – Chciałem cię zjechać, ale miałeś rację.

Popatrzyłem pod nogi. Na dachu beerdeema leżał amerykański M-16, a pod jego lufą połyskiwała grubaśna rura podwieszanego granatnika.

– Jakby tak kumulacyjnym... No, zrywamy się. Licho nie śpi.

Nie próbowaliśmy wsiadać, nawet Gabriela odbyła jazdę powrotną na obramowaniu włazu. Było gorąco, podmuch przyjemnie chłodził spocone ciała, a licho, wbrew słowom porucznika, na razie spało.

*

Obudziło się po dwudziestu minutach.

– Tyraliera! – zelektryzował cały obóz podniesiony głos Grochulskiego. – Tysiąc trzysta na południe, co najmniej trzydziestu!

Nie brzmiało to bardzo groźnie – nawet bez mobilizowania mojej grupy Filipiak miał pod bronią o ośmiu ludzi więcej – ale mimo pogaszenia wszelkich świateł widać było zaniepokojenie na twarzach żołnierzy. Zwycięstwo to jedno, a straty – drugie. Okopany strzelec stanowi znacznie mniejszy cel, ale oznaczało to tylko, że zabiją nam dwóch czy trzech, nim my zabijemy tych trzydziestu.

Ta prosta, oparta na rachunku prawdopodobieństwa kalkulacja nie spodobała się i Filipiakowi.

– Panie Bielski! Dwóch dodatkowych strzelców do osłony bewupa i wóz ma być na górze pół minuty po tym, jak wydam rozkaz. Bodnar, uważajcie. Mało prawdopodobne, by ci piechurzy

mieli coś wspólnego ze śmigłowcem, ale lepiej zachować ostrożność. Hanusik! Na górę! Obserwację prowadzą obsługi kaemów, ogień powyżej dwustu metrów też tylko one. Strzelać tylko, jak się widzi, jasne? Stanowisko dowodzenia tu, przy ciężarówce. Łącznicy mają się poruszać wzdłuż wąwozu i co jakiś czas pogadać z każdym. Chłopcy muszą czuć, że nie są sami.

– Może skrócić front? – zaproponował Ciołkosz. – Po dwieście metrów na osłabioną drużynę, w nocy...

– Wykonać. – Odczekał, aż dowódcy drużyn rozbiegli się każdy w swoją stronę, i dopiero wtedy odpowiedział: – Chciałem, ale zdaniem Wołynowa, jakby co, stracimy wszystkie samochody ze jednym zamachem. Poza tym teraz są zamaskowane, obłożone workami. No i mamy trochę pola do manewru. Stłocz wszystko, a kule zaczną latać nad amunicją, rannymi, kobietami... A właśnie, doktorze. Jak tam pana komando?

– Olszan siedzi z Giełzą przy radiu, dziewczyny w okopie przy punkcie opatrunkowym, a z reszty Morawski sformował międzynarodowy kieszonkowy pułk oficerski. Czyszczą karabiny i czekają, aż pan ich wezwie. Z wyjątkiem Lesika. On już załatwia wsparcie. Z góry.

Przyjrzał mi się uważnie, ale nie zdążył niczego powiedzieć.

– Pojazd terenowy! – zawołał Grochulski. – Azymut 105, na wzgórzu, odległość 800! Trzy inne za tyralierą, skręcają na zachód, odległość półtora kilometra! – Przerwa. – Znikają, martwe pole!

– Jak się pokażą, Bielski mógłby im przygrzać – podsunął Ciołkosz.

– Nie jesteśmy stroną w tej wojnie – uśmiechnął się cierpko Filipiak. – Możemy się tylko bronić. Jeśli zaatakują.

– A ci trzej konni? – przypomniałem.

– Nie musieli być razem. Mówię teoretycznie.

Teoretycznie miał rację. Miał też pecha i nie dałbym głowy, że po tym wszystkim nie weszli nam przed lufy żołnierze armii etiopskiej, ścigający trzech konnych terrorystów. On, otwierając ogień już teraz, swoją dałby na pewno.

– Nie podobają mi się te samochody. – Ciołkosz zastąpił beret hełmem. – Co oni kombinują?

– Oskrzydlenie – wyjaśnił spokojnie Filipiak. – Może wyjdą na tyły i pchną drugą tyralierę z północy. Ale przede wszystkim spróbują wzdłuż wąwozu. Wiedzą, że po ciemku lepiej widzimy; zarośla to ich szansa.

– Zaraz – poruszyłem się niespokojnie. – Tego w planach nie było.

– To szachy. Nieraz trzeba poczekać na ruch przeciwnika. Zresztą nie miałem ludzi, żeby i tam... Weź, kogo się da – zwrócił się do sierżanta – i ubezpieczajcie czołg. Macie trochę czasu, więc porozpinaj zasieki, postaw parę min. Mogą zaatakować wielką kupą, Drabowicz sam się nie wyrobi.

Po paru minutach obóz opustoszał. Przeszliśmy bliżej beerdeema, oka i ucha dowódcy.

Tyraliera zbliżyła się na sześćset metrów. Sunęła wolno, ale im mniej drzew i pagórków oddzielało ją od radiolokatora, tym bardziej się rozrastała – Grochulski doliczył się już około osiemdziesięciu punktów na ekranie.

– A co ze wschodnią częścią wąwozu? – Uczciwie mówiąc, pytanie przyszło mi do głowy, bo stamtąd właśnie nadeszła ciemniejsza od nocy, długonoga, miękko stąpająca postać.

– Musi starczyć bewup – wzruszył ramionami Filipiak. – Nie mam ludzi do prac saperskich. Ale spokojnie: nic się tam nie ruszało. Uderzą od czoła i z prawej.

– Przepraszam. – Głos Gabrieli brzmiał na poły prosząco, na poły buntowniczo. – Niech mi pan da jakiś karabin. Potrafię strzelać.

– Słucham?

– To moja wina – wykonała nieokreślony ruch ręką. – Nie mam zamiaru chować się za cudzymi plecami. Naprawdę potrafię...

– Doskonale – uprzedziłem Filipiaka. – Właśnie szukamy ludzi. Trzeba przegrodzić zasiekami tamten koniec wąwozu. Poruczniku, ma pan pod ręką kogoś, kto mógłby zakładać miny?

Chyba po prostu nie miał ochoty na użeranie się z nami.

– Weźcie Giełzę – westchnął.

*

Miejsce nie było dobre: tylko jedno zbocze znajdowało się w zasięgu ognia bewupa, ukrytego przy następnym zakręcie. Ale było tu wąsko i rosło parę drzewek, których potrzebowaliśmy.

– Tutaj – podjął decyzję Wołynow.

Trzy pnie uzupełnione palikami, które wbijali Zanetti z Morawskim, miały stanowić solidny szkielet. Oblekaliśmy go stalową spiralą drutu ostrzowego, najeżoną żyletkopodobnymi elementami tnącymi. Skrajne kręgi zaopatrzone w uchwyty, dzięki czemu dwie osoby mogły szybko rozciągnąć kilkumetrowy odcinek – i na tym kończyła się łatwizna. Poszczególne odcinki należało po pierwsze połączyć. W Addis Abebie widziałem policyjną wersję zaopatrzoną w specjalne zatrzaski przyspieszające montaż, ale nasza, tańsza, wymagała drutu i kombinerek. Po drugie, wał wysoki i szeroki na metr nie zatrzyma w pojedynkę młodego mężczyzny – potrzebowaliśmy co najmniej dwóch, a lepiej trzech równoległych, sąsiadujących z sobą linii. Żeby nie poodciągano ich, co z racji na lekkość systemu nie wymagało tłumu Herkulesów, dobrze było zakotwiczyć całość – to po trzecie.

Krótko mówiąc: mieliśmy co robić.

Biegałem z Gabrielą w górę i dół stoku, oplatając taśmę wokół jednego pnia i zawracając do

drugiego. Kilkanaście kroków od linii gęstniejącej zapory, w mdłym blasku akumulatorowej lampy, Giełza i Wołynow łamali podpisany przez Polskę traktat o zakazie stosowania min przeciwpiechotnych. Parę lat temu część państw – akurat tych najmniej upapranych krwią cywilów, którzy tracili życie i nogi na polach minowych jakiegoś Afganistanu czy Kambodży – zobowiązało się wycofać z użycia wszystko, co może samo wybuchnąć pod ludzką stopą. Nie oznaczało to wyeliminowania pułapek przeznaczonych do rażenia siły żywej, a tylko tyle, że te nowe, dopuszczane przepisami, nie mogły działać samoczynnie. Ktoś, kto nadal chciał wspomagać się minami, musiał przestawić fabryki na produkcję odpalanych zdalnie ładunków kierunkowych, skądinąd bardzo skutecznych. Polski przemysł dostarczał wojsku zupełnie przyzwoitych min tego typu, a firmom ochroniarskim – systemów alarmowych po przyzwoitej cenie. Do Etiopii, gdzie panował wieczny deficyt żołnierzy, trafiły jedne i drugie: miny, by zabezpieczyć skąpo obsadzone posterunki, czujniki, by zastąpić zbyt nielicznych wartowników. Było tylko kwestią czasu opracowanie przez domorosłych racjonalizatorów skrzyżowania technologii militarnej z cywilną. Właśnie jedną z takich oddolnych inicjatyw miałem teraz okazję oglądać w trakcie kolejnych nawrotów. Przy bewupie czekała zapalarka, a idąc tu, przeciągnęliśmy kabel z rozgałęźnikiem, ale pierwsze miny, jakie nasi saperzy ustawili, miały wybuchać od szarpnięcia za staroświeckie odciążki z żyłki.

Łamaliśmy prawo, ale nikt jakoś nie protestował. Nawet Lesik. Fakt, że przyświecał latarką nam i tylko nam, trudno było odbierać jako wyraz dezaprobaty dla poczynań tamtych dwóch – oni mieli własne źródło światła, my z Gabriela nie.

Układaliśmy drugą linię falangi – tak się to bodajże nazywało – kiedy na południu zagrzmiały karabiny. Ze dwadzieścia naraz.

Z naszej strony odpowiadał tylko karabin maszynowy beerdeema. Potem, sporadycznie, wspomagały go cekaemy drużyn piechoty. Beryle milczały. Miały milczeć. Grochulski widział przeciwnika, był nietykalny za pancerzem i dysponował mnóstwem szybko dostępnej amunicji. Wbrew pozorom był równorzędnym przeciwnikiem dla tyraliery niemal ślepych napastników. Dopóki atakujący byli daleko, nie było sensu ostrzeliwać z beryli kryjącej ich ciemności i rozbłysków ognia u wylotów luf. Wymiana ciosów z Somalijszymi, którzy nie biegli, tylko leżeli i walili z karabinów do każdej pojawiającej się z przodu plamki światła, była nieopłacalna z punktu widzenia rachunku prawdopodobieństwa i Filipiak wiedział, co robi, zabraniając żołnierzom wychylania się z okopów.

Miał rację: nie byli potrzebni.

– Czterysta metrów – ocenił Wołynow. – I zalegli. Nie ma strachu.

Wróciliśmy do pracy. Można było nie ufać Kazachowi, ale na szczęście był jeszcze polski szeregowy, tkwiący w okopie kilkanaście metrów od nas. Żołnierz zamykał lewe skrzydło drużyny Hanusika, miał noktowizor i choć z jednym automatem nie zatrzymałby idącego wzdłuż

wąwozu natarcia, powinien je odpowiednio wcześniej wypatrzeć.

Tak nam się wydawało.

Po paru minutach strzelaniny akompaniament postukujących w dali karabinów spowszedniał, przestał robić wrażenie. W jakiś przewrotny sposób zagłuszał strach – niezrealizowane groźby mają tę właściwość. Przede wszystkim jednak zagłuszył odgłos szybkich kroków.

– Uwaga!!! – Gabriela pierwsza zahaczyła wzrokiem o zarośla we wschodniej części wąwozu. Puściłem taszczonego na górę odcinek spirali, odwróciłem się. W zagęszczonym blaskiem lampy mroku coś się ruszało. Coś wielkiego albo coś, co było w wielu miejscach naraz. Sięgnąłem do kabury.

– Padnij! – Wierzyłem, że usłucha, ale i tak skoczyłem w jej stronę. Tam, w górze, za krawędzią wąwozu, było życie. Jej, moje i może nawet niektórych spośród tych w dole.

Zaraz potem w krąg światła wleciał granat. Bez sensu, bo rzucono go z zarośli, zza pleców półnagich, czarnych ludzi, którzy stamtąd wybiegli. Upadł pod stopami tego, który gnał jako drugi. Eksplozja wyrzuciła w górę i mężczyznę, i coś długiego, co wziąłem za karabin.

Nikt nie strzelał. Nie zastanawiałem się nad tym, po prostu odnotowywałem fakty. Skok Gabrieli, którą w ostatniej chwili chwyciłem za kity bujnych włosów, zwalając brutalnie na ziemię. Rozpaczliwą szarżę Wołynowa w stronę wspartego o głaz automatu i równie rozpaczliwy rzut młotkiem w wydaniu Morawskiego. Krzyk Lesika i jego szarpaninę z kaburą. Błyski długich ostrzy w rękach czarnych jak noc napastników. Wycie. Bagnet w dłoni Gielzy. I następną eksplozję.

Tym razem któryś z atakujących zahaczył o odciąg miny. Stalowy huragan kilkuset kulek wypełnił wąwóz gwizdem dartego powietrza, tumanami kurzu, wrzaskami bólu i śmiercią. Pomijając Zanettiego i biegnących gdzieś daleko z tyłu ludzi Sabaha, nikt nie utrzymał się na nogach. Nawet Wołynow wyprowadził cios kolbą karabinu ni to klęcząc, ni leżąc. O sekundę uprzedził pchnięcie krótką włócznią, zadane przez nastolatka, którego przewrócił trafiony odłamkiem towarzysza.

Zanetti szcęknął zamkiem i wyprał nad głowami leżących cały trzydziestonabojowy magazynek beryla. Na oślep, ale kierunek był właściwy, a wąwóz wąski. Nawet jeśli nikogo nie trafił, zatrzymał tłum.

– Leż! – Nie popisałem się logiką, ciągnąc równocześnie Gabrielę w górę zbocza z subtelnością młynarza szarpiącego się z workiem. Byłem i tak delikatniejszy od tych w dole. Od Wołynowa, który najpierw kopniakiem, a potem krótką serią zmienił twarz swego niedoszłego zabójcy w krwawy befsztyk. Od czarnego faceta z maczetą, młócającego oburącz, jak chłop cepem, leżącego u jego stóp Gielzę. Od Morawskiego, który, siedząc w rozkroku, tłukł z pistoletu w wijących się wokół niego, pociętych odłamkami, półprzytomnych chłopców.

Bo to byli chłopcy. Prawie wyłącznie. Ktoś zebrał gromadę nastolatków, wyposażył w noże,

oszczepy i parę granatów, a potem posłał do walki. Bosych, by szli cicho, i półnagich, by nie było ich widać.

– Do tyłu! – Wołynow, strzelając oszczędnym, pojedynczy ogniem, położył trzech nadbiegających jeden po drugim napastników i zanurkował między leżące bliżej ciała. Przeczekał wybuch granatu, odpowiedział kilkunastoma strzałami na ogień automatów bijących z głębi wąwozu i jako ostatni poderwał się do ucieczki.

Zanetti, Morawski i Lesik, każdy ostrzeliwując się gęsto ze służbowego pistoletu, prysnęli chwilę wcześniej. Nie wiem, czy kogoś trafili. Raczej nie: do nich też strzelano, gęściej, bo z broni maszynowej, a jedynym efektem było kilkanaście kilogramów pyłu więcej. Nawiasem mówiąc, to ten substytut zasłony dymnej sprawiał, że wszyscy błyskawicznie nie pozabijali się nawzajem.

Sekundę po tym, jak Wołynow przewalił się nad krawędzią wąwozu tuż obok nas, ogniki z luf zaczęły przesuwac się w stronę zapory.

– Strzelaj! – krzyknął mi w twarz, gorączkowo rozpinając ładownicę. Długa seria liznęła brzeg wąwozu, sypnęła w nas piachem. Huknęła następna mina, ale tym razem upadli tylko dwaj trafieni – reszta gnała dalej. Ktoś zamachnął się, cisnął granat, ktoś inny siał seriami z pistoletu maszynowego. Mijali zaporę – pół zapory, bo tyle zdążyliśmy zbudować. Ale to nie oni do nas strzelali. Pociski, dziesiątki i następne dziesiątki, nadlatywały z głębi wąwozu.

Za dużo ich było. Musiałem najpierw wbić w ziemię twarz Gabrieli, przygnieść piersią jej kark. Kradnąc załodze bewupa tych kilka sekund, których być może potrzebowała, by przetrwać.

Niektórzy wciąż mieli tylko białą broń, ale te rury w rękach dwóch czy trzech...

Magazynek mego wista mieścił piętnaście naboí. Wywaliłem trzy czwarte, nim w ogóle zrozumiałem, że strzelam. Z precyzją było gorzej. Przewrócił się tylko jeden z biegnących. Facet z granatnikiem, trafiony w nogę, pognął dalej, a trzeci, raczej przestraszony niż potraktowany ołowiem, sam wpakował się na zasieki.

Zaraz potem rzuciłem się na bok, schodząc z drogi jakiejś setki kul. Wołynow nawet nie próbował się wychylać. Odturlał się w głąb równiny, wstał, zgięty wpół pobiegł na zachód.

– Zrywamy się! – zacząłem pełznąć jego śladem.

– Puuuść! – Psiamać, wciąż zaciskałem w dłoni jej włosy.

Gdzieś z boku ryknął przegazowany silnik. Potem szybkim „bum-bum” przemówiła armata i pocisk bewupa. Błysk wykroił z mroku sylwetkę Wołynowa. Niedobrze: celował gdzieś w przód. Tamci musieli wdrzeć się cholernie głęboko.

– Głowa nisko – ostrzegłem dziewczynę. – Nie wychy...

– Uważaj!

Spóźniła się: biegnący wzdłuż zasieków chłopak dotarł na górę trochę prędzej. Był młody, najwyżej piętnastoletni, ale przede wszystkim zaskoczony faktem, że natknął się na kogoś, kogo

trzeba zabić. To nas ocaliło. Rozpaczliwy kopniak Gabrieli nie miałby znaczenia, gdyby szybciej złożył się do strzału.

Widzieliśmy tylko przesłonięte brzegiem wąwozu popiersie. Dostał po oczach piaskiem, wyszarpnęty jej piętą. Strzelił na oślep i choć kula z jakiegoś staroświeckiego enfielda czy mauzera omal nie odcięła mi ucha, był to fatalny strzał. Ja też się nie popisałem, ale dostał w korpus i to wystarczyło, by zmieść go z pola widzenia raz na zawsze.

– Jacek?! Nic ci...?

Przestraszyła się. Chyba dopiero teraz. Złapałem ją za rękę i pociągnąłem, najpierw na czworakach, potem już biegiem, w stronę środka obozu. Minęliśmy Wołynowa. Znow zmieniał magazynek.

– Ale się pchają! – krzyknął. – Sukinsyny!

Pchali się, fakt. BWP Hanusika cofał się bez przerwy, tłukąc równie konsekwentnie z kaemu, co jakoś nie powstrzymywało atakujących. Ani jeden pocisk nie opuścił wąwozu, każdy wcześniej czy później trafiał w suche jak pieprz ściany i kurzu było tyle, że walka coraz bardziej przypominała starcie dwóch band niewidomych. Załoga bewupa miała teoretycznie wielką przewagę, ale chyba robiła słusznie, biorąc ogon pod siebie. Etap oszczepów i noży dawno minął: teraz do akcji weszło co najmniej dwóch Somalijczyków uzbrojonych w granatniki przeciwpancerne i obaj byli na tyle cwani, względnie ostrożni, by strzelać z głębi pyłowej chmury, na słuch. Żaden nie trafił, jednak odgrodzenie się od nich zakrętem lub wywabienie ich z ukrycia wydawało się najrozsądniejszym wyjściem. Wóz musiał się cofać także ze względu na innych: karabin nie zaszkodzi opancerzonej maszynie, ale gromada fanatyków o rzut beretem od pojazdu to senny koszmar każdej ukrytej pod pancierzem załogi. Precyzyjna seria po celowniku czy czapka nałożona na peryskop łatwo oślepi, a granat czy po prostu garść piachu wrzucona w lufę armaty – nawet zabije pochowanych w środku ludzi. Wystarczy wepchnąć kamień między koło a gaśnicę, by ruszający pojazd ryzykował jej zerwaniem.

Z głębi wąwozu nadleciała rakietka. Chybiła. BWP odgryzł się wystrzałem z armaty, chmura pyłu rozbłysła w dali rudym światelkiem.

Zaraz potem z południa ruszyła tyraliera, ta, od której się zaczęło. Pod osłoną kilku bijących ogniem ciągłym kaemów, wyprzedzani przez wlokące ogniste warkocze pociski granatników, ludzie Sabaha poderwali się do natarcia.

Nie sądzę, by któryś z obrońców to przewidział. Atak w pełnym biegu, po niemal otwartym polu już dawno wyszedł z praktyki wojen. W epoce, gdy każdy żołnierz dysponował odpowiednikiem karabinu maszynowego z czasów Stalingradu, taktyka musiała się zmienić. Filipiak wiedział o tym. Sabah najwyraźniej nie.

Tak mi się przynajmniej wydawało, dopóki pierwsze kłębuszki ognia nie zaczęły sunąć wzdłuż południowego skraju wąwozu. Eksplozje nie były silne – ot, lekki granat – ale było ich

dużo. Następowały w krótkich odstępach czasu – mniej więcej po trzy na sekundę – i nawet gdybym nie widział wykreślonej błyskami linii, domyśliłbym się, że do akcji wszedł nie tłum grenadierów, a jakaś paskudna maszyna. Może nawet działko z gatunku tych, jakich używały nowocześniejsze od naszych bojowe wozy piechoty. Cokolwiek to było, zapędziło w głąb okopów nawet tych żołnierzy, którzy, lekceważąc zalecenia Filipiaka, wystawiali wcześniej głowy i gapili się na pole bitwy. Efekt był taki, że mimo nagłej zmiany wojny pozycyjnej na manewrową przez kilkadziesiąt sekund naszych pozycji bronił, jak uprzednio, tylko BRDM.

Grochulski przestał oszczędzać amunicję i zawisł na spuście kaemu. Nie sposób było stwierdzić, czy ta przeraźliwie długa seria jakichś dwustu pocisków kalibru 7,62 zastopowała Somalijczyków. Na pewno jednak zwróciła uwagę kulących się w swych dołkach żołnierzy.

Późno, lecz na szczęście nie za późno, rozszczękał się PKM, zamocowany na trójnożnej podstawie kuzyn maszyny Grochulskiego. Potem dołączyły automaty strzelców, ktoś wypalił z granatnika, pole bitwy rozświetliły race i resztki tyraliery zaległy.

My też leżeliśmy. Natarcie wzdłuż wąwozu chyba w końcu załamało się, ale na dole nie bylibyśmy bezpieczniejsi: niedaleko stała cysterna, a automatyczny granatnik zasypywał deszczem pocisków nie tylko nasze linie obronne na południowym brzegu, ale i sam obóz. Teraz wiedziałem już, że w grę nie wchodzi szybkostrzelne działko: działka nie strzelają ogniem stromotorowym.

– Nie mówiłaś, że twój narzeczony ma artylerię! – Trochę przesadzałem, bo zasilane z taśm granatniki były używane przez piechotę i rasowy artylerzysta obraziłby się, gdyby przypisano mu posługiwanie się czymś, co da się wziąć na plecy. Mimo wszystko był to jakiś substytut mózdzierza. Jedna taka maszyna z dużym zapasem amunicji mogła całkowicie odmienić charakter czekającej nas batalii.

– Chcesz tak tu leżeć? – odgryzła się Gabriela.

– Wołynow też leży.

– Oni tam walczą. – Zaczęła się podnosić. Złapałem ją po staremu, za włosy.

– A my to co, opalamy się? Myślisz, że kto zatrzyma tych facetów, jak powyłazą na górę i spróbują obejść bewupa?

Znieruchomiała. Mądra dziewczyna. Daleko na wschodzie eksplodowało parę ładunków, rozszczękały się karabiny. Grupa Bielskiego wchodziła do akcji. Późno. Na szczęście późno: mieli czas, zakorkowali tamten koniec wąwozu skuteczniej niż my.

– Tylko tak dalej – roześmiała się boleśnie Gabriela. – Sabah zobaczy, że jestem łysa i się odczepi.

Rozprostowałem palce. Dłoń pozostała jednak gdzieś na styku jej głowy i szyi. Może na wszelki wypadek. Może.

– Wołynow ma pistolet. Poczłgam się, przyniosę, co?

Górą przelatywały kule tych z nacierającej od południa tyraliery. Ale właśnie górą: nasz brzeg leżał niżej. W dole BWP nadal strzelał i nadal, fakt, że rzadziej, iskrzył rykoszetami odbijających się od pancerza kul. Na zachodzie po raz pierwszy huknęło basem czołgowe działo. Chyba wygrywaliśmy, lecz wiele jeszcze mogło się zdarzyć.

Klepnąłem ją gdzieś w dole. Może nawet w plecy – nie mam małpio długich rąk, a to nie było takie ważne, by się specjalnie przesuwać. Ale nie w plecy celowałem.

Zrozumiała.

– Zaraz wracam – obiecała jakimś miękki, kocim głosem.

Poruszała się trochę mniej zręcznie niż kot, ale trzymała się blisko ziemi i to mi musiało wystarczyć. Zanim wróciła, bitwa zaczęła dogasać.

– Chyba dali spokój – uśmiechnąłem się do czegoś czarnego, co pełzło w moją stronę. – Jeden zero dla nas.

– Ale wróć – powiedziała cicho.

*

– Po kolei. Hanusik?

– Bez strat. Wóz dostał z granatnika, ale nadpaliło tylko błotnik i poszedł reflektor, ten od noktowizora. Jeden strzelec draśnięty.

– U nas jeszcze lepiej – dmuchnął papierosowym dymem Ciołkosz. – Czarni wleźli na miny, poprawiliśmy z karabinów, Drabowicz rąbnął z armaty i całe towarzystwo zwało. Naliczyliśmy ośmiu sztywnych.

– Bodnar? – Dowódca przeciwlotników, z braku latającego przeciwnika i podoficerów, awansował na wodza pospolitego ruszenia, złożonego z niedobitków trzeciej drużyny, kierowców, kucharza i tak dalej.

– Jeden zabity – mruknął ponuro. – Dostał w twarz. No i Giełza.

– Co z Giełzą? – Filipiak posłał mi kose spojrzenia.

– Nie wiem... Nie ma go.

– Panie kapitanie? – Teraz już patrzył prosto na mnie.

– Został przy zasiekach. Nie zdążyliśmy... Jakiś Somalijczyk rąbał go maczetą. Spadli na nas tak nagle, że nikt nawet nie zdążył strzelić.

– Tam nie ma nikogo od nas – powiedział Hanusik po chwili ciszy. Podobnie jak ja, raczej omijał wzrokiem twarz porucznika. – Chłopcy kończą stawiać zaporę. Dolicyli się siedemnastu czarnych, ale Giełzy wśród nich nie było.

– Szlag by to... Przeszukajcie zarośla obok wąwozu, może...

– W marcu miał się żenić. – Okop, w którym się zebraliśmy, sąsiedował ze stanowiskiem

radiostacji i dlatego nie zwróciłem dotąd uwagi na kręcącego się za moimi plecami Olszana.

Nikt nie próbował komentować. Nie była to na pewno cała minuta, ale nawet Bielski zorientował się, w czym rzecz, i rozdeptał peta.

– Poradzi pan sobie z radiostacją? – przerwał ciszę Filipiak. – Muszę zaraz...

– Nie da się zaraz. – Olszan nie nosił munduru, mógł sobie pozwolić na przerywanie dowódcy. – Odstrzelili pół masztu. Antena zerwana. A bez masztu nie ustawię jej na odpowiednim kierunku. Trzeba by wyleźć z wąwozu.

– No nic, nie szkodzi. Naprawimy maszt. Najgorsze mamy za sobą. Nie sądzę, by próbowali powtarzać atak. A Addis Abeba i tak nam w nocy nie pomoże. Nie pali się.

Wygraliśmy pierwsze starcie z grubsza biorąc stosunkiem 50:2. Powinniśmy być zadowoleni. Ale miałem dziwną pewność, że wszyscy podobnie jak ja miętoszą w głowach jedną i tę samą myśl.

Zostaliśmy sami.

*

Czekała na mnie na czymś, co po ciemku wziąłem za jeden z miliona worków, walających się wszędzie jak klocki po dzieciennym pokoju.

– Czemu nie w okopie? Nie słyszałaś Filipiaka?

– Uszy mi brudem zarosły. – Dźwignęła się z mizernym uśmiechem. – Słuchaj... chciałam się umyć.

Na mocy innego rozporządzenia porucznika jedynym legalnym światłem stał się księżyc. Sprawował się nieźle, ale nie aż tak, by dało się toczyć normalne rozmowy z czarnoskórymi dziewczętami oddalonymi o metr. Chcąc ją widzieć, nie tylko słyszeć, stanąłem bliżej. Dzięki czemu do rozmowy mógł się włączyć kolejny z moich zmysłów.

Pachniała potem. Mocno. I od dość dawna.

– Grzeczna dziewczynka. Mama byłaby z ciebie dumna.

– Mama go woła: „Chodź do kąpieli”, a on się boi, że się wybieli?

Lekki nokaut. Wysiłem się na żart, mający nam ułatwić mówienie o czymś, co niektórych wprawia w zakłopotanie – i zatkało mnie samego. Doktor Szczebielewicz, psycholog z bożej łaski.

Mieliśmy już za sobą deklaracje: „Posłuchaj, jestem czarna” i: „No tak, nie będę ukrywał, że zauważyłem”. Chyba wyznała mi nawet, że postrzega to jako swego rodzaju defekt. Ekskluzywna dziwka musiała mieć białą skórę, a to gadanie o bosonogich wieśniaczkach, które się nie golą, też ewidentnie zahaczało o problem rasowy. Tyle że mówiła to wszystko do faceta, który pożerał ją wzrokiem. Trochę się zmieniło od tamtej pory. Dookoła leżało w kałużach krwi

pół setki takich jak ona czarnych ludzi i miała prawo podejrzewać, że tacy jak ja ludzie biali mogą trochę inaczej postrzegać świat. Ofiary zbyt łatwego zabijania nie urastają w oczach zabójców. Raczej na odwrót. Stosunek strat 50:2 prędzej wzbudzi wzdrgnięcie i lekceważenie niż szacunek dla odwagi.

– To cytata – powiedziała trochę niepewnie. Wyraz mojej twarzy musiał zbić ją z tropu. – No wiesz... „Murzynek Bambo”.

– Wiem. – Na tym właśnie polegał problem.

I jeszcze na tym, że niczego więcej nie potrafiłem powiedzieć.

Dusiłem się od myśli, że jej milczenie jest oczekiwaniem na przeprosiny, początkiem kary, która dopełni się, gdy jękając się i unikając jej wzroku, skończę mówić, a ona odejdzie bez słowa.

– Przepraszam – zafundowała mi kolejny nokaut. – Głupio palnęłam z tym Bambem... Bambo... Jak się to właściwie powinno...? – urwała. – To taki stary kąpielowy żart, dziadka i mój. Zawsze, jak mnie wkładał do wanny, powtarzał ten wierszyk, a ja pizzczałam i udawałam, że się strasznie boję. On się okropnie gniewał i groził, że pójdzie po mleko z takim, o – pokazała palcami – takim kożuchem i... Bo ja do dziś nienawidzę kożuchów. Ale nigdy nie przyniósł...

Prawie nie słyszałem ostatniego zdania. Pewnie dlatego, że była gdzieś bardzo daleko. Patrzyła mniej więcej na mnie, ale to nie mnie w tej chwili widziała i tylko dlatego mogłem oglądać przez kilka sekund blask księżyca rozlewający się wolno po nieruchomych oczach.

Zorientowała się, gdy wilgoć dotarła do rzęs. Przykucnęła i zaczęła niezdarnie poprawiać sznurówkę.

– Żyje? – zapytałem cicho. Pokręciła głową, nie unosząc jej.

– Dlatego wyjechałam. On mnie tam trzymał.

– Rodzice mieszkają tutaj, tak?

Ojciec dewizowiec, matka blond dziewczę, którego głównym atutem były jasne warkocze – tak to przedstawiła. Resztę dopisała wyobraźnia i znajomość polskich realiów. Koniec studiów, inżynier, doktor czy magister Asmare wraca pod palmy. Zabiera białą żonę i córkę, która, jak to często w takich małżeństwach bywa, wraz z matką co jakiś czas wizytuje dziadków pod ośnieżonymi sosnami. Z córkami różnie bywa, gdy dorastają, ale matki wcześniej czy później dokonują wyboru i albo osiadają na dobre przy boku męża, albo definitywnie z nim zrywają. W tym drugim przypadku, rozstania bywają burzliwe i ostateczne, różnice kulturowe dochodzą do głosu i o wspólnym wychowaniu dzieci nie ma raczej mowy. Gabriela była tu, uważała Etiopię za swój dom, przyjąłem więc, że jej rodzicom się udało, są razem i żyją w Afryce.

– Matka wyjechała do Niemiec. – Nie patrzyła na mnie. – Przy pierwszej okazji. Zostawiła nas. Niby że stan wojenny. Dziadek chyba wiedział, że to pic. Ostro działał w Solidarności, z Wałęsą był prawie na „ty”. Nie zamknęli go, palcem nie tknęli, więc niby czemu jakąś

smarkulę... Ale tata i ja... Tu się zabija przeciwników politycznych. Miał prawo myśleć, że Jaruzelski ją kropnie, gdyby próbowała wrócić. Zabierał mnie do Etiopii, widziałam wojnę z bliska. Był inżynierem, dostał pracę w Erytrei. Wtedy jeszcze była nasza, ale już się nie dało żyć. Tata budował głównie dla wojska, naprawiał, co partyzanci wysadzili. Cały czas pod osłoną armii. To wtedy nauczyłam się strzelać. W końcu omal nas nie zabili. Przestraszył się, wróciliśmy do Polski. Tu się wszystko waliło, a tam komuniści stracili władzę. Miałam czternaście lat. Ciągle wierzyłam, że matka wróci. Już mogła.

– Nie wróciła? – Ani razu nie nazwała jej mamą. Właściwie nie musiałem pytać.

– Wpadła na parę dni. Chciała zabrać mnie do Niemiec i przerobić na Gabi Bauman. Pogoniliśmy ją z dziadkiem, chociaż ciężko mu było, bo teraz to już nie ma szans, by nazwisko przetrwało.

– Hmm.

– Co: „Hmm”? – W końcu uniosła twarz. Jej oczy nadal lśniły, ale uśmiechnęła się do mnie.

– Typowy kumpel Wałęsy nie liczył chyba na prawnuki Baumanięta.

Niejedna dziewczyna poczułaby się dotknięta. Ona się roześmiała.

– Pudło – powiedziała, podnosząc się na równe nogi. – Sama jestem przedślubna; zdążył się oswoić.

– Za dużo pytań – wyznałem w przyływie samokrytyki. – Chyba mam zły dzień. O czym właściwie...? A, tak. Miałaś się myć.

– Co po czystym ciele, gdy dusza brudna? – Błysnęła zębami. – Ale poważnie: mówię, bo chcę. Nic o mnie nie wiecie, a musicie strzelać z mojego powodu. To nie w porządku.

– Strzelamy, bo masz orła w paszporcie. To wystarczy.

– Ładnie powiedziane – przyznała. Potem schyliła się, podniosła kanister: to na nim, nie na worku siedziała przed sanitarką. – Zmieńmy temat. Myślisz, że mogę?

Nasze palce spotkały się na uchwycie. Cofnęła dłoń. Nie za szybko, ale co innego zwróciło moją uwagę.

– To ten? – zapytałem z niedowierzaniem. – Co ona: prysznic brała?

– Dziewczyny lubią być czyste. – Zabrzmiało to prawie jak deklaracja solidarności z Jolą. Może była szlachetna, a może delikatnie przypominała, że też jest dziewczyną i należy jej się następne dziewiętnaście litrów wody. Bo tyle z grubsza ubyło.

– Zabiję tę kre... – urwałem, nasłuchując. – Mogłabyś się położyć?

– Nic za darmo, co? – Miała wypaczone poczucie humoru, ale przynajmniej wiedziałem, że żartuje. Bo wyciągnęła się – na brzuchu – zanim jeszcze skończyła mówić. Nie potłukła sobie przy tym niczego, i to też dobrze świadczyło o jej zrozumieniu sytuacji.

Mieliśmy trochę czasu. Mogłem, nie zdzierając sobie łokci w błyskawicznym padzie na twarz, zalec obok niej, przelożyć kanister za jej głowę i – nie puszczając uchwytu – wtłoczyć

popiersie Gabrieli w najlepszy okop, jaki wchodził w rachubę w tych okolicznościach. Blaszano-mięsny.

Oczywiście spieprzyłem sprawę. Pociski moździerzowe są dużo wolniejsze od zapowiadającego je dźwięku. Zdążylibyśmy do prawdziwego okopu. Na szczęście nie miało to znaczenia: granat chybił – w moim subiektywnym odczuciu – o pięćdziesiąt metrów.

– Zabieramy się stąd. – Nie krzychałem i nawet wstawałem stosunkowo wolno. – To chyba rozgrzewka.

– Moździerz, prawda? – Była raczej przygnębiona niż wystraszona. Nie odpowiedziałem. Podniosłem kanister i ruszyłem w stronę okopu.

Był rozległy, ale płytki: siedzący człowiek musiał liczyć na szczęście albo jakoś hełmu – na przedpiersie raczej nie. Rannym to nie przeszkadzało, bo leżeli, ale po ustawieniu noszy miejsca na dnie zostało niewiele. Jola, przytulona brzuchem do ziemi, niemal w całości wypełniła wolną przestrzeń. Widziałem ją wyraźnie: trochę wyżej paliła się podłączona do akumulatora honkera żarówka.

– W porządku, siostró. – Była tak przerażona, że nawet nie uniosła głowy. – To robi dużo hałasu, ale nie jest takie straszne. Byle się nie wychylać. – Granat numer dwa rozerwał się z hukiem równie daleko jak pierwszy, tyle że na południe od wąwozu. – No i widzi pani: żyjemy. – Popatrzyłem na Gabrielę, rozpląszczoną na ziemi między bokiem samochodu a krawędzią dołu. – Ciasno tu. Nie pomieścimy się wszyscy. – Trzeci granat uprzedzał już gwizdem o swoim przylocie. – Poszukam sobie jakiegoś okopu i...

– Nie zostanę tu!

Krzyczała z nosem przyklejonym do ziemi – kiepsko to wyglądało.

– Może w transporterze? – rzuciła niepewnie Gabriela. Zakląłem pod nosem i zawróciłem.

Trzeci pocisk okazał się pociskiem oświetlającym. Nie wróżyło to za dobrze, ale za to dobiegłem do bewupa, nim nadleciał czwarty, i niczego sobie nie połamiałem w ciemnościach.

Wewnątrz, oprócz ścisłej załogi, oczekiwało lepszych czasów jeszcze czterech żołnierzy.

– Kurwa, zamykaj to! – krzyknął któryś. Szarpiąc za klamkę, otworzyłem zarazem drogę odłamkom.

– Zajmuję dwa miejsca dla pielęgniarek!

– Rozmnożyły się? – zakpił jakiś inny głos. Zatrzasnąłem drzwi i, przedłużając ruch, wjechałem nogami pod brzuch transportera. Całego ciała ukryć nie zdążyłem.

Rąbnęło idealnie w środku wąwozu. Daleko, ale pociski moździerzowe słyną z mnogości odłamków. Jeden z nich doleciał aż tu. Lewe drzwi, te nade mną, zaiskrzyły. Metr – tyle zabrakło. Nie miałem kamizelki.

Zerwałem się. Biegłem szybko, ale z początku po prostu w obawie przed kolejnym granatem. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że w okolicy sanitarki gęstość odłamków musiała być

kilkadzieści razy większa.

Jakbym dostał kopniaka w tyłek: prawie przeleciałem te kilkadzieści metrów. Moździerz kalibru około osiemdziesięciu milimetrów – na tyle go oceniałem – potrafi wystrzelić do trzydziestu pocisków na minutę. W praktyce strzela się znacznie wolniej, ale i tak rozsądek nakazywał podzielenie trasy na pół i przystanek w którymś zagłębieniu. Somalijczycy wstrzelali się, śmierć mogła teraz spadać z nieba dużo szybciej niż dotychczas.

Nie usłuchałem głosu rozsądku. Granat numer pięć wybuchł, gdy biegłem. Nie zabił mnie, bo spadł gdzie indziej. Nawet nie przestraszył. Potrafiłem myśleć tylko o numerze czwartym.

Jeśli siedziała w momencie wybuchu...

Nawet jeśli tak, to miała szczęście: powitało mnie jej niespokojne, ale w pełni przytomne spojrzenie. Nie była ranna, choć obłożony workami samochód stracił kolejną szybę, a spod podartego płótna tu i tam sypał się leniwie piasek.

– W wozie Bielskiego są wolne miejsca. Bierz Jolę i...

Nie musiała brać. Dziewczyna zerwała się sama i – depcząc Maciaszka, którego sekundę wcześniej do złudzenia przypominała, jeśli idzie o aktywność – wypadła spod siatki.

– Biegnij za nią! – pchnąłem Gabrielę. Ktoś jęczał; Jola stratowała nie tylko ofiarę piwa. Nie mogłem zaliczyć jeszcze jednej rundy między sanitarką a bewupem, odprowadzić jej. Radziła sobie sama. Ranni nie. A obaj oprzytomnieli.

– W porządku, chłopcy. – Wsunąłem się do okopu, usiadłem. – To nic takiego. Jak tam, Świergocki? Boli?

– Trochę. – Nie wyglądał dobrze.

– Jak trochę, to dobrze. – Przez chwilę trzymałem dłoń na jego czole. – Dziewczyny wyszły, więc może skorzystamy z okazji, co? Pęcherz nie dokucza?

Huk. Blisko. Siatka, a wraz z nią żarówka i wszystkie cienie naszego maleńkiego świata zadygotały. Coś przemknęło nad workami, ale bliskie eksplozje mają tę zaletę, że nie słyszy się odłamków.

– Masz szczęście, chłopie – uświadomiłem Świergockiego. – Dostaniesz medal za samo leżenie do góry brzuchem.

W uszach trochę mi dzwoniło. Nie usłyszałem następnego granatu. Póki nie wybuchł.

Miałem wrażenie, że zrobił to wewnątrz mojej głowy.

Ból. Wszystkiego: uszu, gardła, nosa, chyba nawet oczu.

Leżałem na czymś niebieskim. Aparat do mierzenia ciśnienia. Był w walizce, nie wyjąłem go.

Ciśnienie. „W porządku, chłopcy, to nie takiego”. Nic, dopóki rzecz sprowadza się do wściekle pędzących okruchów stali, które dobrze wypchany worek zawsze zatrzyma. Tyle że pociski nie składają się z samych odłamków. Jest jeszcze materiał wybuchowy.

Pudełko nie było już niebieskie. Poczzerwieniało od krwi, lejącej się z mego nosa. Połykałem tę jej część, która spływała do gardła, i próbowałem nie myśleć, czy gdzieś tam, w dole, nie spotyka się z inną krwią, uwolnioną z popękanych płuc.

Ciążenie. To ono zabija pochowanych w transzejach żołnierzy. Odłamki to zhora atakujących: lecą dalej, zabijają w miejscu, do którego fala sprężonego eksplozją powietrza dociera jako niegroźne pchnięcie. Ale jeśli pocisk rozrywa się tuż obok...

Można utonąć we własnej krwi.

Kaszlałem. Nie słyszałem tego kaszlu, nie byłem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek cokolwiek usłyszę – bębniaki znoszą cios fali sprężonego powietrza jeszcze gorzej od płuc – ale w końcu zrozumiałem, co oznaczają gwałtowne podskoki wypełnionego pyłem świata.

Łomotało mi w głowie. Czy głuchemu może łomotać?

Patrzyłem na przemieszaną z krwią ślinę i czekałem na wyrok.

Kilkadziesiąt sekund. I dźwięk. Coś huknęło: gdzieś za grubą warstwą waty, ale jednak. A ja nie dusiłem się. Ból opadał, może dlatego, że oderwałem łokcie od ziemi, podniosłem się na klęczki, zostawiłem to tam, w dole, w błocie z piachu i swych płynów organicznych.

Świergocki coś mówił. Słyszałem go, choć nie rozumiałem. Udało nam się. Tym razem się udało. Cudem.

Siatka znikła. Worki wschodniego przedpiersia albo rozpadły się, albo przeleciały na drugą stronę wykopu. Potrafiłem zrozumieć, że nie oderwało mi głowy, ale nigdy później nie umiałem uwierzyć, że na pół zasypana żarówka, paląca się jak gdyby nigdy nic między moimi kolanami, to ta sama, która wisiała przedtem nad okopem.

Cud sięgał krawędzi prawych noszy. Wszystko ma swój kres, cuda też.

Wybuch, który oszczędził trzech ludzi i żarówkę, zabił Lewandowskiego.

On jeden nie krwawił. Zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Próbowałem go ratować. Sztuczne oddychanie, masaż serca, adrenalina... Wszystko, co można zastosować w na pół zasypanym okopie pół minuty po rozwaleniu go móżdżerowym granatem, mając podręczną walizeczkę, pustkę w głowie i krew w ustach.

Eksplozje młóciły wawóz i jego otoczenie w tempie kilkunastu na minutę. Odsunęły się. Wawóz był długi, a móżdżer jeden.

Po kilkunastu wybuchach – może trzech, może pięciu minutach – dałem za wygraną. Zabrakło mi sił, powietrza w płucach, a przede wszystkim wiary w sens tego, co robię. Usiadłem, opierając się o ściankę okopu; dobre pół kilo piachu przetoczyło się pod bluzą, zaległo grubym zwałem nad obręczą pasa. Siedziałem, ocierałem z twarzy krwawe błoto, kiedy coś zwałyło się z góry, coś dużego, ciężkiego i miękkiego, co w pierwszym odruchu uznałem za strącony podmuchem worek. Oberwałem w kolano; zabolalo, ale ból – nagle dokonałem tego odkrycia – nie musi dokuczać.

Ten był dobry. Bolało, bo się spieszyła, bo strach przeważał nad ostrożnością. Ten ból mówił mi prawie tyle samo o klęczącej przede mną dziewczynie, co jej szeroko rozwarte oczy i spocone, szorstkie od piachu dłonie, obejmujące moją twarz.

– Jacek?! Jacek, odezwij się! Co ci jest?!

Złapała walizkę – jedną ręką, druga na dobre przykleiła się do mego policzka – i oczywiście rozsypała wszystko, co nie tkwiło w obejmach.

– Miałaś... – wycharczałem – miałaś... w bewupie.

– Nic ci...? – Dała spokój walizce, może dlatego, że nic już nie chciało wypaść, i znów ni to obejmowała, ni masowała moje policzki, skronie i uszy. – Boże, tyle krwi...

– Wszystko w po... – Zakaszlałem. W gardle miałem więcej kurzu niż śliny. – Nie powinnaś... Ty głupia wariatko, mogli cię...

Gdzieś wprost nad nami, bliźniutko, na szczęście za krawędzią wąwozu, rozerwał się pocisk. Sypnęło kamieniami, ziemią, płonąca trawa. I Gabriela. Chociaż, uczciwie mówiąc, czułem jej dłonie za łopatkami, tam gdzie przedtem ścianę okopu, co oznaczało, że nasze piersi spotkały się nie tylko za jej sprawą. Też pomogłem.

Było dobrze. Wyrzuty sumienia zaczęły przebijać się przez grube złożę radości dość późno, a i wtedy prawie równie mocno wymawiałem sobie szorstkość pokrytego trzydniowym zarostem policzka, do którego tuliła nieprawdopodobnie delikatną twarz.

Wyrządzałem jej krzywdę. Nam wyrządzałem. I nie umiałem zrobić tego, co nakazywał rozsądek i przyzwoitość: odepchnąć jej od siebie.

*

Odprawa odbywała się w przedziale desantowym BWP. Moździerz milczał od kilkudziesięciu minut, ale ukryty za odległym o osiemset metrów wzgórzem granatnik automatyczny od czasu do czasu wypluwał krótką serię i na dobrą sprawę nigdzie nie było bezpiecznie. Jedynie wnętrza pojazdów pancernych gwarantowały przeżycie – siedząc w okopie, można było co najwyżej powtarzać sobie, że trzeba dużego pecha, by wystrzelony na oślep pocisk trafił w ten akurat kawałek sawanny.

– Nie chcę, byśmy spali – nazwał rzeczy po imieniu Morawski.

– Możemy wezwać lotnictwo? – Filipiak miał większe zmartwienia.

– Chyba modlitwą – mruknął Olszan.

– A UKF? Ten samolot do retranslacji...

– Próbuję. Ale jest jeszcze jeden problem: radio oberwało.

– Co?! I dopiero teraz...?!

– Sam dopiero przed chwilą zauważyłem otworek w obudowie.

– No to fajnie – podsumował Morawski. – Zarębę możemy skreślić.

– To maleńka dziurka – trochę niepewnie powiedział Olszan. – Może nawet nic nie poszło w środku. Nie zdążyłem sprawdzić.

– Straty? – To pytanie przeznaczone było dla obu podoficerów: Ciołkosza i Bielskiego.

– Dwóch – westchnął sierżant. – Ale na amen, na miejscu.

– I Lewandowski – dodałem.

– Samochody? – Filipiak był zbyt zmęczony i skopany przez los, by doznać wstrząsu na wieść o stracie kolejnych trzech podwładnych. Albo i dwóch: może dojrzał już do myślenia takimi kategoriami, przeliczania wszystkiego na ilość bagnetów, które może rzucić do walki.

– Spuściłem paliwo, więc żaden się nie sfajczył – wzruszył ramionami Ciołkosz. – Ale które pojedą, jeden diabeł wie.

– Mamy czas – stwierdził spokojnie porucznik. – Sprawdzi się.

– Zjeżdżamy stąd rano?

– Jak tylko nawiążemy łączność. Dlaczego pytasz?

Sierżant nie kwapił się z odpowiedzią.

– Jak rano, nie ma problemu – powiedział w końcu. – Rzecz w tym, że zostaliśmy bez wody. Rąbnęło prosto w magazyn. Pech.

Teraz to Filipiak potrzebował trochę czasu.

– Ma ktoś jeszcze podobne rewelacje? Nie? To miłe. Doktorze, chcę pogadać z tą pana... – nie dokończył. – To miały być pastuchy.

– Ostrzegaliśmy nas – przypomniałem. – Gdyby nie to...

– Trzynaście trupów – mruknął Bielski. – Może już starczy?

– Co niby mielibyśmy zrobić? – zapytał Morawski.

– Co się stało, to się stało. Trudno. Nie wiedzieliśmy, że ta czekolada zaciukała własną teściową. Teraz wiemy. Gdyby ją oddać rodakom... To ich sprawy. Nikt słowa nie powie.

Na szczęście ławki bewupa skierowane są ku burtom i rozdzielone zbiornikiem. Nie musiałem krzyżować z nikim spojrzeń.

– Tu nie ma etiopskiej policji – rzucił oschle Filipiak. – A ona ma polskie obywatelstwo.

– Mówi, że ma. Jakby tak wcięło jej paszport... Zresztą kto wie, czy nie jest lewy? A w zastępstwie policji mogą ją przymknąć tutejsi żołnierze. Ci, co do nas strzelają. Kto by tam odróżnił rządowego tubylca od antyrządowego? Założę się, że gdyby pogadać, przyślą paru przyzwoicie ubranych, może nawet w mundurach.

– Przepraszam – Olszan uniósł się, otworzył właz dachowy. – Idę do mojej katarynki. Wyrzygam się po drodze.

Bielski zamilkł.

– My też się przejdziemy, doktorze – mruknął Filipiak.

*

Po usunięciu jednych noszy i przekazaniu nadal nieprzytomnego, ale zdrowego jak byk Maciaszka pod opiekę kolegów, okop zrobił się duży. Gabriela doprowadziła go do porządku, układając worki. Kiedy nadeszliśmy, kończyła mocować dach z siatki.

– Zasnął – powiedziała cicho. – Pan do niego, poruczniku?

– Do pani.

Weszliśmy do środka. Dziewczyna włączyła żarówkę i usiadła naprzeciwko Filipiaka z niewyraźną miną. Było już chłodno, nie pocila się i może dlatego dopiero teraz zauważyłem, jaka jest brudna.

– Straciłem dwunastu żołnierzy, odkąd się pani zjawiała – zaczął. – Ktoś zniszczył nasz śmigłowiec. Ktoś próbował otruć podoficera dyżurnego tamtej nocy, a kiedy się nie udało, poderznął mu gardło. Pech. Pawlikiewicz uczestniczył w krucjacie trzeźwości. Chłopcy dokuczali mu z tego powodu. Żaden nie próbowałby usypiać go akurat piwem. Nie było cienia szans, że w ogóle przyjmie puszkę. A jednak przyjął. Dlaczego?

– Chyba wiem, do czego pan zmierza – mruknąłem. – Wziął, bo ktoś częstował, a jemu głupio było odmawiać i się tłumaczyć po raz setny. Łatwiej wsadzić puszkę w kieszeń i potem oddać koledze. Inaczej mówiąc: dostał prezent od obcego.

Twarz Gabrieli była szara. Nie tylko od kurzu.

– To ktoś, kto przyleciał sokołem – powiedział Filipiak.

– Nie ja – popatrzyła mu w oczy. Jakiś czas mierzyli się wzrokiem. Wytrzymała, choć była przerażona tym, co sugerował. Napinała mięśnie, ale niewiele to pomogło: raz po raz wstrząsał nią dreszcz.

– Dlaczego ona? – zapytałem. – A nie na przykład ja?

– To pan odkrył, że Maciaszka uśpiono. Sam bym na to nie wpadł.

– Logiczne – przyznałem z mieszanymi uczuciami. Miło być jedynym nieskazitelny. Ale nie podobało mi się, że Filipiak podejrzewa o coś wyjątkowo paskudnego któregoś z siedmiorga pozostałych pasażerów sokoła. – Tylko mnie pan skreślił?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Może liczył, że Gabriela pęknie, wyciągnie z za stanika legitymację GRU względnie al Kaidy i płacząc, zacznie błagać o litość.

To oczywiście przenośnia: widać było, że nie nosi stanika.

– Pewniaka mam jednego – przemówił w końcu. – Pana. Ale są też półpewniacy. Pamiętacie tę urwaną łopatę? Gdyby odpadła, to kto pożegnałby się z życiem?

– Racja – przyznałem. – Skreślamy pilotów. Zostaje pięcioro.

– Czworo – westchnął i popatrzył na Gabrielę. – Pani też tam była.

– Ja? – zdziwiła się.

– Doktor wyciągnął panią w ostatniej chwili. Właściwie to wyrzucił jak worek. – Posłała mi wieloznaczne spojrzenie. – Ale niech się pani nie cieszy. Skreślę panią z listy podejrzanych pod dwoma warunkami.

Posłuchała go i nie zaczęła się cieszyć.

– To znaczy? – wyręczyłem ją.

– Jest pani katoliczką? – zignorował mnie. Zawahała się, ale tym razem kiwnęła głową. – W porządku. Więc kapelan panią przeegzaminuje.

– Odbiło panu?! – znów zabrałem głos w imieniu Gabrieli.

– Jeśli ktoś uszkadza śmigłowiec, a potem nim leci, to mamy do czynienia z atakiem samobójczym – wyjaśnił spokojnie. – Tego się nie robi dla pieniędzy. Dla idei też już nie. Praktycznie tylko muzułmańscy fanatycy walczą takimi metodami. A fanatycznym muzułmaninem nie zostaje się z dnia na dzień. Może są wyjątki, ale żeby obwiązać się dynamitem i wysadzić razem z autobusem pełnym Żydów, zwykle trzeba się urodzić w odpowiedniej rodzinie. Zakładam, że jeśli potrafi pani zachować się na mszy, zna modlitwy, chodziła na religię i tak dalej, to nie jest pani z żadnej al Kaidy czy innego Hamasu.

– Ja chyba jestem – rzuciłem z polemicznego rozpędu. – Bo w kościele byłem dwa razy w życiu. Jak mnie chrzcili i na ślubie kolegi.

– Dlatego nie pan będzie przepytawał – uśmiechnął się. Otrzeźwiałem. Zdałem sobie sprawę, że takim postawieniem sprawy wyświadczam Gabrieli niedźwiedzią przysługę. – Poproszę Lesika.

Nie wyglądała na zaniepokojoną. Ale na szczęśliwą też nie.

– To konieczne? – zapytała bez zapału.

– Nie. Ale łatwiej byłoby mi uwierzyć, że to nie pani robota.

Skinęła głową.

– A ten drugi warunek?

– Opowie pani całą tę historię z Sabahem i jego matką. Szczegółowo.

Jej twarz znieruchomiała.

– Wszystko już powiedziałam.

– Niczego pani nie powiedziała. – W duchu przyznałem mu rację. – Muszę wiedzieć, o co poszło. Albo się pani wytłumaczy, albo...

– Rozstrzelał mnie pan? – To nie była ironia, to było prawie pytanie. Może dlatego Filipiak zachował spokój.

– Nie. Po prostu będę musiał przydzielić pani straż, może związać. Nie będzie to przyjemne, ale nie w tym rzecz.

– A w czym? – zapytała beznamiętnie.

– To oznacza wyłączenie dwóch ludzi z walki i pracy. Plus pani – dodał nieoczekiwanie. – Zakładam, że jest pani porządną dziewczyną z miasta Łodzi. Więc proszę, by pozwoliła mi pani tego nie robić. Mogą nas wszystkich wyrznąć, bo w krytycznym momencie jeden szeregowy będzie stał nad panią z karabinem, a drugi odsypiał wartę.

Nie spodziewałem się po nim takiej zagrywki.

– O co panu chodzi? – Coś pękło w jej głosie.

– Chciałbym pani wierzyć. Zwłaszcza teraz.

– Dlaczego: teraz?

– Straciłem co trzeciego ze swoich ludzi, a nic nie wskazuje na to, że skończyliśmy tę cholerną wojnę. Nie wiem, co powiedzieć tym, którzy zostali. A coś powinienem. Na razie są zszokowani, ale jak trochę posiedzą w okopach, pomyślą, co się stało...

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Powinam... odejść? – Wyartykułowanie tych dwóch słów kosztowało Gabriellę wiele wysiłku. Filipiak nie od razu odpowiedział.

– Padła taka propozycja – mruknął. – Oczywiście nie mamy zamiaru... Po prostu muszę przekonać ludzi, że walczą w słusznej sprawie.

– To wojsko – przypomniałem mu. – Ochotnicy w dodatku. Płacą nam za to, by bronić Polaków przed obcymi. To proste jak budowa cepa.

O dziwo, uśmiechnęli się oboje. Błado, ale jednak.

– Życie jest bardziej skomplikowane – powiedział. – Możemy mieć kłopoty, jeśli nie przekona ich pani do siebie.

– Co niby miałyby zrobić? Poprowadzić atak na bagnety?

– Wystarczy, że powie prawdę. – Uciekł spojrzeniem ku śpiącemu na noszach żołnierzowi. – Jeśli to panią krępuje... Może pani o tym pomówić z kapłanem albo którąś z kobiet. No i oczywiście może się pani zwierzyć doktorowi. Nieważne. Chodzi o to, bym w końcu usłyszał jakąś sensowną historię, choćby pośrednio.

Odczekałem chwilę, dając Gabrielli szansę na podjęcie dialogu i zwolnienie mnie z obowiązku mówienia za nią. Prawdziwe kłopoty mogły dopiero nadejść i byłoby lepiej, gdybym do tego czasu uniknął opinii faceta wybitnie stronniczego.

Nie ułatwiała mi życia, siedząc ze zwieszoną głową i milcząc.

– Zaraz, o czym my właściwie mówimy? – przywołałem na twarz kpiący uśmiech. – Ksiądz, lekarz i baba? Planuje pan telepogadankę o edukacji seksualnej młodzieży? Mamy wojnę, a słuchając pana, można by pomyśleć, że rozprawiamy o du... – ugryzłem się w język. – No, wiadomo o czym.

W końcu udało mi się go zirytować.

– Nie moja wina – warknął – że akurat z powodu czyjegóż tyłka zabijają mi ludzi. Nie ja to

wymyśliłem.

– Mógłby się pan liczyć ze...

Nie dokończyłem. Przerwała mi.

– Homer. – Obaj byliśmy zbici z tropu, ale uśmiechać zaczęła się wcześniej, nim podniosła głowę i miała okazję obejrzeć nasze głupie miny. – Faktycznie: nie pan. Homer był pierwszy. Przynajmniej w Europie. – Popatrzyła mu w oczy. – Jeśli można, wolałabym pośrednio.

– Słucham? – Nie zrozumiał.

– Chce pan wiedzieć, o co poszło z matką Sabaha. W porządku. To może być doktor Szczebielewicz, pani Wielogórska albo w ostateczności pan. Z Lesikiem nie będę o tym mówić. To nie miałyby sensu. Z przyczyn zasadniczych.

Filipiak zachował się jak typowy polityk i z całej kwestii wyłowił tylko jeden interesujący go fragment. I, zgodnie z najlepszymi tradycjami sztuki politycznej, użył go przeciw osobie zbyt uczciwie stawiającej sprawę.

– Mam wybór? No więc: ja. Oczywiście doktor może przy tym być.

Mimo tego przyływu łaskawości miałem ochotę wymierzyć mu kopniaka. To nie była czysta zagrywka. Jego barki obciążała odpowiedzialność, a głowę wyniesiona z *Iliady* wiedza, że kłopoty łózkowe całkiem łatwo przekładają się na militarne, ale mimo wszystko miałem nadzieję – i ona też miała – że dżentelmen zwycięży w nim nad oficerem.

Cóż, zawiedliśmy się. Ja bardziej.

– Dobrze. Ale w takim razie... Tylko pan i ja. W cztery oczy.

*

Dotyk był bardzo delikatny. Nie wiem, jakim cudem zdołał wyrwać mnie ze snu. Nie chciałem się budzić. Nie radziłem sobie z ciosami, jakie spadały na mnie regularnie w ciągu ostatnich dni. Nerwy wyraźnie mi siadały i senny azyl stawał się czymś najcenniejszym.

– Zasnąłem?

– Przed czwartą. Jak tylko skończyli strzelać.

Głos miał Świergocki równie blady jak tę rękę, cofającą się znad mego kolana. Marnie wyglądał. Łącząc ten gest ze spojrzeniem na zegarek, położyłem rękę na jego czole. Zdążyłem zmarznąć w ciągu tych czterech godzin. Ale nie dlatego wydał mi się taki ciepły.

– Ładnie to tak? Masz niezłą gorączkę. Trzeba było wcześniej... Siostra nie zagłądała?

– Nie. – Zrozumiałem, że nie miał tyle szczęścia co ja i nie zmrużył oka. – Przepraszam... pić mi się chce, a nie bardzo...

Kanister, z którego ktoś zrobił sobie fotel, leżał po drugiej stronie okopu. Podnosząc go, omal nie zdzieliłem się blachą w czoło: nie wziąłem poprawki na wieczorne szaleństwa Joli.

– Trzeba było mnie obudzić – burknąłem, napełniając ostrożnie kubek. Usta miał zupełnie suche.

– Lepiej, żeby pan doktor był w formie. Pomogłem mu się napić, obejrzałem biodra, zaaplikowałem poranną porcję leków i wypełzłem z okopu.

Wąwóz wypełniał rześki chłód i delikatny, różowy blask, łagodzący kontury okopanych pojazdów i dymiącej kuchni polowej. Było cicho i pusto. Przez chwilę walczyłem z idiotyczną myślą, że przycupnięty za dwukółką Puzewicz jest jedynym, który przetrwał nocny ostrzał. Dookoła pełno było osmalonych lejów: dużych, po pociskach mózdzierzowych, i małych, znaczących miejsca trafione z granatnika.

– Masz wrzątek? – Ziewając, zatrzymałem się przy przyczepce dźwigającej kotły. Jedna opona poszła, a w kotłach widać było dziury, ale całość funkcjonowała, sądząc po zapachu mięsa.

– Tylko mielonki. Szef ma osobiście wydzielać wodę.

– Widziałeś Filipiaka?

– Śpi w tym okopie koło beerdeema.

Samochód, jak inne, stał teraz na dole. Obok, zamiast porucznika, znalazłem Grochulskiego. Z jakimś innym zaspanym nieszczęśnikiem siedzieli wśród hałdy samochodowych kół i kleili dętki.

– Do południa wam zejdzie – mruknąłem. – Gdzie wódz? – Grochulski bezradnie zatoczył dłonią niemal pełny krąg. – Aha. A moje panie?

– Siostra śpi u Hanusików. A pani Gabriela jest chyba z dowódcą.

Na wszelki wypadek zajrzałem do obłożonego workami suzuki. W środku, dając dowód odwagi, względnie zamiłowania do wygod, posapywała na rozkładanym siedzeniu redaktor Wielogórska. Samotnie.

Zawróciłem – dalej był już tylko czołg i pierwsza linia frontu. Odbyłem ćwierćkilometrowy spacer i zajrzałem pod zad bewupa drugiej drużyny. Ludzie Hanusika wykopali tam sobie schron, ale w tej chwili był pusty.

– Dalej lepiej nie. – Kierowca wystawił z wjazdu głowę i dłoń z rolką papieru toaletowego. – Do zarośli donoszą ich granaty. Jak pan kapitan na stronę, to tylko za tamtą skałkę. Mam pilnować, żeby nikt dalej... – uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Za babkę klozetową przyszło robić. Pan kapitan powie paniom, dobrze? Ja ich nie znam, trochę głupio tak...

Na zasadzie ochoty na niedostępne poczułem nagle ochotę wycieczki za wskazaną skałkę. Na szczęście lekką. Były ważniejsze sprawy.

– Nie było tu porucznika?

– Tędy poszli – wskazał pasmo świeżo osypanych grudek, wiodące ku południowej krawędzi wąwozu. – Niedawno. Chyba coś grubszego, bo był z nim snajper i ta tłumaczka.

Nie spodobały mi się te nowiny. Stok pokonałem biegiem, trasę do najbliższego dołu strzeleckiego też. Wyglądający z niego kapral Hanusik omal nie rozbił sobie dłoni o kamień, dając mi znać, że powinienem natychmiast paść. Przypadłem do ziemi tuż obok przedpiersia i przez chwilę rozglądałem się po okolicznym buszu.

Z tej perspektywy miał może stumetrowy promień – dalsze rejony zasłaniały kępy traw, krzaczki i nieliczne pnie niewysokich drzew. Zbyt równo też tu nie było. Nawet na tym niewielkim obszarze mógł się teoretycznie ukrywać pluton wojowników Sabaha. Praktycznie, skoro żyłem, raczej nikt się nie ukrywał.

– Gdzie porucznik?

– Pięćdziesiąt prosto i ze dwadzieścia w lewo. – Mówił szeptem. – Ale tylko czołganiem, panie kapitanie. I z dala od traw i krzaków.

Dopiero pełznąć mozolnie i zygzakując między kępami roślinności, która tylko czekała, by dać się poruszyć i zdradzić somalijskim snajperom moją pozycję, odkryłem, że z perspektywy węża półpustynny Ogaden może wyglądać jak prawdziwa dżungla. Mnóstwo przeszkód, które trzeba omijać, zerowa widoczność. Było o tyle gorzej niż w prawdziwej dżungli, że musiałem także uważać na kurz: każdy energiczny ruch podrywał go w górę, oślepiając, dusząc i przede wszystkim dekonspirując.

Minąłem trzy kikuty akacji, spiłowanych dla oczyszczenia pola ostrzału, i zza niedużego kamienia wypatrzyłem ramiona lornety nożycowej, dość zręcznie udającej krzak. Poczłogałem się dalej, podczas gdy jeszcze bardziej podobny do krzaka porucznik Filipiak odkładał karabin na dno okopu. Wyglądało na to, że naprawdę nie jest tu bezpiecznie: bądź co bądź zbliżałem się od tyłu.

– Co pan tu do cholery...?

– Gdzie Gabriela? – przerwałem mu bezceremonialnie i w tym samym stylu wpakowałem się do głębokiej na metr dziury, którą dzielił z uzbrojonym w karabin SWD żołnierzem. Z dziewczyną, niestety, już nie.

– To nie miejsce dla lekarza. – Nadal warczał szeptem.

– Podobno była z wami.

– Niech pan wraca. Tu się zaraz może zacząć...

– Panie poruczniku! – Tym razem wszedł mu słowo upačkany kamuflażem użytkownik karabinu z lunetą. – Pan zobaczy!

Filipiak dał mi spokój, przywarł do lornety – i znieruchomiał.

Poczułem, jak serce powoli pełźnie mi do gardła.

– Rany boskie... – Nerwowo obrócił lornetą na boki.

– Co się dzieje?

– To chyba... nie widzę dokładnie, ale to chyba Giełza.

Jego własna lornetka leżała na przedpiersiu. Złapałem ją i prawie od razu znalazłem to, na co patrzył. Pewnie dlatego, że jasna plama przyklejona do pnia akacji znajdowała się zaskakująco blisko.

– Musieli go czymś zakryć i dopiero teraz... – Głos Filipiaka szybko wracał do normy, o ile uznać za taką metaliczny chłód. – I krzaki zasłaniają. Tymoszuk, odbij w lewo i znajdź lepszy widok. Tylko ostrożnie. To z daleka czuć zasadzką.

Miał rację: tylko transparent z napisem: „Zasadzka” byłby bardziej wymowny. Przywiązany do pnia biały mężczyzna, obnażony do pasa i bardziej wiszący na krępujących go rzemieniach, niż stojący, przywoził na myśl kozy z polowań na bengalskie tygrysy.

Nie widziałem jego twarzy. Oddzielały nas korony paru niskich drzew, jak na złość porastających zagłębienie terenu. Za to nogi mogłem oglądać bez przeszkód, co przekreślało wszelkie nadzieje.

Spodnie, buty i podszewka bluzy mundurowej, zawieszanej wokół bioder, wyglądały boleśnie znajomo. Milczeliśmy. Długo.

– Pamiętam... – Ta pamięć stała się nagle przekleństwem. – Leżał na brzuchu i walili go maczetą właśnie po plecach, głowie...

– Był w kamizelce i hełmie – mruknął Filipiak. – A zresztą jakie to ma znaczenie? I tak trzeba go stamtąd zabrać.

Czułem, że, podobnie jak mnie, zupełnie mu się to nie uśmiecha.

– To on! – dobiegł stłumiony półgłos Tymoszuka. – Poza tym pusto.

Filipiak sięgnął do ramienia, włączył ukaefkę. Zażądał czołgu i sapera ze sprzętem. Pozwoliłem mu skończyć.

– Gdzie ona jest? – Nie siliłem się na uprzejmy ton.

– Tam – wskazał wyższe, południowe przedpiersie okopu. – Spokojnie, sama się zgłosiła.

– Jeżeli pozwolił jej pan pójść do tych...

Mówiłem powoli – niełatwo wyjaśniać komuś, dlaczego się go za chwilę zabije – więc przerwał mi bez trudu.

– Źle pan zrozumiał. Tam leżą trupy, broń i może ranni. Chciałem się dowiedzieć, co mają Somalijczycy. To ważne.

Nie naciskałem więcej, więc nie próbował mi wyjaśniać, jakie znaczenie może mieć wiedza o uzbrojeniu przeciwnika. Życie zrobiło to zresztą za niego.

Plutonowy Drabowicz próbował dokonać czegoś, co nie wyszło mu wczoraj: pokonać stok wąwozu w pobliżu granicy naszego obozu. Był w o tyle lepszej sytuacji, że w nocy żołnierze popracowali trochę nad wyrównaniem i spłaszczeniem podjazdu.

Dopisało mu też szczęście. Choć nie tak, jak oczekiwał.

Zadarta ku niebu lufa kalibru 125 mm wychynęła spod ziemi, potem ukazał się

przeciwniczy wukam, płaski łeb wieży, klin kadłuba. Silnik ryczał, sylwetka stalowego kolosa rosła coraz wolniej, armata zaczęła opadać, by w pewnym momencie zatrzymać się, kiwnąć niepewnie i ponownie ruszyć w górę. Czterdziestotonowe pudło zakolebało się na krawędzi wąwozu. Kierowca spasował. Czołg osunął się zaskakująco szybko o dobry metr niżej i choć nie zniknął, jego oglądana z poziomu równiny sylwetka zmalała dwukrotnie.

Ciemna plama, mknąca ku niej z głębi sawanny, zderzyła się z pancierzem zupełnie nie tam, gdzie należało oczekiwać.

Plama ognia zakryła szczegóły, ale udało mi się dostrzec koziółkujący karabin maszynowy i jezor ognia kumulacyjnego, którego rozmyte resztki zapaliły drzewo aż po drugiej stronie wąwozu. T-72 znikł. Zapadł się jak pod ziemię.

Z boku, cichutko w porównaniu z hukiem eksplozji, puknął karabin. Potem jeszcze raz. Tymoszuk. Nie obchodziło mnie to. Nasłuchiwałem. Czekałem na wycie palących się żywcem ludzi. Filipiakowi musiały latać po głowie podobne myśli, bo zupełnie zapomniał o tradycji porozumiewania się szeptem.

– Drabowicz?! Żyjesz?! Odezwij się!

Na szczęście o zwolnieniu przycisku nadawania jeszcze pamiętał. Coś zatrzeszczało i usłyszeliśmy mocno zduszony głos plutonowego.

– Trafili nas, panie poruczniku... Chyba nic się nikomu... ale trafili nas. Wy... wychodzę z boju. Bez odbioru, muszę...

Wyłączył się, nie kończąc. Przywrócił jednak Filipiakowi zdolność normalnego funkcjonowania.

– Poszła górą – wymamrotałem.

– Chyba tak – przyznał. – Tylko ich musnęło. – Obejrzał się, spoglądając na południe. – Zauważył pan ogień, dym? Za tym pociskiem?

– Nie. To znaczy... chyba po prostu leciał. Już bez napędu. No i raczej był mały.

Skinął głową.

– Granatnik. Nie pepeka. Zresztą za szybko... – Teraz ja kiwnąłem głową. Pociski kierowane wystrzeliwuje się zwykle z odległości paru kilometrów; nawet te szybkie jakiś czas muszą lecieć.

– Cholera, musi siedzieć gdzieś niedaleko.

– Pana snajper strzelał – przypomniałem.

Powrócił do peryskopu i długo oglądał przedpole. Czekałem. Dopiero widok pełznącego od strony wąwozu żołnierza przełamał moje skrupuły. Mieliśmy zaległy temat na rozmowę w cztery oczy.

– Widzi ją pan? – zacząłem na pozór neutralnie. Nie odpowiedział. – Jak pan mógł tam posłać kobietę, i to w dodatku cywila?

– Nikt inny nie dogada się z rannym tubylcem – mruknął.

– Wie pan, jaka jest szansa, że...?

– Mała – przerwał mi. – Ale jest. Widział to pan? – Dał spokój lornecie i machnął w stronę chmury kurzu, znaczącej miejsce niedawnej eksplozji. – Zgadnie pan, co to było? Jak RPG, możemy zaryzykować; pancierz czołgu przetrzyma. Ale jak coś cięższego i nowszego, to szlag trafi Drabowicza i całą załogę. A przydaliby mi się na górze. Po to tam poszła. Bo wolałbym wiedzieć, co te gnoje na nas mają. – Zamilkł na chwilę, po czym dorzucił: – Sami się zgłosili.

– Oni?

– Z Wołynowem. Poszli we dwoje.

– Zaraz... Tylko oni?! I nikt więcej?!

– A co pan myśli: że dowodzę dywizją? – wzruszył ramionami. – Mam osiemset metrów frontu do utrzymania i ludzi półżywych ze zmęczenia. A poza tym... – zawahał się, lecz dokończył: – Poza tym to niezła okazja, by ich sprawdzić. Gdyby zwiali, mielibyśmy z głowy przynajmniej ten problem.

Nie skomentowałem tego. Problem w tym, że miał rację.

Przez następne kilka minut przysłuchiwałem się, jak ściąga posiłki – kaem i trzech strzelców – oraz instruuje Staškę. Sprowadzało się to w gruncie rzeczy do dwóch instrukcji: powoli i ostrożnie.

– Założę się, że założyli miny – zakończył ponuro. – Nimi się zajmij. Strzelców biorę na siebie.

Wypelzli z okopu w żółwym tempie – zanosilo się na długą operację.

Przez pierwsze kilka minut przyglądałem się Gielzie i okolicznym zaroślom. Bez rezultatów: nie wypatrzyłem żadnego czającego się w zasadzce Somalijczyka, a chłopak nie ruszał się i był opleciony rzemieniami na tyle mocno, że nie dało się dostrzec ruchu płuc. Słaby, ale wyczuwalny powiew kołysał listowiem i taniec cieni niweczył wszelkie szanse na wychwycenie drobnych ruchów.

Po dziesięciu minutach, hałasując i kurząc, przyczołgał się do mnie Morawski. Był w kamizelce i z karabinem, co trochę to tłumaczyło.

– Dla ciebie – wysapał, wpychając mi zakurzony chlebak. – Morfina i takie tam. Jola wybrała. Za stary jestem, by targać całą apteczkę. Jezu, już zaczyna piec... Naboje masz?

– Naboje?

– Filipiak wyszeptał przez radio, że potrzebuje medyka. – Wyciągnął kartonowe pudełko z amunicją kalibru 9 mm i dwa pistoletowe magazynki, już napełnione. – Nie mówił, że masz być akurat ty, ale jakoś nie widzę tej panienki w roli Marusi.

– Wszeptał? – Musiałem mieć dostatecznie zbolałą minę i Morawski darował sobie nazywanie rzeczy po imieniu.

Uzupełniłem amunicję we własnych magazynkach, włożyłem te od majora w kieszenie.

Cztery; sześćdziesiąt naboí. Plus te w paczce. Dużo, ale jakoś nie podniosło mnie to na duchu.

Poprawiliśmy oporządzenie i wyczołgaliśmy się z okopu.

Następny kwadrans trwał w moim subiektywnym odczuciu dobrą godzinę. Pewnie dlatego ucieszył mnie widok żołnierskiego buta, wylaniający się zza setnej kępy suchorostów. Chyba zdążyłem uwierzyć, że nigdy nie dopełnę do Filipiaka.

Zmęczenie to dobry środek uspokajający. Odkryłem to dwa metry dalej, gdy powyżej buta ukazała się zeszmacona, niegdyś biała opończa zastępująca mundur. Z tyłu brakowało jej sporego fragmentu: pocisk wyszarpnął nieszczęśnikowi spory kawałek pleców. Zwłoki jeszcze nie śmierdziały: noc była naprawdę chłodna.

Kilka krzaczków dalej znalazłem wreszcie tych, których szukałem.

Staśko leżał w połowie drogi między porucznikiem a Giełzą i nawet poruszał się, nie potrafiłem jednak nazwać czynności, jaką wykonywał. Na fotografii wyglądałoby to na nakłuwanie saperską macką kamienistej ziemi. Tyle że fotografia abstrahuje od czasu. Chłopak miał ruchy oblepionej syropem muchy i od razu zorientowałem się, że coś nie gra.

Przeniosłem spojrzenie na Giełzę. Wciąż żył. Wyglądał jak świeżo ekshumowane zwłoki, ciasno przywiązane do pnia, tyle że zwłoki nie spływają potem spod pach. Powieki zakrywały oczy, a głowę utrzymywał w pionie szeroki knebel, owinięty wokół pnia.

– Nie da się podejść? – Strach rozciągał przestrzeń tak samo jak czas, ale choć mogli mnie zabić sto razy, gdybym próbował wstać i podejść do Filipiaka, obiektywnie nie było to daleko i mogłem posługiwać się głośniejszym szeptem.

– Nie wiadomo.

Nawet Morawski, który potraktował serio wręczenie mu karabinu i jeździł teraz wzrokiem po otoczeniu z metodycznością dobrego radaru, przerwał na chwilę i posłał porucznikowi zdziwione spojrzenie.

– Jak to?

– Kamień i glina. – Filipiak trącił rudawe podłoże magazynkiem beryla. – Za cholerę nie wymacasz miny.

– Znalazł jakąś? – wskazałem wzrokiem sapera.

– Nie. I chyba nie znajdzie. Wysiadł.

– Co? Jak to...?

– Tak to. Koniec. Stres, załamanie, zwał jak zwał. Dobrze, że przyszliście, bo trzeba go tu ściągnąć. Osłonicie. Nie wiem, może będę musiał wstać.

– Kogo ściągnąć? – Byłem z lekka oszołomiony, ciągle nie wierzyłem, że dobrze go zrozumiałem.

– Od pięciu minut leży i dziabie to samo miejsce. Próbowałem z nim rozmawiać, ale nie reaguje, a wrzeszczeć nie mam ochoty. Jesteśmy tu w martwym polu, ale jeden granat i...

Rozumiałem, w czym rzecz. Gielzy nie przytargano tu bez powodu. Leżącą u jego stóp płachtę z brudnych worków ktoś zdarł z niego stosunkowo niedawno: nocą nie miało to sensu. Byli tu parę minut temu i chyba nie odeszli daleko. Zostawili przynętę, odsłonili ją, gdy wszystko było gotowe, i teraz zapewne czekali. Przynajmniej jeden. Tkwiłiśmy w zagłębieniu terenu, w grę wchodziły jedynie granaty i niezależnie od tego, czy będą to karbowane jaja rzucone ręką, czy wystrzeliwane z odległości kilometra pociski mózdzierzowe, w pobliżu powinien ukrywać się ktoś, kto dałby sygnał do ataku.

Popatrzyłem na sapersa. Leżał tam, gdzie poprzednio, ani centymetra dalej. Druciany szpikulec macki nie poruszał się już.

Filipiak uniósł tułów i na czworakach ruszył naprzód. Chyba starał się stawiać dłonie i kolana jedynie na śladach Staški, ale przy takim podłożu nie była to żadna gwarancja przetrwania.

Kilkanaście metrów. Na każdym z nich mógł się ze cztery razy oprzeć o coś, co pozbawi go kończyny, jeśli nie życia. Czekaliśmy na huk.

Doszedł cały i zdrowy. Przez chwilę tłumaczył coś skulonemu chłopakowi, ale efekt okazał się żaden. Oplótł go więc ramieniem i zaczął ciągnąć. Osłonięty płamistym pokrowcem hełm uniósł się tylko o kilkanaście centymetrów wyżej – ale to wystarczyło.

Coś puknęło z prawej strony, w sekundę później zajązgotał automat Morawskiego, a jeszcze później eksplodował granat.

Przeniosło go o dobre trzydzieści metrów. Rzucając nie da się tak spudłować. No i ten dźwięk...

– Widzisz go? – Sam przeczesywałem wzrokiem lewą stronę świata: nieszczęścia lubią chadzać parami.

– Chyba. Coś jakby ruch.

Może i widział, ale nie pomogło to nam. Po paru sekundach krótka melodyjka powtórzyła się: najpierw ciche puknięcie granatnika, później – czyli za późno – jazgot beryla, a w finale trzask granatu.

Tym razem bliżej. Za blisko. Kłęb pyłu zakrył sklezione sylwetki piechurów, coś gładko ścięło gałązkę tuż przy mojej głowie. Durnej głowie, której nie raczyłem nakryć hełmem.

Trzeci granat rozerwał się w koronie akacji, rosnącej między nami a strzelcem. Morawski nie odgryzł się: tamten pewnie zmienił pozycję. Za to Staško zareagował.

Może nadal znajdował się w szoku, ale niewielu psychologów potrafiłoby to zdiagnozować: najpierw musieliby go dogonić. Przebiegł obok mnie, nim w ogóle zorientowałem się, że ktoś biegnie.

Filipiak pozostał tam, gdzie był. Morawski na chybił-trafił, ale spokojnie i metodycznie, pojedynczym, mierzonym ogniem, ostrzeliwał podejrzane kępy roślinności. Inni też strzelali –

chyba na podobnej zasadzie. W tym celowniczy somalijskiego karabinu maszynowego, który zaczął wymacywać nas, bijąc krótkimi seriami z odległego wzgórza. Na szczęście, póki leżeliśmy w zagłębieniu, nie stanowił problemu.

Niewidzialny grenadier stanowił. Czwartym pociskiem omal nie wykończył Filipiaka. Widziałem, jak trafiony odłamkiem hełm przekrzywia się porucznikowi na głowie. Na jego miejscu zwałbym stamtąd czym prędzej, ale on pozostał konsekwentny i po prostu szybciej odczołgał się w bezpieczne miejsce.

Dwa następne granaty upadły z grubsza tam, gdzie po raz pierwszy pokazał się napastnikowi.

– Nie widzisz...? – Nie dokończyłem: Morawski gdzieś przepadł. Za to Filipiak wyłonił się z chmury kurzu tuż obok, szarpnięciem za pas dał znać, że ciągle leżymy w niedobrym miejscu. Miał rację: kiedy doczołgaliśmy się do najbliższej dziury, kolejny granat pękł ze trzy metry od mojej poprzedniej pozycji.

Zagłębienie było żałośnie płytkie, ale Filipiakowi uderzyło chyba do głowy nagłe poczucie bezpieczeństwa. Ni z tego, ni z owego podniósł się na klęczki i wywalił w zarośla cały magazynek.

– Teraz już wie, gdzie jesteśmy – rzuciłem cierpko, gdy zwałił się na brzuch i przeładowywał beryla.

– Wystrzelał ze dwa kilogramy. Jeszcze chwila i będzie goły.

Niby miał rację: trzy naboje do granatnika to kilogram, a do ataku nie biega się z toną żelastwa na karku.

– A jak trafi? – Rachunki rachunkami, ale właśnie nas zabijał.

– Prędzej Giełzę niż nas.

Giełza. Zupełnie zapomniałem, że ktoś taki istnieje.

Uniosłem głowę. Poderwany wybuchami pył powoli opadał, widoczność nie była jednak najlepsza i nie miałem pewności, czy naprawdę krzyżujemy spojrzenia. Dopóki nie zaczął krzyżeć.

Knebel robił swoje i brzmiało to jak kwilenie dziecka. Żle brzmiało. Niełatwo wsłuchiwać się w podobny dźwięk, patrząc na człowieka mogącego umrzeć w następnej sekundzie, całkowicie bezradnego i świadomego grozy swego położenia. Natychmiast wybaczyłem Filipiakowi strzelania Panu Bogu w okno, choć ten mógł zapatrywać się na to inaczej i zwalić nam na głowy granat numer siedem.

Czekałem na to. Nie doczekałem się.

– Jeszcze raz. – Nie chciało mi się wierzyć, że to mówię.

– Mam strzelać?

Nie rwał się do tego. Nic dziwnego: właśnie wylądowała nam przed nosami spora gałąź. Odłupał ją od drzewa jeden tylko pocisk, ale właśnie dlatego nabrałem nagle szacunku do

polującego na nas kaemu. Półcalówka, jak nic. Małe monstrum, z definicji niezdolne do zadawania lekkich ran.

– Może pomyśleć, że czołgamy się po Giełzę – wyjaśniłem.

Filipiak uniósł się, wystrzelił trzy razy, padł. Coś zawyło nad moim karkiem, druga seria zmieliła ziemię z przodu, trzecia przeszła górą, dużo za wysoko. Beryl porucznika zlał się w jedno dopiero z czwartą. Zgasił ją, kończył już sam, ale trwało to za długo.

– Dostał?

– Nie. Może przypadkiem... – Odsunął się ode mnie. – Chyba nas ma. Gdzie ten cholerny Morawski?

Pomyślałem, że mógł wziąć przykład ze Staśki i zwyczajnie zwiać.

– To ten od granatnika? – Rozglądałem się bezsilnie.

– Czort wie. Niech się pan stąd zabiera. Spróbuję osłonić.

Była to najmiłsza rzecz, jaką tego dnia usłyszałem.

– Jak damy nogę, to zastrzelą Giełzę.

– On już nie żyje.

– Żyje. – Nie miałem odwagi patrzeć na radiotelegrafistę. Ułatwił mi to: przestał się szarpać i krzyczeć przez knebel. Czulem jednak na sobie jego wzrok. Nie musiał wcale żyć, bym go czuł.

– Pewnie postawili go na minie. Nie da się do niego podejść, a nawet jak nawet, to nic więcej.

Podpisałbym się pod każdą sylabą. Miał rację. A ja byłem idiotą.

– Osłaniaj.

Oczekiwał, że poderwę się i pobiegnę, więc nie od razu zorientował, że zgadza się wszystko, tylko nie kierunek.

– Dokąd?! – Zagłuszył własny gniew i strach długą serią. Dwie, trzy sekundy, może nawet cały magazynek – nieźle jak na faceta, który był na mnie wściekły.

Nikt, kto schował głowę przed taką serią, nie podnosi jej od razu. Zyskałem następne kilka sekund. Wystarczyło. Dobiegłem. Nie wiem, czy ktoś do mnie strzelał – nie przy wszechobecnej pukanie karabinów. Wiem, że nic nie wybuchło mi pod nogami. Przeżyłem.

Tylko po to, by padając na kolana przy podtrzymującym Giełzę pniu omal nie spalić się ze wstydu. Nóż, bagnet, siekiera – cokolwiek!

– Już dobrze, zaraz cię stąd zabierzemy...

Powinienem trzymać głowę na kłódkę. Panika.

Nikt nie strzelał. Chyba.

Jak na durnia przystało, szarpnąłem parę razy rzemień, potem węzeł. Nic. Jakiś ruch z lewej, tam, skąd miała nadejść śmierć. Usłyszałem terkot beryla Filipiaka: jakimś cudem zdążył zmienić magazynek. Strzelał oszczędniej, ale i tak w którymś momencie musiał przestać.

Wtedy strzelił ten z granatnikiem. Prawie celnie. Chyba widziałem pocisk, śmigający nad głową Gielzy. W każdym razie na pewno słyszałem, jak przelatywał.

Poderwałem pistolet, wpakowałem trzy pociski w ramię. Ktoś krzyknął. Blisko, niezrozumiale. Miękkie uderzenie w oko, łyż. Wykonałem unik, padłem na kolana, usłyszałem trzask granatu i wyplułem z ust następną muchę.

Nagle zaroilo się od nich, były wszędzie, oślepiały. Musiały krążyć tu od dawna, zwabione zapachem krwi. Połowa pleców chłopaka pokryta była brunatną skorupą.

Pół drzewa zważyło się nam na karki. Nagle, w zupełnej ciszy. Potrzebowałem trochę czasu, by zrozumieć, że to nie latająca kosiarka, a po prostu pierwsza dobrze mierzona seria wukaemu. Ktoś mnie wypatrzył i zaczęło się.

Poderwałem się na nogi, zacząłem odwijać linę. Wolno szło. Przeszkadzał pistolet, Gielza, szarpący się i krzyczący pod kneblem, a także cisza. Ona najbardziej.

Coś się przed chwilą stało, gdzieś obok. Czekałem na strzał w plecy. Na stuk granatu pod nogami. Chyba że to Filipiak... Tylko że Filipiak nie strzelał.

Gwizd ciężkich pocisków, wysoko. Ja też strzelałem: w knebel. Poprawiłem szarpnięciem i płótno zostało mi w dłoni.

– Uciekaj... – Głos Gielzy brzmiał jak skrzypnięcie starej szafy, i to z daleka. – Nie warto... Niech mnie pan zastrzeli. Szybko.

Pięćdziesiąt metrów od nas zagotowała się ziemia. Nie było rykoszetów: pociski były ciężkie i leciały z daleka, stromo. Mała pociecha. Chmura kurzu też nie niosła pocieszenia. Kurz widać z daleka, a to ułatwia wprowadzanie poprawek.

Gielza bredził, ale w jednym miał rację: musiałem być szybki.

Odskoczyłem i zacząłem strzelać w kolejne oploty liny. Zanim pusty magazynek zablokował zamek w tylnym położeniu, udało mi się przeciąć prawie wszystkie zwoje spirali. Gielza przechylał się coraz bardziej, w końcu padł z bezwładnością worka ziemniaków.

Zaskoczył mnie. Rana na karku kosztowała go sporo krwi, ale nie wyglądała na poważną.

– Zastrzel mnie...

Padłem na kolana, by uwolnić jego nogi. Zaraz potem pień buchnął setką drzazg w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się łopatkі żołnierza. Przez dziurę spokojnie przełożyłbym pięść. Dostrzegłem smugacz odlatującego pocisku. I sylwetkę ludzką w miejscu, gdzie powinien znajdować się facet z granatnikiem. I to coś, przyszyte do wstęgi knebla, który wciąż zaciskałem w dłoni.

Nie wiem, czy już wtedy rozumiałem. Chyba nie, po prostu pod powiekami pozostał obraz oślinionej, pomarszczonej bryłki padającej w piach. Miałem większe zmartwienia. Chyba umierałem.

Szarpnąłem ciałem w rozpaczliwym skręcie i strzeliłem w sam środek nadbiegającej śmierci.

Trafiłbym. Nie było czasu celować, ale wiem, że pocisk przeszedłby dokładnie przez ukryty pod zieloną bluzą mostek i pewnie ugrzązł w kręgosłupie, bo biegła prościutko na mnie.

Zabiłbym Gabrielę. Gdyby w magazynku pozostał nabój.

Nie wiadomo kiedy i jak znalazła się tuż obok, klęczała, łąpała Giełzę pod drugą pachę. Zerwaliśmy się, pobiegliśmy. Kiedy powietrze zaczęło warczeć, a pnie eksplodować snopami pogruchotanego drewna, opadliśmy na czworaki. Potem na łokcie i kolana. Wepchnąłem pistolet do kabury. Trochę pomogło, ale nie bardzo, bo dziewczyna oprócz Giełzy uparcie taszczyła karabin, a odrętwiały radiotelegrafista lał się nam przez coraz słabsze ręce.

Minęła wieczność, nim pojawił się Filipiak, za to potem poszło lżej. Wukaem zamilkł, gdzieś z boku wyskoczył Morawski. Wpadliśmy do okopu, cudem nie łamiąc sobie nawzajem kości ani ramion lornety, po czym uczciłem powrót do świata żywych, pozwalając swemu żołądkowi pozbyć się wszystkiego, co pozostało z wczorajszej kolacji.

*

Musiałem długo dochodzić do siebie: Morawski i Filipiak zdążyli się wynieść, a Giełza – wcisnąć w kąt jak zaszczute zwierzę. Chyba udawał, że śpi, ale mocno zaciśnięte powieki i podkulone pod brodę kolana nie zmyliłyby nawet dziecka.

Żałowałem, że na kolację nie podali słonina, a ja nie zjadłem go w całości. I że nie mogę rzygać w nieskończoność.

– Gdzie ich poniosło? – Nie obchodzili mnie, grałem na czas.

– Nie słyszałeś? – Głowa siedzącej po turecku Gabrieli uniosła się dopiero teraz. Starła się nie widzieć, jak haftuję do własnego okopu. – Poszli po nosze i ludzi do pomocy.

Zerknęła na Giełzę. W jej twarzy znalazłem lekki niepokój, umiarkowane współczucie – i radość. Głównie radość. Uratowaliśmy go. Tak to widziała.

– Mam wodę – zaczęła obracać opinający talię pas, dźwigający manierkę i ładownicę starego typu. Wyglądała zabawnie w żołnierskim dresie, adidasach i tym typowo bojowym oporządzeniu. Zabawnie i żałośnie zarazem. No i ładnie. Przemknęło mi przez myśl, że po prostu nie umie wyglądać inaczej. Właśnie dlatego nie chciałem jej tutaj.

– Zostaw to – rzuciłem sucho. – I wracaj do wąwozu. No, już.

Niczego nie rozumiała. Czuję się, jakbym ją spoliczkował. Zastygła z dłonią na klamrze, chciała coś powiedzieć, lecz nie znalazła słów. W końcu zdjęła pas, zsunęła manierkę, przewiesiła karabin przez plecy i jak obrażona jaszczurka odpełzła śladem Filipiaka.

To bolało, ale mniej niż coś, co miało dopiero nadejść.

Nie była wiarusem i w manierce nosiła wodę. Szkoda.

*

– Mogę to obejrzeć? – zapytałem cicho, kucając przed Giełzą. Nie poruszył się, nie otworzył oczu. – To marne pocieszenie, ale przynajmniej żyjesz. Życie też jest coś warte.

W końcu uniósł powieki. Zrozumiałem, dlaczego tak mocno je zaciskał. Łez było niewiele, ale właśnie teraz miał prawo chcieć je ukryć przed światem.

– Prosiłem... Dlaczego mnie pan nie zastrzelił?

– Nie mów tak.

– Nie chcę żyć. – Przeraził mnie jego spokój. – Proszę.

– Teraz nie chcesz. – Podkreśliłem to: „Teraz”, aż zazgrzytało.

– Niech mi pan da pistolet. I odejdzie. Poczekam, słowo.

– To minie. – Chciałbym wierzyć w to, co mówię. – Życie to coś więcej niż... Masz rodzinę. Nie rób im tego. To skurwysyństwo. Egoizm.

Nie był skurwysyńskim egoistą i to, co powiedziałem, sprawiło mu ból. Milczał jakiś czas, patrząc w bok załzawionymi oczyma.

– Myśli pan, że łatwiej im będzie? Mieli syna i brata, a teraz? Tylko byśmy się wszyscy męczyli, na raty, dzień w dzień. Chyba lepiej od razu...? Będą przynajmniej mogli powiedzieć: „Walczył, zginął jak prawdziwy...” – urwał. Obaj wiedzieliśmy, dlaczego. – I tak ze sobą skończę. Tak przynajmniej byłoby na czarnuchów. Powie pan, że snajper. Nikt nie będzie sprawdzał. A rodzicom wypłacą z ubezpieczenia.

Pokręciłem głową. Wolno. Z przekonaniem nie potrafiłem.

– Bardzo boli? – W myślach łamałem zasady etyki, błagając los, by spotęgował ten ból, zepchnął na dalszy plan czarne myśli. – Mogę...

– Nie pomoże mi pan? – wpatrywał się we mnie błagalnie.

– Nie tak.

Zamknął oczy.

*

– Co z nim? – Morawski jako pomoc medyczna okazał się kompletnie bezużyteczny i cały czas unikał widoku ran, chowając się za moimi plecami, ale przynajmniej poczekał z zadawaniem pytań.

Wciągnąłem chłopakowi na biodra opuszczone do kolan spodnie, zapiąłem torbę sanitarną i ciężko klapnąłem na dno okopu.

– Wygląda na to, że dobrze go opatrzyli. – Nie patrzyłem mu w twarz. – Chwilowo nie mam tam nic do roboty.

– To... postrzał?

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Może tak powinniśmy mówić – skinąłem w stronę wąwozu.

– To znaczy... – wolał nie kończyć. Zbladł pod warstwą kurzu. Sam też byłem błądy. Do szpiku kości.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu. Nikt nie strzelał.

– Po co wróciłeś?

– On nas słyszy? – zerknął na Giełzę.

– Nie. Musieli mu podać coś przeciwbólowego. No i dostał w kość. W takich przypadkach organizm ucieka w sen. To forma samoobrony.

Pokiwał głową. Potem zapytał, nie patrząc mi w twarz:

– Wierzysz tej swojej czaruli?

– Nie ma jak konkretne pytanie – uśmiechnąłem się blado. – Dobra, wiem, o co ci chodzi.

Ale z tym idź do Filipiaka. Jemu się spowiadała.

Nie odfiltrowałem gorzkości z ostatniego zdania. Za dużo jej było.

– I co: przełknął jej wersję? – Trzymał się sedna sprawy.

– Posłał ich tam, mogła zwać do swoich. Nie zwała.

– Nie – przyznał. – Wołynow też wrócił. Pogubili się, jak zaczęła się strzelanina.

– To chyba dobrze – wzruszyłem ramionami. – Byli osobno, żadne nie uciekło. Są czyści.

Tak pewnie pracuje mózg polityka. Powiedz coś, co jest prawdą, wyciągnij nieskazitelnie logiczny wniosek i po prostu nie dopowiadaj, że nie jest on jedynym możliwym.

– Dobry szpieg nie ucieka w takich okolicznościach.

– Szpieg? – uśmiechnąłem się, nawet dość szczerze.

– Jak zwał tak zwał, ale sam pomysł: ktoś pomaga Mengeszy buchnąć resztki śmigłowca, a zaraz potem zwała się nam na kark połowa ogadeńskich rebeliantów. I najśmieszniejsze: nikt nie wiąże jednego z drugim. Jak nas tu wybiją, zostaniemy uznani za ofiary seksu, a nie polityki. To wygodny układ dla kogoś na górze.

– Co znaczy: na górze?

Strzeliłem na oślep, ale chyba w coś trafiłem. Zawahał się.

– No.. na górze. Ktoś tym przecież kieruje.

– Czym?

Westchnął. Ciężko mu się ze mną rozmawiało.

– Nie mamy wiele czasu, więc może pogadajmy szczerze, co?

– Staram się – wzruszyłem ramionami.

– To ładna dziewczyna – mruknął.

– Myślisz, że widok ładnej wyłącza mi mózg? Dzięki.

– Nie każdej – wzruszył ramionami. – To ci muszę przyznać.

– Daj spokój. Nic nas nie łączy.

– Gapisz się na nią bez przerwy. To aż kłuje w oczy.

– Nawet jeśli... Na ciebie mam się gapić? Ma lepsze nogi.

– Kręcicie, doktorze, a czas ucieka. Jeśli cię ta panienka nie obchodzi, tym lepiej. Bo mnie się nie podoba. Widzisz, jak zaczęła się strzelanina, próbowałem obejść tego faceta z granatnikiem i...

– To znaczy, że nie zwałeś, gdzie pieprz rośnie? – Naraził mi się, nie potrafiłem darować sobie małej złośliwości.

– Pieprz nie, ale zarośli tu dużo. I teraz nie mam pewności. – Odczekał chwilę w nadziei, że zapytam. Milczałem tchórzliwie, więc dokończył wypranym z emocji tonem: – Kiedy ich zobaczyłem, facet miał pół głowy, a ona leżała prawie na nim i majstrowała przy granatniku. Nie był nabity. Pamiętam, że ciut wcześniej ktoś z niego strzelił. To charakterystyczny dźwięk, trudno pomylić. Jak zawołałem, rozpląszczyła się na ziemi. I dalej majstrowała. Głowy za to nie dam, ale myślę, że gdyby miała pocisk w lufie, toby strzeliła.

Zajrzałem mu w oczy. Dopiero tam dało się dostrzec skryte wyzwanie. Nie chciał mnie ranić, ale ta niechęć miała swoje granice.

– Przestraszyłeś ją – powiedziałem cicho.

– I wzięła moje: „Hej” za okrzyk Somalijczyka? Powiedzmy. Może i jest czysta jak łąka. Tylko że widziałem ją w miejscu, skąd do was strzelano, chwilę po ostatnim strzale i z granatnikiem w ręku. Mam prawo zakładać, że próbowała zabić Filipiaka i tego sapera? Mam.

– I mnie – dopowiedziałem.

– I ciebie? – Zmarszczył brwi. – Myślisz, że to ważne? – Nie kpił, pytał śmiertelnie serio. – Że gdyby to ona strzelała i cię zobaczyła, to dałaby sobie spokój?

Sam chciałem wiedzieć. I przerażał mnie głód tej wiedzy. Jedyne dopuszczalne pytanie brzmiało: „Czy strzelała?” Tego w ogóle nie miałem prawa sobie stawiać.

Zabrnąłem cholernie daleko.

– Nic nas nie łączy – powiedziałem. – Nie wiem, dlaczego akurat do mnie przychodzisz z tymi rewelacjami.

– Z wątpliwościami. A do Filipiaka też pójde, nie bój się.

– I co mu powiesz? Widziałeś, jak do nas strzela?

– Gdybym widział, już by nie żyła.

Uwierzyłem mu. Dwa dni temu ja sam... Jezu. Ale wpadłem.

– Co chcesz z tym zrobić? – Nie patrzyłem mu w oczy.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Dziesięć razy pomyślał.

– Gdyby to był facet, też byś mi kazał siedzieć i myśleć?

– Odwał się.

– Słuchaj, też bym wolał nie mieć racji. Ale jeśli mam?

Gdzieś w oddali zaterkotał granatnik automatyczny, a kilka sekund później, jak echo, pękło pięć pocisków. Nasi nie odpowiedzieli.

– Jak chcesz – mruknął Morawski – możemy z nią najpierw pogadać.

*

Do ewakuacji Gielzy posłużyło coś w rodzaju sań, które dwaj żołnierze przywlekli razem z końcówką stalowej linki. Drugi koniec został na bębnie wyciągarki honkera: wystarczyło ją uruchomić i asekurowany przez pełną obok ludzi wehikuł ruszył żwawo w stronę wąwozu. Cała operacja przebiegła bez przeszkód, nikt do nikogo nie strzelał.

W punkcie sanitarnym, oprócz Świergockiego, oczekiwała na nas tylko Gabriela. Oczywiście nie potrafiłem tego docenić.

– A tę gdzie znowu poniosło? – warknąłem. Szeregowi, którzy przydźwigali Gielzę, wynieśli się błyskawicznie.

– Jolę? Poszła... no, na stronę.

– Akurat teraz?

Wzruszyła ramionami, ale nie tak, jak na to zasługiwałem, tylko bezradnie i przepraszająco. Jak ktoś, kto czuje się winny.

– Dostał śniadanie? – wskazałem Świergockiego. Chyba spał.

– N... nie wiem.

– Jakies leki?

– Przecież wiesz, że niedawno wróciłam – powiedziała cicho.

– Jeśli chcesz się bawić w pielęgniarkę, bądź konsekwentna. Jak kogoś zmieniasz przy chorym, to zapytaj o jego stan. I myj ręce – dorzuciłem trochę na wyczucie. Pod siatką panował półmrok, a ona należała do rasy nieźle roztapiającej się w ciemnym tle.

– Mamy mało wody.

Morawski usiadł obok Honkera i przyglądał nam się bez słowa. Nie wiedziałem, które z nich bardziej działa mi na nerwy.

– To weź bańkę i przynieś. Albo idź zająć się swoimi sprawami. Na cholerę mi brudna pielęgniarka?

Dopiero teraz zahaczyłem wzrokiem o jej dłonie. Były zaciśnięte w pięści. To mógł być gniew, ale równie dobrze ucieczka przed chłodem, jakim w nią plunąłem.

Klęknąłem przy noszach Gielzy, wyjąłem instrumenty i przez jakiś czas bawiłem się w pana

doktora. Stetoskop, pomiar ciśnienia, na koniec temperatury. Nie myślałem, że wytrzymają tak długo bez słowa.

– Prawie nie gorączkuje. – Sięgnąłem po kanister. Ważył jeszcze mniej niż przed godziną. – Szlag by to... Mówiłem, żeby nie ruszać tej wody! Jest dla rannych i do niczego więcej! Na piśmie mam wam to dać?!

– Mogę skoczyć po więcej – zaofiarował się Morawski.

– Tu był czysty ręcznik – zmiąłem pustą folię i cisnąłem w pierwszą lepszą stronę. Tak się złożyło, że wyhamowała na łydce Gabrieli.

– Masz trochę spirytusu w apteczce? – zapytał Morawski.

– A co: mam go nalać na palce i obmyć Giełzę?

– Na trzy – skinął głową. – Do szklanki. I wypić. Wyraźnie tego potrzebujesz.

Posłałem mu mroczne spojrzenie.

– Lepiej rusz tyłek i przynieś ręcznik z sanitarki.

Przyniósł. Ostrożnie zwilżyłem materiał i zacząłem usuwać brud z torsu żołnierza. Szło dobrze, póki nie doszedłem do pleców. Niełatwo obrócić nieprzytomnego mężczyznę, nie zwalając go z noszy w piach. Uparcie podtrzymując mit samowystarczalności, po prostu go posadziłem. I nagle zabrakło mi rąk.

– Daj ten ręcznik – mruknęła Gabriela. Do szarpania się z nią też brakowało mi rąk. Pozwoliłem odebrać go sobie i ograniczyłem się do podtrzymywania chłopaka. Trwało to wieki: albo uznała, że kara musi być długa i bolesna, albo potraktowała serio moje słowa o czystych rękach pielęgniarki. Nie umyła ich, więc teraz manipulowała ręcznikiem z ostrożnością kucharki, operującej brytfanną w rozgrzanym piekarniku: brązowa skóra jej dłoni ani razu nie spotkała się z brązową skorupą zaschniętej krwi.

Dopiero pod koniec zaświtało mi, że takie przemyślane, delikatne ruchy przynoszą także mniejszy ból.

Unikałem jej wzroku. Do tego stopnia, że przegapiłem całą niemą scenę, w wyniku której Morawski znalazł się obok dziewczyny.

– Skurwiele.

Odwróciłem głowę.

– Musi źle wyglądać – mruknąłem. – Walił w niego jak w bęben.

Gabriela odłożyła ręcznik i pomagając sobie kolaniem, przejęła ode mnie ciężar kiwającego się bezwładnie ciała.

– Idę po Filipiaka – oznajmił major. – Powinien to zobaczyć.

Nie zauważyłem, kiedy wyszedł. Znokautowało mnie to, co zobaczyłem. Próbowałem zrozumieć, dlaczego dopiero teraz. Skrzep skrzepem, brud brudem, ale gdzie, do cholery, miałem oczy?!

W końcu wziąłem się w garść. Odszukałem butelkę ze spirytusem, rozdarłem pakiet waty i obmyłem pokaleczony kark. Gabriela robiła swoje, konsekwentnie omijając mnie wzrokiem. Przemówiła dopiero, gdy sięgnąłem po bandaż.

– Może lepiej poczekać – mruknęła. – Filipiak...

– Przepraszam – rzuciłem oschle. Cofnęła rękę.

Założyłem opatrunek i nagle okazało się, że nie mam nic do roboty. Mogłem oczywiście zabić czas, wypytujac ją, czy nie próbowała przerobić paru z nas na pokarm dla robaków za pośrednictwem granatnika kaliber 40, ale ostatecznie wybrałem spirytus.

Ogień w gardle dogasał, kiedy brzeg siatki powędrował w górę.

– Zabandażował go pan? – Filipiak nie krył zaskoczenia.

– Za to mi płacą.

– Co pan robi z tą butelką? – zainteresował się kapelan.

– Zakręcam. Spirytus ma przykry zwyczaj: szybko paruje.

– No, ma jeszcze inne przykre właściwości. Na przykład...

– Major mówi, że Gielza ma jakiś napis na plecach – przerwał mu Filipiak, mało zainteresowany chemią. – Coś jakby list. Chyba do mnie.

Nie wiem, czy świadomie akurat wtedy spojrzał w kąt, gdzie wsparta o ściankę okopu stała Gabriela. Wiem, że ją to dotknęło.

– Pułkownik Sabah okazał wielkoduszność – skrzywiłem usta w cierpkim uśmiechu – i nie wpisał adresata. Tak że trudno powiedzieć.

– Pułkownik Sabah?

– Podpisu już sobie nie darował – wyjaśniłem.

– A treść? – zapytał Filipiak po chwili osvajania się z myślą, że to wszystko dzieje się naprawdę. – Co tam jest poza podpisem?

– 65 megahertzów. Cyframi i skrótem, trzeba przyznać. Dokładnie tyle rycia gwoździem w skórze, ile było konieczne. Nie sposób oskarżyć ich o okrucieństwo.

Przyglądał mi się przez chwilę z twarzą jak drewniana maska.

– A poza tym... – zawahał się – wykastrowali go? Posłałem Morawskiemu mało życzliwe spojrzenie. Wyglądało na to, że wszyscy już wiedzą.

Pomyliłem się.

Po raz pierwszy dane mi było zobaczyć kogoś, pod kim uginają się nogi z wrażenia. Dosłownie. Wystarczyły dwa słowa i Gabriela Asmare usiadła na piasku.

– Przeżyje? – zapytał Lesik.

– Raczej tak. Papła – rzuciłem mroczne spojrzenie pilotowi.

– Póki co, wiedzą tylko oficerowie – wzruszył ramionami. – A zresztą... Chłopcy nasłuchali się o Konwencji Genewskiej; diabli wiedzą, czy w krytycznej sytuacji nie przyjdzie któremuś do

głowy, że lepiej podnieść ręce, przekiblować parę miesięcy w niewoli, ale przeżyć. Chyba powinni wiedzieć, co ich tam może spotkać.

– Będą przerażeni – powiedziałem spokojnie.

– Już są – mruknął Filipiak.

*

U góry Agnieszka Wielogórska miała na sobie kamizelkę kuloodporną i hełm. U dołu kuse szorty, poniżej których był już tylko lakier na paznokciach zakurzonych stóp. Kiedy wszedłem do okopu, chichotała jak smarkula, a grzebiący w rozbebeszonym radiu Olszan robił sobie przerwę, by łaskotać ją pod piętą końcem śrubokręta. Nie wymagało to zachodu: trzymała nogi na jego udach.

– O... przepraszam. – Zaczynałem chyba odzyskiwać dobre maniery. Do tego stopnia, że omal się nie wycofałem z ich ocienionego samochodową plandeką dołka. – Nie chciałem...

– Niech się pan nie zachowuje jak ten smutas Lesik. – Olszan posłał mi błysk białych zębów. – Chwilowo nie grzeszymy Można wchodzić.

– Dzień dobry, panie Jacku. – W pierwszym odruchu chciała chyba usiąść bardziej przyzwoicie. Olszan położył jednak dłoń na jej łydce i to wystarczyło. Nogi zostały, gdzie były.

– Chciałem zapytać, co z łącznością – wyjaśniłem.

– Kiepsko – podrapał się śrubokrętem za uchem. – Albo im coś siadło w tym Imi, albo nam. No i dłubię. A Agnieszka mi pomaga. Duchowo.

– Widzę – posłałem burowłosej lekki uśmiech. Odwzajemniła się przyjaznym. Była trochę zakłopotana, ale wyraźnie przekroczyła jakąś barierę i spodobało jej się po drugiej stronie.

– Trwam na dziennikarskim posterunku – powiedziała. – Z serią drastycznych pytań pod adresem Zaręby.

– Załatw go – podchwycił Olszan. – Facet pomiata młodymi, zdolnymi pilotami lotnictwa cywilnego. Pod kapelusz drania.

– Przeceniasz moje możliwości.

– Wierzę w ciebie – przesunął palcem po jej kolanie. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Przemknęło mi przez myśl, że znają się krócej niż ja z Gabrielą. I że zaszedli w tym czasie naprawdę daleko.

Zazdrościłem im. Cokolwiek ich połączyło.

– Sześćdziesiąt pięć megahertzów. To UKF, prawda? Może pan wejść na tę częstotliwość?

Olszan uniósł lekko brwi, ale równocześnie przechylił się na krzeselku i postukał w klawiaturę drugiego, nietkniętego śrubokrętem bloku radiostacji.

– Spodziewamy się samolotu z Abeby? – ożywiła się Agnieszka. Nie zdążyłem

odpowiedzieć. Służący za tubę kask przemówił zniecka.

– ...na pomoc z zewnątrz – dokończył kwestię spokojny, męski głos, posługujący się zbyt poprawną angielszczyzną. Nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszeliśmy nieco toporny akcent Filipiaka.

– Nasze samoloty były tu wczoraj i przylecą dziś. Już są w drodze.

– Nie słuchał pan, poruczniku. Możecie liczyć tylko na siebie.

– Przekonamy się.

– Straci pan wszystkich ludzi, a ja wielu. Czy naprawdę warto?

– Wypełniam swoje obowiązki.

– Osłania pan morderczynię. I kradnie kobietę muzułmaninowi. Już teraz łamię uświęcone tradycje mego narodu, zniżając się do negocjacji. Mój honor wymaga waszej krwi. A jeśli chcę zyskać autentyczny szacunek, powinienem zażądać od swych ludzi wielu żywych jeńców. Wie pan, po co.

Filipiak nie od razu odpowiedział. Starał się, by każde z jego słów brzmiało twardo i stanowczo. Widocznie musiał ochłonąć.

– Na pana miejscu wyniosłbym się za granicę. Od wczoraj jest pan zbrodniarzem wojennym i...

– Od dzisiaj. – W niskim, bezsprzecznie bardzo męskim głosie Sabaha zabrzmiała iskierka rozbawienia. – Nie gustuję w zbędnym okrucieństwie. Po co mieliśmy pozbawiać tego chłopca męskości już w nocy, skoro plan zakładał, że przyjdziecie po niego rano? Przy okazji: przepraszam za tę strzelaninę. Kogoś poniosły nerwy. Nie polowałem na sanitariuszy. Nie strzelałem do własnego listu.

Zerknąłem na Agnieszkę. Trudno o prawdziwą błądź w piekarniku pod nazwą Ogaden, ale chyba była blisko.

– Nie robi się czegoś takiego bezkarnie Błękitnym Hełmom – powiedział Filipiak stłumionym od pasji głosem. – Może nie my, ale inni cię dopadną.

– Proponuję panu życie. Ma pan pół godziny do namysłu.

Coś stuknęło. Czekaliśmy chwilę, po czym Olszan wyłączył radio.

Agnieszka zrzuciła hełm, pozbyła się też kamizelki. Pod spodem miała przepony podkoszulek, klejący się do obfitych piersi. Tak jak Gabriela, nie nosiła stanika.

– Chodźmy – powiedziała cicho, trochę chrapliwym głosem.

– Obiecałaś nie zdejmować... – Olszan urwał, zaskoczony czymś, co znalazł w jej twarzy.

– Słyszałaś: mamy pół godziny. Chodź.

– Chcesz...? – Nie byli sami, ale chyba nie to go powstrzymało. Słowa nie zawsze są potrzebne.

Byłem tu zbędny; usłyszałem i zobaczyłem i tak zbyt wiele. Na przeprosiny było za późno,

ale coś jednak mogłem dla nich zrobić.

– Niech pan idzie – powiedziałem z powagą. – Kto wie: może to rzeczywiście ostatnia okazja?

*

W manierce pozostawionej mi przez Gabrielę chlupało jeszcze trochę wody, a przecież zmieściłem w niej prawie cały precyzyjnie odmierzony przydział. Nadwyżkę wypilem od razu: z braku Agnieszki dobre i to na pożegnanie z życiem.

– Dużo zostało? – zapytałem, oddając sierżantowi kubek.

– Obiad, prawie cały. – Wykreślił mnie z listy i schował zeszyt w raportówce. – Chyba że kogoś kropną. Wtedy może starczy na cały.

Pomyślałem, że się zapomina: jego pomocnik stał obok.

– Do obiadu daleko. Nawet jak nie skombinują dla nas śmigłowców i nie dowiozą posiłków, to pewnie coś zrzucą na spadochronach.

– Byle nie kwiaty. Na groby.

Za pierwszym razem mógł się zagalopować. Teraz zyskałem pewność, że z pełną premedytacją tryska złością.

– Zaraz przylecą myśliwce. Miejmy nadzieję, że nic się już nikomu nie stanie.

– Założy się pan?

Było gorąco, ale udaru ciepłego chwilowo nie doznałem. Skinąłem Ciołkoszowi głową i powlokłem się ku stercie worków, osłaniających główną kwaterę Filipiaka. Paru nieszczęśników pogłębiało schrony.

– Miałem po pana posłać – przywitał mnie siedzący na skrzynce amunicyjnej porucznik.

– Mówiłem o tym granatniku – wprowadził mnie w sprawy dosiadający innej skrzynki Morawski. – Zniknąłeś gdzieś, a Sabah dobija się o narzeczoną. Musimy szybko zdecydować, co z nią robimy.

– Na początek możecie zapytać ją o zdanie.

Spirytus trochę mi pomógł, ale nie wyleczył do końca. Nadal nie nadawałem się do prowadzenia przepojonych życzliwością rozmów.

– Wziął pan pod uwagę, że może się zgodzić?

– Słuchaj, stary, przecież ty jej w ogóle nie znasz – starał się łagodzić Morawski. – Ładna, ma klasę... Ale właśnie takim nie wolno ufać. Są zepsute powodzeniem i mają wielkie ambicje.

– Które realizują, dając dupy – dokończyłem. – Mądrze mówisz, tylko to się ma nijak do skrytobójczych mordów granatami. – Przeniosłem spojrzenie na Filipiaka. – Ta puszka Pawlikiewicza to nie jej robota. Co: wstała, poszła i próbowała mu ją wcisnąć? Byłby idiotą,

gdyby go to nie zastanowiło. No i poszedłby obudzić pana: wszyscy wiedzieli, że chce ją pan jak najszybciej przesłuchać.

– O czym wy mówicie? – zamrugał powiekami Morawski.

– To znaczy – ciągnąłem – że jeśli Asmare wypełnia jakąś tajną misję, nie jest jedyna. Pawlikiewicza poczęstował piwem ktoś inny. Czyli dwoje agentów. Nie uważa pan, że to trochę za dużo?

– Nie – zaskoczył mnie Filipiak. Przez chwilę sycił się moją niezbyt mądrą miną. – Gdybym był na miejscu kogoś, kto zamierza rzucać nam kłody pod nogi, przysłałbym tyłu swoich ludzi, ilu by się dało. Choćby i cały śmigłowiec.

– Co za piwo? – upomniał się Morawski.

– Logiczne – przyznałem niechętnie. – Ale z większą grupą pan sobie nie poradzi. Metodę eliminacji diabli biorą.

– I dlatego mam wierzyć w jednego? To chciejstwo, nie logika.

Miał rację.

– Co pan zamierza?

– Chyba niewiele mogę – przyznał. – Zresztą podejrzewam, że major źle zinterpretował to, co widział. Nie dlatego, że wierzę tej dziewczynie; po prostu wydaje mi się, że całą krecią robotę już wykonano. Niedługo przylecą francuskie myśliwce. Dostaniemy parasol powietrzny i wojna się skończy.

– Myśli pan, że ten skradziony UAZ załatwił sprawę? – zapytał Morawski. – Fajnie, tylko co z Sabahem? Pojawił się, kiedy po UAZ-ie mieliśmy tylko wspomnienia. I dalej próbuje szczęścia.

– Jest pan tego pewny? – uśmiechnął się bez radości Filipiak.

– Nie rozumiem... To ultimatum, półgodzinny termin...

– Zna pan przepis na udany odwrót? Trzeba wmówić przeciwnikowi, że się szykuje wielkie natarcie.

– Myśli pan, że to wszystko...? Giełza, pogróżki, żądania...?

– Zobaczymy. Ale gdybym miał ciężarówkę i oczekiwał pościgu na wozach bojowych, tak bym to właśnie rozegrał.

*

– Mam tego dość! – Jola wpadła na nas z impetem lokomotywy, w której zamiast pary buzuje czysta wściekłość. – Dłużej tego nie zniosę!

Zawsze miała problemy z dozowaniem perfum. Otulająca ją warstwa powietrza w każdej chwili mogła eksplodować – tyle ich tam było.

Morawski zawahał się, ale pozostał. Jako osoba postronna mógł pogapić się na jej łydki.

– O co chodzi? – zapytałem znużonym tonem.

– Ta brudna Murzynka zabrania mi ruszać wodę, wyobraża pan sobie?! Mi, pielęgniarce! Wielka uczona pani rolnik! Że takiej dyplom dali, ciekawe za co, bo chyba nie za głowę... Zastrane krowy maca, to jej się wydaje, że do chorego człowieka też wystarczy ręce strzepnąć. Samym smrodem rannych pozabija!

– Już dobrze, nie ma sensu się...

Tylko dorzuciłem do ognia.

– Ja nie mogę pracować z kimś takim! Normalnie się jej boję! Coś jej odbije, ciachnie mnie nożem, i co? Teściową mogła, to co dopiero obcego! W ogóle nie wiem, co ona tu jeszcze robi! A kopnąć ją w dupę i pognać do swoich!

– Porozmawiam z nią – obiecałem. – Ale co do wody...

– Tu nie ma co rozmawiać – przerwała mi. – Jak mam się zajmować rannymi, nie chcę jej widzieć na oczy. Niech w kuchni pomaga. Chociaż nie: jeszcze nas czymś pozaraża.

Mówiła ciszej, ale właśnie dlatego zdałem sobie sprawę, jak daleko niosły się jej słowa. Siedzący na stoku wprost nad nami operator groma słyszał wszystko, Grochulski większość, a Gabriela na tyle dużo, by dopowiedzieć sobie resztę. Widziałem kątem oka jej nieruchomą sylwetkę.

Obie czekały na moją decyzję. Czuję, że się nie wykpię.

– Francuzi lecą!

Okrzyk dobiegł z góry, ale to nie Bóg się zlitował, a Szyszkowski, celowniczy groma. Zadarł głowę, wpatrując się w coś, co nadlatywało z północnego zachodu.

– No, w końcu – uśmiechnąłem się z ulgą.

– Zabiorą nas? – zapytała z nadzieją Jola. Odchyliła wdzięcznie głowę i spod daszka z dłoni wypatrywała punkcików na niebie. Nie doczekała się odpowiedzi. Wolałem nie pozbawiać jej złudzeń, a Morawski cieszył oczy widokiem zgrabnej, uroczo przechylonej sylwetki.

Nie dziwiłem mu się. Trochę dziwiłem się sobie. Cokolwiek nie mówić o intelekcie i osobowości tej dziewczyny, ładna była bez dwóch zdań. Była też od dawna pod ręką i chyba nie brakowało jej chęci na coś więcej niż wspólne leczenie. A jednak niczego innego nigdy we dwoje nie zrobiliśmy.

Nadlatywały mirage, a wraz z nimi normalność. Krótki czas szaleństw i improwizacji dobiegał końca, wracała monotonia życia codziennego z jego przemyślanymi po stokroć decyzjami i poczuciem odpowiedzialności rozciągniętej na dziesięciolecia w przód. Pomyślałem o wszystkich rzeczach, których nie zrobiłem przez te kilkadziesiąt godzin, gdy było łatwo, i których tym bardziej nie zrobię teraz. W zasadzie powinienem być z siebie dumny. Ale nie byłem.

Szyszkowski sięgnął bez pośpiechu po leżącą obok wyrzutni lornetkę.

– Wywołaj porucznika – powiedział Morawski bez szczególnego nacisku. – Pewnie ich jeszcze nie widzi. Wysoko lecą.

Żołnierz odłożył lornetkę i podniósł radiostację. Głosu nie podniósł, więc nie zrozumiałem, co dokładnie powiedział.

– Może się boją przenośnych rakiet – podpowiedziałem Morawskiemu. – Z partyzantami nigdy nic nie wiadomo.

Nie skomentował. Stał i patrzył w niebo, mrużąc oczy.

– Możesz pożyczyć na chwilę tę lornetkę? – odezwał się w końcu.

Szyszkowski zszedł na dół, podał mu ją. Wyrzutnia i nadajnik zostały w wyścielonej kocem niszy, z której wylazł. Samoloty zakręcały, łagodnie schodząc w dół. Były na północ od nas. Urosły nieco, i tyle potrafiłem o nich powiedzieć. Nie byłem nawet pewien, czy to para, czy trójka: trzymały się zbyt blisko siebie.

– Ciekawe, czy coś nam zrzucą. Trochę leków albo nadajnik satelitarny bardzo by się...

– Ciekawsze niż myślisz – wycedził Morawski, nie odrywając szkielec od oczu. – Masz to radio, synku?

– Co się dzieje? – zapytałem zdziwiony.

– Nie jestem pewien. Ale to nie Francuzi.

Zerknąłem w stronę sanitarki. Powinienem był w niebo. Gabriela, jak wszyscy, których było widać, stała z zadartą głową i patrzyła na samoloty. Któryś z niewidocznych dowódców drużyn zdecydował się sięgnąć po służbowy gwizdek. Nie znałem sygnałów, ale to chyba było coś w rodzaju: „Uwaga!”, bo nic się nie zmieniło i nikt nie zaczynał rozglądać się za najbliższym okopem. Inna sprawa, że nauczyliśmy się już nie odchodzić od nich dalej niż na kilka kroków.

– Jak to: nie Francuzi? – W głosie Joli zabrzmiała pretensja.

– Oni nie latają na migach. A to są chyba stare migi. Piętnastki albo siedemnastki. Albo shenyangi, jeden pies. Szyszkowski! – uniósł nieco głos, choć i poprzednią kwestię wypowiedział dostatecznie głośno, by żołnierz ruszył w górę stoku, ku leżącej na kocu wyrzutni. – Powtórz to dowódcy. To mogą być etiopskie maszyny, ale nie muszą.

– A niby kto by to miał być? – rzuciłem niepewnie. Normalność i rutyna nagle zaczęły mi się dużo bardziej podobać. – Po prostu Zaręba dogadał się szybciej z rządowym lotnictwem.

Samoloty nadal skręcały, łącząc to z powolnym obniżaniem pułapu. Ocenilem, że nadlecą nad wąwóz od wschodu i że – o ile nic się nie zmieni – nadal będą wysoko.

Miałem rację, choć nie do końca. Wyglądało na to, że myśliwce nie zmieściły się w zakręcie. Wyniosło je poza oś wąwozu, na południe; znikły oślepienym oczom obserwatorów w słonecznej plamie.

– Coś chyba rzucają. – Dzięki lornetce Morawski oglądał tylko wąski wycinek nieba i mógł

sięgnąć bezkarnie wzrokiem dużo bliżej słonecznej tarczy. Ale najwyraźniej nie na tyle blisko, by dorobić się pewności.

– Zrzut? – zapytałem z niedowierzaniem. – Z takiej odległości?

Myśliwiec mógł od biedy wyręczyć samolot transportowy w dostawie niewielkiego ładunku, mieszczącego się w zasobniku o gabarytach bomby. Ale nawet powolne transportowce z odpowiednim wyposażeniem i przeszkoloną załogą nie ryzykują zrzucania ładunków z daleka i wysoka: za duże ryzyko, że wiatr i drobne błędy wyniosą spadochrony daleko poza wytyczony obszar. Co prawda mieliśmy tu nietypowe warunki – czyli linię frontu tuż pod nosem – ale właśnie dlatego piloci powinni maksymalnie się postarać.

Z drugiej strony: mogli nie wiedzieć, że kilkaset metrów od nas czają się po krzakach ogadeńscy rebelianci. Radio kaprysiło i nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak dalece niedoinformowana jest Addis Abeba.

Z trzeciej strony: etiopscy piloci mogli doskonale wiedzieć o Sabahu i właśnie dlatego ryzykowali przeznaczonym dla nas ładunkiem, zamiast ryzykować życiem.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nikt nie wiedział. Chyba nawet Morawski. Kiedy rzucał lornetkę i sięgał do kabury, w jego twarzy niepewności było chyba więcej niż strachu.

– Kryć się!!! – Wrzasnął zdrowo i chyba nawet bez wspomaganie krzyku wystrzałem w powietrze zwróciłby uwagę wielu osób. Ale strzelił, i to trzy razy. – Do schronów!!!

Z tej odległości, nawet przez szkła, nie mógł odróżnić bomb od zasobników z zaopatrzeniem. Biegając, usłyszałem jego: „Jeszcze nie!” i bez oglądania się za siebie wiedziałem, że to odpowiedź na nieme, wyrażone spojrzeniem pytanie Szyszkowskiego.

Dopałem sanitarki, zanurkowałem pod siatkę, na czworakach pokonałem kawałek nietkniętej łopatą ziemi między kołami honkera a brzegiem okopu. Nie byłem pewien, ile czasu mi zostało, więc nie bawiąc się w wyjaśnienia, runąłem z góry na odwracającą się Gabriłę. Zwaliliśmy się między nosze; cała finezja mojego manewru sprowadzała się do tego, że nie grzmotnąłem dziewczyną o żadnego z rannych.

Zabolało jak cholera: zdążyłem ją objąć i to moje łokcie oraz kolana pierwsze zderzyły się z ziemią. Niczego sobie chyba nie złamałem, jednak z mocnym akcentem na „chyba”.

– Pojechało cię?! – Wrzasnęłyby jeszcze głośniej, gdyby twarde lądowanie nie wycisnęło jej z płuc większości powietrza.

– Zaraz spadną bomby! Usta szeroko, zakryć uszy!

Leżała pode mną, wgniatała w ziemię moje obolałe i odrętwiałe łokcie. Miałem tuż przed nosem jej skrzywioną twarz, widziałem dokładnie miejsca, w których pojawiają się zmarszczki. Może zresztą już tam były – kwestia definicji. Tak czy inaczej znalazłem się za blisko. Zbyt intensywnie czułem pod sobą ciepło i miękkość, zbyt wyraźny był zapach jej potu. Coś się we mnie zablokowało, mięśnie i rozsądek odmówiły posłuszeństwa. Niewiele można zrobić, leżąc

w okopie i czekając na bomby, ale w tym minimum mieściło się i zlecenie z Gabrieli, i zastosowanie się do własnych rozkazów: naszym bębenkom mogło to tylko wyjść na dobre.

Nie zrobiłem nic. Kręciło mi się w głowie na myśl, że mogłoby być tak naprawdę, że mógłbym na niej leżeć, przyglądać się jej spoconej twarzy, oddychać jej zapachem. Noc po nocy, poranek po poranku, popołudniami, w środku dnia – zawsze, gdy tylko zechcę. Pod siatką panował półmrok i mogłem wyobrażać sobie, że ten dziwny, zbolaty grymas, zastygły w trochę zbyt wyrazistych rysach jej twarzy, to resztki słodkiego bólu, jaki jej dałem, wspomnienie rozkoszy, które rozlało się po czekoladowym ciele od kędzierzawych włosów poczynając, a na palcach szczupłych stóp kończąc.

Leżałem na niej, a ona nie zrobiła nic, by to zmienić. Patrzyła na mnie, ale żadną miarą nie dało się tego podciągnąć pod pomoc w odzyskiwaniu rozsądku.

Otrzeźwił mnie wybuch pierwszej bomby. Uniosłem się na łokciach. Starłem się nie dotykać Gabrieli, ale w ciasnocie okopu było do dość beznadziejne i kiedy siadaliśmy, nasze nogi, ręce i barki zderzały się miękko ze sobą.

– Gdzieś blisko – powiedziała chrapliwym głosem. – Może... może to niewypał?

Nie było to zbyt mądre pytanie, bo bomba mimo wszystko wybuchła. Ale najwyraźniej nie ja jeden wyczułem, że coś tu nie gra. Coś, co przyrznęło w ziemię z impetem rozpędzonej ciężarówki, nie powinno w chwilę później pyknąć tak anemicznie, niewiele głośniejsze od granatu.

Siedziałem skulony, wyczekując z lękiem jakiegoś nieszczęścia. I doczekałem się.

– Samochód się pali! – Szerokie nozdrza dziewczyny wychwyciły swąd sekundę wcześniej. Zerwała się na nogi. Zdążyłem ją złapać.

– Zostaw! To nie pożar! Zrzucili dymne!

Jeszcze przez chwilę patrzyła na samochód, wypatrując płomieni i gaśnicy. Na zewnątrz rozszczękało się działko przeciwlotnicze. Prawie zapomniałem, że mamy coś takiego: Bodnar i większa część obsługi od dawna służyli w piechocie.

Do okopu wlewał się brudnoszary opar. Szybko i w zastraszających ilościach. Poczułem, że plecy nad brzegiem szortów są mokre od potu. Tak jak moje. I chyba też był to bardzo świeży pot.

– Biegnij do beerdeema. – Powoli znikła za kłębam dymu. – Szybko, póki coś widać.

– A ty?

– Dam sobie radę. Mam maskę – dodałem szybko, widząc, że otwiera usta. – Ty nie masz. Tylko byś przeszkadzała.

– A ranni?

– Też mają. – Pchnąłem ją w cuchnący, gryzący oczy i gardło półmrok przy wyjściu. – Zjeżdżaj, ale już!

Nad wąwozem zagwizdał moździerzowy granat. Jeszcze za długi, ale następne pewnie trafią.

– Tu nie ma masek! – Wyszarpnęła mi się. – Puszczaj, do cholery!

Puściłem i na poły po omacku odnalazłem drzwi honkera. Wewnątrz było jeszcze gorzej, ale tłułem się tym blaszanym pudłem dostatecznie długo, by bez pomocy wzroku odnaleźć, co trzeba. Torba z maską Andrusiaka oczywiście tkwiła pod fotelem – już nawet Bush junior nie wierzył w muzułmańskich bojowników atakujących kogoś gazem.

Ze swoją maską męczyłem się dłużej: leżała na samym dnie plecaka. Nim jej dopadłem, bomba zrobiła swoje i przestałem cokolwiek widzieć. Na szczęście staroświeckie migi wyposażono w przyzwoite, ekologiczne i godne XXI wieku bomby i dym ani nie dusił ponad miarę, ani nie wyciskał wodospadu łez.

Brnąc na czworakach w stronę okopu, zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby się stąd wynieść. Mieliśmy pecha: bomba spadła gdzieś tuż za sanitarką, a słaby wiatr omijał wąż górną. Stężenie dymu będzie tu największe, i to cholernie długo. Na razie nie miałem problemów z oddychaniem, ale za kilka, może kilkanaście minut...

– Masz? – Usłyszała mnie, bo raczej nie zobaczyła.

– Dwie. Wiesz, jak się z tym obchodzić?

– Jak?

Wyciągnąłem maskę, odsłoniłem wlot powietrza, przycisnąłem do wyłaniającej się z szarości twarzy.

– Po prostu oddychaj. Raz ty, raz Świergocki. To nie gaz, nic wam nie będzie. I zaciskaj powieki. – Sam już teraz zaciskałem.

– Nie boję się – powiedziała nieoczekiwanie. I już zupełnie innym, rzeczowym tonem, dodała: – Uważaj, Gielza się obudził.

No tak: nieszczęścia chadzą parami.

Póki co, nie było jednak najgorzej. Znaleźliśmy się oboje w okopie, nim moździerzyci poprawili nastawę i nad punktem opatrunkowym zawył pierwszy odłamek. Nikogo też nie przydeptaliśmy: Gielza leżał spokojnie na noszach, pokastywał i grzecznie przyjął ode mnie najpierw krótki instruktaż, a potem parę łyków powietrza z maski.

Wymienialiśmy się co pół minuty – względnie pięć wystrzałów. Moździerz nie bił rekordów szybkości ognia. Granaty padały na południe od wążu, w coraz to innych miejscach, próbując zapewne zmusić do milczenia parę PKM-ów, wypluwających w zgodnym duecie taśmę za taśmą.

Niedobrze. Dużo strzałów oznacza zwykle strzały na oślep. Między nami a gromadą mężczyzn, którzy biegli tu pewnie, by zabijać, kuliło się w płytkich dołach kilkunastu wystraszonych dwudziestolatków. Dym oślepił ich, a dziesiątki metrów dzielących poszczególne stanowiska w połączeniu z hukami i deszczem żelaza uczyniły samotnymi.

Nie byłem pewny, czy wytrzymają. Osamotnienie rodzi panikę, łamie wiarę w sens stawiania oporu. Ale nawet jeśli żaden nie porzuci stanowiska, zło się dokonało. Żołnierz, który sieje

dookoła nerwowymi seriami, chcąc już tylko drogo sprzedać życie, jest dużo mniej efektywny od walczącego w zespole.

Wdychając śmierdzące gumą powietrze, zastanawiałem się, do jakiego stopnia jest źle. Dłoń sama odnalazła ramię Gabrieli, zsunęła się po nim i splotła z palcami jej dłoni. Były mokre, ciepłe, sztywne przez chwilę. Potem odwzajemniły uścisk, a mnie znów zakręciło się w głowie.

Przez tych parę sekund była moją własnością. Nie dlatego, że jej pragnąłem – po prostu chciała tego. Ona sama.

Gdzieś niedaleko zawarczał silnik. Czar przysł. Byliśmy parą przestraszonych ludzi, dotkniętych wspólnym zagrożeniem.

– ...okopów! – Łącznik musiał pędzić wzdłuż krawędzi wąwozu. – Strzelać do wszystkich na zewnątrz! Nie wychylać się z okopów!

Ochryplą głos roztopił się w melodii wystrzałów równie nagle, jak się zjawił. Starłem się myśleć, że to zasługa młodych nóg, adrenaliny i szczęścia, że odległość, a nie pocisk wymazała krzyk z jazgotu bitwy.

Bo powoli robiła się z tego bitwa. Nie nalot, ostrzał i profilaktyczna strzelanina z kaemów, ale prawdziwa bitwa z udziałem wielu ludzi i wielu różnych luf.

Do PKM-ów dołączyły beryle, bijące trzystrzałowymi seriami, i dużo liczniejsza, chyba mocno urozmaicona broń atakujących. I granaty.

Wiele granatów. Rzucali nimi. Musieli być blisko.

– Daj mi ten karabin. – Nie miałem pojęcia, gdzie go trzyma.

– Masz pistolet – powiedziała cicho.

– Jezu, tylko nie mów, że go zgubiłaś!

– Masz pistolet – powtórzyła. Łyknęła powietrza z maski, chyba oddała ją Świergockiemu i dokończyła: – Oslaniaj tamtą stronę i północny stok, ja biorę resztę. I nie zastrzel mnie.

Nie zrozumiałem tego ostatniego, nawet gdy wyskoczyła z okopu i znikła w dymie. Rozjaśniło mi się w głowie dopiero po kilkunastu sekundach, mniej więcej wtedy, gdy rozjaśniło się przed oczami.

Krążyła wokół okopu, wrywała z ziemi kołki, cięła linki i manewrowała oswobodzoną siatką tak, by nie zakopać nas pod nią. Nie dała rady usunąć nawet połowy odpowiedników śledzi namiotowych, ale zaimponowała mi. Kiedy pierwszy łomocący buciorami cień przebiegł obok honkera, widziałem prawie całe otoczenie, mając zarazem nad głową trzy czwarte pierwotnego zadaszania. Ze ślepeca stałem się krótkowidzem.

– Wystarczy!

Mój okrzyk też wystarczył: posłusznie zeskoczyła do okopu. Szybka, mądra, opanowana dziewczyna, która mimo załzawionych oczu i widma śmierci nad głową nie wylądowała na żadnym z rannych.

Inna sprawa, że wolałem nie ryzykować i złapałem ją w ramiona. Dostałem w nagrodę Berylem po szczęście – okazało się, że cały czas miała go przy sobie – ale warto było. Przez bluzę czułem, jak wali jej serce.

Miało prawo się wystraszyć.

Następny przebiegający obok punktu opatrunkowego żołnierz wypatrzył w dymie jej sylwetkę i wygarnął z automatu.

Spóźnił się, a ponieważ miał problemy z prostowaniem palca, seria była za długa i niemal cała poszła górą. Tylko dwie kule pacnęły w przedpiersie. W sumie był to podręcznikowy obraz paniki na polu bitwy, choć padając na kolana i pociągając za sobą dziewczynę, wcale nie miałem w tej kwestii pewności i wszystko skuliło się we mnie z obawy, że w ślad za pociskami nadleci granat.

– Nie strzelaj! – Połączyłem krzyk z chwytem za kaburę, bo równie dobrze jak granat mógł się nam zwalić na karki ten półprzytomny nerwus z ziejącym ogniem peemem.

Nie zjawił się: pognał dalej. Ale zostałem usłyszany.

– Na transportery! – zawołał jakiś inny żołnierz, zjeżdżający ze stoku wraz z lawiną piachu i kamieni. – Zrywamy się stąd!

Oddalił się, nim oprzytomniałem. Zresztą i tak nie usłyszałby mego pytania: BRDM zawył właśnie wściekle w rozpaczliwej próbie sforsowania któregoś ze zboczy. Najpierw oczami wyobraźni, potem już chyba tymi właściwymi – choć nie na pewno – widziałem kanciaste pudło samochodu pancernego, gramolące się w górę i raz po raz spychane grawitacją na dno wąwozu. W końcu kierowcy udało się niezła sztuka: zdławił silnik firmy Mercedes. Uruchomił go co prawda dość szybko, ale zdążyłem usłyszeć walenie żelazem o blachę i rozpaczliwy krzyk:

– Otwieraj, kurwa! Otwieraj właz!

Silnik ryknął, zagłuszając łomot kolby o pancierz. Nie zagłuszył wystrzału z granatnika. Pocisk rozminął się wprawdzie z beerdeemem i wybuchł na skarpie za samochodem, ale wystrzelono go z daleka. Resztek złudzeń pozbawiła mnie seria iskier, przecinających pancierz.

Poderwałem pistolet i posłałem trzy kule w mrugający ogień. Przejaśniało się i nurkując za przedpiersie wyłowilem z szarego tła zarysy głów i ramion.

Nie wiem, czy trafiłem. Na pewno nie tego z karabinem. Już po paru sekundach zaczął mieć pociskami okolice okopu. Kuliłem się przez chwilę o pół metra niżej, nim dotarło do mnie, że Somalijczyk nie zorientował się jeszcze dokładnie, skąd strzelano. Uniosłem się. Akurat zniknął.

– Nie utrzymamy się tu. Jak zaczną rzucać granaty...

Nie dokończyłem. Karabin Gabrieli prychnął trzystrzałową serią i gdzieś z lewej, praktycznie już poza granicą widoczności, coś ciemnego zwaliło się na ziemię.

Jakoś nie pomyślałem, że może się do czegoś przydać w walce. Miała karabin, ale raczej do zabijania własnego strachu. Nie odebrałem go jej dotąd, bo w ciasnocie okopu i walce na krótki

dystans pistolet był chyba trochę lepszy.

– Chcesz się wycofać? – Wzięła przykład ze mnie i nie krzyczała, choć chwilami aż się prosiło. Jej głos brzmiał zdumiewająco normalnie jak na trzydziestoletnią absolwentkę polskiej akademii rolniczej, która właśnie zastrzeliła człowieka. Nawet dobór słów był niezwykle: normalna polska dziewczyna mówiłaby raczej o ucieczce. Niezależnie od tego, jaki kolor miałyby jej oczy, włosy i skóra.

– Chyba lepiej nie.

Od razu skreśliłem to „chyba”. Najpierw lżejszy z karabinów BRDM-a, a potem zenitówka wypełniły rynną wężozu taką ilością szaleńczo rozpędzonej stali, że samo wychylenie głowy ponad przedpiersie zaczęło zakrawać na samobójstwo.

Pchnąłem dziewczynę na dno okopu. Ukucnęła, ale od razu wycelowała w prześwit między dachem z siatki a krawędzią wężozu. To właśnie tę krawędź obrabiała zenitówka, ale nic nie trwa wiecznie. Już po kilkudziesięciu sekundach zabrakło albo naboju w zasobnikach, albo – co bardziej prawdopodobne – celowniczego. Działo ZU-23 nie było idealną bronią do walki na krótkie dystanse: chcąc strzelać, trzeba było zasiąść w fotelu, wystawiając na ogień przeciwnika górną połowę ciała.

Próbowałem dostrzec, co się dzieje z bewupem Bielskiego, ale tak daleko mój wzrok nie sięgał. W każdym razie wóz był na chodzie, porykiwał silnikiem i od czasu do czasu strzelał z armaty. Z karabinu maszynowego pewnie więcej, ale karabinowe wystrzały trudno było wyłowić z tła.

Somalijczycy odgryzali się granatami. Głównie odłamkowymi, ale od czasu do czasu wężozem wstrząsała dużo głośniejsza eksplozja. Ręczne granaty przeciwpancerne. Ich czas minął jakieś pół wieku temu, ale w miejscach, gdzie piechur potrafi zbliżyć się na dwadzieścia metrów do czołgu, nadal mogły uchodzić za skuteczną broń. Załogę bewupa ratował dym i gęsta strzelanina na górze: niedoszli zabójcy stalowej bestii nie bardzo ją widzieli i nie bardzo mogli się zamachnąć, nie ryzykując odstrzelenia głowy. BRDM, przynajmniej póki zmagął się ze stromizną północnego stoku, był trochę za daleko jak na rzut półtorakilogramowym żelastwem.

Granatników na razie nikt chyba nie użył.

– Jak myślisz: co tam się dzieje? – Zadając to pytanie, Gabriela nawet nie musnęła mnie wzrokiem. Jej głowa obracała się z regularnością wahadła, oczy szukały celu. Nie wierzyłem, by trafiła w głowę, którą w końcu wypatrzy. Raz jej się udało, ale cel był znacznie większy.

– Przebili się w środku. Skrzydła chyba nadal mamy.

Nie zapytała, skąd wiem. Na zachodzie raz i drugi zadudniła armata czołgu, na wschodzie pohukiwało lżejsze, ale też hałaśliwe działo BWP-1 drużyny Hanusika.

– Tam też strzelają – skinęła głową do tyłu.

– Zgadza się. Zaatakowali z obu stron.

Giełza usiadł na noszach, złapał mnie za pas.

– Dajcie mi karabin. – Mówił cicho, ale to akurat nie musiało przemawiać na jego niekorzyść. My też staraliśmy się nie hałasować.

Zawahałem się. Uczyli go strzelać. Gabriela pewnie nie potrafiłaby wymienić magazynka. Ale Gabriela, prosząc o broń, pewnie spojrzałaby mi w oczy. W tym dymie niewiele to kosztowało. On nie patrzył.

– Leż i nie przeszkadzaj – warknąłem. Ostro. Wychwyciłem zdziwione spojrzenie dziewczyny. Giełza opadł na nosze. A nad okopem przemknął długi jęzor raketowego ognia.

Pocisk przeleciał z prawej w lewą, wysoko. Nie do nas strzelano i tylko dlatego przeżyliśmy: mimo chaosu przemielonej wybuchami ziemi, dymu i płonących traw od razu wypatrzyłem popiersie strzelca. Był blisko. Tak blisko, że gdy w chwilę później armata kalibru 73 mm wzięła na nim odwet i mężczyzna rozleciał się na kawałki, oboje z Gabrielą zgodnie rzuciliśmy się na ziemię, spłoszeni hukiem, podmuchem rozżarzonych gazów i gradem odłamków, szarpiących przedpiersie.

BWP ocalał. Wywinął się także kolejnemu pociskowi, tym razem wystrzelonemu z nasadki na karabinową lufę, po czym dał za wygraną i zaczął się cofać na wschód.

Decyzja była słuszna, tyle że zostawaliśmy sami.

– Uważaj – dotknąłem ramienia dziewczyny, bardziej po to, by dotknąć, niż żeby uważała. – Teraz pewnie spróbują zejść i rozciąć nas ostatecznie na pół.

Cholera, źle zabrzmiało. W przypadku tych facetów słowo „nas” mogło faktycznie oznaczać naszą czwórkę, a nie strefę obrony. W Etiopii raczej nie zabijało się żołnierzy ONZ, ale poza tym zabijało się dużo, chętnie i możliwie spektakularnie.

– Jest jakaś broń w sanitarce? – Świergocki uniósł się na łokciach. – Stąd widać tamten stok. Mógłbym...

Urwał, widząc, jak kręcę głową.

– Spokojnie – powiedziałem. – Trochę nas zaskoczyli, ale chłopcy siedzą tam na górze w solidnych okopach i cały czas strzelają. Założę się, że wykosili już połowę czar... – zająknąłem się, ale za wiele śmierci było wokół nas, by rozczulać się nad wpadką. – Będzie dobrze.

Ludzie mają zaufanie do lekarzy. Może nawet przekonałem tych dwóch. Kłopot w tym, że było nas w okopie czworo.

– Nie chcę wpaść żywa w ich ręce. Jak oberwę i zrobi się beznadziejnie, to strzelcie mi w głowę, dobrze? Boję się bólu, a oni lubią torturować.

Gdyby nie powiedziała tego z lodowatym spokojem, zaznałaby trochę bólu już teraz: miałem ochotę wymierzyć jej siarczasty policzek.

– Masz jak w banku – warknąłem. – Jak się nie zamkniesz, to choćby zaraz.

– Trzymam za słowo.

Nie czekała długo: już po kilkunastu sekundach uniosłem zaciskany oburącz pistolet. Nacisnąłem spust, gdy znikła za bryłą dłoni.

Wist kopnął, kula przemknęła nad czołem Gabrieli, minęła oddaloną o trzydzieści metrów północną krawędź wąwozu i zakończyła lot, wbijając się w brązową twarz, zwieńczoną strzechą kudłatych włosów.

Któryś z towarzyszy Somalijczyka musiał znaleźć się dostatecznie blisko, by dostrzec, co mu się przytrafiło. Na prawo od okopu wylądował granat.

Efekt okazał się mizerny. Nasza dziura znajdowała się na dnie innej i dopóki tamci rzucali z góry, mogliśmy strzelać do nich, nie zaprzatając sobie głów choćby najgęściej padającymi granatami – oczywiście o ile nie wpadały prosto do okopu. Ponieważ nie ma nic za darmo, okop dawał mniejszą, niż to wynikało z jego głębokości, ochronę przed ogniem karabinowym. Na szczęście atakujący z północy partyzanci nie od razu się w tym połapali i przez parę następnych minut ograniczali się do zarzucania wąwozu granatami. Było ich wielu albo przytaszczyli mocno wypchane torby, bo doliczyłem się piętnastu bliskich eksplozji, nim kolejna głowa pojawiła się w polu widzenia.

Tym razem chybiłem: Somalijczyk podpełzł do krawędzi daleko z boku i wypatrzył okop, nim dobrze wycelowałem.

Znikł. Czekaliśmy. Doczekaliśmy się dwóch granatów, przy czym ten drugi był bliski załatwieniu sprawy: gdyby przedpiersie było niższe o jeden worek, wtoczyłby się do okopu.

Przypadłem instynktownie do ziemi, a kiedy się uniosłem na tyle, by widzieć wyznaczony krawędzią wąwozu horyzont, zrobiło się niemal za późno. Trzy bure sylwetki mały błyskawicznie, zbiegając po stoku i znikając za workami przedpiersia. Czwarta, spóźniona, bryznęła mgiełką soczystej czerwieni z przestrzelonej klatki piersiowej. Napastnicy przebili się przez linię obrony, ale ta linia wciąż istniała.

– Uwaga! – wrzasnąłem, zrywając się na równe nogi. Prawie udało mi się dogonić ostatni z trzech pocisków, które Gabriela posłała gdzieś za moje plecy. Poderwała się z ziemi niemal równocześnie ze mną, odbiła w lewo, widząc, że rzucam się na ściankę z prawej, i trzema szybkimi seriami oczyściła południowe zbocze.

Nie widziałem, do czego strzela. Nie bardzo widziałem nawet ludzi, do których sam strzelałem, choć do najbliższego miałem piętnaście, a do najdalszego trzydzieści metrów. Środkowy, posługujący się cudacznym angielskim automatem ze sterzącym w bok magazynkiem, przejechał kulami po przedpiersiu i udało mu się wywołać małą burzę piaskową.

Wywaliłem pół magazynka, nim bliższa z rozmytych sylwetek runęła na wznak, a ten cholernik ze staniem, czy cokolwiek to było, na brzuch. Przy czym wcale nie przestał strzelać, nawet gdy chowając głowę, na oślep, opróżniłem wista z ostatnich naboju i sięgnąłem po nowe.

– Gapa!!!

Znów tkwiliśmy przy przeciwległych ściankach wykopu i znów musiała posyłać kule tuż obok lub tuż nad moją głową – to drugie, gdy przysiadłem z wrażenia. Oberwałem po twarzy żarem płomienia wylotowego.

– Kurwa – zakłęła dziwnie cicho i wstrzemięźliwie.

– Co?

– Schował się za sanitarkę. Nie mogę strzelać.

– Co?! – Tym razem podniosłem głos, może trochę dlatego, że klęcząc między jej udami a ścianą, jakoś nie potrafiłem przeładować pistoletu.

– Rozwałę wóz! – W końcu coś pękło i w niej.

– Pierdołę wóz! Załatw go, ale już!

Nacisnęła spust, dwa razy. Honker stał blisko, przesłaniał sobą ogromną część przedpola i wbrew pozorom nie był tylko zbiorem cienkich arkuszy blachy, którą pocisk karabinowy przebija jak papier. Podwozie i układ napędowy miał solidne, a człowiek, którego musieliśmy zabić, trzymał się blisko ziemi i właśnie te elementy go osłaniały. Plus worki z piaskiem, którymi obłożono koła i niektóre newralgiczne miejsca.

– Nic z tego – przysiadła, gdy przedpiersie zagotowało się od bijących w nie kul. Chyba nie zrozumiała, co się stało. Ja tak: facet z angielskim peemem. Omal jej nie zabiłem.

– Osłaniaj od strony wozu! – Wbiłem wreszcie magazynek w gniazdo, przeskoczyłem w najdalszy kąt okopu. Obaj ranni stanęli na szczęście na wysokości zadania i kulili się pod ścianami, unikając naszych nóg.

Udało mi się zmylić człowieka ze stnem. Efekt był taki, że zaczęliśmy strzelać równocześnie. Widział pół mojej głowy i miał szybkostrzelny automat, ja widziałem popiersie i strzelałem wolniej. Szanse były wyrównane.

Los uśmiechnął się do mnie. Trzeci czy czwarty pocisk ugodził brodatego mężczyznę w przedramię i choć automat jazgotał do końca, bezsensownie ryjąc piach, następne cztery strzały były już bliższe egzekucji niż walce. Powinny mi wystarczyć dwa, ale człowiekowi walczącemu o życie szybkim zginaniem palca trudno nagle przestać.

Przed zmarnowaniem następnych naboji powstrzymało mnie warknięcie nad uchem. Ruch za bryłą sanitarki. Numer trzeci.

– Uważaj na boki! – rzuciłem Gabrieli w twarz. – Tego ja biorę!

Miała dość rozsądku, by nie dyskutować.

Przez następne trzy minuty opróżniłem magazynek, wychylając się to tu, to tam i próbując trafić kawałek ludzkiej głowy odległy o czterdzieści kroków. Za każdym razem witała lub żegnała mnie kula, ale jakiś efekt osiągnąłem: udało mi się zablokować go w miejscu, skąd nie dorzuciłby do nas granatem.

Gabriela nie próbowała mi pomagać. Starła się zabić kogoś, kto z kolei próbował wystawić

głowę z kępy porastających brzeg wąwozu traw i utrzymać ją w tym miejscu na tyle długo, by zgrać muszkę ze szczerbinką i twarzą dziewczyny. Albo moim karkiem.

Obojgu nie szło. Do wąwozu dotarła nowa dostawa dymu, widoczność spadała. Jakiś czas temu odnotowałem serię czterech wybuchów gdzieś w oddali. Przyjąłem, że nie mają znaczenia. Okazało się, że jednak mają.

Nie chodziło o to, że dotarły do nas rozrzedzone przebytą drogą zagony dymu. Problemem polegał na tym, że gdzieś dalej ważące po kilkadziesiąt kilogramów ładunki masy dymotwórczej pokryły szczelną zasłoną parę hektarów sawanny i oślepiły żołnierzy Filipiaka. Piloci migów nie poczęstowali nas tą drugą salwą bez powodu: nie ulegało wątpliwości, że Sabah rzuca do ataku następną falę piechoty.

– Transporter wraca! – Gabriela ostrzeliwała wschodnią część wąwozu i to ona dostrzegła pędzącego kolosa.

– Spróbujemy go osłonić. – Wymieniłem magazynek. – Chyba będą próbowali wyjechać na górę tym zjazdem za radiostacją.

Nie zapytała, dlaczego para słabeuszy ma bronić żelaznego smoka. Zachowała się jak rasowy piechur: wyprostowała ugięte kolana i zaczęła strzelać. Ja też strzelałem. Bez przerwy jazgotał karabin maszynowy bewupa, a z otwartych włazów nad przedziałem desantowym pluły ogniem ze trzy automaty.

Kosztowało mnie to jeden, a dziewczynę półtora magazynka, ale wóz przebił się. Nie wiem, czy kogoś trafiliśmy. Wszystko rozgrywało się w szalonym tempie, pół tuzina granatów różnego autoramentu i jedna rakiet przeciwczołgowa zderzyły się z dnem wąwozu, wyrzucając w górę kilogramy kurzu, a ludzie Sabaha nie pchali się wcale do muzułmańskiego rajy i chowali głowy, gdy obok gwizdały kule. Kłopot w tym, że było ich zbyt wielu w zbyt wielu miejscach.

A jednak bewup przejechał. Pod warkoczem zbyt wysoko wystrzelonej rakiety, przez ognistą kulę jakiegoś ciężkiego granatu, pękającego pod brzuchem, sypiąc iskrami rykoszetów i mrowiem łusek, ryczący, ogromny, wściekły jak osaczony mamut – zbyt wielki i szybki, by ciosy łowców poradziły sobie z jego żywotnością.

Widziałem, jak rozjeżdża faceta, który do mnie strzelał i którego tak długo nie potrafiłem uciszyć. Somalijczyk zerwał się, dostał po plecach klinem pancerza, runął pod gąsienicę – i koniec.

Zza sztucznego pagórka z worków i siatki, kryjących cysterne, zamigotał błydy ognik spalanego prochu. Wracał BRDM. Osiemdziesiąt metrów od nas skręcił, zaatakował stromiznę stoku.

BWP zmagął się z grawitacją i sypkim podłożem tuż obok, jakby chcąc natchnąć otuchą mniejszego i słabszego kolegę. Obie wieże obracały się, ziejąc nieustannie ogniem, od obu odskoczyły kreseczki granatów dymnych, wybuchające trzydzieści metrów od wyrzutni. Trudno

powiedzieć, co przesądziło. Tak czy inaczej oba wozy wygramoliły się na północny brzeg.

Właśnie wtedy przypomniałem sobie, że na dole jest trochę więcej okopów, nie tylko ten nasz. Były dobrze zamaskowane, przeważnie puste, no i nie strzelano z nich. Chyba. Teraz przejaśniło się nieco i dostrzegłem wychylające się zza piaskowego nasypu głowy w hełmach.

Pierwszego mężczyzny nie rozpoznałem: pobiegł w poprzek wąwozu zbyt szybko. Drugim był Lesik.

– Przedostatni – dobiegł zza pleców głos Gabrieli, poprzedzony szczęknięciem zmienianego magazynka. – Co oni: uciekają?

Jakimś cudem słyszałem ją wyraźnie. No tak: żadnych granatów, a oba wozy odjeżdżały szybko w głąb sawanny.

– Z dystansu więcej zwojują – powiedziałem szybko. Patrzyłem na towarzysza Lesika, który zaległ właśnie u podnóża stoku i machaniem ręki zachęcał kapelana do skoku.

Lesik nie mógł się zdecydować. Mijały sekundy. Ten z przodu uniósł się na łokciu, krzyknął coś, pokazał ręką do góry. Coś mignęło w powietrzu i zupełnie nieoczekiwanie sztuczny pagórek, na tle którego oglądałem leżącego żołnierza, przeistoczył się w krater małego wulkanu.

Olej napędowy to nie benzyna: nie wybucha od byle kuli, iskry czy zapałki. Trzeba go porządnie rozpylić, by zareagował równie żywiołowo, jak jego pobudliwa kuzynka. Ale kiedy w częściowo opróżnioną cysternę trafia kilkusetgramowa porcja materiału wybuchowego...

Według czarnego scenariusza zbiornik miał zostać przedziurawiony kulą lub odłamkiem i po prostu stanąć w płomieniach. Samochód diabli by wzięli, ale bez szkody dla przebywających w pobliżu ludzi.

Granat rozbryzgał wiele kilogramów oleju wokół cysterny i zainicjował jeśli nie wybuch, to w każdym razie gwałtowne spalanie i potężny podmuch. Pagórek z worków i maskowania rozwinął się na boki niczym ogromny kwiatowy pąk oglądany na przyspieszonym filmie. Jeden z płatków nakrył podrywającą się ludzką sylwetkę, od niechcienia wymierzając klapsa podwieszonym do siatki workiem.

W chwilę później znokautowanego mężczyznę dosięgły pierwsze krople spadającego z góry ognia.

Gabriela strzelała do kogoś na zachodzie. Ona i chyba Szyszkowski: od strony punktu dowodzenia dobiegał terkot gläuberyta. Nie zwracałem na to uwagi. Patrzyłem na obciążony dwoma workami płat siatki. Poruszał się. Słabo. I płonął. Razem z na pół ogłuszonym człowiekiem, próbującym się spod niego wydostać. Człowiek krzyczał z bólu.

Gdzieś obok pękł granat. Padliśmy twarzami na przedpiersie. Potem Gabriela znów strzelała, oszczędnie, pojedynczym ogniem, a ja...

Po prostu patrzyłem. Bardziej na Lesika niż na morze ognia za plecami przywalonego siatką żołnierza. Tylko Lesik mógł prześcignąć śmierć. I tę ratowanego, i tę ratownika. Bo w grę

wchodziły obie i było to jasne dla każdego, z odwróconą plecami Gabriellą włącznie.

– Nawet nie próbuj! – Musiała mieć trzecie oko w potylicy: dałbym głowę, że ani na chwilę nie oderwała wzroku od celownika i miejsca, w którym krył się jej przeciwnik. Marnowała się tu. Z takim zmysłem dookolnej orientacji i budzącym respekt głosem rozgniewanej Amazonki byłaby idealnym belfrem.

Wcale nie chciałem próbować.

– Wyciągnij go! Lesik!!!

Widziałem jego okrytą hełmem twarz. Nie ukrył się, gdy wybuchała cysterna. Później przyszło mi na myśl, że właśnie tak, bezruchem, reaguja ludzie, których przerosła sytuacja. Ale wtedy miałem w głowie tylko jedno.

Hełm i kamizelka. Był dużo bliżej, miał na sobie mnóstwo kevlaru i bez porównania większe szanse przeżycia niż ja.

– Lesik!!!

Spojrzał na mnie, to wszystko.

Kilka strzałów, potem wybuch granatu. Worek przede mną zadrżał. Może od odłamków, może od krzyku. Płonący żywcem ludzie krzyczą bardzo głośno. Na początku.

Nim dobiegłem, przestał krzyczeć. Nie szarpał się też; chyba stracił przytomność. Szybko. Albo po prostu biegłem tak, jak to odbierał mój mózg: w żółtym tempie z koszmarnego snu.

Karabin Gabrieli strzelał, strzelał i strzelał. Tamci chyba nie. Nie miałem pewności. Zastrzyk adrenaliny robi z człowiekiem różne dziwne rzeczy. Trochę uskrzydla, trochę ogłupia.

Zacząłem fatalnie: wyszarpując krawędź siatki spod własnych nóg. Zwaliłem się na ziemię, zgubiłem pistolet. Kiedy podrywałem się, zbijając dłonią płomyk z rękawa, coś dużego, ciężkiego i względnie powolnego szarpnęło powietrzem nad moją głową. Pękła szyba szoferki – dopiero teraz – wybuch granatu wstrząsnął samochodem.

Drąc zwęglone kawały siatki pomyślałem, że strzelano z tyłu. Gabriela zawiodła, ale nie na całej linii: mimo wszystko chybił, spłoszyła go wystarczająco mocno.

Zaplątany w siatkę żołnierz miał hełm i kamizelkę. Liczyłem na to, że osłonią spore partie ciała przed płomieniem i tylko dlatego nie uciekłem, gdzie pieprz rośnie. Nie bałem się ognia, niewiele go tu było, jeśli ktoś dysponował swobodą ruchu. Bałem się tego, co znajdę pod zwęglonym mundurem.

Siatka zdążyła pójść z dymem, więc dość szybko oswobodziłem nieruchome ciało. Gorzej z jego gaszeniem. Koc, pałatka – cokolwiek. Byłem już bliski zdzierania z siebie bluzy, na szczęście w ostatniej chwili trafiłem stopą na odrzucony trochę wcześniej worek. Ten sam, który ogłuszył chłopaka.

Zerwałem się na nogi, chwyciłem go. Byłem już z powrotem nad skwierczącym jak befsztyk żołnierzem, kiedy z dymu wybiegł człowiek. Tyle zdążyłem zauważyć: że człowiek. Potem

huknął pojedynczy strzał i coś grzmotnęło mnie w sam środek brzucha.

Próbowałem zamortyzować zderzenie z ziemią. Efekt był mizerny, ale jedno osiągnąłem: nie dałem się przygnieść workowi. Inna sprawa, czy można było to uznać za sukces. Zerwałem się wprawdzie, nim na dobre zapalił mi się lewy naramiennik i tylko parę rozżarzonych węgli utkwilo w opinających pośladek spodniach, za to uświadomiłem mężczyźnie w rozchełstanej koszuli, że nie zabił mnie dostatecznie mocno.

Był starszy ode mnie i co najmniej tak samo jak ja przerażony. Szarpnął za spust trzy razy, nim dotarło do niego, że wystrzelił ostatni nabój.

Dym gęstniał, wciąż jednak widziałem głowę Lesika w okopie.

– Strzelaj! – krzyknąłem. Somalijczyk wrzasnął jeszcze głośniejsze i rzucił się biegiem wprost na mnie. Poderwałem wyżej worek. Gdzieś obok leżał mój pistolet, ale nie było czasu go szukać. Półprzytomny czy nie, partyzant rozłożył przegubowo mocowany bagnet, nim zbiegł do wąwozu. Po tym bagnecie rozpoznałem broń: samopowtarzalny simonow, kojarzący się przeciętnemu Polakowi z kompanią honorową WP.

Wyglądał staroświecko, ale właśnie dzięki temu dużo lepiej sprawdzał się w roli broni białej. Nie wiem, jakim cudem udało mi się osłonić workiem.

Uderzyłem lewą pięścią, z boku. Łatwy cios, bo Somalijczyk próbował uwolnić karabin. Gdybym przyłożył się lepiej, może nawet na tym jednym sierpowym by się skończyło, ale obaj popełnialiśmy błędy i po prostu odrzuciło go o parę kroków.

To był najlepszy moment na strzał. Lesik nie strzelił. Skoczyłem ku tkwiącemu w worku karabinowi. Udało mi się zmusić partyzanta do ciosu pięścią, co się liczyło, jako że zaraz potem odskoczył miękko i wyciągnął czort wie skąd ćwierćmetrowe nożysko. Gdyby nie rozpaczliwa szarża ku karabinowi, tym bym oberwał, nie kułakiem.

Mimo wszystko zainkasowałem niebezpieczny cios. Kiedy człowiek ma przed sobą koczownika z nożem, nawet lekkie oszołomienie może zaowocować tragedią.

Lekarzy, nawet tych wojskowych, nie uczy się walki wręcz. Może w komandosach, ale ja służyłem w porządnym wojsku, które w razie czego zabijałoby wroga z przyzwoitej odległości, używając armat, rakiet i w ostateczności karabinów. Armia wyposażyla mnie w przyzwoity pistolet i na tym poprzestała, wychodząc ze słusznego skądinąd założenia, że ktoś, kto nie zastrzelił napastnika żadnym z piętnastu pocisków, tak czy inaczej spisany jest na straty i nie warto uczyć go walki na noże.

Byłem kompletnym amatorem i pewnie dałbym się zabić. Ocalił mnie trzask pocisku nad naszymi głowami. Rzucając się do ataku, koczownik już tylko w połowie żył myślą o dziurawieniu mnie nożem. Równie ważne było dla niego osłonięcie się żywą tarczą. Bo strzelano z tyłu, od strony punktu opatrunkowego.

Miał mało miejsca i żadnych planów. Tylko dlatego udało mi się chwycić go za nadgarstek,

nim coś podcięło nam nogi i runęliśmy na dymiące pogorzeliisko.

Potem już tylko odwlekałem zgubę. Gdzieś wybuchł granat, zastukał obco brzmiący karabin, pękł kolejny granat. Lesik nie strzelał i wiedziałem już, że nie strzeli, a Gabriela była za daleko. Leżałem pod dyszącym z wysiłku mężczyzną i starałem się zatrzymać powolny ruch jego prawej dłoni, milimetr po milimetrze przybliżającej ostrze do mego gardła. Był za ciężki i za silny. Musiałem przegrać.

Nagle zrobiło się cicho. Może nie wszędzie, ale tu, wokół nas. Jakby świat postanowił pożegnać mnie chwilą żałobnej ciszy. Nikt nie strzelał, nic nie wybuchało. Słyszałem tylko ni to charkot, ni jęk wysiłku, dochodzący z krtani leżącego na mnie mężczyzny. Też nie było mu łatwo. Dawał z siebie wszystko. Tyle że w jego przypadku to skutkowało.

Brakowało kilku centymetrów i kilku sekund, kiedy rozległo się niepozorne pyknięcie, a pochylone nade mną czoło rozbłysło maleńką plamką czerwieni. Naprawdę maleńką. Somalijczyk, jakby zdziwiony, podniósł rękę, chyba nawet zdążył dotknąć rany. Dopiero potem, prawie całą sekundę po trafieniu, mięśnie zwiotczały i mój niedoszły zabójca zwałił mi się na twarz.

Zepchnąłem na bok podrygujące w agonii ciało i na czworakach, ślaniając się z wyczerpania, zacząłem wyciągać z popiołu i ognia coś, co do niedawna było młodym, pełnym życia dwudziestolatkiem.

*

– To nie ja – powiedziała Gabriela. Siedziała na skrzynce po nabojach i napełniała magazynek, ale uwierzyłem jej natychmiast. Miała załzawione oczy, ręce jej drżały. Nie tak wyglądają snajperzy. – Nie było czym. Amunicja mi się skończyła.

– A kto? – właściwie nie bardzo mnie to obchodziło. Ale dobry był każdy temat, który nie ocierał się o szeregowego Juszczyka.

– Nie wiem. Chyba ktoś z tamtego okopu, od Olszana. Nie ja.

– Tak czy tak, dziękuję. Dobrze mnie osłaniałaś. Skinęła apatycznie głową. Odłożyła magazynek, podniosła pusty.

– Jest... – musiała odchrząknąć. – Jest szansa, że on...?

– Oficjalnie? Oficjalnie zawsze jest.

– To znaczy – powiedziała powoli – że już po nim, tak?

– W specjalistycznej klinice przeżyłby... no, może i tygodnie.

Usiadłem po turecku naprzeciw niej, starając się nie patrzeć w prawo, na dopalające się resztki stara cysterny. Strzelanina umilkła parę minut temu i teoretycznie nic nie powinno trzymać majora Lesika w okopconym okopie. Ale mógł tam być, więc nie patrzyłem na zachód.

– Co teraz będzie?

Pierwsze prawdziwie babskie pytanie, jakie od niej usłyszałem. Bezradne. Podbudowane wiarą, że mężczyzna wie lepiej, coś z tym zrobi.

– Morfina. Spróbuję poszukać dawców krwi, ale tak naprawdę to jedno się liczy.

– Ale... mamy morfinę? – Chyba dopiero teraz obudził się w niej lęk, który podgryzał mnie od wielu godzin.

– Każdy żołnierz nosi jedną dawkę w pakiecie z opatrunkiem osobistym. Teoria jest taka, że nim przestanie działać, ranny będzie w szpitalu. W najgorszym razie w śmigłowcu.

– Chcesz powiedzieć...? – wołała nie kończyć.

– Najpierw Świergocki, potem Lewandowski – policzyłem na palcach. – Wylatywaliśmy po jednego rannego. A poza tym nigdy nie mamy dużo przy sobie. Zdarzały się kradzieże, ginęły torby z lekami... No i lewe rozchody. Rekordzista poleciał wspomagać etiopską służbę zdrowia po ataku na Dese i w jeden wieczór przepuścił półtora tysiąca porcji. Nawet próbowali grzebać w tej sprawie, ale guzik mu udowodnili, a od waszych jeszcze medal dostał. No i zaczęło się dmuchanie na zimne. Z opatrunkami osobistymi też zresztą jest podobnie. Dużo narkomanów w szeregach, dużo śmigłowców do ewakuacji, małe straty. Więc zmniejszono i dawki. Mniejsza pokusa, a w razie czego, nawet jak medycy się spóźniają, koledzy z pododdziału dołożą swoje. Jeszcze się nie zdarzyło, by jakaś drużyna miała więcej niż dwóch rannych.

– Ile zostało? – Nie bardzo mnie słuchała.

– Zakładając, że nas do wieczora ewakuują albo coś zrzucą, dla Juszczyka wystarczy. Bez zabierania innym ich przydziałowych porcji.

– A Giełza i Świergocki? – Siedzieliśmy poza dawną granicą zasięgu siatki, dość daleko od okopu, nie powinni więc jej usłyszeć.

– Zależy. – Każdą inną zbyłbym stwierdzeniem, że nie jest źle, ale to nie była każda inna. – Jeżeli mamy nowych rannych...

– Będą cierpieć... Z mojej winy.

Musiałem trochę pomyśleć nad komentarzem.

– Powód a wina to dwa różne pojęcia – mruknąłem. – Jesteś przyczyną, owszem. Polacy byli przyczyną drugiej wojny światowej. Ale to nie nas sądzili w Norymberdze.

– Chyba powinnam do niego wrócić. – Napełniła amunicją, co mogła, i od razu zaczęły się problemy z rękami. Objęła nimi kolana, dało to jednak tyle, że dygotały jej teraz wszystkie cztery kończyny.

– Zabije cię – powiedziałem spokojnie.

– Może. A może nie. Nie znasz go.

– A ty go znasz?

– Teraz trochę lepiej – zdobyła się na blady uśmiech. – To właściwie proste: weź stereotyp

Araba z wyższych sfer, i już.

– Stereotypowy szejek nie daruje zniewagi czemuś tak gównianemu jak kobieta.

– Miły jesteś.

– Streszczam stereotypy. Źle?

– Dobrze. – Pośliniła brudny od smaru kciuk, przetarła krwawą pręgę na udzie. Kurz zasuszał ranę, ale każda zmiana położenia nogi owocowała paroma czerwonymi kropelkami. – Ale kogoś o tyle gorszego od siebie szanujący się mężczyzna nie musi zabijać. Wystarczy ukarać, upokorzyć i podporządkować sobie. Zabicie kobiety to poniekąd przyznanie się do własnej bezsilności.

– Nie licz na to. Zabiłaś albo próbowałaś zabić jego matkę. Uciekłaś do niewiernych. Zginęło wielu dobrych muzułmanów. Nie wspomnę o finansowych kosztach tej wojenki. Bekniesz za to, i to mocno.

– Najwyżej obetnie mi ten durny łeb – rzuciła mi wyzywające spojrzenie. – A jeśli tu zostanę, zginie wielu ludzi. Po obu stronach.

– Ktoś tu niedawno błagał, by nie oddawać go żywcem. – Odwróciła twarz. – Przestań filozofować i zjeżdż na ziemię. Widziałaś, co zrobili z Giełzą. A to dla nich obcy, nic nieznaczący facet. W dodatku potrzebowali go żywego, musieli się hamować. W twoim przypadku nie będą musieli. I jeszcze coś: przerabianie na ochłapy pięknej kobiety jest przyjemniejsze.

Nie zdobyła się na odpowiedź. Chyba nawet nie dotarło do niej, że właśnie nazwałem ją piękną. A zaraz potem w wąwozie zaczął się ruch.

Na początek dwóch ledwie żywych ze zmęczenia żołnierzy przytaszczyło trzeciego. Zaraz po zrzućeniu pierwszych bomb otrzymał postrzał w nadgarstek; zdołał opatrzyć ranę i nawet postrzelać przez następne kilkanaście minut, ale w końcu utrata krwi i efekty wstrząsu wygrały z adrenaliną. Zaaplikowałem mu ćwierć litra krwi z porcji przeznaczonej jeszcze dla Urbańskiego, jego własną morfinę oraz trochę wody do oczyszczenia rany. Odłamków kości chwilowo nie usuwałem: zabrakło czasu.

Olszan, podpierany przez dużo bardziej przejętą panią redaktor, przyszedł na własnych nogach, choć ktoś mocno spóźnił się z opatrunkiem i strumień krwi dotarł od dziury w barku aż pod lewe kolano.

Zaraz potem koledzy przynieśli chłopaka, któremu granat wybuchł tuż przed wychyloną z okopu twarzą. Stracił prawe oko i trzy zęby, a w czole, nosie, policzkach i szyi miał w sumie dziewiętnaście kawałków metalu i kamienia, co dostarczyło mi zajęcia na dobre pół godziny. W przerwach kierowałem zespołem Gabriela-Agnieszka, opatrującym Olszana, oraz reanimowałem żołnierza z postrzałem klatki piersiowej, który jednak zmarł. Ten z poszatkowaną twarzą też nie rokował dobrze: dwa odłamki tkwiły mu pod skorupą czaszki. Nie próbowałem się do nich dobierać. Morfina, środki uspokajające, bandaż. Wszystko.

Potem było lżej. Zamiast Joli pojawił się wprawdzie szeregowy z niewyraźną miną i informacją że „ta pani nie może przyjść”, ale przynajmniej pomagałem ludziom, którym nie zagrażała śmierć.

Szewczyk, kierowca beerdeema, miał złamaną piszczel i potężnego guza: dwa trafienia jedną kulą, która przebiła pancerz i tak dowcipnie zrykoszetowała. Ktoś stracił palec, Zanetti dał sobie odstrzelić kawałek ucha, a Andrusiakowi ktoś lub coś złamało ząb, kalecząc policzek. Drobiazgi; żaden nawet nie próbował układać się pod przeznaczoną dla rannych wiatą. Nawet żołnierz, któremu zderzenie kuli peemu z kamizelką złamało żebro, wołał wynieść się z powrotem do własnego okopu, byle dalej od smrodu spalonej ropy i widoku ludzkiego cierpienia.

Filipiak i nadciągający z przeciwnego kierunku Wołynow zjawili się, gdy szłem kolano Hanusika.

– Znajdzie pan chwilę? – Pomijając szramy na hełmie i kamizelce, porucznik wyglądał na całego. Na szczęśliwego już nie.

– Trudno będzie. – Odciąłem igłę, sięgnąłem po bandaż. – Mam rannych, a nie mogę doczekać się siostry Joli, więc będę musiał...

– Ja właśnie o tym.

Wskazałem mu skrzynkę, nasze nowe krzesło. Zerknął na Wołynowa.

– Majorze, mógłby zostawić nas pan na chwilę?

Kazach skinął głową i z miną pokerzysty odszedł za sanitarkę, gdzie Olszan gawędził z paniami.

– Nadal tu jest – uśmiechnąłem się lekko. – I dziewczyna też. Twardzi z nich szpiedzy. Ja bym zwiął.

– To niczego nie dowodzi.

– Ciągle ich pan podejrzewa? To cud, że oboje przeżyli. Nie wiem, co porabiał major, ale tu było gorąco. A ona się zdrowo nastrzelała.

– Nie o tym chciałem mówić.

– No tak. Słucham.

Jak na osobę dopominającą się o zmianę tematu, zwlekał całe wieki. Widać było, że wolałby być gdzie indziej i rozmawiać z kimś innym.

– Juszczyk nie powinien umrzeć – wypalił wreszcie.

– Co?

– Mówię, że Juszczyk nie powinien...

– Słyszę. – Przyglądałem mu się z niedowierzaniem. – Tylko nie bardzo rozumiem, w czym rzecz.

– Był u mnie kapelan. Żądał, bym z panem pomówił. No tak. Lesik. Że też udało mi się wymazać go z pamięci.

– Co konkretnie powiedział? – zapytałem bez zapału.

– Że trafił pan tu prosto z aresztu. I dlaczego pana wsadzili.

Chyba nadal miał nadzieję, że zrobię wielkie, zdumione oczy.

– To żadna tajemnica. Nie chwalebę się tym, ale to nie znaczy...

– Do tej pory to nie była moja sprawa – przerwał mi łagodnie, lecz stanowczo. – Ale teraz muszę coś z tym zrobić. Odpowiadam za życie moich żołnierzy. Nie mogę zignorować tego, co mówi major Lesik.

– Major Lesik mówi, że w niebie żyją anioły, a dziewice rodzą dzieci chodzące po wodzie.

– Co to miało znaczyć? – Najeżył się, ale nie aż tak, jak można by oczekiwać od osobnika chodzącego z krzyżykiem na szyi.

– Tylko tyle, że niektóre stanowcze twierdzenia majora cholernie trudno byłoby udowodnić.

– Zastrzelił pan bezbronno człowieka.

– I jaki stąd wniosek?

Był zaskoczony takim stawianiem sprawy. Zarzut morderstwa spotyka się raczej z gwałtownymi zaprzeczeniami, nie postulatem o wnioski.

– Naprawdę strzelił pan w głowę jakiemuś tubylcowi?

– Naprawdę.

Przyjmował to do wiadomości jakiś czas, a ja dopiero teraz, trochę za późno, spostrzegłem stojącą z boku Gabrielę. Nie byłem pewien, ile usłyszała. Ale oczy miała wyjątkowo szeroko otwarte.

– Skończmy może – westchnąłem, lekkim skinieniem głowy wskazując dziewczynę. – Czego pan oczekuje?

– Chciałem pana po prostu ostrzec. Jeśli, nie daj Boże, Juszczyk umrze, Lesik oskarży pana o spowodowanie jego śmierci. Już teraz zażądał, byśmy pod żadnym pozorem nie porzucili gdzieś zwłok. I jeszcze coś – dorzucił wyraźnie zakłopotany. – Sugerował, że nie byłby pan zmartwiony, gdyby coś mu się przytrafiło. Chce, bym skonfiskował pańską broń i nie pozwolił brać do ręki żadnej innej.

Nie miałem odwagi patrzeć w górę i sprawdzać, czy twarz Gabrieli jest równie nieruchoma i twarda jak jej gołe kolana.

– Szkoda, że tak późno – rzuciłem przez zęby. – Mógł pan przyjść godzinę temu. Oddałbym broń i grzecznie poległ, osłaniając rannych gołą piersią. Jak na lekarza przystało.

– To zły czas na żarty – mruknął.

– Skalpele też mam oddać?

– Umówmy się, że zostanie pan przy swoim pistolecie. Dookoła wala się teraz mnóstwo broni, a ja nie chciałbym, by zobaczono pana z czym innym niż służbowy wist. W porządku?

Skinałem głową. Dźwignął się ze skrzynki, ale zamiast odejść, popatrzył na Gabrielę.

- Nie wspomniała pani, że narzeczony ma prywatne lotnictwo.
- Jak się okazuje – uśmiechnęła się blado – słabo go znam.
- Mało nas nie wykończyli. Nie spodziewałem się nalotu.
- Wiem.
- I co jeszcze pani wie? – zapytał na pozór łagodnie.
- Jest tu kimś. Mówiłam, ale nie słuchaliście.
- Rozumiem. I ta rzeź – zatoczył krąg dłonią – to nasza wina?
- Nie powiedziałam... – utknęła.
- Strzelała pani?
- Co znowu? – wyręczyłem dziewczynę.
- Jeden z żołnierzy twierdzi, że omal go pani nie zastrzeliła.

Przez chwilę miałem w gardle wielką, zimną kulę. Przypomniałem sobie uchwycony kątem oka widok padającej wśród dymu ludzkiej sylwetki. Seria dosłownie rzuciła nią o ziemię, nie było w tym odrobiny przypadku. Gabriela wiedziała, do kogo...

I nagle ulga. Tak ogromna, że aż budząca strach, bo przecież oskarżano obcego człowieka, nie mnie. Ciągle starałem się tak o niej myśleć – jako o obcym człowieku.

– Czy ten skarżypyta nie uciekał aby przez wąwóz – zapytałem z krzywym uśmiechem. – Bo jeśli tak, chyba go kojarzę.

– Nie strzelałam do naszych – rzuciła przez zęby.

– Po co miałby kłamać? – Nie powątpiewał, naprawdę pytał.

– Spanikował – powiedziałem. – Strzelił do nas. A z oskarżeniami jest jak z pojedynkami rewolwerowców: kto pierwszy, ten z reguły lepszy. Może się bał, że go podkablujemy. Teraz ma pan dwie wersje i nie wie, komu wierzyć. Poza tym widziałem, jak sobie radzi z karabinem – skinąłem głową, wskazując dziewczynę. – Córka szefa strzelnicy się nie umywa.

– Tata... ojciec mnie nauczył – mruknęła zakłopotana. – Pracował w Erytrei, tam od zawsze była wojna...

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Jak dla mnie – za długo.

– Myślicie, że to był wypadek? – Nie zmarnował tego czasu: udało mu się mnie zaskoczyć. – Pośpiech, nerwy czy może...?

Jezu. Tego tylko brakowało.

– Nnnie wiem – zająknęła się Gabriela. Sugestia i nią wstrząsnęła. – To tak szybko... Ale dlaczego pan myśli, że ktoś mógłby...?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Pewnie sama zdążyła się domyślić.

– Teoretycznie – mocno podkreślił to słowo – ktoś może wpaść na pomysł, że jeśli pani zginie, skończą się nasze kłopoty. – Zrobił przerwę, dając jej czas na przemyślenia. – Chciałbym, by trzymała się pani blisko doktora. Cały czas, bez żadnych wyjątków. Dla własnego

bezpieczeństwa, a mojego spokoju.

– Nadal ją pan podejrzewa – pokiwałem głową.

– Wie pan, czym się różni grom od strzały?

– Nie rozumiem...

– Leci dalej, szybciej, trudno ją zmylić flarami. A teraz krótki komentarz Morawskiego na temat miga-17: to szturmowiec, nie bombowiec. Nie nadaje się do zrzucania bomb z pułapu kilku kilometrów. Te nasze rzucały.

– I co z tego wynika?

– Mocno ryzykowali, wybierając taką metodę. Nawiasem mówiąc, drugie podejście wyszło im fatalnie, choć oślepił nas i mogli zejść niżej. Zeszli i spudłowali o ćwierć kilometra. Co dowodzi, że sposób jest fatalny. Szturmowiec ma latać nisko i strzelać do przodu.

– Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Rozmawiałem z Bodnarem. Mówi, że pierwszy raz przeszli trochę powyżej zasięgu groma. Drugi raz ciut wyżej i dalej niż strzela armata. Przy czym teoretycznie mogli oberwać wtedy rakietą. A mimo to nie próbowali rzucać flar. Wie pan, dlaczego?

– Umieram z ciekawości. Przez dym?

– Brawo. W jakiś sposób zgadli, że mamy groma, nie strzałę, pułapki termiczne guzik im dadzą, a lecieć powinni wyżej. I że jak już oślepią operatora wyrzutni, nadal muszą uważać na armatę. Zanim pan coś powie, krótka informacja: mamy w brygadzie prawdziwy bigos, jeśli idzie o sprzęt. Z rakiety są strzały i gromy. Z celownikami nocnymi i bez. Podobnie z działkami: jedne mają nowoczesny celownik tachometryczny, inne nie; jedne widzą w nocy i przez dym, inne ani trochę. W dodatku nie istnieje stały etat. Jadąc na patrol bierze się za każdym razem inny zestaw. Gdyby mi pan dał lornetkę i pozwolił pooglądać jakiś pluton z mojej własnej kompanii, też miałbym zgryz z zaplanowaniem bezpiecznego nalotu. A co robią te orły Sabaha? Przeprowadzają optymalny atak: sto procent bezpieczeństwa przy możliwie dużej skuteczności. Jakimś cudem wiedzą, który typ rakiety wystrzelimy i że dym nie załatwi działka. Mam chyba prawo wyczuwać smród?

– Mogli po prostu założyć, że ma pan to, co najlepsze.

– Armata jest najlepsza – przyznał. – Tyle że i jedyna w swoim rodzaju. Ma tachometr i kamerę termiczną. Tachometr jest potrzebny, by trafić w samolot. Przy strzelaniach naziemnych guzik daje. Kamera pozwala widzieć w nocy. Nie ma sensu łączyć jednego z drugim. Armata służy do niszczenia celów latających nisko, a tu nikt nie lata nisko po ciemku. Nie ten poziom techniki. Owszem, mamy parę działek z termowizorami, tyle że na tych nikt nie zakładał tachometrów. Służą do obrony baz i konwojów, także nocą i w przypadku zadymienia.

– No i? – Trochę się pogubiłem w jego argumentacji.

– To mały cud, że dostaliśmy taki zestaw. Sabah nie miał prawa się go spodziewać. Za to

powinien się spodziewać groma z nocnym celownikiem. Którego z kolei nie uwzględnił w planie nalotu. Mieliśmy dostać właśnie taki. Celownik się popsuł, więc jakiś mądrała dał nam uniwersalną armatę. Jednorazowa prowizorka. Tak to wygląda.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając mnie ze świadomością, że nie wygląda to dobrze.

*

Wóz wyglądał żałośnie. Spod rozdartej, w połowie spalonej siatki widać było poobtłukiwaną dziesiątkami ciosów biel oenzetowskiego malowania, a spod niej z kolei zieleń pierwotnego kamuflażu i przynębiająco wiele kraterów gołej stali. Z reflektorów pozostały strzępy blachy, falochron przypominał sito, antenę odstrzelono, a wgnieciony w środku właz dowódcy poczerniał. Lewa gaśienica ciągnęła się długą wstęgą za pojazdem, a on sam stał w śmierdzącym błocie z piasku, popiołu i smaru.

– Gorąco wam tu było – pokiwałem głową. – Jest na chodzie?

– Pojedzie. – Kierowca Hanusika ominął zapiaszczony strzęp ciała, duży, ale zbyt brutalnie potraktowany pociskiem, by dało się go zidentyfikować. – Nie wiem tylko, jak daleko. Pomacało nas i po silniku, i po przekładniach. Aż dziw, że nikomu się nie dostało. Pewnie dlatego, że mało nas było w środku. Tylko my z celowniczym i siostra.

Bewup nagrzał się jak piekarnik, ale Jola wciąż tam tkwiła. Zrozumiałem, co skłoniło kierowcę do porzucenia wciąż niesprawnego wozu i szukania mojej pomocy. Z kimś, kto dobrowolnie piekł się w tej blaszance, musiało być coś nie w porządku.

– Gorąco tu – rzuciłem łagodnie w wypełniający wewnątrz półmrok. Wszystkie włazy i otwory strzelnicze były zamknięte. – Przyjemniej byłoby na zewnątrz. Już nie strzelają.

Żadnej reakcji. Siedziała w najdalszym kącie. Na podłodze.

– Pani Jolu?

Nadal nic. Ruszyłem na czworakach po ławce. Dopiero teraz uniosła spojrzenie. A ja poczułem coś więcej niż odór gorącego smaru.

– Nie. – To nie był anemiczny protest; raczej ostrzeżenie.

– Nie może pani tu zostać – wyciągnąłem ostrożnie dłoń.

– Nigdzie nie pójde – rzuciła przez zaciśnięte gardło.

– Potrzebuję pani pomocy. Mamy wielu rannych. – Czekałem jakiś czas. Bez rezultatu. Chociaż nie: coś mi przyszło do głowy. Pomachałem dłonią jak ktoś, kto rozpędza dym. – O to chodzi? Nie ma się czego wstydzic. Ja sam o mały włos... Załatwimy to dyskretnie, nikt się nie dowie. To w tym problem? Pani Jolu?

Chyba trafiłem kulą w płot. Względnie nie doceniłem głębi jej odczuć. Nie należała do ekstraklasy, ale musiała uchodzić za ładną dziewczynę, a te nie doznają w życiu wielu

upokorzeń. Mogła nie być dostatecznie zahartowana. Wziąłem to pod uwagę i wycofałem się.

Minąłem punkt opatrunkowy, ale nie doszedłem do następnego w kolejności okopu, wyznaczonego na stanowisko dowodzenia. Siedzący na jego obrzeżu Zanetti pokazał gestem, bym dołączył do zebranych w środku osób, zmieniłem więc zamiar, pokazałem Włochowi koszykarską prośbę o czas i skręciłem ku sanitarce.

– Gapa, można na chwilę?

Odłożyła łopatkę, za pomocą której przedłużała nasz okop, wytarła dłonie o szorty, podeszła. Z uśmiechu przeznaczony dla rannych zostało całkiem sporo, ale w jej oczach doszukałem się ostrożności. Ostatnio każda nowina okazywała się tą złą. Ciut późno przyszło mi do głowy, że potwierdzę tę regułę. To dlatego zacząłem nie tak, jak zamierzałem.

– Eee... nie podoba mi się twoja noga. – Wyglądało na to, że opatrywanie uda zakończyła na pocieraniu poślinionym palcem. Brunatne zacieki sięgały aż pod kolano, też zresztą podrapane.

– Obie są trochę krzywe. – Uśmiech unióś tylko jeden kącik spękanych ust, ale to wystarczyło, bym zyskał pewność, iż nie ma kompleksów związanych z kończynami dolnymi. – Przykro mi.

– To znaczy... ta rana. – Całkiem nie wyszedł mi ten początek, więc szybko przeszedłem do rzeczy. – Mniejsza z tym. Masz czyste majtki?

Spojrzała w dół – z lekkim skłonem – po czym z zimnym okrucieństwem dobiła mnie, bez pośpiechu marszcząc trzykrotnie nos, co miało symbolizować uważne wachanie. Czuję, że się czerwienię.

– Nie umówiłabym się ze sobą na randkę, jeśli o to pytasz.

Gdyby była biała, jej skóra świeciłaby teraz wyraźnym różem. Przy czym nie byłby to rachunek wystawiony za język szybszy od myśli. Nie poniosło jej: powiedziała, co chciała, godząc się z konsekwencjami.

Chociaż raczej nie przewidziała, że tak mnie zatka. Stałem, patrzyłem na nią i nie potrafiłem wykrztusić słowa.

– Przepraszam. – Spoważniała, może nawet trochę się wystraszyła. – Nie gniewaj się. To... nerwowa reakcja na stres.

W końcu jej się udało: zacząłem się śmiać. Zaskoczyło ją to. Trochę potrwało, nim dołączyła do mnie. I nagle zrobiło się przyjemnie.

– Przede wszystkim myśli masz brudne. – Napięcie gdzieś znikło, mogłem jej to powiedzieć ot tak, po prostu. – Chodzi mi o zapasowe. Majtki – dodałem. – Chciałbym pożyczyć, jeśli można.

Poszerzyła uśmiech, choć przedtem wydawało się to niemożliwe.

– Dalej mam brudne myśli. Aż się boję pytać, jak je wykorzystasz.

– Zaszycę ci tę nogę – obiecałem. – Tępą igłą na żywca.

– No przecież nie pytam.

– Nie chcę cię rozczarowywać, ale to nie dla mnie. Joli puściły... no wiesz: nerwy. Jeśli jesteś do szpiku kości szlachetna, to idź do Hanusików i ją poratuj. A jak nie do szpiku, to poślij Wielogórką. Ale załatw to, dobrze?

– Rozkaz – stuknęła żartobliwie piętami.

Powlokłem się do okopu dowódcy. Czułem, że następna wymiana zdań nie będzie tak miła. Widok Agnieszki pośród zebranych nie zmienił tego.

– No to mamy komplet. – Morawski przesunął się na swojej skrzynce po amunicji, robiąc mi miejsce. – Melduj porucznikowi, co i jak.

– Co konkretnie chce pan wiedzieć? – Miałem świadomość, iż wyraz mojej twarzy skutecznie zastąpi połowę raportu.

– Nie chcę być uznany za wyjątkowego skurwysyna – zerknął na Olszana, co nasunęło mi podejrzenie, że zaczęli beze mnie. – Ale to kwestia życia i śmierci, więc zapytam. Czy Giełza może być na chodzie?

– Głowa czy nogi? – Nie oburzyłem się: to nie był szpital, tylko pole kiepsko idącej bitwy.

– Trzeba uruchomić krótkofalówkę. Następny nalot może załatwić nas na amen. I czuję, że Sabah nie powiedział ostatniego słowa.

– Podali mu morfinę. Uniknął szoku.

– Jak to? – Agnieszka, nieodłączna już chyba towarzyszka Olszana, przestała miętosić jego dłoń. – Zrobili to ze znieczuleniem?

Podzielałem jej oburzenie, choć nie potrafiłbym szybko i składnie go uzasadnić.

– Mogę podać mu łagodniejsze środki przeciwbólowe. Nie utracił wiele krwi, o to też zadbali. Fizycznie jest w niezłym stanie. Ale co do reszty... – pokręciłem sceptycznie głową.

– Dajcie chłopakowi spokój – rzucił Olszan słabym głosem. Też aż się prosił o trochę spokoju. Kula ładnie przeszła przez bark, ale ludzie różnie reagują na obrażenia. Jemu postrzały nie służyły.

– To musi być jakiś drobiazg. – W głosie Filipiaka wyczułem podszytą gniewem bezsilność dyletanta. – Oglądałem to radio. Wygląda na nietknięte. Może styki?

– Jak się psuje telewizor, też nie widać przestrzelin – pouczył go Olszan. – Spokojnie, sam dojdę, co jest nie tak.

– Co dwie głowy, to nie jedna – zauważył Ciołkosz.

– Jego samego trzeba pilnować – westchnąłem. – Wątpię, czy jest w stanie roztrząsać problemy techniczne. Zastanawia się teraz, kim właściwie jest. Albo czym.

– Nie jest pan specjalnie subtelny – mruknęła Agnieszka.

– Może sobie coś zrobić? – zapytał rzeczowo Filipiak.

– Ja bym zrobił. – Nie stać mnie było na patrzenie komukolwiek w twarz, ale był moim

pacjentem i miałem obowiązek ratowania mu życia. Choćby i kosztem składania takich deklaracji.

– Da mu pan, co uzna za stosowne – zdecydował porucznik – i przyśle na radiostację. Pan Olszan będzie drugi, kapelan trzeci. Nikogo więcej nie chcę tam widzieć. Czy to jasne?

Patrzył na redaktor Wielogórkę. Zbyt jawnie, by to przełknęła.

– Niby dlaczego?

– Nie jest pani specjalnie subtelna – zrewanżowałem się. – Trudno mu się będzie pozbierać, jeśli tuż obok usiądzie młoda kobieta.

Zamknąłem jej usta.

– A co z drugim? – zapytał Wołynow kulawą polszczyzną. Zdobył gdzieś kamizelkę i pozbył się bluzy, zostając w marynarskim pasiaku.

– Rannymi? – westchnąłem. – Juszczuk ma rozległe poparzenia. Jeśli zostaniemy do wieczora, razem z tym drugim, Wenclozorem, zużyją cały zapas wolnych leków.

– Co znaczy: wolnych? – zapytał lekko roztargniony Morawski. Po nalocie awansował na nieformalnego doradcę Filipiaka do spraw lotnictwa i chyba miał się czym gryźć. Migi mogły powrócić.

– Tak naprawdę liczą się środki uśmierzające. Mógłbym pozbierać te z indywidualnych opatrunków, tylko że...

– Nie wchodzi w grę – zdecydował Filipiak. – Morale leży i tak.

Rozumiałem go. W razie następnego ataku ranni mogli bardzo długo czekać na ewakuację. Może nawet godziny. Bez morfiny byłyby to godziny spędzone w piekle i żołnierze dobrze o tym wiedzieli.

– Trzeba poszerzyć front. – Wołynow przeszedł na angielski.

– Żartuje pan – parsknął Filipiak.

– Tylko wysunięte na skrzydła karabiny maszynowe zatrzymały poprzedni atak. Drugi taki... i po nas.

– Nie tym razem. Mamy na górze radar, a zaraz będziemy mieli zenitówkę z termowizorem i czołg. A poza tym... – zawiesił z premedytacją głos.

– Tak? – Wołynow nie skorzystał z danej mu szansy.

– Ten rozciągnięty szyk drogo nas kosztował. Dałem się panu przekonać i przeszli przez nas jak przez masło.

– Ponieśli duże straty.

– My też. Proporcjonalnie pewnie większe. Cud, że nie straciliśmy żadnego z wozów bojowych.

– Cud to złe słowo. Partyzanci prawie nie mieli granatników. To znaczy: ci, którzy pobiegli do ataku.

– Do czego pan zmierza?

– Mówię tylko, że nie było cudu. Albo brakuje im broni przeciwpancernej, albo Sabah zostawił ją na lepszą okazję. Tak czy inaczej nie wolno dopuszczać ich drugi raz tak blisko.

– Zgadza się. Dlatego nie będziemy rozpraszać sił.

– Musimy. Mniejsza już o samochody, ale jedna celna bomba oślepi wszystkich, jeśli wpakuje pan cały pluton do jednego wspólnego okopu.

– To się akurat zrobiło łatwe – rzucił Filipiak z mieszaniną goryczy i rozdrażnienia. – Zostało mi, licząc z sierżantem, dwudziestu trzech sprawnych ludzi. Odliczając załogi wozów: czternastu. Wie pan, jakiego odcinka powinno bronić czternastu żołnierzy?

– Niech pan zapomni o normach. Musimy mieć szeroki front. Strzelać ze skrzydeł, by nie weszli w dym.

– Wozy ich zatrzymają – powiedział Filipiak. – Dopóki są na górze, nikt tu nie podjedzie. Z dymem czy bez. Widział pan: wydostały się z wąwozu i było po bitwie.

Wołynow spasaował. Ale mieliśmy jeszcze jednego majora.

– Na wszelki wypadek wykopałbym po dodatkowym stanowisku na skrzydłach – powiedział Morawski. – Póki cicho.

*

– Dobra robota – pochwaliłem bez przekonania Gabrielę. Zsunąłem stetoskop i jeszcze raz sprawdziłem dozownik kroplówki. Dekstran w roztworze soli spływał ku igle, wbitej w przedramię Juszczyka. Rurka była długa, nie powinno jej zaszkodzić obracanie chłopaka. Dojrzywałem do decyzji, by to zrobić i obejrzeć spustoszenia, jakich dokonałem.

Musiałem ułożyć go na wznak. Trudno reanimować pacjenta, leżącego twarzą w dół.

– Niedobrze mi – powiedziała cicho dziewczyna. Klęczała w dole pośłania i podtrzymywała w powietrzu nagie biodra Juszczyka. Kamizelka z kevlaru uchroniła część pleców, ale nogi i pośladki wyglądały przed nałożeniem barwnika jak zdjęte z rożna. Po jego nałożeniu wyglądały gorzej. Kazałem Gabrieli robić wszystko, by nie rozbabrać tej upiornej brei – i robiła. Tyle że oznaczało to przeniesienie ciężaru ciała na mniej uszkodzone miejsca, a tych od pasa w dół prawie nie było.

Przez wiele minut nadwierała grzbiet i mięśnie, ściskając z boków miednicę chłopaka i nie znajdując w sobie dość bezwzględności, by na dłużej niż parę sekund wspomagać się kolanem, wpychanym pod upieczony pośladek. Poprawiała szybko chwyt i cofała nogę. Naprawdę wykonała kawał dobrej roboty, ale nie było mnie stać na szczerze gratulacje. Gdyby przywołała mnie odrobinę później...

– Nie krępuj się – mruknąłem. – Byle nie na niego. Choć to i tak...

Nie widziałem jej twarzy. Drżała z wysiłku, nie dała rady trzymać głowy w górze. Jeszcze minuta, a czołem zetknie się z tym, co budziło jej mdłości. Z popękany, krwistobrazowym członkiem.

– Odwracamy go. Ostrożnie.

Pomogła mi, ale zaraz potem padła na wznak i już sam musiałem profilować legowisko. Z przodu nie był poparzony aż tak bardzo, ale bez morfiny i tych obrażeń wystarczyłoby, by był z bólu.

– Wolałbyś, żeby umarł?

Udałem, że nie słyszę. Kawalek po kawałku odrywałem gazę od półpłynnej skorupy na poślądkach. Było lepiej, niż myślałem. Poharatała mu paznokciami głównie zdrowe kawałki skóry. Inna sprawa, że prawie nie było tu bąbli: niemal wyłącznie zwęglona skorupa.

– Możesz już iść – powiedziałem, nie patrząc w stronę Gabrieli. Usiadła, ale pozostała pod brezentową wiatą, będącą oddziałem poparzeń mojego szpitala. Umieściłem Juszczyka osobno. Nawet zdrowi nie powinni go oglądać.

– Chcesz, żebym sobie poszła?

Miała szarą, znękaną twarz, z której nie ocierała potu. Zabroniłem jej: nie stać nas było na powtórne mycie rąk.

Na górze zaterkotał karabin maszynowy. Podarowano nam krótką przerwę, która chyba właśnie dobiegała końca.

– Mogę o coś zapytać? – Zniżyła głos. Ranni powiększali okop, hałasowali, ale nie byli daleko. Kiwnąłem głową. – Jak zaniiosłam Joli ubranie, próbowałam namówić ją, by tu przyszła. Prawie w ogóle się do mnie nie odzywała, ale... Może źle ją zrozumiałam. Rozkleiła się.

– Co ci powiedziała? – zapytałem miękko.

– Coś w tym guście, że po co go ratować, jeśli jest taki poparzony, bo ty i tak go...

Utknęła. Chyba nawet przegapiła pierwszą basową eksplozję. Męczyła się. Inaczej niż podczas reanimacji Juszczyka, ale też mocno.

– Cztery dni temu objeżdżaliśmy podstołeczne placówki UNIFE, a przy okazji etiopskie wioski. Badania profilaktyczne i takie tam. Autobus dla urlopowiczów, sanitarka, dwa wozy ochrony. No i śmigłowiec. Asekurował nas Mi-24. Wracaliśmy już, kiedy napatoczył się etiopski patrol policyjny. Dostali wiadomość, że w jednej wiosce doszło do potyczki przy rozdziale żywności. Podobno z udziałem białych cywilów, może dziennikarzy, a może ludzi od pomocy humanitarnej... diabli wiedzą. W każdym razie było trochę rannych, a lokalna milicja przywróciła spokój, więc pojechaliśmy tam w trzy wozy: sanitarka, panczerka z trzema brazylijskimi żołnierzami, no i Lesik.

– Lesik?

– Za coś przecież bierze pensję. Był wkurzony, bo przydybał na placówce karton

z pornosami, a dowodzący kapral na propozycję spalenia tych świństw zaproponował mu pocałowanie się w dupę. Kontrakt mu się kończy – wyjaśniłem, widząc uniesione brwi Gabrieli. – Ja też coś tam mruzczałem o wolności prasy i sumienia... Nieważne. I bez tego... Nigdy za sobą nie przepadał. Kompletna rozbieżność światopoglądów. No więc dojechaliśmy do tej wsi. Europejczyków już nie było: zdążyli zwać. Opatrzyłem parę skaleczeń; jedyny poległy zabił się, spadając z dachu. Mieli garnizon, a ci tak zwani partyzanci przyszli po mąkę z maczetami i paroma strzelbami. Zresztą tacy z nich partyzanci, jak ze mnie... Po prostu ludzie z pobliskiej wsi. Ta nasza przechwytywała dostawy pomocy humanitarnej, bo leżała bliżej drogi, więc w końcu sąsiadom puściły nerwy.

Zrobiłem sobie przerwę. W oddali huknął następny granat. Artylerzyści Sabaha rozkręcili się wyjątkowo powoli.

– Po ludziach z pomocy humanitarnej została ciężarówka. Stary trup; pewnie po prostu nie chciał zapalić, więc go zostawili. Komendant milicji postanowił ją poświęcić dla utrwalenia porządku. Kazał zdjąć opony, wpakował w każdą trzech wziętych do niewoli szabrowników...

– Trzech? – Chwyciła się pierwszego lepszego słowa. W oczach miała już mrok i byłem pewien, że domyśla się dalszego ciągu. Chyba żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

– Akurat się mieścili. W tamtych stronach nie ma grubych ludzi. Wolne miejsca poupychali słomą, na to wszystko trochę benzyny i zapalka. Kiedy wjechaliśmy, dopalała się ostatnia trójka. Tak że prawie mieliśmy szczęście. Prawie, bo został jeden z grubsza siedemnastolatek, podobno dowódca. Nie mógł stać, miał przestrzelone podudzie. Podparli go z kilku stron kijami, jak tamtych przed nim. Podobno egzekucja jest spartolona, jeśli ofiara za szybko upadnie, więc paru mężczyzn otacza skazańca z żerdziami i...

– Proszę cię...

Nozdrza mieliśmy pełne zapachu przypalonego mięsa. Tu i teraz jej prośba miała swą wagę.

– Przepraszam. No więc próbowałem to powstrzymać. Ale tam było pół tysiąca ludzi, połowa z jakimś żelastwem, a wszyscy głodni i wściekli. Etiopscy gliniarze od razu się zmyli. Posłałem Lesika do samochodu, do radiostacji. Miał wezwać śmigłowiec. Gdyby zjawiał się nasz Mi-24, nikt by mi nie podskoczył. Mogliśmy zdążyć. Tyle że ten palant nie dotarł do radia. Potem mówił, że tłum go zatrzymał. Nie wiem. Wiem, że nie próbował strzelać w powietrze, nie wrócił, nie powiedział. Myślałem, że lada chwila... Czekaliśmy. Ja się darłem, Brazylijczycy stali z palcami w zawleczkach granatów i myśleli tylko o tym, by w razie czego nie dać się wziąć żywcem. Naogladali się tu niejednego, trudno mieć żal... Zresztą to oni mnie wyciągnęli z tłumu... potem.

– Kiedy... – musiała odchrząknąć – kiedy to zrobiłeś?

– Kiedy zastrzeliłem tego chłopaka? – Musiałem nazwać rzecz po imieniu. – A ty? Długo byś czekała?

– Ja... nie jestem lekarzem. – To chyba nie był wykręt, tylko przypomnienie, że coś nas różni.

– Ale człowiekiem jesteś, prawda? No to powiedz, ile twoim zdaniem powinien czekać człowiek? Aż tamten przestanie wyć? Do wypalenia włosów? Oczu? Strzelić, jak się zlitują i pozwolą mu upaść? Kiedy się przestanie ruszać? Gdzie przebiega ta granica człowieczeństwa? A może w ogóle nie wolno...

– Zamknij się! – krzyknęła. Zaskoczyła mnie. Oczywiście zamknąłem się natychmiast. – Kiedy strzeliłeś?

– Jak go podpalali. – Wyczułem, że żąda krótkich odpowiedzi. – Może ułamek sekundy przed, może po. Nie jestem pewien.

– Dobrze zrobiłeś.

Tak po prostu: „Dobrze zrobiłeś”; koniec, kropka.

Czekałem na więcej.

– Strzelają. – Odległy grzmot podkreślił słuszność jej uwagi. – Nie mamy nic ważniejszego do roboty?

Pomyślałem, że mogą nas niedługo zabić. I że nie jest takie ważne, czy umrze z pytaniem, którego nie odważyła się zadać, a na które ja sam, bez wyraźnej zachęty, nie miałem odwagi odpowiedzieć. Czy może z pytaniami: bo było i to drugie, istotniejsze.

– Płytki ten okop – uśmiechnąłem się blado.

Dziury w ziemi bywają ważniejsze od tych w duszach. Podniosła się i sięgnęła po łopatkę.

*

Drugi poranny atak nie przypominał pierwszego. Przede wszystkim trwał długo. Piechota, którą widać, nie porusza się szybko. Ludzie Sabaha z rzadka tylko biegli w naszą stronę – głównie się czołgali. Ze wszystkich stron, co od razu przysporzyło kłopotów obsłudze PKM-ów. Karabiny maszynowe znakomicie sobie radzą z ostrzeliwaniem wąskich sektorów, ale żaden kaem nie zatrzyma atakujących, jeśli przyjdzie mu bronić wycinka szerokości 180 stopni. A tyle właśnie przypadło na każdy z dwóch pozostałych w plutonie karabinów maszynowych.

Wszystko dlatego, że nasze wozy bojowe poniosły porażkę.

Miały być trzonem systemu obrony. Były odporne na ogień karabinowy i odłamki, widziały daleko, strzelały celnie. Starcie piechoty z odległą o setki metrów gromadą pojazdów wydawało się przedsięwzięciem samobójczym dla atakujących pieszo partyzantów. Tyle że nie takie starcie zaplanował sobie na to przedpołudnie pułkownik Sabah.

To, co wzięłem za wstęp do kanonady mózdzierzowej, było początkiem polowania na stalowe olbrzymy strzegące wąwozu. Przeciw technice użyto nie mięsa armatniego, a innej techniki. Starej, ale wciąż skutecznej w rękach dobrego dowódcy. A Sabah okazał się dobry.

Zza wzgórz otworzyły ogień działa bezodrzutowe i ciężkie granatniki, prawdopodobnie radzieckie SPG-9. Strzelały z daleka, z nikłą szansą trafienia nawet stojącego nieruchomo wozu, ale same też stanowiły mały cel, porównywalny z sylwetką przyczajonego piechura. Armaty, łącznie z tą najlepszą, czołgową, nie były dostatecznie precyzyjne, a kaemy, które brak precyzji nadrabiają gęstością ognia, nie potrafiły poważnie zaszkodzić ukazującym się sporadycznie kanonierom. Obsługa znikła po każdym strzale, zwykle razem z umieszczoną na trójnogu rurą. W przypadku cięższych dział, sprytnie rozlokowanych za wniesieniami – odjeżdżała skrytym na przeciwstoku łazikiem, by jakiś czas potem pojawić się za innym pagórkiem i powtórzyć całą operację. Oczywiście podobna taktyka urągała zasadom współczesnej sztuki wojennej, opartej na doświadczeniach Blitzkriegu – stanowiska należało uprzednio starannie wybierać i przygotowywać, a sama gra w chowanego zabierała atakującym mnóstwo czasu – lecz Sabah najwyraźniej nie zaprzętał sobie głowy tempem działań. Jeden mózdzierz po naszej stronie pokrzyżowałby mu pewnie plany, ale nie mieliśmy mózdzierza i pozostawało nam mało efektywne strzelanie na wprost.

Filipiak uznał się prawdopodobnie za prowokowanego do ataku – i oczywiście nie spuścił ze smyczy ani jednego wozu. Zapewne miał rację: aż się prosiło, by gdzieś między wąwozem a pozycjami tej pchlej artylerii umieścić w zasadzce strzelców z granatnikami. Ale, na nasze nieszczęście, ewentualną szarżę pancerną i wprowadzenie czołgu czy bewupa pod okrężny ostrzał Somalijczycy potraktowali jedynie jako ekstra premię. Okazali się dostatecznie silni, by wygrać uczciwie także walkę na dystans. Popukali z dział bezodrzutowych, chcąc sprawdzić, czy nie uda się odciągnąć któregoś z pojazdów od wąwozu, a kiedy stwierdzili, że jednak nie, wzięli się do roboty na serio.

Najpierw dwa wielkokalibrowe karabiny, też chyba zamontowane na samochodach, zaczęły obrabiać beerdeema i słabiej opancerzone boki bewupów. Potem z głębi buszu nadleciały rakiety. Trzy naraz, z trzech różnych stron.

Były powolne, jeden z operatorów wpakował swoją na drzewo, a załogi naszych wozów uważały. W porę odpalono ładunki dymne, kierowcy wykonali gwałtowny manewr, szczęście uśmiechnęło się do nich – i oba pepeki minęły się z niewidocznymi celami, wybuchając gdzieś po drugiej stronie dymnego obłoku. Ale nikogo nie zdziwiła gwałtowna, ocierająca się o paniczną, rejterada całej czwórki ku zjazdom do wąwozu.

Ciężar obrony dość nieoczekiwanie spadł na barki czterech ludzi, obsługujących karabiny maszynowe, oraz Tymoszuka, snajpera plutonu.

O dziwo, udało im się zatrzymać atak. Po dwóch godzinach od jego rozpoczęcia karabinki naszych strzelców nadal milczały, a czołówki partyzantów, z sobie wiadomych powodów, zaległy w odległości pięciuset metrów i nie próbowały pchać się dalej.

Było jasne, że knują coś paskudnego i nie dziwił mnie widok czołgu, który wraz z gromadką

ściągniętych z linii żołnierzy w pośpiechu rył przy krawędzi wąwozu stanowiska dla wozów bojowych. Mogliśmy nie zdążyć i zmarnotrawić mnóstwo energii tych kilku przeraźliwie zmęczonych chłopców, wspomagających saperkami czołgowy lemiesz, ale tylko w ten sposób można było użyć broni pancernej, nie wystawiając jej na nadmierne ryzyko. Przez cały czas byliśmy pod ostrzałem, a choć pociski starych znajomych – moździerza i granatnika automatycznego – nie nadlatywały częściej niż co kilkadziesiąt sekund, było tego dostatecznie dużo, by zszargać człowiekowi nerwy.

Potem przyleciały samoloty.

Początkowo wyglądało to jak kopia pierwszego nalotu: wysoki pułap, bomby dymne, po cztery sztuki na maszynę. Prowadzący celował w wąwóz, skrzydłowy o kilkaset metrów dalej, z wyraźnym zamiarem oślepienia piechoty okopanej na południe od niego. Trudno ocenić podkomendnego, ale dowódca chybił: bomby wybuchły na północ od wąwozu, w dodatku chyba za blisko, bo zamykający wschodnie skrzydło karabin maszynowy praktycznie nic nie stracił na skuteczności i szybko przydusił do ziemi podrywające się tyraliery. Sam wąwóz powoli napelniał się dymem, ale miało się to nijak do poprzedniej nocy za dnia i widać było, że nie grozi nam kolejna strzelanina na oślep.

Z braku lepszego zajęcia przez cały czas ryłem w ziemi. Spośród pięciu rannych, przebywających aktualnie pod moją opieką – Giełzę oddałem Olszanowi – trzech z grubsza nadawało się do prowadzenia walki obronnej. Zdobyłem pistolet maszynowy glauberyt dla postrzelonego w nadgarstek szeregowego Kozłowskiego – była to idealna broń dla jednorękiego, choć o ogniu seryjnym kazałem mu zapomnieć – ściągnąłem karabiny dla Szewczyka i Świergockiego, wyłudziłem amunicję i tuzin granatów od Ciołkosza, a na koniec przespacerowałem się i obdarłem parę ciemnoskórych trupów ze wszystkiego, co mogło służyć do zabijania.

Przy okazji, skandalicznie późno jak na lekarza, odkryłem, że po napastnikach nie został ani jeden ranny. Chyba nie dlatego, że cofając się, zabrali znaczącą ich część ze sobą: wdarli się za głęboko i tylko stuprocentowo sprawni mieli szansę wycofać się na pozycje wyjściowe. Po prostu oczyszczając teren, nasi żołnierze nie myśleli ani o oszczędzaniu amunicji, ani o prawach człowieka: najpierw strzelali parę razy w każdy kształt, przypominający Somalijczyka. Inna sprawa, że większość już przedtem nie żyła, bo przy walkach na krótki dystans, strzelając do głów i opróżniając w bojowym szale magazynki za magazynkiem, znacznie częściej zabija się przeciwnika, niż go rani.

Wracałem z łupem, kiedy nadleciała druga para myśliwców.

Przemknęły nad nami ze wschodu na zachód i był to pierwszy punkt dla oficera planującego atak. Minęły się ze specami od zadymiania o kilkanaście sekund – punkt drugi. Leciały nisko, kilkadziesiąt metrów nad sawanną – punkt trzeci. Czwartego nie dało się przyznać, choć zawinił

nie tylko planista. Gdyby prowadzący pierwszej pary spisał się lepiej i trafił w wąwóz, nawet przy termicznym celowniku zenitówki zaskoczenie byłoby pełne. Inna sprawa, że w krytycznym momencie szczuplutka obsada ZU-23, ogłuszona porykiwaniem czołgu, patrzyła w inną stronę i kamera termowizyjna nie na wiele by się zdała.

Mogło nas to kosztować przeraźliwie słono. Gdyby nie porucznik Filipiak i starszy szeregowy Szyszkowski.

Pierwszy miał dość zimnej krwi, by mimo straszliwego deficytu siły bojowej zrezygnować z jednego strzelca więcej i pozostawić Szyszkowskiego na tyłach, przy jego bezużytecznej jak dotąd rurze. Drugi zimną krwią się nie popisał i wbrew wszelkim zasadom wygarnął do nadlatujących myśliwców, gdy tylko je zobaczył.

Kąt był fatalny, samoloty sypały na boki iskrami pułapek termicznych, a pilot zdążył odnotować start rakiety i rozpocząć unik. Flary i unik prawdopodobnie nie miały znaczenia, ale zbyt mała odległość już tak: grom po prostu nie miał szans skrócić tak ostro, wobec czego poszybował stromo w niebo, zubożając skarb państwa o równowartość porządnej limuzyny.

Nie były to jednak pieniądze wyrzucone w błoto. Unik prowadzącego miał fatalne skutki, i to nie tylko dla skuteczności ataku. Wykonując go, pilot nie zrezygnował mianowicie ze swego pierwotnego celu i zwolnił bomby. Archaiczny, pamiętający epokę wojny koreańskiej mig przeniósł tylko dwie ćwierćtonówki, ale przy prawidłowym zrzucie, gdyby wybuchły w wąwozie, te dwa tępo zakończone cylindry z twardej stali prawdopodobnie dokonałyby przeraźliwych spustoszeń. Odłamki ciężkich bomb przebijają pancerze każdego pojazdu mniej masywnego niż czołg, i to w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Na szczęście zrzut wypadł fatalnie. Podrywając maszynę, pilot posłał bomby łagodnym łukiem ku górze, co przy szybkości kilkuset kilometrów na godzinę zaowocowało błędem dobrych trzystu metrów. Wszystko, co dało się powiedzieć dobrego o tym ataku, to że do porażenia własnej piechoty odrobinę mu zabrakło.

Pilot drugiej maszyny nie miał tyle szczęścia. Trzymał się ogona prowadzącego, ale nie przesadzał z tym i przy prawidłowo wykonanym zrzucie przemknąłby nad wąwozem bez narażania samolotu na spotkanie z odłamkami bomb prowadzącego. Plany wzięły jednak w łeb i szczęście uśmiechnęło się do nas aż dwa razy.

Po pierwsze: pilot spóźnił się ze zwolnieniem bomb. Miał poprawiać po koledze – a tymczasem nie było ani błysków, ani kurzu, żadnego z zakodowanych w podświadomości sygnałów. Spóźnił się więc i także jego bomby, choć idealnie w osi wąwozu, spadły za daleko na zachód.

Po drugie: nad ziemię niczyją, oddzielającą nasze skrzydło od atakujących wzdłuż wąwozu partyzantów, dotarł dokładnie w tej samej chwili, co mocno spóźnione ćwierćtonówki pierwszego miga.

Łączny efekt obu zdarzeń był nad wyraz spektakularny. Poczynając od manewrującego przy latrynie beerdeema, na przestrzeni dwustu metrów wąwóz wypełniła ogromna chmura ognia. Trochę dalej ogon miga rzygnął gęstym dymem, zaś od skrzydła oderwało się coś dostatecznie dużego, bym zdołał to wypatrzeć mimo ogarniającej mnie grozy i błyskawicznego tempa wydarzeń.

– Jezus Maria...

Nie wiem, który z rannych wydał z siebie ten jęk. Wiem dlaczego. Ognisty walec o średnicy czterdziestu metrów dość szybko zapadł się w sobie, osiadając na dnio i stokach wąwozu niczym powłoka przebitego sterowca, ale zrodzona przezeń rzeka płomieni wciąż miała długość dwóch boisk piłkarskich. Nie wszystko się tam paliło, fakt, paliło się jednak wystarczająco wiele, by myśl o zamkniętych w ogniowej pułapce nieszczęśnikach zwijała człowiekowi żołądek w bolesny węzeł.

Jeśli byli tam jacyś ludzie...

Powtarzałem sobie, że nie powinni być. Sam wąwóz nie był obsadzony, a okopy znajdowały się po kilka, kilkanaście, nawet kilkadziesiąt metrów od krawędzi i płomień raczej ich nie sięgnął. Poza tym Filipiak zabrał stamtąd większość ludzi. Być może dostało się prawoskrzydłowemu kaemowi, ale było to niczym w porównaniu z planowaną hekatombą.

Gdyby pilot wycelował prawidłowo, paliłbym się teraz ja, Gabriela i pięciu rannych, a trochę dalej, lecz dostatecznie blisko, by nasze wycia zlewały się w jedno – wszystkie wozy pancerne i sześciu żołnierzy pomagających przy pracach ziemnych. Niektórym pojazdom by to zaszkodziło, innym nie. Drabowicz, wychylony z wjazdu, pewnie podzieliłby los piechurów, resztę załogi czołgu być może uratowałby system przeciwpożarowy.

Nieco przedwczesny rzut byłby jeszcze tragiczniejszy w skutkach. Nie miałem pewności co do Agnieszki, ale i bez niej w węźle łączności spłonęłoby dodatkowo trzech ludzi.

Jeden ruch palca mógł skończyć naszą wojnę. Około dwudziestu ofiar. W tym, co gorsze, sporo żywych: Mig miał za mały udźwig, by zrzucić więcej niż pół tony napalmu, a to oznaczało, że nie wszyscy zostaliby błyskawicznie znokautowani pięścią zagęszczonego ognia. Czyli ucieczka, mnóstwo bólu i to najgorsze: bezskuteczne oczekiwanie na pomoc pod palącym słońcem Ogadenu.

Wątpliwe, by Filipiak, mając na karku pół tuzina krzyczących w męce, żywych trupów, potrafił opanować panikę wśród niedobitków i odeprzeć atak. Koniec był tuż-tuż. Ale uniknęliśmy go.

Człowiek, który omal nie wygrał bitwy dla Sabaha, też miał trochę szczęścia w nieszczęściu. I chyba był, mimo wszystko, dobrym pilotem. Nie potrafiłem inaczej wytłumaczyć faktu, iż trwale przechylony na skrzydło, dymiący jak komin samolot nie wyrznął o ziemię. Mig, prezentując pomalowany w pustynne plamy grzbiet, zatoczył krąg z zachodu na wschód i znikł

mi z oczu.

– Piechota ruszyła! – dobiegł z góry okrzyk Gabrieli. – Przynies worek, szybko!

Z pustką w głowie i trzydziestoma kilogramami czerwonej ziemi wtłoczonej w jutę wdrapałem się na krawędź sawanny.

– Wracaj na dół – zażądałem poniewczasie. W dodatku układając worek tam, gdzie chciała. Dobrze o niej świadczyło, że w ogóle raczyła odpowiedzieć. Zwłaszcza że nieopodal coś wybuchało.

– Spadaj, Szczebielewicz. Ty musisz żyć, ja tylko powinnam.

Opadła między wysokie suchorosty, opierając beryla o worek. Nim zdobyłem się na protest, posłała pierwszą kulę ku północy. Dwie sekundy celowania – i następny strzał. Przy trzecim dałem za wygraną i zbiegłem na dół.

Zaraz potem nadleciał samolot. Z południa, ale nie sposób było ulec panice i wziąć go za piątą z kolei maszynę. Pilotowi udało się wyrównać i wspiąć wyżej, ale warkocz iskier i znacznie dłuższa wstęga dymu, ciągnąca się za ogonem, stanowiły znakomity znak rozpoznawczy.

Dopiero gdy zawył, przemykając w odległości trzystu metrów, skojarzyłem niedawne wybuchy z jego obecnością. Miał działka i właśnie ich użył.

Ekipa kopaczy minęła biegiem nasz okop, kierując się na wchód. Jakiś czas potem w ich ślady poszedł BWP drugiej drużyny. BRDM pozostał na granicy pożaru: ktoś uwijał się wokół niego z gaśnicą, zbijał płomień z koła i pokrywy silnika. T-72, przyklejony gąsienicą do krawędzi wąwozu, ostrzeliwał z kaemu północno-zachodni sektor.

Siedziałem na ustawionej na sztorc walizce i czekałem.

– Jakby mi pan kapitan dał coś na ból – odezwał się znienacka Kozłowski – to mógłbym strzelać z dwóch rąk. Bo jedną to się kury maca.

– Odezwał się postrach kulochwyków – błysnął zębami Szewczyk. – Pamiętasz, jak pomacałeś krowę tym pastuchom? I to z leżącej.

– Odwał się. Specjalnie tak strzeliłem. Po co na strzelnicę lazała?

– I akurat w róg mierzyłeś, nie?

– Dałbym ci – wybawiłem z opresji czerwieniejącego chłopaka – ale na prochach byłbyś do niczego.

– On i bez prochów... o, skurczybyk!

Wszyscy zanurkowaliśmy jak najgłębiej w okop. Chyba niepotrzebnie, bo sznur smugowych pocisków przemknął wprawdzie wzdłuż wąwozu, ale pół setki eksplozji wstrząsnęło powietrzem dużo dalej. Ukryta za szańcem worków zenitówka zaczęła obracać się ku migowi, gdy ten już umykał.

Kozłowski poderwał trzymanego w zdrowej ręce glauberyta i wygarnął do poprzedzonej błękitem chmury dymu, która z wyciem i ohydny trzaskiem kruszonego metalu przewaliła się

nad naszymi głowami. Nisko. Na tyle nisko, że kiedy otrząsnąłem się z pierwszej warstwy szoku, zacząłem od spojrzenia w górę i sprawdzenia, czy bydlę nie zahaczyło skrzydłem o Gabrię.

Zobaczyłem tylko kurz, ale ten kurz połyskiwał raz po raz poświatą karabinowych wystrzałów. Zdziwiłem się, że ich nie słyszę, odwróciłem twarz ku wschodowi i zdążyłem na cudny, od dawna wyczekiwany spektakl.

Coś dużego wyleciało w górę zza dymu i ognistej plamy dopalacza, a w sekundę później ogromny kłęb ognia obwieścił koniec miga.

– No i co, Szewc? Kropnąłem i spadł. Może nie?

Szewczyk nie był w stanie odpowiedzieć. Ja też nie.

Patrzyłem na słup dymu i szukałem odpowiedzi na pytanie, czy naprawdę widzę to, co widzę. To znaczy spadochron, spływający między parasole odległych akcji.

*

– Nie było jak. – Maciaszek miał łzy w oczach i tylko te dwie niebiesko połyskujące plamy dowodziły, że nie jest świeżo wykopaną mumią. – Jak Boga kocham, nie dało rady...

– W porządku – powiedziała cicho Gabriela, podpierając się czerwoną od krwi ręką i ociężale podnosząc z klęczek. – Zrobiłeś, co mogłeś.

– Mówiłem: daj tę rurę i czołgaj się do doktora. – Nie wyglądało na to, by ją usłyszał. – Żeby wiedział, że aż tak... Ale to tylko noga, skąd mogłem... I nawet go nie bolało. Tak mówił, słowo. Kość cała, mówi, ścisnąć i można biegać. A w tym kurewskim kurzu nie było widać krwi. Tak nas ogniem przydusili, że cały czas, jak deszcz...

– Nie twoja wina. – Delikatnie, jakby to jeszcze miało znaczenie, wyjąłem igłę z ciała Grabowskiego. – Dobrze założyliście opaskę. Po prostu mocno oberwał.

– Jak wystrzelił ostatni granat, to się położył na plecach i tak jakoś uśmiechnął, aż mnie ciarki przeszły. Pyta: „Kapelana nie widać?”, no to ja: „A po co ci kapelan?”, patrzę, a on nieprzytomny. Ale nie mogłem go zabrać na tyły, bo te cholerne... bo tamci znów leżli.

Powoli wracał do siebie: udało mu się nie obrazić Gabrieli. Wytarłem dłonie o spodnie, przykryłem twarz zmarłego kawałkiem gazy. Wstając, dostrzegłem nadchodzącego środkiem wozu Ciołkosza.

– Porucznik chce was widzieć. – Twarz miał jak z kamienia, a i ton nie był tym, jakiego używają sierżanci w stosunku do kapitanów. Ale ostatecznie wszyscy nałykaliśmy się kurzu.

– Nas?

– Pana i ją. – Połączenia słów i gestu, którym wskazał Gabrię, nie umiałbym nazwać inaczej niż chamskim, ale nadal się łudziłem. Zabijanie ludzi jest z definicji przejawem daleko posuniętego chamstwa; miał prawo trochę się spóźnić z przerzuceniem zwrotnicy na

cywilizowane tory. Strzały umilkły raptem kilka minut temu.

– Cały personel za jednym zamachem?

– Nie wiem, czy cały. Czekam na pana i Murzynkę.

To już brzmiało jednoznacznie. Filipiak chciał widzieć Gabriellę, a Ciołkosz – obrazić ją. Co mu się udało.

Porucznik czekał przed okopem kryjącym radiostację, z karabinem na plecach i hełmem przy pasku. Nie wyglądał dobrze. Wyszedł z bitwy bez szwanku, ale odniosłem wrażenie, że dotyczy to jedynie ciała.

– Zejdźmy na dół – mruknął po chwili lustrowania dziewczyny dziwnie beznamiętnym spojrzeniem. – Po co sterczeć na widoku?

Nie spodobał mi się widok zebranych. Olszan, Agnieszka i Lesik mieli prawo konferować z porucznikiem, choć nie wiem, na jaki temat, lecz ich miny nie wróżyły niczego dobrego.

– Można? – Dopiero wyciągnięta dłoń Filipiaka uświadomiła mi, że Gabriela przyszła tu z karabinem przewieszonym przez ramię.

Zawahała się, ale oddała broń. Wskazał jej niszę, mogącą służyć jako fotel, usiadł na worku i powąchał wylot lufy.

– Postrzelała sobie pani – zauważył.

– O co chodzi? – zapytałem. Wzruszył ramionami, odstawił beryla.

– Moment, doktorze. Poczekajmy na Ciołkosza.

Trzeba przyznać sierżantowi, że zjawił się szybko.

– Dziesięć – rzucił radośnie.

Czekaliśmy. Dość długo: porucznik przeciągał sprawę, chcąc wycisnąć z Gabrieli parę kropeł potu więcej. Bo o nią chodziło – tyle już wiedziałem. Gapiła się na nią cała piątka.

– O co chodzi? – Wołałbym się nie wtrącać, ale to trwało za długo.

– Giełza nie żyje – oznajmił ponuro Lesik. – Ktoś go zabił.

Zerknąłem na ciemnoskóry profil z lekko zadartym nosem. Po nosie spływała kropla mętnej od kurzu cieczy. Rozumiała.

– Myślę... – zaczął niepewnie Olszan. – On chyba sam...

– Był dobrym katolikiem – zgromił go kapelan. – Niech pan nie opowiada takich rzeczy. On i Bóg znają prawdę, ale rodzina, koledzy... Rozmawialiśmy. Nie mógł aż tak zgrzeszyć.

– Co się stało? – zapytałem. Filipiak wzruszył ramionami, wymownie spojrzał na pilota. – Panie Krzyśku?

Potrzebował nieco czasu, by zacząć mówić.

– Nie wiem. Zachowywał się normalnie. Kombinowaliśmy z różnymi ustawieniami anteny, ja biegałem na górę, on sprawdzał odbiór...

– Rozmawialiście?

– Pewnie. Fakt, że nie o babach, tylko o elektronice, ale mówił rozsądnie, jeśli o to panu chodzi. Chyba nawet wymyślił, jak się za tego gruchota zabrać – rzucił wrogie spojrzenie nadajnikowi. – Tylko nie zdążyliśmy. Chłopaki cholernie gęsto strzelali, a my tu mieliśmy broń pod ręką. No więc w końcu skoczyłem na górę, żeby pomóc. Janek Kos to ja nie jestem, zwłaszcza z tą ręką, ale oczy mam dobre i przynajmniej jednego faceta położyłem na mur-beton.

– Giełza został sam? – upewniłem się.

– Nic mu nie groziło. – Na zasadzie stołu i nożyc odezwał się Lesik. – A tam umierali nasi żołnierze. Może i popełniłem błąd; ludzką rzeczą jest błądzić. Ale wtedy uważałem, że na pierwszej linii będę bardziej potrzebny.

– I co? – uśmiechnąłem się krzywo. – Strzelał ksiądz?

– Nie jest rolą kapłana strzelać. Tyle powinien pan wiedzieć.

– Faktycznie – zgodziłem się. – Choćby z własnych doświadczeń.

– Do rzeczy – uciął Filipiak. – Giełza został tu sam, a potem zginął od wybuchu granatu ręcznego. Naszego. Zaczepnego.

– Skąd pan wie, że akurat...?

– Mają wewnątrz kilkaset odcinków drutu. W nowoczesnych granatach prefabrykowane odłamki to prawie reguła, ale Afrykańczycy rzadko walczą nowoczesnymi.

– Niech pan to w końcu powie – usłyszałem bezbarwny głos Gabrieli.

– Co?

– Że to ja go zamordowałam. Do tego to wszystko zmierza, prawda?

– Zmierza do ustalenia prawdy – uprzedziła Filipiaka redaktor Wielogórska. Właśnie tak: redaktor W., nie żadna Agnieszka. Odezwał się w niej instynkt łowcy.

– Prawdy? Nie zabiłam go. Niby po co?

– Zaczniemy od sposobu. Sierżant twierdzi, że zostawił wam dwanaście granatów. Jednego typu. A teraz jest dziesięć.

Więc to dlatego Ciołkosz zgubił się nam po drodze. Sprawdzał.

– Mieliśmy bitwę, jeśli pani nie zauważyła – przypomniałem.

– Tak się składa, że też byłam na pierwszej linii – uśmiechnęła się nieznacznie. – Wie pan: zdjęcia. Pewnie nie wyjdą, ale co nieco obejrzałam. I nie wydaje mi się, by partyzanci gdziekolwiek podeszli tak blisko, by w nich rzucać granatami.

Miała cholerną rację. A ja, wbrew temu, co mi się wydawało, miałem jeszcze duże nadwyżki potu.

– To jakaś bzdura. Pani Asmare przez cały czas...

– Pani Asmare? Myślałam, że jesteście po imieniu. – Nie potrafiłem tego skomentować. – Więc byliście razem? Bez chwili przerwy?

Miałem ochotę potwierdzić i uciąć przesłuchanie, ale zdołałem się powstrzymać. Kłamstwo

jest dobre, jeśli jest skuteczne. Te z krótkimi nogami lepiej zastąpić prawdą.

– Kwestia definicji – wzruszyłem ramionami. – Była tuż obok. Pilnowała Juszczyka, a ja Wenclorza i pozostałych.

– Kto wpadł na pomysł, by go kłaść osobno? – zapytał Lesik.

– A kto tam jest od myślenia? – Tym razem mogłem śmiało łączyć: przedyskutowaliśmy to w cztery oczy. – Ja.

– Trochę dziwny pomysł: kłaść najciężej rannego z dala od lekarza.

– Gdyby lekarz OIOM-u miał do pacjenta tyle, co ja do Juszczyka, musiałby sikać do kaczki. Bo nie wyszedłby z sali.

– Nie odchodziła pani od rannego? – przejął pałeczkę Filipiak.

– Po bombardowaniu weszłam na górę. Żeby strzelać.

– Dokładnie znad honkera? – Podniósł się, wyrzwał z okopu. – Może pani pokazać to miejsce?

– Tam leży worek – wyprzedziłem dziewczynę. – Zza niego strzelała. Długo. Do niej też strzelali, jeśli już o tym mowa.

– Z okopu niewiele pan widział – zauważyła Agnieszka.

– Nosilem jej dwa razy magazynki. I nie jestem głuchy.

– To była długa bitwa. A od was do węzła łączności jest raptem parę sekund biegiem.

– Zostawmy to – zaproponował Filipiak. – Jak pan wyjaśni kwestię granatów?

– Dajcie spokój – chwyciłem się ostatniej szansy. – Nikt tego nie liczył; sierżant sypnął na oko ze skrzynki...

– Było dwanaście. Pamiętam. – Ciołkosz bardzo pospieszył się z tą deklaracją.

– A teraz jest dziesięć? – Filipiak był zbyt subtelny, by wprost oznajmiać, że ktoś tu robi z niego idiotę, więc uznał za wskazane powtarzać tę liczbę tak długo, aż ustąpimy przed wymową faktów.

– Równa dycha. Trzy razy liczyłem.

Miałem na końcu języka uwagę, że trzy razy to być może za mało, jeśli ktoś liczy dziesięć dużych, ułożonych w rzędzie przedmiotów, ale nie zdążyłem jej wygłosić. Gabriela sięgnęła do parcianej torby wiszącej przy biodrze, wyjęła dwa zielone cylindry i powoli, jeden po drugim, rzuciła Filipiakowi na kolana. Oba granaty były zabezpieczone, ale i tak miał minę niewiele szczęśliwszą niż faceci, którym spada pod nogi coś takiego, tyle że bez zawlecзки.

Przez chwilę nad okopem wisiało ciężkie jak akumulator milczenie. Tylko Olszan uśmiechał się z ulgą. Cała reszta robiła wrażenie skrzywdzonych. W różnym stopniu, ale cała.

– Właściwie... – Ciołkosz otrząsnął się pierwszy. – Doktor ma rację. Faktycznie nie bardzo liczyliśmy. Mogłem się rąbnąć o jedną sztukę... w tę czy tę.

Nawet dobrze to rozegrał, tylko z momentem nie bardzo trafił. Czekałem, by ktoś mu to

uświadomił.

– No to się wyjaśniło – wzruszył ramionami Olszan. – Tak jak mówiłem: Gielza sam to zrobił.

Nikt nie patrzył na Gabrielę. Gabriela patrzyła na jeden ze swych butów. Z rozciętego uda znów sączyła się krew.

– Zginął od naszego granatu – mruknął Filipiak. – Leży na górze, w krzakach. A tu nie było granatów. Specjalnie zwracałem uwagę, żeby przy radiu nie było niczego, czym mógłby... Umie ktoś wyjaśnić, jak to zrobił, jeśli zrobił sam?

Nikt się nie zgłaszał. Agnieszka przez chwilę dość intensywnie wpatrywała się w Olszana, ale trudno to uznać za zgłoszenie.

– A motyw? – zapytałem. – Po co ktoś miałby zabijać Gielzę?

– To akurat proste – wskazał radiostację Lesik.

– Pozostaje pan Olszan – przypomniałem. – A zresztą to bez sensu. Nie prościej rozwalić nadajnik?

– Może i ktoś próbował – mruknął ponuro Filipiak. – Tu wszędzie pełno żelastwa, w przedpiersiu też. Możliwe, że granat miał trafić w okop, radio i obu operatorów, ale Olszan poszedł strzelać, a granat trafił w Gielzę. Bo tyle wiemy na pewno: że wybuchł mu tuż przed piersią. Mógł wpaść do okopu, Gielza go wyrzucił i właśnie wtedy...

– I co: morderca dał sobie spokój z niszczeniem radia, za to zawlókł zwłoki na górę? – Olszanowi hipoteza nie trafiła do przekonania. – Po co?

– Może nie miał drugiego granatu.

– Na radio wystarczy kamień.

– Pewnie. Tylko że to byłby już jawny sabotaż. A Gielza rozerwany na przedpiersiu okopu z daleka pachniałby morderstwem. Samobójstwa popełnia się na uboczu. Gdybym to ja go zabił, a chciał upozorować samobójstwo, też zawlókłbym ciało na górę, podrzucił łyżkę i zawleczkę, a nie ruszał radia.

To miało sens. Nie podobało mi się, ale głupie nie było.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Agnieszka. – Na ukaefie to radio nadal działa. Nam nie jest to do niczego potrzebne, ale gdyby przyjąć, że ktoś tu gra dla drugiej strony, to pewnie dałby wiele, by pogadać z pracodawcą. Mógł mieć do przekazania ważny meldunek. Na tyle ważny, by ryzykować morderstwo. Bo ryzykował jak diabli.

To też nie było głupie. Jakoś nie miałem szczęścia do idiotów, straszili mnie sami rozsądni, poważni ludzie.

– Ledwie dyszymy – nazwałem rzeczy po imieniu. – Ten kamikadze prawie przerobił nas na befsztyki. Sabah wali ze wszystkiego, co ma, do wszystkiego, co się rusza. Nigdy nie byłem szpiegiem, ale gdybym był, to dawno dałbym sobie spokój. Przecież jeśli Sabahowi uda się

w końcu szturm, dojdzie do takiej jatki, że połowa jego poległych zginie od własnych kul. Cóż dopiero mówić o kimś od nas.

– To ryzykowny zawód – stwierdziła Agnieszka.

– Ale nikt się nie da dobrowolnie obrzucać napalmem.

– Święta prawda – poparł mnie Olszan.

Zasiałem ziarno wątpliwości. Był to krok we właściwą stronę. Zrobiłbym następny, gdyby nie podstawiono mi nogi, i to z najmniej spodziewanej strony.

– A może właśnie o to chodziło? – odezwała się Gabriela. – Może ktoś się przeraził i postanowił za wszelką cenę pogadać z szefem? Wybić mu z głowy wojnę totalną?

– To brzmi logicznie – Lesik posłał jej trochę zdziwione spojrzenie. – Czyli zgadza się pani z naszą tezą? Możemy mieć wśród siebie Judasza?

– Możemy – dobiła mnie gładko. Podniosła się, nie pytając o zgodę sięgnęła po karabin. – To nie ja, ale ktoś taki może istnieć.

Przerzuciła pas nośny przez ramię i odeszła.

*

– Powiniennem ci zaszyć usta.

– Jesteś gorszy od tubylców – powiedziała bez uśmiechu. – Oni przynajmniej ustom dają spokój.

– Co to miało znaczyć?

– Nie słyszałeś? Mamy tu w Afryce stary, uroczy zwyczaj. Otóż w celu ustrzeżenia panińskiej cnoty, dziewczynie...

– Daruj to sobie – rzuciłem chłodno.

– Lekarza nie powinno to szokować.

– Szokuje mnie twoja głupota. – Pchnąłem ją lekko w stronę worka-fotela. – Siadaj, zszyję ci nogę. Korci mnie, by coś zaszyć.

– Proszę? – Zdziwiła się.

– Nie musisz prosić. – Otworzyłem walizkę, na stałe ustawioną przy pościeli Juszczyka, wyjąłem nici chirurgiczne. – Starczy, że płacisz.

– Nie mam czym. – Usiadła. – Jestem zupełnie goła.

– No to nie musisz się martwić o rachunek.

– Nie rozumiem – uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie? W głębi ducha musisz być blondynką.

– No, no. Może i głupia, ale żeby zaraz blondynka? – Już otwarcie szczyrzyła zęby. – Chociaż coś w tym jest. Jak byłam mała, to utleniłam sobie włosy. Naprawdę. Jedna miła

sąsiadka powiedziała babce, że tak naprawdę to wcale nie wyglądam aż tak bardzo na dziecko Murzyna i gdyby tak trochę jaśniejsze włosy, to latem, kiedy ludzie są opaleni...

– Nie rób tego więcej. – Nawlokłem nić na najmniejszą ze znalezionych igieł. – Nie ma bardziej idiotycznego widoku niż czarna dziewczyna z białą fryzurą. Ciemny brąz, lekko rudawy... to wszystko, na co możesz sobie pozwolić.

– Bo co? – nastroszyła się, na szczęście żartobliwie.

– Bo ktoś uzna, że nie jesteś ładna albo że jesteś głupia. A to nieprawda. – Przyglądała mi się przez chwilę trochę większymi niż uprzednio oczami. – No, dawaj tę nogę.

Odkręciłem manierkę i zwilżyłem kawałek waty. Oszczędnie. Więcej wody nie mieliśmy.

– Ty nie żartujesz? – Zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Pogroziłem jej palcem i pozostała na worku. – Szkoda zachodu. To nawet nie...

– Dostaniesz gangreny, utną ci nogę i nikt się z tobą nie ożeni.

– To Afryka, biały ignorancie. Tu nawet dziewczyna z jedną nogą nie jest bez szans. Na żonę numer trzy nadaje się znakomicie. Może kręcić żarnami, gotować, pilnować dzieci. Mniej je i się nie włóczy.

– Czekaj... kosztuje też mniej?

– Grosze. Muszelki, znaczy – poprawiła się.

Nie wiem, jakim cudem tak mnie zniosło. Z awantury we flirt. Byłem na nią naprawdę zły. Jeszcze przed chwilą.

– Przekonałaś mnie. Co muszę zrobić, żeby zostać muzułmaninem?

– Na początek sprać mnie za chodzenie z gołymi nogami... auuuu!

– Mówiłaś, że nie boli. – Ostrożnie, wmawiając sobie, że z szacunku dla deficytowej wody, oczyszczałem okolice rany. – Kłamczucha. Cholera, dawno trzeba to było umyć.

– Nic mi nie mów o myciu – jęknęła. – Czuję się jak kupa kompostu.

– Przesadzasz. – Starłem się, by brzmiało to przekonująco, więc wypadło przeraźliwie nieszczerze.

– Zgłoś się do laryngologa. Chyba ci węch odstrzelili.

– Przestań się nad sobą użalać, szczęściaro w szortach. Co ma powiedzieć regulaminowo umundurowany żołnierz?

– Ale ja się właśnie nad tobą użalam. Siebie każdy jakoś znosi. A ty przywykłeś pewnie do czyściutkich, wyperfumowanych... auu... pacjentek. Po co ci ta pęseta?

– Jesteś za brudna, by cię dotykać ręką. Teraz zabolę.

– Auuuć!

– Trzeba to było umyć i zabandażować. Masz tu jakieś paprochy.

– Nie ma wody. A to tylko zadrapanie.

– Na mózgu masz chyba zadrapanie, wiesz? To głębsze niż myślałem. Czym się tak...?

– Chyba bagnetem, jak zrywałam siatkę. – Zassała powietrze przez zaciskane zęby. – Kurczę... to naprawdę boli. Musisz w tym grzebać?

– Dałbym ci miejscowe znieczulenie, ale... A zresztą, niech tam.

Zacząłem się odwracać w stronę walizki. Złapała mnie za ramię. Dopiero teraz byliśmy naprawdę blisko siebie. Czulem wyraźnie jej zapach – i resztę. Prawdę mówiąc: głównie tę resztę.

– Zostaw. – Była trochę skrępowana. – Nie mi nie będzie.

– Niedługo przylecą samoloty i zrzucą, czego dusza zapagnie.

– A jak nie przylecą?

– Muszą.

– Minęło południe. I nic. Więc lepiej oszczędzaj leki. Mogą się dzisiaj w ogóle nie pokazać.

– Jesteś już dużą dziewczynką. – Odsunęła się trochę, wciąż jednak czulem dotyk jej kolana na piersi. – Chyba mogę ci to powiedzieć: jak nas nie wyciągną z tego gówna, to utoniemy. Najdalej w nocy. Więc daj sobie zrobić ten zastrzyk.

– Lekarz powinien bardziej tryskać optymizmem.

– Tryskam. Inaczej nie męczyłbym cię teraz. Do wieczora na pewno nie umrzesz na gangrenę.

– Nie rób mi zastrzyku – powiedziała miękko. – Boję się zastrzyków.

– A ja cię miałem za dużą dziewczynkę...

Uśmiechnęła się i odchyliła tułów do tyłu, podpierając się rękami daleko za pośladkami. Pewnie po to, by zrobić mi więcej miejsca i bym jej nie zahaczył igłą. Nie wierzę, by kierowała się czymkolwiek innym. To, co jej sutki zrobiły z napiętą koszulką, nie było zaplanowane.

Ja też niczego nie planowałem. Na pewno nie całowania jej nogi. Dopiero odrywając usta od rozciętego uda i zaglądając w zastygłą z wrażenia twarz Gabrieli, wykrzesalem z mózgu odrobinę myśli.

– Teraz już nie boli – powiedziałem lekko ochryplym głosem. – Małym dziewczynkom to zawsze pomaga.

*

– Żyje pan, doktorze?

Dźwignąłem się niechętnie ze swego miejsca przed chłodnicą honkera. Lejący się z nieba żar i mniej permanentne, ale powtarzające się co parę minut puknięcia granatnika wykluczały wizyty o czysto towarzyskim charakterze. Olszan miał zresztą o dwa powody więcej, by takowych nie składać: ranę i Agnieszkę. Czegoś pewnie chciał.

– Nie wiem. Smażone białko nie powinno. – Przesunąłem się, robiąc mu miejsce

i pozwalając kucnąć w skrawku cienia. – Co się urodziło?

– Jeszcze nic – uśmiechnął się z domieszką bólu. – Ale dobrze, że mi pan przypomniał. Dalej szerzy pan higienę i oświatę seksualną?

– Ma pan na myśli...? – Nie dokończyłem, widząc łobuzerski, choć i trochę zmieszany uśmiech. – Nie... nie wierzę. Teraz?!

– A co nam pozostało? To pana gorszy?

– Nnnnie... Od gorszenia mamy połowe duszpasterstwo. Tylko trochę mnie pan zaskoczył. W tym piekarniku... no, no.

– Jakby pan zgadł: w samuraju. Podrasowali go dla turystów: rozkładane fotele, zasłonki... W razie czego służę wolną chatą.

– Dzięki – mruknąłem. – Ale chyba nie będę miał okazji.

– E tam... Po mojemu może pan mieć aż dwie: czarną i białą. Obie na pana lecą. Ja osobiście – skorzystał z faktu, że mnie zatkało – wybrałbym białą. Mówię panu: tylko Jola. Do łóżka trzeba brać panienki ładniutkie i niezbyt bystre. Broń Boże delikatne i mądre, chyba że trafi się amatorka wolnej miłości i sama zaproponuje seks bez zobowiązań. Ale to rzadkość. Najwięcej jest prostodusznych dziewczyn, które wprawdzie pieprzą się z ochotą, ale przy okazji sprawdzają, ile facet ma na koncie i czym jeździ. Oczywiście upraszczam – zakończył łaskawie.

– Skąd panu przyszło do głowy, że Jola...?

– Addis Abeba to mała miejscina. Przyjechała do Afryki na safari. Cel: zaobrączkować faceta w mundurze. Macie stałą, pewną robotę, mieszkanie, wcześniejszą emeryturę. W dzisiejszych czasach łakome z was kąski. A gdyby się jeszcze trafił lekarz... Zresztą to tradycja, prawda? Lekarz i pielęgniarka. Mnóstwo dziewczyn nakłada czepek tylko po to, by jakiś sławny chirurg zdjął im majtki, a założył obrączkę. No i dobrze. Lepiej szukać miłości w pracy, zamiast po knajpach.

– Nie jestem sławnym chirurgiem.

– A ona nie jest królową pielęgniarek. Ma akurat tyle rozumu, by to sobie uświadomić. A tak w ogóle, to ostatnia, z którą bym się żenił.

– I pcha mi ją pan do łóżka? Naraziłem się czymś?

Posłał mi swój łobuzerski, chłopięcy uśmiech.

– Dokładnie na odwrót. Równy z pana gość, więc udzielam życzliwej rady. Nie chcę, żeby komplikował pan sobie życie. Jolę łatwo zaciągnąć do samuraja i równie łatwo potem spławić. Porzuca talerzami, rozpowie, komu się da, że ma pan małego, i raz-dwa wylądjuje w łóżku z innym. Lepiej ustawionym. Nie ma się kaca po rozstaniu z kimś takim.

– Psycholog z pana – mruknąłem.

– Sporo czytam i ładnie wyglądam. – Znów ten zabójczy, zniewalający uśmiech. – Baby na mnie lecą, mam trochę doświadczenia. Aż dziwne...

Czekałem, patrząc, jak odpływa myślami gdzieś daleko.

– Dziwne? – upomniałem się wreszcie.

– Co? A... tak. Myślałem właśnie, jakie to życie durne. Tyle lat nic, a teraz, na końcu świata, akurat jak się wszystko tak popierdoliło... Myśli pan, że to dlatego? Ze strachu?

– Agnieszka? – zapytałem cicho. Ktoś chrapał w okopie; wielka, znużona upałem mucha wlokła się po podpierającym siatkę palu.

– Podobno frontowe przyjaźnie są naj... no, są naj. Pod każdym względem. Może z miłością jest tak samo?

– Miłością? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

– Tak sobie teoretyzuję. – Nie silił się, by mnie o tym przekonać. – Co na to medycyna? Może być tak, że nie będę mógł nawet patrzeć na Wielogórkę, jak się zrobi normalnie?

– Aż tak to nie. To atrakcyjna... – zawahałem się – dziewczyna.

– Kobieta – powiedział z nieco smętnym uśmiechem. – Nie bójmy się tego słowa. Jest starsza ode mnie i ma Michałka.

– Dziecko? – Zbił mnie z tropu. – A...?

– Męża nie. Kto by się żenił z taką kosą. Trzeba być kompletnie pozbawionym kompleksu niższości. W dodatku wcale nie jest ładna.

– Nie? – Doktor Szczebielewicz zbity z tropu po raz drugi.

– I to mnie zastanawia. Trochę lepiej niż brzydula, zarozumiała, obracająca się w wyższych sferach, z dzieckiem, z Warszawy...

– I to pana zastanawia? – upewniłem się. – No to faktycznie problem. Bo to wszystko może martwić tylko w jednym przypadku.

– No właśnie.

Jakiś czas siedzieliśmy pogrążeni w myślach. Każdy w swoich, ale były chyba podobne.

– Tak naprawdę kazała mi zmienić opatrunek – uśmiechnął się w końcu. – To drugie ewentualnie przy okazji. Tak powiedziała.

– Miłe – odpowiedziałem uśmiechem. Wyobraziłem sobie Gabrielę, udzielającą mi podobnego instruktażu. – Zobaczę, co się da zrobić.

Przeszukałem nawet zestaw potrzebny przy opiece nad Juszczykiem, co kosztowało mnie konieczność zignorowania sennego pytania dziewczyny. Moja odpowiedź pewnie błyskawicznie wybiłaby ją z odrętwienia.

Rezultaty były mizerne.

– Wstyd powiedzieć – machnąłem lśniącym opakowaniem. – Ostatnia.

– Niektórzy by się chwalili – wyszczerzył zęby.

– Cud, że w ogóle się tu zabłąkały. To zestaw ratunkowy, do nagłych wypadków i wylotu śmigłowcem.

– Będziemy jej używać z należyty szacunkiem – obiecał.

– Brazylijczycy mają tego na pęczki. Niezłe zabezpieczenie broni przed zapiaszczeniem... bez głupich śmiechów, mówię serio.

– Wiem, wiem... przepraszam. A my co: mamy lepsze karabiny?

– Więcej Lesików w szeregach. No, to obejrzyjmy to ramię...

Kończyłem zmianę opatrunku, kiedy pojawił się Morawski. Miał na sobie zakrwawioną kamizelkę założoną na nagi tors, góra kombinezonu wisiała z tyłu jak ogon bobra, o boki objało się oporządzenie.

– Wyglądasz w końcu jak człowiek – przywitał go Olszan. – Niedbale i łajzowato. Jeszcze trochę, a zgodzę się z tobą latać.

– Nie ma komu dawać dobrego przykładu. Zostało szesnastu żołnierzy na chodzie.

– Szesnastu? – Straciłem rachubę przy Grabowskim. – Jezu.

– Nie widziałem, by kogoś grzebali – zmarszczył brwi Olszan. – Lesik wie?

– A co mnie obchodzi Lesik? Jak zobaczę lecącego po niebie białego faceta z harfą, to go zawołam, ale póki co... Macie coś do picia?

– Czekaj no – pociągnąłem nosem. – Czy ty aby...?

– Aby, aby – machnął lekceważąco ręką. – Wołynow miał kropelkę.

– Chyba zdurniałeś – zniżyłem głos.

– Celną diagnoza. – Miał dość rozumu, by cofnąć się na tyły honkera. Tu w zastępstwie rannych mogła nas podsłuchać Gabriela, ale demoralizowanie cywilów można oficerowi od biedy wybaczyć. – To wszystko jest tak durne, że musiałem się napić.

– Powinien urządzić im pogrzeb – mruknął Olszan.

– Co jest durne? – zignorowałem go.

– Ta rzeź. Dwudziestu dwóch zabitych. Nie można było tego inaczej załatwić?

Patrzyłem mu w oczy i myślałem o tym, jak trudno poznać człowieka.

– Chodzi ci o to – powiedziałem wolno – że powinniśmy ją oddać?

– W ogóle nie powinniśmy jej brać. Do piachu i... – urwał nagle. – O czym ty właściwie...? – znów urwał, tym razem na dobre.

– A wracając do pogrzebu... – Olszan przerwał chwilę niezręcznego milczenia. – Mógłbyś wziąć Lesika do galopu. Siedzi nam na głowie i przynudza, nie da swobodnie pogadać. A ciała w tym upale...

Twarz Morawskiego wróciła do normy. Tej po paru głębszych.

– Swobodna wymiana? Myśli, tak? Rozumiem, kolego pilocie. Dobra.

Gabriela pojawiła się obok z dyskrecją brązowego ducha, co tylko po części tłumaczyły bosa stopy.

– Możecie na chwilę przestać? – dotknęła ramienia majora. – Chyba coś słyszę.

Zrobiło się cicho. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak straszną martwością tchnie to miejsce, gdy nikt nie strzela. Dziewczyna stała przez chwilę nieruchomo, po czym uniosła rękę, wskazując jakiś punkt na horyzoncie. Morawski nie miał problemów z nakierowaniem lornetki.

– Samolot. – Olszan nie potrzebował szkielec, by to stwierdzić.

– Tak. – Nie odrywając lornetki od oczu, Morawski wduśił przycisk radiostacji. – Uwaga, panowie, mamy gościa. Jedna maszyna w namiarze dziesięć. Szyszkowski, przygotuj się.

Usłyszałem gwizdek, lufa działka obróciła się energicznie.

– Ciekawe – mruknął Morawski. Mój żołądek zrobił się cięższy.

– Wypluj to – rzuciłem ponuro. – Jak ostatni raz tak mówiłeś... Niech to będzie nieciekawym mirage. Cokolwiek, byle nie następny mig.

Już widziałem samolot. Olszan widział więcej.

– Ty, co on ma pod skrzydłami? – zdziwił się. – Zbiorniki?

– Mam dwie wiadomości – oznajmił zamyślnym głosem major. Jęknąłem. – Dobra, że to nie mig. Wygląda jak Il-28. Silniki, nie zbiorniki.

– To jest ta zła? – upewniła się Gabriela. Pewnie nie ona jedna miała wątpliwości. W Afryce nawet w czasach zimnowojennych marka samolotu niewiele mówiła. – Co to za samolot?

– Autentyczny, staromodny bombowiec. Rocznik 48, pierwszy radziecki napędzany silnikami odrzutowymi. Trzy osoby załogi, trzy tony udźwigu, wieżyczka strzelecka w ogonie i dwa działka z przodu.

– Wszystkiego po trzy – podsumowałem. – A czyja jest ta cholerna trójka? Bo przecież nie rosyjska.

– Ruscy już zapomnieli, że takie mieli. Dobre pytanie. Nie wiem.

Rocznik 48, jak na klasyczny bombowiec przystało, przesuwał się po niebie majestatycznie i niespiesznie. Pewnie dlatego nikt nie nurkował w okopie.

– I to jest całe wojsko – splunął Olszan. – On nie wie.

– To znaczy, że mają je i Etiopczycy, i Somalijscy? – Nie zamierzałem bronić honoru armii, tylko nazwać rzeczy po imieniu.

– W tym sęk, że ani ci, ani ci. Egipt miał w miarę niedawno parę rozpoznawczych... ale to daleko. No i chyba Jemen.

– Co by tu robił jemeński bombowiec? – wyraził wątpliwość Olszan. Po czym sam sobie odpowiedział: – Rzucił bomby?

Zauważyłem, że głos mu wyraźnie stwardniał.

– Rozproszyc się i ukryc – zaskrzeczało radio głosem Filipiaka.

Pchnąłem Gabrielę, wskazując beerdeema. Zrobiła krok i się zatrzymała. Wyglądała jak jedno wielkie niezdecydowanie.

– No już, biegnij.

– Zostanę... – zawahała się – z wami.

Pchnąłem ją ponownie, ale tak, że trzy kroki musiała przebiec. Znow się obejrzała, lecz rozsądek wziął górę. Znikła pod pancierzem. Olszan też się wyniósł. Morawski został.

Dopiero teraz zauważyłem, że łąl leci nie tyle wolno, co kursem, który bynajmniej nie przebiegał nad nami. To znaczy: pierwotnie. Bo w pewnym momencie zaczął zawracać.

Mimo wszystko włókl się po niebie. Nie tak pilotuje się maszynę, która podchodzi do ataku.

– Słuchaj... może to jednak zrzut? Nisko zszedł, wolno leci...

Morawski nie odpowiedział. To on miał wydać rozkaz otwarcia ognia. Musiał się zastanowić. Bombowiec jest nawet lepszy od samolotu transportowego, jeśli trzeba zrzucić względnie niewielki ładunek w precyzyjnie wyznaczony punkt i nie dać się przy tym zestrzelić.

– Szyszkowski – w głosie majora trudno było rozróżnić emocje – on ma etiopskie oznakowanie. Uważaj, chłopie. Spokojnie.

Nie zazdrościłem im. Gdyby zestrzelili łąl, a potem okazałoby się, że to była sojusznicza maszyna z jakichś świeżych dostaw... Nie mówiąc o tym, że przy okazji mogli zabić nas wszystkich. Zaręba miałby pewnie wielkie problemy z wyżebraniem następnego bombowca.

– Podchodzi do zrzutu.

Bał się. Czulem ten strach wyraźniej niż własny.

Samolot otworzył komorę bombową. Leciał nisko i powoli, jak w starym dowcipie o matce pilota, choć oba te pojęcia były względne, bo oznaczały pułap tysiąca metrów i szybkość myśliwca z ostatniej wojny światowej. Był poza zasięgiem karabinów – tylko i aż tyle. Półcalowe wukaemy mogły go dosięgnąć, ale w rękach kiepsko wyszkolonych partyzantów i w ilości jednego czy dwóch na większy oddział nie stanowiły śmiertelnego zagrożenia. Szczególnie jeśli leciało się dwusilnikową maszyną, zaprojektowaną właśnie w epoce działek i kaemów.

Szansa wywinięcia się naszej zenitówce była znacznie mniejsza. Nie mówiąc o gromie. Pilot łąl musiał to wiedzieć, a my wiedzieliśmy, że on wie, i to prawdopodobnie przeważało szalę.

Nie otworzyliśmy ognia do sunącego nad wąwozem samolotu.

Rakieta, która go trafiła, nadleciała z głębi sawanny.

Była nieduża, widoczna tylko dzięki warkoczowi dymu. Typowy pocisk ręcznej wyrzutni, standard w każdej szanującej się armii, ale bardzo rzadko spotykany na frontach etiopskiej wojny domowej. Pilot musiał być zdziwiony, kiedy wystrzelona przez obdartego koczownika rakietą rozwalila mu prawy silnik. Chyba nie zauważył jej wcześniej: aż do momentu wybuchu bombowiec leciał jak po sznurku, szykując się do zrzutu.

Zabrakło sekund. Lekka głowica nie przerobiła wprawdzie samolotu na tak popularną w filmach kulę ognia, ale silnik, zamiast ciągu, od razu zaczął produkować dym i ogień. Nim pilot skontrolował sterami, asymetria napędu zepchnęła maszynę z kursu i wypuszczając spod brzucha pierwszy zasobnik iliuszyn był już spory kawałek poza płaszczyznę wytyczoną przez

wąwóz. Jeden po drugim, dziesięć długich cygar wypadło z komory, tworząc łagodny, wznoszący się w miarę oddalania sierp.

– Cholera – zaklął Morawski. – A jednak nasz... Może dociągnie.

Pierwszy rozkwitający na północ od wąwozu spadochron ostatecznie przesądził kwestię przynależności ła. Przywiózł zaopatrzenie, które opadało teraz szybko, choć bez porównania wolniej od bomb, gdzieś na ziemię niczyją.

– Kurwa – zakląłem. – Parę sekund później i byśmy to mieli.

– Dowódca do wszystkich – przemówiło radio. – Brać namiary na miejsca upadku. Spróbujemy ściągnąć chociaż te najbliższe.

Bombowiec, dymiąc, ale wolno nabierając wysokości, odlatywał na północ. Jakiś kaem obsypał go gradem pocisków smugowych i dopiero widok leniwego sznura paciorków, o całe hektary mijającego się z powolną na pozór maszyną, pozwalał człowiekowi zdać sobie sprawę, jak trudnym celem może być odrzutowiec.

Lepiej poszło innemu kaemiście, który wziął na muszkę jeden z bliższych nam zasobników. Ładunkiem zakołysało; jeśli w środku było radio, woda czy paliwo, właśnie straciliśmy dziesięć procent zrzuca. Jeśli amunicja, to jeszcze nie.

– Na górę – rzucił Morawski.

Zdążyliśmy. Żaden z zasobników nie dotarł jeszcze do ziemi. Morawski podrywał lornetkę, gdy pierwszy zawieszony na linkach spadochronu walec rozsypał się na rój mniejszych przedmiotów, odskakujących na boki i na podobieństwo desantowanych grupowo komandosów rozwijających w pośpiechu malutkie czasze spadochroników.

Zanim z wrażenia opadła mi szczęka, nastąpiło rozcalenie kolejnej bomby. Potem drugiej, piątej... Pomijając jedną, opadającą gdzieś w połowie rozciągniętego na pół kilometra łańcucha, cała pozostała dziewiątka wysypała swą zawartość w ciągu najwyżej czterech sekund.

– O, kurwa... – Morawski omal nie rozbił lornetki, opuszczając ją wraz z bezwładnymi rękami. Prawie półtora tysiąca małych spadochroników mknęło ku ziemi, nie tyle opóźniając tempo opadania podwieszonych pod nimi ładunków, co stabilizując je i zmuszając do przyjęcia zbliżonej do pionu pozycji. Oczywiście nigdy w życiu nie policzyłbym tego rozsianego po niebie mrowia – po prostu zgadłem, na co patrzę.

Dziesięć bomb kasetowych, po półtorej setki podpocisków w każdej.

Wiedziałem, do czego zdolny jest ten stalowy deszcz. Totalna zagłada wszystkiego, co żywe i nieopancerzone w miejscu upadku, a zarazem niemal całkowite bezpieczeństwo już kilkanaście kroków dalej – urok maleńkich prefabrykowanych odłamków polega na tym, że jest ich mnóstwo i że już na dystansie kilku metrów tracą mordercze właściwości. Nie chowałem więc głowy. Klęczałem, z mieszaniną fascynacji i zgrozy wpatrując się w przeraźliwą orgię błysków i kurzu, kurzu i błysków, fruujących krzaków i płonącej trawy.

Szeroki na pięćdziesiąt i długi na pięćset metrów pas sawanny eksplodował w setkach miejsc, wypełniając się drobnymi gwiazdkami ognia jak niebo nad świętującą sylwestra metropolią. Eksplozje tysiąca kilkuset bombek, z których każda ważyła trochę ponad kilogram, poderwały do góry kilkuhektarową chmurę kurzu; przynajmniej milion okruchów metalu ciężło powietrze i dziurawiło piach.

Byliśmy daleko i mogliśmy patrzeć.

Kiedy zrobiło się cicho, Morawski założył osłonę na szkła lornetki i odszedł bez słowa. Wstrząśnięty, ale chyba trochę bardziej zamyślony.

*

Worek leniwie przesunął się nad wygładzoną belką. Operator wyciągarki przegapił właściwy moment i zaczepiony na końcu liny ładunek sturlał się aż na dno wąwozu, tłukąc w regularnych odstępach wysuniętą z jakiejś dziury ludzką ręką. Kierujący ewakuacją zwłok Hanusik pokręcił głową, ale nie powiedział słowa.

Wszyscy mieliśmy dość. Pragnienie przestało dokuczać – teraz już otwarcie dręczyło. Przy trzydziestu stopniach w cieniu, nie mając tego cienia, prawie nie zdejmując ciężkich kamizelek i hełmów, ryjąc nowe i nowe rowy strzeleckie, zabijając i próbując nie dać się zabić, już dawno wypociliśmy z organizmów nie tylko dzisiejszą rację wody, ale chyba wszystko, co wypiliśmy wczoraj.

Żołnierzy wciąż było stać na walkę. Na organizowanie przyzwoitych pogrzebów – już nie. Dwaj ruszający się jak muchy w smole chłopcy przeciągnęli zwłoki na plandekę, zwalili obok trójki innych, Hanusik machnął ręką i BWP ruszył, ciągnąc za sobą makabryczny ładunek. Nikt nie miał siły wnosić trupów do środka czy na dach. Lesikowi pewnie by się to nie spodobało, ale nie było go tutaj.

– Chcą pić.

Odróciłem się i przez chwilę przyglądałem się Gabrieli. Miała na sobie tylko szorty i podkoszulek bez rękawów, ale mimo lepszego chłodzenia nie przewyższała energią podwładnych Hanusika.

– A ty? – Nie wiem, po kiego diabła o to pytałem.

– Sprzedam się za szklankę wody – zdobyła się na słaby uśmiech.

Cholera. Żartowała, jasne, ale przez chwilę, całkiem długą, nie pamiętałem, że i ja oddałbym niejedno za łyk czegoś mokrego.

– Nie stać mnie – powiedziałem z marną podróbką udawanego żalu. Pod cienką maską błazenady coś naprawdę we mnie załkało.

– Szkoooda – westchnęła. Miała więcej klasy niż ja i nadal brzmiało to żartobliwie. Ta

rozmowa zapewne nie zaprowadziłaby nas donikąd, ale chyba troszeczkę ucieszył mnie widok Morawskiego.

– Porucznik chce nas widzieć – mruknął. – Chodź, to chyba ważne.

*

Zasieki prezentowały się dużo lepiej od tych, które zdążyliśmy – a raczej nie zdążyliśmy – zbudować na drugim końcu obozu. Dużo drutu, co najmniej kilkanaście min kierunkowych, czekających na frajerów, którzy spróbują pchać się wzdłuż wąwozu. Ustawiono je chyba zgodnie z konwencją – na prąd i zdalne odpalenie – ale z przodu było też sporo odciągów i chyba przerobione na pułapki granaty.

– Trafili któregoś kaemistę? – Mój refleks wypłynął wraz z resztkami potu: wpadłem na to dopiero na końcu wytyczonej wbitymi w ziemię zapalkami, bezpiecznej ścieżki. – Cholera, nie wziąłem...

– W porządku. Filipiak nic nie mówił o rannym.

Trzysta metrów dalej znaleźliśmy go klęczącego nad ludzkim ciałem. Trochę dalej tulił się do kamienia któryś z naszych żołnierzy z karabinem wycelowanym w najbliższy zakręt wąwozu.

– Nie żyje? – zapytałem. Filipiak trzymał beryla w jednej, a jakiś papier w drugiej dłoni. Nie wyglądało to na udzielanie pierwszej pomocy. Zwłaszcza że leżący nie miał na sobie plamiaka Wojska Polskiego. Ubrany był w oliwkowy kombinezon przeciwprzeciążeniowy pilota myśliwskiego, brunatny w tej chwili od krwi.

– Jeszcze przed chwilą żył.

Posłałem porucznikowi pełne niedowierzania spojrzenie, a potem szybko klęknąłem po drugiej stronie leżącego. Miał jakieś czterdzieści lat i rzadkie, jasne włosy. Nie musiałem nawet szukać pulsu: przez otwór w brzuchu, mimo samorzutnie utworzonego czopu z materiału, ścianki jelita i kału, nadal sączyła się krew.

– Ma pan tu umierającego człowieka i ani słowem...?

– Już po nim – przerwał mi spokojnie. – Wiele by pan nie zdziałał.

Mężczyzna był siny, oddychał płytko i szybko, oprócz rany w brzuchu miał jeszcze dwie inne, w łydce i udzie – trudno było odmówić Filipiakowi racji. Zanim jeszcze skończyłem ciąć kombinezon, wiedziałem, że nie mam tu wiele do roboty. Zewnętrzne krwawienie praktycznie ustało, a z wewnętrznym i tak nie mógłbym nic zrobić.

– To ten z miga? – na pół stwierdził, na pół zapytał Morawski. – Ależ twardy sukinsyn... Tyle czasu z takimi ranami.

– Wezwałem pana – powiedział cicho Filipiak – bo facet ma przy sobie zestaw sanitarny z lekami. Jeśli jest szansa, że oprzytomnieje, to mu je podamy. A jak nie, to nie.

– Po co panu przytomny somalijski pilot? Chce mu pan podziękować, że spudłował?

– Taki z niego Somalijczyk, jak ze mnie Eskimos. A tak do końca to nie spudłował.

– Jak to? – Morawski odruchowo sięgnął po podaną mu kartkę, ale patrzył nie na nią, a na podającego. – Przecież to ten od napalmu.

– W nas chybił. Ale skrzydłowy kaem... Wołynow i Zanetti.

– Co pan opowiada?! Wołynowa widziałem nie dalej jak...

– Gdzie? – przerwał mu Filipiak.

– Nieśli z Olszanem i Lesikiem jakieś skrzynki. Chyba naboje.

– O co właściwie chodzi? – zapytałem, sięgając po zamocowany pod pachą rannego pakiet ratunkowy. Dostrzegłem tam małą manierkę.

– Znaleźliśmy nadpalone zwłoki Zanettiego. Stanowisko kaemu to trzy okopy. Najbliższy jest przy samym wąwozie, tak by można go stamtąd skutecznie ryglować. Teraz nie jest obsadzony. Jeśli wierzyć Wołynowowi, to on został przy karabinie, a Zanetti gdzieś poszedł. Ładnych parę minut przed nalotem. Nie wrócił, ale Wołynow nie szukał go. Mówi, że nie mógł zostawić karabinu, no i myślał, że tamten jest z nami.

Morawski chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł odpowiednich słów.

– To nie wszystko? – zerknąłem na Filipiaka, po czym odrzuciłem manierkę. Była pusta.

– Mocno się palił, ale nie od tego umarł. Zabiła go kula z pistoletu. Tu – dotknął skroni. – Pistolet leżał obok. Beretta Zanettiego.

Zestaw ratunkowy zawierał opatrunek. Rozciąłem opakowanie i zamknąłem ranę – dla spokoju sumienia.

– Zaraz – Morawski otrząsnął się z pierwszego wrażenia. – Dobrze rozumiem? Sugeruje pan, że to Wołynow go...?

– Nie wiem. To niedaleko, ale była bitwa, hałas jak cholera. Zanetti mógł się palić i strzelić sobie w łeb, a Wołynow miał prawo tego nie słyszeć piętnaście metrów dalej. W okopie jest tyle łusek, że łopata by można... Ale całe godziny minęły, nim się dowiedziałem, że Wołynow jest tam sam. I to nie od niego, a od swoich żołnierzy. Nikt nie wie, co robił Wołynow przez ten czas. Był w okopie – uprzedził pytanie majora. – Strzelał, raz i drugi odpowiadał na zawołania. Ale gdyby chciał się jakoś skomunikować z Sabahem, bez świadków...

– Naciągane – pokręcił głową Morawski. – Tu już nie ma roboty dla szpiega. Co miałby im zdradzać?

– Niby tak – zgodził się Filipiak. – Ale przy Zanettim znalazłem jeszcze jeden pistolet. Leżał na ziemi obok zwłok. Nie wiem, może zdobyczny. Tyle że dziwny. Kaliber pięć z kawałkiem, amerykańska dwudziestkadwójka. Koniec lufy ma nagwintowany.

Zapadła krótka cisza. Przyglądał się nam, próbując ocenić, czy jego słowa wywarły odpowiednie wrażenie.

– Tłumik? – Morawski pierwszy dorósł do jego oczekiwań. – Chce pan powiedzieć...? Mogę zobaczyć tę broń?

– Schowałem – porucznik popatrzył mu trochę wyzywająco w oczy. – Teraz to gównu pomoże, ale jeśli przeżyjemy, może da się zdjąć odciski palców. Nie palił się. Beretta jest przypalona, Zanetti też, a temu maluchowi się udało. No i leżał na wierzchu. Ni w pięć, ni w dziewięć, nie wiadomo dlaczego. Tłumika nie znaleźliśmy – przyznał – ale po tej historii z Pawlikiewiczem tylko idiota trzymałby go przy sobie.

– Jakiej znowu historii? – zirytował się major.

– Podcięli mu gardło, ale dostał też kulę w tył głowy – mruknąłem.

– I teraz mi to mówisz?! Wielkie dzięki za zaufanie!

– Teoretycznie pistolet też powinien wyrzucić – myślał na głos Filipiak. – Tyle że nawet bez tłumika to cicha, dyskretna broń. No i nie przypisana do konkretnej osoby. Nie wiem, w co gra albo grał ten facet, ale chyba nie liczy na to, że wszyscy tu wyginie. Czyli musi brać pod uwagę śledztwo, i to cholernie szczegółowe.

– Wołynow – powiedział Morawski z krzywym uśmiechem – ma własny pistolet, naszego beryla, karabin maszynowy, granaty, nóż, kamienie, pałki i ręce na koniec. A dam głowę, że potrafi zabić człowieka gołymi rękami. Byłby idiotą, nosząc przy sobie taki trefny pistolet. – Przeniósł na mnie pozbawione entuzjazmu, ale też wolne od wahań spojrzenie. – Już prędzej stawiałbym na twoją pupilkę. Służbowej broni nie ma, a gołymi rękami mogłaby sobie nie poradzić w nagłej potrzebie. Pozostawiłem to bez komentarza.

– Niech pan to obejrzy – porucznik trącił wręczoną Morawskiemu kartkę. – Głównie liczby, ale te skróty obok... Cyrylica. To Rusek.

Obracałem w palcach znaną w rzeczach pilota strzykawkę. Zastanawiałem się, czy jest sens używać jej właśnie teraz.

– Kiepsko zarabiał – mruknął Morawski, wodząc wzrokiem po chaotycznych zapiskach. – Za te pieniądze nie rzucałbym napalmu. A skoro mowa o Wołynowie, to tym bardziej nie podstawiałbym łba pod napalm.

– Ruscy najemnicy są tani – wzruszył ramionami Filipiak, patrząc na jasnowłosego pilota. – O ile to najemnik.

– A niby kto? – zapytałem bez zapału.

– Mógł rzucać to gównu ku chwale mateczki Rosji.

– Może. – Morawski oddał porucznikowi papier. – Ale mateczkę bym skreślił. To nie jest po rosyjsku. – Filipiakowi wydłużyła się mina. – Pierwszy rzut oka bywa mylący. Widzi się cyrylicę i od razu człowiekowi staje przed oczami sierp, młot i pijany Borys w rubaszce. A to akurat przedstawiciel bratniego narodu ukraińskiego.

Filipek przykleił się spojrzeniem do kartki. Potem złożył ją i wepchnął gniewnie w kieszeń.

– Tak czy siak, chcę z nim pogadać – mruknął. – Najlepiej teraz. Bez urazy, ale nie wierzę, by go pan długo utrzymał przy życiu.

– Jak w filmie o gestapo. – Lekkim uśmiechem Morawski złagodził wymowę słów. – Teraz lekarz powinien powiedzieć: ale to go zabije.

– Z ust mi wyjąłeś – przyznałem.

– Ten facet wie, co jest grane – przypomniał ponuro Filipiak.

– A co ma być? – wzruszył ramionami Morawski. – Sprzątnęliśmy narzeczoną lokalnemu szejkowi, więc uruchomił wszystkie znajomości. Odrywa Ogaden od Etiopii, więc ma je pewnie spore.

– Bombowiec miał etiopskie znaki.

– Fortel wojenny. Jak chciał nas załatwić na cacy jedną celną salwą, musiał zejść nisko. I prawie mu się udało.

– No właśnie: prawie. Na szczęście Sabah zagrał fair i zestrzelił go w ostatniej chwili. To miłe, ale za cholere tego nie rozumiem.

Dźwignąłem się z ziemi.

– Pójdę po nosze.

*

Poruszała się boso, jak Gabriela, ale widać było, że nie ma w tym wielkiej praktyki.

– Żyje pan? – uśmiech miała równie blady jak stopy. Na jej miejscu po powrocie od kraju położyłbym je Michnikowi na biurko i zażądał podwyżki: były żywym dowodem, że pani redaktor spaliła resztę ciała na brąz pracując, a nie zbijając bąki na plaży.

– Ale co to za życie – machnąłem ręką. Siedziałem na północnym stoku, skąd przez wypalone w siatce dziury widać było cały mój szpitalik, ale gdzie dało się odpocząć od smrodu, jęków i poczucia bezsilności. Nie było tu też goręcej: słońce zeszło na tyle nisko, że wąż znalazł się w cieniu.

– Kłapnę obok, dobrze? – Nie czekając na zgodę, usiadła na podwiniętej nodze. – Siostra dalej strajkuje?

– Wywałą was do kraju jednym samolotem, nieroby.

– Załamanie nerwowe – wzruszyła ramionami. W nozdrza uderzył mnie zapach perfum. Uderzył całkiem dosłownie: nie pożałowała ich sobie. Chyba nie panowałem nad mięśniami twarzy, bo roześmiała się cicho. – Przesadziłam? Cóż, z braku wody... Przy okazji: nie namówiłby pan swojej Gabrysi na zamianę? Trochę wody za pół takiego flakonu – pociągnęła lekko za przód koszuli, wydmuchując dodatkową porcję kwiatowego zapachu. Kojarzył mi się z nieco sztywną elegancją, kobietami po trzydziestce, ubranymi i uczesаныmi za ciężkie

pieniądze. Właściwie pasowała do swych perfum, tyle że nie teraz.

– Nie da rady. – Zastanawiałem się, czy tego żałuję. Gabriela zupełnie nie kojarzyła mi się z takim zapachem, ale z drugiej strony...

– Nie w jej typie? No tak, o ile pamiętam, woli jabłka.

– Jabłka?

– Zielone jabłuszko. Jak byłem w liceum, też używałam. Wtedy były na topie. Teraz już nie. Przynajmniej w naszej grupie wiekowej.

Musiałbym całe lata nosić stanik i spódnicę, by zgadnąć, co miała na myśli. Kobiety potrafią wbijać szpilki tak zręcznie, że sama ofiara nie wie, czy powinna odczuwać ból. Na szczęście ta, której dotyczyła ewentualna złośliwość, kiwała się sennie po drugiej stronie wąwozu, odganiając muchy od Juszczyka.

– Mam po pół szklanki na rannego – powiedziałem. – To będzie ich ostatni mokry posiłek. Jest też małe rezerwa na obmywanie nowych ran i ewentualną kroplówkę.

– Aż tak źle? – Chyba nie wiedziała, do jakiego stopnia leżymy na łopatkach. – Niewiele pan może dla nich zrobić.

– Niewiele – przyznałem. – Już dawno powinni być w szpitalu. Zaręba pokazowo dał dupy.

– Nie przepada pan za nim – uśmiechnęła się.

– Można to tak ująć.

– To, że pana wsadził, nie ma oczywiście nic do rzeczy?

– Wsadził mnie, bo już przedtem nie bardzo się lubiliśmy.

– A myślałam, że za zabicie jakiegoś Etiopczyka.

– Musiałbym rzucić atomówkę na Addis Abebę, żeby wstrząsnąć Zarębą. Jego tubylcy nie interesują.

– Niezależnie od płci?

– Proszę?

– Nie, nic. Tak mi się powiedziało. On, zdaje się, lubi kobiety.

– I co z tego?

– Więc pan też o tym słyszał? – podchwyciła.

– O czym?

– Proszę nie udawać. To podobno niesamowity babiarz.

– Nie obchodzi mnie prywatne życie generała Zaręby – poinformowałem ją. – Jeśli chce pani zapytać, czy leczyłem go z trypra, to z przykrością muszę...

– Nie chcę sprawiać panu przykrości – powiedziała szybko, nie gubiąc przy tym uśmiechu. – Może nawet wyświadczę przysługę, kto wie? – Ona najwyraźniej nie wiedziała, bo zastanawiała się jakiś czas, poważniejąc aż do marszczenia brwi włącznie. – Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę?

Uświadomiłem sobie, jak strasznie dawno to było.

– Mniej więcej.

– Wspomniał pan o jego sekretarce... pamięta pan?

– O sekretarce?

– Zapamiętałam to. – Wpatrywała się we mnie, dając milcząco do zrozumienia, że nie da się wodzić za nos. – Żartował pan, że pomieszała coś w papierach i dlatego...

– A tak, faktycznie. No i co z tą sekretarką?

– W tym sęk, że nie ma żadnej sekretarki.

– I? – Niespecjalnie mną to wstrząsnęło.

– A pan twierdził, że jest. Przegapiłam to wtedy, bo o czym innym rozmawialiśmy, ale pamiętam, że się pan przy tym upierał.

Poczułem chłód. Po raz pierwszy od bardzo dawna, wbrew prawom fizyki, biologii i zdrowego rozsądku. Głęboko, w samym środku.

– Panie Jacku?

Za długo milczałem. Albo po prostu szła za ciosem.

Dźwignąłem się i ignorując zdziwioną Agnieszkę przeszedłem na drugą stronę wąwozu. Coś szczególnego musiało być w tym marszu, bo rzucone w roztargnieniu spojrzenie Gabrieli przykleiło się do mnie na dobre.

Wyczuła, że nie jest dobrze. Znieruchomiła, tylko oczy unosiły się coraz wyżej w miarę, jak się zbliżałem.

Złapałem ją za nadgarstek i jednym szarpnięciem postawiłem na nogi. Bez trudu. Była wbrew pozorom szczuplutka, a we mnie wszystko wrzało.

Nie mogłem mówić; jeszcze nie teraz. I chyba nie chciałem, choć potrzeba zachowania dyskrecji była ostatnią z tych, które odczuwałem. O wiele silniejsza, a przecież też nie pierwszorzędna, była pokusa wymazania tej wystraszonej, brązowej twarzy ze swego życia, odrzucenia jej na koniec wszechświata potężnym ciosem pięści.

Zamiast tego powlokłem ją wzdłuż wąwozu jak przerażone dziecko, które zrobiło coś złego i teraz drobi w pośpiechu za rozwścieczonym ojcem. O nic nie pytała. To milczenie roznosiło w strzępy resztki nadziei.

Poniosło mnie aż pod spalony wrak cysterny. Niemal rzuciłem dziewczyną o bok szoferki. Zadudniło, sypnęło sadzą. Potem staliśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Rozcierała zgniecioną rękę, ale wciąż się nie odzywała. W jej oczach skrucha i lęk walczyły o prymat z wyzwaniem i gniewem.

Nigdy jeszcze nie była tak piękna.

– Kim ty właściwie jesteś? – Całe lata świetlne dzieliły mnie od spokoju, ale wyładowałem się na tyle, by panować nad głosem.

– To bolało – powiedziała cicho.

– Bolało?! Dopiero może cię boleć! – Cofnęła się, trafiając plecami na wrak. – Ten telefon z gabinetu Zaręby to jedno wielkie gówno. Zaręba nie ma sekretarki. Skopałaś sprawę. Bo to oczywiście ty się pod nią podszyłaś, prawda? – Wpatrywała się we mnie bez drgnienia, tylko oczy sprawiały wrażenie wilgotniejszych. – Swoją drogą to cholernie proste. Tu wystarczy bezbłędna polszczyzna i nikt nawet nie pomyśli... Tak to zrobiłaś? – Leciutko skinęła głową. – Ale z nas kretyni... Ten papier z podpisem generała to też lipa?

– Nnnie... to znaczy... trochę.

– Dobrze się bawiłaś, co? Trafił się kretyn doktorek, rycerzyk z bożej łaski...

– Nie – potrząsnęła głową. – Nic nie rozumiesz...

– To chyba normalne, nie? Takie prostoduszne głupki dlatego właśnie są użyteczne: bo nie rozumieją. Durny Szczebielewicz jadł ci z ręki i jeszcze warczał na każdego, kto rzucił krzywe spojrzenie. Piątka z manipulacji. To szkolenie czy wrodzony talent?

Jeszcze raz potrząsnęła głową w geście rozpaczliwego zaprzeczenia. Zauważyłem, że patrzy gdzieś za moje plecy, ale guzik mnie obchodziło, ile usłyszy redaktor Wielogórska i co zrobi z tą wiedzą.

– Albo wyśpiewasz, o co w tym wszystkim chodzi – wycedziłem – albo sam cię poprowadzę pod najbliższe drzewo. To wojna, a na wojnie szpiegów się rozwała. Nawet gdyby Filipiak miał opory, to pozostają jeszcze inni. A tu cię nikt nie lubi.

Nie umiałem rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Nieważne. Miałem jej dość, nie chciałem oglądać. Gdyby nie poczucie solidarności ze wszystkimi, którzy już umarli, umierali bądź mieli wkrótce umrzeć, pewnie w ogóle dałbym sobie spokój z Gabrielą Asmare.

– Nie okłamywałam cię. – Płaczliwa nuta zadrżała w jej głosie.

– No pewnie – zaśmiałem się szyderczo.

– Wiem, jak to wygląda... Ale musisz mi uwierzyć, że nikomu...

– Muszę?! Nic nie muszę! Przyjmij to łaskawie do wiadomości i zakoduj w tej cwanej główce: już nikt nie musi ci wierzyć!

To coś w jej oczach, czego nie potrafiłem dotąd nazwać, to był wyrzut. Tak głęboki, że aż wstrząsający. Nie rozumiałem tego.

– O co mnie właściwie podejrzewasz? – zapytała cicho.

– O wszystko. O wszystkie te trupy – zatoczyłem krąg dłonią. – Może z wyjątkiem Urbańskiego. A może i nie.

– Kto to jest Urbański?

– Już zapomniałaś? Jeden w tę, jeden w tę, niewielka różnica, co? Po niego przylecieliśmy. Tylko że już wtedy nie żył. Kurewsko spóźniona akcja ratownicza. Rekord świata. To też twoja zasługa?

– Chyba oszalałeś...

– Dlaczego tak ostro? To się całkiem logicznie układa: spada śmigłowiec, trzeba szybko posprzątać, a agentki nie ma pod ręką. Więc co robimy? Opóźniamy odlot. Mogliśmy wylecieć dzień wcześniej, prawda? I ten chłopak mógł przeżyć. – Kręciła głową, zaprzeczając każdemu kolejnemu zdaniu. – Ale nie dało się tak szybko zmontować twoich papierów, wuja Asmare w Kasali...

– Człowieku, o czym ty mówisz?!

– Masz nerwy jak postronki, to trzeba przyznać. Kto by pomyślał, że ta miła panienska, narażająca życie raz po raz, prująca do partyzantów jak do kaczek, to ich własna wtyczka? Swoją drogą...

– Dasz mi coś powiedzieć? – warknęła. To mnie otrzeźwiło. Jak się kogoś przesłuchuje, dobrze jest dopuścić go czasem do głosu.

– No, słucham – rzuciłem opryskliwie.

– Buchnęłam Zarębie formularz i podrobiłam jego podpis. Zadzwoiłam do oficera dyżurnego, żeby załatwić z osłem... Gdybym nie zadzwoniła, to on na pewno sprawdzałby u generała, czy to nie jakiś kawał... I to wszystko. Cała lista moich łajdactw.

– Gównno prawda – powiedziałem z przekonaniem.

– Nie jestem żadną agentką! Pojechałam do stolicy, bo padało nam bydło! Chciałam załatwić paszę i leki, to wszystko!

– Fajna bajka. Możesz ją opowiadać małym Murzyniątkom przy wypasie kóz.

Pociemniała na twarzy; gniew i uraza wygrywały ze strachem.

– Wyłazi z ciebie biały gnojek... – Zrobiłem krok w jej stronę, ale zdołałem się opanować. Chyba niepotrzebnie. – To cię boli, prawda? Że jakaś czarna małpa z gównem pod paznokciami zamiast posikać się z radości i szybko dać dupy wielkiemu panu doktorowi, zrobiła pana doktora w pokazowego...

Uderzyłem wierzchem dłoni. Za szybko, by choć zbliżyć się do nokautu, ale dostatecznie mocno, by głowa odskoczyła z plaśnięciem, a dziewczynę zarzuciło w prześwit między szoferką a zbiornikiem.

– Zaszli dalej niż my – usłyszałem głos Olszana. – Leją się jak stare małżeństwo. A ja myślałem, że to mnie trafiła się najszybsza dziewczyna.

Nie wiem, po co się odwróciłem: by nie oglądać Gabrieli, czy może chcąc podziękować za wybijanie mnie z roli damskiego boksera. W każdym razie głupio zrobiłem.

Tylko przez chwilę wpatrywali się we mnie oboje z wyrazem zakłopotania na twarzach. Niemal od razu przenieśli spojrzenia na coś, co miałem za plecami. Wykonałem kolejne „w tył zwrot” i zastygłem.

Somalijskich trupów nikt nie pogrzebał, poprzesuwno je tylko, byle dalej od okopów. Jeden

z nich, okopcony, lecz wciąż boleśnie znajomy, leżał tuż obok, wepchnięty pod przedni zderzak cysterny. Jego karabin nie zainteresował już sprzątających, podobnie jak nóż, którym omal nie podciął mi gardła. Może dlatego, że oba zdrowo nadgryzł ogień.

Okopcone łoże i nadpalona kolba sprawiały, że tkwiący bagnetem w ziemi SKS przypominał wyjętą z ogniska gałąź, ale czułem, że pod warstewką popiołu kryje się wystarczająco dużo zdrowego drewna, by drżący bagnet, zawieszony ćwierć metra od mego pępka, gładko i bezproblemowo wjechał aż po kręgosłup.

– Nie ruszaj się. – Mogła sobie darować tę oklepaną formułę, z drugiej jednak strony dobrze zrobiła. Zaoszczędziła mi zbędnych pytań. Nie żartowała. I nie oszalała. Co oczywiście nie znaczyło, bym doszukał się głębszego sensu w jej postępowaniu.

– Nie ruszam się – powiedziałem łagodnym tonem. Cała złość nagle wyparowała. Jesteś kobietą, bije cię mąż, twój facet obija tobą tynk ze ścian? Nie dzwoń po policję, spraw sobie starego Simonowa z porządnym bagnetem. Skutek murowany. – Spokojnie.

Prosiłem o zbyt wiele. Była opanowana, ale na pewno nie spokojna. Oznaczało to, że potrafi wprawdzie zrobić z karabinem – a więc i ze mną – co zechce, lecz do skutecznego użycia broni popchnie ją raczej impuls niż chłodna kalkulacja. Trudno sobie wyobrazić gorszą mieszankę kompetencji i niepoczytalności.

– Oszalała pani? – dobiegł z tyłu pełen niedowierzania, ale i lęku głos Agnieszki. Olszan jeszcze raz wyświadczył mi przysługę i milczał.

– Nic się nie stało – rzuciłem w przestrzeń, kładąc fundamenty pod blade uśmiech. Nie bardzo mi szło. Musiałem patrzeć w oczy Gabrieli. – Drobną sprzeczką. Nie mieszajcie się do tego.

– I stójcie, gdzie stoicie. – Ćwierć kroku w bok i wymowny ruch końcem lufy. Nie zdziwiła mnie głucha cisza z tyłu.

– Zanim zrobisz coś głupiego, dwa razy pomyśl – powiedziałem.

– Nad czym tu myśleć? Jestem szpiegiem, zdemaskowałeś mnie, więc chyba muszę uciekać.

Wygłosiła tę kwestię głosem jak z komputera. I przeraziła mnie. Zdałem sobie sprawę, że może kogoś zabić wcale nie pod wpływem emocji, a dlatego, że jest to po prostu logiczne.

– Panie Olszan! Uruchomi pan samochód i wjedzie tam. – Wskazała północny brzeg wąwozu. – Tylko bez żadnych sztuczek.

Nie mówiła nic o rzucaniu broni, więc widocznie nie nosił niczego za paskiem. Ale poza tym sprawy przedstawiały się fatalnie. Ktoś mógł nas zobaczyć, a tworzyliśmy dość jednoznaczny w wymowie obrazek. Nie wiedziałem już, czego bardziej się boję: że nabije mnie na bagnet czy ratunku ze strony jakiegoś żołnierza, który położy ją jednym strzałem.

– Zostawcie nas. – Pozwoliłem sobie na ćwierć obrotu głowy. – Nic się nie dzieje, to zwykła kłótnia zakochanych.

– Zamknij się – powiedziała cicho.

– Gabriela ma wypaczone poczucie humoru – ciągnąłem z uśmiechem, który, miałem nadzieję, da do myślenia ewentualnemu snajperowi. – Ale nikogo nie zastrzeli. Ten karabin nie jest załadowany.

Nie zdołała się powstrzymać przed szybkim spojrzeniem w dół, na broń, która być może wcale bronią nie była. Z jej perspektywy. Z mojej sam bagnet czynił z niej osobę uzbrojoną ponad miarę.

– Oklepany numer – rzuciła z pogardą. – Słuchajcie go, a wylądujecie w piachu z kulą w brzuchu.

– Daj spokój. Co chcesz zrobić? Powiedzmy, że Filipiak cię wypuści. Co dalej? Przeprosiny z narzeczonym?

– Zapomniałeś? Jestem tajną agentką – zakpiła gorzko. – Czekają na mnie z medalem i mnóstwem srebrników.

Nagle zdałem sobie sprawę, że to za długo trwa. Banalne odkrycie, które jednak stawiało świat na głowie.

– Nikt na ciebie nie czeka. – Może nie byłem tego taki pewny, ale chciałem wierzyć sam sobie i to podnosiło rangę moich słów. – Uciekniesz do Sabaha, a on cię zabije. Tylko dlatego, że mnie też poniosły nerwy i cię uderzyłem. – Trzy pary oczu wpatrywały się we mnie, usiłując odgadnąć, do czego zmierzam. – Przepraszam. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Jej twarz nie zdradzała myśli. Ciało już trochę tak. Nadal mogła mnie przebić, ale wyczułem, że nie zamierza atakować jako pierwsza.

– Nie będziesz mnie bił – skinęła głową. – Po prostu pozwolisz... po prostu mnie rozstrzelacie – poprawiła się.

– Nie będzie samosądu – powiedziałem patrząc jej w oczy. – Tylko dochodzenie. Jeśli przeżyjemy. Ale przecież jesteś niewinna, prawda?

– Zależy, o którą prawdę pytasz. – Wolałbym nigdy nie oglądać jej zimnego, wrogiego uśmiešku. – Każdy ma swoją.

Niczego nie byłem pewien. Poza tym, że nie będzie uciekać. Ktoś, kto postawił na rozpaczliwą ucieczkę, nie bawi się w filozofowanie.

– Nie mogę obiecywać za innych. Mogę ci tylko przyrzec, że nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Dużo mi z tego przyjdzie.

– Mało – zgodziłem się. – Tyle, że cię rozstrzelają w towarzystwie.

Bagnet opadł o dobre pół metra. Wyglądała jak wtedy, gdy ją spoliczkowałem. Dopiero teraz tak naprawdę szarpnął mną ból, spowodowany tamtym ciosem, bo dopiero teraz odczytałem wyraz jej twarzy. Było to zdumienie przemieszane z rozżaleniem tak głębokim, że aż mącącym

w głowie.

Było nas dwóch i ten drugi, zupełnie niepoczytalny wariat, najpierw podniósł rękę na najważniejszą kobietę mego życia, a teraz tak po prostu oświadczył, że umrze wraz z nią. I mówił to śmiertelnie serio – to dlatego tak wstrząsnął i mną, i Gabriellą.

– Ale z ciebie drań – szepnęła. Po czym szybko, lecz nie na tyle, bym przegapił łyżę, wbiła karabin w ziemię i uciekła za wrak ciężarówki.

*

Ktoś trącił mnie w ramię.

– Pani redaktor czegoś od ciebie chce.

Otworzyłem oczy. Gabriela. Wróciła. I nawet wyglądała normalnie. Ale coś się zmieniło. Zrobiła, co trzeba, i odeszła do swego oddziału poparzeń tak szybko, jak pozwalały jej długie nogi i zmęczenie.

Była tu jednak, wróciła. Starłem się tak o tym myśleć.

Dotarłem do węzła łączności prawie równo z Filipiakiem: poprzedzony pukaniem karabinów przetoczył się przez krawędź wąwozu i niemal wylądował mi na grzbiecie.

– Jest Zaręba! – rozradowana Agnieszka omal nie wyskoczyła nam na spotkanie. – Krzysiek złapał Addis Abebę!

Olszan wręczył porucznikowi wolny kask. Oparłem się o ścianę i bez uśmiechu słuchałem raportu. Dwudziestu dwóch zabitych, siedmiu rannych, amunicja na wykończeniu, uszkodzony bewup, samochody prawdopodobnie niezdatne do szybkiej i dalekiej jazdy, brak wody, brak lekarstw...

– Chcę z nim pomówić – powiedziałem, kiedy Filipiak zwolnił przycisk i sam zaczął słuchać.
– To ważne.

Zbył mnie machnięciem dłoni. Słuchał. Obaj słuchali: odbiór był chyba dobry i Olszan ani razu nie próbował sięgać do najeżonego klawiszami i pokrętłami pulpitu. Chociaż, z drugiej strony, nie wyglądał na kogoś, czyje uszy pełne są słodko brzmiących dźwięków. Odniosłem wrażenie, że coś mu się nie podoba.

– Z tego, co wiem, w bardzo złym. Przynajmniej dwaj – odezwał się po dłuższej chwili Filipiak. Potem przyszła moja kolej. Olszan zawahał się, ale ponaglany jednoznacznym gestem, oddał mi swój kask.

– Kapitan Szczebielewicz – zameldowałem się.

– Porucznik zaznajomi pana z sytuacją. – W głosie Zaręby trudno było doszukać się wyraźniejszych emocji. – Co do rannych, w najbliższym czasie nie ma szans na ich ewakuację bezpośrednio od was. Dlatego chcę, by przygotował ich pan do drogi i posłał samochodami do

Werder.

– Co?! – Z wrażenia zapomniałem o wduszeniu przycisku nadawania. Może i dobrze się stało. Miałem czas poprawić ton. – Nie rozumiem.

– Odjadą do najbliższego etiopskiego garnizonu. Na dowódcę grupy wyznaczam majora Lesika. Za stronę medyczną odpowiadać będzie siostra Nowicka. Oddacie im wszystkie zbędne bagaże i resztę wody; chcę mieć do dyspozycji pancerną grupę uderzeniową, a nie cygański tabor. W nocy wyjdziecie z okrężenia i... to zresztą wyjaśniłem Filipiakowi. Pańskim zadaniem jest przygotowanie rannych do jazdy, a następnie zabezpieczenie medyczne głównych sił. Zrozumiał pan?

– Mam porzucić rannych na polu walki? – Fakt, że nie tymi słowami to ujął, ale tak to odebrałem. – Obawiam się, że nie do końca zdaje pan sobie sprawę z tutejszych realiów.

– Ciągłe jest pan w wojsku i obowiązuje pana dyscyplina. – Trzeba przyznać, że zareagował dość wstrzemięźliwie jak na generała, którego poucza byle kapitan, w dodatku nie będący oficerem liniowym. – Zrobi pan, co powiedziałem, albo już teraz odda broń i pas Filipiakowi. Nawiasem mówiąc mamy już w depozycie jeden pański pistolet. Radzę nie przeciągać struny, Szczebielewicz. Nie zdecydowałem jeszcze, co zrobię z tamtą sprawą.

Potrzebowałem tylko paru sekund, by się otrząsnąć – oto co znaczy właściwe nastawienie. Nie oczekiwałem niczego dobrego od Zaręby.

– Jeszcze jedno – powiedziałem bez zapału. – Jest tu pani Asmare z etiopskiego Ministerstwa Rolnictwa. Ma papier z pana podpisem.

– No i?

Nie miałem odwagi wierzyć. Jeszcze nie. Ale widziałem zdziwioną minę Filipiaka i to podsycalo nadzieję.

– To... to autentyczny dokument? Pan zatwierdził jej przelot?

– Nie znam jej, ale skoro odlatywaliście w tę samą stronę... Nic nas to nie kosztowało.

– Wygląda na to, że to ona jest przyczyną naszych kłopotów – nie wytrzymał Filipiak. – Ten cały Sabah mocno się o nią upomina.

– Tak, słyszałem, pan Olszan zdążył... – generał urwał tak nagle, że przez chwilę podejrzewałem awarię. Może słusznie, bo następna kwestia nie całkiem nawiązywała do poprzedniej. – Polski paszport to polski paszport, nie kawałek papieru toaletowego. Niech pan o tym pamięta, poruczniku. A o przyczynie waszych kłopotów...

Tym razem zamilkł na dobre. Przez kilka następnych minut Olszan zmagał się z nadajnikiem. Bez powodzenia.

– Za pół godziny odprawa – Filipiak popatrzył mi w oczy. – Niech pan się zastanowi nad stanem rannych. Słyszał pan rozkazy.

*

– Jest źle. – Jakby na potwierdzenie tego wstępu, gdzieś blisko eksplodował pocisk, a o burzę bewupa zabręczały co najmniej dwa odłamki. Artyleria Sabaha przypominała o sobie, tym razem waląc z dział bezodrzutowych. – W nocy doszło do serii buntów w armii rządowej. Zaatakowano też w skoordynowany sposób liczne obiekty o znaczeniu strategicznym. Co gorsze, ostrzeliwane są też posterunki UNIFE, choć wygląda to raczej na blokadę niż atak. W stolicy trwają walki uliczne. Dire Dawa padła, kilkudziesięciu Hindusów dostało się do niewoli, jeszcze nie wiadomo, czyjej. Ale nie to jest najgorsze...

– Rany boskie – powiedział ponuro Morawski – niech pan nie mówi, że Sejm znowu grzebie w emeryturach mundurowych.

Może zdołałby nas rozśmieszyć, gdyby następny pocisk nie sypnął o pancierz całą garścią odłamków. I gdyby to, co właśnie obwieścił Filipiak, nie brzmiało tak zaskakująco. Fakty są faktami, ale po minach większości zebranych widziałem, że trudno im się z nimi pogodzić.

– Ktoś ostrzelał francuską bazę lotniczą w Dżibuti. Nie tylko my, ale cały kontyngent został bez parasola powietrznego. Przez najbliższą dobę nie możemy liczyć na żadne samoloty.

Przez chwilę panowała wymowna cisza.

– Komuś całkiem odbiło – mruknął Olszan ponurym tonem. Chyba nie ja jeden oburącz podpisałbym się pod tym komentarzem. Nic dodać, nic ująć.

– A co na to Somalia? – zapytał Morawski.

– Somalia jako państwo w praktyce nie istnieje, ale to dobre pytanie. De Sousa nawiązał kontakt z niejakim Farahem Abgalem. To głowa jednego z klanów rządzących na północy kraju. Facet ma dobre układy z Zachodem. Otóż ten Abgal ma pod kontrolą całe pogranicze na północ od nas. Zgodził się, byśmy przeczekali najgorsze w którejś z jego baz. Tyle że swoich rannych leczy przy pomocy szamanów, więc musimy przedtem rozdzielić siły i odesłać rannych.

– Nie bardzo jest co dzielić – zauważył Ciołkosz. Wydawał mi się bardziej żwawy i spocony od pozostałych, ale kiedy człowiek wie, że patrzy na kwatermistrza, trudno o obiektywizm.

– Właśnie dlatego. Mamy ściągnąć na siebie uwagę przeciwnika, a rannych wyprawić bezpieczną trasą. W dowództwie starannie wszystko przeanalizowali. Mają dokładne mapy terenu.

– My też mamy – zauważyłem. – Sabah ma. Wszyscy mają. I co z tego?

– Te, o których mówił generał, są o parę klas lepsze. – Filipiak zawiesił głos i dał głowę, że było to wierne naśladownictwo Zaręby. – Dostał od rosyjskiego attache wojskowego w Abebie stare opracowania taktyczne z czasów wojny ogadeńskiej.

Postarał się, by zrobić wrażenie na słuchaczach. I zrobił.

– Ma pan na myśli tę z lat siedemdziesiątych? – upewnił się Olszan. – To ładnie ze strony

Ruskich, że powierzyli nam cenny zabytek. Ale co Zaręba chce z tym zrobić? Przekazać w geście dobrej woli Muzeum Armii Somalijskiej?

– Co tam jest? – W głosie Morawskiego było ciut więcej szacunku.

– Wszystko. Każda przejezdna trasa z podanymi czasami, optymalną szybkością w zależności od pory doby i roku, strefy ostrzału, martwe pola... Eksperymentowali z wykorzystaniem rozpoznania satelitarnego i nowoczesnej topografii do taniego Blitzkriegu w warunkach afrykańskich. Wie pan: wymanewrować małymi siłami przeciwnika, ogłupić, rozwalić po kawałku. Zresztą nie wiem, może po prostu chodziło o spektakularne zwycięstwo Etiopczyków. W każdym razie zaznaczono tam szlaki wiodące przez miejsca, które według normalnych map są nieprzejezdne. Miejsca, gdzie nie zostają ślady. Na rejon podziału naszej kolumny wybrali taką właśnie dolinę. Jeśli Sabah pośle za nami swoje łaziki, łatwo je przyblokujemy przy wjeździe. Wozy z rannymi odbiją na zachód i nawet najbystrzejszy z tych sukinsynów nie zorientuje się, co się stało. Zakładając, że w ogóle zaryzykują nocny pościg w bezpośredniej styczności. W nocy są prawie ślepi. No i jeszcze jeden plus: z ich punktu widzenia wchodzimy coraz głębiej w terytorium Sabaha, więc im później zaatakują, tym gorzej dla nas. Będą jechać daleko z tyłu i czekać, aż się rozwidni.

– Brzmi nieźle – wyraził swą opinię Ciołkosz.

– A może byśmy wszyscy razem zrobili ten skok w bok? – Sądząc po minie Olszana, plan nie bardzo go przekonał, a w propozycji było więcej przekąsu niż uczciwego proponowania. – Jak to taka bezpieczna trasa, to po kiego pchać się do tego Abdula czy jak mu tam...

– Trasa będzie bezpieczna, jeśli Sabah uwierzy, że całością sił zwiewamy do granicy. Gdyby zgubił całą kolumnę, szukałby na południu i zachodzie. Czyli tam, gdzie nie powinien.

– Cokolwiek zrobimy, będzie ryzykowne – westchnął Morawski. – Więc może po prostu róbmy, co każą.

– Nie podoba mi się odsyłanie rannych bez eskorty – oświadczyłem. – I czym właściwie mogliby jechać?

– Obie terenówki i mój star są na chodzie – wyjaśnił Ciołkosz. – Ciężarówkę trzeba brać na pych, łąty na dętkach wiele nie zniosą, ale nocą, powolutku, jakoś się ten złom dotoczy do Werder. Nawet gdyby któryś wóz zdechł, to raczej nie star. A na stara wejdą wszyscy.

– To znaczy?

– Na pewno kapelan i siostra Jola – mruknął Filipiak.

– Trzy wozy – zaczął liczyć Morawski. – Trzech kierowców, Lesik, siostra, pięciu ciężej rannych, tych ze szpitala... Kto jeszcze? Ten połamaniec – skinął w stronę Olszana. – Wielogórska też?

– Ani ja, ani ona – oznajmił twardo połamaniec. Po czym, już łagodniej, z lekko kpiącym uśmiechem, dodał: – Marny ze mnie patriota, ale jakoś bardziej wierzę w ruski pancierz niż

w genialne plany polskiego generała. Niech je Zaręba sprawdza na innych. Na szczurach najlepiej.

– Potrzebujemy radiotelegrafisty – uprzedził majora Filipiak. – Ale prawdę mówiąc, liczę na Wielogórkę w charakterze szofera. Rozmawiałem z nią – tym razem uprzedził drugiego z pilotów. – Lesik poprowadziłby honkera, a Andrusiak ciężarówkę.

Następna bliska eksplozja – czyli taka, która uraczyła burtę odłamkiem – trochę zatarła wymowę jego słów. Ale nie do końca. Olszan, przykładowo, chyba w ogóle nie zauważył, że coś wybuchło.

– Nie przesadza pan? – mruknął Morawski. – W takim składzie mogą nigdzie nie dojechać. To jednak bezdroże, poharatane samochody, noc... Kto ma walczyć, jak natkną się na patrol? Siostra Jola?

– Nie ja to wymyśliłem.

– Ale pan ustala szczegóły – przejąłem pałeczkę po paru sekundach bezskutecznego wyczekiwania na reakcję Olszana. Wyglądał na lekko znokautowanego i chyba musiał przemyśleć sobie co nieco. – Paru sprawnych chłopaków może uratować tę bandę połamańców. I ten wóz – stuknąłem obcasem w podłogę. – Powinni go dostać.

– Wozy bojowe mają iść ku granicy.

– Sprawne. Ten jest uszkodzony. Będzie opóźniał marsz.

– Musimy się przebić, potem wiązać pościg walką. Możemy stracić któryś z pojazdów. A pan żąda, bym lekką ręką pozbywał się...

– Tylko proszę – powiedziałem cicho.

– Stawiamy wszystko na jedną kartę. – W głosie Filipiaka nie było gniewu; tłumaczył mi, jak dziecku, bolesną prawdę. – Jeśli plan nie wypali i kolumna sanitarna natknie się na nieprzyjaciela, paru ludzi z karabinami niczego nie uratuje. Wiem, że trudno to zaakceptować, ale czasem większą szansę mają bezbronni. Takich nie zabija się z marszu.

– Niech pan to powie Gielzie – rzuciłem z goryczą.

– Nie mówię, że będą bezpieczni. Po prostu ryzykują trochę mniej.

– Powinienem z nimi jechać. – Nie paliłem się do tego, ale musiałem wypowiedzieć te kilka słów.

– Zna pan rozkazy.

– To rannym potrzebny jest lekarz.

– Czego pan właściwie chce? – zapytał z rezygnacją.

– Pojechać z rannymi w stronę Werder. Powoli i w asyście wozów bojowych. Zatrzymując się, gdy tylko ich stan zacznie się pogarszać.

– Krótko mówiąc: powtórka z wczoraj?

– Właśnie – zdobyłem się na smętny uśmiech. – Nierealne, co?

– Mam rozkaz do wykonania.

– A zdaje pan sobie sprawę, że mielibyśmy szansę się przebić?

– Rozkaz to rozkaz. Bez urazy.

Było mu przykro, czuł to.

– Tak przy okazji – przerwał niezręczną ciszę Olszan. – Zakładając, że już są w szpitalu...

Wszyscy przeżyją?

– O Świergockiego już się nie martwię. Ci z ranami rąk i nóg nie gorączkują, nie powinno być komplikacji. Ale Juszczuk i Wenclorz... To przypadki dla Lesika, nie dla mnie.

Znów pomilczeliśmy sobie smętnie przez chwilę.

– Czyli nikogo nie uratują – powiedział nie wiadomo do kogo Olszan. – A jak będą mieli pecha, trafią tym rzeźnikom pod nóż. Piękny plan, szkoda gadać.

– Mam rozkazy – przypomniał sucho Filipiak. – I jeszcze jedno. Asmare pojedzie z rannymi.

Zrobił wrażenie na wszystkich. Zauważyłem też, że ci wszyscy, mniej lub bardziej otwarcie, zaczęli zerkać w moją stronę.

– To też rozkaz generała? – Nie zawiodłem ich.

– Mój. Ale mówiłem z nią o tym, tak jak i z Wielogórką. – Przyglądałem mu się z mieszaniną niedowierzania i wściekłości. – Podobnie oceniamy sytuację. Zgodziła się jechać, bo muzułmanie mają jeden miły zwyczaj: olewają kobiety do tego stopnia, że aż nie wypada im ich zabijać. Wymordowanie rannych to też żaden powód do chwały. Gdyby coś nie wyszło, jest spora szansa, że Sabah nie zabije jeńców.

Ciołkosz pokiwał głową na znak poparcia dla dowódcy. Chętnie urwałbym mu ją i cisnął nią w Filipiaka. Chociaż trochę chętniej posłużyłbym się w tym celu głową Gabrieli.

– Ciekawe – rzuciłem przez zęby. – Zebrało się nas tu pięciu facetów, którzy mają jechać szybko i pod pancierzem. Tych powolnych i nieopancerzonych jakoś nie widzę.

– To było wredne – powiedział spokojnie Filipiak. – Tak się składa, że jesteście moim sztabem. Zaopatrzenie, łączność itede.

– A Wołynow? Ma największe z nas doświadczenie bojowe.

– Nie wysyłam go z rannymi. Zrobi, co zechce. Ale cokolwiek postanowi, nie powierzę mu stanowiska wyższego niż celowniczy kaemu. Nie ufam mu, i tyle.

Znów zrobił wrażenie na zebranych.

– Bez przesady – zaprotestował Morawski. – Bądź co bądź strzelał z tego kaemu pół dnia. I nie przepuścił tamtych. A ze swego stanowiska mógł łatwo zwać do Sabaha. To bez sensu.

– Przy założeniu, że pracuje dla Sabaha – odparował Filipiak.

– Przecież to pan właśnie sugeruje.

– Problem właśnie w tym, że nie. Dopuszczam myśl, że Asmare mówi prawdę, a Sabah to faktycznie tylko prozaiczny rogacz.

– O rogach chyba za wcześnie mówić – uśmiechnął się pod nosem Olszan, demonstracyjnie nie patrząc w moją stronę.

– Mamy pecha – zignorował go Filipiak. – Jak ktoś ma pecha, to dwie różne grupy mogą chcieć go wykończyć z dwóch różnych powodów.

– Bzdura. – Rozdrażnienie wyparło kpinę z twarzy Olszana.

– Bzdura?! – Filipiaka też poniosło. – Ktoś truł Pawlikiewicza i poderżnął mu gardło, bombarduje nas etiopski samolot, któremu najwyraźniej podano namiary, a polski granat zabija Giełzę i omal nie rozwała radiostacji! Jakiś Mi-28, który w ogóle nie ma prawa być w Afryce, urządza na nas polowanie, po czym tak po prostu znika, zamiast wesprzeć Sabaha i załatwić nas w pięć minut! Sabah obiecuje odejść, jeśli oddamy dziewczynę... i co? I odgraża się przy tym sądem nad morderczynią! Kastruje Giełzę! Przecież po czymś takim nikt normalny nie pozwoli się oddać w jego ręce! A gdyby pozwolił, to jakby wymachiwał nam przed nosami szpiegowską legitymacją!

– Myśli pan, że dziewczyna jest w porządku? – podsumował Morawski.

– Jeśli chodzi o jej układy z Sabahem? Chyba tak. Wie pan, dlaczego żyjemy? Bo wierciła mi dziurę w brzuchu o te okopy na górze.

– Wołynow też. A jemu pan nie ufa.

– Nie słucha pan – uśmiechnął się krzywo Filipiak. – Powtarzam: dwie niezależne sprawy. Rosyjski śmigłowiec, może Wołynow, może Mengesza, no i ten pseudoetiopski iliuszyn to grupa A. Sabah, miגי, być może Mengesza: grupa B. Jednym chodzi o śmigłowiec, drugim o urażone ambicje. Albo po prostu: o świętą wojnę z Zachodem. Słyszał pan, co się dzieje w kraju. Może po prostu tu kogoś poniosło i zaczął trochę wcześniej.

– Rosjanie od zawsze sprzedawali broń różnym mętным typom. Świat się do tego przyzwyczaił. Niby dlaczego teraz mieliby angażować się w tak karkołomne operacje? Zadzierać z ONZ, bo po cichu opchnęli Somalijczykom parę śmigłowców? Nie kalkuluje się.

– Kto by tam nadążył za ruskim politykiem – wzruszył ramionami Olszan. – A tak w ogóle, to przypominam, że Mengesza zmył się z kompletem dowodów. Możemy się teraz zaklinać, że widzieliśmy wrak cały w czerwonych gwiazdach, a i tak nikt poważny nie oskarży Rosji. Sprawa zamknięta. Nawet jak mają tu agenta, to agent zrobił swoje i teraz z całego serca wspiera nas przeciw Sabahowi. A, i jeszcze jedno: jeśli wszystko zaczęło się od tajnego latania tajnych śmigłowców, to najbliższym tego był świętej pamięci Zanetti.

– Zanetti rosyjską wtyczką? – zdziwił się Ciołkosz.

– Nie myślmymy stereotypowo. Rubel jest wymienialny. Wszystko się globalizuje, a lewe interesy najszybciej. Gdybym chciał ukryć przed światem, że nad Etiopią latają nielegalnie moje maszyny, to kogo werbowałbym do współpracy? Właśnie takiego gościa jak Zanetti.

Milczeliśmy jakiś czas. Na zewnątrz wybuchały pociski.

– Wiemy, że gówno wiemy – podsumował Filipiak. – Umówmy się, że będziemy zwracać uwagę na wszelkie dziwne zachowania. Zwłaszcza Wołynowa i Asmare. A wracając do rzeczy... Są konkretne powody, by ją posłać do Werder. Po pierwsze, zna język.

– To spory garnizon – zaprotestowałem. – Na pewno mają kogoś, kto zna angielski. A jak nie, to wystarczy, by mieli radio.

– Tłumacz może się przydać w drodze.

– Zakładaliśmy, że przemkną przez nikogo niezauważeni.

– Dobrze, zostawmy to. Punkt drugi: nie wiem, czy to ona miałaby pomagać Joli, czy na odwrót, ale we dwie gwarantują jakąś opiekę. Pojedynczo żadnej wolałbym nie dopuszczać do swoich rannych.

– Gabriela robi to, co jej każe. Żaden z niej medyk.

– Nie mdleje i nie rzyga na widok Juszczyka. Ja tak. Nawiasem mówiąc cholernie twarda z niej sztuka.

– Dobry materiał na szpiega, co?

– Dobry materiał na przewodnika. Ta dziewczyna przejechała na ośle pół Etiopii i czort wie ile frontów. Przyda im się.

– To wszystko?

– Nie, jeszcze sprawa najważniejsza. Żołnierze nie chcą za nią ginąć. Dla nich sprawa jest oczywista. Nawet jak zaczniemy rozpowiadać o sabotażu, rosyjskich agentach i wszystkich naszych podejrzeniach, mało kogo przekonamy. I dlatego chcę się pozbyć dziewczyny, zanim ktoś zrobi coś głupiego.

Jakiś zabłąkany granat rąbnął w bok transportera. Nieszkodliwie, ale wszyscy podskoczyli z wrażenia.

– Jassssny gwint – zasyczał Olszan. – Jakby tak w okop...

– Sam pan widzi, doktorze. – Filipiak, jak na dobrego żołnierza przystało, wykorzystał okazję. – Jest źle, a będzie gorzej. Z nami wcale nie będzie bezpieczniejsza.

– I my z nią – dorzucił Ciołkosz.

Obaj mieli rację. Nie znałem Gabrieli Asmare.

Ale chciałem poznać.

– Wolałbym wierzyć, że nie ma czwartego powodu.

– Czwarty powód? – Filipiak uniósł brwi.

– Gdyby ją tamci złapali, mielibyśmy święty spokój.

Przyglądał mi się jakiś czas, a ja rozmyślałem o głupocie ludzi, wieszających psy na współczesnym świecie. Sto lat temu po takiej sugestii musielibyśmy posłać po szpady lub pistolety. Inna sprawa, że sto lat temu żaden dżentelmen nie wpadłby na absurdalny pomysł pojedynkowania się z powodu czarnucha.

– Chce pan powiedzieć, że celowo ją wystawiam? – nazwał rzeczy po imieniu. – Składam w ofierze, dorzucając swoich rannych?

– Powiedziałem, że... – Urwałem, uświadamiając sobie, że dobrze słyszał, co powiedziałem. I że za daleko mnie poniosło. – Przepraszam. Nie wziąłem tego pod uwagę.

– Rannych nie pošlę na śmierć, ale Murzynkę już tak? – uśmiechnął się cierpko.

– To nie... Ma pan prawo podejrzewać ją o różne...

– Miłe, że w końcu to przyznałeś – uprzedził porucznika Morawski.

– Jak jest takim czarnym charakterem, to może lepiej nie wysyłać jej z Lesikiem i Jolą? – uśmiechnął się cierpko Olszan. – Ma z nimi na pieńku. Sami się pozabijają.

– Mógłbyś zrobić sobie małą przerwę w robieniu jaj? – zapytał uprzejmie Morawski.

– No dobra, więc serio: ja bym ich razem nie puszczał. Są na noże. Jak Gabriela powie: „Jedźmy w lewo”, to pojedą w prawo, choćby miny leżały i lwy biegały. A w ogóle to za bardzo racjonalnie do tego podchodzicie. Mówił pan: dwie różne sprawy – zwrócił się do porucznika. – A jak ta druga to nie żaden ruski spisek, nie zacieranie śladów, tylko prozaiczna zemsta? Zestrzeliliście śmigłowiec, zabiliście czyichś kumpli. Jakim cudem nikomu nie przyszło do głowy, że ta druga załoga mogła po prostu chcieć wziąć odwet za kolegów? Wzięła, rozwalila nam ciężarówkę i wróciła do domu. Nikt nie zauważył, że więcej się nie pojawili? Gdyby mieli nas uziemić jako świadków, walczyliby tu ramię w ramię z Sabahem. Dlaczego tego nie robią, skoro to taka gardłowa sprawa dla jakiegoś rządu?

Nie doczekał się odpowiedzi. Zamiast słów rozległo się stłumione łomotanie. Miękkie. Ktoś, kto walił w podwójne, kryjące dodatkowe zbiorniki drzwi bewupa, posłużył się gołą pięścią.

– Co za kretyn? – Filipiak poprzedził tę uwagę rzutem oka na ukaefkę, zawieszoną przy odsłoniętym otworze strzelniczym z anteną wychyloną na zewnątrz. Znajdowaliśmy się pod ogniem i nikt, kto nie musiał, nie wychylał z ukrycia nawet palca. Ci, którzy musieli, bo wyznaczono ich do obserwacji przeciwnika, mieli takie same jak dowódca nadajniki do utrzymywania łączności.

Olszan pochylił się ku drzwiom.

– Stop. – Morawski sięgnął do kabury. – Jakiś desperat mógł się prześliznąć.

Nikt więcej nie wycelował niczego w stronę drzwiczek, ale też nikt nie wyśmiał jego obaw.

Spod progu wysunęło się popiersie Gabrieli. Kulila się za tarczą bewupa, bo tak nakazywał rozsądek, ale to nie rozsądek ją tu przygnał. Od razu zrozumiałem, że stało się coś niedobrego.

– Ten zestrzelony pilot... Ktoś go zabił. Chyba nożem.

*

W miarę wydłużania się oblężenia punkt opatrunkowy rozrósł się, przybierając kształt

podkowy. Większość stanowiły płytkie rowy łącznikowe, ale były też trzy przyzwoite dziury, zdolne pomieścić co najmniej jednego leżącego i dwuosobowy zespół, udzielający mu pomocy. W takim właśnie, najnowszym z gniazd rannych, umieściłem ukraińskiego pilota.

Filipiak, powołując się na brak miejsca, rozgonił większość uczestników odprawy. Obdukcji dokonałem w obecności dwojga tylko świadków: jego i Gabrieli.

– Niech pan nie pyta o czas – powiedziałem, okrywając kocem twarz zmarłego. – Niedawno, ale może przed naszym zebraniem, a może w trakcie. Teoretycznie nikogo pan nie może skreślić. Praktycznie sugerowałbym skreślenie mnie i jej – skinąłem w stronę kucającej za jego plecami dziewczyny. – Mogliśmy go zabić dyskretniej.

– Może właśnie dlatego... – Nie dokończył, patrząc za to wymownie na wielką plamę krwi.

– Przesadna perfidia. Umierał. Gdyby znaleziono go martwego, do głowy by panu nie przyszło, że ktoś mu pomógł. Swoją drogą, aż nie chce mi się wierzyć, że ktoś to zrobił tak bezmyślnie.

Filipiakowi, sądząc z miny, też coś nie pasowało.

– Bezmyślnie to za mocno powiedziane – odezwała się cicho Gabriela. Widać było, że ten incydent dał jej solidnie w kość.

– Trzy ciosy – wzruszyłem ramionami. – Połamał żebra, okropnie to wygląda, ale dopiero trzeci trafił jak trzeba, w serce. Gdyby ten biedak był przytomny, narobiłby takiego krzyku... Partactwo.

Zniosła dobrze mój wzrok. Chyba trochę badawczy. Nie podejrzewałem jej, nie była aż tak głupia, by robić to w taki sposób. Ale gdyby jednak... Idealizowałem ją, więc łatwo wpasowała się w rolę mordercy zbyt delikatnego, by na zimno, porządnie wbijać nóż.

– Jak go znalazłam, koc leżał inaczej. Masz to pod kolanem.

Cofnąłem się i przez chwilę oglądałem zakrwawioną tkaninę. Teraz, gdy już wiedziałem, czego szukać, reszta poszła łatwo. Już tylko dla formalności przykryłem brzegiem martwego pilota.

– Masz rację. Zadźgano go przez koc. Chyba możemy darować sobie oglądanie wszystkich po kolei i szukanie świeżych plam.

– Czyli jednak profesjonalna robota – powiedział cicho Filipiak. Musiał mówić cicho: alternatywą był tylko ryk zwierzęcej, bezrozumnej i bezsilnej wściekłości. Miał dość.

– Na pewno nie. Zawodowiec wybrałby gardło. Czysto, cicho. Naprawdę tego nie rozumiem. Nie skomentował. Brał się w garść.

– A ja chyba tak. – Obaj popatrzyliśmy na Gabrielę. – Może źle do tego podchodzicie. Szukacie zimnego, bezdusznego sukinsyna. A to mógł zrobić ktoś... normalny. Gdybym to ja chciała go... to właśnie tak. Zamknąć oczy i... – zademonstrowała cios z góry. – Ale to nie ja.

Filipiak odwrócił się bez słowa i przez chwilę patrzył mi w oczy.

– Dawno powinienem to zrobić; moja wina. – Zacerpnął głęboko powietrza. – Koniec z Wersalem. Od tej pory macie być cały czas razem, pan i ona. Jeśli oddali się na więcej niż trzy metry, osobiście ją zastrzelę.

– Żartuje pan. – Jeszcze nigdy nie wypowiedziałem żadnego słowa z mniejszym przekonaniem.

– To dotyczy was wszystkich. Z Addis Abeby przyleciał ktoś, kto próbuje nas pozabijać, a ja mam dość zabijania moich ludzi. Koniec. Każdy zachowujący się podejrzanie, łączy samopas i nie stosujący się do rozkazów zarobi kulę w łeb. Widzę, że coś się między wami dzieje. – Nie wykonał najmniejszego gestu, by wskazać, kogo ma na myśli, ale i ja, i klęcząca z tyłu Gabriela nie mieliśmy wątpliwości. – Zrobię dla pana wyjątek: da mi pan słowo, że zastrzeli bez wahania każdego, kogo uzna za zdrajcę, a ja się zgodzę, by w jej przypadku był to strzał w rękę czy nogę.

– A jeśli nie? – Postarałem się, by nie zabrzmiało to wyzywająco.

– Nie pozwolę wam nawet zbliżyć się do broni. I poinstruuje swoich ludzi. Nie tych wybranych. Wszystkich.

Zrozumiałem.

– W porządku. Ma pan moje słowo.

Skinął głową jak ktoś odnotowujący oczywistą odpowiedź.

– Trzy metry – przypomniał. Przecisnął się obok mnie i zakrzywionym rowem łącznikowym ruszył ku głównej części naszego szpitala.

*

– Nieodpowiednio się pan ubiera, panie kapitanie – Grochulski zwałił kamizelkę i hełm na blaszaną podłogę honkera. – W miarę czyste, przetarłem piachem.

– Dzięki. – Myśl o założeniu na siebie dodatkowych paru kilogramów izolacji termicznej odebrała całą spontaniczność tym podziękowaniom. Zmrok zapadł niedawno, upał jeszcze nie zelżał. – Ale teraz zmykaj do okopu. Nie potrzebuję nowych pacjentów.

Od minuty nic w pobliżu nie wybuchło. Lada moment chłopcy Sabaha powinni nadrobić te zaległości.

– Pomóc? – Nie ruszył się z miejsca.

– Właśnie skończyłem. Ambulans gotów do drogi. – Szarpnąłem na próbę noszami, po czym zeskoczyłem niezgrabnie z samochodu. – Miejmy nadzieję, że ruszy.

Kwadrans wcześniej obrażony na cały świat Andrusiak uruchomił na chwilę silnik, ale potem rozerwały się w pobliżu trzy pociski. Zresztą samochód to nie tylko silnik: do jazdy potrzeba jeszcze paru innych sprawnych podzespołów.

– Ma pan tym jechać? – Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że cały czas mówi za cicho.

Pokręciłem głową. – A... pani Gabriela?

– Dlaczego pytasz?

– Nie, nic... Aha, porucznik kazał oddać. – Zakołysał czymś podłużnym, zwisającym na pasku z ramienia, i zeskoczył do rowu łączącego studzienki okopów. Nim się zorientowałem, był już obok siedzącej przy Juszczyku dziewczyny.

Chcąc nie chcąc, dołączyłem do nich.

– Dla pani. Załadowany, a tu – dorzucił chlebak do drugiego kompletu kamizelka-hełm – zapasowe magazynki i trochę naboju luzem.

Nie było jeszcze na tyle ciemno, bym nie wypatrzył paru szczegółów podawanej Gabrieli broni.

– Pepesza? – Byłem bardziej zdziwiony niż dziewczyna i pewnie dlatego dość bezceremonialnie wyłuskałem jej z rąk masywny automat z drewnianą kolbą, ażurową osłoną lufy i magazynkiem w kształcie bębna. – Boże, prawdziwa żywa pepesza! Skąd to...?

– Zdobycz. Ale fakt, chyba i u nich unikat. Tylko jedna taka wpadła nam w ręce. – Grochulski zamilkł na chwilę.

– Porucznik przekopał cały arsenał, żeby coś takiego znaleźć.

– Powiedział panu, dlaczego? – Coś w jej tonie uświadomiło mi, że zdążyła przejrzeć intencje Filipiaka. Szybko. Trochę za szybko jak na przeciętną, porządną polską kobietę. Ale cóż, całkiem przeciętna nigdy nie była.

– Nawet kazał wyjaśnić. – Dało się wyczuć, że ten rozkaz nie przypadł Grochulskiemu do gustu. – Mam powtórzyć, że takich pocisków nie ma żadna inna broń. I że łatwo będzie poznać, tu, na miejscu, do czego pani strzelała. Więc ma pani uważać.

Oddałem Gabrieli automat i popatrzyłem na rudzielca.

– Powiedział wam, o co chodzi?

– Właściwie nie musiał. Nie jesteśmy ślepi. Chłopaki plotkują w każdej wolnej chwili. – Zawahał się i dodał: – Delikatnie mówiąc.

– To znaczy? – Wyraźnie czekał na zachętę.

– Trochę... no, odstaję. Miałem studiować, tylko z forszą było krucho. Dla chłopaków nie jestem stuprocentowo swój. Wiem, na co narzekają, ale jeśli coś by miało z tego wyniknąć, to mogą mi nie powiedzieć.

– Wyniknąć?

– Gdyby coś się pani stało – zwrócił się bezpośrednio do Gabrieli – wystarczyłoby odesłać partyzantom zwłoki i byłoby po kłopotcie. Taka panuje opinia. Na razie słyszałem najwyżej ciche narzekania, że czarnuchy tak źle celują, ale...

– Dla większości też jestem czarnuchem? – zapytała bez urazy. – To pan chciał powiedzieć? Uważają, że to nie ich sprawa?

– W kraju połowa z nich nie myślałaby w taki sposób. – On też zachował spokój. – Ale tutaj zobaczyli czarnych ludzi żyjących niewiele lepiej niż neandertalczyki. Brudnych, śmierdzących, półnagich. Całkiem obcych. To nie Eddie Murphy czy Whitney Houston. Tamci żyją w naszym świecie, a to tutaj... To po prostu nie nasz świat.

– Rozumiem.

– Zresztą to tylko pretekst. Gdyby pani miała blond warkocz i Piast na nazwisko, też nie chcieliby za panią ginąć. Tylko trudniej byłoby się z tego tłumaczyć. A tak...

– Myśli pan, że ktoś strzeli mi w plecy? – zapytała rzeczowo.

– Pewnie nie. Ale na pani miejscu nie zdejmowałbym tego – trącił butem kamizelkę. – Jeszcze trochę nas zostało. A w gromadzie zawsze się może znaleźć czarna owca.

*

Blask lampy naftowej nie sięgał tak wysoko i właściciela zatrzymujących się na przedpiersiu butów poznałem dopiero po głosie.

– Za chwilę pogrzeb. – Ciołkosz postarał się, by go usłyszano od razu we wszystkich trzech dołach szpitala. Być może pokrzykiwał z nawyku: od dłuższego czasu wawóz trząsał się od łomotu wszystkich silników, jakie udało się uruchomić. Pojazdy przemieszczały się to tu, to tam, badając możliwości wyjazdu czy w ogóle poruszania się o własnych siłach. Przy okazji przyzwyczajano Somalijszyków do hałasu.

– Pogrzeb? – Próbowałem odpędzić wizję następnego trupa, wlezonego za nogi przez otępiałych z wyczerpania kolegów. – Trafili kogoś?

Z rowu łączącego wynurzyła się sylwetka Gabrieli. Przebywając w okopach szpitala nie traktowaliśmy zbyt dosłownie ustanowionej przez Filipiaka reguły trzech metrów, ale chyba wołała dmuchać na zimne.

– Nie, ale niedługo odjeżdżamy. Ksiądz kapelan zarządził uroczystość pożegnania z poległymi. Coś im jesteśmy winni.

– Uroczystość – powtórzyłem sceptycznie.

– Obecność obowiązkowa.

– Pewnie, ostatecznie to ciągle Wojsko Polskie... A co na to Filipiak? – Machnąłem ręką w stronę niewidocznych żołnierzy, ryjących saperkami w północnym stoku. – Chyba mu się spieszy.

– Ludzie i tak muszą odetchnąć. Odpoczną przy modlitwie.

Fakt. Cokolwiek Lesik planował, z pewnością było mniej męczące od przerzucania gliny krótką łopatką.

– Kozłowski dojdzie sam, ale Szewczykowi, o ile zechce iść, ktoś...

– Żadne „zechce” – przerwał mi. – To rozkaz.

– Proszę?

– Ja mu pomogę – uprzedziła go Gabriela. – I tak się wybierałam.

Nie widziałem twarzy Ciołkosza, wyczułem jednak, że jest niemile zaskoczony.

– Pani? – Odpowiedziała dyplomatycznym milczeniem. – Niby po co? – Nadal milczała, choć teraz z innych powodów. – Miałem na myśli doktora.

– Doktor jest słaby w modlitwach – poinformowałem go. – Poza tym mam robotę przy żywych. Ona zresztą też.

– Lepiej by było – powiedział powoli – gdyby pan poszedł.

– Nie chciałem tego mówić, ale takie szopki były dobre przy oblężeniu Jasnej Góry. Dziś jeden granat mózdzierzowy może was wszystkich, za jednym zamachem... Nas w to proszę nie wciągać.

– Lekceważy pan rozkaz dowódcy?

– Ja idę. – Gabriela nie dopuściła mnie do głosu. Potem, równie szybko jak mówiła, nasadziła hełm na głowę i wydostała się z okopu.

Juszczuk zaczął jęczeć i zgodnie z tym, co oświadczyłem wcześniej, musiałem zabrać się do roboty.

*

Tym razem nie miałem problemów z rozpoznaniem nóg, które wychynęły z otaczającej okop ciemności. Były gołe, jasne, zgrabne i szczupłe. Tylko jedna taka para krążyła po okolicy. Wyglądały interesująco, oglądane z mojej perspektywy; pewnie dlatego dostrzegłem błysk szkła między polakierowanymi paznokciami dopiero, gdy Jola przykucnęła i wyciągnęła rękę.

– Napije się pan?

– Ccc... słucham? To pani? – Patrzyłem z niedowierzaniem na dwustugramową piersiówkę, podsuwaną mi pod nos.

Uśmiechnęła się szerzej. To właśnie było najbardziej niesamowite: że wynurzyła się z mroku już z tym uśmiechem na twarzy. Rozhisteryzowana Jola, ofiara szoku, dawno spisana na straty.

– Od tego trzeba było zacząć – potrząsnęła butelką. Trochę z niej ubyło, ale nie zdążyłem ocenić, ile: zbyt energiczny ruch zakłócił równowagę dziewczyny i Jola, chroniąc się przed upadkiem głową w dół, chwyciła znienacka moją szyję.

Przez chwilę – raczej długą – miałem twarz wtłoczoną między jej piersi. W przeciwieństwie do reszty naszych pań nosiła stanik, więc nie rozjechały się na boki i miałem okazję przekonać się, że natura obdarzyła ją naprawdę szczodrą.

Pomogłem jej wrócić do poprzedniej pozycji – alternatywą był odskok i nowy pacjent, tym

razem z urazem kręgosłupa, względnie pchnięcie, jej lądowanie na plecach, cały kręgosłup, lecz zdruzgotana godność. Tak to sobie tłumaczyłem potem, gdy znów siedziała na piętach, opierając się o mój bark końcami palców i przesłaniając połowę świata wewnętrznymi częściami rozchylonych ud.

– Chyba się ciut wstawiłam. – Pachniała tak, że na jej tle Wielogórska mogła uchodzić za perfumowe skąpiradło, ale parsknięcie śmiechem przeniosło przez tę zaporę alkoholowy chuch.

Piła, ale nie była pijana. Odrobinę brakowało jej luzu.

– To dobrze, że jest już pani na chodzie.

– A pan? – przechyliła zalotnie głowę. – Też na chodzie?

– Ja? No... – Jeśli dobrze ją rozumiałem, to tak, o dziwo, byłem. Po głowie łąziła mi Gabriela i to jej brązowe uda wolałbym teraz oglądać, zastanawiając się, jak by to było, gdyby nagle zacisnęły mi się na uszach, ale nie wpadłem aż tak, by całkowicie zubożnąć na dziewczęce nogi odmiennego koloru. Pocieszające. I pewnie z tej potrzeby szukania pociechy gapiłem się wprost przed siebie, zamiast w dół, pod nogi, albo w górę, na twarz. Obiektywnie biorąc buzię miała wcale nie gorszą niż resztę, ale mnie nie stać było na obiektywizm i do wmawiania sobie, że świat nadal pełen jest atrakcyjnych kobiet, wolałem wykorzystać Jolę od szyi w dół. – Nie idzie pani na pogrzeb?

Cholera. Widocznie od szyi w dół też nie była dość dobra. Chociaż to raczej nie stronictwo Gabrieli w moim mózgu spłodziło owo pytanie-unik. Chyba zwyczajnie się przestraszyłem.

– To może być nasza ostatnia noc. – Jeżeli coś udawała, to z pewnością nie lęk, że może mieć rację w tej kwestii. – Szkoda ją tracić na cudze pogrzeby. Napije się pan ze mną? Proszę...

Ładnie prosiła. Inna sprawa, że w tej chwili dałbym się namówić choćby garbatej staruszce. Przed bitwą suszy każdego.

– Jasne, że się napiję.

Błąd. Zdałem sobie z tego sprawę, patrząc, jak otwiera butelkę. Miała jedną wolną rękę, ale każdy gest można wykonać co najmniej na dwa sposoby. Ona wybrała ten drugi.

Otuliła nakrętkę ustami powolnym, zmysłowym ruchem, znanym być może szczęśliwym posiadaczom namiętnych i śmiałych kochanek, ale raczej nie przeciętnym korkom od butelek. Musiałbym być ślepy i opóźniony w rozwoju, by zinterpretować to jako otwieranie naczynia.

Przypomniała mi się wczorajsza jazda sanitarką i dziwnie podobna scena z udziałem innej dziewczyny i innej butelki. Coś szczególnego musiało się kryć w atmosferze Ogadenu.

– Dziękuję – wzięłam od niej piersiówkę, zastanawiając się, co począć z nadmiarem wolnych rąk. Moich, ale i jej. Czulem, że teraz, gdy pozbyła się naczynia, może posłać prawą śladem lewej. Bardziej by temu zapobiec, niż w pogoni za relaksem, łyknąłem zamasyście.

Weszło gładko, ale kosztem oczu, które omal nie wyskoczyły z orbit. Po przetyku rozlał się napalm. Przez chwilę to Jola mnie, nie ja ją, podtrzymywała w stabilnej pozycji.

– Jezu... To ma... ze sto procent!

– Ojej, zapomniałam panu powiedzieć. – Sama zalotność, zero skruchy. – A tak w ogóle... pan, pani... Może skorzystamy z ostatniej okazji i... brudzia? Co, panie Jacku?

– No...

– Moja kolej. – Wyłuskała mi piersiówkę, rekompensując to kląpsem wymierzonym pierśią w policzek. Nogi rwały mi się w obie strony naraz: do ucieczki i do niej. – Zdrówko.

Była to najszybsza kolejka, jaką widziałem. Niemal od razu opadła na kolana i prawdopodobnie poleciałaby na lampę i opatulonego gazą Juszczyka, gdyby nie wyhamowała ustami o moje usta. Udało mi się ją złapać, ale w kwestii pocałunku niczego już nie dało się zrobić.

Chyba za mało się starałem.

Była śliczna, młoda, była miękka, ciepła i pachniała światem, w którym są kwiaty, delikatny blask majowego słońca, radość i śmiech, nadzieja i spokój – czymś nieskończenie odległym od tej wyżarzanej, plugawej dziury w wyklętym przez Boga pustkowiu, pełnej smrodu spalenizny, zgnilizny i strachu. Była ucieczką, błogosławieństwem zapomnienia. I ostatnią przyjemnością życia, które prawdopodobnie dobiegało końca.

Nie była też obca. Wpychając język za linie moich zębów, rozbiła mur, którym ludzie odgradzają się od innych ludzi. Mogłem przejść przez wyłom. Jeśli tylko chciałem.

Kłopot w tym, że waląca się ściana odsłoniła nie ten co trzeba skarbiec. Nie za ten mur mnie ciągnęło. Tamten był w innym kolorze.

Moja dłoń cofnęła się z piersi z powrotem na bok, na najbardziej neutralną część kobiecego boku, jednakowo odległą od biodra i pachy. Najwyraźniej nie zrozumiała.

– Nie tutaj – wymruczała. – Znalazłam dobre miejsce. Chodź. Szybko.

Szybko? Byliśmy spóźnieni o siedemdziesiąt pięć godzin. Trzy doby i trzy godziny minęły od chwili, gdy za kratami mojej celi ukazała się odrealniona, spowita w aureolę postać kobiety na osiołku. Mierząc ilością i wagą wydarzeń – całe wieki. A przecież pamiętałem każdy szczegół. Nie tyle na poły sennego obrazu – swoich odczuć.

Po czymś takim nie da się tak po prostu szybko pójść.

– To... zły pomysł.

– Nie bój się. – Owiewała mi twarz ciepłym oddechem. Trochę alkoholu, sporo mięty. Dobrze przygotowana do randki dziewczyna.

– Nie boję się – skłamałem.

– Niczym cię nie zarażę. – W ciemności jej zęby zaśniły zadziwiająco jasną bielą. – Bezpieczny towar. Pod każdym względem.

– Na pewno. – Była wstawiona, odważna wypitym spirytusem, i nie mogłem na sto procent wykluczyć, że właśnie zareklamowała swe dziewictwo. W przypadku statystycznej Polki rzadko

ponoć zdarza mu się dociągnąć do matury, ale na statystykę składają się urodzone dziwki i zakonnice. Jej było chyba trochę bliżej do tych drugich.

– Sprawdzalam kalendarz. – Pociągnęła mnie. – Możemy iść na całość.

– Żałowałyby pani... potem.

Myślałem o tym, że Gabriela przyjęłaby podobną kwestię jak siarczasty policzek. Gdybym potrafił ją wypowiedzieć.

– Potem to nas może nie być. – Jola nie sprawiała wrażenia dotkniętej.

– Nie wolno tak myśleć. Wsiądziemy do transporterów i fiuu. Jutro o tej porze nie będziemy pamiętać, że byliśmy na wojnie. – Nie zamierzała się odsuwać, więc użyłem grubszego kalibru: – Nie pasujemy do siebie.

– Skąd wiesz? Mierzyłeś? – Udało jej się rozbawić samą siebie. – Zresztą zawsze się można dopasować. Chęci się liczą. No chodź.

Okop to cudowny wynalazek. Ocalił pewnie więcej istnień niż penicylina, ale i tak nie doceniałem go do tej pory. Nie przyszło mi do głowy, że chroni także przed tego rodzaju atakiem: seksualnym.

Gdyby dopadła mnie na gorze, musiałbym ulec. W którymś momencie po prostu zaczęła ciągnąć. Byłem zbyt zaskoczony, by stawiać świadomy opór. Poradziłyby sobie, gdyby nie grawitacja.

– Siostró... Jola, daj spokój. – Nigdy przedtem nie zwracałem się do niej tak łagodnym, a zarazem przestraszonym głosem. – To bez sensu...

O dziwo, przestała ciągnąć.

– Co bez sensu, jakie bez sensu? – Zadyszka dobrze maskowała uczucia; nie byłem pewien, czy w grę wchodzi żądza, gniew czy może chorobliwa potrzeba postawienia na swoim. – Impotent jesteś?

– W tym upale nie powinno się pić. – Dotknąłem jej łokcia w ramach niemych przeprosin za to, co robię. Czy raczej: nie robię. – I bez tego człowiek chodzi ogłupiały... Zapomnijmy to tym po prostu, dobrze?

Znieruchomiała. Uznałem to za początek osławiania się z faktami.

– Nie podobam ci się? – Agresywny wamp przeistoczył się w onieśmiałą dziewczynę. – Ani trochę? W ogóle?

– To nie o to chodzi...

– Przecież nie ciągnę cię do ołtarza, niczego nie chcę. Co ci szkodzi? Zabawimy się, może ostatni raz. Czego się boisz?

– Nie wiesz, co robisz.

– Myślisz, że jestem pijana? No, trochę jestem. W porządku: mam lekki odlot. Ale kojarzę, co i jak. Chcę się z tobą pieprzyć. Teraz. Szybko i mocno, na maksa. Nie bądź ostatnim chamem

i wyświadczyć mi tę przysługę, co? To nie boli, a nawet bywa miłe.

– Niektórych boli.

Nie wiem, po co to powiedziałem. Nie miałem przecież ochoty wykorzystywać w charakterze psychoterapeuty dziewczyny, której nie potrafiłem wykorzystać w dużo przyjemniejszy sposób.

Oczywiście mogła puścić mimo uszu mój pomruk. Ignorowała dotąd wszystko, co do niej mówiłem. Ale miałem pecha.

– To tu cię gryzie? – Znieruchomiała. – Ale ze mnie idiotka... Ty i ta... Kręciła się wokół ciebie, kręciła i w końcu wkręciła sobie między nogi, co chciała. Że też o tym nie pomyślałam...

– Parsknęła nerwowym, gorzkim śmiechem. – Pewnie, kurwa. Dawaj szybko albo wcale.

Rozchyliłem usta, ale wstrzymałem się z protestem. Trafiała. Nie w dziesiątkę – takim szczęściarzem nie byłem – ale w ósemkę na pewno. Gdybym wyjawiał jej prawdę, pewnie przyznałaby się do błędu, ale właśnie wtedy nie miałyby racji. Prawda była taka, że Gabriela faktycznie okazała się szybsza. I że Joli istotnie zabrakło refleksu, nie siły przekonywania. Bez czarnej dziewczyny w głowie byłbym dużo lżejszy i biała dziewczyna wyciągnęłaby mnie jakoś z okopu.

Oboje straciliśmy okazję.

Zabrała dłoń. Czekałem, aż podniesie się i odejdzie.

– Dawno? – Nie odchodziła. Co więcej: zdawała się spokojniejsza.

– Proszę?

– Pytam, czy dawno to robiliście.

– O co ci chodzi? – Po raz pierwszy żałowałem, że Juszczyk uciekł w nieświadomość i nie zamierza mnie ratować choćby pojękiwaniem.

– Ile ją znasz: trzy dni? – Jej głos był chłodny, opanowany. Chyba nie była taka wstawiona, za jaką próbowała uchodzić. – Myślałam, że jesteś z tych powolnych, co to bez paru miesięcy wcześniejszego łożenia nawet za rękę nie wezmą, ale jak nie, to nawet lepiej. Chodź. Dla odmiany. Są lepsze rzeczy niż chude dziewczuchy od krów. Przekonasz się.

Ładnie pachniała. W ogóle była ładna. Nie umiałbym wskazać żadnego kawałka jej ciała, który budziłby zastrzeżenia. To prawie wszystko, o czym dziewczyna może marzyć. Prawie.

Wyobraziłem sobie nasz powrót stamtąd, zza granicy światła. Właściwie niepotrzebnie: ta wizja tkwiła we mnie od samego początku, nosiłem ją w podświadomości na długo przed dniem, gdy po raz pierwszy ujrzałem Gabrielę. Ale posłużyłem się nią. Tak było łatwiej.

– Nie przekonam się – powiedziałem odrobinę głośniejsze. – Nie bierz tego do siebie. I idź, odpocznij przed wyjazdem. Mam robotę.

Nie ma ludzi stuprocentowo impregnowanych na słowo „nie”. Była nad wyraz oporna, ale w końcu i do niej dotarło. Uniosła się i przez chwilę oboje całkiem serio zastanawialiśmy się, co

zrobi z cofniętą o pół kroku stopą. Jej lądowanie na mej twarzy nikogo by nie zaskoczyło.

Nie kopnęła mnie. Może szkoda jej było delikatnych sandałów, może palców o wypielęgnowanych paznokciach, a może po prostu kariery.

– Zoofil – rzuciła mi w twarz, po czym odwróciła się i powoli, z godnością, odeszła w głąb wąwozu. Spoglądałem za nią nawet, gdy na dobre znikła w mroku nocy. Zastanawiałem się, co właściwie straciłem.

Nim doszedłem do jakichkolwiek wniosków, straciłem przytomność.

*

Świat falował. Ten pode mną, ten w wypełnionej bólem głowie, no i oczywiście ten otoczony ściankami żołądka.

– Zamelduję porucznikowi – powiedział ktoś, kto unosił się wysoko w górze i jakimś cudem potrafił oddalić się stamtąd tupiąc ciężkimi buciorami. Może zresztą stał obok i tylko moje wyczucie pionu szwankowało bardziej, niż przypuszczałem.

Leżałem na brzuchu, przed oczami miałem piach, a czoło do niedawna podpierała torba maski przeciwigazowej. Teraz zastąpiła ją para rąk. Próbowaly mnie podnieść, posadzić albo przewrócić na plecy i nie udało im się złamać mi karku tylko dlatego, że zawyłem wcześniej, niż zrobiliby to zdrowy facet, podnoszony chwytem za głowę i tylko głowę.

Ktoś tu się bardzo spieszył. I gwałtownie przestał.

– Nic ci... jak się czujesz?

To dziwne, że poznałem ją po zapachu. Trochę pomógł mi dotyk gołej skóry uda, wpychanego pod moją brodę i obojczyk. Kobieta, jedna z trzech, a dwie pozostałe nawet zakatarzony wyczuwał na milę. No i mdłości zawsze wyostrzały mi zmysł powonienia. Mimo wszystko zaskoczyło mnie to. Pomijając odzież, miała na sobie tylko to, czego pozbył się jej organizm i co radośnie przetworzyły różne mikroskopijne żyjątka, a więc kompozycję łatwo rozpoznawalną dla psa, lecz przecież nie człowieka. Wyglądało na to, że w odniesieniu do tej jedynej na świecie osoby udało mi się zejść na psy.

– Ale nas nastraszyłeś... Bałam się, że to... Masz chyba wstrząs mózgu. Przed chwilą strasznie zwracałeś. Właściwie to próbowałeś, bo nie bardzo jest czym... Dobrze się czujesz?

Udało nam się wspólnymi siłami posadzić mnie pionowo. Świat uczył ten wyczyn radosnym płąsem.

– Mam jeszcze ciut wody. – Odpięła manierkę, wciąż przytrzymując mnie jedną ręką, pomyślała chwilę i dość nieoczekiwanie, z niewyraźnym uśmiechem oplótła mi szyję ramionami. Zanim sobie uświadomiłem, że po prostu odkręca pokrywkę, musiałem mieć wyjątkowo głupią minę, ale na szczęście nikomu nie dane było jej oglądać. Byliśmy sami. – Masz. Tylko powoli.

I ten... przepłucz usta.

No tak, ona też nie nosiła nosa wyłącznie do ozdoby.

– Co się stało? – zapytałem po doprowadzeniu oddechu do porządku.

– Nie wiesz? – Bezmyślnie pokręciłem głową. Drogo mnie to kosztowało, choć udało mi się nie zwymiotować. – Ostrożnie, co ty wyprawiasz?! Oddychaj głęboko... Ktoś cię chyba uderzył. Myśleliśmy, że to odłamek albo kamień, ale raczej nie. Nie widać krwi. To musiało być ciężkie, ale miękkie.

– Coś mnie uderzyło? W głowę?

– Może lepiej się połóż. – Sięgnęła mi do czoła matczynym, względnie pielęgniarzkim gestem.

– Nic mi... to znaczy... To zaraz przejdzie. – Nie chciałem, by się martwiła, choć oczywiście zamieniłbym jej zamartwianie się na głowę, która nie boli. – Może to worek? Silny wybuch mógl...

– Pamiętasz huk? Widziałeś może, co się stało?

– Nic nie pamiętam. – Patrzyłem z bliska w jej szeroko rozwarte oczy, prosząc w myślach, by nie zabierała ręki. – To znaczy nie, żebym miał amnezję... Po prostu film mi się urwał. Rozmawiałem z Jolą... – utknąłem. Przyszło mi na myśl, że lekka amnezja nie byłaby taka zła.

– Była tutaj? – Od razu zwietrzyła pismo nosem. – Czego chciała?

– Kto? Jola? – Nawet bez jej miażdżącego spojrzenia czułem, iż tak żałosna gra na czas nie ma racji bytu. – No... była. Przyszła... na chwilę. Rozmawialiśmy, a potem poszła. Nic poza tym.

– Nic?

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wie wszystko i bawi się mną jak kot myszą. Gdyby nie łupanie pod czaszką, byłoby mi z tym fatalnie. Coś się jednak zdarzyło i fatalnie było mi przede wszystkim z łupaniem.

– O co ci właściwie...? – Nie dokończyłem, porażony poniewczasie jej słowami. – Zaraz... Powiedziałaś: „Ktoś”? Ktoś mnie uderzył?!

Litościwie, a może dla własnej wygody, odczekała chwilę.

– W końcu dotarło? – mruknęła średnio złośliwie. – Pytam, bo inni też będą pytać. Pewnie ostro. Lepiej, żebyś się na to przygotował.

Gdybym miał czym, zacząłbym się intensywnie pocić.

– O czym ty mówisz?

Zabrała rękę z mego karku. Dopiero teraz.

– Nikogo tu z tobą nie było? Albo w pobliżu?

– Myślisz, że to nie moździerz? – zapytałem cicho. Nie odpowiedziała. O całe wieki za późno rozejrzałem się po okopie. – Gdzie Juszczyk? Przenieśliście go? – Tym razem przytaknęła.

– Dlaczego?

– Bo nie żył.

To była połowa odpowiedzi. Wcale nie starała się tego kryć. Wpatrywała się we mnie i czekała. Na to, co sobie przypomnę – lecz nie tylko. Także na wyznania.

– Nie zmarł sam? – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. Lekko poruszyła głową. – Aha... chyba rozumiem. Po tym wszystkim... Myślisz, że to ja go...

– Nie – powiedziała z prawie pełnym przekonaniem.

– Ale dopuszczasz taką myśl.

– Robię, co mogę, by nie dopuszczać.

– Dzięki za szczerość.

– Obraziłeś się – skonstatowała z lekką goryczą.

– Głowa mnie boli – przypomniałem. Pomyślałem chwilę i dodałem: – A ty masz święte prawo myśleć to, co myślisz. Za to cię zresztą lubię.

– Że cię posądzam o... – Miała dość taktu, by nie kończyć. I radość w oczach. Ludzie lubią być lubiani. Nawet przez morderców.

– Za myślenie. – Spróbowałem, czy z obolałą papką zamiast mózgu można się uśmiechnąć, i chyba się udało. – Większość woli tego unikać.

Gdzieś w oddali zastukał karabin maszynowy. Dopiero teraz przebiło się do mej świadomości ciche powarkiwanie silników. Pracowały na jałowych biegach, przytępiając uwagę nasłuchujących w ciemnościach ludzi, stwarzając nadzieję, że kiedy przyjdzie co do czego, przynajmniej niektórzy dadzą się zaskoczyć.

– Czego od ciebie chciała?

Nie od razu skojarzyłem. Ktoś lub coś wykonało kawał dobrej roboty przy pomocy worka z piaskiem. Refleks miałem jak szachista.

– Jola? – Pamięć działała lepiej, więc utknąłem w tym miejscu.

– Albo jesteś fenomenalnym aktorem – mało delikatnie wskazała płamę obok postania – albo coś ci zdrowo przywaliło w głowę. Mówisz, że tu była. Jesteś pewien, że to nie ona?

– Jola? – zdziwiłem się. – Dlaczego by miała mnie walić?

– Nie wiem. Ciebie pytam. Może cię nie lubi, może próbowała ją zgwałcić... Różne są możliwości.

– Ja ją? – parsknąłem gorzkim śmiechem. Ale naprawdę gorzko zrobiło mi się sekundę później, na widok zwężających się oczu Gabrieli.

Mogła jeszcze uratować sytuację zadając pytanie – jakiegokolwiek. Milczeniem rozłożyła mnie na łopatki.

– Nie musisz mówić. – Wieki minęły, nim to powiedziała.

Pozbierałem do kupy całą odwagę, odwróciłem twarz w bok, gdzie mogłem podziwiać piękny kawałek mroku, i wyrzuciłem to z siebie:

– Chyba tak jakby mi się oświadczyła.

Nawet nie patrząc, wiedziałem, że opada jej szczęka.

– Oświadczyła ci się?!

– No, nie dosłownie...

– Chciała, żebyś się z nią ożenił?! – Zdrowo nią to wstrząsnęło. – Tak... po prostu? – Zastanawiała się gorączkowo przez chwilę. – Czekał no... To „Panie doktorze”, „Siostró” to lipa, tak? Jesteście ze sobą?

– Zgłupiałaś?!

– Ja? Chcesz mi wmówić, że dziewczyna, z którą nawet nie jesteś na „ty”, nagle przychodzi i żąda ślubu?

– Źle zacząłem... Jasne, że nie wpadała tu z pierścionkiem. To raczej... no, moje podejrzenia. Tak to odebrałem.

– To co w końcu mówiła? – warknęła. Dostałem tak, że łeb omal nie odleciał razem z płucami, ale któż by sobie tym zawracał głowę. Czuję, że naprawdę to dostanę teraz: jeśli odmówię zeznań.

– No... tak jakby... zaproponowała wspólny spacer.

– Spacer – powtórzyła tępo. Słowo „Oświadczyń” zbyt głęboko utkwilo w jej świadomości. Albo po prostu padałem ofiarą zimnej ironii.

– No wiesz: idzie się razem w jakieś ustronne, romantyczne miejsce... i tak dalej.

Zerknąłem w ciemną plamę jej twarzy. Strata czasu: wczytywanie się w myśli afrykańskich dziewczyn lepiej przełożyć na dzień.

– A... taki spacer – powiedziała powoli. Z głosu też niewiele dało się wyczytać. – No, no. Kto by pomyślał. I co: znaleźliście?

– Proszę?

– No, to romantyczne i ustronne.

– Nabijasz się ze mnie. – Oskarżenie wypadło blado, bo wprawdzie kpiła, lecz z roztargnieniem. Myślami błądziła w innych rejonach. A już na pewno nie było w tym radości.

– Przepraszam. Wasze łózkowe sprawy to nie mój...

– Wasze?! – posłałem jej pełne wyrzutu spojrzenie. – Łózkowe?! Czy ja coś mówiłem o łóżku? Myślisz, że ja i ona...? To śmieszne!

Patrzyła mi w twarz wystarczająco długo, bym zdążył ochłonać.

– Śmieszne? Po prostu ludzkie. Tacy jesteśmy. Lubimy się kochać, bo to przyjemne. Czasem nawet piękne. Każdy ma prawo... Nie nosicie obrączek, nikogo nie krzywdzicie. Cóż w tym złego?

Potrafiłbym jej być może odpowiedzieć – gdybym był telepatą. I rozumiał, o co jej chodzi. Bo raczej nie o udzielanie błogosławieństwa moim przyjemnym, a może i pięknym chwilom

z siostrą Jolą.

– Nie poszliśmy na ten spacer. Chyba nie jest w moim typie.

– To nie moja sprawa – powiedziała łagodnie. – Nie tłumacz się.

– Po prostu cię informuję.

Oswajała się jakiś czas ze świeżo uzyskaną informacją.

– Krótko mówiąc – podsumowała – powiedziałeś, że ze ślubu nici.

– Nie było mowy o małżeństwie – przyznałem zbolalym głosem. – Moja wina, źle się wyraziłem. Po prostu jak ładna dziewczyna przychodzi i ni z gruszki, ni z pietruszki proponuje seks, to często ma w tym jakiś cichy interes. Na przykład upolowanie męża.

– I dlatego ją spławiłeś – dokończyła za mnie.

Bolała mnie głowa, byłem zmęczony, chciało mi się pić. Bałem się. I miałem dość tej idiotycznej rozmowy.

– Zgadza się.

Przez chwilę myślałem, że zamknęliśmy wątek Joli.

– Za wysoka cena? – Nie od razu zrozumiałem. – A gdyby naprawdę chodziło tylko o ten tak zwany spacer? Nie pomyślałeś o tym?

– Wtedy jeszcze byłem zdolny do myślenia. – Delikatnie zwróciłem jej uwagę, że dręczy ofiarę ciosu w głowę. – Zresztą sama powiedziała, że nie leci na męża.

– Tyle że nie uwierzyłeś – pokiwała głową. – Wszystkie tak mówią. A potem zjawiają się z radosną nowiną: „Będziesz tatusiem”.

– Wczuwasz się w mój tok rozumowania? – upewniłem się.

– Próbuję ustalić, co tu zaszło. Ty nie chciałbyś wiedzieć?

– Ja wiem. Dałem kosza Joli, ona odeszła, mnie urwał się film, a Juszczyk zmarł. Nie jestem pewien, co się stało z moją głową, ale to na pewno nie robota Joli. Kiedy straciłem przytomność, była w połowie drogi do cmentarza. Musiałaby umieć latać, i to szybko, żeby zaraz potem znaleźć się za mną i ogłuszyć.

– Jesteś pewien? Ciemno jest.

– Ale ona jest jasna. Była daleko, potem znikła, a w chwilę później oberwałem po głowie. Na pewno nie od niej. – Dałem jej trochę czasu na oswojenie się z tą myślą. – Skąd wiesz, że Juszczyk po prostu nie umarł? Niewiele mu brakowało.

– Znalazłam go z foliowym workiem na głowie. Takim od śmieci.

– Znalazłaś?

– Przybiegłam pierwsza.

– Przybiegłaś? – Parsknęła cichutko przez nos. Udało mi się ją zirytować tą zabawą w echo.

– Przepraszam. Dlaczego biegłaś?

– Zobaczyłam wybuch.

– Wy...? – zdążyłem ugryźć się w język. – Rozumiem. I co to było?

– Chyba dwa granaty. Prawie równocześnie.

Nic nie rozumiałem. Może nie chciałem.

– Cały czas coś wybucha. Czymś się różniły od reszty? – To akurat udało mi się odgadnąć.

– Wybuchły tutaj – schłodziła głos. – Z mojego punktu widzenia dokładnie w miejscu, gdzie paliła się lampa. Chciałam... sprawdzić.

Dla sprawdzenia nie trzeba biegać. Nie wytknąłem jej tego. Aż tak pewny siebie w tej kwestii nie byłem.

– Nie rób tego więcej – pouczyłem ją. – Nie biegaj. Zapomniałaś? Jesteś na czarnej liście. Masz robić wszystko powoli i wyraźnie. No tak... I wtedy nas znalazłaś.

– Nie. To znaczy... z bliska było widać, że to nie ten okop. Lampa się paliła, żadnego kurzu, więc pobiegłam do tamtych.

Nagle zrozumiałem. Późno. Ale przynajmniej wstawać zacząłem mniej ślamazarnie: musiała łapać za pas, nie ramię.

– To nie ma sensu – powiedziała szybko. – Ich też już zabrali.

Pozwoliłem się posadzić na jakimś plecaku. Przed oczami miałem twarz Świergockiego.

– Ilu ich tam...?

– Dwaj. Gdyby nie pogrzeb... Uratowałam Szewczykowi życie. – W jej głosie nie było dumy czy zadowolenia. – Sam by nie doszedł. Zresztą... chyba nie miał ochoty. Grzebanie kolegów to średnia przyjemność. Myślę, że po prostu skorzystał z okazji, by się poprzytulać do dziewczyny.

Z tego też nie była dumna. Opowiadała po prostu, co i jak. Może zbyt szczerze, ale ostatecznie, pomijając łóżko, otoczony dziesiątkami trupów okop to chyba najlepsze miejsce do prowadzenia szczerych rozmów. Jeśli nie tam, to gdzie?

– Jesteś pewna, że to nie seria z granatnika?

– Było cicho. A granatnik ponoć nigdy nie trafi dwoma kolejnymi pociskami w jeden punkt. Gdyby nie ty i Juszczyk, to pewnie tak by to sobie wszyscy wyjaśniali, no ale...

– Jasne.

Milczeliśmy. Próbowałem myśleć. Gabriela próbowała zmusić plaster do podtrzymywania opatrunku na udzie. Obojgu nam szło marnie.

– Widziałaś dwa wybuchy?

– Właściwie to jeden. Ale oglądaliśmy zwłoki. Filipiak mówi, że Wenclorz... wiesz, on leżał pośrodku... że dostał z obu stron.

– Oglądaliście?

– Przy tobie zdążyłam się oswoić. – Trudno powiedzieć, czy był to wyrzut, czy podziękowanie. – Myślę, że ma rację. I jeszcze coś: nie znaleźliśmy łyżek. Wiesz, tych dźwigienek bezpieczników.

Mimo wszystko wolałbym rozmawiać z nią o Joli. O morderstwach fajnie się czyta, leżąc z kryminałem na kanapie.

– Ktoś chciał zatrzeć ślady – mruknąłem. – Z łyżki dałoby się zdjąć odciski palców. W ogóle zapobiegliwy z niego gość. Dwa granaty dają stuprocentową pewność. Ale trzeba je wrzucić właśnie tak: osobno. Na filmie takie jajo rozwała budynek albo podrzuca ciężarówką, ale tak naprawdę, pomijając odłamki, to trochę groźniejsza petarda. No i jeden granat Świergocki mógł zdążyć odrzucić.

– I jaki stąd wniosek?

– Ba, gdybym wiedział... – uśmiechnąłem się słabo. – Dobrze, że cię tu nie było. Przynajmniej pogrzebowicze oczyścili się z podejrzeń. Dużo was tam...?

– To się stało już po pogrzebie – zgasła mnie. – Na dobrą sprawę wszyscy się rozeszli. W dodatku zrobiło się zamieszanie i teoretycznie prawie każdy mógł... Wiesz, na czas ceremonii Filipiak pozwolił włączyć światło. Potem od razu wyłączyli i zanim oczy przywykły, wszyscy byli trochę ślepi. Ciężko będzie ustalić... Biegiem to kilkanaście sekund.

– Biegiem? – skrzywiłem się sceptycznie.

– Wąwóz był pusty. – Domyśliła się, w czym rzecz. – Każdy, kto nie poszedł na pogrzeb, siedział na górze, w okopie, i pilnował frontu. Zresztą ten drań mógł pobiec górą. Jak łącznicy czy ci z amunicją. Nikogo by to nie zastanowiło. W dzień chłopcy poruszają się tam wyłącznie na brzuchu, ale nocą właśnie tak: sprintem.

– Ale ty masz alibi?

Chyba nagrodziła uśmiechem mój niepokój. Słabo ją widziałem.

– Poprawiałam Szewczykowi opatrunek. Też mu coś zawdzięczam.

– Całe szczęście – odetchnąłem.

– Najbardziej owocna randka w życiu. – Teraz już uśmiechała się bez wątpienia. – Może to znak? Myślisz, że powinniśmy to pociągnąć?

– Za młody dla ciebie.

Mniejsza o alibi. Mogła nie pójść na pogrzeb. Właściwie to cud, że znalazła w sobie dość odwagi. Gdyby przeprowadzić szybki sondaż wśród żałobników, na liście winowajców odpowiedzialnych za wypełnienie zbiorowej mogiły dwudziestką znajomych trupów znalazłaby się na honorowym drugim miejscu, tuż za Sabahem, a o parę długości przed Zarębą czy Filipiakiem. Mogła nie pójść na pogrzeb. Mogła siedzieć w jednym okopie ze Świergockim i Wenclorzem. Więcej niż mogła: powinna. Skoro ja byłem tu, z Juszczykiem i Jolą, jeśli nie poczucie obowiązku, to takt i duma posłałyby ją na drugi koniec szpitalika. Wprost pod granaty.

Przeżyła, choć nie powinna. W końcu to do mnie dotarło i pewnie dlatego pozwoliłem sobie na tę uwagę.

– Dzięki za szczerość. – Raczej ją rozbawiłem niż uraziłem. – Jak już tak otwarcie

rozmawiamy... Zaświtała ci myśl, że to ja? Powiedz, nie obrażę się.

– Za to też cię lubię. Niełatwo cię urazić.

– To komplement? Trochę ryzykowny.

– Może – zgodziłem się. – A co do świtania... Owszem.

Chyba mimo wszystko nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Ja też. Ciosy w głowę robią dziwne rzeczy z jej zawartością. Cieszyłem się, że przeżyła, cieszyłem się, że zajmowała się nogą Szewczyka i budowała swe alibi, zamiast podrzucać rannym granaty pod nosze. I równocześnie z beztronską idioty kopałem grób, w którym złoży naszą przyjaźń. Czy jakkolwiek to znać.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Niepotrzebnie poszłam na ten pogrzeb. Już byś wiedział, że to ja zabijam.

Pomyślałem, że dobrze byłoby móc ją objąć. Chociaż na chwilę.

– Powiedziałem, że ci nie wierzę. Nie mówiłem, że sprawia mi to przyjemność. Nie myl tych dwóch rzeczy. To cholerna różnica.

Powtarzałem sobie w duchu, że dobrze robię. Logika była po mojej stronie. Jeśli ktoś ma logikę w pogardzie, jest idiotą, a z idiotą nie ma sensu się wiązać. Długie nogi i zgrabny tyłek to nie wszystko. Żeby w ogóle przebrnąć przez pierwsze sito, musi udowodnić, że potrafi rozsądnie myśleć.

Powtarzanie w duchu skutkowało. Udało mi się powstrzymać odruch padania na kolana i odszczekiwanie wszystkiego, co powiedziałem. Inna sprawa, że nie przetrzymała mnie długo.

– Cholerna? – zapytała cichutko.

– Cholernie cholerna. Albo jeszcze bardziej.

Siedziała z opuszczoną głową, w roztargnieniu masując podrapane kolano.

– Dlaczego mi to mówisz? – Nie patrzyła na mnie, utkwiała wzrok w szachownicy naszych butów. Ciasno tam było, ale żaden kamasz piaskowej barwy nie stykał się z żadnym poszarzałym adidasem.

– Chciałaś szczerzej rozmowy.

– I to ci wystarcza? Ktoś mówi: pogadajmy szczerze, a ty zaczynasz uczciwą spowiedź? Nie rozśmieszaj mnie.

– Nie wyglądasz na rozśmieszoną. – Nie skomentowała. – Możemy w każdej chwili skończyć. Zmień po prostu temat. Powiedz coś... bo ja wiem?... o pogodzie.

Rozważyła tę propozycję.

– Dzięki, ale nie. Klimat Ogadenu jest do dupy. Szkoda słów.

– Uważaj – mruknąłem. – Sporo ryzykujesz.

– A ty nie? – Na sekundę uniosła twarz. – Taki kryształowy jesteś?

Daleko zaszliśmy. Ale pakowaliśmy się w to oboje. Ona też.

– Filipiak niespecjalnie się spieszy – zagrałem na czas.

– Szykuje się do bitwy życia. I chyba nie czuje się pewny jako detektyw. – Uśmiechnęła się.

– To było a propos pogody?

No dobrze. Sama chciała.

– Podobno zgłosiłaś się na ochotnika.

Filipiak nie ujął tego w ten sposób, ale nie protestowała.

– Uznałam, że tak będzie lepiej. Słyszałeś, co mówił Grochulski.

– Boisz się kuli w plecy? – Nie odpowiedziała. Pytanie było trudne, a ja nie dałem jej czasu.

– Bardziej niż tego, co ci zrobi Sabah?

Rzuciła mi długie, chyba badawcze spojrzenie.

– Filipiak ci powiedział?

– Co?

– Nic – ucięła. Zrozumiała, że porucznik utrzymał język za zębami, i chyba trochę jej ulżyło.

– O coś jeszcze chcesz zapytać?

– Wszystko, co o sobie mówiłaś, to prawda? – Ująłem byka za rogi.

– Prawie.

Nie spodobała mi się ta odpowiedź. Za bardzo pasowała do schematu: „Uważaj z pytaniami, bo powiem prawdę i już nigdy mnie nie przelecisz”. Atrakcyjne i bystre kobiety, o ile trafią na odpowiedniego śledczego, stosują czasem tego typu chwyt. W filmach wprawdzie, ale co raz wymyślił scenarzysta, wcześniej czy później ktoś wprowadzi w życie.

– Ale... szpiegiem nie jesteś? – zebrałem się na odwagę. Wolno, zamaszycie i bardzo stanowczo pokręciła głową. – I wplątałaś się w tę awanturę, bo pojechałaś do Addis Abeby po leki dla zwierząt?

– Nie. Dlatego, że zachciało mi się szybko wracać.

Nuta goryczy w jej głosie brzmiała wiarygodnie.

– Nie wiesz, kto zniszczył śmigłowiec i zabił Pawlikiewicza?

– Nie wiem.

– Naprawdę przespałaś tamtą noc?

– Naprawdę.

– Nie miałaś nic wspólnego ze śmiercią Gielzy?

– Nie.

Odpowiadała posłusznie, patrzyła mi w oczy i nie komentowała, co chyba nie leżało w jej naturze.

– To w którym miejscu kłamałaś?

Zawahała się.

– Kłamałam? – Przeżuwała przez chwilę znaczenie tego słowa. – No... Właściwie to bez znaczenia... Z tymi rozkazami od Zaręby.

Właśnie wtedy skojarzyłem ze sobą dwie różne informacje. Bez radości: albo kogoś źle zrozumiałem, albo jedna była dezinformacją.

– Tak?

– To się nie wiąże, ale skoro rozmawiamy uczciwie... Zgodę na przelot trochę... no, jest podrobiona. Ale leki dostałam uczciwie.

– Chyba na odwrót – poprawiłem ją, starając się, by zabrzmiało to neutralnie. Wiedziałem, że kręciła w tej sprawie, wciąż jednak świeża mi nadzieja, że dotyczy to przeszłości.

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się. – Lista leków jest bez zarzutu. Zaręba mi dał. To według niej podrobiłam podpis. Blankiety i pieczętkę trzyma na biurku. Wyszedł na chwilę, łatwo było...

– A śmigłowcem nie pozwolił ci lecieć? – upewniłem się.

– Gdyby pozwolił, nie bawiłabym się w fałszerza.

– Ale dlaczego? Dodatkowy pasażer to zerowy wydatek. A leki kosztują. Wycygałaś pieniądze, a nie udało ci się wyprosić darmochoy?

– Skończyły mi się argumenty – uśmiechnęła się niezbyt radośnie.

– Argumenty?

– Zaręba to nie Święty Mikołaj. Trzeba się zdrowo namęczyć, by go namówić. Trzy dni się dobijałam. W końcu zgodził się wysłać żywność do Kasali. Filipiaka właśnie. I tak mieli rozwozić pomoc po okolicy, ale co się naźebrałam... A leków nie chciał dać. Może jednak trzeba było się wybrać do Addis Abeby w garsonce. Jak cię widzą, tak ci idą na rękę. Zabrałam trochę forsy na buty i coś czystego, ale mi ukradli. Nie było jak doprowadzić się do porządku. Na bramie najpierw w ogóle nie chcieli ze mną mówić: bosa Murzynka prosto z buszu. Weszłam dopiero, jak trafiła się polska zmiana wartowników. W końcu wydębiłam od generała i leki. Ale zabrakło mi już daru przekonywania na ten drugi papier.

– Skąd wiedziałaś, że lecimy?

– Myślałam, że Zaręba pošle to ziarno z Addis Abeby. – Milczała przez chwilę. – Nie chciałam go już o nic prosić, więc poszłam do szefa transportu. Powiedziałam, że szukam okazji do Ogadenu i to generał mnie przysłał. I żeby dzwonił do hotelu, jak się trafi jakaś okazja.

– Hotelu?

– Spałam na ulicy, ale pogadałam z recepcjonistą. Obiecał, że mnie zawoła, jeśli zadzwonią. No i zadzwonili. Oddzwoniłam. „Jest śmigłowiec, ale do jakiejś dziury, Kasali się nazywa. Pasuje pani?” Mało się nie posikałam z radości. Mówię, że może być i żeby nie zawracał głowy generałowi, bo sama załatwię papiery.

– Nie prościej było pójść i poprosić Zarębę?

Przez chwilę szukała dobrej odpowiedzi. I znalazła.

– A osioł? W życiu by się nie zgodził.

Logiczne. Szkoda tylko, że tak mało spontaniczne.

– Od razu pognałam do obozu – dokończyła pewniejszym już głosem. – Zadzwoiłam do oficera dyżurnego. Siostra Bauer ze szpitala wojskowego: mamy przesyłkę do Ogadenu, leki, a podobno jest jakiś transport. Powiedział, żeby załatwić z doktorem Szczebielewiczem, bo to dysponent lotu. No więc poszłam do ciebie. Żeby wszystko zaklepać.

– To było po południu? Dzień przed wylotem?

– No. Trafiłam na Jaskólskiego. Wygadał się, że właśnie przyleciał z kraju. Pomyślałam, że ktoś taki nie orientuje się w tutejszych układach i wpadłam na ten pomysł z telefonem od sekretarki Zaręby. Bo przedtem chciałam po prostu wybłągać zgodę na przewóz osła. U ciebie, może u pilota. To znaczy... najpierw to był tylko sam pomysł, ale potem napatoczyli się Koziej z Koliszewskim, no i...

Siedziałem przez jakiś czas, wpatrzony w swoje buty. Czuję pustkę w głowie. Natura nie znosi próżni, więc w miarę, jak rozumiałem coraz mniej, w zwolnione miejsce zamiast odpowiedzi wlewał się ból.

– Ja też mogę? – Dźwięk jej głosu uświadomił mi, jak bardzo przedłużyła się ta chwila ciszy. Kiwnąłem głową. – Co z tobą będzie?

Czuję się rozbity, i fizycznie, i psychicznie. Człowieka w takim stanie niełatwo czymś poruszyć. Jej się udało.

– Co masz na myśli?

– Wsadzą cię? Wywalą z wojska? Stracisz dyplom? – Miażdżyła mnie tymi pytaniami bez pośpiechu, choć raczej bez satysfakcji. – Czym się to wszystko skończy?

Zastanawiałem się. Głównie nad tym, dlaczego pyta.

– Więzienie raczej odpada – mruknąłem.

– Lesik widział, co robiłeś. I cię nienawidzi.

– Dlatego z mundurem już zacząłem się żegnać.

– Tylko z mundurem? Zastrześliś człowieka.

– Wiesz, jak było.

– Ale sąd to nie ja. Ich niespecjalnie obchodzą twoje poglądy na eutanazję. Jeśli liczysz na wyrozumiałość naszych sądów...

– Nie jestem idiotą – uśmiechnąłem się smętnie. – Ty wiesz, jak było. Ty. Moja wersja oficjalna mówi o próbie interwencji, szarpaninie z tłumem i przypadkowym strzale.

– Sprytnie.

– Gdybym był sprytny, stanąłbym wtedy obok Lesika i klepnął parę paciorków w intencji żywcem palonych. Macie chyba coś odpowiedniego? Po paru wiekach praktyki...

– My? – zjeżyła się.

– Mniejsza z tym. W każdym razie Zaręba nie wezwał jak dotąd prokuratora, a nas tu mogą zabić. Pewnie dlatego nie śni mi się po nocach proces i cela.

- A co ci się śni? – zapytała prawie miękko.
- Śni? – rzuciłem jej zdziwione spojrzenie. – Pytasz poważnie?
- Żona? Dzieci? Basen z zimną wodą?

Brzmiało żartobliwie, ale...

- Masz na myśli... moją?
- Twoją, cudzą... – Uśmiechała się. – Zależy, którą kochasz.
- Kto ci powiedział, że jestem żonaty?
- Nikt – wzruszyła ramionami. – Niby kiedy? Poza tobą z nikim tu nie rozmawiam.

Fakt. Parę razy ktoś ją o coś zapytał, to wszystko. Z rannymi też się nie nagadała: zbyt poważnie traktowała dyżury przy najcięższych przypadkach. Teoretycznie miała święte prawo...

- Myślałaś, że mam żonę?

– A nie masz? – Doskonała beznamiętność. Zbyt doskonała. Podniosłem dłoń, rozcapierzyłem palce. Uśmiechnęła się pod nosem. – Obrączkę nosi się na prawej. – Podniosłem drugą. – A z dala od domu najlepiej wcale.

Kpina, w dodatku dość bezczelna. Pomyślałem, że w życiu nie nadążę za zmianami jej nastrojów.

- Masz brudne myśli. – Złagodziłem tę krytykę uśmiechem.

– Tym razem w związku z twoją garderobą, nie moją. – Chyba przedobrzyłem ze środkiem łagodzącym: zupełnie nie okazywała skruchy.

- Obrączka to nie garderoba.

– Tak ci się tylko wydaje. Facet, kiedy się chce zabawić, zdejmuje ją i idzie do baru. Dziewczyna ściąga bieliznę. W obu przypadkach nie o wygodę chodzi, a o demonstrację gotowości.

- Chwilowo mnie to nie dotyczy. Nie mam czego zdejmować.

- Chwilowo? A jak wrócisz do Polski?

- Mówiliśmy o tym – przypomniałem. – Ściągnę, ale mundur.

- Na Okęciu będzie czekał ktoś, kogo to zmartwi?

- Może taksówkarz. Bezrobotni nie dają napiwków.

– Nikogo nie masz? W tej chwili? – dodała trochę ciszej. Chyba w końcu do niej dotarło, że takie pytania potrafią boleć.

– Dobrze się składa, prawda? Nikomu nie muszę mówić: „Kochanie, nasze plany właśnie legły w gruzach, straciliśmy dom, szansę na prywatną praktykę, a może i parę lat ze wspólnego życiorysu, bo mogą mnie wsadzić”. Chyba trudno być bezrobotną głową rodziny.

– Znam ten ból – westchnęła. – Zęby zjadłam na zasiłkach. To dlatego tu jestem. Ale żona mogłaby cię utrzymać. Niektóre pracują i zarabiają. Nawet nieźle.

- Przed następną misją ożenię się bogato. Dzięki za radę.

– O ile wrócisz z tej.

– O ile wrócę z tej.

Nie bardzo się na to zanosilo. Coś zdenerwowało artylerzystów Sabaha. Znow zaczęli strzelać. Na szczęście nie w nasz rejon.

– Filipiak już raczej nie przyjdzie.

– Jakby był mądry – uśmiechnęła się – toby nas zapomniał zabrać.

– Nas?

– Ilekroć dorobisz się ciężej rannych, coś ich raz-dwa dobija.

Nie wstrząsnęła mną: sugestia była żartobliwa, a sytuacja wręcz wymuszała podejrzwanie wszystkich o wszystko.

– Nie chcę cię martwić, ale to ty miałś motyw. Ja dostałem rozkaz, by jechać z wojskiem. To ty byś się męczyła z rannymi. Niby po dobroci, ale to Filipiak przyszedł do ciebie z propozycją, nie ty do niego. Jak ktoś nie odmawia, to jeszcze nie znaczy, że aż się rwie.

– Fakt. A ty miałbyś z głowy ich i mnie – nadal się uśmiechała. – Chyba faktycznie trzeba cię wykreślić z grona podejrzanych. Teraz nadal musisz wlec kulę u nogi.

– Na trzymetrowym łańcuchu? – upewniłem się. – Cóż, tym chyba Filipiaka nie przekonam. Próbowałem wybić mu z głowy ten pomysł. Teraz wie, że kula nie bardzo mi przeszkadza.

– Jesteś bardzo rycerski.

– Praktyczny. Potrzebuję kogoś do pomocy. Że nie wspomnę o obstawie – pomacałem tył głowy. – Gdyby łańcuch pozostał trzymetrowy, nie miałbym guza. I miałbym pacjentów.

– Może. – Spoważniała. – Jak myślisz: dlaczego ktoś ich zabił?

Taka długa rozmowa, a dopiero teraz do tego doszliśmy. Ciekawe.

– Któryś mógł coś zobaczyć, o czymś wiedzieć. Klasyczna eliminacja świadka. Porachunki raczej wykluczam. Okazje były wcześniej, a przede wszystkim z zemsty nie wykańcza się Bogu ducha winnych chłopaków tylko dlatego, że leżą obok.

– Świergocki był z nami od początku – zauważyła. – Przedtem trudno byłoby go dyskretnie zabić, a potem, kiedy jeden trup w tę czy tę nie robił wrażenia, cały czas leżał w okopie, pod opieką. No i nie umierał. Tamci dwaj trafili tu z pola bitwy, gdzie okazji nie brakuje. I jedną nogą byli w grobie.

– Mądrze mówisz. Tylko co z Juszczykiem? No i ze mną?

– Też od biedy pasuje. – Nie dała się wybić z rytmu. – Żeby dobrze załatwić sprawę, morderca musiał podejść bardzo blisko. Pamiętaj: dwa granaty, a niemalże jeden wybuch. No i nie pogubić łyżek. – Wyciągnęła przed siebie zaciśnięte dłonie. – Rzucasz, o tak. Widzisz? Dźwignie zostają w ręku. Ale właściwie trudno nazwać to rzutem. Daleko i celnie się nie da. No i tylko dwa. Gdyby was też chciał załatwić, potrzebowałby trzeciej ręki albo czasu. A czasu nie miał.

– Facet lubi komplikować sobie życie – skrzywiłem się. – Ja bym to załatwił trzema szybkimi rzutami. A choćby i z automatu.

– Zakładam, że chciał upozorować wypadek. Zabłąkany pocisk...

– ...zabłąkany worek foliowy – wszedłem jej w słowo.

– Nie ma zbrodni doskonałej – powiedziała spokojnie. – Zbrodniarz zwykle popełnia gdzieś błąd. Powiedzmy, że wali cię w głowę. Budzisz się, widzisz rozwalony eksplozją sąsiedni okop i uznajesz, że to wybuch cię ogłuszył. Zresztą sprawdziło się: tak początkowo myślałeś. Dotąd plan działał. I nagle Juszczyk obudził się. Albo tylko poruszył, zajęczał... W każdym razie spłoszył mordercę.

– A worek?

– Miałam tu kilka, a Ciołkosz ma na ciężarówce pewnie setki rolek. Chłopcy owijają nimi broń, używają zamiast tych płóciennych... Mógł go mieć w kieszeni nawet niczego nie planując, mógł wykorzystać nasz... To droga donikąd. Tak czy tak, gdyby nie zapomniał zabrać go z głowy Juszczyka, nie mielibyśmy pojęcia, że to morderstwo.

– Ale zapomniał.

– Może.

– Może? – Nie nadążałem za jej koncepcjami.

– Drugi wariant: morderca wcale nie próbuje upozorować przypadkowej śmierci. Posługuje się workiem, bo klasyczne duszenie nie byłoby szybsze, a nóż brudzi.

– A granat? Albo kula?

– Ty miałeś przeżyć. Musiał cię stuknąć, a skoro już stuknął, nie było sensu hałasować.

– Lubi mnie?

– Twoje umiejętności. Każdy może potrzebować lekarza. – Przerwała na chwilę. – Przy okazji... pamiętaj o tym. W razie czego... Sabah też cię nie zabije. Przydałby mu się lekarz.

– Namawiasz mnie do zmiany barw klubowych?

– Powiedziałam: „W razie czego”. Gdybyś zastanawiał się, co zrobić z ostatnią kulą.

– Ostatnia jest zarezerwowana dla ciebie? To nadal aktualne?

– A coś się zmieniło? – rzuciła wyzywająco.

– Trochę mniej sobie ufamy.

– Ciągle wierzę, że mnie dobijesz, a nie zabijesz.

Po raz pierwszy odczułem tak wyraźnie, że słońce zaszło już jakiś czas temu. Po plecach przebiegło coś przypominającego dreszcz.

Strzelić jej w głowę? Zamknąć tę sprawę raz na zawsze? Zapomnieć?

– Nie będzie takiej potrzeby – rzuciłem sucho.

– Nie wykręcaj się. Mogę na ciebie liczyć?

– Pojedziesz pod pancierzem. Nic ci się nie stanie.

– Nie rozmawiaj ze mną jak polityk z wyborcą.
– Chciałem tylko powiedzieć, że ryzyko jest... no, mniejsze.
– Przecież nie histeryzuję. Pytam tylko, czy w razie czego zrobisz dla mnie to, co dla tamtego palonego chłopca. Jeśli zmyślałeś, to mnie uprzedź. Chcę wiedzieć, na czym stoję.
– Możesz na mnie liczyć – mruknąłem.
– No i fajnie. – Podniosła się, otrzepała szorty. – A jakby co... Nie wspominaj mnie źle. Niczego przeciw wam nie zrobiłam. A ciebie naprawdę lubię. Idę pozbierać rzeczy.
Zanurkowała w czerń, nim uświadomiłem sobie, co powiedziała.

*

Następne gołe białe nogi na obrzeżu okopu. Nie powiem, że dreszcz przeszedł mi po plecach – dookoła pogrążony w ciemności obóz aż tętnił życiem – ale trochę nieswojo się jednak poczułem. Głowa nadal bolała jak diabli, a na rękach miałem rude od krwi błoto.

– Znalazł pan coś?

Usiadła bokiem na którymś z poharatanych worków przedpiersia. Albo zanosiło się na dłuższą rozmowę, albo oszczędzała kręgosłup: siatka wisiała tu nisko, wymuszając głęboki skłon.

– Co miałbym znaleźć? – Dźwignąłem się z kolan.

– Nie wiem. Coś. Czegoś pan przecież szuka.

Nie była tego pewna w stu procentach. Mogłem się łatwo wyłgać: oprócz rannych zostawiłem tu trochę medykamentów i miałem święte prawo grzebać teraz w resztkach, próbując uratować jakąś igłę czy tabletkę.

– Szukałem.

– I co?

– Tutaj? Nic. Sieczka.

Ustawiłem lampę tak, by oświetlała dno okopu, ale trudno było przegapić rozbłysk w jej oczach.

– A tam? – podchwyciła.

– Tam?

– Oglądał pan ciała. Widziałam – dorzuciła na wszelki wypadek.

– Ładnie to tak kogoś śledzić? A gdybym szedł za potrzebą?

– Ale pan poszedł dalej. Na cmentarz. I wcale pana nie śledzę. Chciałam pogadać i akurat... Coś nie pasuje? Długo pan ich oglądał.

– O czym chciała pani pogadać?

Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi.

– Filipiak zlecił mi... no, coś w rodzaju śledztwa. – Uśmiechnęła się blado. – On nie ma

czasu, a ja trochę się na tym znam.

– Na zadawaniu pytań różnym łobuzom, którzy lubią kręcić? – odwzajemniłem uśmiech. – Posłom, przykładowo?

– Wiem, że to nie to samo – przyznała. – Ale ja jedna nie mam nic lepszego do roboty. No i nie jestem podejrzana. Filipiak jest pewien, że to któreś z was. Jakiś „sokolnik”.

– Chyba ma rację – przyznałem bez zapału. – No i co? Doszła pani do jakichś wniosków?

– Czego pan szukał na cmentarzu? – Przyglądała mi się, mrużąc oczy. Może ustawiłem lampę w niewłaściwym miejscu, a może próbowała dać do mi zrozumienia, że czas żartów się skończył. – Wziął pan saperkę.

Było ciemno i wsadzona za pasek nie rzucała się w oczy. Miała prawo do triumfalnej nuty w głosie. Przyłapała mnie. Chyba ona jedna.

– Bałem się, że już ich zakopali. – Zawahałem się i dorzuciłem: – Zastanawiałem się też nad Pawlikiewiczem. A jego zakopali na pewno.

Przestała mrużyć oczy: trudno to łączyć z unoszeniem brwi.

– Tym... pierwszym?

– Drugim – poprawiłem. – Pierwszy był Urbański. Wiem – nie dopuściłem jej do głosu. – Mówi pani o pomordowanych. Ale Urbański zmarł dużo wcześniej i to jest ważne. Nasz kret miał dostatecznie dużo czasu, by się przygotować. Filipiak powiedział pani o pistolecie?

– Tym małym, prawdopodobnie z tłumikiem?

– Myślałem, czy nie wydłubać kuli z ciała i nie porównać. Ale w tej chwili to nic nie da. A o piwie mówił? – Skinęła głową. – Nie udowodnię tego, ale myślę, że morderca wystarał się o jeszcze jeden gadżet. Jak się nie da kogoś usunąć z drogi metodą usypiania czy cichego strzału w głowę, to co pozostaje? Ogląda pani filmy sensacyjne?

– Nóż? – rzuciła niepewnie.

– Nie. Chociaż Świergockiego faktycznie zasztyletowano.

Przyglądała mi się przez chwilę tępo, najwyraźniej nie przyjmując do wiadomości tego, co powiedziałem. W końcu jednak musiała.

– Proszę? – Głos lekko jej drżał.

– Wewnątrz ma poranione wargi. – Podniosłem dłoń i przycisnąłem na chwilę do jej ust. Nie cofnęła głowy. – Był słaby, ale krzyczeć mógł. Nie da się szybko ogłuszyć leżącego skarpetą z piaskiem, jak mnie, a kolba czy kamień zostawiają ślady. Zabójca usiadł więc na nim, zatkał usta i wsadził nóż między zębra. Świergocki próbował wzywać pomocy – to wtedy pokaleczył wargi o zęby.

– Zarznął go? – Nawet w świetle lampy naftowej widziałem, jak bardzo zbladła. – Nożem? A wybuchy?

– Cholerny z niego ryzykant. Albo z niej – dodałem w przypływie uczciwości. – Ale ten

numer z granatami to już lekkie przegięcie. Niech pani pomyśli: ledwie sześć podejrzanych osób. Wystarczyło, by pięć pozostałych miało alibi na te kilkadziesiąt sekund.

– Sześć? – Była wstrząśnięta, lecz wyraźnie nie odebrało jej to zdolności logicznego myślenia.

– Siebie nie liczę – przyznałem. – Ale dobrze: niech będzie siedem. Teoretycznie mogłem to zrobić. Durna metoda jak na lekarza, ale przyjmijmy, że też jestem podejrzany.

– Jest pan – mruknęła bez zapału. – Bez urazy.

– Bez urazy – zgodziłem się. – Ja też brałem panią pod uwagę.

– Mnie? – Była zbyt zaskoczona, by poczuć się dotknięta.

– Ale Filipiak ma rację: to ktoś, kto przyleciał sokołem. Już po fakcie, gdy tamten śmigłowiec spadł i trzeba było posprzątać. Pani przyjechała tu z wojskiem, wcześniej, czyli jest pani czysta.

– Miło słyszeć.

– Nawet jeśli było ich dwóch albo dwoje... albo dwie – dorzuciłem w przypływie natchnienia – to mieli solidny orzech do zgryzienia.

– Dwie? – Znów udało mi się przyprowadzić ją o lekki wstrząs. Uśmiechnąłem się bez odrobiny radości.

– Niby czemu nie? Tak jawnie się nie znoszą, że byłyby idealnymi partnerkami. Zero podejrzeń o współpracę. Ale nie o tym chciałem... Ktokolwiek to robi, ze mną włącznie, na jedno musi uważać: by nie dało się precyzyjnie ustalić czasu kolejnego ataku. Dopóki nie wiemy, kiedy zabija, nie sposób stwierdzić, kto odpada z kręgu podejrzanych.

– Pogubiłam się – wyznała szczerze.

– Te granaty – skinąłem dłonią, wskazując przemielone podwójną eksplozją dno okopu. – Fatalny pomysł. Wiadomo co do sekundy, kiedy. Nic prostszego, jak wypytać świadków i sprawdzić, kto ma alibi.

– Nie wszyscy mają – powiedziała cicho.

– Ale niektórzy tak. A to już porażka. Ograniczenie szans na przetrwanie. Gabriela na przykład była gdzie indziej i ma na to solidnego świadka. Teoretycznie wszyscy oprócz mnie i mordercy mogli się okazać kryci. Musiał się z tym liczyć. Pomyślałem sobie, że albo był w zupełnie podbramkowej sytuacji, albo chciał zrobić konkretnie mnie, albo gdzieś popełniamy błąd.

– Więc co się stało? – zapytała zrezygnowana.

– Myślę, że albo przywiózł tu zapalnik czasowy, albo zmajstrował już na miejscu. Raczej przywiózł. To jest ten trzeci nieodzowny gadżet dobrego szpiega. Wybuch w oddali odwraca uwagę. Można też, przykładowo, wysadzić sokoła, jeśli Mengesza da plamę i nie zdoła ukraść dowodów.

– Krzysiek? – Znów była blada. – Podejrzewa go pan?

– Bo się odgrażał, że wróci z panią samochodem? – Rozumieliśmy się. – Nie. To znaczy: nie bardziej niż innych. Właśnie dlatego. Gdyby planował sabotaż, nie zapowiadałby zawczasu, że nie polecą śmigłowcem. No i ostatecznie leciał nim. Kawalek, ale jednak. Widziałem, jak ta cholerna łopata odpadała: mogła minutę później i byłaby pani wdową. Niedostrzegłem – poprawiłem się.

Nie spieszyłem jej. A nawet jeśli, to zakłopotanie sromotnie przegrało z ulgą.

– Myśli pan, że to ktoś inny?

– Panią chciałem zapytać. Prawie cały czas jesteście razem.

– Jak wy z Gabrielą – zripostowała odruchowo.

– Mniej więcej – zgodziłem się. – Ale chyba czasem ciut bliżej.

Nadal nie sprawiała wrażenia skrępowanej.

– Skoro z nim sypiam, nie mogę dać wiarygodnego alibi? – Nie zdążyłem odpowiedzieć. – Pan by ją krył? Gdyby to ona mordowała?

Dobre pytanie. I nie zadała go na odczepnego.

– Nie wiem – wyznałem otwarcie. – Myślę, że bym ją wygonił. Pewnie kopniakami. Ale skazać na śmierć... Nie wiem. Chyba nie dałbym rady.

Przez chwilę czułem na sobie wzrok Agnieszki. Nie dokuczało mi to za bardzo. Smutek jej spojrzenia czułem równie wyraźnie.

– Ma rację – mruknęła. Uniosłem głowę, zerknąłem jej pytająco w twarz. – Krzysiek. Powiedział, że to przez tę jatkę. Że człowiek zaczyna żyć sto razy szybciej, i to dlatego. Taki odlot bez prochów.

– Odlot?

– Mówi, że mnie kocha. – W końcu doszukałem się zakłopotania w jej głosie. – Dzień znajomości i pierdut: miłość. Próbowaliśmy to jakoś rozsądnie wytłumaczyć. Bo ja... no, mnie też zdrowo wzięło. A teraz widzę, że i pana. Więc pewnie coś w tym jest.

– To przystojny facet. I... no, sympatyczny. Lubię go.

Roześmiała się równie szczerze, co niewesoło.

– Niech mi go pan nie reklamuje. Już i tak kompletnie mi odbiło. Stara baba, a jak nastolatka. – Uznała chyba, że ciut się zagalopowała, bo nagle zmieniła ton na rzeczowy. – To nie on. Zastanawiałam się nad tym. Nie dam głowy za Giełzę, ale tamtej pierwszej nocy, po kolacji u dyrektora... Nie miałyby siły ani czasu wdrapać się na ten śmigłowiec. Prawie nie spaliśmy.

– Rozumiem – powiedziałem trochę za szybko. Nie była jednak wstydliwą nastolatką, a tylko odbiło jej jak nastolatce. Spisywaliśmy akt ułaskawienia Olszana, więc wołała postawić kropkę nad „i”.

– Kochał się ze mną, zasypiałam na chwilę w jego ramionach i zaraz potem budziłam się

z jego głową między udami. Spocona po poprzednim razie. Tu są zimne noce, a ja nie zmarłam. Nigdy w życiu żaden facet nie dał mi takiego wycisku. I nigdy nie było tak dobrze. Nie wychodził – powiedziała z przekonaniem. – Wiedziałabym. Ze trzy razy to ja jego budziłam. Zawsze był obok.

Wierzyła w to, co mówi. Ale też chciała wierzyć. Chyba bardziej niż ja w niewinność Gabrieli.

– Mówiła pani coś o Gielzie – przypomniałem delikatnie.

– Krzysiek miał taki granat. Wie pan: zaczepny. Nie przyznał się, bo chyba... no, chyba mu go dał. Nie zgadzał się z porucznikiem. Powiedział, że gdyby mu się przytrafiło to, co Gielzie, teraz zwłaszcza, jak mnie poznał... Mówił, że każdy jest właścicielem swego życia i chłopakowi należy się prawo do decydowania o sobie.

– Myśli pani, że to było samobójstwo?

– Przyłapałam ich na podobnej rozmowie. O prawie wyboru. Umilkli na mój widok. – Ona też milczała przez chwilę. – Ale nie zamordował go. Pewnie dał mu ten granat, owszem. Właściwie to jestem pewna. Pytałam go. Ale to nie to samo, co kogoś zabić.

– Rozumiem.

– Żał mu było tego chłopaka. Wiem, że spać z kimś to nie to samo, co go znać. Wiem. Ale widziałam, jak rozmawiali. Współczuł Gielzie. Nie zabił go. Dokładnie obejrzałam miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Wydłubałam z ziemi przeszło trzysta odłamków. Leżał na tym granacie w momencie wybuchu. Właśnie tam, na górze. A Krzysiek ma stuprocentowe alibi. Wyszedł równo z Lesikiem i potem długo siedział w jednym okopie z dwoma żołnierzami. To Lesik gdzieś się zawieruszył.

– Sprawdzała go pani?

– Wszystkich sprawdzam. Inna sprawa, że guzik to dało. Jest tak, jak pan powiedział: jak się nie wie, kiedy, nie sposób ustalić, kto. Ale w kwestii Gielzy Lesik byłby najbardziej podejrzany. Mówił o pierwszej linii. Pytałam żołnierzy. Nie pamiętają, by się tam kręcił.

– Niech pani spyta w bewupach.

– Nie rozumiem...

– Najbezpieczniej – wyjaśniłem. – Stereotypowy polski kapłan nie nosi pistoletu, ale zawsze pójdzie pod kule. Lesik na odwrót. Ludzkie, tyle że nie każdy ma dość odwagi, by się przyznać do jej braku.

– Nie lubicie się – zauważyła.

– Musiałem zabić człowieka, bo Lesik się przestraszył. – Oczekiwałem gradu pytań, nie odezwała się jednak. – To pewnie dlatego nakłamał o chodzeniu na pierwszą linię. Głupio mu. Ale morderstwa... Wielokrotny morderca musi być odważny.

– Lesik nie zabił Gielzy – kiwnęła głową na znak zgody.

– Nie upilnował go, to wszystko – westchnąłem. – Samobójstwo. Ale to nie za dobrze dla Krzyśka.

– Bo nie stawia go poza kręgiem podejrzanych? – Nawet nie próbowała ukrywać, że tylko to jedno chodzi jej po głowie.

– Wiem, że to nie Jola dała mi w łeb. I tylko ją jedną mogę skreślić. To znaczy: o ile kret działa sam. Bo gdyby miało ich być dwoje, to właśnie na nią powinienem stawiać. Odwracała uwagę.

– Chyba sypiała z Zarębą – mruknęła.

W końcu to ona mnie zafundowała nokautującą niespodziankę.

– Co? Jola? Jest pani pewna?

– Powiedziałam: „Chyba”. I proszę nie pytać o źródła informacji. Tajemnica dziennikarska. No i to tylko poszlaka.

Zastanawiałem się nad tym dłuższą chwilę.

– Pani zdaniem sypianie z Zarębą ma się jakoś do mordowania?

Wzruszyła ramionami. Wyjątkowo bezradnie.

– Nie wiem. Ale on nie przysyła nam pomocy, a ona tu jest. Więc mówię. Może to pana natchnie jakimś pomysłem.

– Natchnęło – mruknąłem ponuro. – Postanowił pozbyć się za jednym zamachem wszystkich wrzodów na dupie. Mnie i Lesika, bo fundujemy mu proces, Joli, bo zaszła w ciążę i pozywa o alimenty...

– Sprawdzałam alibi waszej siódemki – przerwała mi. – I wie pan co? Wyrósł pan na głównego podejrzanego. Tamtej pierwszej nocy prawie pan nie pił, a potem gdzieś łąził. – Czekala przez chwilę na gorączkowe wyjaśnienia, ja jednak milczałem. Wskazała okopcone dno okopu. – Teraz był pan najbliżej. Jeśli to nie zapalnik czasowy, to praktycznie pan jeden mógł rzucić te granaty. Inni albo byli przy grobach przed Jolą, czyli nie mogli zdzielić pana po głowie, albo widziano ich zaraz po eksplozji... Pomijając Wołynowa i Morawskiego. Ale na Wołynowa wszyscy uważają; Filipiak poinstruował nawet szeregowych. Mała szansa, by odważył się na taki numer i by mu to uszło na sucho.

– No więc to był zapalnik czasowy – wzruszyłem ramionami. – Bo ja ich nie zabiłem, a nikt inny nie mógł.

Milczałem jakiś czas. Potem zacząłem z innej beczki.

– Urbański nie żył, kiedy nas wysyłali. Nie byłem tu do niczego potrzebny. Jola też nie była. Lesik był podwójnie niepotrzebny: do lekko rannych nigdy nie bierze się księdza.

– Ktoś mówił, że to lekka rana? – zmarszczyła brwi.

– Wprost? Nie. Ale do ciężkich wysyła się ekipę w trybie alarmowym, w środku nocy, biegiem. Nas nikt nie poganiał. Nie było informacji o stanie Urbańskiego. Im cięższy przypadek,

tym więcej wiadomo, nim jeszcze lekarz wsiądzie do karetki. A tutaj nic. Przez myśl mi nie przeszło, że to coś poważniejszego niż złamana noga.

– Do czego pan zmierza?

– Zanetti był mało potrzebny – dokończyłem wyliczankę. – Wołynow był mało potrzebny.

Tak naprawdę powinien tu przylecieć sokół z pilotami i nikim więcej.

– Gabriela też była niepotrzebna – przypomniała.

– Zgadza się.

– Posłali was, by ukryć w tym tłumie kreta?

– Właśnie.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– Mógł mi pan to wcześniej powiedzieć.

– Nie mogłem – skrzywiłem się, dotykając potylicy. – Nie ma to jak pałą w łeb. Dopiero teraz mi się rozjaśniło. Przez ten pogrzeb. Skurczybyk doskonale wykorzystał okazję. Ma rannych z głowy, alibi i Szczebielewicz w roli głównego podejrzanego. A wszystko dzięki temu, że umiejętnie wmieszał się w tłum.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Jeśli ma pan rację, łatwo będzie znaleźć głównego winowajcę. To ten, który skompletował waszą ekipę.

– Znaleźć? Może. Ale udowodnić cokolwiek... Zakładając oczywiście, że będzie komu. – Uniosła pytająco brwi. – W drogę wyprawił nas oficer dyżurny. A jeśli nie dożyje dochodzenia?

– Jej twarz znieruchomiała. – Co, zaskoczona? Mówimy o grubej aferze szytej grubymi nićmi. Główny winowajca wcale nie musiał kompletować ekipy. Mógł to zlecić podwładnemu, a potem podwładnego usunąć. Niby czemu nie? Doliczyłem się dwudziestu pięciu zabitych. Jeden więcej już nie stanowi różnicy.

– To kompletna paranoja – poskarżyła się. – Mam wrażenie, że oboje uwaliliśmy się w trupa. Albo nawąchaliśmy nieświeżego kleju.

– Mnie nawet urwał się film – uśmiechnąłem się gorzko. – Ale najgorsze, że nie widzę motywów. Jakiegoś sensu. Ludzie to nie problem: każdego można kupić. Cały ten bajzel w sztabie może być robotą jednego sprytnego i łasego na pieniądze faceta. W oenzetowskim kontyngencie coś takiego jak kontrwywiad nie istnieje. Hulaj dusza, piekła nie ma. Nawet dobrze ulokowany podoficer mógł tak namieszać. Pytanie: po co?

– Żeby zatuszować lewy handel śmigłowcami? – podsunęła.

– To pani jest dziennikarką. Wydrukowałibyście taką historię? W poważnej gazecie? – Wahala się parę sekund, po czym energicznie pokręciła głową. – No właśnie. Bezsens. To tak, jakby puścić bąka w salonie i dla zatarcia złego wrażenia wystrzelać wszystkich obecnych. Rosjanom aż tak nie zależy na opinii, a Amerykanom zależy za bardzo. Nie poszliby na takie

ryzyko. Inni nie wchodzą w rachubę: albo z braku dalekosiężnych rakiet, albo z braku śmigłowców na handel. Poza tym to cholerstwo najwyraźniej lata w barwach muzułmańskich rebeliantów. Czyli, pośrednio, al Kaidy i bin Ladena. Niech mi pani pokaże poważną firmę, która sprzedałaby im choć śrubkę. Przed jedenastym września... może. Ale dziś?

– Więc co? To robota maniaka? Ktoś morduje, bo lubi?

– Nie wiem – westchnąłem ciężko. – A pani? Udało się kogoś skreślić z listy potencjalnych zabójców? – Zawahała się, po czym wolno, lecz zdecydowanie pokręciła głową. – Nikogo? A... choćby Lesik?

– Znał Mengeszę. – Poczułem, jak brwi wędrują mi na czoło. – Mówi, że słabo, ale nie mógł się wyprzeć. Rozmawiali zaraz po lądowaniu. Pytałam o to. Podobno Mengesza pracował dla Caritas i tam się zetknęli.

– Nie przepadam za Lesikiem – wyznałem szczerze. – Ale akurat jego jednego bym skreślił.

– Ja nie. Mengeszę ktoś ewidentnie zwerbował już tu, na miejscu. Dziwnie szybko. Albo forsa była duża, albo się znali. To po pierwsze. A po drugie... Chodzi mi po głowie artykuł o ludziach z organizacji humanitarnych. Jak gospodarują darami, z czego żyją. Trafiłam tu na ślady paru ciężarówek, których zawartość ulotniła się w dziwny sposób. Może to po prostu bałagan, ale może wierzchołek nieładnej góry lodowej. Niektóre ładunki były całkiem cenne. A Lesik jest tu jednym z dwóch głównych koordynatorów od pomocy humanitarnej. Teoretycznie może mieć na sumieniu niejednego szwindel.

– Pocieszyła mnie pani – rzuciłem z goryczą.

– O Wołynowie i Gabrieli wolę nie mówić, tak bardzo są podejrzani. Jola kręci się po wszelkich możliwych imprezach z udziałem VIP-ów z kontyngentu, a więc i tutejszych ważniaków, no i lata śmigłowcem sanitarnym. Inaczej mówiąc: może znać niejednego i pracować jako wygodny łącznik. Wiem, że to naciągane, ale... W gruncie rzeczy nikogo z waszej siódemki nie można wykluczyć.

– Nawet Krzyśka? – zapytałem cicho.

– Korzysta nie tylko ze mnie – uśmiechnęła się lekko. – Także z mojej pasty, szczoteczki, chusteczek itede. – Przyglądałem jej się bez cienia zrozumienia. – Mam taką blaszaną walizkę na cenniejsze rzeczy. Paszport, karty, gotówka... Zamykana na szyfr. Ktoś się do niej włamał. Dość brutalnie. Znalazłam ją całkiem wybebeszoną.

– Co? – Udało jej się: zaskoczyła mnie.

– Sprawdzałam, kto z was mógł to zrobić. Wyszło, że prawie każdy, ale najbardziej Lesik. A Krzysiek nie miał powodu. Parę razy zostawiałam go przy otwartej walizce.

– Nie bardzo rozumiem, co ma do rzeczy...

– Film – przerwała mi. – Zrobiłam zdjęcie tego śmigłowca.

Natychmiast rozjaśniło mi się w głowie. Nie było to olśnienie z gatunku radosnych.

– Znalazł?

– Wyglądam na blondynkę? – poklepała się z dumą po kieszeni.

– Nie oddała go pani Filipiakowi?!

– Od razu widać, że nie jest pan dziennikarzem. A poza tym w jego kieszeń częściej celują. Ja głównie dekuję się na tyłach.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. O dziesiątki godzin za późno – pewnie dlatego byłem zły.

– Nie maluje pani czasem włosów? – warknąłem. Uniosła brwi, wyraźnie zbита z tropu. – Przecież jeśli ten skurwysyn wie o filmie i zaczął go szukać na chama... Co, nie rozumie pani?

– Rozumiem – powiedziała spokojnie. – Nie chodzę sama nigdzie, gdzie można by mnie wybebeszyć jak moją walizkę.

– Guzik pani rozumie. To zaszło o wiele dalej. Nie da się już zatuszować sprawy. Można tylko wybić prokuratorowi broń z ręki. A dla prokuratora gołe zdjęcie, choćby i idealnej jakości, nic nie znaczy. W załączniku musi mieć jeszcze autora, który zezna przed sądem, gdzie i kiedy je zrobił. – Jej twarz znieruchomiła. – Dekowanie się na tyłach może nie wystarczyć. Zabić tu kogoś i przeszukać trupa to problem, ale tylko zabić... Zdobyczna broń, strzał z daleka i po sprawie.

– Zdobyczna?

– Filipiak ma wojnę na głowie, ale wydlubać ze zwłok kulę to niewielki problem. Morderca nie użyje własnego karabinu.

Oswajała się przez chwilę ze swą nową rolą zwierzyny łownej.

– Będę uważać – obiecała w końcu. – Zresztą Krzysiek już teraz... Nawet wysikać się nie mogę sama. Cholera – zaklęła. – Też musiał na to wpaść. Tylko mi, drań, słowa nie pisał. Zabiję go.

– Ufa mu pani? Na sto procent?

Dźwignęła się z worka, w roztargnieniu otrzepała szorty.

– Modlę się, żeby to nie był on – powiedziała ze śmiertelną powagą. – Ale pewności nie mam. Trochę jednak spałam tamtej nocy.

– Co pani właściwie o nim wie?

– Że zawsze chciał latać – uśmiechnęła się. – I zawsze śmigłowcami. Ojciec pracuje w Świdniku, rodzina matki też. Miał iść do wojska, ale coś nie wyszło. Licencję zrobił w Stanach. Ma tam krewnych, wyjechał, pracował, omal nie został. Parę lat temu załapał się do APH. To taka amerykańsko-polska spółka świadcząca usługi na rynku lotniczym. Promuje między innymi nasze sokoły, samoloty rolnicze... Właściwie to zajmuje się wszystkim po trochu, między innymi pośrednictwem pracy dla pilotów. Tutaj załatwili sobie kontrakty z paroma ministerstwami. Nic wielkiego, ale Krzysiek ma niedługo awansować na głównego

przedstawiciela firmy na Północną Afrykę. – Poszerzyła uśmiech. – Tak że nie kotłuję się na tylnym siedzeniu z byle kim. Zarabia więcej ode mnie, jest bardzo męski, inteligentny, przystojny jak cholera i ma słabość do sławnych dziennikarek. Myśli pan, że zachowuję się jak idiotka?

Rozumiałem pytanie. Mógłbym się odwzajemnić identycznym.

– Nie – powiedziałem z przekonaniem. – Chyba naprawdę... Mógłby sobie znaleźć milion innych, pewnie. Ale pani też nie jest trzecia liga. Pod tym względem akurat bym mu wierzył.

– Dzięki. – Dałbym głowę, że się zarumieniła. Ruszyła w stronę wyjścia z siatkowego namiotu, odwróciła się jednak po trzech krokach. Nie widziałem jej twarzy. – A propos zdobyczej broni... Wie pan, że uratował panu życie?

– Proszę?

– Ten facet z nożem... To Krzysiek go zastrzelił. Trochę wcześniej dostał w ramię, ledwie się trzymał na nogach, karabinu w ogóle nie mógł utrzymać... Ale biliście się, widać było, że zaraz będzie po panu, więc wyskoczył z okopu i... Tam leżał jakiś pistolet. Któryś z Somalijszyków musiał zgubić. Miał pan szczęście.

– Chyba tak – przyznałem. – Niech mu pani da porządnego całusa. Ode mnie.

*

Stali we trzech u podnóża północnego stoku, parę kroków od napiętej liny, nawijającej się na wyciągarkę honkera.

– Jak pięknie, to po was – rzuciłem na powitanie. – A gdzie BHP?

– Zmartwychwstał pan? – Filipiak obrzucił mnie niemal wrogim spojrzeniem. – Kto was tak urządził? – Rozłożyłem ręce. – Tak myślałem.

Rozejrzałem się po sawannie. Gdzieś tam płonął. Raczej od ostrzału, ale pewnie trochę i od sypiących się z oczu iskier oraz słownych gromów. Zjawiłem się w złym momencie.

– No i ubył nam ostatni leżący – warknął Ciołkosz.

– I co z tego? – Filipiak lepiej panował nad głosem, ale było to opanowanie kotła z buzującą wewnątrz parą.

– Nie będę nadstawiał dupy dla pustej ciężarówki.

– A co z twoimi kochanymi zapasami? Nagle się zrobiły be?

– Wody i tak nie ma, a bez reszty przeżyjemy. Zresztą to trup.

– Tak jak sanitarka i wóz Hanusika. Nie dociera do ciebie, że musimy jechać wszystkim, żeby coś w ogóle dojechało?

– Jasne. – Ciołkosz wepchnął między zęby jarzący się niedopałek, który jakimś cudem przetrwał nerwowe miętoszenie w dłoni. – Też się pod tym piszę. Ale ja starem nie jadę. Zapomnij o tym.

– Zabrakło kierowców? – zapytałem mało inteligentnie.

– Wała tam zabrakło! Po prostu najlepszego pan porucznik dla siebie Chapman. – Sierżant zaciągnął się tak, że omal nie podpalił wąsów.

– Potrzebuję dobrego kierowcy na beerdeema.

– Powiedz to komuś z zawodowym prawkiem. Nie mnie.

– Nie rób mnie w chuja, dobrze? Prowadziłeś ciężarówkę, jak Bubula z pieluchą biegał.

– Nawet nie mam prawa jazdy.

– Bo o jeden raz za dużo zalałeś pałę! Ale mózgu ci nie zabrali, prawda? Zresztą bez obawy: drogowki tu nie ma. Nikt nie zapyta o papiery, a jak się rozwalisz, złego słowa nie powie.

– Tylko obetnie jaja – nie tracił przytomności sierżant. – Jak Gielzie. Dzięki, wolę objąć łeb o kawałek solidnego pancerza.

– Rób tak dalej – wycedził Filipiak – a pieszo pójdziesz.

– To pójdę. Piechur jestem, mogę chodzić. Na ciężarówkę wsadź sobie Szewczyka. Chce kierować... proszę. Ja się na samobójcę nie piszę.

Chyba powiedział, co miał do powiedzenia, bo odwrócił się, jeszcze raz podeptał fundamentalne reguły BHP, przeskakując nad wibrującą od obciążenia liną, po czym znikł w mroku.

– No i zaczęło się – mruknął Filipiak.

– Nie zmieni zdania? – upewnił się Morawski. Porucznik pokręcił głową. – Co się zaczęło?

– Morale nam się sypie. I tak później, niż myślałem. Zasługa Sabaha. Powinien odesłać Gielzę z kompletem jąder i butelką mrożonej coli. Miałby już może paru jeńców.

– Nie przesadza pan? – Zerknąłem na dwie sylwetki, z kamieniami w rękach asekurowane wciągany na górę wóz. W razie problemów kamienie należało błyskawicznie wepchnąć pod koła, co mogło zapobiec katastrofie, ale i skończyć się zmiążdżeniem ratującego.

– To przebrana w mundury dzisiejsza młodzież – uśmiechnął się krzywo. – Nie są ani lepsi, ani gorsi od tych w kraju. Na hasło: „Ojczyzna wzywa” przytomnie zapytają: „A ile płaci?”. Zresztą tym tutaj nie za wiele ta ojczyzna dała. Głównie przerwę w bezrobociu.

– Mówi pan jak zakamuflowany politruk – stwierdził Morawski. – LWP byłoby lepsze?

– A skąd mam wiedzieć? Też z pieluchą biegałem. Nie w tym rzecz. Wszyscy mówią, że ludzie byli inni. Dzisiaj trudniej o bohaterów.

– A potrzebujemy aż bohaterów?

– Do siedzenia w tej dziurze nie. Ale przebijanie się, odwrot... Filmów pan nie ogląda? Zawsze trzeba po kogoś zawrócić, zostać w tyle i osłaniać kumpli, poświęcić się dla reszty... Jak się coś zatnie, to brak bohatera we właściwym miejscu może wszystkich innych drogo kosztować. Boję się, że zdrowy egoizm weźmie górę u co niektórych.

– Zdrowy egoizm to podstawa wolnego rynku – przypomniałem. – Dalej idą demokracja,

wolność i prawa człowieka. Mamy tego bronić.

– Jak to się ma do obsadzenia ciężarówki? – zapytał Morawski.

– Trochę się ma. – Filipiak zdjął hełm, zaczął wycierać prze poczone wnętrze. – Kiedyś podobno wydawało się w naszym wojsku rozkazy. Teraz wydaje się zdecydowanie brzmiałyce prośby. No, może apele do rozsądku.

– Rozkleił się pan.

– Ciołkosz ma w odwodzie brata z własną firmą budowlaną. Mogę go oczywiście siłą posadzić za kierownicą, ale co za problem pieprznąć ciężarówką o pierwsze drzewo?

– Któryś z żołnierzy na pewno ma prawo jazdy. Amatorskie, ale...

– Myśli pan, że mają silniejszą motywację niż Ciołkosz? Nie przesadzajmy. Są pieniądze, za które warto ryzykować życie, i są takie, za które nie warto. Wsiądzie pan do uszkodzonej ciężarówki i pogna na kaemy za półtorej średniej krajowej?

– Do rzeczy, panowie – zniecierpliwiał się Morawski. – Ten Szewczyk: da radę poprowadzić stara?

– W tym terenie? Po ciemku? – pokręciłem głową. – Nie.

– No to trzeba będzie spisać ciężarówkę na straty – mruknął ponuro Filipiak. – Skończyli mi się kandydaci.

Przez chwilę oswajaliśmy się ze smutną prawdą.

– A działko? – przypomniał sobie Morawski.

– Za cenne, by ryzykować więzienie ciężarówką. Kazałem wziąć na hol Bielskiemu. Amunicję poupycha się po pozostałych wozach. Pomieścimy się. Samochodu mi tylko szkoda. Jak dojdą nowi ranni... No, trudno.

– Jest inne wyjście – powiedział Morawski po chwili bicia się z myślami. – Myślę, że miałbym dla pana kierowcę.

– Daj spokój – wzruszyłem ramionami. – To nie śmigłowiec.

– Nie ja. Wołynow.

Teraz Filipiakowi przyszło zmagać się z wątpliwościami.

– A jeśli ucieknie?

– Stara i tak spisaliśmy na straty. To korzystny układ.

– Teraz już nie.

– Teraz? A co się zmieniło? – rzuciłem mu zdziwione spojrzenie.

– Jakiś skurwysyn z zimną krwią zamordował trzech rannych. Nie mam czasu teraz szukać, ale nie dam mu okazji do ucieczki. Kimkolwiek jest. Pana też to dotyczy.

Nie powiem, że zmroziło mnie ostatnie zdanie. Jak w klasycznym kryminale: podejrzani byli wszyscy.

– Ja nie ucieknę – zapewniłem. – Nostryfikacja dyplomu w Somalii byłaby cholernie

uciążliwa.

– Mówię o dziewczynie. Miała się trzymać o trzy kroki od pana.

No tak.

– Przepraszam. – Trochę sztywno to wyszło. – Wyleciało mi z głowy.

– Mogę przydzielić jej kogoś innego. Ewentualnie służę kajdankami. Mamy jakieś na stanie.

Jak znalazł dla pary roztargnionych.

– Zabawne – zmusiłem się do komplementu.

– Przypilnuję go – odezwał się zniecka Morawski. – To znaczy... Wołynowa. Pojadę z nim. Szkoda byłoby samochodu.

*

– Lepiej wysiądźcie. – Hanusik potrzebował aż trzech wycieczek w poprzek stoku, by dojrzeć do wypowiedzenia tych słów. Wyrzucanie za drzwi oficerów, w tym kapelana, nie przychodzi łatwo dowódcy drużyny. – Jak coś nie wyjdzie, możemy lądować na dachu.

– Bzdura – skomentował krótko Lesik. Kapral odszedł bez słowa. Wygramoliłem się z bewupa i dogoniłem go.

– Nie żartowałeś z tym dachowaniem?

Zdjął stopę z koła. Omal się przy tym nie przewrócił. Zmęczenie robiło swoje.

– Nie wiem – mruknął apatycznie. – Marny ten podjazd.

Uniosłem głowę. Czołgowy lemiesz i saperki popracowały tu trochę, ale fakt: efekt tych wysiłków nie rzucał na kolana.

– Próbowaliście kiedyś takich sztuczek? – Patrzyłem na obłożone workami miejsce, gdzie ukośny względem spadku szlak skręcał jeszcze bardziej i gdzie kierowca, szeregowy Janowski, miał zademonstrować cały swój kunszt.

– W Stargardzie? – zaśmiał się gorzko. – Skąd byśmy góry wzięli?

Ogaden to też nie góry. Ale ten jego kawałek...

– W najgorszym razie pojedziemy za Filipiakiem.

Pokiwał bez przekonania głową i wdrapał się na wóz.

– Chyba że wywiniemy orła – powiedział, wsuwając się we właz.

– Nie musisz jechać – powiedziałem cicho.

– Załoga to załoga. Tylko tamtych – skinął głową do tyłu – niech pan kapitan zabierze. Jakby co, to nas wyciągniecie.

Nie próbowałem pytać, czy byłoby co wyciągać. Pewnie nie wiedział. Dachujący BWP-1 to ewenement, może nawet na światową skalę. Oczywiście tak spektakularny finał był mało prawdopodobny. Przewidywałem raczej serię bezradnych ślizgów, ewentualnie zerwaną

gąsienicę. Spadek nie był duży, przynajmniej w wyższych partiach stoku. Problem polegał na wykonaniu precyzyjnego zwrotu w połowie zbocza.

Wygraną był czas. Jako grupa mogliśmy zyskać kilkanaście do kilkudziesięciu sekund dzięki temu, że trzy ostatnie pozostające w wąwozie pojazdy wygramolą się na górę nie jedną, a dwiema trasami. Łatwiejsza przypadła czołgowi: był potrzebniejszy, no i przypadł mu niewdzięczny obowiązek holowania stara.

Wróciłem przed wciąż otwarte drzwi w tylnej ścianie bewupa. Moment nie był dobry: T-72 ryknął silnikiem, ruszając z miejsca, a na górze rozszczękał się jakiś karabin maszynowy, którego pociski smugowe przelatywały, zdawać się mogło, tuż nad naszymi głowami.

– Wsiadajcie – rzuciłem w wypełniony nieruchomymi ciałami półmrok. – Wóz może się przewrócić. Załadujemy się na górze.

– Nikt pana siłą nie ciągnie – mruknął Lesik. Dość cicho, więc choć nasz silnik jeszcze nie pracował, mogłem udać, że nie dosłyszałem.

– No już – machnąłem ręką. – Wyskakujcie. Wszyscy. To rozkaz, jakby kto pytał. Hełmy, broń itede bierzemy ze sobą.

Wysiedli. W samą porę: biorąc przykład z czołgu, BWP zaryczał motorem, zachrzęścił gąsienicami i, nabierając rozpędu, potoczył się ku północnej ścianie wąwozu.

Było ciemno, lecz nie aż tak, bym przegapił pierwszą z naszych porażek. Wóz Hanusika przegrał przynajmniej z honorem, utykając gdzieś za półmetkiem, wyjąc jakiś czas na najwyższych obrotach i wolno, z godnością, wracając rakiem na dół. W porównaniu z nim czołgiści dali plamę.

Kierowca Drabowicza najpierw nie trafił w podjazd, a potem niemal zniweczył wielogodzinny trud drużyny saperskiej, próbując przepchnąć się na choma przez wyorane ciosem błotnika osypisko. Kiedy w końcu T-72 spasował, to coś nad nim mało przypominało przejezdny szlak.

Nasz BWP cofnął się na dno wąwozu i spróbował jeszcze raz. Patrzyłem na pełznący pod górę wóz i kaprała, wychylonego daleko w bok, niczym żeglarz na regatach. Dosiadł obramowania wjazdu, by z góry podpowiadać na pół ślepemu kierowcy, jak i którą jechać – przy wywrotce zostałyby z niego co najwyżej nogi od kolan w dół.

Na prawo od nas kierowca czołgu, starszy szeregowy Rogala, znów cofał się, pokonany przez stromiznę. Chciał nabrać rozpędu, i chwala mu za to. Jego błąd polegał na tym, że zapomniał o linie.

Ze względu na pośpiech nikt nie odpiął holu, łączącego czołg z ciężarówką. Plan zakładał, że T-72 pokona podjazd i ruszy dalej, z marszu podciągając stara. Pod tym kątem dobrano długość liny. Powinna być dłuższa, by ciężarówka mogła czekać nieco z boku, ale istniała obawa, że zbyt długa wetnie się w krawędź wąwozu. Chcąc nie chcąc, Wołynow wjechał więc na miejsce,

z którego czołg startował, co omal nie skończyło jego kariery jako szofera.

Raczej przez roztargnienie niż z winy hamulców Rogala wrócił na dół jak na puszczonej wstecz filmie: po własnych śladach i stale nabierając szybkości. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie jest sam, ale trochę się z tym spóźnił. Wołynow też nie zdążył.

Oba jadące do tyłu wozy zderzyły się z dość upiornym trzaskiem giętych blach.

Nagle zrobiło się cicho. Obaj kierowcy, jak to po imponującej stłuczce, powyłączali odruchowo silniki – miałem przynajmniej nadzieję, że oni – i powyskakiwali na zewnątrz. Natomiast nasz BWP zniknął. Nie zauważyłem, jak i kiedy.

– Porucznik się wścieknie – rzucił ktoś zduszonym głosem. Bał się. Wszyscy się baliśmy. Nie gniewu Filipiaka, a zawalenia się i tak kruchego planu.

– I co teraz? – Demonstracja władzy zrobiła swoje: Jola wpatrywała się we mnie z mieszaniną lęku, szacunku i nadziei. – Jedziemy?

Dobre pytanie. Skryty za krawędzią wąwozu Hanusik też je sobie pewnie stawiał. Filipiak... Trochę za późno spojrzałem w lewo. Zad samochodu pancernego nie sterczał już z okopu. To tłumaczyło przelot pierwszego ciężkiego pocisku nad naszymi głowami: BRDM był pierwszym pojazdem, jaki pokazał się w celowniku przyczajonych gdzieś w mroku artylerzystów. Słyszeli, że coś się dzieje, ale honker i Suzuki, kiedy zdemontowało się dachy i oszklenie, były wystarczająco niskie, by ginąć w zaroślach. BWP Bielskiego czekał w zagłębieniu kończącym podjazd numer jeden, ten przeznaczony dla czołgu. Miał ruszyć, gdy Drabowicz zacznie zagrażać lufą jego tylnym światłem. Póki stał, też nie było go widać z głębi sawanny. Ale teraz, gdy stosunkowo wysoki samochód pancerny wytoczył się na otwartą przestrzeń w towarzystwie przydzielonego nam bewupa, bitwa została oficjalnie rozpoczęta. Każda zmarnowana sekunda mogła być odtąd podarunkiem dla nieprzyjacielskich kanonierów.

– Czekamy.

Na górze budziły się do życia milczące karabiny. Race i granaty świetlne wylatywały w niebo, celowniczo cięższej broni wypatrywali plam bieli w ciemnościach. Wozy upačkano smarem, który przyprawiony piachem tworzył dość dobry kamuflaż, w robocie były też wielkie płaty siatek maskujących, więc sylwetki pojazdów nie rzucały się w oczy; ogadeński księżyc jednak trzymał stronę tubylców i nikt nie mógł liczyć na niewidzialność.

Zanim jednak działka i wukaemy wzięły się na serio do roboty, przez brzeg wąwozu przetoczyła się pierwsza ofiara natarcia. Bieg w wykonaniu Andrusiaka bardziej przypominał kontrolowane staczanie się i przez chwilę byłem święcie przekonany, że odciągając mu od brzucha zaciśnięte tam dłonie ujrzę przerażającą krwawą papkę wypływającą spod kamizelki.

– Nie mogę! – Zbił mi z ust trwożliwe pytanie. – Jezu, ale to boli! Nie dam rady prowadzić!

Potrwało trochę, nim zorientowałem się, że nawet jeśli umiera, to nie w typowy dla żołnierza sposób. Nigdzie nie znalazłem rany.

– Co się stało? – Kątem oka zobaczyłem biegnącego na górę Lesika. Nikogo za sobą nie pociągnął, więc zignorowałem go.

– Strasznie boli, w żołądku. Jakby nożem...

Z boku Morawski przewrzaskiwał się z czołgistami, ale słów nie rozumiałem: kierowca wrócił do swej żelaznej nory i uruchomił silnik. Na górze zadudnił wukamem samochodu pancernego, rozerwał się pocisk. Nie miałem pojęcia, co się tam dzieje; mogłem tylko błagać w myślach Filipiaka, by jakoś nad tym zapanował.

– Gdzie radio?! – Nie wiedziałem, co myśleć o niewidzialnym nożu w brzuchu Andrusiaka, więc potrząsnąłem nim dość delikatnie.

– Zostało. Niech mnie ktoś zastąpi... Porucznik nas zabije, jak zostawimy wóz. – Ból, choć znów zwinął go w kłębek, najwyraźniej nie osłabił wyczucia sytuacji. Bohater? Aktor? Cóż, teraz nieważne. Samochód był ważny. No i nadajnik.

– Potrafi ktoś poprowadzić honkera?

Liczyłem na Staškę, ale właśnie on najenergiczniej pokręcił głową. Niedobrze. Kapelan nie wchodził w grę, nawet gdybym go dogonił.

– Ja pojedę. – Jakimś cudem prawie zdążyłem o niej zapomnieć, ale Gabriela Asmare nie należała do takich, które pozwolą się szybko i trwale wymazać z pamięci. Ruszyła biegiem, nie czekając na zgodę.

– Zaczekaj! – O dziwo, zatrzymała się, obejrzała. – Zglupiałaś?! Czy ty w ogóle masz prawo jazdy?!

– Z drogowki jesteś? – odszczeknęła się. I już jej nie było.

Udało mi się za nią nie pobiec. Warknąłem: „Zostańcie!” i ruszyłem w stronę wciąż stojących obok, choć już rozdzielonych metrową przerwą uczestników kolizji.

– Porucznik do ciebie! – przekrzykiwał się z czołgowym silnikiem wychylony z wieży celowniczy. Drabowicz zbył go machnięciem ręki. Klęczał za czołgiem, szarpiąc się z zaczepem liny holowniczej. Po drugiej stronie Morawski, wbity piętami w koło, zawisł na łomie, popychanym z kolei przez Wołynowa. Koniec pręta ginął gdzieś pod harmonijką powyginanej blachy, będącego niegdyś nadkolem.

– Co robimy?

Nikt nie raczył mi odpowiedzieć. Drabowicz odblokował w końcu oporny rygiel, ale nie zrzucił jeszcze pętli z zaczepu.

– To co, jedziecie czy będziecie się pieścić z tym gównem?

Morawski udał głuchego. Plutonowy cisnął liną aż pod zderzak ciężarówki i wdrapał się na czołg. Parę sekund później T-72 ryknął ostrzegawczo i ruszył, by po raz kolejny zmierzyć się ze stokiem.

– Jak go chcesz odpalić? – zapytałem, przyglądając się ponuro szarpaninie z blachą. Pod

naciskiem dwóch par rąk oplatające przód opony żelastwo ustępowało powolutku, a ja nie byłem pewien, czy ten wątpliwy sukces nie zaślepił pary majorów.

– Tak... samo – rzucił przez zęby Morawski.

– Myślisz, że poczeka? – spojrzałem w bok, gdzie gąsienice wolno, ale póki co skutecznie, sunęły naprzód. – Co na to Filipiak?

– Lepiej byś... pomógł. Tam gdzieś jest młotek. Okrążając szoferkę, rzuciłem okiem na swych podopiecznych. Nie uciekli. Na razie.

Między fotelami znalazłem brezentowy pokrowiec z narzędziami. Najwyraźniej trzymali je pod ręką. Nie wiem, po co: nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakich to szybkich napraw za pomocą kluczy i śrubokrętów zamierzali dokonywać ci pomyleńcy pod ogniem pół tuzina kaemów i baterii dział – a tyle już teraz do nas strzelało. To znaczy: do tych na górze.

– ...na dziesiątej, osiemset albo więcej – trzeszczało radio głosem Filipiaka. – Ustaw na tyle i pogłębiaj. Grochulski, jeszcze jedna maszynka z prawej! Wolno bije, chyba ciężki, dawaj w tamtą...

– To jedziemy czy nie?! – Zza jakiejś bliskiej eksplozji i terkotu kaemu dało się rozpoznać Olszana. – Długo będziemy tak stać?!

I Hanusik:

– Mam zacięcie, przechodzę na działą.

W sumie nie wyglądało to dobrze. Złapałem za młotek i najcięższy z kluczy, wyskoczyłem prawymi drzwiami, o włos unikając głowy Wołynowa.

– Czekają na nas!

– Mam nadzieję! Walnij tutaj!

Walnąłem. Raz, drugi, dwudziesty. Młotek był beznadziejnie lekki. Klucz połamałem. Potem tłukłem kamieniem, cholernie nieporęcznym, za to ciężkim. Na koniec butem. Wołynow kłął w jakimś dziwnym języku, nurkował głową w dziury, do których bałbym się wetknąć rękę, szukał punktu podparcia dla coraz bardziej łukowatego pręta, po czym pobił rekord szybkiej prowizorki, sięgając po pistolet i strzelając Starowi w bok zmiażdżonego pyska niczym kawalerzysta zdychającemu koniowi. Wepchnął koniec łomu w przestrzelinę, zaczął pchać.

O dziwo – pokonaliśmy blachy. Udało nam się oswobodzić koło nawet wcześniej, niż Rogala pokonał podjazd.

– Zabierajcie się! – Morawski złapał koniec liny i chwiejnym krokiem pobiegł po śladach gąsienic.

*

Bewupa Hanusika dopadłem niemal po omacku: plan ataku nie zakładał stawiania zasłony

dymnej na pozycji wyjściowej, ale dalej już tak, a my byliśmy poważnie spóźnieni. Pancerna szpica ruszyła na północ dawno temu i choć przynajmniej na początku więcej strzelała, niż jechała, zdążyła oddalić się na tyle, że Filipiak wydał rozkaz uruchomienia generatorów dymu. Nie ułatwiło to wyciągania ciężarówka z wąwozu, ale każdy kij ma dwa końce: na razie nikt do nas nie strzelał. Grupa czołowa nie tylko przetrzebiła stanowiska ogniowe przeciwnika, ale i skupiła na sobie całą jego uwagę. Pytanie: na jak długo?

Wołynow wrzucił bieg jeszcze na stoku i star odpalił gładko, ledwie znalazł się na górze. Staśko wyskoczył z bewupa, odczepił linę. Wgramoliłem się na ławkę, zamknąłem za sobą stalowe drzwi. Saper zatrzaskał swoje i włączył latarkę. Opuścił filtr i przystawił czerwone oczko do gniazda strzeleckiego. Dookoła nas tu i ówdzie płonęły zapalone przez pociski krzaki, dalej jednak czekała noc, zagęszczona dodatkowo zasłoną dymną. Wozom bojowym to nie przeszkadzało – każdy kierowca miał przed oczami peryskop z zamontowanym wzmacniaczem światła szczątkowego – ale gogli nocnych dla prowadzących pozostałe pojazdy mocno brakowało. Jedyny ocalały po wczorajszych walkach egzemplarz przydzielono Wielogórskiej. Honker i ciężarówka miały trzymać się blisko poprzedników i – choć tego nie powiedziano wprost – modlić się o łaskę niebios. Teren był względnie płaski, kamieni i drzew mało, a noc pogodna, więc nie musiała to być od razu modlitwa o cud, ale trochę szczęścia zdecydowanie by się przydało. Latarki nie załatwiały sprawy: zgodnie z instrukcją Filipiaka wyznaczeni do tego pasażerowie bewupów mieli ich używać tylko od czasu do czasu, najlepiej wyłącznie przy skrętach. Nic tak nie skraca życia na nocnym polu bitwy jak robienie z siebie dobrze oświetlonej choinki. Co prawda prowadzące ogień wozy bojowe i tak łatwo było zlokalizować, lecz dotyczyło to nieprzyjaciół znajdujących się z przodu. Rozbłyśki wystrzałów od pewnego momentu robiły się zresztą anonimowe i biorąc na cel mrugający gdzieś na skrzydle płomyk wylotowy kaemu, każdy rozsądny Somalijczyk musiał się zastanowić, czy nie ostrzela własnego kolegi, którego okop znalazł się w jednej linii z napastnikami. Latarki nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym.

Jechaliśmy najwyżej czterdziestką. Mogliśmy szybciej, ale kosztem Wołynowa, który albo zgubiłby nas w mroku, albo, w przypadku nagłego hamowania, rozwalił do reszty ciężarówkę, tłukąc nas w tyłek. Nikt nie strzelał. Może z braku widoczności, może dlatego, że nie było do kogo. BWP-1 nie miał stabilizowanego uzbrojenia, więc mogła wchodzić w grę także zwykła chłodna kalkulacja, podpowiadająca, że lepiej siedzieć cicho i oszczędzać amunicję, niż mało skutecznym ogniem prowokować skuteczniejszą być może odpowiedź.

Nie wiem, jak długo trwała ta na pozór zupełnie normalna jazda. Pewnie z minutę. Dziesięć metrów na sekundę, sześćset metrów do pierwszej linii kaemów, przemieszanych z granatnikami. Drabowicz miał za zadanie rozstrzelać te kilka okopów z bezpiecznego dystansu i przy pomocy pary lżej uzbrojonych pancernych asystentów pewnie zrobił swoje, ale trudno liczyć na

stuprocentową skuteczność. Celny ogień z daleka na pewno zepchnął część piechurów w głąb okopów: tych mniej odważnych, trzeźwiej myślących, rannych czy oszołomionych zbyt bliskimi wybuchami. Od początku swej niemal stuletniej kariery czołgi dość gładko przetaczały się przez obsadzone takimi niedobitkami linie, ale prawie nigdy nie oznaczało to całkowitej likwidacji zagrzebanych w norach ludzkich szczurów. Filipiak nie robił nikomu złudzeń: jego plan zakładał, że – jeśli dobrze pójdzie – nasza pancerna szpica wyeliminuje ciężką broń, czyli stanowiska wukaemów i działek bezodrzutowych. Na strzelców z karabinami i granatami nie było rady. Musieliśmy liczyć na panikę w ich szeregach, własną szybkość i kiepską widoczność. No i na szczęście.

Jakiś dwieście metrów przed linią dołów strzeleckich nasz BWP uruchomił instalację dymotwórczą. Czas był najwyższy: zaraz potem o pancierz zabębniły pierwsze stalowe paluchy. Nie odpowiedzieliśmy ogniem: pochowani bliżej partyzanci widzieli nas, ale większość jedynie słyszała i nie było sensu ułatwiać im roboty. Po prawdzie to nie było kogo wystawić do ogniowego pojedynku: ranni nie bardzo mogli strzelać, Jola nie umiała, a durnie i lenie pokroju Lesika i Szczebielewicza nie zaopatrzyli się w karabiny.

Chyba dobrze się stało. Aż dwa ogniste warkocze przemknęły ze złowrogim pośpiechem za wozem. Na szczęście blisko: gdyby celowniczo wie spuścili trochę bardziej, czekałaby ich miła niespodzianka w postaci upolowanego stary. Chyba niespodzianka: stada kul były o blachy pancierza z taką częstotliwością, że ciężarówka eksplodowałaby efektownie od ćwierci podobnych trafień. Uniosłem lekko pokrywę wjazdu nad swoim kawałkiem ławki; wyglądało na to, że numer z zasłoną dymną poskutkowało. Podobnie jak jazda na zbyt niskim biegu, co owocowało przeraźliwym rykiem i zagłuszeniem dużo dyskretniejszego warkotu samochodowego diesla. Janowski łagodnym zygzakiem przeprowadził wóz między parą dymiących lejów, będących do niedawna stanowiskami jakiejś ciężkiej broni, minął płonące resztki półciężarówki, po której wcześniej przetoczył się czołg. Grad uderzeń zmienił się w pojedyncze puknięcia, niektóre w tylny pancierz. Przebiliśmy się.

Minutę potem Staśko otworzył drzwi i z wyczuwalną ulgą wykrzyknął, że widzi ciężarówkę. Omal nie kosztowało go to utraty języka: wjechaliśmy na jakieś paskudne garby, pasażerami zaczęło rzucać aż pod sufit. Trochę później dostrzegłem odbłask światła: star nie tylko wciąż jechał, ale mógł się pochwalić sprawną instalacją. Wymacałem klamkę i pozwoliłem opaść skośnie zamocowanym drzwiom.

– Tylko jeden?! – machnąłem w stronę mętnej plamy bieli. – Nikt nie został?! Nie widziałeś?!

– Chyba nie!

Mogłem sięgnąć po hełmofon i zapytać Hanusika. Praktycznie nie uczestniczyliśmy w walce, miał czas i możliwości rozglądać się za potencjalnymi maruderami; między innymi dlatego

wlekliśmy się w ogonie całej grupy. Prawie na pewno nie przegapiłby czegoś tak dużego jak samochód.

Nie sięgnąłem. Niektóre pytania wymagają zbyt wiele odwagi.

Niepewność leżała mi na płucach lepkiem ciężarem przez następne dwadzieścia minut. Przez ten czas moi współpasażerowie konsekwentnie milczeli i chyba nikt do nas nie strzelał. Przemknęło mi przez myśl, że być może raz na zawsze uwolniliśmy się od Sabaha, ale nie potrafiłem cieszyć się tą, realną przecież, szansą.

W końcu zatrzymaliśmy się: między szarymi od księżycowego światła skałkami, obok suzuki. Całe wieki czekałem na tę chwilę. Miała przynieść odpowiedź – i ulgę. Nie przyszło mi do głowy, że bać się tak naprawdę zacznę dopiero wtedy.

Nie potrafiłem wyjść z bewupa.

Ze swego miejsca przy drzwiach widziałem przechylonego na bok, podpartego parą kamieni Samuraja, z którego jacyś żołnierze ściągali przednie koło. Widziałem też dwie nieruchome, stopione w jedną bryłę sylwetki przytulonych do siebie ludzi. Siedzieli na tym uschniętym pniu chyba od dawna – tylne koło zdążyło zniknąć – ale nic nie wskazywało na to, by mieli przestać. To nie było w porządku. Nawet w stosunku do tych ślaniających się ze zmęczenia dwudziestolatków, choć oni pewnie nosili pod skorupami kamizelek zdjęcia swych dziewczyn albo przynajmniej serca przepełnione młodzieńczą wiarą, że kiedyś też, tak jak tych dwoje, pod niebem pełnym gwiazd...

Moja nadzieja właśnie umarła. Gdzieś między wąwozem, pełnym spalonego żelastwa i rozkładających się zwłok, a tą płytką niecką, gdzie próbowaliśmy złapać oddech przed dalszą ucieczką. Patrzyłem na parę znużonych, połączonych w na pół świadomej pieśzczocie ludzi i na okrągło miałem w mózgu myśl, że nigdy nie dane mi będzie doświadczyć tego, co Olszan w tej chwili.

Nigdy. Jeżeli gdzieś tam, przesłonięty ścianami z pancernej blachy, nie stoi jeszcze jeden samochód.

Nic prostszego, jak wyjść i sprawdzić. Zaciemnienie już nie obowiązywało, wróg został dziesięć kilometrów z tyłu.

– W porządku?

Blokowałem wyjście, a Sikorski miał złamane zebro i nie bardzo mógł wyskakiwać górą. Wysiadłem bez słowa.

– Wóz sprawny? Żadnych strat? – Jak przez mgłę słyszałem gniewny, a może tylko naładowany napięciem głos Ciołkosza. – To dawaj tu jeden z drugim! Nie widzicie, że trzeba pomóc? Szlag by to... Po gwoździach tu jechaliście? Do świtu nam zejdzie, same kaptcie, cholera...

Andrusiak ostrożnie położył się na boku tuż za gąsienicą.

Czekałem, nie wychodząc ze swej nory między parą otwartych drzwi. Jeśli tu jest, jeśli los ulitował się nade mną – to przyjdzie. Na pewno. Musi przyjść. Wolałbym, żeby przybiegła, ale byłem zbyt głupim sukinsynem, by takie dziewczyny wybiegały mi naprzeciw, więc godziłem się z tym, że za brak charakteru trzeba płacić – i płaciłem. Czekałem.

– Jacek? Dobrze się czujesz?

Morawski. Żywy, okopcony, zażawiony od dymu, no i trochę zaniepokojony. Za dużo światła. Po ciemku mógłbym uchodzić za czającego się po kątach obiboka. Normalnie, jak to wojskowy lekarz; nikt by nie zwrócił uwagi.

– Jasne.

– Co się stało? – Nie dał się nabrać. – Oberwałeś? Bał się. O mnie. Nikogo innego nie potrafiłbym o to zapytać.

– Dojechała? – Pojedyncze słowa łatwiej oczyścić z emocji.

– Kto? Wielogórska? – Zdziwiony zerknął przez ramię. – Przecież...

– Honker – rzuciłem przez zęby. – Gabriela. Ona nim...

Za dużo słów. Fatalnie to zabrzmiało. Ostatni raz pozwoliłem sobie na taki ton jako przedszkolak.

– Ona? Nie wiedziałem.

Czekałem, nie przyjmując do wiadomości, że już mi odpowiedział.

– Co się stało? Miała jechać z wami, bewupem.

Ominąłem go i w końcu rozejrzałem się po otoczonej pagórkami dolince. Parę drzew, trochę zarośli. I pustka. Wozy stały zbyt luźno, by łudzić się, że któryś przesłania zaparkowaną z tyłu terenówkę.

– Co z Filipiakiem? – Beerdeema też brakowało.

– Skręcił na wzgórze. Chce przeczesać okolicę radarem. Łudziłem się, że pozostali, by ją eskortować; może zawrócili, czy to po sanitarkę, czy choćby jej kierowcę...

– Nie zauważyliście, co się stało z honkerem? – Teraz, gdy już wiedziałem, że sprawy źle stoją, udało mi się odzyskać zimną krew. Łatwo przyszło: wszystko w środku miałem zmrożone. Raczej tysiące niż setki wystrzelonych kul, następne tysiące odłamków. Gdyby nie pancierz, nasz BWP spływałby teraz krwią. Sanitarka nie była opancerzona.

– W tym dymie? Chłopie, was nie widzieliśmy, a co dopiero...

– A Bielski, Filipiak? Oni nie byli ślepi. – Brnąłem uparcie ku prawdzie, choć czułem, że nie spodoba mi się. – Musieli widzieć.

– Daj spokój. Gnali na łeb na szyję, strzelali. Jeśli nie siedziała im na ogonie jak my wam... Dokąd? – złapał mnie za ramię.

– Macie jeszcze tę radiostację? Muszę pogadać z Filipiakiem.

– Nie dociera do ciebie, że wszyscy wiedzą tyle co ty? Cały czas byliśmy na nasłuchu:

dopiero tu się połapali, kto jest, a kto został.

To było skuteczniejsze od chwytu za ramię.

– Chcesz powiedzieć, że straciliśmy wóz i nikt nawet...?

– Musimy pogadać. – Tym razem ujął mnie za łokieć.

– A niby co robimy?

– Chcesz biec do Filipiaka i co... nakrzyczeć na niego? Żądać, by wracał i szukał twojej dziewczyny?

– To nie jest moja dziewczyna!

– I dobrze, bo z tym koniec. Była, a teraz jej nie ma i już raczej nie będzie. Zapomnij, że znałeś kogoś takiego. Dla własnego dobra.

– Chłopie, o czym ty mówisz?! Zostawiliśmy jednego z naszych! Tak się nie robi! Mniejsza z tym, czy to dziewczyna i czyja! Filipiak nie miał prawa...

– Filipiak zgubił Andrusiaka, kretynie! Nie rozumiesz?! Swojego żołnierza! Do tej pory nie ma pojęcia, że pozamienialiście kierowców! I oberwie ci jaja, jak się dowie, że puściłeś ją samą – dokończył ciszej.

– Ma ją gdzieś – rzuciłem z goryczą.

– Ale nie samochód. – Machnął ręką, wskazując pompującego lewar Wołynowa. – Czort wie, ile kół rozwaliliśmy, jadąc na felgach. Może już po ciężarówce. Samuraj też oberwał. A poza tym nikomu nie chodziło o to, by pozwolić tej panience zwiać. Jeśli to ona wykończyła naszych, to nie w ten sposób powinna odejść. Niezależnie od tego, jak ładnie kręci tyłeczkiem.

Odczekałem chwilę, ale nie udało mi się oczyścić głosu z goryczy.

– Odstrzelili jej ten tyłeczek, bo chciała ratować samochód.

*

– Żadnych rannych. – Miłe ciepło w żołądku sprawiło, że mogłem posługiwać się niemal normalnym tonem. – Dwie obcierki, parę sińców pod kamizelkami.

– A Andrusiak? Co to za historia z tą... zamianą?

Filipiak zeskoczył z beerdeema dopiero przed chwilą, ale uganiając się po okrytej czernią okolicy, nie zapomniał widocznie o radiu.

– Dostał boleści, akurat jak mieliśmy ruszać. Zbadałem go przed chwilą. Zżarł zawleczkę.

– Co proszę?!

– Podobno wyciągał zębami, no i... Aż do teraz nie bolało, więc nie mówił. Wygląda na to, że draństwo zakotwiczyło w żołądku. Wyrzygać się nie dało. Próbowaliśmy.

– Żartuje pan sobie?

– Nie. On chyba też nie, bo ostro domagał się płukania, a wszelkie objawy ma jak

z podręcznika.

– Zrobił mu pan płukanie żołądka? – zapytał z niedowierzaniem.

– Niby czym? Do tego trzeba jakiegoś płynu, który nie ukatrupi pacjenta, a my poza olejem napędowym... Myślałem o honorowej zbiorce moczu, ale pewnie nie wypali. Powysychaliśmy wszyscy na amen.

Przyglądał mi się przez chwilę ze źle wróżącą uwagą.

– Wszyscy jak wszyscy... Skąd pan to wziął?

– Co?

– Wódkę.

Miał dobry węch. Albo ja słabą głowę. Raczej to drugie.

– Spirytus sanitarny – wzruszyłem ramionami. – Bez obaw, nie...

– Myślałem, że mogę na panu polegać – przerwał mi z goryczą.

– To dawka uspokajająca. Potrzebowałem tego.

– Mieliśmy umowę odnośnie tej dziewczyny. Dał pan słowo...

– Zaraz... Powiedziałem, że jeśli uznam ją za zdrajczynię...

– Uciekła. To panu nie wystarcza?

– Widział kto tę ucieczkę?

– Bielski. – Trzymał to w zanadrzu i teraz rąbnął mnie jak pięścią między uszy. – Zauważył, jak sanitarka skręca między zarośla. Gdyby raczył pan zameldować, że to nie Andrusiak...

– Mielibyśmy parę pocisków mniej – dokończyłem za niego. – I tyle. Rąbnąłby do niej z działa, zanim zdążyłaby przekręcić kluczyk.

– Tak dobrze go pan zna?

– Nawet pan żałuje, że nie palnął jej w łeb – rzuciłem wyzywająco.

– A cóż dopiero ten rasista? – dopowiedział szyderczo. – Niech pan otrzeźwieje. Jej kolor nie ma tu nic do rzeczy. Może dla pana.

– Co to miało znaczyć? – wycodziłem przez zęby.

– Nic. Nie mówmy o tym. To już historia.

Miał rację. Wiedziałem o tym, nie wiedziałem tylko, jak skorzystać z dobrych rad i wymazać z pamięci Gabrielę Wiesławę Asmare.

– Szybko spisał ją pan na straty. Ale może powinniśmy wrócić i sprawdzić przynajmniej, co z samochodem?

– Guzik pana obchodzi samochód – powiedział spokojnie. – Czepia się pan Bielskiego, ale on jest przynajmniej konsekwentny. Myśli, mówi i robi to samo, a jak kiedyś dostanie w pysk za kawały o asfaltach, nie będzie zdziwiony. To pan pozwolił jej usiąść za kierownicą. Ja swojej dziewczyny za żadne skarby... Więc bez hysterii, dobrze? Albo była tylko fajną laską, jak milion innych, albo bał się pan wiązać z Murzynką. Nie wiem, co was łączyło, ale nie będę nadstawiać

karku dla ratowania pańskiego przyszłego małżeństwa. Bo nie ma mowy o żadnym małżeństwie, prawda? Nie jest pan, uchowaj Boże, żadnym rasista, ale czarna żona?

Pomyślałem, że gdybym zdzielił go teraz w szczękę, to tak jak Bielski nie byłby zdziwiony.

– Wróciłby pan po nią, gdyby była moją narzeczoną? – warknąłem.

– Na szczęście nie jest.

– Więc nie musi pan kiwać palcem, by ją ratować, co?

– Główne siły mieli po tamtej stronie – wzruszył ramionami. – Teraz pewnie idą za nami. Co niby mam zrobić: posłać czołg na poszukiwanie? Zniszczą go, a nawet jak nie, to nie znajdzie dziewczyny. Jeśli żyje i jest porządna, to prawdopodobnie siedzi ciężko przestraszona w jakichś krzakach. Nie do odróżnienia od Somalijczyka z granatnikiem.

– Jeśli jest porządna?

– Nie czarujmy się. Sam ją pan podejrzewa. Niby z kim się tłukliście na pięści i bagnety?

No tak. Nikt jej wtedy nie zastrzelił, ale to nie znaczy, że nas nie widziano.

Odwrociłem się na pięcie i odszedłem. Nie wypytywałem mnie o tamten incydent: najwyraźniej nasze starcie przy spalonej cysternie nie miało znaczenia dla jego opinii o Gabrieli. Jeśli się nad tym zastanowić, także osoba zgubionej dziewczyny nie miała wpływu na jego decyzję. Przeważała – byłem tego prawie pewny – chłodna kalkulacja rozsądnego oficera, który zważył koszty i uznał, że gra nie jest warta świeczki. Wiedziałem, że tak właśnie jest, ale wiedza nie zawsze wystarcza i po głowie bez przerwy objęła mi się czarniejsza od nocy myśl.

Że tam, przy cysternie, bijąc Gabrielę po twarzy, tak naprawdę zadałem jej śmiertelny cios.

*

Przespałem świt. Kiedy otworzyłem oczy, podeszwy opartych o burtę samuraja butów przewyższały już temperaturą tkwiące w nich stopy. Aż mnie mdliło od wiedzy, że z każdą następną godziną będzie tylko gorzej.

Wziąłem się w garść i usiadłem. Prawie dokładnie w tej samej chwili jadący przed nami BWP spokojnie, nie zmieniając rytmu ani kierunku, wjechał na jedyne w promieniu dwustu metrów drzewo. Rozległ się zadziwiająco głośny trzask, akacja runęła jak szarpnięta sprężyna, wóz wlał na zwalone ciało ofiary, zadarł gąsienicę i znieruchomiał.

Nie zrozumiałem tego. Dopiero kiedy suzuki wyhamowało gwałtownie pół metra za poobijaną kulami tylną ścianką zawalidrogi, rozjaśniło mi się w głowie.

– Zmienię panią. – Położyłem dłoń na ramieniu nie całkiem jeszcze przytomnej Agnieszki. Zebrała włosy z tyłu głowy i oglądana z tej strony robiła wrażenie młodszej. Z przodu na odwrot: podkrążone oczy i spękane usta dodawały jej parę lat.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się słabo. – Nie trzeba. Trochę się zagapiłam, ale jestem na

chodzie. Nie takie balangi się zaliczało.

Dobre porównanie. Gramolący się z pojazdów ludzie faktycznie przypominali ciężko skacowane ofiary całonocnej imprezy.

Sforsowałem boczną ściankę odkrytego samochodu – „forsowanie” to właściwe słowo – i, utykając na jedną odrętwiąłą i drugą stłuczoną nogę, podszedłem do przekrzywionego na bok bewupa.

– Przysnąłeś? – zapytał bez złości Filipiak. Oparty o błotnik Hanusik ostrożnie poruszył głową. Nie dość ostrożnie: spod otulających twarz dłoni popłynęła ku brodzie następna strużka krwi.

– Połóż się. – Wziąłem go za łokieć i kołnierz, trochę na siłę posadziłem obok gąsienicy. W innych okolicznościach, z odrobiną wilgoci w układzie pokarmowym, uśmialibyśmy się z całej historii. Pragnienie, jak się okazuje, miewa dobre strony. Nie wyszliśmy na bezdusznych sadystów.

– Złamany – sfinalizowałem krótkie oględziny żołnierskiego nosa. – Cholera, kto by pomyślał...

Filipiak dokonał równie nieprzyjemnego odkrycia: przejechane drzewo zemściło się z nieoczekiwaną perfidią, nie tylko łamiąc nos śpiącemu kierowcy, ale i paraliżując bewupa. Maszyna, sunąc brzuchem nad, a potem po ciele ofiary, wpakowała się na gromadkę skalnych wypustów, by na koniec złamać pień i osiąść na rafie z drewna i kamieni niczym wyrzucony na mieliznę wieloryb. Przestraszony, a może tylko miotany wyrzutami sumienia Janowski, drzemiący przedtem w przedziale desantowym, podjął próbę wymazania blamażu z pamięci dowódcy i na oczach porucznika efektownie zamknął serię nieszczęść.

Pierwszym brawurowym rzutem mocy na koła napędowe udało mu się zerwać jedyną opartą o grunt gąsienicę.

– No to fajnie – rzucił zamiast standardowego: „Dzień dobry” nadchodzący od strony ciężarówki Morawski. – Przyjemnie się zaczęła.

– Co? – zapytał tępo Filipiak. Chyba nie zmrużył oka tej nocy, poprzedniej zresztą też, i powoli stawało się to widoczne.

– Jak to co? Wigilia.

Na twarzach paru spośród schodzących się coraz liczniej osób dostrzegłem podobne do własnego zaskoczenie. Wstrząśnięty nikt chyba nie był. Nie można być wstrząśniętym, kiedy się wyszło na wiór.

– Na śmierć zapomniałem – mruknął Filipiak. – Święta... Szkoda gadać, udały nam się w tym roku.

– Nie wolno tak mówić. – Jeszcze przed sekundą nie było tu Lesika, ale jako pasażer bewupa musiał się w końcu pojawić. – To czas nadziei. Myślę, że powinniśmy rozpocząć go modlitwą.

Krótką – dodał przytomnie.

Filipiak ograniczył się do anemicznego kiwnięcia głową.

*

– Postawili pana na warcie?

Wołynow. Podobnie jak ja zawędrował na czoło kolumny, kiedy podziurawiona bryła stali, drewna i gumy, którą dotaszczył aż tutaj z narażeniem życia, nieoczekiwanie stała się amboną.

Pokręciłem głową, zerkając na zgromadzonych przed ciężarówką ludzi. Starali się trzymać cienia, dzięki czemu tworzyli wdzięczny cel dla kogoś, kto zechciałby nas upolować, strzelając zza okolicznych wzgórz.

– To u was obowiązkowe?

– Nie. Przynajmniej oficjalnie. – Po sekundzie wahania wziąłem z niego przykład, kucając w cieniu bewupa. – Chociaż dobrze widziane.

– To jak u nas – uśmiechnął się krzywo. – Chcesz zajść wysoko, kłaniaj się nisko. Kiedyś sekretarzom, teraz popom.

– A nie mułłom?

– Szkolę skośnookich następców. Nikt nie oczekuje, że przejdę na islam. Za to mój były dowódca z Afganistanu powiedział otwarcie, że dla bezbożników nie widzi miejsca w swojej dywizji. Facet, który jeszcze za późnego Gorbaczowa zaczynał każde zebranie oficerskie od słów: „My, czerwoni spadochroniarze”. Teraz, chcąc służyć w rosyjskiej armii, musiałbym się pewnie ochrzcić.

– Generał musi być elastyczny. Taki zawód.

– A propos generałów... Chyba o nas zapomnieli.

– Mają swoją dużą wojnę. Ta tutaj to potyczka w porównaniu...

– Pan w to wierzy?

Po raz pierwszy zaniechał wodzenia wzrokiem po horyzoncie i popatrzył mi w oczy. Nie wyglądało na to, by zrelaksował się w ten sposób, choć biegając spojrzeniem po setkach kamieni, krzewów i pagórków, nie malowniczych widoków szukał, a wymierzonych w nas luf.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedziałem powoli.

– Jak tu lecieliśmy, nie działo się nic niepokojącego.

– Nadal nie rozumiem.

– Tam – wskazał niebo – powinno się roić od samolotów i śmigłowców. Jak nie wojskowych, to przynajmniej sieci telewizyjnych. Jesteśmy, przynajmniej potencjalnie, światową sensacją numer jeden. Kiedy słyszał pan o oddziale błękitnych hełmów, trzeci dzień z rzędu walczącym o przetrwanie, bombardowanym i pozbawionym jakiegokolwiek wsparcia?

Łatwe pytanie, ale musiał poczekać na odpowiedź.

– Nie było takiej historii – przyznałem w końcu niechętnie.

– No właśnie.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – wzruszyłem ramionami.

– Powszechna wojna każdego z każdym wyjaśnia wszystko, prawda? – podpowiedział z lekkim uśmiechem. – Tylko co wyjaśnia wojnę? Etiopczycy mają jeszcze dość siły, by wyrzynać się całymi latami, ale atakowanie wojsk ONZ... To nie idioci.

– Generał mówił o blokowaniu... no, głównie.

– De Sousa ma za wielkie brazylijskie jaja, by dał się zablokować samymi tylko pogrozkami. Zresztą w Dire Dawa wzięto podobno do niewoli cały garnizon. A jak znam naszych Hindusów, nie mogli się dać łatwo i tanio. To nie Bośnia, tu błękitne hełmy nie boją się strzelać. No i ta historia z atakiem na Dżibuti... Francuzi mają swoją Legię. Nie puszczają płazem takich numerów. Więc nikt im ich nie robi.

– I jaki z tego wniosek?

Tym razem on nie spieszył się z odpowiedzią.

– Coś tu śmierdzi – stwierdził wreszcie.

– Chce pan powiedzieć, że generał Zaręba nie powiedział całej prawdy. – Nie pytałem, po prostu dokończyłem za niego.

– To by nie było nic nowego. Dowódcy nigdy nie mówią całej prawdy, nawet nie powinni. Problem w tym... No, że powiedział za dużo.

– Chyba się pogubiłem.

– To zupełnie nie wygląda na prawdę. A mimo to kilka osób może przysiąc, że usłyszało te informacje od generała. Więc albo jednak jest prawdą, albo... – zawiesił z premedytacją głos.

– Kłamał? – dokończyłem pełnym niedowierzania tonem. Milczeliśmy dłuższą chwilę. Myśleliśmy. W końcu potrząsnąłem głową. – Niemożliwe.

– Polscy generałowie są rycerscy i nie kłamią? – zakpił niemrawo.

– Nie są kretynami. Przynajmniej Zaręba.

– Dobrze go pan zna?

– Słabo. Ale trzeba być ostatnim idiotą, by wymyślić nieistniejącą wojnę i wmawiać ją podwładnym przez radio. Już mniejsza o powody, ale przecież taki kant błyskawicznie się wyda. I co wtedy?

Próbowałem go przekonać. Niedobrze. Powinienem wyśmiać.

– Spaliłby za sobą wszystkie mosty. Faktycznie: trudno uwierzyć.

Chyba chciał zamknąć temat. Ja też, lecz nie w taki sposób.

– Jeżeli jednak nas oszukał... Są dwie możliwości: albo pogubił się, wpadł w panikę i wymyślił tę historyjkę, by zamknąć Filipiakowi usta, albo... – zabrakło mi pesymizmu, by

dokończyć.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Z oddali dobiegały strzępy kazania, wygłaszanego przez Lesika. Antena radaru obracała się leniwie.

– Pewnie zawracam głowę – przyznał Wołynow, dźwigając się ociężale. – Ale chciałbym coś panu pokazać.

Wdrapał się najpierw na porzuconego przez załogę bewupa, a potem na wieżę. Jęknąłem w duchu, ale poszedłem w jego ślady. Opuścił lornetkę, ustąpił mi miejsca na włązie celowniczego.

– Niech pan zerknie. Tam, na północ.

Wziąłem lornetkę i zerknąłem. Dopiero dzięki szkłom zorientowałem się, że coś, co brałem za wierzchołki wzgórz na horyzoncie, nie ma wiele wspólnego z łagodnymi pagórkami, pośród których dotychczas podróżowaliśmy.

– Ale dziura. – Obróciłem lornetką na boki. – Wygląda jak krater.

– Na mapie jak bukłak. Okrągły, z wąską szyjką u góry. Prawie dokładnie w osi, na północy. Widzi ją pan?

Szukałem dobrą minutę. Zagłębienia terenu premiowane są zwykle bogatszą szatą roślinną. Okrągła dolina, której się przyglądałem, była zbyt rozległa, by środek skorzystał na kilkunastometrowej różnicy wysokości, ale na obwodzie dwukilometrowej średnicy koła nie brakowało ani zarośli, ani chaosu skalnych występów, spiętrzeń i osypisk.

– Będziemy musieli nadłożyć kawałek drogi – zauważyłem.

– Właśnie o to chodzi. Mamy jechać prosto jak strzełił.

Przypomniała mi się narada, ta przerwana przez Gabrielę. Zaboląło. Robiłem, co mogłem, by o niej nie myśleć, i nieźle mi się to udawało – aż do teraz.

– A tak... był taki plan. Mieliśmy zmylić pościg. Ale to już chyba nieaktualne. Chodziło o ewakuację rannych.

Wzmianka o nieszczęśnikach, których zdjęto nam z karku parą granatów i foliowym workiem, nie zrobiła na nim wrażenia.

– Aktualne. Pytałem Filipiaka. Nie zmieni marszruty.

Byliśmy za daleko od południowej krawędzi doliny, bym próbował choć pokusić się o zgadywanie, jak gwałtownie opada sawanna w tym miejscu. Ale północna strona nie robiła dobrego wrażenia.

– Następną dziurą w ziemi – mruknąłem bez zapału.

– Tym razem może być gorzej. Wąwóz był jak okop: trudno wyleźć, ale można się dobrze bronić. A to tutaj... I stromo.

Nie podobała mu się ta trasa. Mnie, prawdę mówiąc, też nie.

– Rozmawiał pan z Filipiakiem?

– Nie chciał mnie słuchać. Chyba nie bardzo mi ufa.

No pewnie. Awansował na liście czarnych charakterów. Bo byłem głupim dupkiem i pozwoliłem uciec głównej podejrzanej.

– Ale nie powiedział tego wprost? – uśmiechnąłem się boleśnie. Pokręcił głową, wyraźnie zdziwiony. – No to i tak ufa panu bardziej niż innym. – Odepchnąłem sprzed oczu mglisty obraz brunatnej dziewczęcej twarzy, zmuszając się do myślenia o sprawach ważnych. – W sztabie chyba wiedzą, co robią, pakując nas w ten kocioł.

Milczał. Czekał na coś. W końcu się połapałem.

– Aha, rozumiem... Ten cały wstęp... Naprawdę podejrzewa pan Zarębę, że posyła nas w sam środek wilczego dołu? To pan sugeruje?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Usłyszałem dostatecznie dużo, by wyciągnąć wnioski.

– Przynajmniej dobrze pan wybrał rozmówcę – westchnąłem. – Od paru innych dostałby pan teraz w mordę.

– Tylko wyrażam wątpliwości.

– Za wątpliwości obrywa się najszybciej.

– Rozumiem, że nie przemówi pan porucznikowi do rozsądku?

– Ależ on jest rozsądny; w tym problem. Wypełnia rozkazy.

– Nie podoba mi się ten bukłak. – Rzucił ponure spojrzenie na północ. – Niech mu pan chociaż podpowie, by posłał przodem zwiad.

*

– Nie. – Filipiak oszczędnością słów nadrabiał czas, zmarnowany na wysłuchiwanie moich argumentów. – I proszę z nim więcej nie rozmawiać.

Byłem przygotowany na odmowę, ale jeśli chciał się mnie szybko pozbyć, mógł sobie darować tę końcówkę.

– Co znaczy: nie rozmawiać?

– Dokładnie to. Skończył pan z Hanusikiem? No to niech pan się pakuje do jakiegoś wozu. Zaraz ruszamy.

Odszedł, nim zdążyłem zapytać, jak się ma to ruszanie do zawieszonoego na brzuchu bewupa, któremu nie założono jeszcze gąsienicy. Że nie wspomnieć o cholernym drzewie, wpychającym kikuty gałęzi między każdą chyba parę kół.

Już po chwili życie udzieliło odpowiedzi. Pochowani w cieniu pojazdów ludzie bez entuzjazmu zaczęli znikać między rozgrzanymi blachami, czołg cofnął się, by przejąć hol od ciężarówki, a samochód pancerny, tym razem w klasycznej dla siebie roli zwiadowcy, a nie jako flagowy wóz dowódcy, pomknął ku czającej się nieopodal przepaści. Albo tylko niewygodnemu

zjazdowi. Albo tutejszemu odpowiednikowi autostrady – nie wiedziałem, co o tym myśleć. I, prawdę mówiąc, nie bardzo myślałem. Patrzyłem, jak Agnieszka Wielogórska z zupełnie nietypową dla agresywnych dziennikarek ostrożnością pomaga Olszanowi zakładać kamizelkę, a potem sadować się wygodnie w fotelu – patrzyłem i coś we mnie krzyczało.

Ktoś mnie wołał, więc powlokłem się do bewupa pierwszej drużyny i zwałem na pierwsze wolne miejsce.

Byli tu już wszyscy: Lesik, Jola, saper Staško, poprawiający rękę na temblaku Kozłowski... Tylko siedzący przy drzwiach Maciaszek ratował mnie przed uchwyceniem się rozpaczliwej myśli, że może zasnąłem, przegapiłem rozkaz wstrzymania ataku i teraz, budząc się z koszmarnego snu na dnie starego, poczciwego wąwozu, gdzieś obok znów ją zobaczę.

To bolało jeszcze bardziej niż widok tamtych dwojga, tak naturalnie i bez żadnych zahamowań sobie bliskich.

Potem w świetle drzwi stanął Olszan.

– Nie jedzie pan z nami? – Uniesione wysoko brwi wyrażały w żartobliwej formie zdziwienie i dezaprobatę. – Ładnie to tak?

– Co za różnica? – mruknąłem apatycznie.

– U nas dmucha – błysnął zębami. – I mamy więcej dziewczyn w przeliczeniu na głowę pasażera.

Nie powinien był tego mówić. Zrozumiał to, trzeba przyznać, ale urywanie w połowie byłoby jeszcze gorsze, więc podtrzymał łobuzerski uśmiech i udał, że wszystko gra. Ja też starałem się udawać. Pokręciłem głową z bladym uśmiechem.

– Wiem – klepnął pancierz. – Bezpieczniej. Za to do blachy lecą rakiety. Ale serio: miałem nadzieję, że pan z nami pojedzie. Z tą ręką jestem do niczego, a Agnieszka...

– Co: Agnieszka? – usłyszałem gniewny głos pani redaktor. – Zwiąłeś i mnie obgadujesz? Chodź, zaraz ruszamy.

Wyglądało na to, że nie uzgodnili stanowisk. Olszan nie wyglądał na zadowolonego z jej pojawienia się. Nie on jeden zresztą.

– Do wozu! – dobiegł nas okrzyk Filipiaka. – Już was tam nie ma!

– Czort wie, co się jeszcze zdarzy – powiedział szybko Olszan, nie zważając na urażoną minę swej wybranki. – Przydałby nam się ktoś trzeci. Ja się praktycznie nie liczę. Byłaby zupełnie sama. Już to przerabialiśmy. I straciliśmy jedną dziewczynę.

Pośpiech wiele usprawiedliwiał, ale to było beznadziejne zagranie. Sam nie wiem, dlaczego znalazłem się na ziemi. Pewnie dlatego, że mimo swej gruboskórności miał dobre intencje. No i rację.

Ruszyliśmy w stronę honkera, ustępując z drogi ciężarówce. BRDM ruszył już dawno, Drabowicz grzał silnik. Agnieszka przyspieszyła i z wyrazem nieco mściwej satysfakcji pierwsza

wsunęła się za kierownicę.

– A co z nimi? – wskazałem przechylonego na bok bewupa. Trzech obnażonych do pasa żołnierzy przerwało zmagania z gąsienicą. Stali z narzędziami w rękach, spoglądając na odjeżdżającą kolumnę. Czwarty, Andrusiak, siedział boleśnie zgięty na obrzeżu włazu, całą swą postawą dając do zrozumienia, jak bardzo czuje się pokrzywdzony. Filipiak najwyraźniej nie do końca uwierzył w połkniętą zawleczkę.

– Tylna straż. – Olszan skrzywił się chyba nie tylko z powodu dziurawego barku. – Filipiak chce szybko przerzucić na tamtą stronę, co się da. Mają nas dogonić. A w razie czego osłonić.

Właśnie to „w razie czego” budziło mój sprzeciw. Inna sprawa, że był to klasyczny wybór mniejszego zła. Miejsce nie sprzyjało obronie.

– Znaleźliśmy zjazd – zameldował przez radio Ciołkosz parę minut później. – Ale to droga wybitnie jednokierunkowa. A innej nie widać.

– Nie wracamy tędy – podjął szybką decyzję Filipiak. – Walcie przodem. Chcę mieć przyczółek po tamtej stronie, najlepiej już.

Choć zakrawało to na kpinę, potratował tę suchą dziurę jak przeszkodę wodną. Niechętnie przyznałem mu rację: tam, w dole, skazani będziemy na wolniejszą jazdę i przygnębiająco odsłonięci. Środek niecki wyglądał jak jezioro, tyle że wyschnięte. Płasko, żadnych kryjówek. Ale kiedy Agnieszka hamowała przed krawędzią, dużo większe wrażenie zrobiła na mnie skarpa oddzielająca nas od tej patelni. Wyglądała równie przyjaźnie jak skocznia narciarska widziana z deski startowej.

– Dasz radę? – Olszan ze słabo maskowanym niepokojem popatrzył na siedzącą obok kobietę.

– Może ja? – złożyłem niemrawą ofertę.

– To mój samochód – mruknęła. Minę miała niewyraźną. – Zasuwaszcie na dół. W razie czego będziecie mnie łapać.

– Pogadam z nim. – Olszan otworzył drzwi. – To poroniony...

– Ruch na zachodzie! – przerwało mu radio głosem Grochulskiego. – Coś przemieszcza się na północ! Odległość pięć z hakiem!

Przez chwilę nic się nie działo. Tyle że wszyscy zastygli. Chyba większość z nas zdążyła uwierzyć, że koszmar dobiegł końca, że co prawda przyjdzie jeszcze wlec się dziesiątki kilometrów, cierpieć od skwaru i pragnienia, zasypiać na stojąco i mieć w zębach wszechobecny kurz, lecz nie czeka nas już walka o życie. Po tylu godzinach okopowej strzelaniny nagle, też na całe godziny, zrobiło się bezpiecznie – to musiało odbić się na psychice półprzytomnych ze zmęczenia ludzi.

Filipiak nie był wyjątkiem. Jego bezradne milczenie trwało wieki, a kiedy wreszcie przemówił, było w tym więcej rezygnacji niż energii.

– Wszyscy gaz do dechy i na tamtą stronę. Musimy zdążyć pierwsi.

Antena radaru zanurkowała do opancerzonego pojemnika, BRDM z wyraźnym respektem przetoczył się przez krawędź skarpy, zadarł kanciasty zad. Agnieszka zwolniła sprzęgło, by od razu zatrzymać wóz na widok wpychającego się przed nas czołgu. Olszan sięgnął po zawieszony na desce rozdzielczej nadajnik, ale cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie usłyszałem tego, bo z wozów zaczęli pośpiesznie wyskakiwać pasażerowie i obaj w tempie trochę nie licującym z naszą męskością porzuciliśmy panią redaktor.

– Pozbierajcie mnie na dole! – Stojącemu za nami starowi odstrzelono większą część tłumika, więc ledwie ją zrozumiałem.

Dość szybko jej żart zaczął przypominać ponure prococtwo. Stromizna zjazdu nie była jedynym problemem. Już BRDM wyszarpał ze stoku jakieś pół tony kurzu, choć jako pierwszy w kolejce miał ogromne fory: długo było go widać. Udało mi się nawet zauważyć, kiedy stracił z hukiem przednią oponę. Stylu, w jakim zjeżdżał T-72, można się już było tylko domyślać: chmura pyłu musiała być widoczna z orbity. Przez pierwszą minutę wyścigu do szyjki tego suchego jak pieprz bukłaka, pojazdy i ich spieszeni pasażerowie poszukiwali się nawzajem chaotycznie. Tylko cudem nikogo nie rozjechano.

Zjawiłem się na dole jako jeden z pierwszych. Widziałem, jak z burego obłoku wyłania się czołg, potem wóz Bielskiego z podskakującą jak rozbrykany sześciolatek armatą na holu. Suzuki tylko usłyszałem: ryknął silnikiem pięć pięter nad moją głową – to wszystko. Wbrew dotychczasowej tradycji nie wytoczył się z pyłowego chaosu. Słyszać też go nie było: Bielski zatrzymał się zbyt blisko, zbyt długo hałasował, czekając na pasażerów, na których składali się głównie ranni.

Dałem Agnieszce jeszcze kilkanaście sekund, a potem rzuciłem losowi kretyńskie wyzwanie, zmrużyłem powieki i pobiegłem jej szukać. Z wątlą nadzieją, że Wołynow popisie się większą od innych przezornością i odczeka trochę przed skokiem w nieznane. Nie miał rozrusznika, więc wizja gasnącego silnika i unieruchomionego gdzieś w chmurze pyłu samuraja nie powinna mu być obca.

Nie oberwałem ośmiotonową ciężarówką. Kolana omal nie złamał mi zderzak terenówki. Wóz zajechał dalej, niż myślałem; nie zdążyłem wyhamować, kiedy wychynął nagle z burego niebytu.

– Zjeżdżaj stąd! – trzasnąłem pięścią w klapę. – Do tyłu!

Podpierając się o nadkole, zacząłem kuśtykać w stronę drzwi.

– Nie da rady – Agnieszka starała się nadać głosowi naturalne brzmienie, lecz słysząc było głównie te starania. – Coś mi strzeliło...

Wiedziałem, czego szukać, więc szybko zauważyłem, że samuraj przypomina garbatego człowieka: stojąc na pozór prosto, sprawiał nieodparte wrażenie przekrzywionego.

– Rozwaliła pani zawieszenie! Szybko: wsteczny i...

Miałem w oczach błoto z pyłu i łez, a ona trzymała fason – to dlatego zorientowałem się tak późno. Na szczęście nie za późno. Wołynow porykiwał silnikiem gdzieś nad nami, lecz nie nadjeżdżał.

– Źle się pani czuje? – Zanim jeszcze zdecydowała się otworzyć zbyt mocno zaciskane usta, zrehabilitowałem się, bez pytania zrywając jej hełm i sięgając do suwaka kamizelki.

– Nic takiego – zdobyła się na słabiutki, zupełnie nie w jej stylu uśmiech. – Chyba złamałam tyłek. – Poruszyła nieznacznie głową, wypatrując czegoś za moimi plecami. – Gdzie go pan zgubił?

– Gdzie go...? – Już tylko siłą rozpędu odpiąłem kamizelkę. – To nie tyłek ma pani złamany, tylko serce.

– Też – zgodziła się potulnie. Była przestraszona i skruszona. – Ale to nic, przejdzie. Nic nowego, bywało gorzej.

Złapałem ją za nadgarstek. Samuraja zniosło ładnych parę metrów od osi zjazdu, Wołynow w zasadzie nie powinien w nas trafić, nawet gdyby pomknął w dół całkiem na oślep, ale tętno miałem jak po maratonie. Ona miała jak po dwóch.

– Dupę skroję – warknąłem. – Czemu nic pani nie mówiła?!

– Już zajęta – Jej puls ani trochę mi się nie podobał, ale tym żartem ułatwiła mi decyzję. Raczej nie umierała. Śmierć w wyniku uderzenia ciężarówką zagrażała jej trochę bardziej niż zawał serca.

– Wsteczny! Ale już!

W końcu do niej dotarło. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła bieg. Na wszelki wypadek zacząłem pchać. Trudno powiedzieć, czy w czymś pomogłem, ale zgrzytające przeraźliwie suzuki wycofało się rakiem o kilkanaście metrów.

Czas był najwyższy: Wołynow uznał, że widzi coś więcej niż kurz, i przetoczył się za moimi plecami z dynamiką ekspresu transsyberyjskiego. Wyhamował dopiero czterdzieści metrów od miejsca, gdzie kończył się spadek. Zanim sylwetka ciężarówki znikła w obłoku świeżo poderwanego kurzu, dostrzegłem obskakujących ją ludzi – załoga stara dogadała się ze swymi pasażerami trochę lepiej od nas.

Myśli Agnieszki biegły najwyraźniej tym samym torem.

– Gdzie on się, do cholery, podział? – Wdusiła klakson, omal nie przyprawiając mnie o atak serca. – Niech go pan szuka!

– Sam się znajdzie. – Zacząłem rozcierać kolano jedną, a ucho drugą dłonią. – Spokojnie, nikt nie strzela...

Podziałało. Przestała się martwić o Olszana i wróciła do martwienia o siebie. Była blada na tyle, na ile pozwalał upał, a nijaki grymas twarzy dość nieudolnie maskował ból.

– Chodziła z tym pani do kardiologa? – zapytałem cicho.

– Od złamanych serc są seksuolodzy. – Trafnie oceniła moją minę, bo już bez silenia się na bycie dowcipną dodała: – To nadciśnienie i lekka nerwica. Nie umrę od tego. W każdym razie nie tak szybko. Bardziej mnie boli w krzyżu. – Chyba próbowała sięgnąć i pokazać, gdzie jest ten krzyż, ale naprawdę ją bolało, więc skrzywiła się i cofnęła rękę na kierownicę. – Też to przerabiałam. Na wiosnę. Próbowałam pokazać Michałkowi, że nie trzeba mieć taty, żeby pofrunąć pod sufit. Na tapczan musiałem się drapać na czworakach. Sypię się, doktorze.

– Ale nie walę? – odpowiedziałem.

– W tym znaczeniu – zdobyła się na uśmiech – to nie. Spoko, nie umrę tu pa... Co on wyprawia?

Też się zastanawiałem. Star poruszał się tym razem wolniej, ale jechał tyłem i do końca nie miałem pewności, czy Wołynow dobrze wymierzy i nie rozsmaruje mnie między bokami obu samochodów.

– Zdechł? – Przechylny przez postrzelaną burtę Morawski wyciągnął rękę, zanim jeszcze zaczął mówić. – Pakujcie się, szkoda czasu!

Nie doceniłem radzieckich instruktorów jazdy: Wołynow zostawił mi dostatecznie dużo miejsca, bym mógł się pokusić o otwarcie drzwi.

– Pomogę pani. – Zignorowała moją dłoń. – Pani Agnieszko?

– Mam swój – oburącz klepnęła kierownicę. – Widział pan: jeździ.

– Toczy się. To nie to samo. Nie możemy się wlec, bo nas zabiją.

– Co jest?! – Z winy odstrzelonego tłumika major niewiele słyszał.

– Czekamy! – Machnąłem kciukiem za siebie. – Olszana wcięło!

– A wóz?! Na chodzie?!

– Czort wie! Coś poszło w zawieszeniu, ale może... Zabierz Agnieszkę, ja spróbuję jechać! To niedaleko, a potem zobaczymy!

Oprócz Morawskiego i głębokiej na metr sterty sprzętu obozowego na skrzyni był jeszcze Szyszkowski ze swą wyrzutnią i przepasany taśmami nabojuowymi kapral Bodnar, obsługujący karabin maszynowy.

– Ładujcie się oboje! – Morawski szybko podejmował decyzje. – W Szyjce Filipiakowi potrzebna będzie każda lufa!

Szyjka. Od buklaka. Albo wypadłem z obiegu i przegapiłem odgórnie zatwierdzony chrzest ważnych taktycznie dozorów, albo Wołynow podzielił się wątpliwościami nie tylko ze mną.

– Jedź! Zabiorę Olszana i was dogonię! Pani Agnieszko...

– Nie!

Następna szybka i wolna od wahań.

– Szyszkowski, do mnie! – Demonstracyjnie cisnąłem hełm na tylne siedzenie. – Podsadzimy

panią. Bodnar, podciągniesz...

Kapral okazał się ciężkim frajerem i zamiast skorzystać z ostatniej być może okazji wzięcia w ramiona młodej – choć sypiącej się – kobiety, zadarł wyżej lufę kaemu. Dość nagle.

– Co? – Morawski sięgnął po wsparty o burtę automat.

– Chyba nic... Wydawało mi się, że coś się tam...

– Krzysiek?! – Agnieszka błyskawicznie przeniosła spojrzenie z lewej na prawą. I aż zasyczała z bólu.

Czekaliśmy. Kurz rozlał się szeroko po okolicy, rozmazał szczegóły. Inna sprawa – co w końcu zrozumiałem – że nie aż tak.

– To nie on – dotknąłem jej ramienia. – Przecież by się nie chował.

Poskutkowało. Zaczęła wysiadać. Mało który pojazd ułatwia to tak jak odkryta terenówka, w dodatku przekrzywiona na lewy bok. Ale szło jej marnie. Nawet nie próbowała protestować, kiedy wepchnąłem jej się z głową pod pachę, otaczając ręką kibić. Nie skapitulowała jednak.

– Poszukam go – postanowiła nagle. – Coś się musiało stać.

– Ja go poszukam. – Fakt, że marzyłem o skopaniu mu tyłka, mocno ułatwiał składanie takich deklaracji. – Pani ledwie chodzi.

– Nic mi nie... – Zassała powietrze. – O Jezu... to chyba dysk.

– Ostrożnie. Na trzy.

Mając pięć par rąk załatwiliśmy sprawę w miarę bezboleśnie. Zaraz potem Bodnar złapał za karabin, a star odjechał.

Usłyszałem krzyk dopiero, gdy rozwalony tłumik oddalił się na odpowiednią odległość. Odwróciłem się, chwyciłem karabin i omal nie rąbnąłem serią w lawinę piachu, kamieni i rozszalałych w bezładnym tańcu ludzkich kończyn, docierającą już prawie do połowy stoku.

Tylko ten pośpiech ocalił Olszana przed profilaktycznym ostrzałem: był pierwszym, który sforsował zbocze, wyprzedzając własny kurz i pozostając rozpoznawalnym.

– Zatrzymaj ich! – Nie wiem, jakim cudem nie odgryzł sobie języka, bo krzyk połączył z wywijaniem wyjątkowo paskudnego orła. Zerwał się zresztą szybko i przez chwilę gnał za ciężarówką. Potem nagle skręcił w stronę suzuki.

Wskoczyłem za kierownicę, zastanawiając się, czy nie popełniam błędu. Jeśli na górze ktoś był, jeśli ścigał Olszana... Samochód chyba faktycznie stałby się jedyną naszą nadzieją, lecz raczej jako prowizoryczna barykada, nie pojazd.

Starter zarzęził. I nic. Oczywiście. Przecież się spieszyliśmy.

– Morawski, wracaj! Słyszysz?! Rysiek!

Trochę mi ulżyło, bo Olszan wyrzaskiwał te słowa do mikrofonu stojąc w pełni wyprostowany, w dodatku plecami do ściany krateru. Cokolwiek go przeraziło, nie czało się raczej tuż za krawędzią stoku.

– Rysiek?! Odezwiąj się, do kurwy nędzy!

Ponieważ przestało to być sprawą życia i śmierci, samuraj łaskawie zapalił. Olszan rzucił mi nieprzytomne spojrzenie i przewalił się przez zamknięte drzwi do wnętrza wozu.

– Za nimi! Gazu, człowieku!

Rozwalił sobie bark, z otwartej na nowo rany krew lała się okazałym strumieniem, ale właśnie dlatego nie próbowałem dyskutować.

– Co jest? – Po kilkudziesięciu metrach dotarło do niego, że siedzi krzywo, a samochód głośniejszy niż warczy.

– Chyba połamała zawieszenie. Myślę, że radio...

– Jedź!

Dałem spokój wyjaśnianiu, że nie dogonimy ciężarówki tym trupem. Nie był w nastroju sprzyjającym rzeczowym dyskusjom. W nagrodę wyjaśnił kwestię nadajnika, ciskając nim z pogardą o podłogę.

– Gdzie pana nosiło?

– Musimy ich dogonić!

– Bo się pan cholernie spóźnił! – Nie byłem aż tak zły, by krzyczeć, ale upiorny chrzęst trących o siebie płatów metalu przekreślał szansę na normalną rozmowę.

– Gazu! Bo ich wykończą!

Dodałem gazu. Chrzęst przeszedł w wizg, jaki wydają szlifierki, tyle że wzbogacony wściekłym waleniem. Kierownica ściągała w lewo, od pewnego momentu musiałem prowadzić wbijając obie dłonie w zbieg obręczy i prawej szprychy. Gdyby nie paskudny teren, usiadłbym na zagłówku i kierował nogą – mięśnie mdlały już teraz.

– Zaraz się rozsypie! – ostrzegłem. – Albo zapali!

– Szybciej!

Skręciłem – a raczej pozwoliłem samochodowi to zrobić – w lewo. Nie wiem, czy wybojów było tu mniej, ale kurzu poderwanego przez umykającą ciężarówkę chyba tak. Chwilami udawało mi się dostrzec zarysy spiętrzonych na skrzyni ładunkowej bagaży. Dystans, jaki nas dzielił, nie rósł, ale też na pewno nie malał.

– Przed podjazdem nie ma szans... – urwałem, zezując z niedowierzaniem na swego pasażera. – Po co to panu?

Stał okrakiem nad fotelem z pośladkami wciśniętymi w oparcie i jedyną sprawną ręką odpinał kaburę zdobycznego pistoletu. Widać było, że wyfrunie z samochodu, nim doliczę do dziesięciu. Terenówką rzucało tak, że nie tyle prowadziłem, co trzymałem się kierownicy.

– To porwanie?

Zignorował mój zgryźliwy komentarz i strzelił. Nie doznałbym już większego wstrząsu, gdyby zatrzymał ciężarówkę, mierząc w opony – i tak by nie trafił – ale okazało się, że aż tak

źle nie jest. Pocisk, a po nim dwa następne, poszybowały w niebo. Olszan zaczął machać nad głową nie tylko zdrową, ale i przyrośniętą do dziurawego barku ręką. Stało się oczywiste, że nie przeżyje jazdy po tej kamienno-piaskowej tarce, która na przemian podrzucała nas i stopowała: jeśli nie wypadnie, to załatwi go krwotok spod brutalnie zrywanych skrzepów.

– To śmigłowiec! – Nie patrzył na mnie. I nie zignorował zupełnie tylko dlatego, że byłem jego ostatnią nadzieją.

– Co takiego?!

– Zaraz tu będzie! I rozwali wszystko, co się rusza!

Nie próbowałem dociskać pedału, ale przynajmniej nie zwoleń.

– Widział pan śmigłowiec? Bojowy? Dokąd leciał?

– Później!

Mogło nie być żadnego „później”. Zdążyłem zapomnieć, dlaczego tu jesteśmy, ale to jedno słowo wystarczyło, by żołądek zwinął mi się w ósemkę. Śmigłowiec. Nie przeciwnik, jak nieźle uzbrojeni, lecz przecież ludzcy i śmiertelni koczownicy Sabaha – tak naprawdę występował w roli kata. Nie mogliśmy z nim walczyć.

Później?

Powtarzałem sobie, że to nie tamten. Albo że leciał nisko, nie zauważył nas i już dawno go tu nie ma.

– Nie słysz! – Olszan zdał sobie w końcu sprawę, że tylko marnuje amunicję. O tym, że strzelając na takich wybojach może wpakować kulę w nasz silnik albo nawet we mnie, raczej nie pomyślał.

– Mój automat! – Ominąłem jakiś głaz, omal nie rozwiązując problemu niebezpiecznego pasażera przy pomocy siły odśrodkowej. – W nocy załadowałem smugowymi!

Jakimś cudem ani nie wypadł, ani nawet nie zgubił pistoletu. Samo strzelanie poszło mu gorzej. Chyba. Nie wyrobiłem sobie zdania, bo być może uznał, że najlepszym sposobem zastopowania ciężarówki jest zabicie kierowcy – jeśli tak, radził sobie znakomicie. Oczywiście biorąc poprawkę na to, jak nami rzucało i jak niewiele było widać zza kurzawy.

Liczyłem odlatujące w dal świetlne plamki i kłąłem w duchu Filipiaka. Mogliśmy jechać tędy nocą. Teraz blask afrykańskiego słońca najwidoczniej bił na głowę słabiutkich konkurentów. Zresztą tylko co trzeci nabój był smugowy. Miał raptem dziesięć szans.

Potem przypomniałem sobie o czymś jeszcze: że masa świetlna spala się dość szybko. W nocy nie strzela się daleko, zwłaszcza z karabinka.

– W ziemię! – Olsniło mnie dość późno, przy szóstej czy siódmej odlatującej w dal iskiecie.
– Strzelaj obok wozu! Zobaczą kurz!

Pomysł był dobry, ale ryzykowny. Star, tak jak my, gnał po śladach poprzedników i choć był bardziej spóźniony, też przebijał się przez obłoki poderwanego gaśnieniami pyłu. Musielibyśmy

użyć działa, by zwrócić uwagę kierowcy na jakiś ruch daleko z boku. Pasażerowie, skuleni za tylną ścianą kabiny, w ogóle się nie liczyli: własny kurz przesłaniał im połowę świata, i to tę ważniejszą.

Odbiłem w lewo i Olszan zaczął strzelać przed szoferkę. Wolałem nie patrzeć na efekty. Chyba przeczuwałem, jaki będzie finał.

Jednym z ostatnich pocisków dopiął swego: ciężarówką zakolebało, lewe koła oderwały się od podłoża, wóz skręcił, skasował jakieś karłowate drzewko, przeczesał podwoziem zagon suchorostów, wierzgnął zadem i znieruchomiał pośrodku rozlewającego się leniwie jeziora kurzu.

– Cholernie dobry strzał! – wrzasnąłem. – Janek Kos się chowa!

Zwolniłem. Głupio byłoby się zabić właśnie teraz.

I faktycznie – chyba uratowałem komuś życie.

– Pojechało cię?! – wrzasnął Morawski. – Do nas strzelasz, debilu?! Ochujales?!!

Zdążył zeskoczyć ze skrzyni i zobaczyć to, co poraziło stojącego z dłonią na klamce Wołynowa – trudno się dziwić, że szlag go trafił. W porównaniu z lewym przednim kołem i tak był trafiony lekko.

Koło w zasadzie przestało istnieć. Nie tylko jako część pojazdu – także geometrycznie. Kula przeszła przez oponę tuż przed najechaniem na jakąś przeszkodę, dzięki czemu dość niewinnie przebicie przeistoczyło się w rodzaj małej eksplozji, kompletnie deformującej felgę.

– Wynośmy się stąd! – Olszan zignorował go, skacząc z miejsca w stronę platformy i oszołomionej Agnieszki. – Złaź! Szybko!

– Śmigłowiec – uprzedziłem kolejny wybuch Morawskiego. – Wrócił.

– I woleliście sami nas załatwić?! – ulżył sobie jeszcze z rozpędu. Po czym, ciut spokojniej, dokończył: – Ten?

– Chyba tak.

Obaj z Wołynowem zastygli na chwilę z identycznymi minami – widać wszystkie armie wpisują swoim majorom odpowiedni paragraf w umowy o pracę. Co prawda oprócz Olszana nikt się raczej nie poruszał, ale widać było, że to inny rodzaj odrętwienia. My czekaliśmy na decyzję, oni ją podejmowali, świadomi rozpaczliwego deficytu czasu.

– No już, zdejmę cię! – Olszan prowadził własną grę ze śmiercią. Dopadł ciężarówkę, wyciągnął ostatecznie rękę z temblaka. – Skacz!

Było coś rozpaczliwego w jego głosie, w pogardzie bólu, na który się godził. Nie zdziwił mnie widok Agnieszki przetaczającej się przez burtę, choć to, co robiła, było bliższe spadaniu niż zeskokowi.

Oczywiście zwalili się oboje pod koła i oczywiście słono zapłacili za pośpiech, choć tylko jedno, nie wiem, które, zaskowytało.

– Bodnar: z kaemem w tamte krzaki. – Morawski najwyraźniej zdążył się wykrzyczeć. – Major ci pomoże z amunicją. Szyszkowski: wyrzutnia i biegiem na górę. Jak nie zdążysz, to padasz i cię nie ma, jasne? Strzelasz na pewniaka, niech podleci. Ja biorę zapasowe rakiety... co jest z tym wozem? – Teraz, kiedy nie jechaliśmy, samuraj kopcił jak nieudany prototyp lampy naftowej.

– Zdycha – powiedziałem. – Już po nim.

– Chowajcie się – rzucił w biegu gramolącym się z ziemi połamańcom. – Byle daleko od nas.

Zanim pozbierałem swój skromny dobytek w postaci hełmu, karabinu i ładownicy, był już na platformie. Szyszkowski, napędzany raczej strachem niż poczuciem obowiązku, gnał ku rozpaczliwie odległym, zachodnim stokom Bukłaka, balansując ścisną oburącz rurą wyrzutni. Olszan wepchnął bladą Agnieszkę na prawy fotel suzuki.

– Nie samochodem – zaprotestowałem. – Od razu was wypatrzy!

– Jedzie pan?! – zatrzasnął za nią drzwi.

– Tylko na piechotę mamy jakieś...

– To z drogi!

Obiegł wóz, wskoczył za kierownicę. Z ciężarówki wyleciał zasobnik z gromem: nigdy nie myślałem, że można tak szastać taką forsą. Drugi Morawski już na górze przewiesił przez plecy. Zeskakiwał, trzymając się burty, ale i tak wyrznął kolanami o ziemię.

Odskoczyłem, spłoszony rykiem silnika. Skulona Agnieszka próbowała wyciągnąć do mnie rękę. Za późno: samuraj, jeszcze bardziej od niej połamany i pokrzywiony, mimo wszystko miał więcej pary w kołach i wystartował jak żuźłowy motocykl. Przez chwilę myślałem wprawdzie, że przyplącił to ostateczną utratą kontroli nad kierunkiem jazdy, ale jednak nie: po zatoczeniu szerokiego półkola Olszan napał zdrową ręką na kierownicę i wóz pomknął prościutko na południe.

– Nie tam! – wrzasnąłem bez przekonania. Nie mogli słyszeć.

Przerzuciłem pas ładownicy przez ramię i pobiegłem za Morawskim.

– Daj... jedną. – Miał przewagę na starcie, a ja znikomy zapas sił, więc zdążyłem się zasapać, nim się zrównaliśmy. Przełożyłem karabin na plecy. Niełatwa sztuczka w biegu, ale nieporównywalna ze ściąganiem z tyłu pleców jednej z dwu dziesięciokilogramowych rur. Miałem cichutką nadzieję, że Morawski nie skorzysta z oferty albo przynajmniej stanie.

– Goń za... nim... to może... poczekać.

Powinienem użyć ust do czegoś mądrzejszego, na przykład całowania go z wdzięczności. Zamiast tego wycharczałem:

– Dawaj... rakiety.

Dał. Sto metrów nam to zajęło, ale w końcu miałem ją w rękach. Nie rozumiałem, jakim cudem biegł tak szybko z tą sztabą złomu grzmocącą go po plecach. Wiedziałem jedno: gdyby

zapalnik zwariował i nagle wywołał eksplozję, byłbym szczerze zadowolony. Nie dane mi jednak było wykręcić się od upiornego wysiłku za pomocą rakiety Grom. Nie zareagowała na trzykrotne zderzenie z ziemią, choć padając, z premedytacją chroniłem siebie, nie tę sukę. Coś wybuchło, ale nie ona. Tyle do mnie dotarło: że coś, gdzieś. Nie miałem siły o tym myśleć. Moje ciało rozpadało się na bolesne kawałki i po raz pierwszy od wielu godzin nie cierpiałem z powodu Gabrieli.

Biegłem.

*

– Nie wiem. – Głos Szyszkowskiego chrzęścił jak osypujący się spod naszych butów żwir. – Już go nie było, jak tu wlałem.

Nie dziwiło mnie to. Siedemset metrów od ciężarówki czekało na nas odrażające, przeżarte erozją urwisko, z którego zjechałem na wszystkich możliwych częściach ciała z tuzin razy. Nim dotarliśmy na górę, śmigłowiec zdążył pewnie zużyć całe paliwo, wylądować i zardzewieć. My też przypominaliśmy wraki.

Morawski nie był w stanie skorzystać z lornetki: nawet kiedy opierał łokcie o ziemię, latała mu w dłoniach.

Było cicho. Żółtawych pióropuszy traw, porastających szczeliny bezładnie porozrzucanych skałek, nie poruszał najłżejszy podmuch. Z nieba lał się żar, a w górze zataczała kręgi para rozleniwionych sępów.

– Mało co widać – mruknął Morawski. – Ciągle dymi jak cholera.

Od miejsca, gdzie sawanna wciskała się wąskim paskiem między skalne obramowanie Bukłaka, dzielił nas dobry kilometr. Filipiak skończył swą szarżę sto metrów bliżej i właśnie z tego miejsca rozlewała się ogromna chmura czarnego dymu. Któryś z pojazdów palił się od dłuższego czasu. Nie zdziwiłbym się, gdyby paliły się wszystkie.

– Były dwa wybuchy – powiedziałem cicho. Nie musiałem podnosić głosu: wszyscy trzej leżeliśmy jeden obok drugiego, dokładnie tam, gdzie kończyła się stromizna. Nikt nie miał sił odpelznąć.

– Może raz chybił. – Wziął się w garść, podniósł lornetkę.

– Ale raz trafił.

– Tak. – Ręce drżały mu już trochę mniej. – Nie stawialiby zasłony. To guzik pomoże przeciw termowizji, a ich samych oślepi. Ktoś dostał.

– Amunicja nie rąbnęła – zauważył przytomnie Szyszkowski.

– Czyli raczej nie czołg – dopowiedziałem nie całkiem pewnie.

– Więc pewnie bewup – mruknął Morawski, nie odrywając szkielec od oczu. – Drugi łakomy

kąsek. Kupa ludzi nim jechała, nie mieścili się w środku. No i ciągnął działko.

Obrócił się na brzuch, zaczął systematycznie penetrować widnokraj. Nie zajęło mu to wiele czasu, ale też teren, choć poszatowany skałkami, nie obfitował w miejsca mogące skryć śmigłowiec.

– Co teraz będzie, panie majorze? – zapytał Szyszkowski.

– Czekamy – wyręczyłem Morawskiego.

– Nikt nic nie widział... Jak z tym walczyć? Wszystkich nas powybijają, a my nawet...

– Uszami – przerwał mu spokojnie Morawski. – Jak będzie leciał, żeby nas wybijać, usłyszysz go odpowiednio wcześniej. A wtedy skurwiela zestrzelimy. Proste? Proste.

Nie wiem, czy w to wierzył, ale zabrzmiało dobrze.

Usiadł i zwrócił lornetkę na południe.

– Co ten skurczybyk wykombinował? Chyba nie zgłupiał aż tak, by próbować wyjechać z powrotem tą samą drogą?

– On jedzie? – zapytałem niepewnie. Domyślałem się, która z ciemnych plamek jest samurajem, lecz nic ponadto.

– Już nie, ale po coś tam jechał. – Westchnął. – Nie widzę ich.

– Bo mają olej w głowie, a nie w nogach – zauważyłem cierpko.

– Przestrzeliliście nam koło – przypomniał.

– Bo radio diabli wzięli.

– Nie mów mi o radiach, bo szlag mnie trafi. – Obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, ku porzuconej ciężarówce. – Mam nadzieję, że chociaż Wołynow nie zapomniał...

– Co robią?

– Kopia. Delikatnie. Prawie nie widać kurzu.

– Dużo im to pomoże na rakiety – mruknął Szyszkowski.

– Nie strzela się z pepeka do dwóch ludzi.

– Chyba że Amerykanie – zauważyłem. – Ich stać.

– Tych tutaj chyba nie. – Morawski wrócił do oglądania horyzontu. – Nie strzelali do samochodów. Chociaż mogli. – Postukał w zasobnik, który omal nie przyprawił mnie o zawał. – To za mało, żeby ich powstrzymać. Jeśli mają rakiety o zasięgu ośmiu kilometrów...

– Wierzysz w ten rosyjski śmigłowiec?

Zwlekał z odpowiedzią. Sępy, uznawszy nas za mało perspektywiczny posiłek, poszybowały w okolice pnącego się skośnie wąwozu, który Wołynow przyrównał do szyjki bukłaka.

Bukłak. Z całych sił starałem się nie myśleć o szklankach, butelkach, puszkach, miskach, kałużach, rynsztokach...

– To nie Rosjanie – stwierdził dość obojętnie Morawski. – Rosja to ostatni kraj, który może jeszcze powiedzieć Stanom: „Sprzedajemy nowoczesną broń, komu chcemy, a wasze zakazy

mamy wiecie, gdzie”.

– To nie takie proste od czasu, kiedy Bill zaczął finansować Borysa.

– Amerykańska opinia publiczna nie pospada z krzesel, jeśli się dowie, że jeden Murzyn zabił drugiego ruską rakieta. Co innego, gdyby rosyjski rząd choć lekko zamoczył palec w ataku na siły ONZ. A my w dodatku jesteśmy z NATO. To byłby niezły wstęp do trzeciej światowej. Ale nawet nie w tym rzecz.

– A w czym? – zapytałem, wachlując się czapką. Było cicho, cisza pachniała burzą. Wolałem rozmawiać, niż bezsilnie czekać.

– Handel bronią to mimo wszystko sprawa drugorzędna. Liczą się interesy strategiczne. A ani Rosji, ani Stanom nie podoba się tutejsza partyzantka i faceci pokroju Sabaha. Pamiętam, że jak formowano kontyngent, jedni i drudzy omal nie przysłali wojsk. Tyle że Ruskim zabrakło forsy, a Biały Dom się rozmyślił, bo to niebezpieczne, a ropy zero. Ale są po naszej stronie. I całe szczęście. Gdyby ktoś bronił dobrego imienia któregoś z supermocarstw, już byśmy nie żyli. Stać je na więcej niż jeden śmigłowiec, w dodatku oszczędzający na raketach. Trochę mnie pocieszył.

– Pięć minut – zerknął na zegarek. – Albo gdzieś przysiadł, albo wrócił do bazy... albo zaraz się pokaze.

Nie chciało mi się pytać, od czego te pięć minut.

– Pewnie podleci od słońca – ciągnął niedbale. – Załóż okulary, Szyszkowski. I nie strzelaj bez rozkazu.

– Tak jest.

– Widzisz tamtą górkę? Zasuwaj, zaraz dołączę.

W porównaniu ze skarpią pod nami górka była kretowiskiem, ale dodatkowy metr czy dwa to dużo w płaskim terenie. Przede wszystkim widać było stamtąd zachodnie podejścia do Bukłaka, co mogło mieć kluczowe znaczenie, gdyby pilot śmigłowca uczył się z innych niż Morawski książek i nie skorzystał z atutu słońca za plecami.

Wyczułem jednak, że nie tylko o to chodziło.

– No to jesteśmy sami. O co chodzi?

– Patrzcie go, psychologa... Tu może być gorąco. W niczym nam nie pomożesz, a tam – wskazał czarną chmurę – może tak. Ale nie w tym rzecz. Potrzebuję łącznika. Zaniesiesz Filipiakowi meldunek.

– Nie lepiej...? – skinąłem w stronę ciężarówki.

– Czort wie, jakie są straty. Mogli zostać bez nadajników, bez dowódców... A od Wołynowa mógłbyś już nie wrócić. Jeśli ktoś ich tam wypatrzy, to koniec.

– To po co ich tam zostawiłeś?

– A skąd mogłem wiedzieć, że mamy tyle czasu? Zresztą to następny powód. Powiesz im przez radio, żeby się stamtąd zwiźali.

Zastanawiałem się przez chwilę. On też nad czymś dumał.

– Nie wiem, czy powinienem... – zaciął się. – Właściwie to ci się do niczego nie przyda...
Sam nie mam pojęcia, co z tym zrobić...

– Możesz mówić po ludzku?

Zerknął przez ramię, sprawdzając, jak daleko zawędrował Szyszkowski.

– Jak przeżyję – popatrzył mi twardo w oczy – zapomnisz o tej rozmowie. Może być?

Nie spodobało mi się to. Nie, żebym miał takie problemy z zapominaniem. Czułem po prostu, że trzyma w zanadru coś paskudnego.

– A ta skleroza... będzie legalna? Bo jeśli chcesz powiedzieć, że to ty wbijałeś nam cały czas nóż w plecy...

– Wiesz co? Jesteś głupi palant.

– No dobra. Będę milczał jak grób.

Na razie to on milczał. Wciąż się wahał. Albo zbierał ślinę. Odwodnienie robiło swoje, nasze głosy brzmiały jak ze starych płyt.

– W ciężarówce, pod tymi tobołami, schowałem taką jedną część. Kawalek tego zestrzelonego śmigłowca.

Ciągle nie był pewny, czy chce mówić. A ja – czy chcę tego słuchać. Pewnie dlatego żadnego z nas nie przyprawił o zawał nagły okrzyk.

– Leci!

Zalegliśmy na brzuchach. Słaby terkot. Gdzieś między północnym a południowym wschodem. To oznaczało ćwierć horyzontu i potrwało trochę, nim Morawski zatrzymał na czymś lornetkę.

– Ostrożny skurczybyk...

Fakt. Chmura kurzu pojawiła się dokładnie pod słońcem.

– Nie celuj! – Morawski szybko opuścił lornetkę. – Może zobaczyć odbłask!

Chwilowo nie zanosilo się na to: do Bukłaka zbliżało się coś mocno przypominającego dziurawy odkurzacz. Uniesione podmuchem drobiny gleby zdawały się w dodatku nie pamiętać o obowiązku opadania na ziemię i widoczność spadała coraz bardziej.

– No, wyłaż... – Jak przez watę słyszałem pomruki Morawskiego. Znalazł małą kałużę cienia i ułożył się w niej z lornetką. – Wystaw tę wredną mordę... Pokaż się, cwaniaczk.

Może mówił za głośno. Śmigłowiec, który leciał tuż nad ziemią, nie dotarł do krawędzi urwiska, gdzie z braku ziemi pod brzuchem powinien stać się lepiej widoczny. Nie musiał. Kotlina była głęboka, ale i rozległa; zagłębienie do środka nie stanowiło problemu.

– Mam sygnał! – usłyszałem podniecony głos Szyszkowskiego.

– Nie strzelaj! Nogi z dupy wyrwę, jak bez rozkazu...!

Czekaliśmy więc. Długo. Pół minuty to dużo, kiedy naprzeciwko wisi najbardziej zabójcza

ważka w dziejach planety. Nie zdziwił mnie dobiegający z lewej terkot karabinu maszynowego. Celowniczy i tak długo trzymał nerwy na wodzy.

– Uważaj, Szyszkowski. Może podskoczy wyżej.

Śmigłowiec wykonywał jakiś manewr, raczej energicznie. W takich sytuacjach piloci zwykle starają się zwiększyć wysokość, by nie ryzykować kolizji z ziemią. Gdyby maszyna podniosła się parę metrów wyżej, grom miałby szansę ją dopaść. Ze trzy sekundy lotu, niewiele ognia i dymu, oślepiający pilota kurz... Kto wie?

– Nic z tego. – Pozbawił mnie złudzeń Morawski. – Ułan to to nie jest. Zdaje się, że pokazał nam ogon.

Miał rację. Mobilny gejzer pyłowy ruszył w głąb sawanny.

– Dlaczego... Zobaczył nas? – Ulga walczyła we mnie z zawodem.

– Nas? Jeszcze by tego brakowało... Wukaem go spłoszył.

Zrobiło mi się trochę lżej na duszy. Przynajmniej BRDM przetrwał. Nie stał się wypaloną blaszaną skorupą. Jak star trzeciej drużyny. Jak cysterna. Jak...

Honker?

Już nie było mi lżej.

*

Wąwóz wspinał się pod łagodnym kątem dwudziestu-trzydziestu stopni, za to po bokach przyroda zaszalała, wypychając spod ziemi niemal pionowe skalne ściany. Erozja dała im się we znaki, ale wciąż najbliżej im było do pionu i chcąc się dostać z góry na dno kotliny, należało pomyśleć raczej o spadochronie niż butach z dobrą przyczepnością.

Na szczęście obchodząc Bukłak możliwie blisko krawędzi, w porę się zorientowałem i zszedłem na dół dobre pół kilometra przed zasnutym dymami pobojuwiskiem. Szata roślinna – ni to duże krzaki, ni skarłowaciałe drzewa – była tu dość bogata, więc do końca nie potrafiłem wypatrzeć tego, co tak intensywnie kopciło. Może i dobrze. Dwie eksplozje mogły oznaczać dwa kominy, do niedawna będące czołgiem i bojowym wozem piechoty. BRDM przetrwał – ale to akurat żadna pociecha. Z jednym samochodem pancernym przestawaliśmy być pododdziałem zmechanizowanym, a tylko taki miał tu szansę.

Bąłem się tego, co zastanę. Zmęczenie dołożyło swoje. Szedłem coraz wolniej. Inna sprawa, że gęstniejący dym też nie ułatwiał marszu. Na szczęście nie byłem kompletnym pesymistą i nie zdjąłem karabinu z pleców, co mogłoby mnie upodobnić do skradającego się partyzanta. Zrozumiałem, że mogło to mieć znaczenie, kiedy zza kolczastych gałęzi wyłonił się nagle ludzki kontur.

– To pan, doktorze?

– Kozłowski? – Bardziej niż po głosie, zidentyfikowałem go po sposobie, w jaki mierzył do mnie z głauberyta. Pistolet maszynowy, nawet taki, zwykle trzyma się oburącz.

– Ostrożnie, tu są miny. Niech pan idzie za mną.

Miałem wrażenie, że zszedł mnie pałąk przez łeb.

– Miny? Tutaj?

– Pójdziemy koleiną. Jak pod czołgiem nie wybuchło...

Poszliśmy. Wolno, bo skał było tu więcej niż gruntu i nawet czterdziestotonowy T-72 zostawiał śladów dobrze widocznych w dymie. Na szczęście kilkadziesiąt metrów dalej przejaśniło się trochę. Mimo płataniny głązów i zarośli mogłem jednym spojrzeniem ogarnąć coś, co było i prawdopodobnie miało się ponownie stać polem bitwy. Kozłowski zaczął tłumaczyć, że nie sprawdzono jeszcze otoczenia wozów i że trzeba uważać. Nie słuchałem. Z niedowierzaniem patrzyłem na rudobrazowy kształt, częściowo przesłonięty okopconą sylwetką bewupa.

– Wszystko w porządku? – Do użytego przez Filipiaka tonu lepiej pasowałyby słowa: „Kto jeszcze umarł w rodzinie?”

– Nnn... tak... mniej więcej. Co to jest?

– A jak pan myśli? – skrzywił się. – UFO? Budka z piwem?

– No... widzę, że czołg. Ale skąd tutaj...?

– Nie mam zielonego pojęcia. Co z wyrzutnią?

Miał słusznieszczą od mojej listę priorytetów. Wziąłem się w garść i przedstawiłem sytuację. Skinął głową i poprowadził mnie ku czarnym jak smoła drzwiom BWP. Wóz wyglądał z tej strony normalnie, ale ta warstwa kopca nie wzięła się znikąd. Odruchowo wzięłem głęboki oddech.

Otworzył drzwi, a ja powoli, by nie było słychać, wypuściłem powietrze. Żadnych śladów spaliny, żadnych zwłok. Wóz był pusty. Pomijając żołnierzy, którzy kręcili się, klęli i łomotali żelazem po drugiej stronie wieży, nad otwartym przedziałem silnika.

– Niech to zostanie między nami. – Filipiak przysiadł na progu, zniżył głos. Skinąłem głową i usiadłem obok, kładąc hełm na udzie. – Jak daleko zajdziemy pieszo?

Oderwałem wzrok od przerdzewiałego, porośniętego kępami trawy wraku czołgu T-55, stojącego parę kroków od nas.

– Jest aż tak źle?

– Wjechaliśmy na minę. Gąsienicę da się chyba zesztukować, bez koła też jakoś pojedzie – klepnął blachę – ale nie wiadomo, co z napędem. Rozwaliło bok, silnik się palił, przewody porwane, wszystko pogięte, wylało się sporo paliwa... Nie wiem. Chłopaki próbują.

Był wyczerpany, a umysłu dotyczyło to nie mniej niż mięśni. Mimo wszystko nie przegapiłby chyba czegoś takiego...

– Jacyś ranni? – Odważyłem się w końcu postawić pytanie, dręczące mnie od momentu, gdy

ujrzałem dym na północy. O zabitych nie pytałem. Zabici przestali być problemem. Cholernie daleko zaszliśmy.

– Żadnych. Mieliśmy szczęście w nieszczęściu. Coś się schrzało w systemie przeciwpożarowym, nie zaskoczył od razu. Dymu jak stąd do Stargardu, beerdeem stanął i akurat wtedy przyleciała rakietka. Wpakowali ją w sam środek tego złomu – wskazał przerdzewiały wrak czołgu. – Osłonił nas. Zresztą może w niego mierzyli. – Nie musiał mi tłumaczyć, że upaprany smarem i piaskiem, niegdyś biały, a teraz po prostu brudny T-72 wygląda podobnie. – Potem nikt nie strzelał, więc rzuciłem parę świec, spuściliśmy trochę ropy, podpaliliśmy... Z daleka można uznać, że zdrowo nam się dostało. Dlatego nie kazałem strzelać Drabowiczowi. Może facet nas zlekceważy i podleci bliżej, wystawi się...

– Nie wiem – mruknąłem. – Ostrożny jest. Strzelał do nas... zaraz... cztery razy, a nikt go w zasadzie nie widział.

– Też dobrze – powiedział bez wielkiego przekonania. – Z daleka nie wystrzela piechurów do nogi. Paru może tak, ale nie wszystkich.

Jeszcze parę dni temu raczej odgryzłby sobie język, niż powiedział coś takiego. Jego ambicje topniały szybciej niż ludzie i sprzęt.

– Dokąd mielibyśmy dojść? – zapytałem ponuro.

– Do Kasali. To najbliższe miejsce z wodą.

– A ile mamy do Kasali? – Nie wiedziałem, że nazwa geograficzna potrafi tak kaleczyć. Nagle wszystko wróciło: jej śmiech, suknia w grochy, zapach jabłek...

– Czterdzieści.

– Połowa ludzi by padła.

Miał dość przyzwoitości, by nie odpowiedzieć od razu.

– Ale połowa dojdzie.

Pomyślałem, że ma prawo widzieć to w ten sposób. Był dowódcą.

– To już postanowione? – zapytałem z rezygnacją.

– Nie. – Pozwolił mi nacieszyć się myślą, że nie będę musiał już teraz wlec się na obolałych nogach do miejsca, które obiecałem sobie omijać szerokim łukiem. – Poczekamy, co powiedzą mechanicy. I saperzy.

– A, tak – przypomniałem sobie. – Miny. Co z nimi?

Za naszymi plecami żołnierze pobrzękiwali niemrawo narzędziami, któryś kłął pod nosem. Nie zanosilo się na szybki odjazd.

– Dobrze się pan czuje? – zmarszczył brwi.

– A wyglądam? – parsknąłem gorzko. – Ktoś z nas wygląda?

– Chodzi mi... Sprawia pan wrażenie, jakby się tym wszystkim nie przejmował.

– Nie bardzo rozumiem. Robię coś nie tak?

Milczał dość długo. I nic dziwnego.

– Jeśli teraz pan skłamię, a ja się o tym dowiem... teraz czy kiedyś, obojętne... Będzie pan żywym trupem.

Nie wstrząsnął mną, choć powinien.

– Co chce pan wiedzieć? – wzruszyłem ramionami.

– Znał ją pan wcześniej? Coś was łączyło?

Dopiero teraz udało mu się wywołać u mnie lekki szczękościsk. Rozdrapywanie ran to świetny sposób na wrywanie kogoś z apatii.

– Po co to panu? – warknąłem.

– Ja nie żartuję – rzucił mi wyzywające spojrzenie. – Wróciliśmy do punktu wyjścia. Śmigłowiec. Od niego się zaczęło. Ktoś zaczął mordować mi ludzi. Jeśli to ona, mamy ją z głowy. Ale jeśli nie...

– Nie. Nie ona.

Szczebilewicz, pies ogrodnika. Chciałbym mieć ułamek tej pewności na własny użytek.

– Muszę wiedzieć, co między wami było – powiedział spokojnie. – Pan nie jest obiektywny. I ostrzegam: jeżeli coś pan ukrywa...

– Rozstrzela mnie pan? – Szarpnąłem suwak kamizelki, odsłoniłem pierś melodramatycznym gestem, zrywając się na równe nogi. – Proszę! To nie pana zaszranego interes, co między nami było!

– Dowodzę tutaj. – Też wstał, choć jakby z ociąganiem.

– Ale nie mną!

– Dopóki jedzie pan z nami, dotyczy to pana w takim samym...

– Więc się wypisuję z tej wycieczki! – Zerwałem hełm z głowy, ciskając nim w najbliższe zarośla. – Lekką ręką skreśla pan sanitarki, to i lekarza...

Fala sprężonego powietrza wtłoczyła mi w usta końcówkę zdania, a mną samym rzuciła o ziemię. Huknęło przeraźliwie, Filipiak grzmotnął o drzwi tak, że omal ich nie wyłamał, dwóch mechaników zmiotło z wozu, a trzeciego wrzuciło do otwartej studni przedziału silnikowego.

Zbieraliśmy się ze ćwierć minuty. O dziwo, obeszło się bez większych strat. Nawet Wyka, kierowca bewupa, wykpił się lekko rozciętym czołem, co przy nurkowaniu głową w dół na pełnej kątów bryle metalu, jaką jest silnik, należało uznać za mały cud.

– Zmarnował pan dobry hełm – wymamrotał Filipiak. Stał trzymając się drzwiczek i sprawdzał, czy nadal ma głowę na końcu szyi.

– To nie rakietka? – Nie było żadnej zapowiedzi, ale niektóre rakietki latają szybciej od dźwięku.

– Musiał pan trafić prościutko w zapalnik. – Krzywiąc się, zostawił głowę w spokoju i zaczął rozcierać łokieć. – Przeciwczołgowa. Muszą być cholernie skorodowane, skoro od takiego puknięcia...

– Skorodowane?

– A myśli pan, że co to jest? – wskazał wrak T-55. – Pamiątki po wojnie ogadeńskiej. Wiedziałem, że czołg, ale wygląda na to, że i pole.

Zaklął pod nosem i odszedł, uważnie patrząc pod nogi. Miny okazały się groźniejsze, niż zakładał, i Gabriela Asmare spadła automatycznie na dalsze miejsce jego listy zmartwień.

Zazdrościłem mu jak cholera.

*

Samuraj dowlókl się do nas w południe. Dokładniej: do miejsca, gdzie płaskie dno Bukłaka zaczynało się wznosić. Agnieszka nie próbowała jechać dalej, co miało swą wymowę, jeśli się widziało, w jakim stylu pokonała następne kilkadziesiąt metrów na własnych nogach. Mim odgrywający tragarza fortepianów – tak mi się skojarzyła. W porównaniu z nią brudny od krwi, kurzu i smaru Olszan, sunący naprzód wyraźnym zygzakiem, prezentował się świeżo i dziarsko.

Wylazłem ze swej nory pod zadem T-55. Pod czołgiem było chłodniej, ale leżałem przy karabinie maszynowym sam jak palec i za każdym razem, kiedy nie myślałem o wodzie, łapałem się na myśleniu o Gabrieli. Z dwojga złego wołałem słońce, ludzi i rozmowę.

– Jesteście. – Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Przyznaję bez bicia: nie spieszyliśmy się. – Olszan, krzywiąc się, pomógł Agnieszce usiąść po ocienionej stronie czołgu. – Przywilej cywila. Można się bezkarnie czaić po kątach.

– Niech go pan nie słucha. – Wielogórska posłała mu blady i ciepły zarazem uśmiech. – Wóz strasznie znosi, praktycznie nadaje się tylko do jazdy po rondzie. I musieliśmy robić przerwy, żeby studzić silnik.

– W porządku. – Popatrzyłem na brunatny od zakrzepłej krwi przód koszuli Olszana. – Nikt nie ma o nic pretensji.

– Myślałem, że to koniec. – Usiadł, osłonił powiekami oczy i skryty w nich ból. – Nie rozumiem, czemu nie przyleciał nas dobić.

– Widział go pan?

– Właściwie nie. Coś mi mignęło w chmurze pyłu.

– Czyli nadal nie wiemy, co to jest?

– Szturmowiec. Sylwetkę z grubsza było widać. A model... To bez znaczenia. Każdy jeden jest kurewsko skuteczny. Gdzie są wszyscy?

Zacząłem objaśniać, że załogi w wozach, przyklejone do celowników i rozruszników, a reszta zdolnych do noszenia broni na górze, ale nie dane mi było dokończyć. W przerywanej ospałym postukiwaniem narzędzi ciszy seria kilku karabinowych wystrzałów zabrzmiała bardzo dobitnie. Jeśli wszyscy nie podskoczyliśmy z wrażenia, to tylko dlatego, że byliśmy trójką

bezsilnych kup nieszczęścia.

– To przy wylocie Szyjki. – Bez zapalu schyliłem się po beryla. – Jakby co, pod czołgiem jest schron. I karabin maszynowy.

Nie miałem sił taszczyć tego paskudztwa, choć na polu bitwy wart był paru automatów. Przewiesiłem karabinek przez ramię i w tempie zdobywcy himalajskiego ośmiotysięcznika powlokłem się przez zarośla.

Nim dotarłem do wylotu ni to wąwozu, ni to skośnej przełęczy, ochrzczonej Szyjką, wymiana ognia dobiegła końca. Finał nie napawał optymizmem: to nie beryl strzelał ostatni. Ale nawet nie o to chodziło.

Filipiak, na którego niemal wpadłem za zakrętem, skomentował rzecz w najlepszy możliwy sposób:

– Te skurwysyny są dokładnie nad nami.

Kłęczał za jakąś skałką, celując z automatu w przeciwny koniec Szyjki, i choć raz po raz nadwerężał kark, rzucając szybkie spojrzenia nad lewe i prawe ramię, widać było, że zupełnie upadł na duchu i na serio szykuje się do zasypania wąwozu pociskami. Ewentualna obrona mocno przypominałaby tę spod Termopil: z winy pola minowego nasze wozy nie mogły podejść bliżej i musiałby walczyć samotnie. Co gorsze, nie miał też co liczyć na solidną osłonę skrzydeł: BRDM, kręcąc gorączkowo wieżyczką, udawał właśnie, że może mieć problemy z ostrzeliwaniem górzących nad nami skalnych ścian kotliny.

– Co się stało? – Zaległem dwa metry od niego, na boku, co dawało szansę w miarę szybkiego strzelania do góry.

– Kto przyjechał?

Z góry powinien widzieć samuraja. Czyli nie wracał, a dopiero szedł do saperów. Tak czy inaczej miał sporo szczęścia. Mógł leżeć tam teraz obok Ciołkosza i Staški. Maciaszek też miał szczęście, choć nie wyglądał na wybrańca losu, kiedy odbierano mu mackę i posyłano w charakterze gońca do Morawskiego. Pot zamiast krwi, jak w starej żołnierskiej maksymie...

– Olszan i Wielogórska.

– Nie zabrali po drodze tych ze stara? – Wciąż nie było łączności z Wołynowem, i między innymi dlatego Maciaszek, zamiast z minami, zmagał się teraz z urwiskami Bukłaka, żarem, wertepami i własną słabością.

– Nie. Nie zdążyłem zapytać – dodałem, zastanawiając się, ile takich drobnych błędów już popełniłem i ilu ludzi przypłaciło je życiem. Filipiak oglądał wąwóz przez szczerbinę karabinu i snuł pewnie podobne rozważania. Dwuosobowy patrol, żadnej osłony. Musiał pluć sobie w brodę. Niesłusznie: Grochulski przy radarze, trzyosobowe załogi w sprawnych wozach, jeden przy zenitówce, mechanicy... Praktycznie pozostali mu ranni, Jola i Lesik. Ale w brodę pluć i tak. Wiedziałem.

Był dobrym żołnierzem i dlatego udało mu się nie stracić kolejnego podwładnego.

– Nie strzelaj!

Gdyby nie jego rzucony szeptem okrzyk – nawiasem mówiąc: też dowód trzymania nerwów na wodzy – pewnie pociągnąłbym za spust. Ruda od kurzu postać wyskoczyła zza kamieni i krzaków zbyt nagle, za blisko. Dopiero kiedy zwała się między nas, poznałem Ciołkosza.

– Idą za tobą? – Filipiak zaczął od najgorszego scenariusza.

– Nie... chyba... nie widziałem. – Przez chwilę sierżant wykasływał ogadeński pył z gardła. Trzeba przyznać, że równie cicho i dyskretnie, jak przedtem schodził wąwozem. Urwiska wiszące nad naszymi głowami najwyraźniej nie tylko mnie nasuwały paskudne myśli. – Staśko dostał.

W duchu pogrzebałem ich obu, więc nie poczułem zawodu.

– Co się stało? – drążył porucznik.

– Doszliśmy prawie na samą górę. Na wprost wylotu jest taki pagórek, poza tym płasko. I z tej górki nam przygrzali. Dobrze, że się pospieszyli i byliśmy jeszcze na stoku, ale i tak... Kule latały tak nisko, że głowy nie uniesiesz. Nie było szansy ściągnąć Staśki. Zresztą już nie żył.

– Widziałeś kogoś?

– Kurz. Niżej usypali jakby szańczyk, schron... bo ja wiem... I tam stoi maszynka. Obłożona kamieniami, nie wiem, jak byśmy mogli ugryźć to gówno. A wyżej mieli obserwatora. To on trafił Staśkę.

– Jak to daleko? – Filipiak zmrużył oczy, szkicując w wyobraźni plan potencjalnej bitwy. – Da się podpełznąć?

– Z sześćdziesiąt metrów. Ustrasz się, a granatu nie dorzucisz.

Każda drużyna plutonu miała na stanie jeden karabinek z powieszonym granatnikiem kalibru 40 mm, ale rozumiałem, w czym problem. Jeśli cel jest blisko, granatnik przestaje być bronią stromotorową i chcąc go użyć, trzeba wystawić głowę zza osłony. Poza tym tradycyjne granaty ręczne były cięższe, a tym samym skuteczniejsze.

– A oskrzydlenie? Jakiś rowek, krzaki?

– Nie wiem, może... Ale ja bym tam nie laźł. Kaem stoi nisko, może i podpełzniesz ciut bliżej, ale to chujowe miejsce. Z przodu ta górka, kamień na kamieniu, drużynę schowasz i nie widać, a z tyłu jeszcze gorzej. Jak kogoś tam pošlą – zadarł głowę i popatrzył na obrzeża wąwozu – to mogła. Nawet tu nas mogą...

– Co z minami? – ciągnął odpytywanie Filipiak. Pokazał mi gestem, bym miał na oku zakrzaczony żleb, a sam bez przerwy wodził wzrokiem po górnych partiach urwisk.

– A co za różnica? – W miarę oglądania piętrzących się nad nami skał i warstw gliny, Ciołkosz stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Rozumiałem go. Celnie spuszczone kamień mógł zabić każdego z nas, a przy odrobinie szczęścia ktoś kryjący się pięć czy sześć piętér nad

nami byłby w stanie posłać na dół parę sporych lawin, ani na moment nie wchodząc nikomu przed lufę. Pozycja była naprawdę fatalna.

– Da się przejechać czy nie? – Głos porucznika nieco stwardniał.

– Prosto na ten bunkier? Żartujesz? A jak mają granatniki?

– Pytałem cię o coś.

Ciołkosz zawahał się.

– Znaleźliśmy osiem min. Jedną Staśko wykopał, resztę oznaczyliśmy chorągiewkami. To MPP-61. Były też metalowe. Przeplatanka. Ta MPP nie miała odciągu, ale założył się, że którąś ustawili na nieusuwalność. No i nieźle je przeżarło. Stukniesz i po tobie.

To akurat wiedzieliśmy.

– Po prostu będziemy detonować. To nie miasto ani most.

– A jak nie wszystkie znaleźliśmy? To była robota po łebkach i...

– Wrócisz po induktor – przerwał mu Filipiak. – Dam ci dwóch ludzi i granaty dymne, ale muszę go mieć. Tak między nami, to spieprzyłeś sprawę. Ten aparat liczy się teraz na wagę złota. Jego trzeba było ewakuować, a nie trupa.

Sierżant trzy razy otwierał i zamykał usta.

– To samobójstwo – rzucił w końcu przez zęby.

Filipiak nie zdążył skomentować. Jego zawieszony przy biodrze radio przemówiło głosem Grochulskiego.

– Ciężarówka do nas jedzie. Zaraz tu będą.

Dwie minuty później, pokonując najbardziej niedostępny gąszcz kamieni i zarośli – czyli odwrotność ulubionych przez minerów miejsc – po własnych śladach wróciliśmy do miejsca, gdzie najpierw T-55, a teraz nasz BWP wpakowały się w nieszczęście. Ciołkosz pozostał, by osłaniać wylot wąwozu.

– Jakim cudem? – Porucznik posłał pełne niewiary spojrzenie pokiereszowanemu pyskowi stara. Wóz miał już tylko cztery koła, a kabinę, przypominającą rozdeptaną puszkę, opleciono zamocowaną już na stałe liną holowniczą. Ale najwyraźniej dotarł tu o własnych siłach.

Wołynow demonstracyjnie wyłączył silnik przed zeskokiem na ziemię.

– Złote – błysnął zębami, demonstrując brudne od smaru dłonie.

– Rozrusznik działa? – zapytał z rozpędu Filipiak po czym skreślił głupie pytanie szybkim machnięciem ręki. – Dobra, nie ma czasu. Bodnar, zbierz parę granatów. Bielski, do mnie!

Przenieśliśmy się we czwórkę za najbliższe skałki. Górującą nad pojazdami część urwiska dało się już ostrzeliwać z beerdeema, a w razie czego celowniczy zenitówki mógł szybko obrócić lufy i dokonać prawdziwej masakry potencjalnych napastników, próbujących wychylać głowy zza wystrzępionej krawędzi, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Wejdzie pan tam? – zaczął z marszu Filipiak, wskazując urwisko odpinaną od pasa

lornetką.

– Na górę? – Wołynow posłał w górę spojrzenie co najmniej pełne respektu. – Tędy? Sam?

– Ze mną. I tędy, bo trzeba szybko.

Wszyscy trzej patrzyliśmy z niedowierzaniem, jak odpina kamizelkę i pozbywa się nadmiaru oporządzenia.

– To zbyt ryzykowne – powiedziałem cicho. – Jeśli już, odejdźcie ze dwieście metrów w prawo, tam jest chyba...

– Odepchniemy ich teraz albo wcale. – Zaczął upychać magazynki po kieszeniach. – Uchwycimy wylot wąwozu albo zakorkują nas tu na dobre.

Wołynow bez słowa skinął głową i przewiesił karabin przez plecy.

– My też mamy...? – Bielski wołał nie kończyć.

– Tylko ja i major – uspokoił go Filipiak. – Oślaniajcie z dołu. Doktorze...

– Tak?

– Oni mają kupę roboty przy wozie. Poszedłby pan z Ciołkoszem?

Pomyślałem o wąskim skalnym korycie pełnym min i kończącym się na wprost dobrze okopanego kaemu. Jeszcze kilka godzin temu wpakowałbym go w kaftan za pomysł posyłania kogokolwiek w takie miejsce. Nie mnie – kogokolwiek. Ale też byłem zmęczony i też osiągnąłem etap trzymania się życia nie tyle z potrzeby i lęku, co z nawyku.

– Jasne.

*

Coś się poruszyło. Nie nad krawędzią zachodniej ściany Szyjki, której się przyglądałem pół siedząc, pół leżąc, wsparty plecami o jakiś symbolicznej wielkości kamień. Dużo dalej.

Błysk światła na prawo od słońca. I chyba – ale tego już nie byłem pewien – kłębuszek jasnego pyłu. Hen, na linii południowego horyzontu. Przez chwilę serce biło mi szybciej, ale nie trwało to długo. Byłem zbyt znękanym pragnieniem, a to coś, czymkolwiek było, pojawiło się o ładnych kilkadziesiąt stopni na zachód od miejsca, gdzie zostawiliśmy Hanusika i tamtych trzech. No i chyba dalej.

Niczego nie słyszałem. Ani kroków Somalijczyków, sunących ukradkiem wzdłuż urwiska, ani wybuchu rakiety na południu. Jedno i drugie niczego nie dowodziło. Unieruchomionego bewupa dzieliły od nas ze cztery kilometry, a ci na górze, jeśli zaryzykowali wypad, na pewno byli ostrożni.

Leżeliśmy we czterech o rzut kamieniem od niewidocznej, trudnej do wskazania linii, za którą kończył się łagodny zleb Szyjki i zaczynała otwarta przestrzeń pofalowanej wyżyny. Ten czwarty nie miał praktycznie głowy, lewego przedramienia i fragmentu łopatki: kule karabinu

maszynowego przerobiły je na rozległą plamę krwawych strzępów, otaczających zwłoki w promieniu paru kroków. Wyglądało to paskudnie, ale pozwalało z grubsza określić płaszczyznę, powyżej której kończyło się życie.

Jak na razie ustaliłem jedno: że faktycznie nie przechodzi ona przez wierzchołek kamiennego pagórka. Zanim zalegliśmy, zwracając lufy w tył, zaryzykowałem krótki rzut oka na północ. Znalazłem czubek wzniesienia, nie znalazłem śladów usytuowanego niżej szańca i od razu zanurkowałem ku ziemi. Nikt nie strzelił. Ulokowany wyżej obserwator, jeśli nadal tam był, zamaskował się dobrze i albo mnie przegapił, albo wołał nie zdradzać swej obecności.

Pomyślałem, że mają ten sam problem co my: zbyt szczupłe siły. Blokowali wylot wąwozu i prawdopodobnie nie było stać ich na cokolwiek więcej niż proste blokowanie. Minęło dużo czasu i nic się nie działo, to po pierwsze. A po drugie, ważniejsze: przy poszatkowanych zwłokach Staśki wciąż leżał i karabin, i wykrywacz min, i cała reszta ekwipunku. Nie było za to śladów po wybuchających granatach, co dowodziło, że Somalijscy nie czuli się na siłach nie tylko podejść i zgarnąć zdobycz, ale choćby zapolować na kryjących się nieco niżej kolegów zabitego. Oznaczało to nieliczną grupę ze skromnym zapasem amunicji.

W grę wchodził chyba łązik klasy naszego honkera, paru ludzi i karabin maszynowy, Sabah przysłał ich tu pewnie dla spokoju sumienia, bez wiary w sens szukania zbiegów w tak nieprawdopodobnym miejscu. Jeśli wiedział o starym polu minowym, to miał po trzykroć rację, ale nawet bez tej wiedzy postąpił mądrze, skreślając Bukłak z listy potencjalnych tras. Ci na górze pewnie do tej pory nie ochłonęli ze zdumienia, wywołanego naszym pojawieniem się. Może dlatego nie strzelali. A może po prostu już ich nie było. Na trzeciorzędne odcinki posyła się trzeciorzędne oddziały, wyposażone w zdezelowane samochody, raketnice jako substytut radiostacji i butelki z benzyną w zastępstwie granatników. Jeśli trafiliśmy na tego typu grupę-zapchajdziurę, należało oczekiwać, że po pierwszej nieoczekiwanej wymianie strzałów obrońcy Szyjki wyniosą się dyskretnie.

Nie ja jeden miałem wątpliwości, czy aby nie leżymy z nosami w ziemi przed stertą kamieni i garścią rozsypanych łusek. Bodnar zdążył dwa razy przesłać mi za pomocą gestów i mimiki nieme pytanie, dotyczące czegoś, co kryło się za garbem terenu i zwłokami sapersa. Przymierzał się do trzeciego, kiedy to usłyszeliśmy.

Łoskot. Stłumiony odległością, ale wyraźny, dzięki czemu szybko wyzbyłem się wątpliwości. Coś oderwało się od stoku i albo po drodze zderzyło z jakimiś występami, albo pociągnęło za sobą lawinę.

Starałem się wmówić sobie, że to nie to, o czym myślę. Dotarliśmy na wyznaczoną rubież wyjątkowo szybko – z braku wykrywacza min łatwiej nam było zdawać się na los, biegnąc – ale przecież trochę to potrwało, no i czekaliśmy już całe wieki. Niemożliwe, żeby tamci dopiero teraz...

Potem znów nic się nie działo. Miałem wrażenie, że z godzinę. Tak naprawdę upłynęły minuty, nim na prawo od wąwozu stuknął pojedynczy wystrzał z beryla i drzemiący czas ruszył z kopyta.

Obróciłem się na brzuch. Zaraz potem puknął granatnik kalibru 40 mm, też z prawej. Kątem oka dostrzegłem siadającego Bodnara i bezruch w miejscu, gdzie powinien się ruszać Ciołkosz. PKM kaprała wypluł oszczędną serię i od razu zamilkł, jakby wystraszony hukiem eksplozji. Granat wybuchł w niecałą sekundę po odpaleniu; to oznaczało strzał z jakichś sześćdziesięciu metrów i niemal pewne trafienie. Ten pierwszy strzał też oddano z bliska: Filipiak i Wołynow dotarli dalej, niż mogliśmy zamarzyć, i być może już wygrali dla nas tę bitwę.

Ruszyliśmy z Bodnarem na kolanach, a potem brzuchach. Pagórek, o którym mówił sierżant, był nim tylko z perspektywy leżącego pod ostrzałem żołnierza – miał może z półtora metra wysokości – ale właśnie dlatego kilka dodatkowych kamieni, które dołożono z boku, urastało w moich oczach do rozmiaru solidnego szańca.

Kiedy go ujrzałem, wirował nad nim potężny obłok poderwanego eksplozją kurzu. Pewnie on nas ocalił.

Kaem Bodnara rozorał serią wierzchołek wzniesienia i dopiero wtedy dostrzegłem niemal niewidoczny przecinek wychylonej zza suchych traw lufy. Obaj z kapralem przypadliśmy twarzami do piachu, a zaraz potem przesłonięte kurzem kupka kamieni zaczęła pruć powietrze nad naszymi karkami całymi stadami wściekłego metalu. Niektóre kule trafiały za nisko, waląc z impetem w ziemię między nami a celowniczym, więc przedpole błyskawicznie utonęło w żółtym tumanie. Bodnar i ci z prawej próbowali się odgryzać, lecz dość szybko dali za wygraną.

Somalijczyk opróżnił do końca dwustunabojową taśmę i zrobiło się cicho, ale nikt chyba nie próbował wykorzystywać tej przerwy. Ciołkosz za pomocą dwóch granatów dymnych oślepił nas do reszty, a nim ktoś dojrzał do myśli, by skorzystać z chwilowej niewidzialności, pękający na przedpolu granat wybił nam to z głów.

– Ilu ich tam jest? – Bodnar leżał może z osiem metrów ode mnie, ale wyplakiwałem właśnie spod powiek całe garście kurzu i słyszałem go dużo lepiej, niż widziałem. – Walili tylko z bunkra czy jeszcze skądś?

Bunkier. Mocne słowo jak na usypisko z paru kamieni, ale, pomijając brak dachu, całkiem na miejscu. Karabin nie strzelał znad głazów: zdążyłem dostrzec coś w rodzaju okienka, a to oznaczało, że mamy do trafienia cel wyraźnie mniejszy od ludzkiego popiersia. Rachunek prawdopodobieństwa był przeciwko nam: gdyby pójść na prostą wymianę ciosów, celowniczy kaemu prędzej wpakowałby po parę kul każdemu z nas, niż my jedną jemu. Na szczęście nie przyszliliśmy tu z samymi karabinami.

– Chyba ten jeden. – Odłożyłem automat i niezdarnie, niemal nie unosząc się nad kamienisty

grunt, zacząłem zdejmować przewieszoną przez plecy rurę jednorazowego granatnika przeciwpancernego typu Komar. – Jak pył opadnie, spróbujemy. Zajmij go, a pan, sierżancie, rzuci granat.

Obaj, z jednakowym brakiem entuzjazmu, pokiwali żółtymi od kurzu twarzami. Rozłożyłem kolbę komara i zacząłem pełznąć w prawo, gdzie było trochę traw oraz kamieni i gdzie – co może ważniejsze – nikogo przedtem nie było. Podstawowa zasada: jeśli nie musisz, nie pokazuj się przeciwnikowi drugi raz w tym samym miejscu.

Byłem w drodze, kiedy z tyłu puknęło anemicznie i nad Bukłakiem rozbłysła gwiazdka rakiety sygnalizacyjnej.

Skląłem ją, leżąc płasko przy ziemi i czekając, aż zaniepokojony Somalijczyk skończy opróżniać kolejną taśmę.

– Czerwona! – Ciołkosz leżał najdalej, miał nad głową kawał bezpiecznej przestrzeni i mógł sobie pozwolić na myślenie o czymś więcej niż przemykające tuż nad czołem pociski. – Zmywamy się!

Nie zdziwiłem się zbytnio, widząc, jak ochoczo podporządkowuje się temu akurat rozkazowi.

Bodnar nie próbował się cofać. Chyba, podobnie jak mnie, nie spodobała mu się nagła zmiana planów. Dotarliśmy tu bez problemów, ale wszyscy uczą się na błędach i następnym razem nasi przeciwnicy nie musieli być dla nas tak łaskawi. Mimo wszystko pokazałbym chyba dłonią w dół. Powstrzymał mnie pojedynczy wystrzał z prawej. Filipiak i Wołynow. Nieprawdopodobne, ale zupełnie o nich zapomniałem. Nie strzelali, do nich nie strzelano – musiałem podświadomie uznać, że zabrnęli w jakiś ślepy zaułek pola bitwy. Może miałem rację, ale teraz przynajmniej jeden zaryzykował, zmienił pozycję i zaczął ostrzeliwać jakiś cel przed nami.

– Na trzy! – zawołałem. Bodnar skinął głową i zaczął podwijać nogi, by z leżenia szybko przejść do mocno pochylonej pozycji klęczącej, wychylić się ponad granicę martwego pola i sypnąć kulami w szaniec.

Doliczyłem do trzech. Pod koniec musiałem krzyknąć, bo somalijski kaem nie pozostał dłużny obszczekującemu schron beryłowi. Wrzasnąłem: „Trzy!” i niemal równocześnie z kapralem dźwignęliśmy się na kolana. Omal nie nadwerżyłem kręgosłupa – kamizelka, hełm, no i granatnik ważyły swoje, a ręce miałem zajęte – za to padało mi się cudownie łatwo i szybko. Nie dałem się zabić. Inna sprawa, że nie widziałem też, w co trafiła nadkalibrowa głowica komara.

Dopiero jej eksplozja zmusiła Bodnara do zdjęcia palca ze spustu i zanurkowania w dół. Potem leżeliśmy, słuchając, jak poderwane w niebo kamyki bębnią o kevlarowe kamizelki i pokrowce na hełmach.

Zrobiło się cicho. Na sekundy. Potem dziesiątki sekund.

– Chyba go pan załatwił.

Odczekaliśmy jeszcze trochę, by w końcu dźwignąć się i z bronią przy ramieniu ruszyć ostrożnie naprzód. W połowie drogi dostrzegłem Wołynowa. Szedł, jak my, w stronę dymiącego szańca, ale niemal od razu skręcił i ciężkim truchtem pobiegł w kierunku wąwozu. Zniknął w porastających Szyjkę krzakach, nim dojrzałem do stawiania pytań.

*

– Chwała Bogu – wychrypiał Olszan. – Właśnie po pana...

– Kto? – Byłem teraz i oficerem, i jeszcze jednym bagnetem do zatykania dziur w przeraźliwie przerzedzonym szyku, ale ani przez sekundę nie łudziłem się co do celu jego wyprawy. Nie biegł tu na przełaj przez kolczaste zarośla i potencjalne pole minowe po to, by znaleźć wojskowego. Szukał lekarza. I nawet wiedziałem – mimo upartego odpychania od siebie tej wiedzy – dla kogo.

– Filipiak zleciał. Baliśmy się go ruszać.

Kiedy dotarliśmy – też przedzierając się na przełaj – pod górujące nad pojazdami urwisko, zrozumiałem, dlaczego się bali.

Z lewego podudzia leżącego na wznak porucznika sterczał ostry koniec złamanej kości. Prawe ramię też było złamane, nad łokciem i chyba pod łokciem. Nad lewą dłonią brakowało sporego płata zdartej skóry. Twarz w krwawym błocie, poszarpany mundur, z pół tuzina skaleczeń, może i drobnych, ale tworzących w sumie ponury obraz. Kiepsko to wyglądało. Klęcząca nad nim Agnieszka miała święte prawo do łez w oczach.

Na szczęście nie była sama. Jola, bardzo rozsądnie, zajęła się lewą nogą, zakładając opaskę powyżej rany. Sądząc po stanie nogawki i piasku poniżej, chyba uratowała porucznikowi życie. Kostny szpikulec musiał rozerwać jakieś większe naczynie.

– Co z nim? – Klęknąłem okrakiem nad powykręcaną prawą ręką. Lewa, będąca chyba najlepiej zachowaną kończyną, była zajęta przez modlącego się bezgłośnie Lesika, więc dla sprawdzenia tętna sięgnąłem ku szyi.

– Tutaj spadł. – Głos pielęgniarki brzmiał trochę jak ze starej, zacinającej się płyty. – Nie ruszaliśmy go.

– Dobrze. – Zerknąłem do góry, oceniając stromo nachylone, jednak dalekie od pionu zbocze. – Będziemy potrzebowali sztywnych noszy. Mógłby się ksiądz tym zająć?

Usta Lesika znieruchomiały, powieki powędrowały nieco wyżej.

– Ja?

– Musiało nim zdrowo rzucać – wskazałem chaos stoku, mocno przypominającego bardzo

stromie schody. – Dlatego przeżył, ale aż się boję sprawdzać, ile kości... Trzeba go unieruchomić.

– On umiera – powiedział cicho. – Nie odejdę w takiej chwili od człowieka. Może odzyskać świadomość i...

– Póki co, żyje i potrzebuje pomocy. Nie modlitwy, a noszy.

– Nie mamy o czym mówić – rzucił sucho.

– Co by to miało być? – zapytał szybko Olszan.

– Najlepiej kawałek burty z ciężarówki. – Zacząłem rozpinąć mundur Filipiaka i zdejmować granaty z szelek oporządzenia. – Wołynow mógłby panu pomóc, to nie powinno zająć zbyt wiele...

– Ciołkosz go aresztował. – Głos Agnieszki był taki jak jej oczy: balansował na granicy jawnego płaczu.

– Co?!

Nikt mi nie odpowiedział. Nawet Olszan, spec od nieowijania w bawełnę. Dźwignęła się z ostrożnością doświadczonej ofiary lumbago i oboje odeszli możliwie szybko w stronę starych.

– Buty – mruknąłem, widząc, że Jola skończyła z opaską.

– To kręgosłup, prawda?

Zachowywała się poprawnie i nie traciła głowy, ale nie podobał mi się wyraz roztargnienia, dominujący na jej twarzy. Niby wszyscy otepeliśmy od nadmiaru nieszczęść, braku snu, wody i nadziei. Ale to był Filipiak, a ona zbyt łatwo mogła go teraz uśmiercić jednym nieprzemyślanym ruchem. Przez chwilę całkiem poważnie zastanawiałem się, czy nie odesłać jej na bezterminowy urlop.

– Zobaczymy.

Patrzyliśmy wiele długich minut. Nie wiedziałem, że zewnętrzne oględziny chorego mogą pochłonąć tyle czasu. Ale przynajmniej kończyłem je z czystym sumieniem: chyba dopilnowałem wszystkiego i nie zrobiliśmy Filipiakowi krzywdy. Ani wtedy, ani później, gdy ślaniający się z bólu i zmęczenia Agnieszka i Olszan przytargali poharataną odłamkami burtę i ułożyliśmy bezwładne ciało na blachach.

W samych tylko, dość niepoważnych pasiastych bokserkach, które mu litościwie zostawiłem, porucznik wyglądał na rówieśnika swoich żołnierzy. Był szczuplejszy, niż myślałem, zaskakująco błydy. Pomyślałem, że leżąc tak u naszych stóp, niemal nagi i bardziej od dziecka bezsilny, w niczym nie przypomina tego, kim naprawdę był. A potem Agnieszka osunęła się na kolana i, zwolniona z obowiązku robienia czegoś konstruktywnego, zaczęła płakać, a ja uświadomiłem sobie, że tak właśnie być musiało.

Wraz z Filipiakiem spadła ze skały i roztrzaskała się nadzieja większości z nas. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo go potrzebujemy.

– Zaraz wracam – powiedziałem. Zostawiłem karabin i poszedłem szukać Ciołkosza.

Znalazłem go w fotelu dowódcy bewupa. Dziwne miejsce, biorąc pod uwagę słońce i priorytety pilotów śmigłowców szturmowych. Chłopcy Drabowicza, udający zakrzaczoną górkę kilkadziesiąt metrów od nas, też się wprawdzie smażyli i wystawiali na ciosy rakiet, ale przynajmniej z nadzieją na upolowanie napastnika.

– Żyje? – dmuchnął papierosowym dymem, nie patrząc w moją stronę. Na kolanach miał hełmofon, co po części tłumaczyło jego pobyt tutaj.

– Żyje. – Myślałem przez chwilę, po czym dodałem: – I chyba przeżyje. Ale czy będzie chodził... I nie nadaje się do transportu.

Obok krzątali się członkowie załogi, odprawiający jakieś czary nad silnikiem. Ale oni przynajmniej mieli szansę wypatrzeć raketę, zeskoczyć i próbować ucieczki. No i robili coś sensownego. A sierżant z nikim nie rozmawiał przez radio. Miałem nadzieję, że nie zaszył się tu ze strachu. Strach nie jest zły, tyle że ten rozsądny. W tej chwili chowanie się pod pancernem nie wystawiało nikomu świadectwa rozsądku.

– Trzeba go będzie zostawić. Schować – poprawił się. – Pod opieką. A Ruska rozstrzelać.

W mgnieniu oka zapomniałem o raketach.

– Słucham?!

– Myślałem o tym wszystkim. Trzeba stąd wyrwać tak szybko, jak się da. Póki tam na górze nikogo nie ma.

– Powiedział pan: rozstrzelać?

– Zepchnął porucznika. I tak za długo się z nim...

– Ktoś to widział?

– Widział, nie widział... To nie sąd. Wiadomo, że ktoś nam robi koło dupy. Ma pan jeszcze wątpliwości? Bo ja nie.

Zniosło nas już dawno o całe kilometry od ścieżki rutyny, ale mimo wszystko poczułem się dziwnie.

– Nie mówi pan tego poważnie...

– Nie będę czekał, aż jeszcze kogoś wykończy. Za mało nas.

Pomyślałem, że mu odbiło. W końcu komuś musiało.

– Tym bardziej. – Dokonałem wysiłku oczyszczenia głosu z emocji. – To Wołynow zlikwidował tych na górze. Gdyby nie on...

– Alibi sobie wyrabiał – wzruszył ramionami. – Cwany jest, to już wiemy. Wystawił nas już parę razy i jak się go nie pozbędziemy...

– Wiemy?! – Nie wytrzymałem. – Gównu wiemy! W tym cały problem!

– Mów pan za siebie – warknął.

– Pytałem, czy ktoś widział, jak spychał Filipiaka.

– A może i widział – rzucił wyzywająco.

– To ma być odpowiedź?

Nie zdążył mnie zapewnić, że dokładnie tak. Helmofon zaszeleścił nagle cichym, niewyraźnym, ale niewątpliwie ludzkim głosem.

Omam nie rozbiłem sobie głowy o pancerz i nie połamałem palców, ale udało mi się wyprzedzić sierżanta. Chwycił helmofon dopiero na wysokości krawędzi wjazdu.

– ...ktoś mnie słyszy? Halo? Odezwijcie się. – Chwila przerwy i zrezygnowane, wymruczane pod nosem i już raczej do siebie: – Proszę.

Coś charczało na linii, odbierając temu anemicznemu głosowi resztki mocy, ale teraz, kiedy już rozumiałem słowa, nie mogłbym go nie rozpoznać. Choćby używała ruskiej radiostacji i mówiła z Księżyca.

– Gapa?!!

Nawet gdyby naprawdę tkwiła gdzieś w przestrzeni kosmicznej i nie miała żadnego odbiornika, powinna mnie usłyszeć.

– Odbieramy cię. – Niepotrzebnie robiłem z siebie głupka: dopiero teraz Ciołkosz szczęknął przełącznikiem i posłał sygnał w eter. – Kto mówi? To pani? Odbiór.

Przez kolejne sekundy byłem najbardziej przerażoną istotą po tej stronie równika. Gabriela mogła znajdować się za daleko, mogła uszkodzić przenośne radyjko czy po prostu nie zdejmować kciuka z przycisku, co amatorom przytrafia się dość często. Cierpła mi skóra na myśl, że zablokowała go w pozycji nadawania – plaster, klin z zapalniczki, cokolwiek – i całymi godzinami możemy nasłuchiwać jej słabnących nawoływań, bez szansy udzielenia odpowiedzi. Mało prawdopodobne? Pewnie, ale w przypadku ранego rozbitka, który etap logicznego myślenia ma już za sobą... A przecież nie zgubiła się bez powodu. Coś się stało. Coś złego.

– Halo?! Słyszycie mnie?! – W zasadzie powtórzyła poprzednią kwestię, ale ten głos nie był głosem sprzed chwili. Miały się do siebie jak radosna, olśniewająco barwna rasa do niepozornego naboju, smętnie czekającego w pudełku na sylwestrową noc.

– Głośno i wyraźnie. Sierżant Ciołkosz z tej strony, przejąłem dowództwo. Gdzie pani jest?

– Nie wiem. Minęłam ślady waszych gaśnic. – Zamilkła, ale uczepiłem się swojej strony helmofonu dostatecznie stanowczo, by słyszeć charakterystyczny szmer odbieranej fali. – A teraz... niedaleko śmigłowca.

Zwolniła przycisk. Mogliśmy już mówić, ale przez dłuższą chwilę żaden z nas nie czuł się na siłach. Widziałem, jak pośliznęły palce sierżanta rozgniatają wypalonego do połowy papierosa.

– Jakiego śmigłowca? – Leżałem na brzuchu, w piersi brakowało tchu, a głos mi drżał. Ale jakoś nie przyszło mi do głowy przedstawiać się.

– No... tego.

Nie odpowiedziała od razu. Pomyślałem, że mój głos zrobił na niej mniej więcej podobne wrażenie, jak jej głos na mnie.

– Widziała go pani? – Jeśli za pytaniem Ciołkosza kryła się jakaś myśl, to robiła to dobrze.

– Nadal go widzę.

Cisza. Obustronna. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jak na cudem odnalezionego rozbitka przemawiała do mikrofonu zaskakująco cicho.

– Jest aż tak blisko? – Staralem się być rzeczowy i tylko rzeczowy.

Sekunda zwłoki.

– Źle słycać? – Było słycać znacznie lepiej: wyraźnie podniosła głos. – Przepraszam. To... całkiem spory kawałek. Ze trzysta metrów.

Zwolniła przycisk. Nagle zdałem sobie sprawę, co jeszcze przestałem słyszeć. Poza Gabriellą i szmerem fali nośnej.

– Możesz mówić cicho, słyszemy – uprzedziłem Ciołkosza. – Opisz sytuację. I nie bój się.

Ten strach, spychany z całych sił do niebytu i wypełzający uparcie na powierzchnię, słyszałem jeszcze wyraźniej. Chociaż nie była chyba aż tak przerażona, jak ja.

– Jestem chyba na lewo... to znaczy na zachód od planowanego szlaku odwrotu. Nie wiem, jechałam po ciemku... – Skorzystała z przyzwolenia i znów mówiła ciszej. – Teraz trafiłam na ślady gąsienic. Chyba przejechał tędy jeden wóz. Po osi wschód-zachód. Zostawiłam honkera między skałami i poszłam to zbadać. Wtedy obok wylądował śmigłowiec. Chyba... chyba mnie nie zauważyli.

Ciołkosz trzymał swój koniec hełmofonu i to wszystko.

– Ten śmigłowiec... wylądował, tak?

Kliknięcie przełącznika. I słabnące, niskie dudnienie na samej granicy słyszalności.

– Właśnie dlatego do was... to znaczy: próbowałam jeszcze raz was wywołać. Bo to chyba ważne. Oni... nie jestem pewna, ale to wyglądało, jakby... no, po prostu... zgubili rakiety.

– Co ona pierdoli? – warknął Ciołkosz.

– Co znaczy: właśnie dlatego? – Zdobyłem się na spokój. Inna rzecz, że nie byłem aż tak zimnokrwisty, by lepiej sformułować pytanie i wyjaśnić, co mi się nie podoba. A nie podobał mi się fakt, że potrzebowała aż takiej motywacji, by sięgnąć po nadajnik.

Na szczęście zrozumiała.

– To trochę ryzykowne. Musiałam wleźć ciut wyżej. Wiesz, zasięg... Nieważne. Te rakiety są chyba ważne. Zdaje się, że skasowali je na dobre. Zdrowo przywaliły o ziemię.

Miała na tyle przyzwoitości, by wyłączyć się i zwolnić kanał.

– Złaź! – warknąłem. – Ale już!

Cisza. O wiele za długa jak na moje zszargane nerwy.

– Halo? Teraz słycać?

Była równie jak ja przestraszona, ale strach nie ogłupił jej i od razu przeszła na odbiór.

– Słyszemy cię. A ty?

– Słyszę. – Pauza. – Chyba się wygłupiłam z tym drzewem.

Kliknięcie. W radiu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby to klikała jakaś ważna część mego serca. Zawał byłby całkiem logiczną konsekwencją tego, co sobie wyobraziłem. Mówiła o skałach, między którymi zaparkowała, więc uznałem, że przypomniała sobie lekcje fizyki i wdrapała się z ukaefką na jedną z nich. To też był powód do warczenia, lecz do zawału jeszcze nie. Ogadeńskie drzewo – już tak.

– Wlazłaś na drzewo? Nogi ci z dupy... Co teraz robią?

– Ten z przodu ogląda rakiety. Drugi siedzi w środku.

Dopiero teraz, nie bez wysiłku, zacząłem wymazywać sprzed oczu obraz przestraszonej ciemnoskórej dziewczyny, kryjącej się za jakimś żałośnie cienkim pnem, i budować wizję stojącej w pobliżu maszyny. Trzysta metrów? Cokolwiek to było, z tej odległości musiało się wydawać ogromne i przerażające. Miałem ochotę nakazać Gabrieli, by wpełzła w najgłębszą norę i nawet nie patrzyła w tamtą stronę.

– O co chodzi z tymi zgubionymi raketami?

– Nie wiem na pewno, co to jest. Nie wybuchło, więc może i nie... Ale wyglądało jak pakiet pocisków. Lecieli nisko, potem pilot poderwał śmigłowiec, a zaraz potem to coś im odpadło. Ten facet, który wyszedł... No, wygląda na zrezygnowanego. Chyba postawili krzyżyk na tych rurach. Aha, i są raczej wkurzeni. Wrzeszczeli na siebie. Myślałam, że się pobiją.

Z twarzy Ciołkosza poznałem, że nawiedziły nas podobne myśli: o ofiarach stresu, gorączki czy wręcz fatamorgany.

– Dobra, rozumiemy – powiedziałem. – Jak wygląda śmigłowiec?

Nie wyczuła moich intencji. Słysząc było, że się stara, lecz były to wyraźnie bezinteresowne starania kogoś, kto usiłuje pomóc, a nie próba budowania własnej wiarygodności.

– Jest wąski i taki... no, kanciasty. Pomalowany w piaskowe plamy. Z przodu ma pod nosem duży karabin albo działko, wiesz, takie obrotowe. Aha, no i nie ma kabiny dla pasażerów. Tylko z przodu taką dla pilotów. Jeden za drugim, ten z tyłu siedzi chyba wyżej. Nie bardzo widać, źle stanęli. Prawie tyłem do mnie.

Umilkła. Może i potrafiła obchodzić się z karabinem, ale o posadę przewodnika po muzeum lotnictwa wojskowego nie powinna się ubiegać. Zresztą podobnie jak ja. Dość rozpaczliwie próbowałem znaleźć pytanie, które pozwoli wykorzystać tę niebywałą okazję i poszerzyć naszą wiedzę o nieuchwytnym jak cień prześladowcy. I chyba miałem je już na końcu języka. Ciołkosz przypomniał o sobie w najmniej stosownym momencie.

– Pani ma karabin, prawda? – Był spokojny i cierpliwie czekał na odpowiedź. A trochę poczekać musiał.

– Mam. – Wyłączyła się natychmiast, bez żadnego komentarza. Ja taki wstrzemięźliwy nie byłem.

– Po co to panu? – Nikt nie nazwałby mego tomu przyjaznym.

– Trzysta kroków to mało – powiedział do mikrofonu, ignorując moje spojrzenie. – Można trafić. Mielibyśmy ich z głowy.

– Ty skurwysynu...

– Ocali pani wielu ludzi. – Mówił szybciej i tylko to zdawało się świadczyć, że nie zapomniał o moim towarzystwie. – Mamy rannych. Nie przeżyją, jeśli ten śmigłowiec będzie nam siedział na karku. To niepowtarzalna...

– Ani się waż! – Złapałem go za rękę, by przypadkiem, lub co gorsza świadomie, nie zwolnił przełącznika. – Zabiją cię! Zostań, gdzie jesteś, i nie próbuj...

Ciołkosz spróbował – wyrwać mi hełmofon. Na szczęście nie znał Gabrieli tak, jak ja ją znałem – a dokładniej: wierzyłem, że znam – i nie rozumiał, że zamierzony efekt być może już osiągnął. Nie odważył się zaryzykować zerwania połączenia, a taki byłby efekt prowadzonej na serio szarpaniny o mikrofon.

– Z czego są boczne szyby takiej kabiny? – Zwolniliśmy przełącznik, no i od razu uraczyła nas tym pytaniem.

– Zapomnij o tym – wywarczałem. Głównie pod jej adresem, ale patrzyłem na sierżanta i nie było w tym ani odrobiny przypadku. – To cholerstwo jest opancerzone od góry do dołu.

Milczała jakiś czas. Mdlilo mnie od myśli, że może układać się właśnie w pozycji strzeleckiej.

– Wystarczy trafić tego, który wysiadł. – Zagapiłem się i Ciołkosz natychmiast to wykorzystał. – Sam pilot nic nam nie...

Wyszarpnąłem mu hełmofon. Gładko poszło, nie wyrwaliśmy chyba nawet żadnego przewodu, ale wąta to była pociecha. Zdążył powiedzieć o wiele za dużo.

– Gapa, słyszysz mnie?!

Mogła się nie odezwać nigdy więcej.

– Słyszę.

Oddałbym roczne pobory za prawo zajrzenia jej teraz w twarz. Nad głosem panowała zbyt dobrze.

– Nie strzelaj do niego. Zabicie operatora nic nie da. – Może i była to prawda, ale z równym przekonaniem wbijałbym jej w głowę, że wystrzelanie całej załogi nie poprawi w niczym naszej sytuacji. – Raz strzelisz i jesteś martwa. Nieodwołalnie.

– Druga taka okazja się nie trafi. – Trzeba oddać Ciołkoszowi sprawiedliwość: powiedział to dość cicho, wyraźnie do mnie. Ale oczywiście zwolniłem przycisk, ledwie otworzył usta.

Czekaliśmy. Potem zacząłem się bać. A jeszcze później, nieznośnie późno, radio przemówiło. Męskim głosem.

– Tu Grochulski. Przepraszam, że się wtrącam, ale chyba go namierzyłem. Jest o cztery

kilometry na południowy zachód od nas. Chyba... – nie dokończył. – Zniknął. Musiał zejść niżej.

Wyłączył się. Gabriela mogła już mówić swobodnie, ale oczywiście milczała. To nie Grochulski ponosił winę za moje przyspieszone tętno i skręcone strachem kiszki.

Dlaczego startują śmigłowce bojowe? Śmigłowce bojowe wznoszą się, by zabijać. To była pierwsza moja myśl i choć starałem się dorzucić do niej parę innych, pozostała jedyną.

Trzysta metrów, powiedziała. A piloci mają znakomity wzrok. I uczy się ich latami, jak z niego korzystać. Niełatwo wypatrzeć człowieka, który się ukrywa, ale, pomijając snajperów, chyba nikt nie jest w tym równie dobry, jak załogi śmigłowców szturmowych.

Miałem święte prawo się bać.

I przegapić poprzedzony pyknięciem szum w słuchawkach.

– Odleciał. – Przerwa. – Jak mam was szukać?

Strach ustąpił. Na chwilę, ale okazało się, że mój wysychający mózg trzyma się nieźle i jedna chwila chłodnego, nie zniekształconego emocjami analizowania sytuacji w zupełności mu wystarcza.

– Nie szukaj. I nie rozmawiaj z nikim oprócz mnie. Bez odbioru.

Wściekłość eksplodująca w twarzy Ciołkosza uświadomiła mi, że się nie ośmieszyłem. Może nie miałem racji, ale na pewno nie postępowałem głupio.

To nie było radosne odkrycie.

*

– Po co to było? – Morawski był zbyt znużony i zakurzony, by dało się wyczuć jego intencje. Zjawił się tu przed chwilą, zjrzał na ciężarówkę, zamienił dwa słowa z Wołynowem przykutym do pałaka wieży czołgowej, a potem bardziej zwałił się, niż usiadł obok mnie.

– A co miałem zrobić? Ściągnąć ją tutaj?

– Niby czemu nie? – rzucił na pozór niedbale Bielski. Po długich i jak dotąd bezowocnych zmaganiach z układem napędowym bewupa był jeszcze brudniejszy od majora, ale to nie warstewka smaru i potu składała się na maskę kryjącą jego prawdziwe myśli.

– Powiedzmy – uśmiechnąłem się ironicznie – że tam, gdzie jest, może być dla nas bardziej przydatna.

– Bo da dupy Sabahowi i facet o nas zapomni? – Ciołkosz upuścił część złości, którą tłumił w sobie jak kocioł parę.

– Niezupełnie – powiedziałem spokojnie.

– No tak, zapomniałem. To nie jemu ma dawać.

Posłałem mu uśmiech. Łatwo przyszło: im bardziej się wściekał, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że postąpiłem właściwie.

– Tkwimy w tej dziurze i nie wiadomo, kiedy będziemy w stanie wyjechać. A ona jest na górze. I ma tam sprawny wóz.

– Nie powiedziała, że sprawny – popisał się refleksem.

– Wiemy, gdzie jest: o cztery kilometry stąd. Dojechała tam.

– I nie kiwnęła palcem, żeby coś zrobić z tym wszawym śmigłowcem.

– Kiwnęła. Wiemy, że zgubił rakiety. To zasadniczo zmienia układ sił. Nawiasem mówiąc...

– Mogła strzelać – warknął. – I nawet chciała. A pan ją powstrzymał. Nie wiem, czy sąd uzna to za zdradę, ale jak dla mnie...

– Spokojnie, panowie – mruknął Morawski. – Bez wielkich słów.

– Od tej pory nie wolno panu dotknąć radia. – Ciołkosz nawet nie spojrział w jego stronę.

Przez chwilę nad grupką otaczających nas głazów wisiała ponura cisza. Przerwał ją, bez wielkiego entuzjazmu, Morawski.

– Skoro już o tym mowa... Powinniśmy ustalić kwestię dowodzenia.

– Nie ma nic do ustalania – uprzedził Ciołkosza Bielski. – Sierżant dowodzi, to oczywiste. Jest zastępcą porucznika i automatycznie...

– Nie jestem orłem, jeśli chodzi o regulaminy – przyznał Morawski. – Ale to chyba dotyczy konkretnego pododdziału. A tu mamy do czynienia z dwoma.

– Bez urazy – skrzywił się Ciołkosz – ale to takie teoretyczne pieprzenie. Jeździecie naszymi wozami, w naszych kamizelkach i z naszą bronią. Bez nas bylibyście gromadką trupów. To są fakty. Mój pluton będzie was bronił, ale lepiej od razu sobie wyjaśnijmy: ja tu teraz rządę. Dokładnie tak, jak mówi regulamin.

– Ostrożnie, sierżancie. – Nie zdołałem się powstrzymać. – Przy współdziałaniu, jeśli wyżsi przełożeni nie zdecydowali inaczej...

– Zdecydowali. Mamy swoje rozkazy – uśmiechnął się mściwie.

– Pan dowodzi – przyznał spokojnie Morawski. Posłałem mu zdziwione spojrzenie. – Choćby ze względów praktycznych lepiej będzie, by piechotą dowodził podoficer piechoty, a nie lekarz czy pilot.

– To prawda – poparł go Lesik.

– Jest tylko jedno „ale” – Morawski zrehabilitował się trochę w moich oczach. – Trzeba być konsekwentnym. Jeśli nie tworzycie z kapitanem Szczebielewiczem jednej grupy, to co prawda nie podlega mu pan, ale i on panu nie bardzo. Musicie współpracować.

Ciołkosz zmagął się przez chwilę z ochotą bycia niekonsekwentnym.

– To nie ja rzucam doktorowi kłody pod nogi – mruknął wreszcie.

– Musi pan zrozumieć kapitana. To jego podwładną chciał pan poświęcić. Pepesza przeciw szturmowemu śmigłowcowi? No i nie robi się czegoś takiego z kobietami.

– Każdego innego też bym... – Utknął z braku stosownego słowa.

– Pan może tak. Ale lekarze widzą to inaczej. Kościół chyba też – Morawski uśmiechnął się nieznacznie. – To byłoby zbliżone do grzechu.

Lesik nie skomentował. Sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

– Chcę, by ją pan wywołał – oznajmił Ciołkosz, spoglądając gdzieś ponad moje ramię. – Ma nasz wóz, a teraz potrzebujemy każdego... Choćby dla Filipiaka – dorzucił w nagłym przyplywie natchnienia.

– Mam lepszy pomysł – powiedziałem.

– A ja mam taki – warknął.

– Gra pan w szachy? – Był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć. – Każdy niepotrzebny ruch to krok ku klęsce. Na wojnie jest identycznie.

– To znaczy? – wyręczył Ciołkosza Morawski.

– Co nam da, że dziewczyna tu przyjedzie? Wszyscy honkerem nie uciekniemy. Zyskamy parę rąk do pracy i trzymania karabinu. A koszty? Po pierwsze, wóz może nie dojechać. Polują na nas, wiedzą, gdzie jesteśmy. Sanitarka wjedzie komuś prosto przed lufę. Ale założymy, że jej się uda. Co dalej? Ma czekać na górze, aż wywlecjemy resztę maszyn? Jasne, każdy wóz może się przydać, ale po cholere trzymać koło ratunkowe na widoku? Jeśli ruszymy, równie dobrze może dołączyć już w marszu. Ale, prawdę mówiąc, i to byłby zmarnowany ruch.

– Nie gramy w żadne cholerne szachy – wycedził sierżant.

– Pomyślał pan, co będzie, jeśli nie wydostaniemy wozów? Albo stracimy je? – Nie kwapił się z odpowiedzią. – Jej samochód może się okazać naszą jedyną szansą.

– Zaraz, nie rozumiem – zirytował się Bielski. – To w końcu chce pan ją tu ściągnąć czy nie?

– Tu? W żadnym przypadku. Przetrwa tylko z dala od nas. A my, jeśli będziemy musieli uciekać pieszo, przetrwamy tylko pod jednym warunkiem: że po drodze znajdziemy wodę.

– I co: ona ma nas zaprowadzić? – parsknął Ciołkosz. – Bo zna okolicę? Obejdzie się. To nie dziewiętnasty wiek. Na mapie...

– ...nie ma źródeł – wszedłem mu w słowo. – Bo i w naturze nie ma. Nigdzie blisko. A do dalekich nie dojdziemy. W każdym razie wszyscy.

– Ameryki pan nie odkrył – mruknął przygaszonym tonem. – Niby po co chłopaki będą się przy tym złomie?

Przez chwilę spoglądaliśmy w stronę bewupa. Przypominał wybebeszone cielsko drapieży, po którego grzbiecie snują się ospałe mrówki.

– Tu jesteśmy względnie bezpieczni – popatrzyłem mu w oczy. – Ale nawet jeśli uruchomimy każdy z wozów, wyprowadzimy je na górę i żaden nie wpadnie na minę, to pozostaje ten śmigłowiec.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Bez rakiet. – Znalazł w końcu poręczny argument.

– Wierzy pan Gabrieli?

Z mojego tonu nie wynikało, że ja nie wierzę, ale i tak udało mi się zrobić na wszystkich wrażenie.

– A ty nie? Myślisz, że kłamała? – zapytał ostrożnie Morawski.

– Mniejsza o mnie. Chodzi o to, czy sierżant wierzy. Bo albo nie, i wtedy musimy przyjąć, że dalej mamy przeciw sobie śmigłowiec z kompletem pocisków, albo tak. A jeśli jej ufamy w kwestii zgubionych rakiet, to musimy przyjąć, że dobrze nam życzy.

– Nie powiedziałem, że jej wierzę – podkreślił Ciołkosz. – Jeśli o tym mowa, to akurat na odwrót.

Widać było, że sprawił sobie niezłą frajdę tym oświadczeniem.

– No to mamy problem. Bo jeśli rakiety są na chodzie, to chyba musimy tu pozostać. Na otwartej przestrzeni byłibyśmy bez szans.

Satysfakcję sierżanta diabli wzięli.

– Bzdura – rzucił odruchowo. – Dojechaliśmy tu i nic się nie stało.

– Bo nie było śmigłowca. Teraz jest.

Mierzył mnie przez chwilę ponurym wzrokiem.

– Czego właściwie chcesz? – przeszedł do sedna Morawski.

– Honker mógłby pojechać po wodę. – Wzmianka o wodzie zasnuwała usta potencjalnym oponentom. – Myślałem o paru zamaskowanych składach gdzieś na trasie odwrotu. Mamy GPS-y, nie będzie problemu z odnalezieniem. A resztę można spróbować przywieźć tutaj.

Oczekiwałem sprzeciwu sierżanta. Błąd. Nie był może orłem taktyki, ale na logistyce się znał. Nie wspominając o tym, że jak my wszyscy, musiał pić, by przetrwać.

– Sprawdź, co z Hanusikiem – zwrócił się nieoczekiwanie do Bielskiego. Plutonowy podniósł się i odszedł. Chyba podobnie jak ja nie zastanawiał się nad związkiem tego rozkazu z całą poprzednią dyskusją.

Morawski okazał się lepszym obserwatorem.

– Chce pan posłać tamtego bewupa zamiast sanitarki?

Ciołkosz uśmiechnął się chytrze pod wąsem.

– Dokładnie.

– A... honker? – zapytałem ostrożnie.

– Bez obaw – rzucił mi kpiące spojrzenie. – Najpierw pojedą po tę pana laleczkę. Nie zostawia się kobiet w potrzebie.

– Pojadą razem?

– Nie mogę posłać cywila z taką samobójczą misją. – Nawet nie próbował udawać, że mówi szczerze i poważnie. – Pani Asmare wróci do nas. Pewnie to pana ucieszy.

Brakowało mi argumentów, mogących wybić mu z głowy ten pomysł.

– Jest jeszcze problem Wołynowa – przypomniał Morawski.

– Jeszcze jest – zgodził się Ciołkosz.

I tym razem nie silił się na udawanie czegokolwiek. Uśmiechał się, trochę mściwie, a trochę szyderczo. Morawski w przeciwieństwie do niego trzymał myśli głęboko pod czaszką.

– Rozumiem – powiedział doskonale nijakim tonem. – Ale odradzam. Miałby pan później cholerne kłopoty.

– Teraz mam kłopoty.

– Z tych możemy się wykaraskać. A jeśli każe go pan zabić...

– Ten skurwysyn mordował naszych, a teraz zepchnął Filipiaka! A to zasrane pole minowe, cała ta idiotyczna trasa przez najgłębszą w okolicy dziurę?! Jechaliśmy według ruskich map! I proszę! Jego szefowie zrobili w chuja Zarębę, a on nas!

– Ktoś widział to spychanie? – Morawski zachował spokój.

– To moja sprawa! Myśli pan, że co: wskażę świadka i potem ktoś go załatwi? Jak Świergockiego, Juszczyka i Wenclorza?! Gówno! Koniec odwracania głowy i udawania, że wszystko gra! Nie wiem, czemu porucznik nie zrobił z tym porządku, ale ja zrobię! Nikt mi nie będzie wbijał noża w plecy!

Wyrzucił nadwyżkę złości i trochę się uspokoił. Morawski odczekał jeszcze chwilę, nim zabrał głos.

– Podejrzewa pan kogoś oprócz Wołynowa?

– Może i tak – burknął Ciołkosz. – Dużo się wydarzyło. Może za dużo jak na jednego kreta.

– Może – zgodził się Morawski. – Ale jeśli jest ktoś jeszcze, tym bardziej nie robiłbym niczego z Wołynowem. I to z paru względów. Założmy, że rozstrzela go pan, a ten drugi wykręci następny numer. Niezyczliwi wyciągną wniosek, że zabił pan nie tego, co trzeba. Sędziom takie wpadki uchodzą bezkarnie, nawet po premii nikt im nie poleci, ale pan głośno za to beknie. Druga sprawa: żywy Wołynow może zacząć mówić. I trzecia: współnik w takiej sytuacji próbuje pomóc aresztowanemu albo go uciszyć. Tak czy siak musi się zbliżyć, wykonać ryzykowny manewr. Martwa przynęta nikogo nie skusi. I jeszcze coś. Mam podstawy sądzić, że to nie Wołynow jest kretem. Tym razem cisza trwała dłużej.

– A kto?

– Nie wiem. Ale to nie rosyjska maszyna spadła pod Kasali. Nie ma powodu, by Rosjanie zacierali ślady. Bo to nie ich ślady.

– Pan lubi Wołynowa, prawda? – Gdybym nie wiedział, do czego Lesik zmierza, dałbym się pewnie zwieść jego uśmiechowi dobrodusznego kapłana, zadowolonego z faktu, iż ludzie miłują bliźnich.

– Doktor mówił o szachach. Wołynow to pion stojący w korzystnym dla nas miejscu. Nieważne, czy jest nasz, czy cudzy. Ważne, że póki stoi, mamy z niego pożytek.

– A jeśli to nie pion, tylko figura? Jeśli zbije kogoś z naszych?

– Nie zbije.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Zdobyliśmy wylot wąwozu, a ci ze śmigłowca palcem nie kiwnęli, by wesprzeć słabiutką obronę. Dlaczego? Bo guzik ich obchodzi Sabah i jego ludzie. Filipiak miał rację: to dwie różne wojny.

Mógłbym z nim podyskutować. Przy wylocie Szyjki zastrzeliliśmy parę najwyraźniej zbłąkanych pechowców, mających smar na rękach, ale nie dysponujących już ani samochodem, ani radiostacją. Jechali jakimś rzęchem, popsuł im się, ruszyli pieszo, trafili na nas. Pilot śmigłowca miał prawo nie wiedzieć o ich obecności tutaj, nawet jeśli walczyli pod wspólnym dowództwem. Tyle że, używając niewłaściwych argumentów, Morawski podążał we właściwą stronę i nie miałem zamiaru mu przeszkadzać.

– Dwie różne wojny – powtórzył. – Mogę przyjąć, że Wołynow pracuje dla tych od śmigłowca i iliuszyna. Ale na pewno nie dla Sabaha. Obsługiwał karabin maszynowy. Somalijczycy chyba do nikogo innego tak często nie strzelali. To czysty przypadek, że przeżył. Mógł do nich uciec. Nie uciekł. Wyprowadził z okrażenia tę cholerną ciężarówkę. Wlazł na urwisko ryzykując połamaniem karku. Potem co najmniej pomógł rozwalić gniazdo kaemu, dzięki czemu możemy stąd wyjechać. Niech wam będzie, że jest czymś agentem. Ale na pewno nie somalijskim. I dopóki mamy na karku tych nieobliczalnych nożowników, nie będzie nam strzelał w plecy. Bo zabijałby własnych obrońców.

– Rannych ktoś zabił – przypomniał Lesik. Niby polemicznym tonem, ale odnotowałem tego „ktosia”.

– Może któryś wiedział za dużo. Może zginęli, bo byli balastem i zmniejszali szanse przeżycia nas wszystkich. A może kret chciał ocalić resztki leków na wypadek, gdyby na niego padło. Nie mówię, że to porządny facet. Albo facetka. – Po tej uwadze majora Ciołkosz posłał mi usatysfakcjonowane spojrzenie. – Mówię tylko, że nie jest samobójcą. I przypominam, że oboje mieli jechać z rannymi. Asmare na mur-beton, ale Wołynow miał prawo podejrzewać, że i jego Filipiak odeśle. Może któreś się przestraszyło i wykończyło rannych. Tak czy siak to jeszcze jeden dowód, że kret nie rwie się do spotkania z Sabahem.

– Chyba że to dziewczyna – mruknął Ciołkosz. – Ona akurat...

Urwał na widok Bielskiego. Mina plutonowego nie wróżyła niczego dobrego. I faktycznie.

– Nie odpowiadają – oznajmił, kucając obok sierżanta. – Jakiś czas temu Andrusiak meldował, że widzą kurz na horyzoncie. Potem już nic.

Przez chwilę nikt nie miał ochoty zabierać głosu.

– Chyba coś byłoby słychać – powiedział wreszcie Morawski niezbyt pewnym głosem. – To nie aż tak daleko. A jest cicho.

– Ale było głośno – przypomniał Bielski. – No i wiatr. Dmucha ledwie co, ale w ich stronę.

Następna przerwa była dłuższa i bardziej uciążliwa. Ponosiliśmy już straty i spadały na nas rozmaite nieszczęścia, ale tym razem było inaczej. I nawet wiedziałem, dlaczego.

Brakowało kogoś, kto po chwili żałobnej ciszy potrafił powiedzieć: „No cóż, w takim razie zrobimy to i to”. Brakowało Filipiaka.

Czekaliśmy na jakiś komentarz Ciołkosza. Nie doczekaliśmy się.

– Chyba musimy wrócić do mojego planu – powiedziałem bez zapału. Nikt nie zaprotestował. Zamknąłem w duchu oczy, by nie widzieć, w co się pakuję, i przeszedłem do konkretów: – Wezmę trochę sprzętu, odszukam honkera i pojedę po wodę.

– Pan? – W Ciołkoszu natychmiast obudziła się czujność. – Niby dlaczego akurat pan?

Czekał na wsparcie. Lesik jednak milczał. Może domyślał się, co powiem.

– Bo to ryzykowne.

– A z pana jednego taki wielki bohater? Niech mnie pan nie...

– Kogo pan chce posłać? – przerwałem mu spokojnie. – Przypominam: trzeba nie dać się zabić tym ze śmigłowca, nie dać się zabić Gabrieli i jej kumplom, jeśli to pułapka, pojechać do Kasali, znów nie dać się zabić, a potem wrócić tu i zaliczyć wszystkie atrakcje zbiorowego wychodzenia z okrążenia.

Chyba nikogo nie przekonałem, ale przynajmniej dałem co niektórym do myślenia.

– Kto nam zagwarantuje, że pan wróci? – zapytał cicho Lesik.

– Że wrócę? Nikt. Mogę się tylko starać.

– A będzie się pan starał?

– Nie. Ożenię się z Gabrielą, zbudujemy szałas i będziemy żyć z wypasu wielbłądów. – Nikt nie skomentował. Zwróciłem się do sierżanta. – Którego podoficera pan pośle? Bo chyba nie samych szeregowych?

– Czemu nie? – Bielski chyba pytał tym razem, a nie poddawał w wątpliwość moje słowa.

– Bo szeregowy może wsiąść w honkera, dojechać nim do samej Addis Abeby i beztrząsco stwierdzić, że zabłądził. Zawodowiec też się wykpi z zarzutu złamania rozkazu, ale z wojska jednak wyleci. Chłopak z poboru ma do stracenia... Ile wam tam zostało do końca tury? Parę tygodni kontraktu. To umiarkowana cena za przeżycie.

– Mamy tu więcej kadry – przypomniał Ciołkosz.

– Tak? I kogo by pan lekką ręką skreślił?

Orzech, który mu podałem do zgryzienia, do miękkich nie należał. Zawodowi podoficerowie byli nie tylko niezastąpieni jako fachowcy od utrzymywania wozów na chodzie, Somalijszyków z dala, a nas wszystkich przy życiu. Byli też filarami władzy sierżanta. Jej przejście przez kogoś noszącego gwiazdki na pagonach cały czas wisiało w powietrzu i utrata każdego sojusznika mogła go drogo kosztować.

– Jak już – uśmiechnął się chytrze po paru sekundach namysłu – to pan major byłby lepszy do takiej akcji. Zawsze co linia, to linia.

Przez chwilę czułem się pokonany.

– Major – oznajmił lekkim tonem Morawski – nie będzie się wpychał przed ochotników.

– To znaczy... odmawia pan? – Ciołkosz był zbyt zdziwiony, by okazywać niezadowolenie.

– Z nas dwóch jestem tu bardziej potrzebny. Nie mówiąc o tym, że trochę się boję panny Gabrieli. – Miał w zmarszczkach twarzy więcej brudu niż uśmiechu, nie byłem więc pewien, do jakiego stopnia żartuje. – Niech jej szukają ci, co jej ufają.

Dopiero teraz, rozbawiony mimowolną rymowanką, błysnął zębami.

– No właśnie – podchwycił Lesik. – Snujemy tu piękne plany, a co będzie, jeśli to ona zdradziła? I teraz wciąga nas w zasadzkę?

Wychwyciłem jego spojrzenie. Mściwej satysfakcji było w nim najwięcej, ale obawy też nie brakowało. Idealem byłaby Gabriela, strzelająca mi między oczy, a potem jadąca po wodę dla niego i innych, tyle że, jak każdy ideał, i ten wydawał się nieosiągalny.

– Straciecie jednego marnego strzelca – wzruszyłem ramionami. – I zyskacie dobrego. Wołynowa. To korzystna wymiana.

Zrobiłem wrażenie. Ale nie całkiem takie, o jakie mi chodziło.

– Lekarz jest jak szeregowy. – Ciołkosz przyglądał mi się nieufnie. – Też niewiele traci, wylatując z wojska. Skąd mam wiedzieć, że nie odjedziecie w siną dal? Ma pan rację: przed sądem każdy się wyłga. Nie ma świadków, nie ma dowodów.

– Jeśli dziewczyna jest zła, to mnie zastrzeli. Jeśli dobra, to zezna prawdę przed sądem: że celowo zdezerterowałem. A poza tym... Naprawdę pan myśli, że byłbym bezpieczniejszy, uciekając honkerem?

– Naprawdę to myślę, że ze sobą sypiacie – wyznał szczerze. – Więc nie musi się pan bać jej zeznań.

– Nie sypiamy – powiedziałem cicho. Powiniennem się roześmiać, wytrzeszczyć zdumione oczy czy w jakiś inny standardowy sposób dać do zrozumienia, jak absurdalne są jego podejrzenia. Ale moje znikome talenty aktorskie wyciekły wraz z potem.

– Więc co? – przyszedł mi z pomocą Morawski. – Skreślamy pomysł z wyprawą po wodę?

Nikt nie kwapił się do zabierania głosu. Stwierdzenie, że następny dzień czy dwa może się obejść bez picia, może przejść gładko przez gardło wielbłąda, lecz nie człowieka.

– Najpierw niech tu przyjedzie – mruknął w końcu Bielski. – I tak trzeba by załadować kanistry.

Właściwie to odczuwałem ulgę. Pomysł padł, można położyć się pod czołgiem i spać. Niczego prócz wody nie pragnąłem tak bardzo, jak drzemki gdzieś w cieniu. Nawet Gabriela spadła na trzecie miejsce. Chyba zamieniłbym ją na leżak nad basenem.

Na sam leżak czy sam basen jeszcze nie.

– Jest mały problem. – Spokojnie przesunąłem wzrokiem po twarzach. – Ja jej tu nie ściągnę, a sama raczej nie przyjedzie.

– Dlaczego? – zapytał równie beznamiętnie Bielski.

– Bo z nas wszystkich miałaby najmniejsze szanse na przeżycie.

– Niby czemu?

– Ktoś mógłby wpaść na pomysł wydania jej Sabahowi. Odnotowałem, że nikt nie wygląda na śmiertelnie urażonego.

– Nie ufa mi pan? – na poły stwierdził, na poły spytał Ciołkosz.

– A co tu ma do rzeczy zaufanie? Nie obiecywał pan bronić jej do ostatniego naboju.

– Jeszcze by tego brakowało – nie wytrzymał Bielski.

– Nie mówię, że nie rozumiem. – Patrzyłem sierżantowi w twarz. – Każdy chce żyć, a jedna Polka to nie naród. Żołnierz ma obowiązek walczyć za naród; z pojedynczą osobą to już się robi dyskusyjne.

– Weźmie pan radio i powie, by tu przyjechała – powiedział powoli i z naciskiem. – Potrzebujemy tego samochodu.

Równie niespiesznie i równie wymownie pokręciłem głową. Oczami wyobraźni widziałem się przez chwilę obok Wołynowa – w innych kajdankach, lecz z tym samym czołgiem przykutym do nadgarstka – ale Ciołkosz po prostu wstał, odwrócił się na pięcie i odszedł. Zaraz potem wynieśli się inni. Zostaliśmy z Morawskim sami.

– Jesteś dostatecznie głupi, żeby iść w pojedynkę? – zapytał po chwili. – Bo teraz nie przydzielili ci nawet Filipiaka.

– A jakie to ma znaczenie? – wzruszyłem ramionami. – Sam, z gołymi rękami... Bez radiostacji i GPS-a ta impreza nie ma sensu.

– Ja ci dam.

– Ty? To znaczy... uważasz, że to dobry pomysł?

– Szukanie tej laski, a potem studni? Bardzo dobry... na samobójstwo. Ale sytuacja jest rozpaczliwa, a to zawsze jakaś szansa.

– Wydawało mi się, że jesteś przeciw.

– Zagładałeś do ciężarówki?

Wstyd przyznać, ale najpierw wyleciała mi z głowy nasza ostatnia rozmowa, a później nie było okazji. Na koniec on się tu zjawił.

– Miałem zapomnieć, jeśli przeżyjesz – przekulem sklerozę w cnotę.

– Grzeczny chłopiec. Chociaż i tak niewiele byś z tego... To zresztą może nie mieć nic do rzeczy. Ale jeśli dodać do siebie te wszystkie ciemne historie...

– Gdybym powiedział, że rozumiem, tobym skłamał.

Milczał przez chwilę.

– Jest możliwe – powiedział w końcu – że nie doczekamy się pomocy.

– Chcesz powiedzieć... bo nie będą próbować?

Miałem nadzieję, że obdarzy mnie zatroskanym spojrzeniem, a potem delikatnie wyjaśni, że chodziło wyłącznie – przecież to oczywiste – o element czasu.

– Należy się z tym liczyć.

Milczałem jak podsądny po odczytaniu wyroku śmierci w pierwszej instancji. Taki delikwent wciąż ma nadzieję, ale...

– Co tam znalazłeś?

– Lepiej nie wiedzieć. Zresztą to tylko hipotezy. Może kawaleria jest już w drodze.

– Ale dopuszczasz myśl, że nie cwałuje z odsieczą, bo ktoś jej celowo nie wysłał? – Udzielił mi odpowiedzi za pomocą spojrzenia. – Co to był za śmigłowiec?

– Jak się czegoś nie wie, nie zostaje się kłopotliwym świadkiem. – Zawahał się, po czym dodał: – I nie przeżywa się moralnych rozterek.

Nie miałem sił zastanawiać się nad końcówką.

– Nigdy nie wiadomo, ile wie taki świadek. Najprościej... – przeciągnąłem palcem po gardle.

– Miałbyś rację – zdobył się na nikły uśmiech. – Gdyby to była robota facetów z pierwszej ligi. CIA, Rosjanie, Mossad... Ale nie wszyscy dają swoim agentom licencje na zabijanie. No i są jeszcze wykrywacze kłamstw.

Nie zaakcentował ostatniego zdania. Ale było ważne.

– Strzelają do nas z rakiet przeciwczołgowych – zauważyłem. – Myślisz, że stać ich na takie subtelności, jak wykrywacze kłamstw?

– Przypominam, że to tylko moje gdybanie. Tak, myślę że można brać pod uwagę i ten etap. Nawet trzeba. Ci z nas, którzy przeżyją, usłyszą wiele pytań. I od odpowiedzi może zależeć ich dalsze życie.

– Najprościej nie dopuścić, by ktoś przeżył.

– Lubisz proste rozwiązania, co?

– A ty lubisz mówić zagadkami. Może byś tak powiedział wprost, kto twoim zdaniem próbuje nas zabić? I dlaczego.

– Nieświadomi dłużej żyją.

Dałem za wygraną. W gruncie rzeczy powiedział całkiem sporo.

– To się jakoś wiąże z wycieczką po wodę? – westchnąłem.

– Możliwe. To znaczy: na pewno potrzebujemy wody na wypadek pieszego marszu. Ale bardziej chodziło mi o dziewczynę. – Przez chwilę zastanawiał się nad doбором stosownych słów. – Nie możesz jej ufać.

No cóż, znalazł całkiem stosowne.

– Nie ufam. – Brwi Morawskiego powędrowały do góry. – No, co się tak gapisz? Nigdy nie twierdziłem...

Czekał, ale nie dokończyłem. Moja znajomość z Gabriellą Asmare była krótka, jeśli mierzyć zegarkiem, lecz zbyt burzliwa i bogata w emocjonalne zwroty, by słowo „nigdy” nadawało się do jej uczciwego opisu.

– To dlaczego się w to pchasz? – zapytał dziwnie cicho.

– Bo bez tej wody prawdopodobnie zdechniemy.

– I?

Musiałem to komuś powiedzieć. Choćby po to, by powiedzieć sobie.

– Może się w końcu dowiem, czy jest tą wredną, kłamliwą suką. To znaczy... prawie na pewno się dowiem.

– Bo cię zabije albo nie?

– Bo spróbuje albo nie – sprostowałem. – Nie bój się, nie mam zamiaru dla niej umierać. Będę uważał.

– Ale musisz tam iść? – To nie było pytanie, więc nie próbowałem odpowiadać. – Niezłe wpadłeś, szkoda gadać.

Siedzieliśmy przez jakiś czas, smażąc się w słońcu. Niebo było idealnie puste, nawet sępy dały za wygraną i zrobiły sobie sjęstę.

– Nie wierzę jej. – Morawski omal nie rozejrzał się na boki, by sprawdzić, czy to naprawdę ja do niego mówię. – Wiem, że kłamie przynajmniej w jednej kwestii. Mówi, że sfałszowała rozkaz Zaręby. Ten o zabranii jej na pokład sokoła.

– Żartujesz.

– Nie. A problem w tym, że generał mówi coś wręcz przeciwnego.

Wyglądał na zdrowo wstrząśniętego.

– Tylko nie pytaj, o co jej chodziło – dorzuciłem. – Pewnie pogubiła się w swoich krętaństwach. Wszyscy dostaliśmy w kość, ciężko się tu myśli bez wody. W każdym razie nie ufam jej ślepo.

– Ale... idziesz?

– Mówiłem ci: potrzebujemy wody. A to jedyna szansa.

Zastanawiał się nad czymś. Pewnie nad skutecznym sposobem przemówienia mi do rozsądku.

– Mogę ci coś doradzić? Tylko się nie śmieję. Mówię serio.

– Mam sobie wybić z głowy ten pomysł?

– Zanim pójdziesz, wywołaj ją przez radio. I powiedz... powiedz, co do niej... – Musiał przerwać i wykonać głęboki wdech. – Powiedz, że ją kochasz. Może cię nie zabije od razu.

*

Od chwili, gdy południowe obrzeża Bukłaka znalazły się za moimi plecami, poruszałem się jak na zajęciach z taktyki: krótkimi skokami. Biegłem kilkadziesiąt metrów, zygzakując przy tym ostro, padałem za wybraną wcześniej osłoną, odczołgiwałem się kawałek i oglądałem przez lornetkę potencjalne kryjówki potencjalnych snajperów. Tych ulokowanych blisko nie powinienem przegapić, a przy strzale z daleka miałbym spore szanse rozminąć się z pociskiem: najlepszy strzelec świata nie może być pewny trafienia w coś, co już po wystrzeleniu pocisku potrafi przemieścić się o pół metra w lewo czy prawo. Inna sprawa, że bardziej niż na życliwość losu, który decyduje w takich przypadkach, liczyłem na zdrowy rozsądek Sabaha.

Ścigał kolumnę pojazdów i nie miał powodu rozmieszczać samotnych snajperów pośrodku pustkowia.

I faktycznie: kolejne setki metrów pozostawały za mną, a ciszę przerywał jedynie coraz krótszy oddech i coraz cięższe dudnienie butów o ziemię. W którymś momencie niemal przestałem się bać. W trakcie przerw wspomagany szklami wzrok biegł zaskakująco daleko, nie napotykał żadnych przeszkód, i zdążyłem uwierzyć, że na tym cholernym pustkowiu nie ma po prostu kryjówek zdolnych ukryć człowieka.

Ile warta była ta teoria, przekonałem się w połowie kolejnego skoku. Moje oczy wyłowiły spośród niegodnych wzmianki kępek trawy dopiero drugą koleinę, a mózg zareagował na ów obraz dobre kilkanaście kroków dalej.

Zawróciłem, zwałem się tyłkiem obok jakiejś karykatury krzaka i przez chwilę próbowałem podbudować morale stwierdzeniem, że dwie długie na parę kilometrów wstęgi potraktowanej gąsienicami ziemi to jednak nie to samo co przyczajony w zasadzce tubylec. Człowieka na pewno wypatrzyłbym dużo wcześniej.

Może nawet zdążyłbym nie nadepnąć mu na głowę...

Cholerny kraj.

Honkera znalazłem w identycznym stylu: pojawił się w szklach lornetki w miejscu, które oglądałem wcześniej dwa razy i w którym – dałbym może nie głowę, ale na pewno palec – nie było niczego nienaturalnego. Stał wprawdzie w sąsiedztwie paru zbitych w gromadkę drzewek, były tam kamienie, a teren się obniżał, ale i tak nie chciało mi się wierzyć, kiedy nieforemna bryła przeistoczyła się zniecka w obwieszone kawałkami szmat, przyozdobione gałęziami pudło samochodu.

Przeładowałem karabin i powoli, z bronią na wysokości bioder, ruszyłem w jego stronę.

Ktoś się mocno napracował nad maskowaniem – już tu, na miejscu, dopasowano kolorystykę do barwy tła – ale wóz wyglądał na porzucony. Szedłem, szedłem i szedłem, honker rósł w oczach – i nic. Stał w zagłębieniu, widziałem tylko górną część. To trochę podnosiło na duchu.

Byłem zaledwie o parę kroków od wyłupanego reflektora, kiedy w końcu coś się poruszyło i zza burty wyrzwał kawałek kędzierzawej głowy.

Poderwała się jak pchnięta sprężyną.

– Jesteś?

Nie potrafiłem zgadnąć, co czuje. Jedno było pewne: moje pojawienie się zrobiło na niej wrażenie.

Próbowałem znaleźć odpowiednie słowa. Bez skutku.

– Przyszedłeś. – Wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że zabrakło już energii na głośne mówienie. – A gdzie... Jesteś sam?

Sprawiła wrażenie kogoś, kto mówi tylko po to, by nie milczeć. Rozejrzała się. A jej prawa ręka...

– Sam – powiedziałem. Czuję, że fatalnie to rozgrywam. Była za mądra i – jeśli słusznie ją podejrzewałem – zbyt wyrachowana, by robić coś z tą opuszczoną, ukrytą za samochodem ręką. Nawet jeśli faktycznie obciążał ją automat. To nie była pozycja do szybkiego strzału.

Staliśmy jeszcze przez chwilę w całkowitym bezruchu. Potem wykonała pierwszy krok w prawo. Naturalny wstęp do obejścia wozu. Albo poderwania broni do ramienia. To była ta chwila, którą powinienem wykorzystać dla ratowania życia.

Nie poruszyłem się. Nawet gdy warknęło rozcinane pociskiem powietrze i słupek podtrzymujący niegdyś przednią szybę, a teraz resztki uszczelek, trysnął efektownym gejzerem zebranego wewnątrz pyłu.

Stałem jeszcze całą sekundę, bo po prostu nie wierzyłem. Nie przyjmowałem do wiadomości. Nie chciałem przyjmować. Dopiero widok pustki w miejscu, gdzie przed chwilą przesuwała się ruda od brudu koszulka Gabrieli, pobudził mnie do działania. Do myślenia jeszcze nie. Jak ostatni idiota, obiegnę po prostu samochód. Gdyby chciała mnie zastrzelić, zyskała idealną okazję. Wystarczyło podnieść lufę archaicznego automatu i nacisnąć spust. Nie zrobiła tego, lecz za to zainkasowałem pierwszy w życiu cios pepeszą w jądra. Błyskawicznie zrobiłem więc to, od czego należało było zacząć. Czyli zwałem się z jękiem na kolana, schodząc komuś z linii strzału.

Gabriela padła na brzuch. Późno jak na kogoś, kto zaraz potem zaczął rozglądać się tak gorączkowo we wszelkie możliwe strony.

– Jest gdzieś daleko. – Logiką też się nie popisała: mówiła to prawie szeptem. – Ledwie stuknęło.

Nie próbowała klękać i przeczesywać wzrokiem północnej części świata. Niby słusznie: stamtąd przyszedłem. Nikt mnie nie zabił, więc strzelec musiał ukrywać się po drugiej stronie. Nie było czego wypatrywać, nie było sensu wystawiać pleców na strzał. Wszystko pięknie. Ale przedtem klęczała całe sekundy. Dlaczego?

Panika? Strach o mnie? Czy może chwila niezdecydowania?

Jeśli chcesz kogoś zabić, jeśli ten ktoś może cię podejrzewać – strzelaj raczej zza samochodu. Teraz, gdy byliśmy obok, było już trudniej. I jeszcze jedno: zdeorientowana, krystalicznie uczciwa i ufająca mi ślepo dziewczyna zachowywałaby się właśnie tak. Też wypatrywałaby zagrożenia wszędzie, tylko nie w miejscu, z którego przyszedłem. Nie patrzyłaby na moje ręce. Ani w oczy. Bo po co? Przyzwoite dziewczęta nie mają powodu sprawdzać, czy doktor Szczebielewicz nie przymierza się do grzmotnięcia ich kolbą. Z czym dziewczęta podzynające ludziom gardła i mordujące rannych powinny się liczyć.

– Nie wiem, co się stało. – Wciąż nie patrzyła w moją stronę, co zaczynało już wyglądać nienaturalnie. – Cały czas było spokojnie.

Wahałem się jeszcze chwilę. Potem podniosłem rękę.

– Jest gdzieś tam.

Popatrzyła z niedowierzaniem na mój kciuk. I na mnie.

– Niemożliwe... Przecież stamtąd...

– Na sto procent.

Próbowała zrozumieć. Niczego to nie dowodziło: uczciwej czy nie, zafundowano jej niespodziankę.

– Naprawdę nikt z tobą...? – Nie dokończyła. Klęczałem, żyłem, nikt nie strzelał. Wzięła ze mnie przykład i też uklękała.

– Wpadłaś w szambo?

Pod rudawym nalotem pyłu honker połyskiwał nie tylko nałożonym w wąwozie smarem, a już na pewno nie zapach smaru zwabił tu tyle much.

– Z braku farby dobre gówno. – Uśmiechnęła się słabo. – Ktoś pędził tędy stado. Całkiem niedawno. Jeszcze się kleiło.

– Mądrała.

– Niezupełnie. Na pędzel nie miałam pomysłu. Więc wybacz, że nie uścisknę ci dłoni. Myłam się piaskiem.

– Przeżyję jakoś.

– A propos przeżycia... Chyba nas przygwoździli.

Miała rację. I jak na kogoś mającego rację w takiej kwestii, trochę za dobrze panowała nad sobą. Przez chwilę zastanawiałem się nawet nad jej ewentualnymi powiązaniem ze snajperem. Teoretycznie mogła rozegrać to w taki sposób. Było jednak poważne „ale”.

– Prawie cię trafił – powiedziałem cicho.

– Chyba tak – przyznała. – Zmierzasz do czegoś czy tak tylko...?

Wyglądała jeszcze gorzej niż jej samochód, ale pod tym brudem, obszarpaniem i zmęczeniem wciąż krył się bystry umysł.

– Zakurzyło się zdrowo, musiał zauważyć, że chybił. A jednak...

– ...nie poprawił – dokończyła. – Ja się schowałam, ale ciebie mógł spokojnie... No i wóz. – Opadła na pośladki, wsparła się plecami o koło. – Jest daleko, strzela celnie, więc to pewnie karabin. Duża siła rażenia. Parę kul w silnik i jesteśmy uziemieni. Ciekawe.

Było gorąco, honker śmierdział, muchy brzęczały. Nie spieszyłem się z mówieniem. Czekałem na powrót normalnego oddechu.

– Nie pozwoliłeś mi rozmawiać przez radio – mruknęła po dobrej minucie. – Co tam się stało?

Trzymała automat w poprzek skrzyżowanych po turecku nóg. Mogłem zarobić serię za sprawą jednego ruchu palca. Ale byłem w kamizelce. I też położyłem broń lufą w jej stronę.

Nadal niczego mi nie udowodniła. Pepesza nie przedziurawi kevlaru, a na nią ktoś polował. Nie wiedziała, co się dzieje. Nie zabija się potencjalnego źródła ważnych informacji.

– Filipiak... no, już nie dowodzi.

Gwałtownie obróciła twarz w moją stronę.

– Nie... co mu się stało?

Opowiedziałem zwięźle. O nim, o nas wszystkich i paskudnej dziurze szyderczo ochrzczonej Bukłakiem.

– I zostawiłeś go? – zapytała, bez powodzenia kryjąc zdziwienie. Może po prostu grała. Ale jeśli tak, miałem przed sobą potencjalną laureatkę Oscara. I żadnych szans na pokonanie jej w subtelnym pojedynku na gesty, słowa czy wyrazy twarzy.

– Lekarz bez leków to trochę więcej niż troskliwy amator.

– Ale jednak więcej. – Wyczułem, że wolałaby tego nie mówić.

– Nie było innych chętnych.

– Sama mogłam was znaleźć.

– A przywieźć wodę z Kasali? – Oczy jej urosły. – No właśnie.

– Chcecie...? Myślałam, że...

– Zamienimy się bronią – powiedziałem rzeczowym tonem. – Wczołgasz się tylnymi drzwiami i odjedziemy tak szybko, jak się da. Gdyby strzelał, spróbuj odpowiadać ogniem. Tylko bez przesady, wziąłem cztery magazynki. Póki nie strzelają, masz leżeć i się nie wychylać.

Milczała ze ćwierć minuty. Może zastanawiała się, czy załadowałem beryla i nie proponuję jej aby kawałka bezużytecznego złomu.

– Ja poprowadzę – odezwała się w końcu. Pokręciłem głową. – Przejechałam nim kawał drogi, wiem, na co go stać. Lepiej...

– Masz jeszcze hełm i kamizelkę? – Przytaknęła niechętnie. – Wpełznij tam, załóż i powiedz, jak będziesz gotowa. – Zaczęła otwierać usta. – Cicho. To do ciebie strzelał, nie do mnie.

– Ale...

– Zamknij się.

Zamknęła się, oddała mi swój muzealny rozpylacz, wzięła karabin i – nie zaglądając do komory – na czworakach przeszła na tył samochodu. Honker stał w zagłębieniu terenu i lekko skośnie w stosunku do północy. Fakt, że snajper nie strzelił, niczego nie dowodził. Był daleko i nie musiał też słyszeć, jak zapuszczam silnik, klęcząc przy otwartych drzwiach. Ale w końcu musiałem zaufać swojej teorii na temat jego intencji, wskoczyć na fotel i poprowadzić samochód. Oczywiście bardziej leżałem, a to na kierownicy, a to na prawym fotelu, niż siedziałem, jednak od czasu do czasu było mnie widać. No i nietrudno było wydedukować, gdzie jestem.

Ten z północy nie strzelał. Chyba. Miałem świeżo w pamięci Olszana i jego desperackie próby zatrzymania ciężarówki, więc nie wyciągnąłem żadnych ostatecznych wniosków – ale uderzenia pocisków o karoserię chyba jednak bym wyczuł. Więc raczej nie próbował.

Po minucie jazdy usiadłem prosto i wrzuciłem wyższy bieg. Pomijając rzadko rosnące drzewa, słupki termitier i większe kamienie, teren był doskonale przejezdny, więc honker sunął dość szybko.

Dostrzegłem Gabrielę dopiero, gdy zwała się pośladkami na fotel.

– Lepiej będzie, jak wrócisz do tyłu i się położysz.

– Musimy pogadać.

– Nie umiesz na leżąco?

Pozwoliłem sobie na krótkie spojrzenie w bok. Miała dziwny wyraz twarzy. Cóż, przed chwilą strzelano do niej.

– I zabezpiecz karabin – dorzuciłem.

– Naprawdę musimy pogadać. I to nie na leżąco. Wolałabym, żebyś stał. Przejeźdź jeszcze kawałek i zatrzymaj.

Musiałbym być głuchy jak pień i odpowiednio niewrażliwy, by uznać to po prostu za prośbę. Choć trzeba przyznać, że starała się nie stawiać sprawy na ostrzu noża: karabin po prostu leżał w poprzek gołych ud. I tylko opierała o niego spocone ręce.

Zatrzymałem honkera kilometr dalej. Ożywczy wiatr, towarzyszący jeździe, przestał chłodzić spocone ciało. Nagle poczułem się brudny, cuchnący i nieszczęśliwy. Kupa nieszczęścia z akcentem na kupę. I z zadatkami na coś jeszcze żałośniejszego. Trupy z natury są żałosne. A trupy idiotów... Wysiadłem. Pepesza została między fotelami. Nie oglądając się za siebie, sięgnąłem po lornetkę i obejrzałem zachodnią część świata, tę, ku której jechaliśmy. Dałem Gabrieli i czas, i okazję. Cokolwiek zamierzała, mogła to zrobić teraz.

– Wzruszający pokaz zaufania.

Odwróciłem się. Stała wsparta pośladkami o nadkole. Kciuki wyzywająco zahaczone o kieszenie, karabin zwisający z ramienia. W rozdymającej korpus kamizelce wyglądała jak krucha, umorusana smarkuła, która przebrała się za tatę-żołnierza i nieudolnie naśladowuje

dorosłych.

W oczach – mimo wszystko – też miała coś dzieciennego.

– Nie rozumiem...

– Nie kłam – powiedziała cicho. – Zdziwiłbyś się, ile rzeczy potrafię u ludzi zaakceptować; naprawdę byś się zdziwił. Ale nie trawię łgania w żywe oczy.

– Przepraszam. – Walczyłem przez chwilę z tkwiącym we mnie normalnym członkiem normalnego, zdrowo nieszczerego społeczeństwa, po czym podjąłem jedną z najbardziej męskich decyzji w życiu. – Pomyślałem, że jeśli chcesz mnie kropnąć, to tak będzie lepiej.

– Kropnąć? – Nie wstrząsnąłem nią zbyt mocno. Miała w oczach dziecięce marzenie o naiwności, naiwna jednak nie była.

– Tylko nie mów, że nie wiesz, o czym mówię.

– Myślisz, że chcę cię zabić? – zapytała z pozbawioną domieszek rzeczowością. – Dlaczego?

– Bo może to ty tuszujesz sprawę zestrzelonego śmigłowca. Na upartego możesz nawet współpracować z Sabahem.

– Chyba ci odbiło...

– Nie mówię, że na pewno. Ale okłamałaś mnie.

– To już ustaliliśmy. – Uciekła spojrzeniem z mojej twarzy. – Ten jeden raz. Reszta to prawda. A poza tym...

– Nie ustaliliśmy – spokojnie wszedłem jej w słowo. – W tym problem. Zaręba dał ci ten rozkaz wyjazdu.

– Co?

– Wiem: to nic wielkiego. Ale rozmawiamy o twojej wiarygodności.

Chwilowo nie rozmawialiśmy. Przyglądałem się jej, czekałem na ripostę i próbowałem zrozumieć, dlaczego przypomina ofiarę nokautu.

– Zaraz... chcesz powiedzieć... On tak mówi? Że mnie tu przysłał? To jakieś nieporozumienie. Coś ci się musiało...

– Zapomnij o nieporozumieniu. Któreś z was kłamie, tak to wygląda.

Tym razem przerwa była dłuższa, jak to po drugim nokaucie. Prażyłem się w słońcu, zastanawiając się, czy podniesie się z desek bez podpierania karabinem.

– Ja cię nie okłamałam – powiedziała wreszcie.

– Czyli to Zaręba – podsumowałem niedbale. – No cóż.

– To jakieś... – Miała dość godności, by się nie powtarzać. – Cholera. Jasna, pieprzona, cholerna cholera.

– Ano tak – westchnąłem. – Gówniana sytuacja. Jeśli ci zawadza, wołałbym zostać zastrzelony już teraz. Po co się męczyć nawzajem.

Twarz Gabrieli pociemniała.

– Jesteś... jesteś głupi, tępy kołek! – Z trudem przepchnęła to przez ściśnięte pasją gardło. – Wsadź to sobie, kretynie!

Jeżeli miałem jakieś złudzenia co do szans skutecznej samoobrony, błyskawicznie mnie ich pozbawiła. Nie tylko zdarła karabin z ramienia, nim w ogóle pomyślałem o kaburze, ale zdążyła cisnąć nim oburącz, uprzedzając skurcz mego żołądka. Zrehabilitowałem się tylko częściowo, łapiąc odbitego od piersi beryła tuż nad ziemią.

– Jezu... Miałaś strzelać, nie łamać mi żebra...

– Wbij sobie w ten dumny łeb, że nie jestem żadnym szpiegiem! – krzyknęła. – A jak nawet, to ciebie na pewno nie zabiję! Na pewno! – Odwróciła się i w zastępstwie mojego gardła miażdżyła przez chwilę palcami krawędź drzwiczek. – Kretyn!

Podszedłem bliżej, ale zabrakło mi odwagi, by dotknąć jej zgarbionych pleców. Choć tak naprawdę dotykałbym kevlaru.

– Gapa...

– Spadaj.

Ba, łatwo powiedzieć.

– Oboje jesteśmy wypompowani. Mamy zszargane nerwy.

– Dużo bierzesz za takie głębokie diagnozy?

– Zostawmy to. – Wciąż rozmawiałem z jej karkiem. – Co mi chciałaś powiedzieć? Na stojąco?

Wyprostowała się. Omal nie dostałem po nosie kołnierzem kamizelki. Obróciła się powoli, wyraźnie unikając fizycznego kontaktu ze mną. Też najchętniej bym unikał. Nigdy w życiu nie czułem się tak brudny.

– Właściwie... o tym samym. Tylko w drugą stronę. Długo biedziłem się nad tą zagadką. Jej bliskość rozpraszała.

– To znaczy?

– Mógłbyś się trochę odsunąć?.

– Jasne. – Zrobiłem krok do tyłu. – Nawet ustawić pod wiatr.

Zaczerwieniła się pod swą skórą barwy czekolady. Miałem ochotę odgryźć sobie przynajmniej kawałek języka. „Nie umówiłabym się ze sobą na randkę...” Wieki upłynęły od tamtej rozmowy. I jeszcze więcej potu. Nie tylko mojego. A perfumy z zielonych jabłek skończyły się.

Dziewczyny chyba gorzej znoszą takie rzeczy.

– W tym problem – mruknęła. – W smrodzie. – Nim osłupiałem, porażony jej bezceremonialnością, wyjaśniła: – Coś przebiło folię, odłamek chyba. Trudno było nie wyczuć.

Dodałem dwa do dwóch.

– Moja torba – pokiwałem głową. – Oczywiście zajrzałaś?

Przyglądała mi się długo. Właściwie: przeświała wzrokiem.

– Ta scena... wszystkie sceny – poprawiła się. – To gra? Zasłona dymna? Powiedz. Teraz już możesz, to ty masz broń. Muszę wiedzieć.

– Nie.

– Dobra, nie muszę. Nie moja sprawa. Ale co mam...?

– Nie gra – przerwałem. – Naprawdę, szczerze i prostodusznie podejrzewałem cię o... no, o to wszystko. I nadal trochę podejrzewam.

Znów sobie pomilczeliśmy, czasem krzyżując spojrzenia, ale głównie ich unikając.

– Nie wiem, jak ci uwierzyć – powiedziała zaskakująco spokojnie. – Bardzo bym chciała. Dasz mi szansę?

To nie był sarkazm.

– Wziąłem to wszystko w charakterze dowodów.

– Na co?

– No... przecież po to nas posłali. Mieliśmy ustalić...

– Nikt tych twoich dowodów nie widział.

Mądra dziewczyna.

– Zastanawia cię, dlaczego je ukryłem? – Nie skomentowała oczywistości. Rozważyłem wszelkie za i przeciw, odpiąłem kamizelkę, sięgnąłem do kieszeni bluzy. – To znalazłem na resztkach pilota.

Zawahała się – naturalna reakcja, biorąc pod uwagę, w jaki sposób zawarła znajomość z poprzednim właścicielem medalionu – ale wyciągnęła rękę. Nasze palce stykały się o sekundę dłużej, niż było to niezbędne.

– I co z tego? – zapytała po obejrzeniu blaszki z obu stron. – Ten z miga też nie był muzułmaninem. Jeszcze jeden najemnik.

– Napis – podpowiedziałem. Obróciła medalik.

– To tylko inicjały – stwierdziła niepewnie. – Gdyby ktoś podejrzewał konkretną osobę, miałby jakąś korzyść, ale...

– „MŁ”. Nic ci to nie mówi?

– Tak się składa – rzuciła niezbyt przyjaźnie – że z pilotów znam tylko „RM” i „KO”. A ludzi w ogóle zbyt wielu, żebym...

Urwała nagle.

– No właśnie. – Wziąłem na siebie przykry obowiązek nazywania rzeczy po imieniu. – Problem w tym, że w ogóle szukamy w pamięci. Nie jestem poliglotą, ale nikt inny nawet by nie próbował.

– Myślisz, że to wszystko... cała ta jatka...?

– Nie. Wszędzie trafiają się czarne owce. Polska nie popsuje sobie opinii, jeśli wcześniej czy

później wypłynie afera z najemnikami na „Ł” czy „Ś”. Nikt nie byłby tak zszokowany, by tuszować ją, mordując ludzi.

– A jeśli to będzie bardzo konkretny „Ł”?

Zaskoczyła mnie.

– To znaczy... nie bardzo zrozumiałem.

– Jesteśmy w Etiopii, mamy w wozie gnijącą głowę polskiego pilota śmigłowcowego. Proste pytanie: gdzie szukałbyś kogoś, kto go znał?

Przyglądałem jej się z niedowierzaniem. Pewnie z braku lustra. Miała wielkie, poszerzone z przejścia oczy i mogłem sobie obejrzeć faceta, który właśnie pobił rekord bezmyślności.

– Jasna cholera...

– Nie pokazałeś tego Morawskiemu? Mogę zapytać, dlaczego?

Trzeba przyznać, że nie naciskała. Z kretynami lepiej łągodnie.

– Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł.

– Myślałam, że się... że jesteście sobie bliscy.

– Są sprawy, którymi właśnie z bliskimi się nie dzielisz. Żeby im zaoszczędzić zmartwień. Zresztą on chyba też... Zdaje się, że wie więcej, niż mówi. I nie mówi, by mnie nie narażać.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała z troską. Potem uruchomiła zmysł telepatii. – A ta apteczka? Jest nadpalona. Też z tego wraku, tak? Wiesz coś jeszcze, prawda? Co tu jest grane?

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie wiem. – Westchnęła. – Słuchaj, Jacek: jeśli jestem szpiegiem, to już i tak się dowiedziałam, że ty się dowiedziałeś. Muszę cię zabić tak czy owak. Logiczne? – Skinąłem głową. – To gadaj.

– A jeśli jesteś uczciwa i ta wiedza przysporzy ci kłopotów?

– Zaryzykuję.

– Jeśli jesteś w porządku – zdobyłem się na słaby uśmiech – to nie chcę, żebyś ryzykowała.

Przez chwilę przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

– Już nic nie rozumiem – poskarżyła się.

– Jedna szczerza odpowiedź – poprosiłem. – Ufasz mi? Tak na sto procent? Teraz, jak znalazłaś te rzeczy w raportówce?

Sekunda zwłoki. Potrafiła być szybka.

– Nie. Na sto... nie. Przepraszam.

– A jeśli się przyznam, że to ja jestem pan X, przysłany z Abeby dla zatarcia śladów? Że schowałem do torby wszystko, co mogło nas, ciemne siły, zdekonspirować? A potem nie miałem okazji się tego pozbyć? Co wtedy? – Włożyłem jej karabin w rękę, pomogłem wyraźnie bezwładnym, brązowym palcom zacisnąć się na łożu i kolbie, przytrzymałem je przez chwilę. –

Mam dość oglądania się za siebie.

– Zabiłeś kogoś? – Ledwie ją słyszałem.

– Nie. I nie jestem panem X. A ty?

– Jezu... Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył? Włożyć dłoń do ognia?

Trzymała już karabin. Powinienem zabrać rękę.

– Wiara to wiara. Przychodzi i jest. Musisz trochę poczekać i być szczerą. No i nie kropnąć mnie. – Złagodziłem końcówkę uśmiechem.

– Już ci powiedziałam – mruknęła. – Nie zabiję cię. Nawet... Ostatecznie to już nie moja sprawa. Teraz mój dom jest tutaj. W Etiopii. Co mnie obchodzą porachunki białych ludzi? Zabijajcie się, na zdrowie. Dopóki siebie, a nie mnie, będę lubić tych, którzy są dla mnie dobrzy a nie lubić wrednych. I gównu mnie obchodzi cała reszta. Wiem, że to prymitywne. Jestem prymitywna, wcale tego nie...

Zdjąłem w końcu rękę z jej dłoni. Po to tylko, by koniuszkami palców zamknąć jej usta. Suche, spękane... Teraz także zeszywniałe z wrażenia.

– Wystarczy. – Jeszcze przez chwilę cieszyłem się dotykiem czegoś tak nieskończenie doskonałego w swej formie, po czym opuściłem rękę. – Wskakuj do wozu, czarna egoistko. Musimy jechać i ratować te wredne blade twarze. I nie kłam więcej.

*

– Pusto. – Opuściłem lornetkę. Leżała obok, więc od razu wyciągnęła po nią dłoń. – Daj spokój. Dziesięć minut się gapię.

O dziwo, dała spokój. Wycofała się, najpierw na brzuchu i kolanach, potem w skłonie, do stojącego u stóp wzgórza samochodu. Nie podobał mi się ten nagły atak pokory. I słusznie.

– Pójdę tam – oznajmiła, gdy zszedłem na dół. – Rozejrzę się i...

– Odbiło ci? – Nie skomentowała, chyba że uznać za komentarz zdejmowanie karabinu z pleców. Oczekałem chwilę. Nie zastrzeliła mnie za formułowanie obraźliwych sugestii, ale dopiero kiedy odłożyła beryla na maskę sanitarki, łuski opadły mi z oczu. – Zgłupiałaś do reszty? Chcesz iść bez broni?

– Wezmę automat – wyciągnęła rękę. – Tobie karabin bardziej się przyda. Osłonisz mnie w razie czego. Stąd – podkreśliła.

Zaparkowałem na przeciwstoku o czterysta metrów od najbliższej lepianki. Przy takiej odległości nawet nowiutka pepesza zbliżała się skutecznością do korkowca. Beryl teoretycznie nie i gdyby Gabrieli przyszło umykać z Kasali przed bandą wieśniaków z widłami, pewnie zdołałbym ją uratować. Tyle że nie błysku wideł wypatrywałem przez lornetkę. Groźni byli ludzie z karabinami, a ci zwykle nie paradują po odkrytej przestrzeni. Już samo dostrzeżenie ich

między odległymi o pół kilometra opłotkami było nie lada sztuką.

– Nigdzie nie pójdziesz – rzuciłem twardo. Nie opuszczała ręki, uparcie czekając, aż zdejmę przewieszony przez ramię peem. – Jeśli Sabah kogoś tu zostawił, to góra paru ludzi. A przeciw paru ludziom dwie lufy to dużo więcej niż jedna. Ręka cię zaboli.

Demonstracyjnie podparła ją od dołu drugą. Może nawet roześmiałbym się, gdyby nie śmiertelnie poważny wyraz jej twarzy.

– A w ogóle to najlepiej będzie, jeśli ja poja... pójde – poprawiłem się. Za późno. Nie przegapiła okazji.

– No właśnie. Nie chcę melodramatyzować, ale los całego plutonu wisi na tym złomie. – Trąciła piętą oponę. Traf chciał, że w miejscu, które ktoś wcześniej przestrzelił. Na szczęście dziury w bocznych powierzchniach kół nie szkodzą zbytnio dętkom i dojechaliśmy do Kasali bez konieczności łatania którejkolwiek. – Już raz mi zdechł. To dlatego się zgubiłam. Cud, że udało mi się go uruchomić.

– Przecież mówię, że pójde pieszo – wzruszyłem ramionami.

– Mogą cię zabić. Jeśli tam są – dodała szybko.

– I dlatego powinienem posłać przodem dziewczynę? – zakpiłem.

– Jestem zbyt cenna, by do mnie strzelać z zasadki – uśmiechnęła się posępnie. – Mam większe szanse. Nawet gdyby mnie złapali.

– Pieprzenie – rzuciłem ze złością.

– Właśnie – spokojnie skinęła głową. – Pieprzenie. – Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i gdyby nie upał, przypląciłbym to solidnym rumieńcem. – Wszyscy faceci myślą tym samym. Tacy już jesteście. A jemu naprawdę na mnie zależało. Nie jest byle kim, ja jestem, a jednak to mnie wybrał. I wypowiedział wojnę ONZ z mojego powodu. To chyba o czymś świadczy, nie uważasz? Założę się, że woli mnie dostać żywą.

Nie mogłem z nią dyskutować. Miała za dużo racji.

– No dobrze – rzuciłem przez zęby. – Idziemy razem.

– Ja idę, wy... – klepnęła nadkole – Czekacie. Dotarło?

– Słuchaj, może Sabah je ci z ręki, ale ja...

– Nie bądź idiotą. Jechaliśmy tu niecałą godzinę. O następną godzinę drogi stąd, góra półtorej, jest Misrak Gashemo. Garnizonu już tam nie ma, ale rebeliantów pewnie też. Jakby co, dojedziesz, weźmiesz wodę i wrócisz do chłopaków.

– Mamy mało paliwa, a wóz jest niepewny.

– Dlatego mówię: „Jakby co”. – Podeszła bliżej i sama, nie pytając o pozwolenie, zdjęła mi automat z ramienia. – Pójde tylko do siebie, a to na uboczu. Zorientuję się, co słyhać, i od razu wracam. Nic mi się nie stanie. Tam są zarośla. Znam tu każdy kamień, nie zauważą mnie.

– Gapa... – patrzyłem bezradnie, jak wiesza pas na ramieniu i sięga po ładownicę. Umarła,

zabiłem ją, teraz zmartwychwstała i nie potrafiłem już narzucić jej czegokolwiek.

– Jesteś biały facet w mundurze. – Przeciągała mi parcianą taśmę przez głowę. – Jak zajedziesz do Misrak i zażadasz beczki z wodą, to może ci dadzą. Mnie zabiorą samochód, karabin, a na deser jeszcze zerzną, jeśli nie dla zabawy, to za bezczelność.

Nie chciała mnie dotykać i miała rację, ale rozgrywała to fatalnie. Widok kępki włosów pod pachą miał siłę oddziaływania nieporównanie większą od ewentualnego zetknięcia się jej kevlaru z moim kevlarom.

– Słuchaj, naprawdę nie mogę...

– Możesz – przerwała mi łagodnie. – Jacek, to moja rodzina. Jedyni bliscy ludzie. Muszę z nimi pomówić. Nikogo więcej nie mam.

Wystarczyło powiedzieć: „Masz mnie”. Dwa krótkie słowa.

– Pójdę z tobą. – To już nie była propozycja, raczej coś zbliżonego do skamlenia żebraka. Nie zdziwił mnie zdecydowany ruch jej głowy.

– Zostawiłeś rannych. Dla wody. Ona jest najważniejsza.

Patrzyłem, jak odchodzi, i próbowałem sobie wmówić, że ma rację.

*

Wróciła tą samą trasą: za grzbietami otaczających wieś pagórków. Nie musiała nic mówić. Pochylona sylwetka, kolba automatu przyklejona do pachy, głowa obracająca się na wszystkie strony... Jeden rzut oka powiedział mi wszystko.

Podniosłem się z ziemi i podszedłem do samochodu. Zatrzymała się po drugiej stronie, ale też jeszcze nie wsiadała.

– Przeszło godzina. Powinienem ci nakłaść po tyłku – powiedziałem cicho. Wykrzesła spod maski brudu i zmęczenia cień uśmiechu.

– To ostatni raz. Więcej nie będę łązić samopas. No, chyba że ze szpiegowskim meldunkiem.
– Trafnie oceniła mój nastrój i dorzuciła ciszej: – Przepraszam.

– Nie ma za co – rzuciłem oschle.

– Nie? – Zrozumiała od razu. Resztki uśmiechu wsiąkły w pokrywający policzki kurz. – Nadal jestem podrzynaczką gardel?

– Nigdy nie przestałaś być.

Przyglądała mi się przez chwilę z niemym wyrzutem w oczach.

– To o co chodzi? – zapytała w końcu. – Bo już się gubię. Jesteś wściekły, że poszłam, czy że wróciłam?

– Ilu ich tam jest? – zignorowałem pytanie.

– Paru – mruknęła. – Pilnują sadzawki.

– Nie ma to jak precyzja. – Zmrużyła oczy, sapnęła przez nos i ruszyła znienacka w stronę grzbietu, za którym leżała wioska. – Dokąd?

– Policzyć dokładniej. – Na szczęście ograniczyła się do paru kroków i nie musiałem się kompromitować, ruszając w pościg. – Wybacz. Całkiem zapomniałam, że od nas, szpiegów, wymaga się konkretów.

– Wsiadaj. – Dałem dobry przykład, lokując się za kierownicą. Zawahała się, lecz niemal od razu cofnęła stopę, demonstracyjnie krzyżując ręce na piersi. – No już.

– A po cholere? Znów kogoś zarznę i będziesz miał nieprzyjemności.

– Nie zarzniesz. Sami jesteśmy.

– Zdecyduj się na coś. Albo się boisz o mnie, albo mnie.

– Albo jedno i drugie. No już, pakuj się.

– Tego się nie da połączyć! – zaprotestowała. Ruszyła jednak w stronę samochodu. Może dlatego, że uruchomiłem silnik.

– Mam kumpla psychiatrę – rzuciłem ponuro. – Najbardziej oblegany gabinet w całej przychodni.

– Nikogo nie zabiłam – powiedziała, zatrzymując się przy drzwiczkach. – Nawet tej wrednej krowy... Podobno będzie żyła. Sabah ma dwóch chirurgów i ambulans. Popszywali ją.

– Wsiadaj – mruknąłem. Nie sięgnęła do klamki. Zamiast pośladków ulokowała na prawym fotelu swój automat.

– To bez sensu. – Ledwie ją słyszałem przez wcale nie tak głośny pomruk silnika. – Nikogo tam nie mam, mogą mnie wsadzić, a ty się mnie zwyczajnie boisz. Po jaką cholere miałabym...

– Bo tu cię zabiją.

– Niekoniecznie. – Próbowała mówić z przekonaniem, jednak nie do końca jej to wychodziło. – Wujek uważa, że jeśli przeproszę Sabaha, sama oddam się w jego ręce... A nawet jak nie, to przynajmniej nie będzie się mścił na mojej rodzinie. Jestem im to winna.

– Nie pieprz głupot. Zabije cię.

– A wy wsadzicie. Dwadzieścia pięć ofiar... Dożywocie jak nic. To już wolę Sabaha. – Wykrzywiła twarz w nieładnym uśmiechu. – Kiedy się postaram, potrafię być miła. Właściwie całkiem fajnie nam było razem. Może mi się upiecze.

Patrzyła mi w oczy. Nie wiem, czy to spojrzenie bardziej pytało, czy rzucało wyzwanie, ale przynajmniej zrozumiałem, co powiedziała. Poczułem, jak sztywnieje mi twarz.

– Wrócimy na oparach – Wziąłem się w garść i postukałem we wskaźnik paliwa. – Jak chcesz się nad sobą użalać, to może w drodze, co?

– Odwal się – warknęła, cofając się od samochodu.

– Nie teraz. Jesteś mi potrzebna.

– Odwal się. Nie będę nigdzie jeździć z kimś, kto ma mnie za jakąś krwiożerczą kurwę. –

Przechyliłem się, otworzyłem jej drzwi. – Nie rozumiesz po polsku? Co, akcent mi się popsuł? Spadaj!

– Olszan zawsze cię bronił – popatrzyłem jej twardo w oczy. – Grochulski był uprzejmy. Filipiak nawet nie kazał skuć. – Złość uchodziła z niej jak powietrze z przestrelonej opony. – Nikt ci nie strzelił w plecy, chociaż paru chłopaków pewnie miało okazję, a motyw wszyscy. Coś im jesteś winna.

– Bydlak – powiedziała cicho. Broda jej drżała, nie umiałem jednak ocenić: z pasji czy od tłumionego płaczu.

– Potrzebuję tłumacza. Potem, jak chcesz, zostawię cię tutaj.

W tej chwili nie umiałem jej zaoferować niczego więcej, ale okazało się, że nie muszę. Zatrzasnęła drzwi, obeszła honkera, otworzyła te z tyłu. Wrzuciłem bieg i ruszyłem, nie oglądając się za siebie.

*

– Chcę.

Poprzedziła tę deklarację godzinnym milczeniem, ale od razu zrozumiałem, o czym mówi. Honker jechał przez wyschniętą na pieprz równinę, omijał nieliczne drzewa i nie rozwaliał zawieszona na żadnym kamieniu, więc chyba prowadziłem jak należy, jednak moje myśli błądziły całkiem gdzie indziej. Właśnie tam, gdzie jej.

– Wsiądę w Misrak Gashemo. Jak zdobędziemy wodę. Może być?

Kiwnąłem głową. Nie była idiotką, nie zamierzała eksperymentować z Sabahem i jego samczym ogłupieniem. Trudno. Przeżyję. Nie na jej lekkomyślności opierałem linię obrony swej dojrzewającej decyzji. Właściwie to nawet lepiej. Udowodniła, że jest rozsądna. Seryjny morderca też musi być. Inaczej zabraknie mu czasu na tę seryjność.

Honker wtoczył się na kolejny płaski pagórek. Zza pary innych pagórków, daleko na zachodzie, wyrzała ciemniejsza niteczka drogi. Zerknąłem na wyświetlacz GPS-a. Osada Misrak Gashemo powinna być gdzieś na południe od nas, przy drodze właśnie. Jeszcze parę minut i Gabriela przestanie być potrzebna. Powiemy sobie: „Cześć”, by nigdy więcej...

Powiemy?

A może po prostu odwróci się i bez słowa zniknie w tłumie gapiów?

Drogą, w tumanie kurzu, sunęły pojazdy. Sporo. Misrak Gaschemo musiało być większe, niż przypuszczałem, więc tłum pewnie się uzbiera. Coś krzyczało we mnie na myśl, że wszystko może skończyć się aż tak prozaicznie, że po prostu w którymś momencie rozejrzę się i wśród dziesiątek brązowych twarzy nie znajdę już tej jednej, jedynej, niezwyklej.

Dobra, jeszcze raz. Zaręba to generał. Nosi roleksa, zaliczył West Point – fakt, że już nie jako

kadet – jego biurko zdobią wspólne zdjęcia z Annanem, Powellem czy Kwaśniewskim. No i nie miał powodu kłamać. Mniejsza o status społeczny – za jego wersją przemawiała po prostu logika. Jaki interes miałby Zaręba spiskowiec we wmawianiu nam, że panna Asmare poleciała do Ogadenu legalnie, za jego zgodą? To czyniło ją mniej podejrzaną, a w dobrze pojętym interesie przestępcy leży rzucanie podejrzeń na kogo się da.

Czyli kłamała. Miała mnóstwo zimnej krwi, ale każdy popełnia błędy. Może zresztą nie pogubiła się w kłamstwach, a tylko przeszarżowała, zagrała zbyt ryzykownie. Addis Abeba nie udzielała nam wsparcia, zaufanie do dowództwa leciało na łeb na szyję. Dobry, obdarzony inicjatywą agent mógł skorzystać z okazji, podsunąć nam dyskretnie myśl, że generałowi nie należy wierzyć. Wojsko, które przestaje wierzyć swym dowódcom, prawie zawsze przegrywa.

Nie, cholera. To jednak zbyt ryzykowne.

Ale ona nie boi się ryzyka. Walczyła, strzelała, pozwalała, by do niej strzelano. Balansowała na skraju przepaści. Dziwne? Może. Ale himalaiści też balansują. Za darmo. A jej pewnie dobrze zapłacą.

Może zresztą dlatego spasowała? Bo ryzyko zbyt wzrosło?

Zimna, łasa na pieniądze suka. Była kimś takim? Aktorką, z premedytacją owijającą mnie sobie wokół palca? Pół biedy. Gorzej, że mogła być po prostu chciwa. Albo najgorzej: zwyczajnie zdesperowana. Całkiem normalny człowiek, przyciśnięty potrzebą, też pewnie potrafiłby posunąć się do tych wszystkich zbrodni. Zwłaszcza jeśli nie planował ich, jeśli okoliczności decydowały za niego. Pawlikiewicz miał wypić piwo i usnąć. Nikt nie mógł przewidzieć, że ukraiński pilot katapultuje się niemal nad naszymi głowami. Tej śmierci zresztą do tej pory nie rozgryzłem, wydawała się najbardziej bezsensowna ze wszystkich. Może po prostu kogoś poniosły nerwy i głęboko ludzka żądza odwetu. Próbował nas spalić żywcem. Ranni... Filipiak chciał ich odesłać, a przy okazji pozbyć się Gabrieli. Musiała zrezygnować ze swej misji albo zabić rannych. Też działanie wymuszone sytuacją.

Wcale nie musiała być potworem.

I, mimo wszystko, wcale nie musiała być winna. Z rannymi odjeżdżali Lesik i Jola. Olszan też mógł wylądować w sanitarce: łatwiej zrzucić na spadochronie nową krótkofalówkę, niż ewakuować rannego z somalijskiego pogranicza. Zresztą tak naprawdę nikt nie wiedział, dlaczego zamordowano rannych. Może faktycznie chodziło o usunięcie świadka.

Była w śmigłowcu, kiedy kwas przeżerał łopatę, a Morawski rozpędzał wirnik. Miała święte prawo się obudzić i wypełznąć na czworakach, nie budząc wielkich podejrzeń. Omal nie złamałem jej karku w trakcie wyciągania. Z całej trójki właśnie ona zdawała się mieć najmocniejsze alibi.

Dobra. Mniejsza z tym. Tak naprawdę nie od tego się zaczęło.

– Uważaj na siebie. – Usiadła za moim fotelem; słyszałem ją dobrze, ale nie widziałem

wcale. – Mówiłam prawdę. A Zaręba to gnojek. Myślałam, że tylko tyle, ale jeśli twierdzi, że to on mnie wysłał...

Punkciki na drodze nabierały wymiarów, powoli rosły do maleńkich sylwetek. Któraś zdążyła się nawet skurczyć: kierowca zjeżdżał na pobocze. Nie potrafiłem jeszcze rozróżnić kształtów.

– Wiem, że mi nie wierzysz. Albo... – zawahała się – albo sam z nim współpracujesz. Ale tak czy tak uważaj na niego.

– Ja z Zarębą? – parsknąłem gorzkim śmiechem.

– Albo będziesz współpracował – dorzuciła niezrażona. – Z aresztu prosto tutaj. Zanim śledztwo ruszyło. A to od niego zależy, czy ruszy, prawda? Może cię pozbawić prawa wykonywania zawodu i wpakować do więzienia. Albo awansować i przedstawić do medalu.

Już nie chciało mi się śmiać.

– O co ci chodzi?

– O nic. Mówiłam: problemy białych ludzi już mnie nie dotyczą. Jeśli działacie razem, powiedz mu to. Nie zamierzam chodzić wokół tej sprawy. Nie musi mnie likwidować. Wiejski agronom na jakimś afrykańskim zadupiu nie stanowi dla niego zagrożenia. Ale gdyby się uparł... Pod Dese mam krewnych. Zatrzymam się u nich. Dam ci adres. Jeśli uzna, że musi mnie sprzątnąć, to niech to przynajmniej będzie od razu.

Obejrzałem się przez ramię.

– Odbiło ci?! Co ty bredzisz?!

– Patrzę na sprawy realnie – zdobyła się na słaby uśmiech. – Rozum mi mówi, że nie trafiłeś tu tylko dlatego, że akurat nie było innego lekarza. Zwłaszcza że przyleciał też Lesik.

Honker podskoczył na jakiejś nierówności, przypominając mi o obowiązkach kierowcy.

– Nie mam nic wspólnego ani z Zarębą, ani z tymi morderstwami.

– To mnie nie obchodzi – powiedziała tak beznamiętnie, że chyba szczerze. – Lubię cię, nie chcę, by cię zabił, więc ostrzegam.

– Co znaczy: nie obchodzi? – Nie mogłem powstrzymać się przed ponownym odwróceniem głowy. Za bardzo mną wstrząsnęła.

Chyba bardziej niż kula ognia rozkwitająca za jej plecami.

Pocisk przeniosło o całe dziesiątki metrów, więc huk eksplozji nie poraził nas, zaś z odłamków tylko dwa czy trzy trafiły w zad samochodu. Zbiło mnie z kursu najwyżej o kilkanaście stopni, a i to głównie z winy Gabrieli i gapienia się do tyłu, nie pocisku. Ale dość szybko przywróciłem problemom właściwą hierarchię i zdążyłem wykonać gwałtowny skręt, nim kadłub stojącego przy drodze czołgu znikł w obłoku pyłu poderwanego kolejnym wystrzałem.

Tym razem celowniczy ustawił odległość idealnie: pocisk przemknął na wysokości samochodowych reflektorów, ściał czubek krzaka, który minęliśmy o jakieś dwa metry,

i rozerwał się na stoku pagórka. Blisko.

Odlamek trzasnął w mój hełm, zerwał go z głowy. Nim rąbnąłem czołem o kierownicę, udało mi się dostrzec kątem oka paskudnie rozciętą skorupę, odlatującą za nadkole.

Gabriela rzuciła na oparcie prawego fotela. Klęczała, trzymając się z całych sił, podczas gdy ja testowałem wytrzymałość honkera na gwałtowne przyspieszanie i jazdę slalomem w terenie, który aż się prosi o gwałtowne stosowanie hamulca. Wyglubiłem się tylko z tym zygzakowaniem, bo jechaliśmy prostopadle do linii ognia, ale szybkość zrobiła swoje i żaden z dwóch kolejnych pocisków nie trafił ani w samochód, ani w jego bezpośrednie sąsiedztwo. W ciągu sekundy honker potrafił przemieścić się o dwa metry w pionie, a takich ewolucji nie toleruje nawet porządny celownik nowoczesnego czołgu.

Ten chyba nie należał do nowoczesnych: kiedy po zakreśleniu szerokiego „S” wjeżdżałem na bezpieczny, wschodni stok pierwszego dużego wzniesienia, zaryzykowałem krótkie zdjęcie nogi z pedału gazu i podrzut lornetki do oczu. Samego czołgu nie udało mi się akurat pochwycić w szkła, ale jego towarzystwo mówiło wiele.

Gabriela też wykorzystała te kilka sekund: nagle ujrzałem ją obok, przypinającą się pasem do prawego fotela.

– Nasi?! – Jej głos zniosło trochę w stronę krzyku, lecz poza tym trzymała się dobrze: pewne ruchy, żadnych śladów paniki w spojrzeniu.

– Wątpię! – Puścić lornetkę, otrzeć lejącą się do oka krew, obie ręce na kierownicę. Wozu chyba nie widzieli, ale nas tak. Trzeba było się stąd wynosić. Na wschód, plecami do coraz lepiej wstrzelanej armaty, więc znów zygzakiem. Nie miałem czasu rozmawiać. Jeden fałszywy ruch i leżymy na boku. Falisty teren ratował nam życie, ale też mógł błyskawicznie zabić. Za szybka jazda, zbyt nagłe skręty, dziesiątki paskudnych pułapek pod postacią kamieni czy uschniętych pni. Nawet nie zauważyłem, jak i kiedy stopy Gabrieli znalazły się za fotelem. Dopiero gdy zaczęła ściągać mi lornetkę z szyi, spostrzegłem, że siedzi okrakiem, tyłem do kierunku jazdy.

– Co? – Znałem odpowiedź, nim padło pytanie.

– Jeden chyba nas goni!

Kląłem w duchu. Nawet czołg nie czuje się dobrze w terenie i póki może, jeździ drogami. Chcąc szybko przetrzeć posiłki z Somalii pod Kasali, należało je posłać właśnie tą trasą: najpierw drogą, a dopiero potem, pod kątem prostym, na wschód. Tak się składało, że Misrak Gashemo leżało niemal na tej samej szerokości geograficznej.

Właściwie to nas nawet nie gonili: po prostu jeden skręcił o kilometr czy dwa wcześniej i jechał teraz szybciej. Ale zaraz...

– Tylko jeden?

Nie odpowiedziała od razu. Posługiwała się lornetką, a to nigdy nie przyspiesza sprawy. W końcu jednak znalazła to, czego szukała.

– Za to jaki – powiedziała cicho. Zerknąłem przelotnie w jej stronę. Gdyby urodziła się biała, byłaby teraz blada. – Pancerka. Na czterech kołach i z wielką armatą. Zasuwa jak cholera.

Może już przedtem się bała, tylko po prostu nie miałem czasu tego dostrzec. Ale jeśli zaczęła dopiero teraz, miała świętą rację.

– Jak z armatą, to nie problem – rzuciłem równie dziarskim, co fałszywym tonem. – Nie może być szybki. Nie dogoni nas.

Może i tak. Na drodze. Ale trudny teren wyrównywał szanse. W dodatku pagórki ustąpiły miejsca równinie. Mogłem przyspieszyć, lecz za to ci z tyłu mieli teraz na celowniku honkera, a nie czubki naszych głów. Od czasu do czasu widok przesłaniało im jakieś drzewo, jednak na zgubienie się w gąszczu roślinności nie było co liczyć.

– Nie strzelają. – Chyba nie chciała zapeszyć, bo odczekała z tym ze trzy minuty. Już nie używała lornetki. Było tu równo w porównaniu ze wzgórzami, ale asfalt nie leżał i zdrowo nami podrzucało. Woląłem nie wyobrażać sobie, co o tym myślą połatane dętki. Raz i drugi, podnosząc rękę, by zetrzeć płynącą z czoła krew, trafiłem w nos czy ucho.

– Jesteś kretem? – Nie patrzyłem w jej stronę. – Nie bój się, po prostu zwolnię i wyskoczysz. Stań, by cię zabrać. Oboje skorzystamy.

Trzeba było jednak spojrzeć. Trochę za długo nie odpowiadała. Może przegapiłem wyraz wahania na jej twarzy. Cóż, trudno.

– Aż tak źle? – Już nie było sensu patrzeć: znałem ten spokój w jej głosie. Odcinał wszystko, co kłębiło się pod spodem.

– Nie wiem. Daleko są? – Nie stać mnie było nawet na jedno szybkie spojrzenie do tyłu. Wyciskałem z silnika, zawieszenia i własnego refleksu wszystko, co się dało.

– Sześćset... – powiedziała niepewnie. – Może trochę...

– No to źle. Lepiej się przyznaj.

– Nie jestem. – Gniew, podobnie jak strach, też wzięła w cugle.

– Szkoda.

Jakiś kilometr dalej uświadomiłem sobie, że naprawdę tego żałuję. Nie tylko dlatego, że zostawiając ją, zyskałbym na czasie wystarczająco wiele, by zgubić pościg. Przeżyłaby. To też się liczyło.

Nie wyskoczyła. Ale i tak jej nie wierzyłem. Aż do samego końca.

Sześćset metrów to sporo, przy braku stabilizatora nawet bardzo dużo, jednak dla kogoś mającego karabin maszynowy i dwa tysiące naboji trafienie umykającego samochodu to tylko kwestia czasu. Powinni przynajmniej próbować.

Nie otworzyli ognia. Mijały minuty, a oni nie strzelali.

Dojeżdżając do kolejnego pasma wzgórz, zastanawiałem się, na ile sposobów zmiażdżyłby mnie jej adwokat, gdybym podsunął taki argument prokuratorowi. Pewnie nawet nie bawiłby się

w miażdżenie, tylko po prostu wyśmiał. Ale wtedy, skręcając ku przesmykowi między wysokimi na parę metrów wzniesieniami, wiedziałem swoje.

Miała radio i całe godziny na dogadanie się. Zdjęła hełm. Przyjemniej, pewnie. Ale kiedy tak teraz stała, z rozwianymi włosami, opasując udami siedzenie fotela, trudno ją było pomylić z typowym polskim żołnierzem. Czołgiści mogli zareagować odruchowo, no i byli daleko. Załoga samochodu pancernego widziała nie bezimienny łaźnik gdzieś w oddali, ale konkretny samochód z konkretną załogą. Jeśli uprzedzono ich, że takim właśnie jeździ ich agentka...

Przed wjazdem na przełęcz leżało parę nieładnych kamieni. Woląłem nie ryzykować: bezpieczniej było skręcić trochę dalej, już na stoku prawego pagórka. Nie był zbyt stromy.

Nie uwzględniłem dwóch czynników: że i na wzgórzu mogą leżeć odłamki skał i że każdy pionowy obiekt to wymarzone tło dla kogoś, kto poluje z ciężką armatą na szybki, lecz mało odporny cel. W płaskim terenie pozbawionym przeszkód najpotężniejsze działo czołgowe jest niewiele lepsze od karabinu: by zabić człowieka, też praktycznie trzeba trafić prosto w niego. Nie pomyślałem także, że za jednym wzniesieniem mogą być następne, cały labirynt wzgórz i dolinek, w którym taki jak honker zbieg mógłby łatwo zgubić pościg.

Może popchnęła ich do tego okazja, może obawa przed takim finałem. W każdym razie w końcu przypomnieli sobie, że mają armatę.

Nie wiem, co było pierwsze: trzask pod kołem czy eksplozja. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Stromizna, siła odśrodkowa i podmuch zawiązały koalicję i honker runął na lewy bok. Grzmotnąłem o ziemię barkiem i głową. Mocno. Może i dobrze się stało, bo przynajmniej nie umarłem na zawał, czekając, aż wóz dokończy obrót i zgniecie mnie na amen. Zanim oprzytomniałem na tyle, by o tym pomyśleć i zacząć się bać, stało się oczywiste, że honker nie upadnie.

Co innego Gabriela. W nic nie uderzyła, miała czas spanikować i w efekcie tej paniki spadła na mnie jak dojrzały kokos. W ostatniej chwili zreflektowała się, kończyny umknęły na boki i nie oberwałem za mocno, jednak w dochodzeniu do siebie bynajmniej mi nie pomogła. Zwłaszcza że potem całe wieki klęczała nade mną okrakiem, skutecznie uniemożliwiając wstawanie. Ledwie ją widziałem: wybuch poderwał w powietrze tyle pyłu, że dla samego powietrza właściwie nie było już miejsca. Nałykaliśmy się tego draństwa i wykasływaliśmy je teraz jak para gruzlików płuca.

– Dobra – wycharczała w końcu. – Jesteś trup. Nie ruszaj się, rozumiesz? Dopiero jak wyleżą.

Lewe oko skutecznie wyłączyła mi lejąca się z czoła krew; przez łzy wypełniające prawe patrzyłem z niedowierzaniem, jak zdziera z ramienia pepeszę – nie zgubiła jej jakoś – i rzuca gdzieś przed samochód. Nic z tego nie rozumiałem, ale przynajmniej włączył mi się świeżo nabyty instynkt trzymania w ręku czegoś do strzelania. Zacząłem siadać i rozglądać się za karabinem.

– Leż! – warknęła. Sama zdążyła wstać, więc dostałem kopniaka w pierś i padłem na łopatki.

– Nie żyjesz, kretynie!

– Co...?

Skoczyła w stronę przedniego zderzaka, zawróciła nagle, złapała mnie za kark, drugą ręką brutalnie przejechała po twarzy, zerwała się, pobiegła. Pył opadał, widziałem już górną połowę przewróconego honkera, ale Gabriela znikła.

– Kocham cię!

Zaraz potem samochód pancerny zaczął zwalniać. Dźwięk silnika docierał do moich uszu pewnie od dawna, ale oszołomienie robiło swoje. Usłyszałem go dopiero teraz. Zaraz po tym, jak krzyknęła.

Zdążyłem wyciągnąć pistolet, kiedy zza chmury pyłu wyłonił się masywny hamulec wylotowy długachnej armaty. Przełożyłem błyskawicznie wista do lewej ręki, tej osłoniętej ciałem, i zastygłem, leżąc na wznak. Wielkie stalowe bydlę nie zatrzymywało się jeszcze. Nie było powodu, by zrobiło to, zanim przetoczy się po mnie i dla pewności zmiażdży pod kołami, jednak leżało mi się i czekało całkiem łatwo.

Zanim doszedłem do wniosku, że jednak się przesłyszałem, przyszło mi do głowy, że pewnie dlatego to powiedziała: bym miał o czym myśleć i nie miał czasu się bać.

„Kocham cię”?

Wóz zwalniał, hamował z fantazją, ryjąc ziemię masywnymi oponami i podrywając kolejne obłoki kurzu. Na lewe oko nic nie widziałem, prawe niemal w całości przesłaniała powieka, w dodatku starałem się celować nosem w niebo, jak ucziwy, stuprocentowo martwy trup, który nie ma powodu spoglądać szklanym wzrokiem akurat w stronę swych zabójców. Ale szczegóły nie były ważne. Do ustalenia tego, co istotne, wystarczył przybliżony widok rozmytej łzami sylwetki i książkowa wiedza.

„Dopiero jak wyleżą”.

Nagle znów stała się chudą smarkulą z podrapanymi kolanami, przebraną za żołnierza i bawiącą się w wojnę. Rozbrajająco naiwną, zbyt dziecinną jeszcze, by rozumieć, że cuda zdarzają się wprawdzie, ale rzadko i nigdy trzy razy z rzędu. A tyłu właśnie potrzebowaliśmy. Załoga panharda AML 90 to kierowca i dwóch ludzi w wieży. Samochód był lekki, półcalówka beerdeema pewnie poradziłaby sobie z jego opancerzeniem nawet w starciu łeb w łeb, ale my nie mieliśmy niczego cięższego od karabinka kaliber 5,56. Nasze szanse w starciu z ukrytymi za blachami ludźmi były zerowe.

Chyba że wyjdą. Wszyscy trzej.

Jak mogło jej przyjść do głowy coś tak głupiego? Najbardziej kretyński plan, z jakim się zetknąłem...

Udawać trupa, poczekać, aż durny szwarczarakter podejdzie, i kopnąć go w krocze?

Hollywoodzkiemu scenarzyście uchodzą takie pomysły, ale dorosłej, trzydziestoletniej kobiecie? Ostatni, który w realnym, pozaekranowym świecie dał się nabrać na taki numer, nosił maczugę i jadł mamuty. Szaleństwo. Dlatego to powiedziała. Ktoś, komu odbiło w obliczu nieuchronnej śmierci, ma prawo wyznawać miłość na prawo i lewo.

A tak w ogóle to się przesyłałem.

Wóz wciąż się toczył. Powoli. Będąc kierowcą, w ten właśnie sposób sprawdzałbym drania, czającego się z granatem: zbliżając się bez pośpiechu i pozwalając, by strach robił swoje.

Nie poruszyłem się. Byli daleko, kilkanaście metrów od honkera. Gdyby okazali się skąpymi asekurantami i próbowali mnie rozjechać, zdążyłbym zareagować. Nie miałem szansy przeżyć, ale z pistoletem w garści wywalczyłbym śmierć trochę mniej bolesną i paskudną od rozjeżdżania na miazgę. Musieliby mnie zastrzelić: żadna załoga nie będzie przyglądać się beczynnemu, jak ktoś pakuje im pociski w celownik i peryskopy.

Leżałem. Krew z rozciętego czoła spływała po lewej stronie nosa, zakręcała nad ustami, łaskotała. Musiałem wyglądać okropnie z twarzą pokrytą rudym błotem. Dopiero teraz zrozumiałem, co znaczył gest Gabrieli. Nie próbowała wydrapywać mi oczu, po prostu rozmazała krew.

Nie wierzyłem, że to pomoże. Nawet kiedy boczne drzwiczki otworzyły się i w polu widzenia pojawił się niewysoki Arab w rozchełstany kombinezonie, chyba kierowca. Jeden cud nie wystarczy.

Spojrzał w moją stronę. Wieża też obróciła się w moją stronę. Przymknąłem do końca i bez tego niemal zamknięte oko i czekałem na serię. Nie dostrzegłem, czy ten, który wysiadł, ma broń, ale póki za jego plecami, przy sprzężonym z armatą karabinie czuwał choć jeden kolega, nie miało to większego znaczenia. Przynajmniej dla nas.

Bo wciąż byliśmy we dwoje. Wołałem nie wyobrazać sobie, co zrobi dla odwrócenia uwagi Somalijczyków, ale cokolwiek wymyśliła, nie zastrzelili jej jeszcze. Pomyślałem, że pewnie po prostu stoi z zadartymi w górę rękoma i zaraz zacznie wołać coś w rodzaju: „De Sousa kaputt”.

Nie zawołała. Nie słyszałem jej.

Trochę za późno przyszło mi do głowy, że gdyby to ona była kretem, właśnie tak powinna się przesiadać z honkera na panharda. Bez ryzyka, pod osłoną przewróconego wozu. Nie patrząc mi w oczy.

Milczała. To ten w kombinezonie przemówił. Uniosłem powiekę. Za wcześnie, ale nie mogłem się powstrzymać. Coś nie pasowało.

Śmiał się. A właściwie nie tyle śmiał, co cieszył. I dzielił tą radością z kimś, kto stał po prawej stronie panharda, częściowo przesłonięty przodem kadłuba.

To wtedy zacząłem się bać. Nie dlatego, że ten drugi trzymał w ręku kałasznikowa, a kierowca ruszył przed siebie, mówiąc coś, czego nie rozumiałem, i wymownie poklepując się

po kroczu, co rozumiałem aż za dobrze. Fala lęku spadła na mnie i przyprawiła niemal o dreszcze, bo po raz pierwszy w miejscu wypełnionym rezygnacją pojawiła się nadzieja.

Dwóch naraz. Powinni poczęstować mnie na wszelki wypadek serią, a zamiast tego wysiadło ich aż dwóch, i żaden nawet nie celował w moim kierunku. Ten z kałasznikowem zresztą nie mierzył także w Gabrielę: nie widziałem jej wprawdzie, ale musiałyby lewitować trzy piętra nad ziemią. Kierowca chyba w ogóle nie miał przy sobie broni.

Miałem wrażenie, jakby ktoś podniósł tę cholerną pancerkę i położył na mych barkach. „Masz, chłopie, dźwigaj, teraz wszystko zależy od ciebie”. Bo zależało. Los zafundował mi dwa cudy równocześnie, może uśmiechał się teraz pod nosem, chowając za plecami kolejny. A może nie. Trzeci członek załogi mógł wysiąść, mógł jedynie wysunąć głowę z wjazdu wieży, ale mógł też w ogóle się nie pokazać.

Kierowca ruszył w stronę Gabrieli. Nie miałem wiele czasu do namysłu. Na szczęście. Oszalałbym, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”, spaliłbym się psychicznie i na koniec speprzył wszystko dokumentnie. Czasem lepiej nie myśleć.

Chyba faktycznie wyłączyłem na chwilę funkcję myślenia, bo podrywając pistolet, miałem szczerzy zamiar wpakowania pierwszego pocisku w pierwszy z brzegu cel. Czyli w kierowcę. Błąd.

Uratowała mnie marna koordynacja ruchów. Lewa ręka, prawe oko, w dodatku leżałem na wznak – trzeba się dobrze postarać, by szybko strzelać w takich warunkach. Nie popisałem się i kierowca zdążył zauważyć, na co się zanoszą.

Wrzasnął i rzucił się w stronę bocznych drzwi. Zacząłem siadać. Otworzyłem też w końcu drugie oko i odkryłem, że to, co biorę za sterczącą ku niebu pokrywę wjazdu w stropie wieży, faktycznie jest pokrywą, ale i tłem dla wychylonej z wnętrza głowy.

Ten z kałasznikowem, zasłonięty w krytycznym momencie przez uciekającego kolegę, posłał pierwsze spojrzenie właśnie za nim. Błąd. Ja popełniłem swój, nie pociągając za spust, kiedy bok pokrytego smarami kombinezonu znalazł się na przedłużeniu lufy. Powinienem strzelić. Czas był już i tak stracony, a jedna kula mogła wystarczyć.

Na tego z karabinem nie wystarczyła. Wygarnąłem do niego pięć razy, niewiele wolniej od peemu, i choć nie bardzo wiedziałem, co się dzieje, założyłbym się, że żaden z trzech pierwszych pocisków nie trafił w człowieka. Dostało się blachom, dwukrotnie. Kałasznikow zdążył wypalić, ale końcówka mi wyszła i trafiony w twarz mężczyzna runął na plecy.

Kierowca był już wtedy jedną nogą w bocznych drzwiach. Strzeliłem, zaiskrzyło mu nad głową, strzeliłem ponownie, coś szarpnęło nogawką szerokich spodni, kolano ugięło się pod nim. Zrywając się do biegu, pociągnąłem za spust jeszcze dwa razy. Armata AML plunęła ogniem i żarem, pocisk przemknął tuż obok mej głowy, niemal od razu rozorał zbocze pagórka kilkanaście metrów dalej. Honkerem zakołysało. Kierowca, wyjąc, zwałił się piersią w głąb

kadłuba, z przestrzelonej nerki trysnęło krwią aż na klamkę szeroko rozwartych drzwiczek. Zacząłem biec.

Jakiś ruch przy górnym włazie. Strzeliłem. Pudło. Kierowca, na którym postawiłem już krzyżyk, odwrócił się nagle, podniósł coś, czego nie rozpoznałem w półmroku wnętrza wozu.

Wpakowałem mu dwie kule. Chyba. Szarpnęło nim i po wstrząsanym drgawkami udzie potoczyła się gaśnica. Z włazu wieży wysunęła się ręka; próbowałem wycelować, ale skończyło się na kolejnym chaotycznym strzale, ręka znikła, a w moją stronę poleciało coś małego i okrągłego.

Nie rzucił granatem – wyrzucił go na zewnątrz. Tylko dlatego zdążyłem rozprostować palce, wypuścić pistolet i trochę bramkarskim chwytem na brzuch pochwycić nadlatujący przedmiot.

Odrzuciłem stalowe jajo też oburącz, sprzed piersi. Jeszcze bardziej odruchowo, nie mierząc w nic konkretnego. Granat miał po prostu wybuchnąć jak najdalej ode mnie i kiedy padałem na kolana, to raczej z myślą o pistolecie niż odłamkach.

Płomień dotarł do spłonki jeszcze po tej stronie pancerza. Właściwie trudno powiedzieć, że coś wybuchło wewnątrz samochodu. Tyle że owo wewnątrz zaczynało się parę centymetrów dalej i spora wiązka odłamków, nie napotykając po drodze blach, wdarła się w głąb kadłuba przez otwarty właz boczny.

Dostałem dwoma sporymi kawałkami stali po kamizelce, jakiś mniejszy, zbyt lekki, by na taką odległość ponieść zabójczą energię, rozciął skórę na głowie i bezsilnie odbił się od czaszki. Kierowca, któremu granat wybuchł praktycznie na piersi, zmienił się w krwawy befszytk. Ten w środku zawył i od razu umilkł, a AML zaczął się palić.

Dałem spokój pistoletowi. Zerwałem się i pobiegłem. Ognia było za dużo: któryś z odłamków musiał rozpruć prochowy ładunek miotający i zamiast do pożaru, doszło do niezbyt silnego wybuchu. Na zewnątrz wyleciało tylko parę drobnych przedmiotów, znajdujących się akurat między epicentrum a otwartymi włazami – plus zwłoki kierowcy – ale płomień rozprzestrzenił się błyskawicznie po całym pojeździe i lada moment mogły zacząć wybuchać nie ładunki miotające, a same pociski.

Zacząć i od razu skończyć: w ułamku sekundy byłoby po półtonowym zapasie amunicji, po zespawanym z cienkich blach samochodzie i – ma się rozumieć – po nas.

Musiałem zwiewać jak najprędzej i jak najdalej. No i zabrać Gabrielę. Przede wszystkim zabrać Gabrielę. Ten przymus popychał mnie na tyle mocno, że prawie nie zwolniłem, kiedy parawan stojącego na sztorc honkera przestał nas odgradzać i ponownie ją zobaczyłem.

Parę minut temu zderzyłbym się z podobnym widokiem jak z betonową ścianą.

Wyskakiwała właśnie zza przedniej części sanitarki z pepeszą w rękach, długonoga, potykająca się z pośpiechu, wykrzywiona, jak przystało na kogoś uczestniczącego w wyścigu o życie... i naga.

Owszem, zostały jej tenisówki i opaska z bandaża na udzie – ale to odkryłem dopiero później, kiedy złapana za rękę biegła u mego boku, próbując pogodzić oglądanie się za siebie z forsowaniem stoku pagórka i zakrywaniem piersi wolną ręką. Marnie jej szło, zwłaszcza to ostatnie – starała się też nie wybić mi oka zaciskanym w tejsze ręce automatem – w bieganiu okazała się jednak dokładnie tak dobra, jak to sugerowały jej nogi, i poza jednym potknięciem zaliczyła sprint bezproblemowo.

Za grzbietem pagórka zwałem się na kolana, pociągając ją za sobą.

– Co?! – Wytrzymała z pytaniami aż do tej pory.

– Zaraz rąbnie. – Jeszcze przez chwilę było łatwo, mogłem popatrzeć na zachód, w stronę niewidocznego pobojuwiska. Ale potem musiałem pozbierać odwagę i spojrzeć w oczy. Jej oraz prawdzie.

Zacząłem od niej. Klęczała z udem ciasno przyklejonym do uda, skrzyżowane ramiona kryły piersi w miseczkach dłoni. Starłem się nie opuszczać wzroku poniżej jej podbródka, nie byłem jednak wcale pewien, czy dobrze robię. Chyba trochę bardziej krępowała się tego, co było wyżej: wyrazu niepewności, zakłopotania, może nawet lekkiej paniki, bezskutecznie skrywanych pod niewyraźnym uśmiechem.

– No co? – wzruszyła ramionami. – Golej baby nie widziałeś?

Patrzyłem w jej twarz. Lekko zadarty nos, szerokie usta, oczy jak najciemniejsza czekolada, chaos splecionych włosów. Nie tak ją sobie wyobrażałem. Miała być zupełnie inna. Ale trafiła się taka.

Uniosłem rękę. Cofnęła się. Odrobinę, lecz jednak. Odpiąłem suwak, zrzuciłem cięższą o dwa odłamki kamizelkę. Gabriela próbowała poszerzyć uśmiech, dorzucić do niego odrobinę kpiny, jednak niewiele z tego wyszło. Jej twarz pozostała stosownym dodatkiem do reszty ciała, zeszywniałego z nerwów, skrępowanego własną nagością.

– Wariatka – powiedziałem cicho. Potem zacząłem odpinać bluzę.

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. No i zadziało. – Patrzyła, jak uwalniam z dziurek kolejne guziki. – Widzieli, że nie chowam broni. To... dlatego.

– Kłamczucha. – Skończyłem z guzikami, odpiąłem pas. Uśmiechałem się. Nie było mi do śmiechu, głęboko w środku rozrastał się kolejny strach, ale ten był przynajmniej nowy. Starego właśnie się pozbyłem.

– Naprawdę – zapewniła z żarliwością, która znów na chwilę upodobniła ją do małej dziewczynki. Chyba sama usłyszała, jak to zabrzmiało, bo przez chwilę jej uśmiech żywił się autentycznym rozbawieniem. – No co, przecież nie mówię, że tylko dlatego... Co robisz?

W końcu dojrzała do zapytania wprost. Cóż, ostatnia chwila. Dalej były już spodnie, a tylko blondynka z dowcipów mogłaby siedzieć nago obok normalnego mężczyzny i pytać, po cóż rozpina spodnie.

Zsunąłem bluzę z ramion i ani szybko, ani wolno nałożyłem na jej połyskujące w słońcu ramiona. Była tak szczuplutka i tak skromna – czytaj: ciasno owinięta rękoma – że bez problemu udało mi się zakryć wszystko. Dopiero przy okazji tego manewru zahaczyłem wzrokiem o dół jej brzucha. Byłem rycerski, lecz przecież nikt mi niczego na żadnym turnieju nie odrąbał.

– Dlaczego cię nie obchodzi? – zapytałem, niewiele sobie robiąc z faktu, że wpatrywała się we mnie do bólu oczu i nie przegapiła mego spojrzenia.

– Proszę? – zdziwiona, uniosła brwi. Gęste, ciut chłopiące. Nie lubię kobiet z wyskubanymi; przynajmniej tu mi się trafiło.

– Zanim ten czołg... Powiedziałaś, że ci zwisa, czy to ja morduję.

Nie tak to sformułowała, ale dziewczyna moich marzeń nie powinna być upierdliwa i czepiać się szczegółów.

– Chciałam cię ostrzec przed Zarębą. – Opuściła głowę, umknęła wzrokiem ku swym kolanom. – O tym rozmawialiśmy.

Ślicznie wyglądała w mojej bluzie narzuconej na nagie ciało. I tak ładnie kłamała – żebym od razu wiedział, że to tylko niewinny unik. Następne cechy Tej Jedynej. Ale nie ułatwiała mi zadania.

– Powiedziałaś, że mnie lubisz – zacząłem ostrożnie. Nie unosząc twarzy, poruszyła leciutko ramionami. – A teraz... po tym, jak mi przykopałaś... – zdobyłem się na blade uśmiech, choć ani trochę nie było mi do śmiechu. – To było na serio?

Przeszło. Przeszło przez gardło. Odważyłem się. Nie podniosła głowy. Siedziała z pochylonym karkiem, podobna do zrezygowanej ofiary azjatyckiego kata.

– Myślałam, że to koniec – powiedziała cicho. Za wzgórzem pękł z trzaskiem pierwszy karabinowy nabój, któremu zaszkodziło przypiekanie w piecu marki Panhard, ale nawet nie drgnęła. – W takiej chwili... Sam widziałeś, jak zgłupiałam.

– To prawda?

Uniosła w końcu twarz. Miała smutne oczy.

– Nie wiem. Nigdy wcześniej tak... Ale nie wiem.

– Czego nie wiesz? – Rozumieliśmy się, chciałem jednak, by nazwała rzeczy po imieniu. Jeśli kiedyś wygram w totolotka, też co pięć minut będę wyciągał kupon i sprawdzał, czy aby nie pomyliłem liczb.

– Może po prostu chcę się z tobą przespać. – Znów na chwilę uciekła ze spojrzeniem. – Biały, i Polak, i miły, i jeszcze lekarz... Po czym to się poznaje, Jacek? Znasz definicję? To, że dla kogoś ryzykujesz życiem? Tak wyszło, że tu wszyscy... Gdyby tu był... nie wiem... Bielski nawet... Też bym pewnie odstawiła taki numer. – Wysunęła dłoń spod bluzy, nerwowo przygryzła ni to paznokieć, ni skórkę obok. – Nie wiem. Wszędzie piszą i mówią, że jak naprawdę, to się od razu czuje. Więc to chyba nie... Może po prostu mi się podobasz, tak trochę

bardziej... no i dawno z nikim...

– Dobra, chrzanić to. – Wyciągnąłem rękę, dotknąłem kołnierza bluzy. Jej w zasadzie nie, ale miejsce było dobre i parę włosów, uciekinierów spod gumki, połaskotało mnie w wierzch dłoni. – Mogę?

Zastygła z palcem przy ustach. Paznokciowi się upiekło, ale obok dostrzegłem kropelkę krwi.

– Co? – Nie wyglądała zbyt mądrze w tej chwili.

– Zdjąć.

Za pagórkami rozrywające się naboje karabinowe postukiwały jak kukurydza na patelni. Te ciężkie, artyleryjskie, jeszcze nie.

– Chcesz...? – Zabrakło jej czegoś, by dokończyć. Może odwagi. Miałem nadzieję, że po prostu odwagi.

– Zawsze chciałem. – Pewnie doskonale to wyczuła, może już w Addis Abebie, ale wcale nie było mi łatwo przyznawać się do tego.

Uśmiechnęła się. Kobieta mego życia też się miała uśmiechnąć w tym momencie. Tyle że nie tak. Nie nerwowo, niemal z przymusem.

– To po co mnie ubrałeś? Nieładnie. Kto daje i zabiera...

Zupełnie nie wyszedł jej żart. Przynajmniej sama to zrozumiała. Ja też zrozumiałem, co trzeba.

– Nie? – Rozczarowanie udało mi się chyba jakoś ukryć, ale ze zdziwieniem już sobie nie poradziłem. – Myślałem...

Nie miała odwagi patrzeć mi w oczy. Mała strata. Mnie też starczało hartu ducha jedynie na przelotne spojrzenia w jej stronę.

– Przecież... – szukała argumentów zbyt gorączkowo, by dobrze maskować panikę. – Musimy uciekać, nie?

Bystra dziewczyna. Trafiała w sedno i nawet prawie zdążyła. Gdyby serce nie waliło mi dwa razy szybciej, co chyba przekładało się na efektywność zmysłów, może nawet wziąłbym jej słowa za dobrą monetę.

– Nie chcesz? – Te dwa słowa obijały mi się o ściany czaszki jak rykoszetująca kula i jak ona siały spustoszenie. Dostało się między innymi któremuś z hamulców. – Mówiłaś, że mnie...

– To nie jest dobry moment – przerwała mi tonem, który określiłbym jako obolały, gdyby własny ból tak dobrze nie przesłaniał cudzych. – Może ktoś za nimi jechał. I pewnie się zorientują, że coś złego... Na pewno mieli radio. Dym też widać z daleka.

Logiczne jak cholera. Gdyby los nie zakpił ze mnie tak okrutnie, zapewne usłyszałbym identyczne słowa. Tylko w oczach mówiącej byłoby więcej żalu. I nie towarzyszyłaby mu ulga.

– No tak. – Cofnąłem się, sięgnąłem po kamizelkę. – Racja.

Tchórzostwo ma swoje dobre strony. Tchórz tysiąc razy przeżywa swą klęskę i kiedy ta

przychodzi naprawdę, łatwiej mu się z nią uporać. No i przez chwilę miałem ją za plecami, mogłem walczyć z mięśniami twarzy, udając, że walczę z kamizelką i jej zapięciem.

– Jak tylko wybuchnie, musimy szybko postawić samochód. – Chwila ciszy. – Usiądź. Jakiś odłamek może... Najlepiej w ogóle się położyć.

Następny przejaw zdrowego rozsądku. Daj Boże każdemu taką żonę. Ale Bóg nie daje rozsądnych żon przegranym facetom.

– Byle nie na tobie, co? – mruknąłem. Nie chciałem, samo jakoś...

Jej cień wyciągał rękę do mojego. Teraz cofnął. Potem znów próbował wyciągać. I nie dał rady. Słońce stało już dość nisko, cienie mieliśmy spore, a ja stałem lekko bokiem i nie mogłem ich nie widzieć. Zastanawiałem się ponuro, czy brała to pod uwagę.

A czemu nie? Nie znałem jej. Ani trochę. Może była nieskończenie perfidna. Ta wpadka z panhardem o niczym nie przesądziła: już przedtem wiedziałem, że między załogą śmigłowca a Sabahem co najmniej szwankuje koordynacja. Członkowie kolumny nadciągającej od somalijskiej granicy mogli po prostu nie wiedzieć o Gabrieli. Nawet nie powinni. Inni też zresztą mogli nie wiedzieć. Doręczna radiostacja ma nieduży zasięg; z nami też ledwie nawiązała kontakt.

– Jestem w samym środku cyklu – powiedziała cicho. – Szczyt płodności. Za bardzo cię lubię, żeby ci fundować jeszcze i ten kłopot.

Psiakrew. Nawet o tym nie pomyślałem.

Nie, nieprawda. Było jeszcze gorzej: gdzieś po obrzeżach marzeń błąkała się myśl o tej kwaskowej konsekwencji słodkich chwil z Gabrielą. I – zamiast płoszyć – tylko dodawała smaku.

– Nie masz przy sobie...? – zawiesiła głos, jak na porządną dziewczynę przystało. Nie odwracając się, pokręciłem głową. – No właśnie. – Może zawahała się, a może tylko odczekała, bym doszukał się tego wahania w jej głosie, i dodała: – Szkoda.

Usiadłem na ziemi, znów twarzą do niej. Musiała wziąć mój unik z kamizelką za rodzaj niemej sugestii, bo teraz ona z kolei odwróciła się plecami do mnie, zsunęła bluzę z ramion i założyła ją jak należy. Dostała mi się nagroda pocieszenia: nieskrępowany widok na jej pośladki. Miała je dokładnie tak ładne, jak się spodziewałem, ale w tej chwili wolałbym oglądać ją w spodniach.

– Nie patrz.

Zamknąłem oczy. Przeszła obok, muskając mnie cieniem i wonią brudnego ciała. Wolałem ją w jabłkowej wersji. Ale nie dlatego przykro było poczuć jej plecy, opierające się o moje.

Siedzieliśmy potem w milczeniu, służąc jedno drugiemu za oparcie fotela. Korzystała z mego cienia, wiedziałem jednak, że nie o to chodziło. O ulgę dla zmęczonych mięśni też nie. I nie o wstyd. Kiedy zar przedarł się przez masywne łuski i pociski kalibru 90 eksplodowały z energią małego wulkanu, to ona zerwała się pierwsza i to ona wbiegła na szczyt pagórka, nie zaprzatając

sobie głowy widokiem, jaki mi funduje. To jeszcze mieściło się w granicach przymusu, ale potem, kiedy uwijała się wokół honkera, gorączkowo szukając gaśnicy i zbijając pianą załączki płomieni, pełzających po podwoziu, też nie zachowywała się jak skrupowana po granice omdlenia dziewica. Wszystko, co robiła, mogłem zrobić za nią. Zysk na czasie był minimalny.

Następny pokaz twardego stąpania po ziemi.

Inna sprawa, że po wszystkim okazało się, iż miała rację. Wybuch zgasił panharda – metodą niemal totalnego unicestwienia – za to rozsiał po okolicy mnóstwo rozżarzonych szczątków. Jeden z nich – bodajże fragment błotnika – wylądował w miejscu, gdzie Gabriela wykonała swój szybki striptiz. Blacha, niepalna z natury, już tylko kopciała, lecz z szortów i majtek wiele nie zostało. Jak na ironię, ocalał podkoszulek.

Zerknęła tylko w tamtą stronę. Potem szybko usiadła na wewnętrznej części lewego tylnego koła. Jedynie kolano przyciskające się do drugiego kolana sugerowało, że pamięta o swej nagości.

– Jak polecisz, to koniec – wyjaśniła niepotrzebnie. Sam wiedziałem. Też tu przybiegłem i jeśli nie wyrwałem jej gaśnicy, to nie dlatego, że urządziła mi bolesny, ale i najpiękniejszy w życiu pokaz. Podczas gdy powstrzymywała honkera przed spaleniem się na naszych oczach, ja próbowałem powstrzymać go przed nakryciem się kołami.

Parę kamieni wepchniętych pod koło i bok chyba pomogło. Zbyt wiele jednak zależało od utrzymania status quo, by uspokoił mnie ten bezruch. Mógł trwać lata, lecz równie dobrze sekundy. Coś skrzypiało, grunt pewnie ziarnko po ziarnku poddawał się naciskowi. Diabli wiedzą, dlaczego wóz nie dokończył obrotu za pierwszym razem – tylna oś minęła już pion i zaczęła pochylać się ku północy. Gabriela, siadając na kole, dociężyła teraz całość od południa, wątpiłem jednak, by ważyła dostatecznie wiele. Katastrofa wisiała w powietrzu i musiałem się spieszyć.

Zacząłem od zapobiegania. Panhard, jak przystało na wóz bojowy, miał na stanie kawałek liny holowniczej. Zużyłem resztę ładunku gaśnicy, by wyciągnąć ją z żaru, opłaciło się jednak. Udało mi się zakotwiczyć honkera, oplatając koniec wokół kikuta jakiegoś drzewa.

Gabriela zerwała się z koła, znikła za samochodem. Wciąż nie miałem stuprocentowej pewności, czy nie zwali się na nią, odłożyłem jednak na chwilę akcję ratowniczą. Zabrałem się do szukania podnośnika dopiero, gdy pojawiła się ponownie – w znanej mi już z Addis Abeby zielonej sukni prześcieradłowego typu.

Zanim honker grzmotnął parą prawych kół o ziemię, obejrzałem przedział silnikowy z obu dostępnych stron. Nie byłem pewien, co bardziej przyczyniło się do naszej wywrotki – poślizg po przebicium opony czy podmuch eksplozji – i bałem się tego, co znajdę.

Niepotrzebnie. Już sam fakt, iż oboje wyszliśmy z katastrofy bez szwanku, powinien był mi dać do myślenia.

– Kumulacyjny – pokiwałem głową. – Udało nam się.

Fakt: mieliśmy szczęście. Najpierw nie strzelali do nas z kaemu, a potem posłużyli się armatą i pociskiem przeciwpancernym, choć odłamkowy byłby tańszy i dużo skuteczniejszy. Na koniec zaś, gdy panhard eksplodował, sanitarka ani się nie zapaliła, ani nie przewróciła. Straciliśmy zapasowe koło, to wszystko.

W sumie – kolejny cud.

Siedziałem, łatałem dziurawą dętkę i próbowałem pocieszać się myślą o tym, jaki to ze mnie szczęściarz. Nie wychodziło. Swą odmową Gabriela brutalnie sprowadziła mnie na ziemię i rozgoryczony umysł jeden po drugim kwestionował dowody ewidentnej łaskawości losu.

Nie użyli karabinu, bo go po prostu nie mieli: z rozszarpanej wieży zostało dostatecznie wiele, bym w końcu się tego dopatrzył. Pocisk przeciwczołgowy? Po potencjalnym polu bitwy pancernej dużo bezpieczniej jeździć z takim właśnie w lufie. Potem, gdy AML pędził w podskokach, nie było już jak przeładować działa. O ile w ogóle było czym. Wóz bojowy, któremu brakuje czegoś tak elementarnego jak karabin maszynowy, z daleka pachnie poważnymi problemami logistycznymi. Jak to w partyzantce. Nawet fakt, iż wybuch panharda nie przewrócił sanitarki, udało mi się podciągnąć pod wspólny mianownik partyzanckiej biedy. Zaparkowali dokładnie z tyłu, by jeden człowiek z jednym karabinem mógł upilnować obu stron honkera. Namiot z dwóch kart zwali byle podmuch, ale jeśli dmuchać idealnie równolegle do ich płaszczyzn...

Los nie był dla mnie łaskawy – był tylko bardziej wredny dla tamtych trzech. A to nie to samo. Życzliwy czy choćby tylko neutralnie usposobiony los nie zabrałby mi Gabrieli w takiej chwili. Przeciętna dziewczyna pozwoliłaby zdjąć z siebie tę cholerną bluzę – może z wdzięczności, może dla odreagowania stresu, a może po prostu dlatego, że prawdopodobnie nie wydostaniemy się żywi z tego pustkowia i warto na koniec zafundować sobie trochę przyjemności. Nieprzcięta – czytaj: panna kret, specjalistka od kłamstw, owijania naiwniaków wokół palca i podcinania gardeł – zrobiłaby to ze mną z wyrachowania. Zakładając, że morderczynie są zwyrodniałe pod każdym względem i nie mogą przespać się z facetem ot tak, po prostu, dla zaspokojenia naturalnych instynktów.

Albo była uczciwa i mnie lubiła, albo nie była, i nadal musiała udawać, że lubi. W obu przypadkach powinniśmy leżeć teraz, spleceni w miłosnym uścisku – tak by to załatwił los, gdyby nie był mym ewidentnym wrogiem.

Udało nam się? Wolne żarty.

– Zobacz.

Guzik mnie interesowało, co trzyma w ręku, ale widok jej kolan i łydek był nie do zniesienia. Doskonałość tak doskonała, że gdybym zaczął ją całować od tego miejsca, mógłbym nie dotrzeć nigdzie dalej. Uniosłem głowę i przez chwilę wpatrywałem się tępo w granat. Wzrok od razu

wyłowił nieprawidłowość, umysł jednak nie reagował, zbyt pochłonięty roztrząsaniem swej klęski.

– Gwóźdź – powiedziała zniecierpliwiona. – Zamiast zawleczeni.

– Widzę. – Przemknęło mi przez myśl, że raczej gwóźdź: rozmiarami miał się nijak do hufnala, który wepchnęła mi w sam środek serca.

– Znalazłam w sanitarce – wskazała śmietnik porozsypywanych podczas upadku bagaży. – To twój?

Miał króciutkie ostrze, a ona znała się na broni. Gniewna domieszka w jej głosie była jak najbardziej na miejscu: jedno pechowe stuknięcie pod niewłaściwym kątem mogło wykończyć nas razem z samochodem.

– Nie. – Mimo wszystko musielibyśmy mieć naprawdę nie lada pecha, więc nie dziwiła mnie własna obojętność. Byłem zaskoczony, że równie obojętnie dopowiadam resztę: – Andrusiaka.

*

– Tam coś jest.

Mogłem ją zignorować. Od Bukłaka dzieliło nas jednak tylko parę minut jazdy, więc skręciłem bez słowa. Musiałem pomyśleć, a to wydawało się dobrą okazją.

I faktycznie: BWP-1 drugiej drużyny dawał do myślenia. Tyle że nie miało to związku z dręczącym mnie tematem: „Gabriela Asmare”.

Zatrzymałem honkera i po chwili wahania wyłączyłem silnik. Ryzykowne, ale rozrusznik działał dotąd bez zarzutu, a paliwa mieliśmy mało. Nie wysiadając jeszcze, stanąłem i popatrzyłem na wschód, wzdłuż pozostawionego przez gaśnice śladu. Nie był zbyt wyraźny, wspomogłem więc oczy lornetką. Kiedy ją opuszczałem, Gabriela unosiła dłoń ku klamce tylnych drzwi.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Cofnęła rękę.

– Tak myślałam – powiedziała cicho. – Że to jeden z naszych. Tylko kierunek mi się nie zgadzał. No i liczba.

– Jechali na zachód. – Odłożyłem lornetkę, wysiadłem.

– Do Kasali? – podsunęła.

– Chyba nie. – Przez chwilę patrzyłem na lufę karabinka, spoglądającą w niebo z gniazda strzeleckiego lewych drzwi. – Schodzili z drogi obławie. Pewnie trochę dalej skręciliby w stronę Werder.

– Pewnie? – Miała znany mi już, sztucznie spokojny głos Gabrieli ocierającej się o śmierć, nie była jednak aż tak opanowana, by z własnej woli sięgać do klamki. Pozamykane włązy, ani jednego odcisku stopy, ten beryl... Wiedziała. Oboje wiedzieliśmy.

– Po prostu umilkli – wzruszyłem ramionami. – Myśleliśmy, że śmigłowiec... W sumie mieliśmy rację – wskazałem najbliższy lej. Miał rozmiary parasola nad kawiarnianym stolikiem i czernił się dobre sto metrów za bewupem, niemal dokładnie w osi wyznaczonego koleinami szlaku.

– Może radio im się popsulo?

– Mieli dwa. Epidemie zdarzają się wśród ludzi, ale nie...

Urwałem. Coś mi się przypomniało. Coś na tyle nieprzyjemnego, że prawie bez oporu ująłem klamkę i delikatnie pociągnąłem drzwi.

BWP projektowano na atomowe pole walki. Tego typu pojazdy, jeśli zamknąć włazy, są szczelne, nie dziwiło mnie więc, że smród paliwa, spalenizny i śmierci uderzył nas w nozdrza dopiero teraz. O hermetycznym wnętrzu nie mogło być mowy – to nie promieniowanie zabiło załogę – ale przestrzelina okazała się niepozornie mała. Gdyby nie wymieciony z osprzętu i okopcony pancerz górny, pewnie długo bym jej wypatrywał.

Strumień kumulacyjny przepalił górny pancerz, urwał kierowcy nogę razem z kawałkiem pośladka i przebił podłogę, ale nie spowodował wybuchu amunicji. Obaj pozostali ludzie niemal nie ucierpieli, jeśli mierzyć widocznymi z zewnątrz ranami. Odłamki pomknęły głównie w przód i tkwiły teraz w zwłokach opartego o wolant trupa. Celowniczego i Andrusiaka – to on strzelał z osadzonego w drzwiach karabinu – zabił skok ciśnienia. Trochę ich osmaliło, lecz już po śmierci, nim automatyczny system przeciwpożarowy ugasił ogień. Miał co gasić: któryś z odłamków przebił służący za oparcie ławek zbiornik. Całe paliwo znajdujące się powyżej niepozornego otworu spłynęło na podłogę i dalej, przez dziurę w dnie, na ziemię.

– Byli we trzech? – Gabriela rozejrzała się z nadzieją, tak jakby nie robiła tego przedtem. W pamięci miała wawóz i zatłoczone wnętrza pojazdów pancernych.

– We czterech.

Ruszyła dookoła bewupa, uważnie patrząc pod nogi.

Wcisnąłem się do środka, pootwierałem wszystkie włazy. Oględziny nie zajęły wiele czasu, ale też nie tyle szukałem, co sprawdzałem. Człowiekowi z gotową hipotezą wszystko idzie szybciej.

– Nie rozumiem – poskarżyła się. – Ani śladu. A przecież strzelali do nich, musiał biegiem...

– Patrzyła przez chwilę, jak wywlekam Andrusiaka i rozpinam jego kamizelkę. Zaniepokoił ją dopiero widok rozkładanego scyzoryka. – Co robisz?

– Nie patrz.

Patrzyła. Nie do końca, ale dostatecznie długo, by nie powtarzać pytania. Kiedy dźwignąłem się znad rozciętego brzucha, wyglądała niewiele lepiej od jego właściciela.

Uniosłem zakrwawiony palec i zakołysałem drucianym kółkiem.

– Naprawdę zżarł zawleczkę. Tyle że nie przypadkiem. Trochę za późno na to wpadł. Nikt

akurat nie strzelał i nie mógł się elegancko pozbyć reszty granatu. Stąd ten gwóźdź. Wpakował w otwór pierwsze, co znalazł. – Przyglądała mi się oszołomiona. – Gnojek.

– Symulował?

– Głupi gnojek – uściśliłem. – Widzisz? Rozgiął z powrotem końcówki. Zwymiotuj czymś takim albo wyjmij z nocnika, a każdy biegły przyzna, że ostry koniec drutu mógł się zaczepić o ściankę żołądka i spowodować ból. Nie wiem tylko, jak by się tłumaczyli z...

– Biegły?

– To prawie dezercja. Poważna sprawa, więc się zabezpieczył. Ale przedobrzył. Bolało naprawdę, nie zwietrzył w porę zagrożenia i Filipiak zostawił go z Hanusikiem w charakterze niepracującej czujki.

Dopiero teraz zerknęła na jego twarz. Miałem ochotę zdjąć pas i dzielić ją w tyłek. Za litość w spojrzeniu, za szczerzy ból w głosie. Powinna opluwać trupa, kopnąć parę razy. Omal jej nie zabił. Zasłużył, ona miała święte prawo, a mnie byłoby trochę lżej.

– To moja wina – powiedziała cicho. – Dwudziestu pięciu zabitych. A teraz jeszcze... Gdyby ich nie dopadł śmigłowiec, poszliby siedzieć.

Co z tego, że tak właśnie wyglądała prawda? Ilu ludzi potrafi przepchnąć prawdę przez gardło, gdy robi się niewygodna? Ona potrafiła. Bolało, kiedy traciłem śliczną, mądrą, odważną dziewczynę. Widocznie za mało, więc teraz, gdy już dostałem kosza, dobiła mnie jeszcze pokazem wielkoduszności. Dłubała palcem w świeżej ranie, powtarzając: „Drugiej takiej nie znajdziesz”.

– Nie przez ciebie – rzuciłem sucho. Nie zareagowała. Miała zrezygnowany wyraz twarzy człowieka, który wie swoje. – W każdym razie nie wszyscy. A już na pewno nie Hanusik.

Posłała mi pytające spojrzenie. Podszedłem do drzwi, zanurkowałem pod przełożonym przez otwór karabinem, wyciągnąłem spod ławki drugi, identyczny, i glauberyta. Oba ze złożonymi kolbami. Wyjąłem magazynek z gniazda automatu, pokazałem Gabrieli.

– Niepełny. – To akurat zrozumiała od razu. – I co z tego?

– To Andrusiaka.

– No i?

– Założę się, że przed bitwą załadował do pełna. Czyli strzelał już po tym, jak go zmieniłaś. Pytanie: kiedy. Bo przy nas nie.

– Zostawiliście ich – przypomniła. Coś jej już świtało, ale Andrusiak leżał u naszych stóp z poszarpanymi płucami i dziurą w żołądku, więc wzięła na siebie rolę adwokata. – Mogli kogoś spotkać.

– Gołą laskę, którą chcieli wziąć żywcem? – Nie mogłem sobie odmówić drobnego odwetu.

– Daj spokój. Mieli armatę i karabin maszynowy. Tu wszystko widać z daleka. Nie ma do kogo strzelać z peemu, bo nim podjedziesz dostatecznie blisko, facet jest dokładnie rozstrzelany

z pozostałej broni. Po co ryzykować.

– Czyli co? – Buntowała się, co znaczyło, że już rozumie.

– Hanusik. To do niego... – obróciłem magazynek w dłoni. – Filipiak go zostawił, bo wiedział, że nie da plamy. Śmigłowiec ich przegapił. Ale byli za blisko. Właściwie to nawet nie dezercja. Mieli wręcz obowiązek poszukać kryjówki. Tyle że Hanusik by zameldował.

– Zabił go? – zapytała cicho.

– Pewnie nie z premedytacją. Pogróżki, szarpanina... Hanusik mógł źle ocenić sytuację, próbować go rozbroić. Czort wie, jak było. Wiem, że potem pozostali dwaj jechali bez broni. To tak, jakby okręt tonął, a marynarze zamykali kapoki w magazynie. Bez sensu.

Milczała przez chwilę. Podszedłem do samochodu, wziąłem lornetkę. Na południu było trochę wzniesień i zarośli. Ale daleko.

– Umiesz tym jeździć?

Stała z dłonią opartą o błotnik bewupa. Odłożyłem lornetkę.

– Pewnie bym pojechał. Ale podobno ciężko go uruchomić. No i mocniej kurzy. – Wsiadłem do honkera, skinąłem głową, pokazując jej prawy fotel. – Jak nas wypatrzą ze śmigłowca, pancernik nic nie pomoże.

– Zostawimy ich tak?

– Możemy zakopać – wzruszyłem ramionami. – Wypocisz resztki wody i to ciebie rozdziobią sępy.

Ruszyła w stronę samochodu. Nie walczyła o przetrwanie, przez chwilę nie bała się, a tylko była smutna, i od razu dało się zauważyć, jak bardzo jest wyczerpana.

– Przepraszam – wymruczała, siadając obok.

– Po prostu nie mamy czasu – powiedziałem łagodniej.

– Ja nie o tym... Powinnaś pomyśleć o wodzie. Podeszłam pod sam płot, rozmawialiśmy... I zwyczajnie zapomniałam.

Psiakrew. Ja też. O różnych rzeczach myślałem i wtedy, czekając na nią, i potem, gdy wróciła – ale jakoś nie o tym, co najważniejsze.

– Kto mógł przewidzieć, że wpakujemy się na tę cholerną kolumnę.

– Kazał mi odejść. – Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała. – Ale wyszedł, rozmawiał. Mogli go zastrzelić. Na pewno przyniosłby trochę wody. Wystarczyło poprosić. Przepraszam, Jacek. Strasznie cię...

– Pieprzyć wodę – przerwałem jej ze złością. – Jedziemy.

Ruszyłem wzdłuż śladu gąsienic. Nie za szybko. Przy pierwszym płytkim leju zwolniłem do tempa piechura.

– Czego szukasz?

Nie odpowiedziałem. Wtedy. Przy żadnej z trzech następnych okopconych dziur w ziemi nie

odezwała się już słowem, więc skręcając na północ, nagrodziłem ją za tę wstrzemięźliwość.

– Chciałem coś sprawdzić. – Poczekałem chwilę, ale jej kobiecość wyschła na wiór, standardowe: „Co?” nie padło i musiałem dokończyć z własnej inicjatywy. – Użyli niekierowanych rakiet. Dziwna metoda.

– Mówiłam ci – mruknęła. – Zgubili te kierowane.

– Tak, pamiętam. Ale nie w tym rzecz. BWP to nie czołg. Atakowali go z tyłu. Działko poradziłoby sobie z pancernym. Nie było sensu używać rakiet. Drogie, mniej celne i trzeba strzelać z bliska. Niby zza pancerza, ale oszklenie czy czujniki mógł im Andrusiak pokieroszować. Żaden pilot nie robi takich numerów, jeśli nie musi.

– No to widocznie musieli. Tę ciężarówkę w garbarni też rozwalili rakieta. Chyba taką samą.

Jechaliśmy trzydziestką na północny wschód. Wolno, ale wolałem nie kurzyć i nie nadweręzać gęsto połatanych dętek.

– Wiesz, jak wygląda Mi-24?

– Mają je i tu, i w Polsce. Ten akurat poznam. Czemu pytasz?

– Szkoda – westchnąłem. – On jeden ma wukaem, nie działko. Na transporter starcza, ale bewupa mógłby faktycznie atakować raketami.

– Może coś się zepsuło.

Czułem, że nie ma ochoty rozmawiać. Gdyby to była szosa, pewnie wysiadłaby, złapała okazję i pojechała w przeciwną stronę. Wdeptała mnie w ziemię swoim: „Nie”, ale i jej nie było z tym wesoło.

No nic. Już niedaleko. Widziałem wianek skał wokół Bukłaka.

Zwolniłem i skręciłem ku gromadce innych skał, ocienionych baobabem i parą akacji. Rosło tu też trochę krzaków i ktoś patrzący z daleka miał prawo przegapić starannie zamaskowany samochód. Wjechałem w najlepiej osłonięte miejsce i wyłączyłem silnik.

– Co robisz?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Gdybym zdążył, i tak pewnie zmarnowałbym resztki śliny: nie słuchała. Podrywała się z fotela, łapiąc pepeszę. Nie strzeliła chyba tylko dlatego, że tamta była jeszcze szybsza.

Była młodsza od Gabrieli o przynajmniej dziesięć lat, miała okrągłe ze strachu oczy i oryginalny strój, złożony z łaciatej kurtki wojskowej i czerwonej spódniczki. Nosiła tandetne sandały i nie nosiła broni. W każdym razie w tej chwili. Wskoczyła z zarośli jak diablak z pudełka od razu z zadartymi ku niebu rękoma. Zaraz potem zaczęła zawodzić płaczliwym, bardziej dziecięcym niż kobiecym głosem.

Przygniotłem lufę pepeszy do maski. Niepotrzebnie. Gabriela oceniła sytuację równie szybko. Przewiesiła automat przez ramię, wysiadła, podeszła do dziewczyny w czerwonej spódniczce.

Dałem im trochę czasu. Bardziej z myślą o przełamaniu strachu, okazało się jednak, że nie tu tkwi zasadniczy problem.

– Mało co z tego rozumiem – wyznała Gabriela. – To Somalijka.

– Wychodziłaś za mąż za Somalijczyka – przypomniałem. Zignorowała zaczepkę i powróciła do żmudnego wypytywania nieznajomej. Gestykulacji i rysowania w piasku było w tym więcej niż słów, ale pewnie dlatego znów mnie wzięło. Starła się być miła, uśmiechnięta, ślicznie się ruszała i wdzięcznie kuciała. Patrzyłem, jak przebija się przez barierę językową, i próbowałem nie wyobrażać sobie, jaką metodą i co przy tym rysując, tłumaczyła Sabahowi kłopot związany z byciem w samym środku cyklu. Próbowałem też nie myśleć o tym, że może nie potrzebowała tłumaczyć, że może lubiła go na trochę inny niż mnie sposób i po prostu rozkładała nogi, nie martwiąc się o konsekwencje.

Była starsza, wcale nie zgrabniejsza, jąkała się bezradnie, podczas gdy tamta sypała zdaniem niczym karabin maszynowy – a ja patrzyłem na nie i widziałem księżniczkę odpytującą kucharkę.

– To Nanouk. – Nagle pojawiły się obie przed maską honkera. – Ma siedemnaście lat. Rodzina sprzedała ją za dwie krowy facetowi z Jemenu. Był mechanikiem, w domu miał żonę, ale tu nie, więc ją sobie kupił do towarzystwa.

– Popłotkowałaś sobie? – rzuciłem mało życzliwie. – To może spytaj ją teraz, co tu robi.

– Nie strasz jej – uśmiechnęła się, na pokaz wprawdzie, lecz i tak ładnie. – Myślała, że chcemy ją zabić.

– Jest od Sabaha?

– Lepiej. – Jej uśmiech ewoluował w stronę autentycznego, za to mniej radosnego. – Aziz, ten jej facet, reperował śmigłowce.

Nie powiem, że podskoczyłem z wrażenia. Ale przestałem wyobrażać ją sobie z Sabahem. Jedno słowo przywróciło rzeczom właściwą hierarchię.

– Śmigłowce?

– Gotowała im. Raz, kiedy Aziz wyjechał, piloci się upili i jeden się do niej dobierał. To dlatego teraz żyje. Ukryła w sąsiedztwie bazy trochę wody i jedzenia, na wypadek, gdyby znów...

– Bazy? – Czuję, że wszystko dało się opowiedzieć bez zahaczania o tematy seksu i że z premedytacją dłubie w świeżej ranie, ale nie dałem się sprowokować.

– Mieli kobiety w mieście, jeździli do nich czasem, ale na miejscu była tylko ona. Nic dziwnego, że...

– Zacziesz mówić do rzeczy? – przerwałem jej spokojnie.

– Mówię – rzuciła mi wyzywające spojrzenie. – Mało się wtedy nie pozabijali. Pustkowie, banda wyposzczonych facetów i jedna dziewczyna. Tylko raz na miesiąc siadali w ciężarówkę i jechali się zabawić.

– Mówmy o bazie i śmigłowcach – zaproponowałem.

– Były trzy – wzruszyła ramionami. – Dwa wielbłądy, mniejszy i większy, jeden wojownik.

– Słucham?

– Trochę brakuje nam słów – uśmiechnęła się gorzko. – Więcej się domyślam, niż rozumiem.

Chyba chodzi o dwa transportowe i bojowy.

– Mają trzy śmigłowce – podsumowałem.

– Mieli. Jeden nie wrócił. Cztery noce temu. – Poczekała, aż policzę w myślach. – Wyleciał wojownik i większy wielbłąd, wrócił tylko wojownik.

– Ten wrak pod Kasali – mruknąłem.

– Wiózł miny. To dlatego niewiele z niego zostało. Cała półciężarówka min. Nanouk pomagała je ładować. Nawet na warcie czasem stała. Mieli kupę roboty i za mało ludzi. Wiesz, co to znaczy?

– Że Osamie brakuje na pensje? – zażartowałem bez zapału.

– Że ktoś robił z pilotów tragarzy i wartowników, byle nie angażować w to jednego zbędnego człowieka. – Odetchnęła głębiej. – To śmierdzi, Jacek. Bardziej, niż myślałam.

Nasz honker też śmierdział. I ja. I nawet ona. Powiniennem dać sobie spokój z marnowaniem śliny, wcisnąć gaz do dechy, odjechać gdzieś, gdzie będzie woda – albo nie będzie już nic. Zamiast tego wysiadłem, odebrałem jej patyk, którym kreśliła w ziemi, i sam zacząłem rysować.

– Zapytaj ją, czy tak wyglądał.

Zapytała. I bez tłumaczenia wyczułem, jak niepewnie brzmi odpowiedź. Nim Gabriela wzięła się za przekład, zabrałem się za sylwetkę następnego śmigłowca. Obie miały dość rozsądku, by zamilknąć i czekać.

– Który jest bardziej podobny – sprecyzowałem.

Nanouk pokazała. Nadal budziłem strach, daleko mu było jednak do paraliżującego i połapała się, w czym rzecz, nawet wcześniej od Gabrieli. Gabriela, gdy przeszliśmy do smukłych sylwetek szturmowców, zabrała mi kijek i próbowała dorysowywać skrzydła. Złapałem ją za rękę. Raz zbita z tropu Nanouk mogła się pogubić na dobre.

– Chodzi mi o kształt kabiny. Zapytaj, czy to przypominało schody.

Okazało się, że Nanouk nigdy nie widziała schodów. Ale kabinę śmigłowca-wojownika widywała często i kiedy trzy razy z rzędu, nie zważając na moje poprawki, nanosiła własne, przywracając sylwetce numer cztery jej pierwotny zarys, dałem za wygraną.

Narysowałem śmigłowca widziany od przodu. Celowo niedbale: miała zrozumieć, że tak naprawdę interesują mnie gondole silników.

Zrozumiała. I znów przykucnęła, by poprawić po moich poprawkach. Jej palec bez wahania podążał po nie do końca zasypanych koleinach, wytyczonych końcem patyka.

Dźwignąłem się, starszy o parę lat.

– Co? – zapytała cicho Gabriela.

– Zapytaj o ludzi. Białych.

Usiadłem na samochodowym progu i czekałem. Długo. Dziewczyny mozolnie budowały słownik, w ruchu były patyki i ręce. W końcu ta starsza podniosła się z kolan, podeszła do sanitarki.

– Chcesz jej pokazać tę głowę? – Ton był beznamiętny, lecz właśnie dlatego od razu przejrzałem jej intencje.

– Chyba nie ma po co.

Podziękowała słabym załęczkiem uśmiechu.

– Chyba nie. Mało tu polskich pilotów.

– Ona w ogóle wie, co to jest Polak?

– Nie wie nawet, co to Europa. Ale... – odwróciła się, powiedziała coś do Nanouk. Somalijka uśmiechnęła się niepewnie.

– Kurrr-wa – wymówiła z miną gorliwego ucznia.

– Z mechanikami rozmawiali po angielsku – wyjaśniła Gabriela. – Z nią prawie wcale. Aziz nie pozwalał. Ale to jedno słowo zapamiętała.

– No jasne. Ilu ich było?

– Naszych? Czterech. Obie załogi wielbłądów. Zmieniali się. Na bojowym latali Arabowie. Było też pięciu arabskich techników. I to wszystko, cały personel. Tajne łamane przez tajne łamane przez poufne. Przez rok widziała tylko dwoje obcych.

Nie zaakcentowała tego, ale słuchałem zbyt uważnie, by przegapić.

– Kobieta? – upewniłem się. – Któryś nie wytrzymał i...?

– Nie. Ani dziwka, ani żona. Przyleciała legalnie. Z białym pilotem. – Przerwała na chwilę i dodała: – Białym śmigłowcem.

Wysiadłem, wziąłem torbę z maską przeciwgazową i wytarłem nią drzwi. Nic nie mówiłem, a oznakowanie ONZ niechętnie wychynęło spod skorupy smaru, łajna i brudu, ale obie od razu zrozumiały.

– Tak – przełożyła Gabriela. – Coś takiego.

– Zapytaj, jak wyglądał ten śmigłowiec. – Uniosła brwi, więc sprecyzowałem: – Czy był podobny do... no, wielbłądów.

Wystarczyło im w sumie kilka słów.

– Był taki sam jak ten większy.

Miałem nadzieję, że tego nie powie. Ale nie zaskoczyła mnie.

– A ludzie? Potrafi ich opisać?

– Pytałam – mruknęła. – Nie bardzo. Wygonili ją do kuchni, chyba miała nie patrzeć. Kobieta miała bardzo jasne włosy związane nad karkiem i była w takim samym jak pilot

kombinezonie.

– Rozpozna ich?

– Ją widziała tylko z tyłu. On był w kasku. Oboje tylko jej mignęli. Wątpię. Jak tu przyjechałam, wszyscy czarni wydawali mi się jednakowi. Ubierz się odpowiednio, a wskaże cię.

Racja. Stary problem miliarda jednakowych Chińczyków.

– Kiedy to było?

– Jakiś rok temu. Na samym początku.

Podjąłem decyzję.

– Zamaskuj samochód. I czekaj na nas.

– Czekaj na nas? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Chcesz...

– Sama – postawiłem kropkę nad „i”. – Nanouk pójdzie ze mną.

Przyglądała mi się badawczo. Nic nie mówiła. Wieszałem na sobie automat i amunicję do niego w tempie artylerzysty, któremu przyszło dźwigać moździerz. Nie musiała nic mówić. Była cwana, miała rentgen w mózgu i wiedziała, jak mnie załatwić bez jednego słowa.

Psiakrew. Właściwie to dobrze, że nie dała sobie zdjąć tej bluzy. Chwilami miałem wrażenie, że przerasta mnie o głowę.

– Ktoś strzelał, chyba do ciebie – wymruczałem w końcu, uciekając ze spojrzeniem. – Nie chcę ryzykować.

– Aha. – Pomilczała jeszcze chwilę. – A ona?

– Widziała ich. Może żadnego nie rozpozna, ale chcę zobaczyć ich miny, kiedy ją przedstawię.

– To żaden dowód.

– Nie jestem sędzią. Chcę się upewnić, czy to ona.

– Jola? – Zmarszczyła brwi.

– Blondynka, długie włosy, lata śmigłowcami, była tu wtedy – wyliczyłem. – Morawski też był. Na początku latały tu cztery polskie załogi. Ośmiu pilotów. Dwaj się utopili, jednego zastrzelili partyzanci. Potem przyszli nowi. Więc jeśli to Polak przywiózł wtedy do bazy blondynkę, mamy jedną szansę na pięć.

– Nie mówiła, że to Polak. – Nie było jej do śmiechu, ale zdołała unieść kąciki ust. – Nie sypał kurwami.

– Fakt. Słuchaj, pójdziemy już. Powiedz jej, o co chodzi.

Skinęła głową, ale nawet nie popatrzyła na Nanouk. Wpatrywała się we mnie. Nie umiałem odczytać wyrazu jej twarzy.

– Nie dokończyłam. Tego ranka, gdy wylatywaliśmy z Abeby... Ten drugi śmigłowiec, bojowy, wrócił szczęśliwie. Ale potem coś się stało.

– Co?

– Poszła się załatwić. Kiedy wracała, zaczęła się strzelanina. Biali piloci zabili wszystkich Arabów. Potem jej szukali. Nie znaleźli. Rozwalili cały obóz i odlecieli. Ale nie swoim śmigłowcem. Wzięli ten bojowy. Swój spalili. – Przyglądałem się jej z niedowierzaniem. – Z bazy nic nie zostało. Wielki pożar i ani kropli wody. Przeżyła, bo miała ten zapas na czarną godzinę. Pewnie uznali, że nie przeżyje.

– Piloci? Jest pewna, że to...?

– Absolutnie. Biegali potem po okolicznych wzgórzach i strzelali z karabinów w obóz. Zwłoki oblali benzyną i podpalili. Ale przedtem obcięli parę penisów i parę głów. – Uśmiechnęła się krzywo. – Więc lepiej nie pokazuj jej tego w raportówce. Uzna cię za ich kumpla.

– Zęby – mruknąłem. – Jak dobrze spalić ciało, to i odciski palców, i chyba DNA... A zęby zostają. Zaglądasz w kartę stomatologiczną...

– Trzeba wiedzieć, w czyją – mruknęła.

– No właśnie. To się kupy nie trzyma. Gdyby po prostu zwiali... Ale polują na nas, robią, co do nich należy. Normalny szef nagroziłby ich solidną premią. A wygląda na to, że to jego się boją. Nie urządziłby takiej szopki z myślą o obcych. Po co? Nikt ich nie widział, nie znał. Świadkowie nie żyją. Tylko ich mocodawcy mogli sprawdzić, czyich zwłok brakuje. Dla reszty świata sprawa jest zamknięta. Etiopscy komandosi w końcu ich dopadli. Albo konkurencyjny klan. Albo Amerykanie. Możliwość jest od cholery, nikt by sobie nie łamał głowy.

Wymienialiśmy przez chwilę jednakowo bezradne spojrzenia. W tym właśnie problem: elementów tej zwariowanej układanki było zbyt wiele, dało się z nich skomponować co najmniej kilka logicznych hipotez, a my, bogatsi o nowe informacje, nie czuliśmy się ani trochę mądrzejsi. Może dlatego to powiedziała: bo poczuła się mała, bezsilna.

– No to idźcie. A gdyby co... Nie, nieważne. – Odwróciła się, udając, że szuka czegoś na samochodowej podłodze. – Zapytaj Olszana, może im została jakaś gumka. Naprawdę chciałabym to z tobą zrobić.

*

– Czysto – zameldował Grochulski. – Możecie skakać.

Rozejrzałem się po raz ostatni. Jedyнным śladem ludzkiej obecności na tych paru kilometrach kwadratowych otaczającej nas przestrzeni był rozmazany siatką maskującą kopczyk czołgowej wieży. Udało mi się go rozpoznać dzięki lornetce i prętowi anteny: wóz stał zbyt nisko, by z poziomu równiny dało się dostrzec choć kawałek lufy.

– Dobra. Idziemy.

Wyciągnąłem rękę, dotknąłem łokcia leżącej obok dziewczyny. Znów była wystraszona.

I miała rację.

Przebiegliśmy pięćdziesiąt metrów. Padłem, pociągając ją za sobą. Poleżeliśmy chwilę i zaliczyliśmy następną pięćdziesięciometrowkę. Trochę za dużo tego było, ale nie miałem już siły. No i byliśmy blisko.

Wystarczająco blisko, by jeden strzał załatwił sprawę.

Była młodsza, szybsza ode mnie i nie nosiła kamizelki. Prostowała już kolana, gdy ja dopiero odrywałem ręce od ziemi. Miała z metr przewagi i dlatego od razu wiedziałem, że to koniec.

Pocisk przebił się przez klatkę piersiową i poleciał dalej, wyrrywając w plecach dziurę wielkości jabłka. Padła zupełnie bezwładnie, bez jednego jęku. Runąłem obok niej i z niedowierzaniem patrzyłem na wielką ranę, z której prawie nie wypływała krew.

– Co jest?! – Krzyk Grochulskiego w podwieszonym do kamizelki nadajniku. – Skąd strzelał?!

– Nie u mnie. – Tego głosu nie rozpoznałem.

– Nie wiem, ale to jakby z boku – dołączył do radiowego chóru Bodnar. I dodał cicho, wyraźnie zbity z tropu. – Od nas?

Leżałem, zaciskając w dłoni nadgarstek Nanouk. Nie szukałem pulsu. Raczej usprawiedliwienia. Puściłem mimo uszu większą część prowadzonej na falach eteru chaotycznej wymiany informacji.

– Szczebielewicz! – Ciołkosz powtórzył to trzeci raz, nim oprzytomniałem, wdusiłem przycisk i wymruczałem anemiczne „Tak.” – Wysyłam wóz. Niech pan leży i czeka.

Leżałem i czekałem. Mogłem wstać i przejść pieszo te dwieście ostatnich metrów, ale to by było tak, jakbym ją jeszcze kopnął na pożegnanie. Szła za mną posłusznie jak psiak, uśmiechała się, gdy zahaczałem o nią wzrokiem, próbowała się nie bać. A teraz nie żyła.

Kiedy BRDM zatrzymał się między nami a północnym horyzontem, przewiesiłem automat przez plecy i wziąłem ją na ręce. Głupota. Musiałem wstać. Uchylający drzwi Grochulski aż się skrzywił. Trzeba było chwytać za kołnierz czy rękę i wlec po ziemi.

– Jezu, co pan... Żyje? – Chyba w to wierzył, bo kiedy podawałem mu stopy dziewczyny, wolną rękę podsunął pod jej biodra, próbował asekurować, chronić przed twardością pancernego wnętrza. – Zaraz... to nie... Kto to jest? Nie byłem w stanie ani odpowiedzieć, ani nawet zamknąć wjazdu. Bubula zwolnił sprzęgło, wóz ruszył rakiem, wystawiając na potencjalny ostrzał lepiej opancerzony przód. Widziałem ulgę, rozlewającą się po twarzy rudzielca. Im więcej jej było, tym podlej się czułem.

– Nie ona.

BRDM minął okopcony pagórek z rozwalonym przez Bodnara szańczykiem. Trupy obu Somalijczyków nadal tu leżały. Przejechał obok czołgu, potem wzdłuż Szyjki, na dół. Znieruchomiał dopiero obok wraku T-55.

– Przykro mi. – Ciołkosz przywłókł się osobiście przed drzwiczki i pewnie dlatego zabrakło mu już energii na bycie przekonującym. – Posłałem na górę kogo się dało. Po prostu pech. Żyje?

– Nie. – Wygramoliłem się, zdjąłem automat z pleców. – Niech pan tu zostanie. Wszyscy mają zostać tam, gdzie byli.

– Słucham? – zamrugął powiekami.

– Ma pan radio? To niech im pan powie, żeby siedzieli na dupach i nie ruszali się ani o centymetr. I patrzyli, czy sąsiad się nie rusza.

– Dobrze się pan...?

– Nie, kurwa. Nie czuję się dobrze. Ktoś ją zamordował. – Ruszyłem w stronę Szyjki, demonstracyjnie przeładowując pepeszę. Szok ustępował, wściekłość rosła i prawie chciałem, by skoczył za mną, próbował zatrzymać czy choćby przemawiać do rozsądku.

Na szczęście nie zrobił nic. Minąłem krótkofalówkę podłączoną do masztu. Nikogo przy niej nie było, lekki wiaterek swobodnie nawiewał kurz do rozbebeszonego wnętrza. Zrozumiałem, że patrzę na kawał bezużytecznego złomu, na którym postawiono krzyżyk. Minąłem ciężarówkę, wbiegłem na górę, nie zwracając uwagi na leje po detonowanych minach. Zatrzymał mnie dopiero widok podskakującego włazu. Drabowicz odgrodził się od północy stalową pokrywą, ale i tak wychylił ledwie pół głowy.

– Zdurniał pan?

– Gdzie kto siedzi? – Przeszedłem jeszcze parę kroków i zacząłem się rozglądać. – Nasi. Ilu i gdzie?

– Cholera jasna... Odbiło panu? Snajper...

– Dostała w pierś. Nie ma żadnego snajpera. Ilu i gdzie?

Urwisko odgradzało od równiny labirynt skałek, w niektórych miejscach szeroki na trzydzieści metrów. Sięgał daleko, ale nie obchodziły mnie odleglejsze partie. Kula, która zabiła Nanouk, wdarła się w ciało przez lewą pierś i wyszła w linii kręgosłupa.

– Tam? – Wzrok Drabowicza pobiegł śladem mego spojrzenia. – Tymoszuk, kapelan z panią Jolą, Bielski... No i opelotka. Operator i major Morawski.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Chyba zrozumiał.

– Brakuje ludzi. A jak pana nie było, pokazał się dziup tych kozodojów. Załatwiłem go pierwszym strzałem, ale...

Ruszyłem wydłużonym krokiem, nie zaprzatając sobie głowy somalijskimi snajperami. Nie było ich tu. Po co? Rozsądny snajper ulokowałby się dalej i wystrzelał mechaników, biedzących się przy bewupie. Tu nie miał prawa liczyć na łup. Poza mną nikt nie był na tyle głupi, by łączyć po odkrytej przestrzeni.

– Co się dzieje?

Miał być Tymoszuk. Był Lesik. Z karabinem w ręku. Beryl, ale Nanouk była szczupła, nie

nosiła kamizelki i dostała z bliska. Natowski nabój pośredni 5,56 też mógł wywalić jej tę dziurę w plecach. Podeszedłem do kamienia, za którym klęczał, niemal wyrwałem mu broń z ręki.

– O co chodzi? – Patrzył, jak wyszarpuję magazynek, jeden po drugim wypycham kciukiem naboje. – Odbiło panu?

Chyba naprawdę w to wierzył. Albo dobrze grał. Rękę cały czas trzymał w pobliżu kabury. Zwabiona hałasem, zza pobliskiego wzniesienia wyłoniła się Jola. Nabój numer dziewiętnaście brzęknął o kamień, a ja zastygłem na moment, wpatrzony w to, co dźwigała.

Własnej broni mieliśmy w nadmiarze, ale ona chodziła z pełnokalibrowym karabinem. FN czy któraś z jego licencji. Ciężki, długi i z potężnym kopem. Nie zdziwiłbym się, gdyby odrzut ją przewrócił.

– Panie doktorze? – Wyglądała na wystraszoną. – Nic panu nie jest? Boże, to straszne... Musiał być gdzieś tutaj. Tuż obok. Akurat was zobaczyłam i nagle... Myślałam, że to ksiądz kapelan. Tuż obok.

– Co pan wyprawia?

Zignorowałem Lesika. Z miejsca, gdzie siedział, nie było widać ani kawałka równiny na zachód stąd. A w magazynku miał dwadzieścia siedem naboji. Jeśli zabił Nanouk, to wystarczająco sprytnie, by wyśmiewać teraz w duchu mój naiwny pomysł łapania go na gorącym uczynku.

Zostawiłem go i podeszedłem do dziewczyny.

– Karabin.

Oddała, chyba nawet z ulgą. Potem próbowała dołożyć zapasowy magazynek: dali jej jeden, ale żadnej torby już nie i chyba po prostu nosiła go w ręce. Jeśli grała, to brawurowo, ocierając się o granice przesady. Wyjąłem magazynek i, podobnie jak poprzedni, opróżniłem z amunicji. Brakowało jednego naboju. Znalazł się w komorze.

– Kto strzelał?

– N...nie wiem. – Wyraźnie ją przestraszyłem. – Nic jej nie jest? Tej dziewczynie? Gabrieli – poprawiła się.

Oddałem jej efenkę i odszedłem. Chyba już wtedy wiedziałem, że gówno z tego będzie.

Sto metrów – i znalazł się Tymoszuć. Niemal na niego nadepnałem, tak złał się z tłumem. Nie było sensu zaglądać mu do magazynka: facet, który ograniczył pytanie do wymownego spojrzenia, miał na pewno dość zimnej krwi, by doprowadzić do porządku amunicję i nie prowokować mnie jednym i tylko jednym brakującym nabojem. Poszedłem dalej i doznałem kolejnej porażki.

– To nie ja – oznajmił Morawski, zsuwając się z najwyższej w okolicy skałki. – Ale alibi nie mam. Rozdzieliliśmy się.

Szyszkowski, siedzący pod skałką z wyrzutnią na kolanach, wstał i odszedł bez słowa.

Musiałem wyglądać paskudnie, a szeregowym nie służy towarzystwo pary oficerów, z których choć jeden wygląda paskudnie.

– Kaem? – mruknąłem przez zęby, kucając obok sterty żelastwa, na którą składały się oprócz samego karabinu dwie skrzynki amunicji i torba z noktowizorem.

– Zastępuję Wołynowa – powiedział cicho. – Jezu, Jacek... Chyba nie myślisz... Owszem, nie ufałem jej. Ale... Taka ładna dziewczyna. W życiu bym... Właściwie to ją lubiłem. Sam wiesz, jaka była. Człowiek od razu... Strasznie mi przykro.

Przyklęknąłem obok karabinu maszynowego, spojrzałem znad lufy. Trochę duży kąt, ale, w przeciwieństwie do stanowiska Lesika, to miało szeroki sektor ostrzału. Mógł ją zabić.

– Dwójnóg, stabilne podparcie. A gdybyśmy wracali już po ciemku...

Nie dokończyłem. Byłem wściekły i obolały, ale rozsądek jednak działał. Obłożyli się kamieniami, widać było, że tkwią tu od dawna. Musiałby polować na Gabrielę. A o to go akurat nie podejrzewałem.

– Nie zabiłem jej. – Patrzył mi w oczy niemal błagalnie.

– Kogo nie zabiłeś?

Jego zaskoczenie też tchnęło autentyzmem.

– Jak to...? Przecież...

– Widziałeś? – Niepewnie kiwnął głową. – No to chyba koniec z lataniem. Albo ci wzrok siada, albo ty pójdziesz siedzieć.

– Dobrze się czujesz?

– Ja? Świetnie. Właśnie zabiłem siedemnastoletnią dziewczynę.

– Co? – Odruchowo spojrział w lewo.

– Pilot powinien poznać, że to nie Gabriela. Z tej odległości... A może poznałeś, co? Nie zapamiętała cię, ale ty ją... Założę się, że Aziz nie rozpieszczał jej szafą ubrań. Może była akurat w tej samej spódniczce, może w ogóle miała tylko tę jedną. Kupiona za dwie krowy, do uciechy... Takie dziewczyny nie szpanują milionem kiecek.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Wiedzieli, że znikła. Szukali jej. Mogli cię ostrzec, tak na wszelki wypadek. Byłbyś ugotowany, gdyby nagle wskazała cię palcem.

– Mnie? – Zmarszczył brwi. – Znaliśmy się? Skąd?

– Dyskretna baza dla śmigłowców. Dwa transportowe, jeden szturmowy, sześciu pilotów, pięciu mechaników. I ona. Kameralne towarzystwo. Jak wpadasz z wizytą służbowym śmigłowcem, musisz liczyć się z tym, że cię zapamiętają. I potem trzeba strzelać. Zastanawiał się przez chwilę.

– Odwiedził ich ktoś od nas? I ona go widziała?

– Ich. Latasz czasem z Jolą, prawda?

– Był z kobietą? – Nie odpowiedziałem. – Czekaj no... Skąd niby miałem wiedzieć, że przyprowadzisz tę dziewczynę?

– Co, zepsuło się? – trąciłem jego radmora.

– Słyszałem, jak rozmawiałeś z Ciołkoszem – przyznał. – Powiedziałeś, że nie znalazłeś Gabrieli, złapałeś języka, którzy wracacie i żeby nie strzelać. Tyle. Ani słowa o świadku koronnym.

Mógł to sobie darować. Do końca życia nie zapomnę.

– Masz lornetkę. Zerkasz ze zwykłej ciekawości i poznajesz ją. Nie twierdzę, że z góry to zaplanowałeś. Ale o ostatnim żywym świadku zwykle sporo się myśli. I jak wejdziesz człowiekowi przed lufę... Byłeś na to przygotowany.

– W ogóle nie miało mnie tu być – przerwał mi, na poły zły, na poły rozżalony. – Ciołkosz kazał, to przyszedłem.

– Czasem ma się po prostu szczęście – mruknąłem.

– Nie zabiłem jej. I nigdy w życiu nie latałem sam jeden z Jolką.

Zostawiłem go. Miałem ochotę ukryć się między skałami, wybrać najsolidniejszą i grzotnącą o nią parę razy czołem. Nie zaczepiłbym Szyszkowskiego, gdyby sam nie wszedł mi w drogę.

– To chyba nie major – powiedział cicho, zerkając nad moim ramieniem i upewniając się, że major nas nie widzi. – Ktoś strzelał stamtąd – wskazał ręką. – Jak na moje ucho przynajmniej. Zaraz potem poszedłem sprawdzić i major leżał przy kaemie. Wątpię, by zdążył.

Pięć minut później ja też wątpiłem. Miejsce było zbyt odległe od stanowiska karabinu maszynowego, a zarazem znajdowało się zbyt blisko. Zero korzyści, jeśli chodzi o odsuwanie podejrzeń, za to kłopoty z dyskretnym powrotem. Za niewinnością Morawskiego przemawiał też pojedynczy wystrzał: niełatwo o taki, jeśli używa się broni bez przełącznika ognia. Można oczywiście zabezpieczyć się, usuwając kolejny nabój z taśmy, tyle że praktycznie pozbawia to strzelca szansy na poprawkę. Cofnąć w porę palec ze spustu? Też można i też bym się na to nie zdecydował na miejscu kogoś, czyje życie zależało od tego strzału.

To wszystko były jednak tylko spekulacje. Bardziej liczył się dowód. Bo znalazłem i dowód.

Był mały i miałem sporo szczęścia, trafiając na niego w zakamarku między kamieniami. Morderca miał z kolei pecha. Też sporego – łuska nigdy nie odlatuje daleko od karabinu. Może nawet ją widział i tylko zabrakło mu czasu na wydłubywanie jej z dziury.

Wróciłem w miejsce, gdzie zostawiłem Jolę. Nadal tu była. Podniosła się na mój widok z niepewną miną i znieruchomiała z wrażenia, widząc, jak po raz kolejny odczepiam magazynek od jej karabinu.

– Panu naprawdę odbiło – warknął Lesik. Trudno się dziwić: obojgu zafundowałem czyszczenie tłustej i ochoczo łapiącej brud amunicji.

Tym razem zapaskudziłem ziarenkami piasku tylko trzy pierwsze naboje. Nie z litości dla dziewczyny: miała zbyt dużo zbyt jasnych włosów i za często latała śmigłowcami. Po prostu niczego bym nie udowodnił, skoro trzy pierwsze nie pasowały.

– Widział ją pan? – rzuciłem twarde spojrzenie kapelanowi. – Przed strzałem, zaraz po nim?

– Siostrę? – Jego zdumieniu trochę brakowało autentyzmu. Cóż, mieli czas zastanowić się nad moim zachowaniem i wyciągnąć wnioski. – Chyba nie podejrzewa jej pan o morderstwo?

– Owszem, podejrzewam. – Nie było sensu owijać w bawełnę. – Więc jak: mogła to zrobić? Byliście razem?

– No... praktycznie... Sierżant kazał rozciągnąć się w jak najszerszą tyralierę, ale... Słyszeliśmy się. Niemożliwe, żeby...

Odszedłem, nie czekając na koniec. Miałem wrażenie, że ktoś rzucił na nas klątwę. Zabójstwo po zabójstwie, ludzie stłoczeni na paru hektarach, czujni, jak tylko mogą być czujne inteligentne istoty walczące o przetrwanie – i nic, ani jednego świadka, ani jednego solidnego alibi.

Byłem w połowie wąwozu, kiedy dogonił mnie Morawski. Nie próbował nic mówić. W milczeniu dotarliśmy przed oblicze sierżanta.

Uśmiechnięte oblicze. Wyglądał na młodszego o parę lat.

– Możemy jechać. Odpalił.

No tak. Słyszałem z góry terkot silnika. Teraz nie pracował, ale BWP stał parę metrów dalej, a umorusani żołnierze pakowali do niego narzędzia, amunicję i całą resztę ewakuowanych wcześniej dóbr.

– Gdzie jest Bielski?

Był tu, czekał. Żeby było śmieszniej: z karabinem ostentacyjnie zwisającym z ramienia. Następny FN, chyba identyczny z tym Joli. Wyszedł z zarośli, zapinając rozporok, posłał mi ponure i wyzywające zarazem spojrzenie.

– Zdążyliśmy. – W oczach Ciołkosza lśniła autentyczna radość. – A już się bałem, że nas te brudasy uziemią. Drabowicz rozwalil ich wóz rozpoznawczy, ale jeśli zdążyli zameldować... No dobra, zjeżdżamy stąd. Dałem porucznika na stara, jeśli pan chce...

– Był tu cały czas? – przerwałem sierżantowi.

– Słucham? – Jego uśmiech przywiądnął.

– Pytam, gdzie był plutonowy Bielski, kiedy odszedłem.

– O co panu chodzi?

– O to, gdzie był Bielski, kiedy odszedłem.

Wahał się przez chwilę.

– Na górze – mruknął bez zapału. Znów był o te parę lat starszy. – Musieliśmy mieć osłonę. Jeden partyzant z granatami...

Zostawiłem go. Podeszedłem do plutonowego.

– Dlaczego nie beryl? – zapytałem cicho, stając najwyżej pół metra przed nim. Nie cofnął się. I nie zdziwił. Chyba, tak jak ja, miał wszystkiego dość. Z udawaniem włącznie.

– Cienko z amunicją – uśmiechnął się szyderczo.

– Był pan tam, kiedy zginęła – skinąłem lekko głową, wskazując urwisko i wieńczący je skalny labirynt.

– No – poszerzył uśmiech. Ciołkosz próbował coś powiedzieć. Nie zdążył jednak. – Nawet go widziałem. Ale uciekł. Nieporęczna giwera – klepnął karabin. – Wycelowałem, patrzę, a czarnucha już nie ma. Wie pan, jakie z nich szybkie chłopaki.

Kłamał. Wszyscy wiedzieliśmy, że kłamie, a on wiedział, że wiemy. I śmiał się z tego. Podniosłem rękę, czując, że robię z siebie głupca. Przeczucie zmieniło się w pewność, gdy, nie pytając o nic, zsunął pas nośny z ramienia i niemal ochoczo oddał mi FN-a.

– Przez chusteczkę – zakpił. – Bo odciski zejda.

Zajrzałem do magazynka. Bez wspomagania się chusteczką. Tym razem nabojom się upiekło: żaden nie wylądował na ziemi.

– Ktoś go widział? – Obejrzałem się w kierunku Ciołkosza. Już w niczym nie przypominał szczęśliwego faceta sprzed pół minuty. – Przez godzinę po moim odejściu?

Żaden nie odpowiedział. Bielski formalnie nie musiał: nie jego pytałem. Ale większość niewinnych powołuje się w takich okolicznościach na świadków. Jeśli ich ma.

– Spieprzyłś – powiedziałem, patrząc mu w oczy. Wolałbym w nie strzelać i chyba podświadomie miałem nadzieję, że da mi pretekst. Pewnie dlatego tak mnie poniosło. – I to dwa razy, głupi kutasie. Nie trafiłeś w Gabrielę, a teraz zabiłeś jedyną osobę, która mogła nam wskazać tego cholernego kreta. Może wystawiłby nam śmigłowiec. Jeden fałszywy meldunek i mielibyśmy go. Ale ty musiałeś ją zabić. Mam nadzieję, że sfajczy cię w tym pudle – popatrzyłem na bewupa – i że to potrwa dłużej niż w jej przypadku.

Moja podświadomość dobrze kombinowała: ruszył na mnie jak kopnięty w jądra niedźwiedź. Gdyby nie Ciołkosz, pewnie wylądowalibyśmy na ziemi, dusząc jeden drugiego. Sierżant został jednak ostrzeżony. Wpadł między nas, odtrącił Bielskiego barkiem o dobry metr.

– Do wozu – warknął. – Wyjeżdżaj. Już.

Dopiero kiedy znalazłem się przy wraku T-55, zdałem sobie sprawę, że i Morawski nie zasypywał gruszek w popiele. To on mnie tu zawlókł. Kilku żołnierzy gapiło się na nas z niedowierzaniem.

– Uspokój się. – Nie szarpałem się, nie wrzeszczałem, więc odczekał chwilę i puścił mnie, ograniczając się do stanięcia między mną a otaczającymi bewupa ludźmi. – Co ci strzeliło do łba?

Załoga i ranni znikali pod pancernem. Kierowca uruchomił silnik. Nie zdziwiłem się, kiedy

major pociągnął mnie w stronę ciężarówki.

– Poszedł za mną, prawda? Nie było go tutaj?

– Masz paranoję.

– Powiedziałem Ciołkoszowi, że wracam. Zapytał o Gabriellę. Nie o samochód, nie o wodę. O nią. – Morawski otworzył usta, ale miał dość rozsądku, by nie pleść bzdur o wyższości ludzkiego życia nad dobrami materialnymi. – Mówię, że jej nie znalazłem, a on się dziwi. Taki duży kraj, wojna, a on zdziwiony. Całkiem jakby wiedział, że kłamię.

– To żaden dowód – mruknął. – A jeszcze przez radio...

– Wiem. Bielskiemu też nic nie udowodnię. Nie ma pocisku. Ale gdyby nawet... Znalazłem łuskę. Skorodowana. Nie nasza. A w jego karabinie są nowiutkie naboje, od któregoś z kaemów. Założę się, że nie z tego strzelał. Pocisk mógł zostać w ciele. Po co ryzykować? Ci dwaj na górze, przy wylocie wąwozu... Jeden miał FN-a. Teraz nie ma.

– Ciołkosz je zbiera. Niby nie brakuje beryli, ale z amunicją faktycznie robi się krucho. Pewnie ktoś go zabrał.

– Może. Tylko że kaem nadal tam leży. A Bielski dziwnie by wyglądał, łącząc z dwoma karabinami. Jeśli nie chciał strzelać ze swojego, musiał postarać się o drugi już tam, na górze.

– Jacek, to się nawet trzyma kupy. Ale nie masz...

– Dowodów? A po cholere mi dowody? Wystarczy, że wiem.

– Po co miałby aż tak ryzykować? Bo nie lubi czarnych?

– Widziałeś minę Ciołkosza? – uśmiechnąłem się gorzko. – Wiem: też żaden dowód. Ale był prawie szczęśliwy.

– No właśnie. Zabili nie tę dziewczynę, a on jest szczęśliwy.

– Nic nie ma do Gabrieli. Chciał ją tylko przehandlować. Nie rozumiesz? Nie boi się śmigłowca. Bez rakiet kierowanych guzik nam robi. Co innego Sabah. Gdyby dopadł nas w tej dziurze... – Wskazałem na południe. – Jedna wyrzutnia z tamtej strony i jesteśmy ugotowani. Wozy nie wyjadą, uciekając pieszo, pozdychamy bez wody. Ale gdyby dziewczyna zginęła, Sabah pewnie by odpuścił. Wystarczyło wywołać go przez radio i przekazać zwłoki.

Doszliśmy do ciężarówki. Wołynow podniósł się z ziemi. Nie miał broni, ale kajdanek też już nie. Pomógł wstawać dwojgu pozostałym. Agnieszka posłała mi słaby uśmiech, Olszan nie próbował i tego. Oboje wyglądali marnie. Morawski pokazał im, by wsiadali do samochodu. Potem znów popatrzył na mnie.

– Ona żyje? – zapytał cicho. Skinąłem głową. – Fajnie.

*

– Doktorze...

Ułożono go przy siatce, zastępującej tylną ściankę skrzyni ładunkowej stara. Uszkodzonym kręgom nie służy jazda z jednego końca platformy na drugi. Albo po prostu nikomu nie chciało się przesuwać ładunków i robić miejsca bliżej szoferki. Wszelkiego typu pojemniki na amunicję, plandeki, narzędzia, zwoje drutu ostrzowego, zapasowe koła, worki z żywnością i temu podobne ciężko byłoby ruszyć bez buldożera.

Nikt oprócz mnie nie próbował podchodzić. Olszan drzemał z głową na kolanach Agnieszki, Morawski i Szyszkowski przepatrywali niebo, szukając celu dla leżącej obok wyrzutni.

– Obudził się pan. – Jakoś udało mi się uśmiechnąć. Star właśnie wygramolił się z wąwozu; miałem jeszcze trochę czasu do namysłu, lecz nie za dużo. Filipiak wybrał kiepski moment. – Boli?

– Jak pana nie było, załapałem się na morfinę. – Też zdołał unieść kąciki ust. – Pół pacjenta, pół porcji.

– Jeszcze nic nie wiadomo. – Dałem sobie spokój z uśmiechami. – Bez badań w szpitalu...

– Jasne.

– Przepraszam, panie poruczniku, ale jeśli to nic pilnego... Muszę pogadać z Ciołkoszem. Już teraz. Potem się panem...

BRDM ruszał właśnie naszym śladem. Następna taka okazja mogła mi się trafić dwa kilometry dalej. Czyli za daleko. Jeśli nie wywołam jej przez radio, gotowa ruszyć naszym śladem. A Drabowicz miał zbyt wiele do stracenia, by długo i uważnie przyglądać się wyskakującym zza horyzontu terenówkom. W nocy wyrzutnie pepeka nie przydałyby się Sabahowi na wiele z braku odpowiednich celowników. Teraz znów były groźne.

– Chcę swój pistolet. – Podnosiłem się już, ale teraz klęknąłem z powrotem. – Bez obawy. Nie po to. Nie jestem Giełza. – Widząc moje wahanie, uśmiechnął się i dodał: – Nie za darmo. Coś dla pana mam.

Był lepszym oficerem niż handlowcem: sięgnął pod koc, nim w ogóle dojrzałem do negocjacji, nie mówiąc o zgodzie.

Kartka była zwyczajna, z zeszytu w kratkę. Co drugi z żołnierzy mógłby zaopatrzyć się w podobną, sięgając do własnego plecaka, nie byłem jednak pewien czy właśnie ze względu na popularność dobrano taki akurat papier. Kratka to także wdzięczny podkład dla pisma wzorowanego na tym z wyświetlaczy urządzeń elektronicznych. Jakiś grafologiczny geniusz doszukałby się może cech indywidualnych w sposobie stawiania identycznych kreseczek w miejscach z góry wyznaczonych przez zakłady papiernicze, ale wątpliwe, by jakkolwiek sąd uznał jego werdykt.

– Przepraszam, że czytałem. – Hałas silnika przekreślał szanse tych spod szoferki na usłyszenie czegokolwiek, ale Filipiak na wszelki wypadek mówił ciszej. – Łudziłem się, że może któraś z pań... Jak się znajduje liścik w majtkach... Ale serio. To raczej facet. Jak inny facet

przytomnie i nie czuje nóg, to co sprawdzi? Czy małego też nie.

Była w tym jakaś logika, nie mogłem się jednak uwolnić od wrażenia, że śnię na jawie. Złożona w małą kostkę kartka, gromadka kresek układająca się w napis: „DLA DOKTORA”, a w charakterze skrzyńki pocztowej...

Kłęczałem tyłem do szoferki. Chyba nikt nie zauważył, jak rozkładałem papier i czytam. Choć czytałem długo. Nie wiem dlaczego. Trudno o wyraźniejszy charakter pisma.

ŚMIGŁ NIEGROŹNY. SPADŁ, USZKODZ – WYMYŚL COŚ. MAMY JECHAĆ A NIE IŚĆ. INACZEJ PROCES. LESIK ŚWIADKIEM, KONIEC KARIERY, PDP WIĘZIENIE. MARTWY L = WIĘKSZE KŁOPOTY. AA DOPILNUJE. GABRIELA = KOZIOŁ OFIARNY. POR., NIE BĘDĄ PANA NIEŚĆ. POMÓŻ DR. MIEJCIE RADMORA. NIE JESTEM SAMA.

– Nie domyśla się pan...? – przeniosłem wzrok na Filipiaka.

– Odpada tylko Asmare. Za długo byłem nieprzytomny. Każdy z was miał okazję. – Milczał chwilę. – To „sama” to pewnie pic.

– Odwodnienie ogłupia. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to Jola i gdyby z rozpędu... Ale ogólnie jest cholernie logiczny.

– Tak. Parę słów i wiemy, że złapał nas za jaja.

– A... złapał?

Oprzytomniał jakiś czas temu, przeczytał, miał czas pomyśleć.

– Podobno śmigłowiec zgubił rakiety. To prawda?

– Tak twierdzi Gabriela – uśmiechnąłem się smętnie.

– Jak pan myśli: umarłaby dla sprawy?

– Nie wiem. – Zapłacił prawdopodobnie słońcą cenę, może największą z nas wszystkich. Czulem, że winien mu jestem szczerość. – Nie chciała ze mną... Aż taką dobrą aktorką chyba nie jest, więc chyba mnie lubi. Ale mieliśmy dobrą okazję i nie zrobiliśmy tego. Myślę, że gdyby szykowała się na śmierć, przespałaby się ze mną. Co by jej szkodziło?

Nie skomentował i nawet odczekał taktownie parę sekund.

– Nasz kret trochę się pospieszył. Podłożył list, zanim Ciołkosz zdecydował się na jazdę. Teraz pewnie pluje sobie w brodę.

Ciołkosz, a konkretnie wiozący go BRDM zbliżał się właśnie, więc mruknąłem: „Jedną chwilę”, podszedłem do szoferki, kazałem Tymoszułowi stanąć i skoczyłem niemal wprost pod koła samochodu pancernego. Nie ryzykowałem wiele: wóz włókł się trzydziestką. Miał już tylko dwa napompowane koła. Konstrukcja felg umożliwia wprawdzie awaryjne przejechanie kilkudziesięciu kilometrów z oponą w strzępach, ale do wyścigów, zwłaszcza terenowych, BRDM już się nie nadawał.

– Co jest? – warknął sierżant. Nie uśmiechało mu się wysiadanie i odchodzenie na bok, ale wolał nie ryzykować, że tego, co mam do powiedzenia, wysłucha cała załoga albo wszyscy

posiadacze radiostacji. – Za godzinę będziemy w Kasali.

– To też. Ale najpierw kwestia Gabrieli.

– Nie wiadomo, gdzie jest – przybrał pokerową minę. – Nie znalazł jej pan. Wszyscy słyszeli.

Chciał dobrze, ale przedobrzył. Właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie coś, co powinno dzwonić mi w głowie od samego początku.

Bielski nie miał przy sobie nadajnika. Lornetki też nie miał, ale to było mniej istotne. Siedział na górze, nie słyszał, o czym rozmawiam z Ciołkoszem, nie miał więc powodu sprawdzać, czy dziewczyna u mego boku jest tą, na którą poluje. Plamiak Nanouk był podobny do naszych, krótkie włosy mogły wyglądać z przodu jak długie i spięte nad karkiem, a czerwona spódniczka zamiast szortów nie dziwiła u elegantki przebierającej się co parę godzin. Jeśli to nie Jola, nie Lesik i nie Morawski, to chyba znalazłem najbardziej sensowne wyjaśnienie tej bezsensownej śmierci.

– Dołączy do nas. A pan zadba, by nic się jej nie stało. Żadnych pomyłkowych strzałów, jasne? Jak kogoś zaświadzi palec, przyjdę i osobiście palnę panu w łeb. – Zaczął otwierać usta. – Nie żartuję. A co do Kasali... Sytuacja się zmieniła. Chodźmy – wskazałem ciężarówkę. – Chcę, żeby Filipiak się wypowiedział w tej kwestii.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale poszedł za mną.

Tym razem przy zaimprovizowanych noszach porucznika zgromadził się cały tłumek. Tylko Szyszkowski pozostał na posterunku przy szoferce.

– Jedyne czołg jest pełnosprawny, więc nic nie mówiłem, bo i tak nie mamy wyboru. Ale Sabah i śmigłowiec to nie wszystko. Na szosie pod Misrak Gashemo natknęliśmy się z Gabrielą na kolumnę wojska. Bo to już nie partyzantka. Mieli co najmniej trzy transportery i dwa czołgi.

Opowiedziałem o Komitecie Powitalnym w Kasali i ucieczce przed panhardem. Staralem się nie wdawać w szczegóły, lecz nie dało się poruszyć kwestii ważnych, posługując się ogólnikami.

– Tak po prostu? – posłał mi nieufne spojrzenie Morawski. – Pomachała do nich, wysiedli, a ty ich zastrzeleś?

– Nie po prostu.

Wyjaśniłem mu, jaki mechanizm psychologiczny krył się za ewidentnym ogłupieniem załogi AML-90. Większy nacisk położyłem na brak karabinu maszynowego i – prawdopodobnie – amunicji odłamkowej, ale oczywiście zapamiętali głównie brak majtek. Agnieszka zachichotała, Olszan zrobił małą minę i zaczął cmokać.

– Mogli pojechać do Kasali. Nawet całością sił. Pewnie domyślają się, że krucho u nas z wodą. W wąwozie została sterta pogruchotanych kanistrów. A to jedyna oaza w okolicy. No i osiedle. Jesteśmy słabi, a słabeusze zawsze szukają domów, żeby się w nich bronić.

– Nic dodać, nic ująć. – Filipiakowi chyba ulżyło, kiedy z tematu nagich kobiet i wojennych

podstępów zeszlśmy na temat prostodusznego zabijania się w otwartej walce. Popatrzył na Ciołkosza. – Gaz do dechy. Kto pierwszy w Kasali, ten lepszy. Jak wkroczą do wioski, ciężko będzie ich ruszyć. A będziemy musieli. Do Werder za daleko. BWP może stanąć w każdej chwili. Zostały mu dwa biegi, silnik się przegrzewa, w chłodnicy resztki. Ciężarówka w ogóle nie ma chłodnicy. W beerdeemie lada moment siądą koła. Nawet do Kasali możemy nie dojechać.

Sierżant nie sięgnął do radiostacji.

– Dwa czołgi – powiedział cicho.

– Nie mamy wyboru – wzruszył zdrowym ramieniem Olszan.

– Mamy. Możemy skrócić na Werder.

*

Siedziałem obok Filipiaka i patrzyłem na nią, kiedy w przednim kole stara pękła dętka. Ale nawet wtedy się wahałem. Pomogłem Morawskiemu wyciągnąć zapasowe koło, zakleszczone między parą skrzyń, i dopiero wtedy podszedłem do honkera. Stał tak, jak jechał: trzydzieści metrów za ciężarówką, na końcu kolumny.

Nie uniosła się znad kierownicy. Zdjęła jedynie ciemne okulary. Ścierała z nich kurz skrajem sukienki i patrzyła, jak podchodzę. Nie próbowała ani chować wysoko odsłoniętych ud, ani się uśmiechać.

Czekoladowy lód. Nagle przypomniało mi się, że właśnie takie lubię najbardziej: czekoladowe.

– Popieprzyło się – powiedziałem, zerkając przez ramię. BRDM znieruchomiał. Dostrzegłem połowę ludzkiej figurki wychylającą się zza wieży. – Wahałem się, czy w ogóle cię zabierać.

– Słusznie – rzuciła beznamiętnie.

– Nie wiem, czy z nami jesteś bezpieczniejsza. – Podszedłem bliżej, oparłem łokcie o krawędź drzwi. – Ciołkoszowi marzy się handel twoimi zwłokami. Zabili Nanouk. Chyba przez pomyłkę. Zamiast ciebie.

Jej dłonie znieruchomiały. Skorzystałem z okazji, przechyliłem się i pocałowałem ją w otwierające się usta.

– Żeby myślał, że dla ciebie zgłupiałem – rzuciłem chłodno, cofając się. – On zabija ciebie, ja jego. Wyjaśniłem mu to. Dlatego jedziesz sama. Z jednej serii w honkera jakoś by się wyłgał. Wyciągasz na mnie nóż, on próbuje ratować, giniemy oboje.

Przesunęła po wargach grzbietami palców. Zaskoczyłem ją.

– Z tym, że pewności nie mam. Mogła to zrobić Jola albo Morawski. Mogło chodzić o świadka, nie ciebie. – Nadal dotykała ust. Uśmiechnąłem się krzywo. – Przepraszam. Staram się być wiarygodny.

– Powiedziałeś mi, że...?

– Tak czy tak, uważaj.

Odwrociłem się na pięcie i odszedłem.

*

– Tu porucznik Filipiak. Przejmuję dowodzenie. Wszystkie wozy, zbiórka przy starze, dowódcy do mnie.

Oddał mi nadajnik. Olszan uniósł kciuk w geście aprobaty, ale ja jeden zwróciłem na to uwagę. Pozostali wpatrywali się w beerdeema.

Miał najdalej, ale zameldował się pierwszy. Ciołkosz bardziej wybiegł, niż wysiadł.

– O co chodzi?

Próbował podejść do ustawionego skośnie odcinka tylnej burty, służącego Filipiakowi za nosze, ale Morawski zastąpił mu drogę, bez słowa wskazując jedną ze skrzynek. Autorytet leżącego dowódcy ma się lepiej, gdy podwładni wysłuchają go na siedząco.

Pierwszy mały punkt dla nas. Następny zdobyła strona przeciwna. Oprócz Bielskiego z bewupa wygramolił się Lesik. Mazurka i Drabowicza nie byłem pewien, ale jego twarz krzyczała: „Nie!” za każdym razem, gdy zawadzał o mnie wzrokiem. Gabriela, której nikt nie zapraszał, ale i nikt nie wyganiał, przycupnęła w przednim lewym narożniku skrzyni, najbardziej neutralnym z dostępnych miejsc. Legowisko porucznika oparliśmy o tylną część lewej burty, Ciołkosz, Lesik i Bielski usadowili się w okolicy środka prawej.

– Marnujemy czas – burknął sierżant, gdy maruder Drabowicz wdrapał się na ciężarówkę. – W nocy ten śmigłowiec znów będzie groźny.

– W nocy zaatakujemy Kasali – powiedział spokojnie Filipiak.

– To nie jest dobry pomysł.

– Bo to nie pomysł, tylko rozkaz.

Szybko przeszedł do rzeczy. Niby już raz powiedział, że przejmuje dowodzenie, ale co innego głos w radiu, a co innego otwarta konfrontacja dwóch mężczyzn, z których każdy czuje się panem życia i śmierci swoich żołnierzy. Zrobił wrażenie. Gdyby jeszcze spod koca wyglądały naramienniki z gwiazdkami, a nie gołe ramiona...

– Teraz ja dowodzę. – Twarz sierżanta pociemniała.

– Już nie.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Ten Filipiak był zmacony bólem i narkotykiem równocześnie – Jola wyjątkowo marnie dobrała dawkę – ale każdy kij ma dwa końce: na kompleksy świeżo sparalizowanego faceta nie pozostało już wiele miejsca.

– Jesteś ranny.

– Nie w głowę. – Z medycznego punktu widzenia zdrowo przesadził, bo i twarz miał jak po bójce z Gołotą. Może dlatego uśmiech wyszedł mu taki paskudny. – Nie bój się. Tyralierę dam ci poprowadzić.

Siedzieliśmy z Morawskim po jego stronie, więc nie przegapiłem błysku rozbawienia w oczach Drabowicza. Mazurek był zdezorientowany, Bielski wyraźnie zły.

– Niech pan nie żartuje – uśmiechnął się dobrotliwie Lesik. – Musi pan myśleć, jak szybko wrócić do zdrowia. I dbać o siebie.

– Dba – zapewnił Olszan. – Nie dojedziemy do Werder. Jeśli nie zdobędziemy Kasali i wody, równie dobrze możecie strzelić w głowę paru osobom. Porucznikowi, Agnieszce, mnie, Szewczykowi, Sikorskiemu... Ze zdrowych też połowa padnie.

– Tego się nigdy nie wie. Co komu pisane.

– Atakujemy Kasali – rzucił twardo Filipiak.

– Bo pan nie dojdzie do Werder? – mruknął Bielski. Wyglądało na to, że rozmawia ze swym butem.

– Bo to wojsko – przypomniał Morawski. – A porucznik dowodzi.

– Już nie. Nie nadaje się. Sierżant zrobi to lepiej.

Przez chwilę było bardzo cicho.

– Lepiej? – Major zmrużył oczy. – Wołynow się odwodnił, ma zawroty głowy, a dziewczyna nie żyje. Dwa zero dla tamtych, oba samobóje.

– Coś pan chce powiedzieć? – Bielski uniósł głowę.

– Że wolę, jak dowodzi porucznik, a nie sierżant.

– A jeszcze lepiej major.

Znow zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Ciołkosz, jak się okazuje, też potrafił robić wrażenie na słuchaczach. Inna sprawa, że tego popołudnia na skrzyni stara obrodziło podobnymi talentami.

– Jestem najstarszym stopniem oficerem wojsk lądowych – Lesik wstał, obciągnął kamizelkę. – W oparciu o regulamin Wojska Polskiego niniejszym obejmuję dowodzenie tym plutonem.

Agnieszce opadła szczęka. Olszanowi zaciął się szyderczy uśmiech. Morawski próbował coś powiedzieć, ale wyraźnie mu nie szło.

– Bzdura – mruknął Filipiak. – Jeśli już, to ja wyznaczę swego...

– Ograniczona poczytalność – przerwał mu łagodnie kapelan. – Nie jest pan w stanie podejmować racjonalnych decyzji.

– To miło, że zapytałeś fachowca – uśmiechnąłem się, zakładając nonszalancko nogę na nogę. Skrzynka amunicyjna, nawet przykryta wiązką worków, to nie fotel, podparłem się więc rękoma z tyłu.

– Zapytaliśmy. – W oczach Lesika błysnęła mściwa radość. – Jedynej wiarygodnej osoby z przygotowaniem medycznym. Siostry Nowickiej. Pan swoich pacjentów zabija, Szczebielewicz.

– To z braku czasu. – Bielski też miał niezłą frajdę w tej chwili. – Albo się leczy, albo dyma panienki.

Parę spojrzeń pobiegło ku Gabrieli. Moje nie.

– Pilot jest chyba trochę lepszy od księdza – przypomniał o sobie Morawski. – Zresztą jak wrócę, też będę lądowy. Przenoszę się do kawalerii powietrznej, a oni...

– Gorszy – przerwałem mu. – Ksiądz zawsze będzie lepszy od pilota. Ma bliżej do nieba. – Usiadłem prosto, zabierając ręce z za pleców. – A już major Lesik na pewno.

Nikt nie zapytał, co mam na myśli. Lewa ręka wróciła na kolano, ale w prawej trzymałem wista. Całkiem wysoko. Prawdę mówiąc, między twarzą kapelana a moją. Publiczność była już popsuta mocnymi wejściami, ale też udało mi się zrobić na wszystkich wrażenie. Gabriela zerwała się na nogi. Na szczęście na tym poprzestała.

– Odbiło ci? – Morawski chyba nie był pewny.

– No właśnie. – Patrzyłem z za szczerbinki w nieruchome oczy Lesika. – Sam się zastanawiam.

– Co pan wyprawia? – W głosie Agnieszki było więcej troski niż niepokoju, o ciekawości nie mówiąc.

– Pakuje się w kłopoty – mruknął Bielski. Podobnie jak inni, nie próbował się poruszać.

– Żaden z moich pacjentów nie przeżyje marszu do Werder – powiedziałem. – Na początku byśmy ich nieśli, a to zabije pozostałych.

– Niech pan to odłoży – rzucił przez zęby Ciołkosz. – Nie odważy się pan... Ta szopka nie ma sensu.

– Jest wigilia – uśmiechnąłem się krzywo. – Akurat dzisiaj nie czepiałbym się szopek. – Zgasilem uśmiech, wracając spojrzeniem do nieruchomej twarzy po drugiej stronie lufy. – Są dwie możliwości. Albo mam w głowie po kolei, i to ja wydam opinię o poczytalności porucznika, albo nie mam.

– Żadne „albo” – warknął Bielski. – Kogoś tu pojechało.

– To i tak miała być moja druga linia obrony. – Zignorowałem go, rozmawiałem z Lesikiem. – Po przypadkowym wystrzale. Jak teraz wpakuję komuś następną kulkę, wojskowi psychiatrzy będą jednomyślni. Załamanie nerwowe, syndrom zmęczenia walką itede. Rok w domu bez klamek, potem renta. Ostatecznie nabawiłem się tego walcząc za ojczyznę. Pani Wielogórska napisze mi laurkę w „Wyborczej”, a pan Olszan będzie za friko woził śmigłowcem. Same korzyści.

– To nie jest śmieszne. – W końcu udało mu się przemówić.

– No to trzecia linia obrony. Wrogiemu agentowi znudziło się mordowanie nas pojedynczo. Organizuje pucz. Na szczęście w porę przypominam sobie, kogo widziałem, strzelającego do dziewczyny. Staję w obronie prawowitego dowódcy, agent ginie. Może nawet dostaję medal. – Usunąłem z twarzy resztki uśmiechu, wycelowałem mu między oczy. – Jedno słowo, majorze. Kto tu dowodzi, pańskim zdaniem?

Nie wierzył, że to zrobię. Nikt chyba nie wierzył. Ale pewności już nie mieli. Każdy z nas był lżejszy o jakieś dwa, trzy kilogramy wypoconej wody, co dawało niezły przedsmak umierania. Żywe trupy mają prawo do ograniczonej poczytalności.

Wiedziałem, co usłyszę.

– Porucznik – powiedział cicho. – Dowodzi porucznik Filipiak.

*

– Są ślady. – Głos w radiu był suchy jak gardło mówiącego. – Trzy wozy gąsienicowe. Reszta jechała kolumną. Też przynajmniej trzy.

– Dobra – mruknął Filipiak. – Spróbujcie zerknąć na wieś.

Odłożył radmora. Patrzyłem przez chwilę, jak BWP odbija w prawo, manewruje, zajmując pozycję w zagłębieniu terenu. Drabowicz już wcześniej znalazł sobie względnie osłonięte miejsce. Morawski popatrzył na ciemniejące niebo, potem na zegarek.

– Czekamy?

– Stanęli we wsi. Mamy nocne celowniki, oni może nie. Albo przynajmniej gorsze. Po ciemku powinno być łatwiej. Szyszkowski!

– Tak, panie poruczniku?

– Skocz do Bielskiego. On, Szewczyk i Puzewicz. Niech biorą honkera i jadą po wóz Hanusika. Może go uruchomią.

Olszan zsuwał się ostrożnie z ciężarówki, pomagał zejść Agnieszce. Usiedli w cieniu, w chwilę później dołączył do nich Wołynow. Gabriela zatrzymała honkera parę metrów dalej, zawahała się, po czym wysiadła i wzięła z nich przykład, znikając po ocienionej stronie sanitarki.

– Wróć? – zapytał cicho Morawski, kiedy oddałem kartkę z namarami i operator groma powlókł się w stronę bewupa.

– Nie wiem – wyznał bez ogródek Filipiak. – Ale jeśli Bielski miałby zdezerterować, to lepiej teraz i samochodem.

Tymoszuk wyciągnął z szoferki swój karabin snajperski. Jeszcze wolniej niż Szyszkowski, za to bez rozkazu, ruszył na południe. Może do Werder, może zabezpieczać nam lewą flankę. Nikomu nie chciało się pytać, a jemu nie chciało się wyjaśniać.

Bielski, wbrew moim przypuszczeniom, też nie marnował sił na jałowe rozmowy. Zjawił się

wraz z Puzewiczem, wsiedli do sanitarki, podjechali do bewupa, zabrali wspierającego się na kiju Szewczyka i ruszyli na wschód. Gabriela, pozbawiona nagle zacisznej kryjówki, usiadła na kamieniu, zdjęła but i udawała, że oczyszcza wnętrze z piasku.

Miałem taki sam piasek w każdym ze stawów, pod powiekami, na języku. Nie chciało mi się podchodzić do niej, patrzeć na nią i odzywać się. Szczerze mówiąc, nie chciało mi się już nawet z nią kochać. Gdyby to teraz dopadł nas tamten panhard, w ogóle nie próbowałbym zdejmować z niej bluzy.

– I co? – zapytała, kiedy mój cień musnął bosą stopę.

– Na zachód od Kasali Mazurek znalazł ich ślady. Tu nie dojechali. Czyli są we wsi. W nocy ich zaatakujemy.

Dokończyła oczyszczanie wyściółki buta, założyła go na nogę.

– Pójdę tam – powiedziała martwym głosem.

– Daj spokój – westchnąłem.

– Mówię poważnie.

– Ale głupio. Stracimy jednego strzelca i element zaskoczenia. Nie mówiąc o tym, ile informacji z ciebie wycisną.

– Pomówię z Filipiakiem. – Wstała. – Nie jesteś obiektywny.

Chyba oczekiwała sprzeciwu. Wzruszyłem ramionami, pierwszy ruszyłem w stronę ciężarówki. Potem popisałem się obiektywizmem: nie pomogłem jej wdrapać się na stara i nie otworzyłem ust, kiedy przekonywała porucznika. Wysłuchał jej, po czym sięgnął po leżący obok notatnik.

– Niech pani narysuje wioskę. Najdokładniej jak się da.

To jeszcze nie przesądzało o niczym. Wzięła ołówek i zabrała się do roboty. Szkicowała jeszcze, gdy zjawił się Lesik.

– Przemyślałem to – oznajmił z marszu. – Złamię pan prawo wojenne. Tam są cywile. Kobiety i dzieci. Przepis mówi jasno: przed rozpoczęciem ataku trzeba ogłosić zamiar, dać ludności czas na ewakuację.

Nawet Olszan i Agnieszka wstali, by popatrzeć i posłuchać.

– Sam pan widzi – podchwyciła Gabriela. – Lepiej to załatwić po dobroci. Raz na zawsze skończyć tę durną wojnę.

Filipiak wyjął jej z ręki notes, oglądał przez chwilę.

– Dużo tych chałup. – Niezdarnie zakreślił kółko w środku skupiska prostokątów. – Zna pani z nazwiska kogoś, kto tu mieszka?

– Proszę? – popatrzyła na niego jak na wariata.

– Mamy megafon. Rozwalimy tyle wozów, ile się da, zrobimy przerwę i wezwie pani ludność do pochowania się w tych domach. Nie musimy od razu zdobywać całej wsi. Wystarczy

dostęp do wody.

– Chce pan postrzelać z armat, a potem ewentualnie powiedzieć niedobitkom, gdzie się mają ukryć? – Lesik miotał się między świętym oburzeniem a sarkazmem. – To zwyczajna zbrodnia! Zginą niewinni ludzie! Nie mamy prawa urządzać sobie strzelnicy pośrodku tej wsi!

– Ja mam.

– A żołnierze mają prawo odmówić wykonania takiego rozkazu!

– Byle z własnej inicjatywy. – W głosie porucznika zadźwięczały ostrzegawcze nuty. – Jeśli się dowiem, że ktoś ich podburza...

Lesik bez słowa zeskoczył z ciężarówki i odszedł. Gabriela nie.

– To prawie trzystu ludzi – powiedziała po chwili. – Nie ma cudów, żeby nikomu nic się nie stało. Nawet gdyby strzelać tylko do czołgów.

– Daj spokój – mruknąłem. Filipiak milczał.

– I nie ma cudów, żeby nikt od nas nie zginął. Czołgi, transportery, pluton strzelców pochowanych po domach...

– Do Werder dojechałby tylko Drabowicz.

– Wystarczy. Zostało dwadzieścia siedem osób. Dowiezie nas.

– Pewnie by dowiózł – zgodziłem się. – Ale to jeden wóz. Jak się zepsuje, to po nas. Jak nas wypatrzy śmigłowiec, to po nas. Jak napatoczy się jakiś dziup Sabaha z karabinem maszynowym, to też po nas. Jeśli nie przebijemy się do Werder, to też już po nas. A skoro Sabaha nie widać od tyłu godzin, prawdopodobnie zawrócił na południe i właśnie tam na nas czeka. Ci w Kasali też rozeszła patrolę. Pojadą po śladach i wpakują Drabowiczowi pocisk w tyłek, nim zdąży obrócić wieżę.

– No i paliwo. – Morawski wbił ostatni gwóźdź w wieko trumny. – Czołgiści robili za spychacz, spalili od cholery ropy...

– Można przelać z innych wozów. – Walczyła do końca.

– Nie bardzo jest co. A czołg żre jak smok. Trochę manewrowej walki, jakiś objazd i stoimy. Zastanawiała się przez chwilę, szukała argumentów.

– To tylko ryzyko – popatrzyła w końcu na Filipiaka. – A tu na pewno dojdzie do masakry.

– Nigdzie nie będzie bezpieczniej – powiedział spokojnie.

– Pójdę do nich. – Jej głos też wydawał się spokojny. – Przyjechali z Somalii, ale nie podlegają Sabahowi. Chwalił się swoją armią; wiem, że czołgów nie ma. To któryś z jego sojuszników. Jakiś zaprzyjaźniony klan. Jeśli powiem, o co w tym wszystkim chodzi i jacy silni jesteście, odjadą. Znam tych ludzi. Są honorowi, ale nie głupi. Będą mnie mieli, wyjdą z twarzą, a bez strat i nowych wrogów.

– Nie jesteśmy silni – zauważyłem.

– Będą wiedzieli tyle, ile powiem. Cztery pełnosprawne wozy, na ciężarówce kupa amunicji,

kilka skrzyń granatników przeciwpancernych, co drugi żołnierz z noktowizorem, radiostacji w bród. Addis Abeba obiecała samoloty, jeszcze tej nocy. Nie bój się, wiem, jak kłamać.

– Niech się pan z nią ożeni – uśmiechnął się Olszan. – Nawet jak przyprawi rogi, nie będzie bolało.

Przez sekundę miała minę, której u białych kobiet towarzyszy silny rumieniec. Potem ukryła ją pod cynicznym uśmiechem.

– Ostatecznie jestem agentką. Jak się pan o mnie boi, poruczniku, to proszę się pocieszyć myślą, że...

– ...opowiesz im, jaka to gromada cienkich Bolków zamierza zaatakować Kasali? – wszedłem jej w słowo. Twarz Gabrieli zeszywniała. – Nie zapomniałaś o czymś? To, że ktoś zabił Nanouk, wcale nie znaczy, że ty jesteś w porządku i możemy ci ufać.

– Sto razy mogłam uciec!

– Owszem. A teraz wreszcie możesz nas wystawić.

– Pan wie, co się stało – zwróciła się do Filipiaka. – Jaki agent wymyśliłby sobie taką idiotyczną legendę?

– Fakt – uśmiechnął się blado.

– I niech pan każe Bielskiemu sprawdzić te rakiety. Te, które zgubił śmigłowiec. Pewnie wciąż tam leżą, a to tylko trochę dalej. Będziecie mieli dowód, że nie pomagam tamtym. Gdybym nie powiedziała o raketach, nadal siedzielibyście w tej dziurze.

– Chyba że chodziło ci o... – zacząłem.

– Dość – uciął Filipiak. – Zwołajcie ludzi na odprawę.

*

Było jak tamtego popołudnia. Czerwony blask słońca zastąpiła chybotała poświata małego ogniska, osiołek zamienił się w skrzynkę po granatach, a zamiast muru i krat przesłaniał mi widok dziurawy zbiornik ciężarówki i nogi jakiegoś żołnierza. Nieważne. Leżałem pod starem jak wówczas, na aresztanckiej pryczy, ciężkie powieki znów kleiły się jedna do drugiej, zaś po głowie pełzało leniwie pytanie o czas i miejsce. Pytanie, na które starałem się nie odpowiadać.

Bo tam, w Betlejem, dwa tysiące lat wcześniej, było mi dobrze.

Bo nie chciałem się budzić i wracać do rzeczywistości, w której słodki kobiecy głos bez pośpiechu składa słowa i dźwięki w jedną z najpiękniejszych pieśni świata.

Lulajże Jezu-uniu, moja perelko

Lulaj ulubio-one me pieścidelko...

Lubiłem słuchać, jak mówi, jak się śmieje, lecz nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogłaby zaśpiewać i że tak to zabrzmiał. Było cicho jak makiem zasiał. Byłem zbyt zmęczony, by porządnie zasnąć, i jak przez mgłę pamiętałem poszczekiwanie metalu o metal ledwie chwilę wcześniej. Któryś z siedzących obok Gabrieli żołnierzy wciąż trzymał magazynek w jednej, a garść naboju w drugiej ręce. Ściskająca Biblię dłoń Lesika nie skończyła jeszcze powolnej drogi sprzed piersi do uda; latarka, którą sobie przyświecał, nadal świeciła, choć jej blask wykrawał z czerni ogadeńskiej nocy już tylko brząz piasku i wojskowych kamaszy, nie słowo Boże. Nie spodziewali się. Nikt się nie spodziewał.

...a ty go Matu-ulu w płaczu utulaj.

Wciąż była sama. Jak tamta? Nawet nie wiedziałem. Wiedziałem, że gdyby zaśpiewała w stajence, jej głos roznosiłby się po wyschniętym pustkowiu dokładnie tak samo, jak głos Gabrieli, i tylko echo powracałoby odbite od skał Palestyny, a nie pokieroszowanej pociskami burty sowieckiego wozu bojowego.

Nie śpiewali wraz z nią. Dźwięki płynęły spokojną, senną falą, jak na kołysankę przystało. Mogli się przyłączyć, ale mijała sekunda za sekundą i nikt nie otwierał ust. Tam, pod Kasali, najeżyłbym się odruchowo, może sam zaczął śpiewać, a na pewno wygramolił się spod ciężarówki, stanął obok, poszukał szyderczych uśmiechów, które trzeba stłamsić, nim zderzą się ze spojrzeniem jej wielkich, sarnich oczu. Tylko że to nie była rubież rozwinięcia, tysiąc trzysta metrów na wschód od ogadeńskiej wioski, którą mieliśmy szturmować. Zebrała całą odwagę, opasała ramionami gołe kolana, nie pozwalając im drżeć, i zapętlila dla nas czasoprzestrzeń.

Za wzgórzami zdawały się połyskiwać światelka Betlejem, a między domkami z drewna i gliny czekały na nas nie czołgi, lecz rzymscy legionieści. Świat był młody i miał wszystko przed sobą.

Zamknijże zmrużo-one płaczem powieczki

Utulże zemdlo-one łkaniem usteczki...

Już nie była sama. Maciaszek miał głos jak któryś z czworonożnych lokatorów sławnej stajenki, Agnieszce chyba coś słonego spływało do gardła i tylko Lesik udowodnił, że pisana mu jest wielka katedra, której byle kto nie wypełni modlitwą po najodleglejszy kąt najodleglejszej nawy. Leżałem pod ciężarówką, wyławiałem z gęstniejącego chóru wciąż nowych głosów ten jeden, wibrujący w każdej komórce ciała, i po raz pierwszy w życiu prowadziłem poważne negocjacje z Tym Na Górze.

*

Nie przebrała się, choć Bielski zameldował się tuż po zmroku razem z bewupem, honkerem i jej torbą. Podwinęła jedynie dół sukienki, wpychając go za pas. Może założyła majtki. Gołe uda, nagie ramiona, na wierzchu kamizelka, aż trzeszcząca w szwach od poupychanych po kieszeniach magazynków. Każdy z ośmiu przydzielonych do piechoty nieszczęśników dźwigał kilogramy śmiertelnie ciężkiego żelastwa, ale tylko ona, z tymi długimi nogami, wyglądała jak ktoś, kto lada chwila połamie się od nadmiernego ciężaru.

Miałem cichą nadzieję, że padnie, nim dotrzemy na pozycję wyjściową. Szanse były: mimo posiadania dwóch wyspecjalizowanych transporterów oraz czołgu i beerdeema, które też mogły w miarę bezpiecznie, a na pewno szybko podwieźć kiluosobowy desant, wyruszyliśmy na wojnę jak żołnierze spod Verdun: najpierw na własnych nogach, potem na łokciach, kolanach i brzuchach.

Oplącało się: dotarliśmy do pierwszych zabudowań, nim ogień ulokowanego gdzieś przy sadzawce wartownika przyduł nas do grządek przydomowego ogródka. Było się gdzie kryć. Morawski mógł uklęknąć za chruścianym płotem i posłać pocisk raketnicy dokładnie nad głowę Somalijczyka, a Tymoszuk, stojąc wygodnie przy węgle, zgasić mrugające oko automatu pierwszym wystrzałem.

Potem nie było już tak fajnie. Następna chałupka, tym razem okrągła, murzyńska, dosłownie runęła, ścięta długą serią karabinu maszynowego. Maciaszek zmarnował trzy granaty podlufowej czterdziestki, a tamten dalej strzelał.

– Kaem, chyba okopany, bo wali z jednego miejsca – meldował Morawski, nie zwracając uwagi na sypiące się z góry drzazgi. Podobnie jak ja, założył pod hełm zestaw nagłowny, złożony ze słuchawek i mikrofonu. Nadal musiał posługiwać się ręką, przechodząc z nasłuchu na nadawanie, ale słyszał lepiej i nie musiał obciążać dłoni niemal kilogramowym radmorem. – Dół C2. Spróbujemy obejść.

Wprowadzony przez Filipiaka system nie porażał dokładnością, ale był prosty i dostosowany do naszych możliwości. Dzielisz szkic Gabrieli na czworo, u góry masz sektory A i B, z dołu C i D. Każdy z sektorów w myśl analogicznej zasady podzielono na cztery opisane liczbowo części, a ktoś, kto uparł się dokładnie podawać współrzędne, mógł uzupełnić meldunek określeniami „góra” czy, dajmy na to, „lewo”. Symboli starczyłoby dla wszystkich gospodarstw w Kasali – domów mieszkalnych nie było więcej niż 64 – ale nikt nie próbował kojarzyć jednego z drugim. Zbyt chaotycznie tu budowano. Trochę z winy skał, tu i ówdzie wyłazających spod gruntu, trochę dlatego, że każdy chciał mieć trochę cienia nad podwórkiem i budował tam, gdzie rosły drzewa.

Ten chaos miał w założeniach pomóc. W typowej europejskiej wsi ulicowy charakter

zabudowy umożliwia obrońcom takie ustawienie wozów bojowych, by boki miały osłonięte. Jeśli czołgistom asystują piesze czujki, nawet pojedynczy wóz wita napastników gotową do strzału armatą, zredukowaną do maksimum sylwetką i najlepszą z możliwych tarczą pancerza czołowego. Strzela pierwszy, stanowi mniejszy cel, a w razie trafienia ma większe szanse przetrwać. W Kasali, gdzie prześwity między zabudowaniami i kępami roślinności nie dały się podporządkować żadnej zasadzie, obrońcom odebrano ten atut. Nasze wozy ruszyły na wieś z trzech różnych kierunków i istniała spora szansa, że przynajmniej jeden od razu znajdzie w celowniku jakiś łakomy pancerny kąsek.

Nic z tego nie wyszło. Leżeliśmy pod ogniem, odstrzeliwując się bez widocznych sukcesów, zza stawu waliło do nas co najmniej pół tuzina karabinów, a armaty milczały.

– Żadnych czołgów – pokasływał przez radio szeregowy Sikorski. Faktycznym dowódcą gorszego z naszych bewupów był Wołynow, ale jego nieznamość polskiego i znajomość BWP-1 sprawiła, iż przy nadajniku posadzono gorączkującego, spluwającego różową śliną chłopaka z połamanymi zębami. – Jest ciężarówka, ale nie strzelamy.

– Nic – zameldował Bielski. – Widzę tylko cysternę przy stawie.

W pół minuty później widzieli ją wszyscy – a przynajmniej widzieli, gdzie stoi. Stara ostronosa ciężarówka parkowała na ziemi niczyjej i w końcu ktoś potraktował ją smugowym pociskiem w odpowiednie miejsce.

Płomienie leniwie rozpełzły się po podwoziu. Zrobiło się widniej, lecz anemiczny pożar jedynie ustabilizował sytuację. Iskierki wystrzałów po tamtej stronie przybłyły w tle ognia i większość spośród nas miała problemy z celowaniem. Strzelając prawie że na oślep, nie sposób było przydusić obrońców do ziemi. Zwłaszcza że i oni strzelali na oślep, wystawiając zza osłon prawdopodobnie tylko ręce z karabinem – nie umiałem sobie inaczej wytłumaczyć tak drastycznego braku celności. Mieliśmy siedem luf – Lesik jedynie dźwigał amunicję – co dawało Somalijczykom dwukrotną przewagę. Tymoszuk i Ciołkosz zaraz na początku popęzli w stronę sadzawki, więc przez większość czasu była to raczej przewaga trzykrotna. Połowa z nas powinna polec przed opróżnieniem pierwszego magazynka.

Prawie od razu straciłem z oczu Gabrię. Większość pocisków przelatywała górą, w ziemię trafiało jednak wystarczająco dużo, by tumany kurzu zagęściły mrok. To właśnie kurz sprawiał, że najgorliwiej ostrzeliwany Grochulski musiał dwukrotnie zmieniać stanowisko, mozolnie pełnąc z kaemem w mniej zapyłone miejsce. Miał noktowizyjny celownik i prawdopodobnie zadał tym z naprzeciwka więcej strat niż wszyscy pozostali razem wzięci, nie nastrzelał się jednak wiele w ciągu tych kilku pierwszych minut.

Gliniane domy w większości pozbawione były okien, a ich ściany nie gwarantowały osłony przed pociskami karabinowymi. To wymusiło walkę w parterze: strzelcy kładli się za węglem, gdzie warstwa wysuszonego w słońcu błota była najgrubsza, często uzupełniona kamieniami.

Z jednej strony sprzyjało nam to, pozwalając wynajdywać martwe pola i podpełzać bezkarnie bliżej, ale z drugiej niwelowało przewagę techniczną. Noktowizory Grochulskiego i Maciaszka oraz gogle przydzielone Morawskiemu nie pozwalały strzelać bezkarnie z dużej odległości do oślepionych ciemnością ofiar. Chcąc wypatrzeć leżącego pośród opłotków i warzywników człowieka, należało się zbliżyć na kilkadziesiąt metrów. Problem w tym, że nawet przed podpaleniem cysterny widoczność była niewiele mniejsza.

Płonęła zresztą nie tylko cysterna. Smugowa amunicja używana przez obie strony tu i ówdzie rodziła załążki pożarów. Na dobre zapaliła się skoszona przez somalijski kaem okrągła chatka oraz strzecha jakiegoś budynku, trafionego przez Maciaszka granatem.

To właśnie dzięki niej dostrzegłem czołg.

Wytoczył się z czarnej nicości praktycznie bez żadnej zapowiedzi. Kiedy dwadzieścia karabinów wypluwa łącznie około dwóch setek pocisków na minutę, słuch tępieje.

T-55 wyjechał zza jakiejś koślawej wiaty, błysnął snopem iskier z miejsca na styku wieży z kadłubem – i eksplodował.

– Czołg! – rozległ się w radiu spóźniony okrzyk Bielskiego. W chwilę potem zaskakująco daleko z prawej Gabriela uniosła do ust megafon i zaczęła wygłaszać jeszcze bardziej spóźniony apel do ludności. Przemknęło mi przez myśl, że to pierwszy raz, gdy dała plamę jako żołnierz.

– Drabowicz do Morawskiego: macie kogoś za stawem?

– Nikogo. Możesz walić.

Wychyliłem się zza kupki kamieni, wystrzeliłem po trzy pociski w trzy plamki płomieni wylotowych i odruchowo przyłgnałem twarzą do ziemi, kiedy Drabowicz skorzystał z zezwolenia, pakując pierwszy pocisk odłamkowy w sobie wiadomy cel.

Na drugi przyszło poczekać. Zaraz potem Sikorski zameldował: „Transporter w B4” i na wschodnim obrzeżu wioski rozegrała się kolejna szybka potyczka stalowych potworów. Daleko z prawej błysnęła armata BWP Hanusika – aktualnie Bielskiego – potem zadudnił basowo karabin maszynowy dużego kalibru, sypnęło iskrami, widocznymi aż z naszych stanowisk, jakiś głos w radiu wrzasnął: „Kurwa!”. Drabowicz, który raczej nie po to uaktywnił nadajnik, zawołał coś o podkalibrowym. Grochulski wywalił długą serię i po raz pierwszy nie doczekał się odzewu. Tymoszuć, ciągnąc za sobą uwiązany na lince kanister, mijał właśnie trupa krowy i podpełzał do brzegu sadzawki.

Gabriela krzyczała przez megafon, dopóki nie nadleciał granat i nie uciął jej krzyku. Wukaem somalijskiego transportera walił monotennie, próbując nadgryźć czołowy pancerz bewupa. Rozwalony T-55 płonął jak pochodnia, strzelcy przed nami chyba cofali się, a Lesik, zrywem równie bohaterskim, co bezsensownym, pognął z parą skrzynek w poprzek frontu i omal nie rozwalił Grochulskiemu głowy świeżą dostawą amunicji.

Dźwignąłem się na kolana. Nic tak nie ogłupia jak idiotyczny przykład. Może tylko wybuch

granatu w miejscu, skąd dobiegał głos najważniejszej w świecie osoby.

Pocisk trafił mnie w brzuch, zrykoszetował od stalowego wsadu kamizelki, szarpnął rękawem, odleciał. Kilka innych wyłamało parę koślawych patyków z płotu. Przypadek. Było ciemno, pewnie w ogóle mnie nie widział. Ale ostrzeżenie podziałało. Zwalilem się na ziemię i przez parę sekund prawie nie pamiętałem, dlaczego próbowałem wstać.

A potem megafon odżył. Trochę zachrypla od połkniętego kurzu, ale żyła. Nie trafili jej.

To Bielski trafił. Równie dobrze jak Drabowicz: kątem oka dostrzegłem płomienny ogon za mknącym pociskiem, wybuch i rozlewające się zaraz potem jeziorko poświaty.

– Dostał! – Triumf w głosie plutonowego.

– Czołg! – Krew z płuc i panika w głosie Sikorskiego. – Uwa...!

Nie dokończył. Fala radiowa przyniosła trzask obsługiwanej przez Wołynowa armaty kalibru 73, a ta zwykła, dźwiękowa – huk dużo głośniejszego wystrzału działa czołgowego.

Kilkanaście sekund ciszy. Dookoła tłukło kilka karabinów, a facet, który omal nie zabił Gabrieli, wpakował następny granat nasadkowy w dom odległy najwyżej pięć metrów ode mnie. Ale było cicho. Przez tę rozciągniętą jak guma chwilę liczyło się tylko radio.

Zupełnie jakbym wiedział, co usłyszę na koniec.

– Dostali – powiedział cicho Sikorski. – Major trafił ten czołg, ale Bielski... Pałą się. Chyba nikt nie wyszedł.

Wystrzeliłem parę razy i popatrzyłem w prawo. Hanusikowi dostał się szczęśliwy wóz: najpierw rakietą, teraz stumilimetrowy pocisk czołgowej armaty – a amunicja nie eksplodowała. Pożar też nie był wielki, przynajmniej dla patrzącego z zewnątrz. Tylko ludzie...

– Czołg na chodzie. – Drabowicz też nie zdierał gardła: bardziej cedził, niż mówił. – Widzę płomień. Przesuwa się.

W cokolwiek trafił Wołynow, musiało się dostać także zamocowanym z tyłu beczkom z dodatkowym paliwem. Tylko tak potrafiłem wyjaśnić fakt, że czołg nadal jeździł, choć ciągnący się za nim słup płomienia sięgał wysoko nad korony palm. Drabowicz strzelał do niego cztery razy, stalowe igły pocisków rdzeniowych dziurawiły kolejne ściany i przelatywały tuż obok, a somalijski czołg wciąż sunął w poprzek wioski w niezbyt rozumnej, lecz skutecznej ucieczce. Zgubił go dopiero przyływ rozsądku, względnie odwagi: w którymś momencie skręcił na południe, pokazał się między zabudowaniami i oberwał w przód wieży.

Wybuch amunicji zmiotł dwa sąsiednie domy.

Pół minuty później dwa inne, bliższe, zmieniły się w dymiące leje po trafieniu pociskami burzącymi kalibru 125 mm. Południowy skraj wsi przestał mrugać ognikami karabinowych wystrzałów, niedobitki piechoty wycofały się, a Tymoszuk dotarł do sadzawki i przez chwilę był najszczęśliwszym człowiekiem w promieniu dziesiątek kilometrów.

Potem się zapalił. Razem ze stawem.

Czołgałem się akurat, więc nie dane mi było się dowiedzieć, co posłużyło za zapalnik: mina, granat, lont czy może jakiś przypadkowy, zabłąkany pocisk smugowy. Wiem tylko, że i w chwili śmierci snajper miał trochę szczęścia: nie zerwał się, nie pobiegł, nie miotał po przybrzeżnej płyciźnie, szukając ratunku w wodzie. Nie krzyczał. Więc raczej wybuch. Mierzyć z karabinu czy podpalać lont nie miał chyba kto: chwilę później połowa naszej tyraliery była już na północ od płonącej sadzawki i parła dalej, nie napotykając oporu.

– Nie będzie wody. – Głos Morawskiego lekko drżał. – Spuścili do stawu całą cysternę ropy. Z pięć ton. Pali się jak cholera.

Cieszyłem się, że jest ciemno, że jest nas tak mało, musimy trzymać się daleko od siebie i nie muszę oglądać niczyjej twarzy.

– Następny!

Nie wiedziałem kto, ale przynajmniej od razu zrozumiałem, przed czym ostrzega. Przegazowany silnik zaryczał całkiem niedaleko, zaraz potem zagrzechotało gąsienicami, a nad plecami Ciołkosza przemknęła wstęga białego ognia.

Odleciała na południe. Powolna i szybka zarazem. Drabowicz zdążył posłać serię kaemu i chyba trafić w transporter – wydawało mi się, że słyszę jęk smaganego stałą pancerna – lecz nie zdołał ukryć czołgu.

– Psiamac, poszedł celownik... Poruczniku, nic nie widać.

– Co się dzieje? – Trzeba było wiedzieć, że Filipiak leży sparaliżowany i bezradny prawie kilometr od pola bitwy, by doszukać się śladów lęku w jego głosie.

– Mało nas nie dostali. Wyrzutnia pepeka na transporterze M113. Chyba TOW. Wyskoczyli zza budynku i... Pocisk zawadził o ziemię i wybuchł za blisko, ale celownik szlag trafił. Nocny przynajmniej.

Na prawo ode mnie Morawski i Gabriela rzucali granaty za najbliższe budynki. Grochulski poderwał się, przebiegł kilka kroków. Filipiak zastanawiał się. Nikt do nas nie strzelał. Ale nie było dobrze.

– Podjeżdżaj bliżej. Sam Wołynow nie da rady.

Drabowicz wahał się najwyżej dwie sekundy.

– Rozkaz.

Pozycję T-72 wyznaczono prawie kilometr od zabudowań. Bez noktowizora celowniczy mógł ostrzelać płonąca wieś i nawet trafiać w lepiej oświetlone miejsca, lecz pojedynek z wyrzutnią przeciwpancernych pocisków kierowanych wymagał czegoś więcej: błyskawicznego naprowadzenia lufy na dobrze widoczny cel.

Na czworakach dotarłem do pierwszej chaty położonej na północ od sadzawki. Po lewej, za morzem płomieni, majaczyła biała sylwetka porzuconego sokoła. Nikt go jakoś nie próbował podpalać. Staw płonął, a śmigłowiec... Przemknęło mi przez myśl, że mogli go zaminować,

oszczędzić z myślą o upolowaniu jeszcze jednego frajera, któremu wyda się, że ratunek jest o wyciągnięcie ręki.

Ktoś strzelił z ciemności przede mną. Odgryzłem się krótką serią, odtoczyłem za ścianę. Lesik, wlokąc skrzynkę, czołgał się w poprzek pokrytej krowimi plackami łączki; kilkanaście metrów dalej wysoki na metr ognisty krzak wykwitał z nieruchomego ciała Tymoszuka.

Grochulski ustawił kaem za jakąś skałką, kilkoma długimi seriami oczyścił z rozbłysków prześwit między następnymi budynkami, osłonił Morawskiego. Major poczołgał się, minutę później wrzucił po jednym granacie za każdy z domów. Dostrzegłem pochyloną w biegu sylwetkę Gabrieli i błysk bieli, kiedy ładnym szczupakiem padała za upatrzoną zawczasu kłodą. Jednak założyła majtki.

– Uwaga, chłopcy. – Znów Filipiak. – Pan Olszan mówi, że chyba słyszał śmigłowiec. Mazurek, Bodnar, rozglądać się.

– To te z garbarni! – Ciołkosz znalazł się nagle obok mnie, nasunął granat nasadkowy na lufę beryla, wystrzelił, przypadł do ziemi. – Skurwysyny! Mało im ropy!

– Co?

– Pojemniki! Te z kwasem! Wlali do stawu!

Fakt, coś się tam paliło oprócz zwłok Tymoszuka. Beczki? Butle? Staw miał z pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Pięcotonowa cysterna dawała grubą na przeszło dziesięć centymetrów warstwę, która, schładzana od dołu wodą, mogła pewnie płonąć w nieskończoność. Ale kiedyś się wypali. Więc dorzucili odczynniki z garbarni. Nie byli pewni, czy to, co zostanie po pożarze, okaże się dostatecznie nieprzyswajalne dla ludzkiego organizmu. Prawdę mówiąc, ja też nie.

– Są jeszcze dwie studnie! – Gabriela musiała posługiwać się telepatią: leżała trzydzieści metrów dalej. – Może dobre!

Dopiero po chwili zrozumiałem, że przekrzykuje się z hukiem karabinów, rozmawiając z Morawskim. On tu dowodził.

– Na radarze czysto – zameldował przez radio Mazurek. BRDM nie uczestniczył w ataku: Filipiak trzymał go w odwodzie, wykorzystując jako posterunek wczesnego ostrzegania.

– Drabowicz do Morawskiego: celowniczy już was widzi. Możemy wspierać ogniem, ale uważajcie na tego pepeka. Jak nas dopadnie z pustą lufą, dupa zimna.

– Rozumiem. Rakietka znaczy: wal z kaemu. Z armaty tylko na wyraźną prośbę. – Morawski dał sobie spokój z radiem. – Uwaga wszyscy! Za tymi palmami jest studnia! Jak oczyścimy teren w promieniu pięćdziesięciu metrów, to się może napijemy! Ciołkosz, Jacek: osłaniać z lewej!

Przez następne kilkanaście minut zdobywaliśmy studnię. Gabriela rzucała granaty, głównie profilaktycznie, Maciaszek wystrzeliwał je, głównie do konkretnych celów, Grochulski przesuwiał się o metr, ustawiał karabin i metodycznie gasił kolejne stanowiska strzeleckie, a Morawski strzałami z raketnicy wskazywał czołgistom cele. Jakoś szło. Natarcie utknęło za

następnym rzędem lepiank, gdzie nie sięgał wzrok Drabowicza. Ogień z naprzeciwka zgęstniał, lecz nie to nas zastopowało.

– Słysząc silniki – ostrzegł przez radio Morawski. – Co najmniej... o kurwa!

BTR pojawił się jak jego amerykański kolega dźwigający wyrzutnię raket przeciwczołgowych – nagle i nie dając szansy na jakąś reakcję. Spiczasty pysk ośmiokołowego transportera rozciął kurtynę nocy, stożkowa wieżyczka plunęła karabinowym ogniem, ziemia zakipiała, któraś z palm, rozłupana kulą kalibru 14,5 mm, zwała się na drewniane koryto. Grochulski zerwał się, zanurkował w drzwi najbliższego budynku. Gabriela cisnęła granatem. Granat brzęknął o pokrywę okna kierowcy, odbił się, musnął lufę wukaemu, spadł gdzieś za wieżą, wybuchł. Dostałem odłamkiem w czoło; hełm, nie pamiętam już który z kolei, zatrzymał stalową grudkę, nie pozwolił zmienić mózgu w pokarm dla robaków. Transporter przerzucił ogień na lewą burtę i porykując silnikiem, wycofał się za szopę z blachy falistej.

Ciołkosz zmarnował jednego z dwóch naszych komarów, pakując głowicę kumulacyjną w sam jej środek. BTR odtoczył się rakiem kilkanaście metrów dalej, za solidniejsze budynki, a sierżant, gubiąc i dymiącą rurę jednorazowego granatnika, i karabin, na czworakach podbiegł do mnie.

– Dawaj radio! – Zdarł je ze mnie, chyba razem z uchwytem na kamizelce. Przewrócił się na plecy, podniósł nadajnik wyżej, gdzie docierało światło, trzęsącymi się rękoma zaczął zmieniać kanał.

– Odbiło panu?!

Znow zaczynała się strzelanina – paru zachęconych przez beteera piechurów próbowało kontratakować – więc przez następną minutę zajęty byłem opróżnianiem magazynka. Chyba kogoś trafiłem. Może nawet machnąłbym ręką na nadajnik. Gdyby Ciołkosz nie zaczął wykrzykiwać do mikrofonu kulawą angielszczyzną, wzywając pułkownika Sabaha.

– Jak mu ją zaproponujesz, sam cię zabiję – warknąłem. Usiadłem za ścianą, zacząłem napełniać magazynki.

Kończyłem ładować trzeci, kiedy BTR zaryzykował kolejny wypad. Morawski przepędził go szybko – strzałem z raketnicy. Wóz wycofał się błyskawicznie. Nie próbował sprawdzać, czy w chwilę po nieszkodliwym czerwonym ogniku wskazującym cel nie nadleci coś paskudnego.

– Hej, wy! – Zrobiło się ciszej, ale nie dlatego tak wyraźnie słyszałem sierżanta. Po prostu dał sobie spokój z radiem i zaczął krzyczeć. – Pułkownik Sabah! Mówić!

Ktoś strzelił granatem. Paru kroków zabrakło, by żelazne jajo wybuchło po naszej stronie glinianego nasypu, okalającego ogródek. Wykorzystałem chmurę kurzu, wyrwałem Ciołkoszowi nadajnik. Ustawiłem kanał i podłączyłem radmora do słuchawek. Działy.

– ...wycofać – kończył Morawski. – Jak na nas ruszy, to koniec.

– Bodnar już zatacza działko – Filipiak nadal nie tracił zimnej krwi. Albo po prostu wymusił

na Joli następną działkę i wszystko mu radośnie zwisało. – Jeszcze chwila.

Zenitówka, podobnie jak BRDM, została w odwodzie i pilnowała nieba. Na wypadek, gdyby szło źle, porucznik przydzielił jednak Bodnarowi dwóch ludzi i honkera. Amunicyjnemu ZU zostały tylko trzy palce w prawej dłoni, ale mając samochód i pięć zdrowych rąk byli chyba w stanie zająć przyzwoite stanowisko i ostrzelać wioskę. Leżała w dolinie, więc w grę wchodziły nie tylko obrzeża.

– Damy wam dziewczynę! – wydierał się Ciołkosz. Właściwie trochę go rozumiałem. Z głębi sektora C dobiegał warkot co najmniej trzech silników i gdyby całe to stado ruszyło nagle na nas...

– Nie da się podejść do studni – zameldował Morawski trochę później. – Patelnia. Asmare mówi, że jest jeszcze ujęcie wody w domu jej stryja. Chce iść i sprawdzić.

Od północy i wschodu nie strzelano do nas, ale i tak nie spodobało mi się to, co usłyszałem. Zostawiłem w spokoju magazynek i zacząłem pełznąć w stronę prawego skrzydła.

Chyba ocaliła mi życie. Usłyszałem znajome powarkiwanie, już po paru sekundach zagłuszone serią wukaemu. Pociski kalibru 14,5 rozniosły narożnik chaty, za którym się przed chwilą ukrywałem, podziurawiły resztę budynku, ale przede wszystkim dopadły Ciołkosza.

W ostatniej chwili próbował zrywać się i uciekać – dzięki temu nie miałem złudzeń. Ktoś, kto dostał takiego kopniaka w locie i upadł równie bezwładnie niemal dwa metry dalej, nie miał prawa przeżyć.

Przetoczyłem się na plecy. Piesza asysta beteera dołożyła naszej niedawnej pozycji dwoma granatami, ale żaden z Somalijszczyków nie pokazał się. Przed lufą przemknęła mi jedynie ogromna czarna trumna na ośmiu kołach. Ktoś strzelał z przedziału desantowego, zdążyłem jednak zatrzymać zginający się palec, nie zdemaskowałem się i transporter równie nagle, jak się ukazał, przepadł za domami, krzakami i dymem.

Wyglądało to paskudnie, ale po raz kolejny okazało się, że bez wsparcia piechoty siły pancerne powinny sobie darować walkę w terenie zabudowanym. BTR objechał od południa naszą króciutką tyralierę, postrzelał, głównie na oślep, i zawracał, kiedy dała o sobie znać zenitówka. Bodnarowi trochę przeszkadzały dachy i korony drzew, termowizyjny celownik ZU-23 spisał się jednak na medal i kosztem paru zdewastowanych strzech, kilku fruujących arkuszy blachy falistej, dwóch pożarów i kilkunastu amputowanych gałęzi pociski armaty przeciwlotniczej dopadły umykający pojazd. Trafiony kilka razy, rąbnął w jeden z budynków, ugrzązł w jego ruinach i zaczął się palić.

Nie nacieszyliśmy się sukcesem. Działo, które strzela, staje się widoczne, a ważącej niemal tonę zenitówki nie da się szybko odciągnąć. Zwłaszcza jeśli obsługa ma do dyspozycji pięć rąk i kilkadziesiąt godzin walki w kościach.

Niewidzialny pocisk, ciągnący za sobą aż za dobrze widzialny płomień, przemknął nad

dachami i eksplodował pięćset metrów dalej. Sądząc po serii trzasków detonującej amunicji, operator mierzył w armatę, ale tamci nie mieli czasu, zostawili honkera tuż obok i razem z działem wyleciał w powietrze także samochód.

Nawet nie miałem czasu się zmartwić.

– Pojazdy od północy! – Rozpoznałem głos Mazurka. – Chyba dwa!

Ktoś od nas rzucił granat. Celnie: zza chruścianego płotu dobiegło krótkie wycie, zgaszone serią kaemu Grochulskiego.

– Bierzemy je – zadeklarował Sikorski. – Major chyba pyta, czy sprawdzić tę wodę. U wuja Gabryśki.

Leżałem za jakąś kupą kamieni, czekałem na rozbłyski z naprzeciwka i myślałem o tym, jak ją nazwał. Dałem plamę jako lekarz, zaryzykowałem, zwolniłem go ze swego, pożał się Boże, szpitala, i teraz pluć krwią z przebitego złamanym żebrem płuca. Ale właśnie dlatego tak mnie zaskoczył. Kozłowski, Szewczyk, ten pechowiec bez dwóch palców, który właśnie wyleciał w powietrze – byli z nami, oglądali ją przy pracy, rozmawiali. On właściwie nie.

– Nie wystawiajcie nosa z wozu. Chyba że się zapali.

Filipiak miał rację: na północy też strzelano, a jedna zabłąkana kula mogła wyeliminować bewupa jako pełnosprawny wóz bojowy. Sikorski się nie liczył: mógł siedzieć, mówić i to właściwie wszystko. Prawdziwa załoga to Wyka przy wolancie i Wołynow w wieży. Gdyby któremuś coś się stało, wóz musiałby albo rozjeżdżać Somalijszyków, albo przeistoczyć się w nieruchomy bunkier. W obu przypadkach nie pociągnąłby długo.

Obrońcy wsi dobrze walczyli. Udało nam się zająć sektor D, wyparliśmy ich, ale, pomijając tych w wozach bojowych, wcale nie stracili wielu ludzi. Często zmieniali stanowiska, nie szli na wymianę ciosów z wyposażonym w noktowizor kaemem Grochulskiego, nie pozwalali Maciaszkowi strzelać do siebie drugi raz, a Gabriela, rzucając granaty, posyłała z reguły do nieba nie ludzi, a garście ciepłych jeszcze łusek.

Przez kilka następnych minut atakowali nas siłami, z grubsza biorąc, drużyny. Ostrożnie, więcej strzelając, niż czołgając się do przodu. Biegać nie próbował żaden. Kilka razy udało im się przydusić Grochulskiego do ziemi, dla zyskania na czasie musieliśmy parę razy rzucać granatami, obie strony wystrzelały łącznie jakiś tysiąc naboju – po czym odstępili. Jeden zginął, co najmniej jeden dostał na tyle mocno, że krzyknął. My wyszliśmy z tej rundy cało.

– Już po nich, panie poruczniku – pochwalił się Sikorski.

– Co to było?

– Ciężarówka i żuraw. Dźwig znaczy. – Zakaszłał. – Chyba wieźli resztki tego rozwalonego śmigłowca.

Pomyślałem, że jakaś klątwa ciąży nad tym pogruchotanym żelastwem. Ktokolwiek próbował je zbierać i wywozić, pakował się w kłopoty.

– Nie mieli wody?

– Nie wiem. Major rozwalił ich z kaemu, oba wozy się palą. – Coś załomotało o blachy. – Kurrr... Strzelają do nas. Ze wsi.

– Uważajcie na siebie.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Filipiak się boi. Nie o siebie: ten rozwalony kręgosłup odciął go nie tylko od nóg, ale i większej części instynktu przetrwania. Może nawet chciał umrzeć. Jednak nie tak. Nie po wytraceniu resztek plutonu w beznadziejnych atakach.

Somalijskiego dowódcę też chyba dręczyła podobna wizja. Z głębi sektora C dobiegał pomruk silników, a z północy rzadkie trzaski armaty kalibru 73, ale poza tym nic się nie działo. M113 z wyrzutnią rakiet przeciwpancernych nie próbował się dopisywać do listy ofiar manewrującego za stawem czołgu, Wołynow krążył po przedpolach wioski, nie ryzykując zapuszczania się między domy, posiadacze granatników oszczędzali amunicję na cięższe czasy, a strzelcy leżeli w swych kryjówkach i chyba starali się nie zasnąć.

Ja w każdym razie miałem z tym problemy.

Musiałem się zdrzemnąć. Zauważyłem Olszana dopiero, gdy zaczął potrząsać moim ramieniem.

– Jezu... Co pan tu robi?

– Nie spać... bo okradną. – Z tyłu płonął dom, więc widziałem wysiłek, jaki włożył w uśmiech. Z szyi zwisał mu glauberyt, ale nie zdziwiłbym się, gdyby odrzut pierwszej serii przewrócił go na ziemię. Do osłabienia wywołanego raną doszła zadyszka po biegu. – Bałem się, że... pana nie zastanę.

– Mnie? Dlaczego?

– Lekarzy... ciągnie do rannych.

– Ktoś dostał? – Usiadłem. Ściana za plecami, nieopodal Maciaszek ze swoim noktowizorem. Nie ryzykowałem wiele.

– Ten z rozwaloną ręką. Od Bodnara. – Też nie znał nazwiska. – Samochód się pali, tamci... dwaj nie żyją... ale on jeszcze tak. I działko. Podobno nie dostało za mocno.

– Działko?

– Ten śmigłowiec wróci – powiedział ciszej. – Czuję to. A Filipiak chce... posłać beerdeema do walki.

– Przyda się.

– Widzę. – Dookoła płonęły domy, dym szczyptał w oczy, w ciemności złowróźnie dudniły silniki. – Ale jeśli przylecą, to bez działka... będziemy załatwieni. Więc pomyślałem... We dwóch damy radę strzelać.

– My?

– Skoro i tak pan tam idzie...

Nie zdążyłem zastanowić się nad jego propozycją – czy jakkolwiek to zwać. Zza narożnika, pobrząkując oporządzeniem, wyczołgał się Morawski.

– Zbieraj się – wysapał. – Weźmiesz Gabrielę, Lesika i kanister, pójdziecie sprawdzić tę drugą studnię.

– Ty nie możesz? – zapytał mało życzliwie Olszan.

– Ja pilnuję tej. Może niczym jej nie zapaskudzili. No, już – trącił mnie w ramię. – Wołynow trochę wyczyścił tamten rejon, a Mazurek ma was osłaniać. Powinno być bezpieczniej niż tu.

*

Wynurzyła się z dymu otaczającego wrak drugiego beteera, tego, który zniszczył Bielski. Omal nie strzeliłem.

– Cholera... Odbiło pani?! Co pani tu robi?!

Podbiegła ciężkim truchtem i stanęła prawie prosto. Prawie. Było za ciemno, bym potrafił czytać z twarzy, czułem jednak, że jeszcze parę stopni więcej, a zawyje z bólu.

– Nic mi nie jest. – Nie mówiła do mnie, zwracała się do Olszana.

– Prosiłem cię – powiedział z wyrzutem.

– Jak się przyczaję, to prawie nie boli – próbowała żartować. I od razu dała sobie spokój z zadawaniem szyku pionową sylwetką.

– Filipiak został sam? – zapytała cicho Gabriela. Ledwie ją widziałem w ciemności, milczała też aż dotąd.

– Z Jolą. – W głosie Agnieszki zabrzmiała skrucha.

Machnąłem dłonią, wskazując kierunek. Gdy obejrzałem się minutę później, szła zgarbiona, trzymając pilota za rękę. Nie wiem, które któremu pomagało i czy w ogóle ktokolwiek na tym skorzystał. Lesik na pewno nie. Byliśmy sto metrów od granicy posiadłości dyrektora Asmare, kiedy coś poruszyło się w ciemnościach. Pociągnąłem serią, Gabriela pociągnęła drugą, wszyscy padli, tamci też – nie sądzę, by glauberyt Olszana wiele zmienił. Ale teoretycznie mógł.

– Boże... moja noga...

Przez chwilę leżałem, celując w miejsce, z którego padł pojedynczy wystrzał. Potem cofnąłem się na czworakach i pomogłem wciągnąć Lesika do najbliższej lepianki. Okien nie było, drzwi wychodziły na wschód, gdzie w mroku czaił się BRDM, zapaliłem więc latarkę. Nie osłonili nas, lecz zastrzelenie przez pomyłkę byłoby już przesadą.

– Spokojnie. Wiem, że boli. Zaraz coś z tym zrobimy.

Wyjąłem pakiet opatrunku z kieszeni Lesika, rozprułem, wstrzyknąłem mu morfinę. Pół porcji. Był blady, krew z rozgryzionej wargi wyglądała na tym tle niczym źle dobrana farba z kiepskiego horroru.

– Jeszcze chwilę. I niech się pan nie boi. To drobiazg. – Agnieszka rzuciła mi dziwne spojrzenie. – Żadnych uszkodzonych naczyń.

Nie dodałem: „Na szczęście”, choć powinienem. Pocisk przebił wprawdzie nogę, ale w miejscu, gdzie wyrastała z tułowia i żadne opaski uciskające nie wchodziły w grę. Obie rany, zwłaszcza wylotowa, krwawiły, nie było to jednak nic, z czym zwyczajny, solidny opatrunek nie miałby szansy sobie poradzić. Jeśli odłamki kości nie zostały wepchnięte do jamy brzusznej, Lesik mógł teoretycznie dożyć stu lat, nie dopuszczając do siebie chirurga ze skalpelem. Inna sprawa, że przeżyłby je w łóżku.

Zdezynfekowałem i opatrzyłem rany. Miałem trzy ręce do pomocy, a Wołynow dopingował strzałami z armaty, poszło więc szybko.

– Boli – poskarżył się w którymś momencie.

– Wiem. Ale zaraz panu ulży.

– Chcę całą.

Nie przegapił tego, co zostało w dozowniku. Cóż, nie starałem się zbytnio. Strzykawka na oczach wszystkich powędrowała do plastikowego pudełka, a następnie do kieszeni na udzie.

– Tak będzie lepiej. Nie mamy już środków przeciwbólowych.

– To moja porcja.

– Noga też. Jutro ta połówka może uratować panu życie. Ma pan rozwalony staw. Przy transporcie... – nie dokończyłem.

– Chcę ją mieć przy sobie.

– Jest otwarta. Do zużycia w pierwszej kolejności.

– To moja porcja – powtórzył. Starałem się nie wyobrazać sobie, co czuje człowiek, któremu kula zgruchotała główkę kości udowej. Ale wyobraźnia nie pytała o pozwolenie. I dobrze.

– Podam to panu jutro – rzuciłem twardo. – To albo połówkę mojej.

Skapitulował. Może zrozumiał, że mam rację.

– Podpalili dom. – Gabriela pojawiła się jakiś czas temu, ale odezwała się dopiero teraz. – Po wodzie. Ujęcie było w środku.

– A ten wiatrak?

– Daje prąd. – Zawahała się. – Pójdę tam. Może w oborach... Bydło jest przeważnie na pastwiskach, ale może...

Ostrożnie naciągnąłem spodnie na opasane bandażem biodro.

– Za waszym domem nic już nie ma? – Kiwnęła głową. – Dobra. Idziemy wszyscy. Łatwiej go będzie wywieźć stamtąd niż ze środka wsi.

Włączyłem nadajnik i złożyłem meldunek Filipiakowi.

– A działko? – upomniał się Olszan. Posłałem mu ponure spojrzenie.

– Może potem.

– Tam też ma pan rannego.

– Odezwał się od tamtej pory? – Wzruszył ramionami. Trochę faulowałem: nie miał radia. – Niech pan osłania. Sam go nie uniosę.

Zostawiliśmy całe wyposażenie Lesika, jego broń, hełm i kamizelkę, ale wiedziałem, co mówię. Nawet wspomagany przez Gabriellę, ledwie go taszczyłem. Był przytomny, jednak cała korzyść z tego sprowadzała się do wysłuchiwania jego jęków.

Minęliśmy zwłoki człowieka, który tak nas urządził, i bez przeszkód dotarliśmy do ogrodzenia. Po lewej, niedaleko, płonęły dwie ciężarówki. Z szoferki tej drugiej, zaopatrzonej w dźwig, zwisała ludzka noga. BWP, ostrzeliwujący z kaemu północne obrzeża wioski, krążył dużo dalej, lecz wciąż w zasięgu porządnego granatnika przeciwpancernego. Inna sprawa, że kiedy nie strzelał, trudno go było wypatrzeć.

Przeszedłem przez płot i pełzając między krzewami, sprawdziłem południową część ogrodu. Dom wprawdzie podpalono, lecz, póki co, płonął głównie w środku, a pozamykane okiennice zatrzymywały niemal całe światło. Dużo łatwiej wydostawał się dym, więc, paradoksalnie, mając pożar pod bokiem, widziałem mniej niż przedtem.

Zawróciłem. Za późno: tamtych troje zdążyło przeciągnąć Lesika na północną stronę ogrodzenia i właśnie ruszali moim śladem.

– Nie sprawdziłem budynków – warknąłem szeptem.

– Tu jest bezpieczniej. – Szept w wydaniu Gabrieli brzmiał beznamiętnie. – Przynajmniej mur osłania.

Podniosła się, oparła karabin o gliniane ogrodzenie i skierowała w stronę wsi. Bez słowa ruszyłem wzdłuż szeregu pomieszczeń gospodarczych, zamykających posiadłość od wschodu. W niektórych przetrzymywano zwierzęta – kiedyś. Teraz po czworonogach pozostała wyłącznie ciężka woń odchodów. Zaglądałem kolejno do niedużych komórek, trzymając latarkę w jednej, a wista w drugiej ręce. Gdyby ktoś czaił się w środku, pewnie i tak strzeliłby pierwszy, ale nie miałem ani czasu, ani siły, by się tym zamartwiać.

W ostatniej musiałem zweryfikować swój pogląd na to, co się działo w Kasali przed naszym przybyciem.

Wyszedłem w mrok nocy. Odruchowo wyłączyłem latarkę – na zewnątrz mogła zadziałać jak magnes przyciągający kule – ale zapomniałem o potrzebie rozglądania się. Zauważyłem go tylko dlatego, że chwilę wcześniej ogień przebił się przez jedną z okiennic.

Stał za znaną mi drewnianą budką wychodka i celował prosto w drzwi, z których wyszedłem. Długo. Nie poruszył się, więc musiał zacząć co najmniej sekundę wcześniej. I co najmniej druga sekunda upłynęła, nim odskoczyłem za ścianę.

Potknąłem się o coś, przewróciłem, narobiłem piekielnego hałasu, zwalając z półki blaszane wiadro. Potrzebowałem kolejnych sekund, by usiąść i skierować lufę w stronę drzwi. Gdyby

naprawdę chciał, zdążyłby przebiec te kilka metrów i pierwszy pociągnąć za spust.

– To ja.

Za domem porykiwał BWP Wołynowa, we wsi od czasu do czasu ktoś posyłał w mrok pojedynczy pocisk. Ale zasadniczo było cicho i szept Olszana wydawał się być jak najbardziej na miejscu.

Trudno mówić o dziwnym brzmieniu, gdy ktoś mówi szeptem.

Pozbierałem się z klepiska i podszedłem do drzwi, powtarzając sobie w duchu, że gdybym trochę bardziej uważał, to on nałykałby się strachu, widząc wymierzony między oczy pistolet.

Trzymałem wista w opuszczonej ręce. Idiotyczny, pusty gest.

– Co pan tu robi?

– Spokojnie. – Chyba się uśmiechnął. – Dziewczyny sobie pora...

Coś zaszeleściło w zaroślach, stuknęło o drewnianą ściankę sławojki. Chciałem mu wierzyć i właściwie już wierzyłem, ale adrenalina, raz puszczona w obieg, robi swoje. Odskoczyłem za framugę.

Granat wybuchł dużo później. Całe wieki później. Nie byłem ani trochę zdziwiony, słysząc, jak gläuberyt zaczyna strzelać. Olszan miał czas, miał tę budkę do chowania się za nią, ziemię, by padać.

Kiedy po raz trzeci przekroczyłem próg, w mroku zamajaczyła mi jego pochylona sylwetka. Przeszedł kilka kroków, posłał następną serię w północny koniec ogrodu i znieruchomiał.

Z ciemności dobiegł krótki ni to charkot, ni jęk konającej istoty. I tyle. Minąłem Olszana, włączyłem na chwilę latarkę. Nikt nie odstrzelił mi ręki. Byliśmy sami. Leżący pod murem człowiek miał w plecach co najmniej trzy dziury. Na wszelki wypadek wyjrzałem na zewnątrz. Z tej strony płomienie wypełzły już z budynku mieszkalnego, wzrok sięgał więc dość daleko. Jakieś kamienie, parę krzaków i całe hektary pustki.

– Nawet nie ma karabinu. – Dałem sobie spokój z mówieniem szeptem. Mazurek powinien już być na pozycji, z drugiej strony mieliśmy bewupa. Czający się wokół muru napastnicy dawno zarobiliby parę serii w plecy. – Ale to żołnierz. Pewnie wyskoczył z którejś ciężarówki.

Olszan stał tam, gdzie go zostawiłem. Nie odzywał się.

– W porządku! – zawołałem. – Już po strachu! Powinienem się ugryźć w język. Zgięta Agnieszka mijała się ze mną, kiedy Sikorski zapoczątkował czarną serię.

– Biegi nam siadły. Silnik chodzi, ale nie możemy się ruszyć.

Obszedłem dom i przez chwilę sprawdzałem, jak bardzo jest źle. Chyba było bardzo źle. Wóz stał za żurawiem, osłonięty od strony sektora B, ale za to bezradny w przypadku ataku z tej strony.

– Drabowicz, uważaj!!! – Gdyby nie hełmofon, plutonowy rozbiłby sobie w tej chwili głowę o strop wieży: byłem pewien, że podskoczył z wrażenia. – Za wami!!! Na siódmej!!!

Dom dyrektora Asmare stał na wzgórzu, oddalony sześćset metrów czołg także, a w Kasali nie rośło zbyt wiele wysokich drzew. No i miałem trochę szczęścia. Z miejsca, gdzie się znalazłem, dane mi było obejrzeć cały spektakl od początku do końca.

Zaczęło się od podwójnego rozbłysku na południowym zachodzie. Dwie rakiety, odpalone w sekundowym odstępie. Nawet z daleka i pod ostrym kątem widać było, że miejsca wystrzelenia pocisków dzieli spora odległość. Czyli lecieli szybko. Nawet bardzo szybko, biorąc pod uwagę niski pułap.

Ogniki eksplozji wykroiliły z czerni maleńką sylwetkę T-72. Nie wyleciał w powietrze, ale serce i tak miałem w gardle: wielkie płaty palącej się siatki maskującej dowodziły, że przynajmniej jedna z rakiet dopadła ofiary. Potem, kiedy śmigłowiec mknął nad wioską, dostrzegłem też ogień snujący się po samym czołgu.

– Śmigłowiec!!! – wrzeszczał Mazurek. – Leci na nas!!!

Powinien siedzieć w wieży, przy termowizyjnym celowniku i wukaemie. On albo Grochulski. Ale Grochulskiego przydzielili do piechoty i plutonowy pozostał ostatnim, który potrafił obsługiwać radiolokator. Zajmował się tym na przemian z prowadzeniem samochodu – na strzelanie nie miał już czasu. W wieży, po krótkim przeszkoleniu, posadzono szeregowego Kozłowskiego, mego pacjenta z pogruchotanym nadgarstkiem.

Jednak to nie on zawiódł. Już raczej Szyszkowski: zbyt pochopnie odpalając groma. Ale główną przyczyną porażki była klasa napastnika.

Nad Europą latały już śmigłowce szturmowe z bardziej wyrafinowaną awioniką. Nad Rosją można było spotkać lepiej opancerzone. W samych Stanach piloci też nie zabijali się o przydział na klasyczny, pozbawiony radiolokatora AH-64 Apache – mieli lepsze zabawki. Ale jeśli ktoś uparł się, by wpaść nocą nad pole bitwy i rozwaląć co się da w stylu znanym Bohaterom Związku Radzieckiego, dosiadającym sławnych H-2, to powinien wybrać właśnie tę maszynę.

System walki elektronicznej pozwolił jej namierzyć pracujący radar, a system obserwacji optycznej – błyskawicznie znaleźć czołg. Była silna, zwrotna i szybka, więc zbliżyła się do Kasali na minimalnym pułapie i wyskakując z nienacka zza wzgórz, zostawiła ofiarom niewiele czasu na reakcję. Dobry celownik umożliwił trafienie, choć odpalone zostały tylko dwie niekierowane rakiety. System samoobrony sypnął flarami dobrej jakości i wystrzelony przez Szyszkowskiego pocisk chybił. Największe wrażenie zrobił jednak na mnie widok iskier, tryskających z pancerza kabiny. Apache wpakował się w sam środek wiązki pocisków kalibru 12,7 i – jak gdyby nigdy nic – poleciał dalej.

Zapamiętałem rozbłysk płomienia wylotowego jego działka i serię niewielkich wybuchów wokół stanowiska beerdeema. To wszystko. Śmigłowiec, łomocąc przeraźliwie, przemknął zaledwie kilkadziesiąt metrów ode mnie i znikł w ciemnościach na północnym wschodzie.

Próbowałem śledzić go wzrokiem, ale zobaczyłem tylko ludzką sylwetkę, pod którą uginają

się kolana i która miękko osuwa się na ziemię.

*

– Odleciał. – Gabriela wsunęła się do stajni, szybko zamknęła drzwi. Słusznie. Łuny pożarów trudno pomylić ze światłem latarek. A włączyliśmy wszystkie. Nie wiem po co. Nawet milion nie zastąpi lampy rentgenowskiej. Miałem tylko swoją wiedzę, a do jej użycia w zasadzie nie potrzebowałem oczu. Igłokształtne paskudztwo dotarło aż do pleców. Samym czubkiem, to jednak wystarczyło. Wyczułem metal opuszką palca, opasując nagi tors Olszana pierwszą warstwą bandaży.

To była tylko chwila. Sam jeszcze nie wiedziałem. Znieruchomiałem, by zapamiętać miejsce; zastanawiać się miałem później.

– Źle? – Agnieszka włożyła mnóstwo wysiłku w postawienie tego znaku zapytania na końcu. Nie odpowiedziałem. To nie diagnozy oczekiwała, a marnego kłamstwa z ust mężczyzny, którego kocha.

Bo i to potrafiłem stwierdzić, nie posiłkując się rentgenem: że kocha. Od czterech ostatnich dni zastanawiałem się nieustannie, co właściwie kryje się za tym słowem – i oto miałem odpowiedź.

To taki ból, strach i niezgoda na fakty, jak te w jej oczach.

– Wieża uszkodzona, mój strzelec nie żyje. – Było tak cicho, że wszyscy słyszeliśmy ponury głos Mazurka, mimo iż dobiegał z dyndających luźno słuchawek. Zsunęły mi się z głowy razem z hełmem. – Zostały trzy koła, strzelać się nie da, wszystko w proszku. Groma też można skreślić. Szyszkowski dostał lekko odłamkiem, ale jedną raketę wystrzelił, a w zapasowe akurat pocisk...

Gabriela przeszła w kąt pomieszczenia. Coś się tam ruszało, ale dopiero teraz popatrzyłem. Osioł. Stał w cieniu, przyglądał nam się spokojnie i chyba nawet coś miał w pysku.

Olszan przesunął się pod ścianę, usiadł, zaczął przekładać dłonie przez rękawki zakrwawionego podkoszulka. Powoli, ale wszyscy ślanialiśmy się na nogach. Wcale nie wyglądał na kogoś, kto...

– Da się głośniej? – udało mu się uśmiechnąć. Zakląłem w duchu. Nieśmiała nadzieja zaczęła wypierać strach z twarzy Agnieszki.

Odłączyłem słuchawki, podkręciłem głośność.

– Nas trafił w tyłek – powiedział Drabowicz. – Silnik się palił. Zgasło, ale chyba nie ruszymy. Próbuję i nic. Reszta w porządku.

– Strzelał dwa razy? – To był Filipiak.

– Dwa. Chyba cienko u niego z raketami.

– Nie słyhać go – dokończył Mazurek. – Ale nie spadł. Odleciał.

Olszan wyciągnął rękę. Nie zrozumiałem. To Agnieszka przyskoczyła, zdarła ze mnie radmora, wsunęła mu w dłoń. Podziękował jej słabym uśmiechem. Zdążył przeciągnąć koszulkę przez głowę, utknęła dopiero na łopatkach, których jakoś nie miał siły oderwać od ściany.

– Tu Olszan. – Przez radio musiał prezentować się lepiej; głos brzmiał prawie normalnie. – Może mieć kłopoty z optyką. Widziałem, jak dostał po nosie. Ale niech pan pośle kogoś do działka. To apache.

– Co?! – W głosie Filipiaka brzmiało niedowierzenie.

– Na mur. Z karabinów nie warto strzelać. Tylko działko.

– To nie może być apache.

Odebrałem Olszanowi radio.

– Ale jest. Mało nam głów nie skosił. Widzieliśmy go.

Odłożyłem nadajnik i przez chwilę patrzyłem na pochylone plecy Gabrieli. Tulila do piersi ośli łeb. Albo może to ona tulila się do zwierzęcia. Wcale nie wyglądała dużo lepiej od Agnieszki.

– Doktorze...

Też chciałbym mieć jakiegoś kłapoucha, móc go drapać za uszami, chować twarz i nie patrzeć nikomu w oczy.

– Połóż się. – Agnieszka chyba postanowiła być rozsądna, dzielna i rzeczowa. Miała go tuż obok i nawet nie próbowała dotykać. – Jesteś ranny, musisz odpoczywać.

– Jeszcze się należę. Doktorze...

– Nie mów tak – warknęła. Lesik, pojękując, mościł sobie legowisko z pustych worków i jakichś wyschniętych badyli.

– To ważne. Jaka jest szansa, że z tego wyjdę?

Znieruchomieli wszyscy. Chyba z osłem włącznie.

Nie odpowiadałem. Gromadziłem słowa.

– Coś kombinują – popłynął z głośnika ponury głos Morawskiego. – Słyszę trzy silniki. Stoją w miejscu i ryczą. Od paru minut.

Filipiak zastanawiał się tylko chwilę.

– Ten transporter z wyrzutnią... Uda wam się ostrzec Drabowicza?

– Marne szanse.

– Co się dzieje? – zapytał cicho Olszan. Może na chwilę zabrakło mu odwagi, może próbował odroczyć wysłuchanie wyroku.

– Mają wyrzutnię pepeka. – Też wolałem ten temat. – Wóz wyjeżdża zza węgła, strzela, i w dwie sekundy jest po Drabowiczu. Chyba że strzeli pierwszy. Ale raczej nie zdąży. Im dłużej go tak trzymają w niepewności, tym mniejsze ma szanse. No i nie może wspierać Morawskiego. Jak

tylko rąbnie z działa, tamci zaatakują. Praktycznie, póki Somalijszykom nie skończy się paliwo, jesteśmy bez czołgu. Mamy bunkier z kaemem.

– A Wołynow?

– Skrzynia biegów im się rozsypała. I tak późno.

Patrzyłem mu w oczy. Wydawały się chłodne, spokojne.

– Wyjdziemy z tego?

Gabriela wyciągnęła zza pustego żłobu znane mi siodło, okryła nim grzbiet kłapoucha. Agnieszka, zgięta jak sędziwa staruszka, szukała resztek wilgoci w wiadrach i poidłach.

– Z tym śmigłowcem na karku? – wzruszyłem ramionami. – Wątpię. Uciekać nie można, a rano ich piechurzy odzyskają wzrok i wystrzelają naszych. Mają więcej ludzi. Dobrych. Widziałem trupy. W większości to biali. Arabowie, nie Somalijszyki. Pewnie przeszkoleni w Afganistanie, Czeczenii... Ochotnicy. Za dnia czołg by ich może powstrzymał, ale Drabowicza pewnie załatwią jeszcze po ciemku. Ich wyrzutnia ma nocny celownik, a on już nie. Kiepsko jest.

Obie panie zapomniały o wykonywanych czynnościach. Przyglądały mi się, chyba zaskoczone. Widocznie uchodziłem dotąd za optymistę.

– No to raz kozie śmierć – uśmiechnął się Olszan. Przeniósł wzrok na Agnieszkę. – Wyjdiesz za mnie.

Nie poruszyła się. To nie było pytanie. Stała pochylona, z dłońmi wspartymi o uda, jak lekkoatletka po ciężkim biegu.

– Teraz – dorzucił. Nadal się nie ruszała. – Książd pod bokiem, świadków wystarczy.

– Pan mówi serio? – Morfina działała, Lesik sprawiał wrażenie bardziej przytomnego. Podobnie zresztą było w przypadku Olszana. Też coś brał. Na tę dziurę w barku, ale teraz było jak znalazł.

– Nie – Agnieszka wolno pokręciła głową. – Nie zgadzam się.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Gabriela wróciła do siodłania osła. Lesik wzruszył ramionami, opuścił głowę na posłanie.

– Poczekaj. – Olszan przeniósł spojrzenie na mnie. – Doktorze, nie odpowiedział mi pan.

– Wrócimy do kraju – rzuciła przez zęby. – Zaprosisz mnie do kina, kawiarni, na randkę. Poznasz Michałka. Siebie dasz poznać. Zrobimy to normalnie. Jeśli w ogóle będziesz chciał. Ale pewnie...

– Doktorze? – Zignorował ją, na pozór całkowicie. Gdzieś niedaleko zaterkotał kaem, potem od razu działał bewupa. Trochę później huknął granat.

– W porządku – usłyszałem pokasływanie z radia. – Próbowali nasadkowym. Chyba nie mają granatników. Trafiliśmy jednego.

Sikorski. Tym razem im się udało.

Usiadłem obok Olszana, ująłem go za nadgarstek, patrzyłem, jak wskazówka sekundnika

wędruje mozolnie po tarczy.

– To wątroba – powiedziałem w końcu. – Mały odłamek, maleńka rana. Ale krwawi. Cały czas. W środku. Bez operacji nie...

– Skąd pan może wiedzieć?! – Agnieszka prawie krzyczała. – Prześwietlił go pan?! Nie! Więc gównu pan wie!

– Może ktoś przyleci – rzuciła z kąta Gabriela. Stała w cieniu, ale głos ją zdradził. Ten przydech... Płakała. Może nie dosłownie, może wystarczyło wytrzeć oczy i ktoś, kto nie znał jej tak, jak ja, dałby się zwieść nieruchomej twarzy. – W końcu muszą...

– Jasne – zgodził się Olszan. Nie wiem, z którą. Pewnie z obiema. – Ale co mi szkodzi? I tak miałem się z tobą żenić.

– Wyjdiesz z tego. – Agnieszka wciąż stała z dala od nas.

– Nawet ty możesz nie wyjść – powiedział spokojnie. – Ledwie się na nogach trzymasz. I jeszcze to serce... Pomyśl o małym, Aga.

– Co ma do tego Michał?

– Po parze rodziców więcej się dziedziczy.

– Nikt nie umrze. Ani ja, ani ty. Słyszysz?

Dotknąłem jego ramienia.

– Niech się pan położy – powiedziałem łagodnie. – To naprawdę mała rana. Minie trochę czasu, zanim... Krew ledwo się sączy. A kto wie, co się zdarzy? Zawsze to jakaś...

– Wsadź ją na osła – przerwał mi. – Weź obie i wywieź stąd.

– Szyszkowski jest ranny. Będą następni. A zresztą...

– Wywieź je – rzucił przez zęby. – Widziałeś, jak skończą.

Nie miał siły na wymowne gesty, ledwie poruszył wspartą o ścianę głową. Ale Gabriela tylko udawała zapracowaną.

– Co? – Zostawiła osła, nagle znalazła się obok nas. Dziwne, bo wcale nie poruszała się szybko. – O czym pan mówi?

Miał dość taktu, by milczeć. Nie pomogło. Ruszyła ku drzwiom.

– Zaczekaj! – Bałem się, że mnie zignoruje, więc poderwałem się, złapałem ją za łokieć. – Nie chodź tam.

– Dlaczego? – Mięśnie stężały jej pod skórą. Zrozumiała.

– Te ciężarówki, które spalił Wołynow... – Olszan postanowił mnie wyręczyć. – Przyjechali posprzątać. Resztki śmigłowca, świadków... Wszystko. To nie Sabah. Zabiją każdego, kto mógłby opowiedzieć, co się tu stało. Nie tylko nas. Może nawet całą wioskę.

– Nie – potrząsnęła głową. Zatoczyła się jak pijana, próbując ruszać w stronę drzwi i zapominając o konieczności uwolnienia ręki. Musiałem złapać ją za drugą: omal nie upadła. – Nie...

– Co się stało? – zapytał słabym głosem Lesik.

– Zastrzelili ich – mruknął Olszan. – Chyba wszystkich domowników. Nie widziałem za dobrze.

Ja widziałem. Gabrieli wystarczył jeden rzut oka w moją twarz.

– Puść – powiedziała cicho.

– Nie chodź tam.

– Muszę. Może ktoś ocalał. Puść.

Puściłem. Wyszła. Nie było jej najwyżej przez minutę. Ale też nie miała daleko. Wróciła starsza raptem o trzy, cztery lata. Bez słowa usiadła przy ścianie naprzeciwko Olszana, skryła twarz w dłoniach.

– Nie poganiam, ale mam dziurę w wątrobie. Niech ksiądz to załatwi.

Lesik uniósł się, posłał mu mało przyjazne spojrzenie.

– A może by tak zapytać, czy się zgadzam?

– O co ci chodzi? – zapytała Agnieszka udręczonym tonem.

– Mówiłem: wyjdź za mnie, siadaj na osła i zjeżdżaj. Weźmiecie wiadra. W razie czego doktor spuści kłapouchowi krew. Parę litrów się ueziera. Dojdziecie. – Popatrzył na mnie. – Dam sto tysięcy, jeśli ją pan uratuje. Dopisałem to do testamentu. Ale musi przeżyć.

– Nie zostawię cię – powiedziała. I od razu się poprawiła: – To znaczy... nikogo nie zostawię. Jesteśmy tu razem. Wszyscy.

– Masz dziecko.

– Nie twój interes – burknęła.

– Mój – uśmiechnął się. Sięgnął do kieszeni, przytknięciem posłał w moją stronę błyszczący pakiecik. Złapałem go odruchowo. – Chyba że kłamałaś. Bo jak nie, to możesz być w ciąży. Nawet się nie umyłaś. Nie było czym. Idealne warunki, żeby zajść. Dużo seksu, mało wody.

Przyglądała mu się przez chwilę nieruchomym wzrokiem.

– Kłamałam.

– Teraz kłamiesz. Chciałaś tego dziecka.

– Nie ma żadnego dziecka. I niczego nie chciałam.

– No jasne. Oddaj doktorowi, jemu bardziej potrzebna.

Marnie naśladował kobiecy głos. Ale cytował chyba wiernie.

– Bez gumy mam fajniejsze orgazmy – rzuciła wyzywająco. – Albo po prostu cię sprawdzałam. No wiesz, taki test: jeśli traktuje poważnie, zaryzykuje dzidziusia.

– Aga... daj spokój. Myślisz, że ja tego nie chciałem?

– Nie zostawię cię. – W końcu pękła, zaczęła płakać. Ale i wtedy nie podeszła, nie usiadła obok, nie pozwoliła się przytulić.

– Musisz. Może mamy dziecko. A nawet jak nie... Kocham cię. – Kręciła głową, pokazując,

że wcale, ale to wcale nie słucha. – Aga, ja nie żartuję. To koniec. Nie żartuje się w takiej chwili. Kocham cię. Może nosisz moje dziecko. Co w tym dziwnego, że chcę, żebyś żyła?

Schowałem prezerwatywę do kieszeni, wyjmując w zamian pakiet z opatrunkiem osobistym. Dźwignąłem się na nogi.

– Nie mogę zostawić rannych. Dowodzisz tu, Gapa. Jakby co... Masz tu morfinę. Podasz jutro księdzu. Jakby co.

Byłem już przy drzwiach, kiedy coś brzęknęło. Cicho, ale i w stajni zrobiło się cicho. Odwróciłem się. Powoli.

Tym razem nie celował we mnie. Po prostu trzymał peem. Na kolanach.

– Nie tak szybko – powiedział. – Zapomniałeś? Ślub. Potrzeba dwoje świadków. Bratowa to kawał suki. Będzie się procesować o każdy grosz. Lepiej, żeby nie było się do czego przyczepić.

– Oszalałeś?! – Agnieszka ruszyła w jego stronę. I zastygła, porażona widokiem lufy, obracającej się w jej stronę. Gabriela nie poruszyła się. Siedziała z twarzą w dłoniach.

– Co pan wyprawia? – zapytał niepewnie Lesik.

Usiadłem. Zwisający z ramienia beryl oparł się lufą o ziemię.

– Krzysiu... co ty robisz?

Martwiła się o niego. Miał gorączkę, od dawna. Chyba uznała, że w końcu zaczął bredzić.

Ostrożnie, starając się poruszać jak najmniej, wyciągnął z tylnej kieszeni i rzucił jej pod nogi coś w rodzaju okładki na dokumenty.

– Testament. Po połowie ty i moi starzy. Na odwrocie jest miejsce. Daj księdzu, niech spisze akt ślubu. Chyba że ktoś ma inny papier.

Pochyliła się, zbyt zaskoczona, by najpierw pomyśleć. Palce były parę centymetrów od plastiku, kiedy nagle jęknęła, osunęła się na kolana. Przez chwilę klęczała, zaciskając z całych sił powieki. Prawa ręka odruchowo powędrowała za plecy.

Olszan zaklął bezgłośnie.

– Daj jej to – popatrzył w moją stronę. – Tę połówkę. Nie utrzyma się w siodle z tym cholernym kręgosłupem.

Nie zdążyłem zareagować.

– To moja morfina! – Lesik poderwał się na łokciach, niemal usiadł.

– Zamknij się. Daj jej zastrzyk, Szczebielewicz. Musi być na chodzie. No już, rusz się!

Ruszyłem się. Karabin został pod ścianą. Język za zębami. Nie wymachiwał peemem, ale swoje już wiedziałem. Wyjąłem pudełko z kieszeni na udzie, ukląknęłam obok Agnieszki.

– Nie dam wam ślubu.

To nie była pogróżka: w głosie Lesika pobrzmiwała głęboka, mściwa satysfakcja. Pomyślałem, że Olszan fatalnie się do tego zabrał. Kolejność była nie ta. Agnieszka udowodniła to zresztą zaraz potem, dźwigając się z kolan i w dość głębokim skłonie, lecz szybko i sprawnie

podchodząc do legowiska kapelana.

Nie odezwała się, ale ruch dłoni, kładącej mu na piersi okładkę z testamentem w środku, był dostatecznie wymowny. Olszan uśmiechnął się.

– Oboje chcemy, a dziecko w drodze. – Jego głos wyraźnie złagodniał. – Kościół wspiera rodziny. Chyba nie ma ksiądz wyjścia.

Lesik powinien wziąć poprawkę na to, jaki był, i nie brać do siebie niewinnego żartu faceta, który umiera. Ale morfina we krwi, strzaskane biodro i wizja własnej śmierci nie służą racjonalnym zachowaniom.

– Zapomnij o ślubie. Gziliście się jak psy, w biały dzień, niemal na oczach wszystkich. Myślisz, że teraz starczy strzelić palcami? O nie, kolego. Grzech istnieje. I za grzechy się płaci.

Agnieszka stała nieco z boku. Nie rozdzieliła ich własnym ciałem. Olszan mógł popatrzeć tamtemu w oczy. Znaleźć wyzwanie. I podjąć je.

Glauberyt powędrował do góry. W ciągu paru godzin major Lesik po raz kolejny zyskał okazję zajrzenia w głąb polskiej lufy.

– Dasz nam ten ślub – powiedział powoli Olszan. Ręka trochę mu drżała, ale widać było, że to z winy ran, nie skrupułów.

– Nie. – Trzeba przyznać, że kapelan nie szafował pochopnie takimi zabójczymi słowami. Zastanowił się najpierw.

– Wiesz, co można zrobić, jak się kocha? Wszystko. Nie patrzył na Agnieszkę. To ona wpatrywała się w jego twarz oczami mokrymi od łez.

– Krzysiek, nie trzeba... Daj spokój. Już ci wierzę. Zawsze ci wierzyłam. Ja też cię kocham. Nie potrzebujemy żadnego papierka.

– Rozwalę cię, Lesik. – Zupełnie ją zignorował. – Jak zaraz nie zaczniesz pisać, to po tobie.

Kapelan nie był idiotą – tak mi się przynajmniej zdawało. Wystarczyły dwie sekundy, by wyjął papier spomiędzy okładek. Rozłożył kartę. Po mojej stronie faktycznie była czysta, gotowa do przyjęcia radosnej nowiny o zawarciu związku małżeńskiego między Agnieszką Wielogórką i Krzysztofem Olszanem. Akt ślubu i testament. Najlepsza chwila w życiu i klęska, też chyba największa. Dzielił je od siebie ułamek milimetra, wypełniony sprasowaną celulozą. Jeden obrót dłoni.

Z tyłu paliła się któraś z latarek, litery prześwitywały i widziałem, że nie ma ich wiele. Parę zdań. Lesik miał chyba problemy z koncentracją: trzymał papier przed oczyma całe wieki.

– Tam też się możesz podpisać – przerwał ciszę Olszan. – Świadków nigdy za dużo. Ale teraz pisz o ślubie.

Kapelan obrócił powoli głowę, posłał mu posępne spojrzenie.

– Czym?

Dobrze to rozegrał. Trzy trafienia na cztery możliwe. Jedna Gabriela nie zaczęła się macać

po kieszeniach. Ktoś chodzący do pracy w zielonym prześcieradle wyzbywa się takich odruchów. Była zresztą zbyt przybita, nie do końca docierało do niej, co się dzieje. Na szczęście. Jej karabin stał niedaleko i gdyby nie te kilkanaście ludzkich trupów dwa pomieszczenia dalej, może próbowałaby za niego łapać.

Wist pojawił się w ręku Lesika jak królik w dłoni iluzjonisty. Olszan znieruchomiał z glauberytem opartym o udo, grymasem bólu na twarzy i lewą ręką w tylnej kieszeni spodni.

– Prawie milion złotych. – W głosie i twarzy Lesika niedowierzanie mieszało się z triumfem i wściekłością. – Ty skurwysynu...

– Co? – Agnieszka mogła być nieszczęśliwa, zakochana, półprzytomna z bólu i wyczerpania, lecz nie przypadkiem pracowała w najbardziej prestiżowej z polskich gazet. Zrozumiała od razu. Nie chciała wierzyć, nie godziła się – ale rozumiała aż za dobrze.

– Puszczasz się z mordercą. – Lesik aż dygotał ze złości; nie miał zamiaru patyczkować się z nią, owijając słów w bawełnę. – Urodzisz bękarta bydlakowi, który podrzynał gardła rannym ludziom. Tak, Olszan. Bękarta. Prędeż sobie język odgryzę, niż udzielę ślubu takiemu...

Glauberyt wypluł pięć pocisków. Trafiły trzy. Jeden mało groźnie – obcinając strzelającemu kawałek buta i chyba kawałek ukrytego wewnątrz palca. Dwa pozostałe ugodziły Lesika w przedramię i w czoło. Pistolet poleciał na ziemię, z potylicy chlapnęło krwią i mózgiem. Dwa ostatnie pociski w efekcie podrzutu broni wybiły nieduże kraterki w północnej ścianie. Spłoszony, ale nie spanikowany osioł odskoczył w kąt. Kapelan znieruchomiał.

Inni też się nie poruszali. Bardzo długo.

– Boże...

Agnieszka nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Było cicho. Dopóki radio nie przemówiło głosem Morawskiego.

– Maciaszek był przy studni. Mówi, że śmierdzi ropą. I nawrzucał tam trupów. – Przerwał na chwilę. – Poruczniku, mam propozycję. Wycofamy się bliżej czołgu, a Wołynow przypilnuje wsi z drugiej strony. Przytrzymamy łobuzów; jak nie spalą Drabowicza, to długo. Gdyby pozbięraf pan na stara rannych i kobiety, może się przemkniecie do Werder. Ci tutaj nie będą was gonić. Szansa mała, ale zawsze jakaś. Tu nie mamy żadnej. Nawet jak nas nie zabiją, to zdechniemy bez wody.

Było cicho, słyszeli chyba wszyscy. Filipiaka też. Choć głos miał słabszy, zgaszony. Przegrani rzadko mówią donośnym głosem.

– Zgoda. Ale z ciężarówką nici. Próbowałem podjechać bliżej, mamy lukę od zachodu. No i Jola rozwalila wóz do reszty. Nie jej wina, ciemno tu. Spróbuję wziąć kaem i osłonić wam skrzydło.

Gabriela dźwignęła się. Ruszyła w lewo. Karabin stał właśnie z lewej, Olszan okazał się jednak lepszym niż ja psychologiem i nie próbował niczego robić ze spoczywającym na udzie

automatem.

Ujęła w dłonie linkę, zastępującą uzdę, i dopiero wtedy spojrzała w jego stronę.

– Zabije nas pan? – zapytała spokojnie.

– Nie. Ale jak nie pogadamy, to inni was zabiją. Siadajcie.

Bałem się, że po prostu wyjdzie. Ona albo Agnieszka.

Nie wyszły. Usiadły. Gabriela obok osła, dziennikarka przy środku wschodniej ściany, w miejscu, skąd było najdalej do każdego z nas.

– Zrób głośniejsze, Jacek. Mogę ci tak mówić?

Przykryłem twarz Lesika jakąś szmatą, ustawiłem głośnik na maksymalne wzmocnienie. Drabowicz pytał akurat porucznika, czy nie podesłać mu kierowcy. Jemu niepotrzebny, silnik zdechł.

– Dla pacjenta wszystko – mruknąłem.

– Nawet eutanazja? – uśmiechnął się nieznacznie. – Przepraszam. Za samo to Lesikowi się należało. Rozwalić komuś życie, bo zlitował się nad żywcem palonym... Nie mów, że sam nie miałeś ochoty. – Dopiero teraz, też zresztą przelotnie, zahaczył spojrzeniem o zwłoki kapelana.

– Czego chcesz?

Zadyszany głos Filipiaka zapewniał, że razem z Jolą sobie poradzą. Wierzyłem mu. Nie miała w sobie dość odwagi, by zostać sama, a i on nie był chyba dość odważny, by leżeć w rozwalonej ciężarówce, czekając beczynnym na słońce, ostatni meldunek ostatniego żołnierza i ludzi z nożami, którzy po niego przyjdą.

– Nikt nie miał zginąć. – Olszan patrzył na mnie, ale wszyscy wiedzieliśmy, do kogo tak naprawdę mówi. – Przedtem nikomu włos z głowy nie spadł. Może nawet żadnemu... – zerknął na Gabrielę, nie dokończył. – Po prostu sprzedawaliśmy takie latające ciężarówki. Szybsze i dyskretniejsze. Zbyt je cenili, żeby posyłać na pole bitwy.

– Nikt nie miał zginąć – powtórzyłem. – Tylko świadkowie. Dwaj piloci się utopili, a jednego zabili partyzanci. Pech taki.

– O czym pan mówi? – Myślałem, że Agnieszka po prostu siedzi w cieniu i płacze. Nie doceniłem jej. Może i miała łzy w oczach, nad głosem jednak panowała.

– Utopili? – mruknął Olszan. – No, no... Sporo wiesz.

– Tak – przyznałem. – Całkiem sporo. Szkoda, że wcześniej... Co to ma być? Spowiedź? Chcesz pogadać czy tylko postawić warunki?

Pomacał lekko brzuch. Na jego twarzy nie dostrzegłem bólu, ale bladość chyba już tak.

– Najpierw ważniejsze sprawy. Mam mało czasu. – Zastanawiał się przez chwilę. – Po pierwsze: Agnieszka ma przeżyć. Zabierz ją stąd.

– Nie może chodzić. Kawalek tak, ale nie dziesiątki kilometrów. Zabiłaby i siebie, i nas.

– Pojedzie na osła.

– Za parę godzin albo go zarżniemy i napijemy się krwi, albo padniemy z odwodnienia. Może wcześniej. Marsz to nie jazda samochodem.

– Ale... chcesz iść? – zmarszczył brwi.

– Gabriela pójdzie. – Nie patrzyłem w jej stronę, tak jak on nie patrzył na Agnieszkę. – Jest silna, nic jej tu nie trzyma. Weźmie radio, osła i pójdzie po pomoc.

Uśmiechnął się gorzko.

– Nie udawaj idioty. Wiesz, że nie będzie żadnej pomocy.

– Dlaczego? – Agnieszka znów przypomniała o sobie.

– Bo to Zaręba pociąga za sznurki. I w APH, i w kontyngencie.

– Co ma do tego APH? – Albo dziennikarska natura wzięła w niej górę nad kobietą, albo po prostu uciekała w łatwiejsze tematy.

– Kradnie śmigłowce – odpowiedziałem za Olszana. – Wiosną dwa sokoły poleciały do Kenii. Po leki. Nad jeziorem Turkana zderzyły się. Dwaj piloci zginęli. Dwóch wyłowili rybacy. Po maszynach oczywiście ślad nie pozostał. To wielkie jezioro.

– Wiedział pan o tym? – Chyba zmarszczyła brwi.

– Znalazłem apteczkę tego spalonego śmigłowca. Znajomo wyglądała. Uzupełniałem leki we wszystkich polskich maszynach. W tych wynajętych przez rząd etiopski też. Współpracujemy. Tak jak teraz: zabrakło wojskowych pilotów, poleciał cywil. Jednego z tamtych utopionych – popatrzyłem na Olszana – nawet znałem. Tomczak. Popiliśmy kiedyś. Pokazywał mi zdjęcie żony. Prawie się nad nim popłakał.

– Znasz – poprawił mnie z bladym uśmiechem. – Mówiłem przecież: nikt nie zginął. Wiem, jak to teraz brzmi, ale... nie jestem jakimś skurwysynem. Po prostu wszystko się popieprzyło.

– Nie jesteś skurwysynem? – Trzeba przyznać, że nie parskała szyderczo, nie rzucała oskarżeń. Pytała. – A Pawlikiewicz? Giełza? Juszczyk? Świer...

– Pawlikiewicz miał zasnąć. Specjalnie poszedłem jeszcze raz, zapytałem, czy piwo smakowało. „O tak, super, wielkie dzięki”. A potem nagle się budzi. Mengesza spanikował. Mówiłem, że gdyby co, to tak jak z wartownikiem: nóż do gardła, poczekać, a ja kolbą... Ale ciachnął go, zaczęli się szarpać. Musiałem strzelić. I tak już nie żył: tętnice szyjne. A hałasu by narobił.

– Co znaczy, że znam? – upomniałem się. – Tomczak żyje?

– Sprzedaliśmy trzy śmigłowce, ale do spółki z pilotami. Nikt nie zginął. Tamtym składano dodatkowo propozycje pracy. Niektórym to pasowało. Ostaszewski miał raka. Przerzuty, marne rokowania. Uziemiliby go lada dzień, a tak ubezpieczenie dla rodziny, forsa i latanie aż do końca. W partyzantce nikt nie pyta o badania okresowe. Tomczak też prawie po rękach mnie całował. Poznali się z Ewką w aeroklubie, pobrali, a potem jej się spadochron za późno otworzył i złamała kręgosłup. Nie znam szczegółów, ale mówił, że to jego вина. Chcieli mieć normalny dom,

z którego mogłaby sama wyjechać wózkiem, no i dzieci. Wszystko do załatwienia, tylko trzeba mieć szmal. Więc zbiera. Spadł w dziczy; jak się znajdzie po roku czy dwóch z lekką amnezją, to wszyscy się ucieszą i nikt zbytnio nie zdziwi. Dał znać żonie, żeby się nie martwiła, no i lata. W tej chwili apache'em.

– Co? – Udało nam się z Agnieszką stworzyć zgrany chórek. Przez twarz Olszana przemknął lekki uśmiech.

– APH – mruknął. – AmerPol Hellservice. Mała, prężna firma z mieszanym kapitałem. Świdnik to dla nas dobra przykrywka. W ramach offsetu na F-16 dostał trochę zamówień ze Stanów. Kontenery krążą, trudno kontrolować. Można sprzedawać części zamienne, omijając embargo. Bo podstawowy interes to części. Po Iraku Polska jest zaufanym sojusznikiem, a z drugiej strony amerykańskiemu urzędnikowi za daleko za ocean. Idealny układ. Całego sokoła też łatwiej sprzedać do kraju z zapapraną opinią, odkąd to APH zajęło się dystrybucją. Spora część forsy i tak trafi na amerykańskie konta, bo mają większość udziałów, a gdyby co, nikt się nie będzie czepiał ich rządu. Więc APH załatwia w Waszyngtonie legalne zezwolenia, kredyty. My dajemy ludzi, organizujemy części do ruskich maszyn, werbujemy pilotów na Wschodzie... A przy okazji: ten Ukrainiec to też nasz nabytek. Dlatego go... I tak by nie przeżył, a mógł wszystko wyśpiewać. Był chyba przytomny, kiedy go nieśli. Widział mnie. – Zrobił sobie krótką przerwę. – To szemrany interes, ale wszystko szło dobrze, póki nie pojawiły się te saudyjskie apache.

– Saudyjskie? – Gabriela, jak się okazuje, też słuchała.

– Ameryka dostarczyła niedawno cały dywizjon do Arabii. Zaraz potem dwie maszyny rozbiły się nad morzem. Oficjalnie. Tak naprawdę piloci mieli powiązania z al Kaidą. Zwiali do Jemenu. Islamiści mają tam ostatnio wiele do powiedzenia.

– Jemen – zmarszczyłem czoło. – Ten bombowiec... Morawski mówił, że może być jemeński.

– Zaręba się wystarał. A dokładniej: APH. Gnojek, nawet słowem mi nie wspomniał... Ale taki już jest. Generał. Straty w ludziach? Normalka. Nie chcę się chwalić, ale gdyby nie ten numer z kwasem na wirniku, dawno byłoby po nas. Zestrzeliliby sokoła, komplet dowodów, negatywy Agnieszki i wszystkich kłopotliwych świadków. Za jednym zamachem.

– A nie planowaliście tego? – zapytałem.

– Już mówiłem: nie jestem mordercą. Tak wyszło. Ale na zimno, z premedytacją... Powiedział, że obejdzie się bez ofiar. Miałem tylko zyskać na czasie. Być takim kołem ratunkowym. Mówił, że ma haki na większość z was. A resztę przekupi. Dopiero na miejscu zorientowałem się, jakie to bagno. Filipiak zestrzelił sokoła. Akurat tego jedyne.

– To znaczy?

– Dwa utonęły, trzeciego uprowadzili partyzanci. Jeden pilot zginął, ciała nie odzyskano. To

wersja oficjalna. Czytaliście w gazetach. Tak naprawdę Łabiszewski...

– Łabiszewski? – drgnąłem. – A imię?

– Marcin.

Popatrzyłem na Gabrielę. Ona popatrzyła na mnie. Medaliku nie wyjmowałem. Nie było potrzeby.

– Zaręba poszedł na całość. Kiedyś handlowaliśmy tylko częściami i pilotami ze Wschodu; czasem coś się przewiozło. Spora forsa, ale nie to, co za śmigłowiec. I to taki.

– Tak sobie cenią sokoły? – uśmiechnąłem się kwaśno.

– Są niezłe i tanie, ale nie w tym rzecz. Wszyscy wiedzą, że latają i w kontyngencie, i dla cywilnych władz Etiopii. Zaręba chwalił się w telewizji, że negocjował z partyzantami i nikt do nich nie strzela, bo polski sokół kojarzy się tu z pomocą i niczym więcej. Fakt, nie strzelają. Bo mogliby niechcąc zestrzelić własne zaopatrzenie. Albo nawet samego Osamę. Łabiszewski opowiadał, że przewoził do Sudanu kogoś takiego. Pewien nie był, ale to chyba on. W każdym razie wypromowaliśmy nasze maszyny. Jak dobrze pójdzie, Świdnik będzie miał robotę na...

– Łabiszewski opowiadał? – przerwałem Olszanowi. – Byłeś w tej bazie? – Skinął głową. – Sam?

– A niby z kim? – Wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Z jakąś blondynką. Nanouk widziała...

Nie dokończyłem. Podniosłem dłoń i klepnąłem się w czoło. Olszan i Agnieszka nie zrozumieli. Gabriela tak.

– Z tyłu – mruknęła. – Nigdy nie widziała schodów. Faceta z kucykiem też pewnie nie.

Mogłem sobie darować pytanie o udział Joli w tej aferze.

– Mówiłeś coś o jedynym śmigłowcu – przypomniała Agnieszka.

– W Świdniku eksperymentują z nową głowicą tylnego wirnika. Za cholerę nie da się jej pomylić z typowymi. Można zatrzeć numery, ale gdyby jakiś fachowiec dorwał się do resztek śmigłowca, bylibyśmy załatwieni. To znaczy nie my z Zarębą. Cała fabryka. Albo i Polska. Bo po świecie lata trochę starych sokołów i nie ze wszystkich właściciele potrafiliby się rozliczyć. Znajdują taki wrak, więc mówisz: „To ten porwany przez partyzantów”. Spadł drugi? Birmański, widocznie wredna junta sprzedała. Do Birmy posyłamy części zamienne, więc trzymaliby gęby na kłódkę i nie dementowali. Ale ta nowa głowica... Na palcach je policzą. To pech, że do Kenii poleciał akurat taki śmigłowiec. Wybuchłaby afera nie z tej ziemi. Świdnik można by zaorać.

– No tak – pokiwała głową. – Zrobiłeś to wszystko dla Świdnika.

– Ta fabryka to całe życie moich starych. Wszyscy ich przyjaciele, połowa moich kumpli... Bez niej miasto się rozsypie.

– I dlatego się poświęcasz?! – Ostra jak brzytwa ironia przeszła w jawny gniew. – Dla ratowania fabryki podrynasz ludziom gardła?! Chociaż nie lubisz?! Ty palancie, masz mnie za

kompletną...?!

– Kocham cię – powiedział spokojnie.

– Skurwiel!

– Kocham cię.

– Ty wszawy... – Poderwała się, ruszyła w jego stronę. Prawie wyprostowana. Nie wiedziałem, czy zaciska pięści by nimi bić, czy po to, by nie jęczeć z bólu.

– Jak to będzie chłopak, sam zrozumie. Pokażesz mu stare zdjęcie sokoła, powiesz, że i u nas kiedyś robili latające maszyny, a nie tylko klamki do wychodka w boeingu.

– Zatrzymała się dwa kroki przed jego stopą. Chyba faktycznie odstrzelił sobie palec, bo z buta sączyła się krew. – Ale dziewczynce lepiej powiedzieć, że tata lubił swoje miasto i dlatego w tym tkwił tak długo.

– Gnojek – rzuciła przez zęby. Zawahała się, po czym cofnęła nogę i z całkiem niezłego zamachu kopnęła go w stopę.

– Au – powiedział spokojnie, błyskając zębami w jednym ze swoich łajdackich, neodparcie czarujących uśmiechów. – Prawie zabołało. Oddałaś mi swoją morfinę, nie pamiętasz?

– Nienawidzę cię! W życiu ci go nie urodzę, słyszysz? Wyskrobie się, jak się okaże...! Cholerny morderca!

Jej noga znów powędrowała do tyłu. Dużo bliżej. Pewnie by nie kopnęła. Może trąciłaby go symbolicznie. Znów płakała. Gabriela wcale nie musiała się odzywać.

– Nie bij go. Przecież cię kocha.

Była noc wigilijna, byliśmy w stajence, z kąta przyglądał nam się senny osiołek, który w każdej chwili mógł przemówić ludzkim głosem. Nie zdziwiłem się zbytnio, widząc, jak pod Agnieszką uginają się kolana, jak osuwa się na ziemię, opasuje ramionami Olszana, tuli twarz do jego zdrowego barku.

– Wywołaj Wołynowa. – Pomyślałem, że ma właściwą listę priorytetów: najpierw długo wodził ustami po jej kudłatej głowie, głąskał po karku. Dopiero potem uniósł oczy i sprawdził, czy nie skorzystałem z okazji i nie wyjąłem wista z kabury.

– Po co? – Zmarszczyłem brwi. – Siedzi w tym?

– Mają pociski przeciwpancerne do armaty. Wziąłbym jeden.

Agnieszka odsunęła się – na długość ramion. Chciała go widzieć, ale nie za cenę wypuszczenia z objęć.

– Co chcesz zrobić? – zapytała.

– Wywołaj go. – Patrzył na mnie. – I niech przyniesie pocisk.

Sięgnąłem do radia. Sikorski był zdziwiony, prosił, by powtórzyć. We wsi strzelano; Morawski, nawet jeśli słyszał, nie miał głowy do wypytywania. Filipiak pewnie nie był w stanie pytać: na Joli dało się wymóc wożenie samochodem, ale nie dźwiganie na plecach jakichś

pocisków w stronę pola bitwy. Pewnie czołgał się, ciągnąc bezwładne nogi, kaem i amunicję. Do radia mógł co najwyżej podyszeć.

– Zaręba wmówił wszystkim, że to apache'a zestrzelili pod Kasali. Arabowie i nasi partnerzy z APH do tej pory mu wierzą. To oni ich przysłali. – Olszan oderwał na moment dłoń od głowy dziennikarki, wskazał kierunek, z którego dobiegały odgłosy wystrzałów. – Nikt by nie ryzykował dla głupiego polskiego sokoła. Świdnik miałby problemy, ale już Zaręba niekoniecznie. To znaczy: tak myśli APH. Nie wiedzą o tym przekręcie z zatopionymi śmigłowcami.

– Co? – Trochę się gubiłem, ale dopiero teraz zabił mi klina.

– APH gra ostrożnie. Handlują częściami, bo są anonimowe. Cały śmigłowiec to co innego. W razie wpadki trudno się wykpić. Zamówili u nas jednego sokoła, bo potrzebowali dyskretnego transportu. W te apache weszli, bo w razie czego można wskazać palcem Saudyjczyków i powiedzieć: „To oni”. Względnie małe ryzyko, a prowizja wielka. W dodatku to bardzo bezpieczna maszyna. W zasadzie nie do zestrzelenia w takiej wojnie jak etiopska. Lata nocą, widzi z daleka, wykryje każdy radar, w razie ostrzelania zniesie naprawdę wiele... Z jednego sokoła też by się wszyscy wytłumaczyli. Wiadomo: partyzanci uprowadzili taką maszynę. Ale to nie tego sokoła Zaręba sprzedał islamistom poprzez APH. Podsunęli mu pomysł, to buchnął od razu trzy, hurtem. I coś pochrzańił przy dystrybucji. Tamtego ma jeden kacyk z Sudanu. Trzecią maszynę opchnęliśmy ludziom Mojlego. To dlatego do sokołów nikt nie strzela. Wszyscy są zadowoleni, zamawiają części, usługi serwisowe. Dopóki w świat nie pójdzie wieść, że porwanego sokoła ktoś w końcu strącił, interes się kręci.

– O co ta cała wojna? – zapytałem. – Skoro to tylko głowica... Nie mogliście jej podmienić, zgubić? Sfałszować raport komisji?

– O co? – uśmiechnął się. – A o co są wojny? O forszę. I baby.

– Baby? – Musiałem stoczyć krótką walkę z szyją: uparła się, by obrócić głowę w stronę Gabrieli.

– Na lewych interesach APH zarabialiśmy dziesiątki tysięcy. Na własnych, tych z sokołami, miliony. Ale to przyszcz. Wyrobiliśmy Świdnikowi markę i właśnie znalazł się pierwszy kupiec na fabryczne śmigłowce. Żadne tam kradzione. Legalny zakup. Będą latać w barwach rządu etiopskiego, za pieniądze ONZ. Generał ma poprzez krewnych większościowy pakiet w spółce, która pośredniczy w zakupie. Personel będzie tutejszy, podatny na korupcję, więc jeśli nawet kiedyś przyłapią którąś z załóg na szmuglowaniu czegoś trefnego, pójdzie już na konto tubylców. Właśnie wyhodowaliśmy kurę, która znosi złote jaja. Ciężko taką zarząć.

– A co mają do tego baby?

– Żeby interes dalej się kręcił, w świat musiał pójść krótki komunikat: „Pod Kasali spadł niezidentyfikowany śmigłowiec”. Jedna wzmianka o sokole... i żegnaj, wielka forso. Najlepiej,

gdyby w ogóle nie było żadnego komunikatu: Zaręba mógłby ukręcić łeb dochodzeniu, chociaż zginął nasz żołnierz. Pozbierane części faktycznie można by jakoś zgubić. Patrz numer z Mengeszą. Ale był jeden problem.

– Ja? – zapytała niepewnie Agnieszka. Siedziała obok Olszana, wpatrzona w jego profil. Dotykali się. Tylko łokciami, ale jednak.

– Filipiak powiedział mu o tym zdjęciu apache'a. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego... Ale dziennikarka „Wyborczej” mogła rozpieprzyć cały nasz biznes jednym artykułem. Jak nie polska prokuratura czy CIA, to APH zaczęłoby węszyć i... Nie wiem, czy w to wierzy, ale od pewnego momentu próbował mnie przekonać, że to kwestia przeżycia. Wykiwalismy ich, więc wykończą nas, jeśli nie dla zatarcia śladów, to po prostu dla zasady. To jeszcze nie mafia, ale... Krótko mówiąc: miała zginąć głowica wirnika i Wielogórska. Taki był jego plan minimum.

Zbierała się przez chwilę z następnym pytaniem.

– Miałeś mnie zabić?

– Powinienem – uśmiechnął się, muskając grzbiet jej dłoni grzbietem swojej. – Idziesz siusiu, trafiasz na Mengeszę, wbija ci nóż... Albo nawet topisz się w tej sadzawce. Byłaś nawalona jak... Dosypałem ci do drinka tego, co Pawlikiewiczowi. Pamiętasz, że pokazywałaś mi film?

– Pokazywałaś? – Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Myślałem o tym, by go po prostu wykraść. Bez mocnego dowodu „Gazeta” nie rzuci przecież podejrzeń na bratnie mocarstwo. Ale było za późno. Przespałaś się już ze mną, a Rysiek podpieprzył głowicę.

– Zauważyłeś – pokiwałem głową. – Wtedy, jak wpadłeś na UAZ-a.

– Od początku wiedziałem, że się zorientuje. Ale miałem nadzieję, że po prostu przymknie oczy.

– Chcieliście go kupić?

– Jest za porządnym. Ale jest też patriotą. Na to liczyłem. Nie patrz tak – uśmiechnął się do Agnieszki. – Tak też to się objawia: przymykaniem oczu. Wszyscy handlują śmiercią. Cały świat. Tylko ci duzi narzucają reguły, wydają zezwolenia i robi się to legalne. Dla ich firm. Praktycznie przestaliśmy eksportować broń. Ruscy sprzedają ułamek tego, co w czasach radzieckich. I co? Więcej wojen, więcej trupów. Zachód wszedł na opróżnione rynki. Wiesz, jak polski pilot widzi patriotyzm? Wyprodukować i sprzedać jak najwięcej sokołów. Nieważne komu. Jak się nie będą zabijać naszą bronią, to będą to robić amerykańską, francuską czy chińską. A my zostaniemy bez przemysłu zbrojeniowego. Gówniany kraik Trzeciego Świata. Wiesz, co to suwerenność? To fabryki broni na własnym terytorium. Morawski też tak myśli. Mógł przemilczeć tego sokoła.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytałem.

– Bez przesady. Rozwaliłby mnie. Co innego bronić dobrego imienia Świdnika, a co

innego... To porządny gość. Ale nabroił. Gdyby głowica odjechała UAZ-em, Zaręba nie poszedłby na całość. Zdobyłbym jakoś film Agnieszki i po sprawie. Nikt by nie zginął.

– Nikt? – Agnieszka postarała się o beznamiętny ton.

– Pawlikiewicz nie widział UAZ-a z miejsca, gdzie siedział. Ale widział radio i śmigłowiec. To o nie chodziło. Musiałem zniszczyć nadajnik Filipiaka, by załapać się na operatora i być w kontakcie z Zarębą. Sokoła też musiałem uziemić. Na dobre. Gdyby chodziło o przystopowanie pościgu za Mengeszą, zrobiłbym to elegancko, od środka. Jeden poluzowany kabelek. Ale Rysiek dokręciłby go w końcu i poleciał do Addis Abeby wyznaczoną przez generała trasą. Nie mogłem ryzykować. Za duża pokusa dla Zaręby. Jeden strzał i po kłopotach.

– Dwa – mruknęła. – Nie poleciałabym z wami.

– Tym bardziej. Sokół by spadł, ty zaczęłabyś węszyć, bo to trochę za dużo przypadków naraz. Nie wybroniłbym cię.

– Aha – wykrzywiła twarz w szyderczym grymasie. – Zrobiłeś to wszystko, żeby mnie wybronić. Jak miło.

– Nie wierzysz? Mam milion i ciebie. Na cholerę mi więcej? – Uśmiech zastygł jej na ustach.

– Powinienem rąbnąć ci negatyw tej pierwszej nocy. Nikt by nie zginął, a ty guzik byś udowodniła. Ale już nie umiałem. Wzięło mnie. Wiedziałybyś, że to ja, nie chciałybyś mnie znać.

– Popatrzył w moją stronę, błysnął zębami. Nadal czarujący, mimo strużki śliny sączącej się po brodzie. – Ale nam się trafiło, co, Jacek? Dwie Heleny Trojańskie w jednym śmigłowcu.

Zerknąłem w lewo. Ta druga, ciemnoskóra, wpatrywała się w niego oczami wielkości spodków.

– Dwie? – Ledwie ją usłyszałem.

– Też namieszałaś – przyznał. – Ale to od Agi się zaczęło. Mogłem to rozegrać inaczej. Sabah nie dogoniłby nas, nie byłoby wojny, tej jatki. Tyle że i nas by nie było. Mnie i Agi.

– Zabijałeś ludzi. – Agnieszka starała się wtłoczyć w słowa i gniew, i pogardę, ale zmieściła tylko płaczącą skargę.

– Giełza sam się zabił.

– Przeszkadzał ci.

– Pewnie. I nawet zastanawiałem się... Ale jego znałem. Wiesz, jak ciężko zabić kogoś, kogo zdążyłeś poznać?

– A ranni? Też sami się zabili?

– Dwaj byli praktycznie martwi. Krócej się męczyli.

– Świergocki miał szansę – mruknąłem.

– Nie miał. W tym sęk. Ani on, ani Gabriela, ani Agnieszka. Nie rozumiecie? Zaręba chciał wyciągnąć spod ochrony wojska i zlikwidować wszystko, na czym mu zależało. Ciężarówkę, bo wiedzieliśmy, że tylko gdzieś na niej może być ukryta głowica. Agę, bo sfotografowała

śmigłowiec. Nawet ciebie – posłał spojrzenie Gabrieli. – Nie posłał cię sokołem do Kasali i potem pluł sobie w brodę. Wybuchła ta afera z Sabahem, okazałaś się idealnym piorunochronem. Nikt nie patrzył mi na ręce, bo wszyscy podejrzewali tę krętaczkę Asmare. Cudowny układ, tyle że śledztwa nie miałaś już prawa dożyć. Twoje zeznanie, ten podrobiony rozkaz wyjazdu... i Zaręba jest ugotowany. Straciłby wiarygodność.

– I tak by stracił – wzruszyłem ramionami. – Ta bajeczka o wybuchu walk w całej Etiopii... Wystarczyło, by jeden z nas...

– ...zginął – dokończył. – Konkretnie: Filipiak. To on rozmawiał z generałem. Wszystko, co wiemy, wiemy od niego.

Zastanawiałem się nad tym najwyżej parę sekund.

– Bzdura. Taki numer by nie przeszedł. Że niby co: oszalał? Wymyślił sobie nieistniejącą wojnę?

– Nie mówię, że nie byłoby smrodu. Ale mając porucznika, który załamał się nerwowo, i generała, który łączy w żywe oczy, zwykle zwała się winę na porucznika. Zwłaszcza martwego.

– Jego też miałaś zabić? – rzuciła przez zęby Agnieszka.

– Mówię, jak to widział Zaręba. Najlepiej wykończyć wszystkich. Ale jak się nie da, to najgroźniejszych. Nie był pewny swego. Nasi potrafili latać apache'em, ale jak im szło strzelanie, sami widzieliście. Osiem hellfire'ów i co? Jedna trafiona ciężarówka. Paliwa też mają mało. Działka mieli użyć w ostateczności. Amunicja jest zbyt charakterystyczna. No i mieliśmy się czym bronić. Musiał się liczyć z tym, że Tomczak nie wytlucze całego plutonu.

– Bo mu nie pomagałeś – zmrużyłem oczy. Uśmiechnął się lekko.

– Nie mieli pewności. Ile razy łączyliśmy się i pytali, jak wyprowadzić skuteczny atak, akurat wokół roilo się od ludzi Sabaha. Tak mówiłem. A przy nich apache nie miał prawa wytknąć nosa zza horyzontu. Sabah jest na noże z naszymi islamistami. Kiedyś żyli zgodnie: to wtedy zorganizowaliśmy mu te migi i ukraińskich pilotów. Ale w końcu się pozarli, jak to Somalijczycy. Nie trzymałby gęby na kłódkę, nawet gdyby go poprosić. APH dowiedziałoby się i Zaręba miałby przerąbane.

– To dlatego nie uprzedzili Sabaha o jemeńskim bombowcu?

– Zaręba pytał mnie wcześniej, czy mamy z nim kontakt. Powiedziałem mu o tych sześćdziesięciu pięciu megahertzach. Myślałem, że wynegocjuje rozejm. Nie chciałem tej jatki. Tylko trochę czasu, żeby znaleźć głowicę, wykraść dyskretnie ją i negatywy Agi. Oblężenie bez strzelania byłoby idealnym wyjściem. I Zaręba powiedział, że spróbuje się dogadać. Ale zamiast tego posłał Tomczaka w zasięg ukaefki. Zmienił częstotliwość, żeby przypadkiem Filipiak nie podsłuchał, i przedyktował Somalijczykom całutki spis naszego uzbrojenia. To dlatego migi atakowały tak skutecznie. Nic nie mogłem zrobić. Ale o bombowcu Zaręba nie odważył się mówić wprost. Już sobie nie ufaliśmy, a wiedział, że mogę przechwycić ich korespondencję.

Uprzedziłbym Filipiaka i plan wziąłby w łeb.

– Ty też – zauważyłem.

– Niekoniecznie. Czekam, aż zobaczymy bombowiec, wpadam do Filipiaka, mówię, że przypadkiem podsłuchałem rozmowę między Sabahem a kimś, kto ma w tle ryk silników samolotowych. Myślisz, że dopuściłby ła nad wąwóz? – Uniosłem dłonie w geście kapitulacji. – Chyba liczyli na to, że Sabah nie ma rakiet. No i próbowali z nim pogadać tuż przed nalotem. Po arabsku, więc guzik zrozumiałem. Ale najwyraźniej nie uwierzył. Na wszelki wypadek wlałem im na fałę i zacząłem krzyczeć, że to podstęp, zrzut zaopatrzenia.

– Ratowałeś nas? – zapytała Gabriela nijakim tonem.

– Siebie. – Wciąż się uśmiechał. – Bomby załatwiłyby mnie tak samo jak innych. Sabah zresztą też. Jedziemy na jednym wózku.

– Wtedy, przy cysternie, strzeliłeś w czoło temu facetowi – powiedziałem, patrząc mu oczy. – Z trefnego pistoletu.

Przyglądał mi się przez chwilę z uwagą. Ale miał dziurę w brzuchu i podejrzliwość uchodziła z niego szybciej niż krew.

– Zorientowałeś się?

– Dupa jestem, nie Sherlock. Powinienem. Mała rana, cichy wystrzał. Ale dopiero teraz mi się poukładało w głowie.

– Też jestem dupa. Nie myślałem wtedy. Miałeś nóż przy gardle, a ja tylko to pod ręką. Dobrze, że to taka duża spluwa. Niby 5,56, a wygląda jak dziewiątka. Agnieszka się nie połapała. To znaczy: wtedy i tak by nie... Tłumik wyrzuciłem jeszcze w Kasali. Ale potem mogła. Filipiak powiedział jej o tej małokalibrowce przy ciele Zanettiego. A przy okazji: nie ja go zabiłem. Po prostu znalazłem go pierwszy, pomyślałem, że to dobra okazja, i podrzuciłem pistolet. Fałszywy trop.

– Nie pokazał mi go – mruknęła dziennikarka. – Tylko mówił.

Zapadło milczenie. Zastanawiałem się, czy wszyscy myślą o tym, co ja. Czy zastanawiają się, co by było, gdyby Filipiak zadał sobie trochę fatygi i wygrzebał z kryjówki narzędzie zbrodni.

Wydałaby Olszana?

Wtedy chyba tak. A teraz? Z jego spowiedzią dzwoniącą w uszach?

– W sumie dobrze się stało – przerwał ciszę. – Porządny z ciebie gość. I łazisz własnymi drogami. Najlepszy dostępny kandydat.

– Do czego? – zapytałem spokojnie.

– Na świadka. Że wzięliśmy ten ślub. – Ostrożnie, dając jej czas, ujął dłoń Agnieszki. Nie zabrała ręki, choć jej palce skleiły się jak po zetknięciu z lodowatą wodą. – I na jej przyjaciela. Będzie potrzebowała kogoś, z kim da się o tym pogadać, zastanowić. Zaręba może się wykręcić.

We trójkę łatwiej się obronicie, gdyby próbował...

– Nie chcę twoich pieniędzy – powiedziała cicho.

– To rozdasz. Rodzinom tych wszystkich chłopaków. Tylko najpierw sprawdź, czy nie jesteś w ciąży. Dwójka dzieci więcej kosztuje.

Zamknęła oczy, oparła policzek o jego ramię. Patrzyłem na jej podrapane kolana. Kleiły się jedno do drugiego, bo tak musi być, kiedy ktoś siada bokiem, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że siedząc inaczej, też mocno by je zaciskała.

Na wypadek, gdyby któryś z plemników pomylił kierunki.

– Dobrze – powiedziałem. Nie uniosła powiek. Wyglądała jak ktoś, kto śpi. Tylko Olszan uśmiechnął się lekko.

– Dzięki.

– Jedno pytanie. Pomogę Agnieszce, ale nie wolno ci kłamać.

– Strzelaj.

– Gabriela... jest czysta? – Przyglądali mi się zdziwieni, już oboje, bo Agnieszka otworzyła oczy. Uśmiechnąłem się krzywo. – Bez obaw, nic jej... Po prostu chcę wiedzieć.

– To ważne? – zapytał Olszan.

– No... ważne. – Cieszyłem się, że mam ją za plecami.

– To może lepiej sobie daruj. Jak się kocha, to człowiek o nic nie pyta. A bez kochania wam nie wyjdzie.

Nie chciałem o tym mówić. Nie chciałem o tym myśleć. Nie teraz.

– Dobra, do rzeczy – burknąłem. – Co w zamian?

– O co ci chodzi? – najeżyła się Agnieszka.

– Mam składać fałszywe zeznania. Co za to dostanę?

– Sto tysięcy to za mało? – warknęła gniewnie.

– Ja odpadam – dobiegł z tyłu stłumiony głos Gabrieli.

– Nie wracam do Polski, więc nie mogę... Chyba że wystarczy podpis.

– Z tą zenitówką to pic, prawda? – Zignorowałem obie. – Chciałeś się dostać do radia?

Znów przyglądał mi się przez chwilę. Coś mu nie pasowało. Ale sprawy zaszły za daleko, na nieufność nie było już miejsca.

– Chyba wiem, jak załatwić Tomczaka.

*

Traciłem już nadzieję. Odpowiedzieli dopiero po siódmym wezwaniu.

– Co jest?

Gniewny męski głos, czysta polszczyzna. Agnieszce drgnęła ręka. Olszan odczekał

spokojnie, aż radmor wróci na wysokość jego ust.

– Mogę mówić – rzucił do mikrofonu przyspieszonym szeptem konspiratora. – Ale nie wiem, jak długo. Jesteście na chodzie?

Dziennikarka zwolniła przełącznik. Uparła się, że położy Olszana; nie zgodził się, więc stanęło na tym, że przynajmniej będzie się oszczędzał. To ona trzymała radiostację.

– Usiadłem. Gonimy na resztkach paliwa. I rozwalili nam termowizor. Gdzieś ty, kurwa, był? Olszan kiwnął lekko głową. Agnieszka wcisnęła przełącznik.

– Dasz radę walczyć po ciemku?

– Mamy gogle. Na działko starczy, a rakiet i tak zero.

Noktowizyjne okulary nie dorównywały kamerze termicznej, jeśli chodzi o zasięg i jakość widzenia, ale przy odległościach rzędu kilkuset metrów były wystarczająco skuteczne. Nadal mieliśmy problem. Wukaem Mazurka nie zwojował za wiele.

– Będziecie atakować? – upewnił się Olszan.

– A mamy wyjście? Za dnia gówno zrobię. Grom, ten zasrany czołg... I jeszcze partyzanci. Jak tu leciałem, musiałem omijać dwa patrole. Szukają was. De Sousa też zaraz będzie szukał. Łączyłem się ze Starym. Sra w gacie. Mówi, że zostało nam kilkanaście godzin. Dłużej nie da razy utrzymać tego w tajemnicy.

Przyjemnie się tego słuchało. Gdyby tak jeszcze beczka wody i jedno dobre trafienie w napęd ich działka... Ale nie mieliśmy nic do picia, a Tomczak nadal mógł zabijać. Bez termowizora nie znajdzie i nie wystrzela wszystkich – większość jednak tak. Niedobitków załatwią muzułmanie i słońce. Oceniałem, że ci z nas, którzy przeżyją, około południa stracą możliwość poruszania się. Bronić się, leżąc gdzieś w cieniu, daliby radę do następnego wieczora. Zakładając, że padnie na tych zdrowych i silnych. Ale nawet zdrowi i silni nie przeżyją tak długo, jeśli przyjdzie im walczyć w dotychczasowym stylu: pod gołym niebem, biegając, okopując się, zmieniając stanowiska ogniowe. A tak właśnie trzeba by się bić, gdyby apache zadał nam kolejne straty i blokada wokół wioski pękła w którymś miejscu. Olszan doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Trochę cierpła mi skóra, kiedy, szczerze jak na spowiedzi, przedstawiał Tomczakowi naszą sytuację taktyczną.

– Wszystko trzyma się na czołgu – zakończył. – Jak go sfajczycie, czarni bez trudu wyrzną całą resztę.

– Rakiety nam się skończyły. Niby jak mam go sfajczyć? Podlecieć i zapalki rzucać? Nawet z boku pancerny ma za grubo, żeby...

– Mam tu dokładny szkic. Filipiak dobrze odrobił lekcje. Wiem, jak cię wyprowadzić na idealną pozycję. Na zachodzie są takie dwa wzgórza. Sto metrów na południe, licząc od linii stawu. Podejdiesz pod ich osłonę i wleczesz w przełęcz, kiedy powiem.

– Ogłuchłeś? Mam tylko działko!

– Za to celne. A to tylko czterysta metrów. Słuchaj, widziałem ten czołg. Trafiliście w przedział silnika. Ładna, duża dziura. Gaśnice zdławiły pożar, ale drugi raz nie dadzą rady. I mają drugą dziurę, między bojowym a silnikowym. Jak się z tyłu zapali, to cały wóz szlag trafi. Wystarczy, że walniesz serią po lewej tylnej części kadłuba.

Przez dłuższą chwilę daremnie wyczekiwaliśmy odpowiedzi. W stajni panowała cisza porównywalna jedynie z tą na starych łodziach podwodnych. Gdyby Tomczak wyłowił jakiś podejrzany dźwięk, pomyślał, że jego rozmówca może nie być sam...

– To ryzykowne – odezwał się w końcu. – Strasznie blisko.

– Mierzy z armaty w wieś. Wukaemu nie ma. Sprawdziłem: nikt inny was nie ostrzela. Tylko musisz podejść z brzuchem przy ziemi. Parę sekund ognia, czołg się pali, dajesz do tyłu i mamy wojnę z głowy.

– Usłyszą nas. Musiałbym podlatywać strasznie wolno.

– Nie usłyszą. W tym cały urok. Uruchomię sokoła.

– Sokoła? Przecież to trup.

– Daleko by nie doleciał, więc go zostawiliśmy. Ale hałasować może. Nie spalili go. Nie pali się paru milionów dolców. Sabah też ma pilotów, pewnie pomyślał, że zdąży któregoś tu ściągnąć i jakoś ewakuuje wiatrak. To samo ci od APH. Prawdę mówiąc, spróbuję nim dać nogę, jak już rozwalicie czołg. Za gorąco się tu robi.

Tomczak znów zafundował nam kilkadziesiąt sekund nerwowego oczekiwania. Bałem się. Zbyt pięknie to brzmiało. Na jego miejscu nabrałbym podejrzeń.

– A ci ze wsi? – Jego głos faktycznie nie ociekał ufnością.

– Przedtem nie strzelali, to i teraz nie będą. Nie wiedzą, co jest grane, ale skoro zjawił się jakiś śmigłowiec i wali do ich przeciwnika, to na pewno go nie zestrzelą.

– Doniosą tym z APH, że widzieli apache'a.

– Chłopie, co mieli widzieć, to już zobaczyli. Tak czy siak, musisz ich rozwalić. I rozwalisz, bo na te lepianki działko jest aż za dobre. Nie będą się mieli gdzie pochować. Ale wszystko po kolei. Najpierw ty czołg, potem Somalijczycy naszych, w tym faceta z gromem, a potem ty Somalijczyków.

Następna chwila ciszy. I westchnienie.

– No dobra. To kiedy mam zacząć?

*

Osiół miał na imię Gniewko – to dlatego dziewięćdziesiąt godzin temu Gabriela szarpała się w milczeniu z uzdą, wciągając go na pokład śmigłowca.

Dziewięćdziesiąt godzin. Mijała północ, kiedy pakowaliśmy Olszana na jego grzbiet. Nie

chciało mi się wierzyć, musiałem dwa razy liczyć. Ale tak właśnie było. Dziewięćdziesiąt godzin temu gapilem się z głupią miną na uwiązanego do mego namiotu kłapoucha, a ona nadeszła od strony umywalni, bosonoga, trochę senna, piękna jak Pani Wiosna z dziecięcych bajek.

Wydawało mi się, że wieki minęły od tamtej chwili. Albo minuty. Bo pamiętałem każdy szczegół.

– Chodź, Gniewko. I masz być grzeczny, słyszysz?

Miała zmęczony głos, a za groźnym marszczeniem brwi nie kryła się już żadna realna siła. Kiedy wychodziliśmy na dwór, zawadziła o futrynę naramiennikiem kamizelki, omal nie upadła. Mógł ją posłać na ziemię jednym energicznym ruchem łba – w jego spojrzeniu było coś łajdackiego i od razu wyczułem, że miewał już na koncie podobne numery.

Właściwie chciałem, by popisał się swą przekorną ośłą naturą. Tu i teraz, na samym starcie. Nim znikną w mroku, pewnie raz na zawsze. Ale był osłem i naturalnie robił wszystko nie tak, jak trzeba. Zamiast szarpać się, stawać ni z tego, ni z owego czy choćby wlec kopyto za kopytem, pobiegł, gdy tylko ona zaczęła truchtać. Nie zdążyliśmy zamienić jednego słowa.

Pośpiech okazał się zbędny. Nikt nas nie wypatrzył, nie strzelał. Brodząc w chmurze dymu z dopalającego się beteera, dotarliśmy bezpiecznie do południowo-wschodniego skraju Kasali, gdzie stało kilka nietkniętych domów i skąd rozciągał się widok na sąsiedztwo sadzawki.

Nadal płonęła. Na szczęście słup rozżarzonego powietrza wymiatał dym wprost ku gwiazdom i Drabowicz dobrze widział przedpole. Front, wykreślony piechotą Morawskiego, trzymał się nieźle.

– Dobra, widzę was – usłyszałem w radiu głos plutonowego. – Dalej tylko na brzuchach. To osioł?

Gabriela uwiązała linkę do jakiegoś kołka. Agnieszka, sama ledwie trzymająca się na nogach, pomagała Olszanowi w zsiadaniu. Wołałem na to nie patrzeć. Położyłem radmora pod ścianą i najpierw w półprzysiadzie, a potem na czworakach i brzuchu ruszyłem w stronę czołgu.

Było cicho. Drabowicz nie musiał wystawiać głowy ponad krawędź otwartego wjazdu, by zorientować się, kiedy dotarłem do gąsienicy.

– Radio nawaliło? – zapytał półgłosem. Przewróciłem się na plecy i leżałem przez chwilę obok rzędu stalowych kół, próbując zgadnąć, które z latających mi przed oczyma gwiazd to te prawdziwe, z helu i wodoru.

– Nie – wydyszałem w końcu. – Wołałem... tak.

Miał poważniejsze zmartwienia na głowie i nie zapytał, dlaczego. Z głębi wsi dochodził warkot pracujących na jałowym biegu silników. Od czasu do czasu któryś z kierowców dodawał gazu, może nawet ruszał, by po paru sekundach wycofać się w poprzednie miejsce.

– Ufa mi pan?

Żałowałem, że nie widzę jego miny. Ale refleks miał niezły.

– No. Ufam. A bo co?

– Fajnie byłoby zestrzelić tego apache’a. Pewnie daliby panu od razu starszego sierżanta.

– To był apache? – zdziwił się, ale jego głos pozostał spokojny. Albo raczej roztargniony. Jak przystało na głos człowieka, który stał się dodatkiem do paru oczu, przyklejonych do peryskopu. – No to raczej od razu chorążego. I wpis do Guinnessa.

– Chyba tak – zgodziłem się. – Ale to może wypalić. Tylko musicie obrócić wieżę. Zjawi się dokładnie na dziewiątej, między tymi górkami.

– Leci? – W końcu go ruszyło. – Mazurek...?

– Nie – przerwałem mu szybko. – To nie radar. I jeszcze nie leci.

Ktoś mógł obserwować czołg z głębi wsi. I poinformować załogę M113, że przeciwnik właśnie gorączkowo obraca lufę, wystawiając na strzał bezbronny profil wieży. Chciałem namówić Drabowicza do takiego właśnie, ryzykanckiego manewru, ale przecież nie teraz.

– Nie? – Odetchnął. – To skąd pan wie, że...?

– Wiem. I wiem, o co proszę. Ale to jedyna szansa. Potem panu wszystko wyjaśnię. Teraz nie ma na to czasu.

– Nawet do przodu nie mogę strzelać, a co dopiero...

– Mamy plan.

– Porucznik coś wymyślił? – zapytał z nadzieją.

– Nie. Olszan i ja. I to najbardziej główniany plan, o jakim słyszałem. Tylko że innego nie będzie. Albo nam to wypali, albo po nas.

*

Nie wiem, jak długo to trwało. Pewnie kwadrans. Był jednak posłuszny, stosował się do moich poleceń i prawie nie próbował pomagać, więc kiedy dotarłem do lewego koła śmigłowca, odczytanie czegokolwiek z fosforyzującej tarczy zegarka przekraczało zdecydowanie moje możliwości. Balansowałem na granicy zawąłu i nie bardzo widziałem sam zegarek. Całą trasę pokonałem na brzuchu, ciągnąc linkę z zamocowaną na końcu siatką. Za wiele jej nie zostało po tym, jak rakieta trafiła w T-72 i zdarła maskowanie, ale na sanie dla Olszana wystarczyło. Nikt nie strzelał, a jeśli dobrze oceniłem kąty, to nie tylko my dwaj, ale i cały sokół znajdował się w martwym polu. Stawka była jednak zbyt wielka, bym odważył się ryzykować.

Gdzieś z prawej stuknęła krótką serią kaem Grochulskiego. Olszan wyciągnął zza paska długi na przeszło metr, ale smukły nabój do armaty kalibru 73. Rolkę zabranego ze stajni sznurka miał w kieszeni, razem z granatem-zapalnikiem. Ale tylko sznurek wyciągnął.

Nie zwróciłem na to uwagi. Dość długo nie docierało do mnie, co robi. Mój karabin został u dziewczyn, poza tym jednak przywlokłem tu wszystko: hełm, kamizelkę, siebie i Olszana.

Ledwie żyłem.

Ocucił mnie błysk ostrza. Odczołgał się w stronę nosa maszyny i nawet otworzył drzwi kabiny pilotów, potem jednak, nie wiadomo kiedy, wylądował pod brzuchem sokoła. Dokładniej: obok przedniego koła.

– Co? – zapytałem tępo. Mdlilo mnie; gdybym miał czym, puściłbym potężnego pawia.

– Nic – mruknął Olszan. Odciał nadwyżkę sznurka, złożył scyzoryk i rakiem wyczołgał się spod śmigłowca. – Dobra. Dawaj kamizelkę.

To się mieściło w planie. Przywiązany do goleni przedniego koła nabój armatni – już nie.

– Co chcesz...? – Nie dokończyłem. Metrowej długości żądło uniesione było ku górze, zapalnik niemal dotykał spodu kadłuba, ale właśnie dlatego wyzbyłem się błyskawicznie resztek wątpliwości. Szybki start wymaga ostrego przechyłu w przód. – Oszalałeś?!

Uśmiechnął się słabo. Dzięki płonącej sadzawce widziałem go aż za dobrze. Ja – i one. Dzieliło nas trochę ponad sto metrów, skrywał je mrok, ale niemal fizycznie czułem na sobie nacisk ich spojrzeń.

– Naprawdę myślałeś, że to na petardę? Nie zalewaj.

Miał rację. Mówił o symulowaniu wystrzału z czołgowej armaty, o rozbłysku, który do reszty rozwieje wątpliwości przyczajonego za wzgórzem, wpatzonego w lunę Tomczaka – ale byłem oficerem, nie roztrzęsioną kobietą, i nie powinienem dać się na to nabrać. Zwłaszcza że prosił Wołynowa o przeciwpancerną odmianę pocisku.

– Nie doleczysz. – Skakałem spojrzeniem między nim a czarną plamą zabudowań na wschodzie. Bałem się widoku zgarbionej ludzkiej sylwetki, biegnącej w naszą stronę. Agnieszka była do tego zdolna.

– Dolecę. Tylko daj tę zbroję. Z automatów pewnie zdążą wygarnąć.

– Całkiem ci odjechało. – Usta mówiły jedno, a mięśnie robiły drugie. Zanim się zorientowałem, moja kamizelka kuloodporna wylądowała na ziemi. – To samobójstwo.

– Wiem, gdzie stoją. Z tymi silnikami to nie taki znów dobry pomysł. Rozpieprzę transporter i będą mogli naskoczyć Drabowiczowi.

– Nie doleczysz. – Przesunąłem się na kolanach bliżej niego, zacząłem pomagać. Nie bardzo sobie radził z zakładaniem kamizelki.

– Ale mam szansę. A ta wyrzutnia was wykończy.

Zerknąłem za siebie. Nikt nie nadbiegał. Może zwyciężył rozsądek. Może Gabriela. A może nie było czego zwyciężać. Kiedy odchodziliśmy, Agnieszka po prostu siedziała pod ścianą i chyba nawet nie patrzyła w naszą stronę. Zbliżała się do czterdziestki, miała syna, sławę, pewnie setki znajomych i dziesiątki okazji. Był miłym, barwnym epizodem, nie zapomni go do końca życia, może nawet urodzi mu dziecko – lecz to jeszcze nie powód, by biegać po polu bitwy.

Zwłaszcza że powiedziałem...

– Jeszcze żyjesz. – Byłem lekarzem, ale byłem też żołnierzem i facetem, więc przepychanie tych słów przez gardło nie przyszło mi łatwo. – I jeszcze możesz przeżyć. To nie...

Nie wiem, czy zdążył mi przerwać. Może. A może sam utknąłem na ten ułamek sekundy, który przesądził o wszystkim.

– Dawaj hełm. I uratuj je. To najważniejsze: dziewczyny.

Zdarł mi z głowy kompozytową skorupę, zaskakująco zręcznie wdrapał się do kabiny. Nie zadał sobie trudu zasuwania drzwi. Widziałem, jak manipuluje przy przełącznikach, jak rozkwitają ekrany wielofunkcyjnych monitorów i choinki kontrolek. Pierwszy silnik odpalił niemal od razu, druga turbina trochę kaprysiła, ale też zaskoczyła. Zanim oswoiłem się z myślą, że jeszcze raz udało mu się wyprowadzić wszystkich w pole, nad moją głową poruszyła się łopata wirnika.

Grochulski znów do kogoś strzelił. Tę pierwszą serię zdążyłem usłyszeć. Następnych, o ile były, już nie. Podobnie jak nie słyszałem ani jednego słowa Olszana. Nawet początek dłuższej kwestii wyczytałem jedynie z ruchu warg – na chwilę oderwał wzrok od przyrządów, posyłając ostatnie spojrzenie w miejsce, z którego przyszliśmy.

– Jesteś? No to rura, chłopie! Zaraz...

Więcej nie zrozumiałem. Głównie dlatego, że nie potrafiłem dłużej spoglądać w jego twarz.

Czekałem, klęcząc u progu kabiny ze zwieszoną jak pokutnik głową. Długo. Raczej minuty niż sekundy. Kiedy byliśmy w połowie drogi, Olszan połączył się z Tomczakiem i kazał mu uruchomić silniki, ale ostrożny przelot na pozycję wyjściową musiał potrwać.

Przez ten czas nikt chyba do nas nie strzelał.

Wpatrywałem się w czołg. Sprawiał wrażenie bezużytecznego białego wraku. Żadnego ruchu, żadnych błysków z karabinowej lufy. Przyszło mi na myśl, że tak już pozostanie. Że Drabowicz, sam bądź po konsultacji z Filipiakiem, podjął najbardziej racjonalną z decyzji i cofnął mi kredyt zaufania.

Może miał rację?

Oddając radio, straciłem wszelką kontrolę nad tym, co robi Olszan. Na dobrą sprawę mógł zmienić plan, naprowadzić apache'a od wschodu i odlecieć, śmiejąc się w duchu z bezkarnie rozstrzeliwanych frajerów. Niby czemu nie? Rana o niczym nie przesądzała. Jeśli nie uwierzył, że jest śmiertelna, jeśli starczyło mu zimnej krwi na grę do końca...

Cholera. To miało sens. Dużo więcej sensu niż ta zabawa w kamikadze. Jeśli sokół nie rozpadnie się w locie, za pół godziny może być w Werder. Mieli tam garnizon, więc może i chirurga.

Cholera.

Dotknąłem kabury. Myśli, coraz bardziej paranoiczne, latały mi po głowie, rezonowały

z narastającym hukiem wirnika. Jeszcze mogę zdążyć. Nawet bez strzelania. Poderwać się, wywlec go z kabiny, zedrzeć słuchawki. Rozmawiał, ale sądząc po geście uniesionej na chwilę dłoni, na razie z Drabowiczem. Musiał zgrać w czasie obrót wieży z wejściem apache'a w przełęcz. Może miałem jeszcze czas. Zostawił Filipiaka i poszedł szukać radiostacji, z której mógłby swobodnie pogadać z kumplem. Do tej pory nie miał okazji. Musiał ściągnąć Tomczaka w pobliże wioski, ale dopóki słuchaliśmy, chcąc nie chcąc, pakował go w zasadzkę. Gdyby nie zdążył tego odkręcić, cała intryga mogła wyjść nam na dobre. O ile to była intryga.

Cholera. Naprawdę nie wiedziałem.

Dziewięćdziesiąt godzin temu bym wiedział. Nie poświęca się życia dla obcej baby tylko dlatego, że jest ładna, miła i dobra w łóżku. Koniec, kropka. Jesteśmy dorośli, a świat jest pełen tego towaru. Męczyć się, dokonywać wyrzeczeń, nawet ryzykować – owszem. Ale umierać?

Teraz niczego już nie byłem pewien.

Wcale nie rozjaśniło mi się w głowie, kiedy Olszan zerwał słuchawki i rzucił mi razem z radiostacją. Właśnie tak rozegrałby to wytrawny spec od ciosów w plecy. Odlecieć, nie budząc podejrzeń. Samobójcy niepotrzebny nadajnik. Dobrze planującemu zabójcy też nie. Już uruchomił maszynę zniszczenia: lufa czołgowej armaty właśnie drgnęła, zaczęła rosnać w miarę obracania się ku zachodowi.

Sokół dygotał. Jedna łopata urwana, druga uszkodzona. Środek ciężkości wirnika nie pokrywał się z osią głowicy; potężne mimośrodowe obciążenie oddziaływało na elementy, których nie projektowano na podobne okoliczności. Wstałem, zacząłem się cofać. Unoszący się ogon był wygodnym pretekstem. Mogłem uciec od decyzji, skryć się za tarczą instynktu samozachowawczego. Jeśli śmigłowiec rozsypie się przy starcie, dla kogoś, kto przebywa w pobliżu, nie będzie miało znaczenia, czy pilotował go nawrócony grzesznik, czy skończony drań.

Do końca nie byłem pewien. Musiał ruszyć na południe, bo tak go Morawski posadził: ogonem do wioski. Mógł równie dobrze zawrócić po nabraniu rozpędu i wysokości, jak i pomknąć prosto w kierunku Werder.

Wdzierający się do oczu pył niemal mnie oślepił. Przegapiłem błysk na przedłużeniu armatniej lufy, a eksplodujący pocisk pewnie pomyliłbym z odblaskiem któregoś z pożarów, gdyby przez łomot śmigłowca nie przebił się podwójny huk. No i gdybym nie patrzył we właściwą stronę.

Błysnęło na zachodzie.

Wyobrażałem sobie tę scenę co najmniej ze sto razy, więc natychmiast zrozumiałem, że przegraliśmy. Drabowicz chybił. Dobrze trafiony, rozrywany wybuchem zbiorników śmigłowca wygląda inaczej.

I faktycznie. Zamiast rozpaść się na setki ognistych kawałków, Apache zaczął strzelać.

Pewnie i to bym przegapił. Gdyby nie fakt, że jeden z pierwszych pocisków rozerwał mi się niemal pod nogami.

Pociski do trzydziestomilimetrowych armat ważą jakieś ćwierć kilograma. Tyle co pół granatu. Ale te były kumulacyjne, przeznaczone do dziurawienia blach, miały duży ładunek i lekką skorupę, więc rąbnęło jak cały granat i dosłownie wyleciałem w powietrze.

Najpierw wcale nie bolało. Może uszy. Ale na pewno nie noga. Zawylem dopiero, gdy wpychała mnie na ośli grzbiet. Wcześniej chyba musiałem zostać postawiony w pionie – to dlatego.

Niewiele słyszałem. Własnego krzyku prawie wcale: tylko dygot w krtani podpowiedział mi, że zdrowo sobie wrzasnąłem. W głowie huczało. Z oczu ciekło raczej błoto niż łzy. Nie wiedziałem, co się dzieje dookoła, i prawdę mówiąc ani trochę mnie to nie obchodziło.

Ból wywołał mdłości. Próbowałem zwymiotować, ale nie wychodziło, bo przewiesiła mnie jak worek przez kark Gniewka, a galopujący w dzikim tempie osioł wytrząsł ze mnie cały zapas powietrza. Chyba nie da się rzygać bez powietrza? Byłem lekarzem, powinienem to wiedzieć.

Prawie sobie przypominałem, ale na drodze wyrosła nam jakaś lepianka czy inna palma, przywaliłem w nią akurat tą prawą nogą i film urwał mi się ostatecznie.

*

Coś poruszało się pode mną. Rytmicznie, bez pośpiechu, ale na tyle mocno, że powinienem zwalić się na pysk we wszechobecny mrok. Nie padałem jednak. Trochę potrwało, nim skojarzyłem ten cud z odrętwiałymi ramionami. Ktoś owinał mi wokół pach kawałki liny i uwiązał końce do wepchniętego pod udo i siodło drąga. Zostałem zakotwiony jak maszt, tyle że nie w ziemi, a na zwierzęcym grzbiecie.

No tak. Gniewko. Zaczynałem sobie przypominać.

– Jacek?

Przedtem musiałem kiwać się w siodle ze zwieszoną bezwładnie głową. Podniosłem ją, więc się zorientowała.

– Gdzie...? Co tu tak ciemno?

Właściwie wcale nie było aż tak ciemno. Po prostu resztki kurzu pod powiekami. Od razu zorientowałem się, że Gabriela nie ma już na sobie kamizelki i hełmu. Kiedy przetarłem oczy mniej zdrętwiałą z rąk, ujrzałem całkiem wyraźnie i ją, i jej dłoń, zaciśniętą na uchu mego wierzchowca. No tak: uzda posłużyła za linkę odciągową. Przynajmniej tę z lewej. Po prawej utrzymywała mnie w pionie jakaś sztukowana taśma szerokości bandaża. Bandaż też był: przebijał się bielą spod rozprutej od uda w dół prawej nogawki spodni. Pomacałem ostrożnie potężne zgrubienie, ale za wiele nie wyczułem.

– Boli? – Puściła osła, wyciągnęła dłoń w moją stronę. Zdołała ją zatrzymać, ale nad głosem nie zapanowała już tak dobrze. Był w nim strach, głęboka troska i trochę radości. – Dobrze się czujesz?

Musiałem się zastanowić. Bo czułem się... dziwnie.

– Morfina? – Kiwnęła głową. – Dużo mi dałaś?

– Połowę. Potem będzie gorzej.

Rozejrzałem się. Boki, potem tył. Nic, doskonała czerń. Tylko gwiazdy na niebie. Księżyc nie było. Albo jeszcze, albo już.

– Co się dzieje? – Zacząłem uwalniać ramię z pierwszej pętli.

– Zabrałam cię stamtąd – powiedziała cicho i wyzywająco zarazem.

– Co? Jak to: „Zabrałam”?

– Zwyczajnie. – Cofnęła się lekko, jak ktoś oczekujący ataku.

– Z Kasali? Odbiło ci?!

– Jesteś ranny. – Obróciłem się w siodle, próbowałem dopatrzeć się paseczka łuny na horyzoncie. Albo chociaż samego horyzontu. – Nie bój się. Powiedziałam Filipiakowi.

– Jasna cholera, nawet nie widać... Ty idiotko, to całe kilometry! Wiesz, ile czasu zmarnowałaś?!

– Ja?

– Sam nie dojdę. Musisz mnie odwieźć, potem tu wrócić...

– Nic nie muszę – mruknęła. Gniewko machnął uwolnionym uchem. Chyba z aprobatą. Wyczuł pokrewną duszę. Już wtedy zrozumiałem, co się stało, a przede wszystkim – że się nie odstanie. Ale musiałem spróbować.

– Gapa, jestem lekarzem – powiedziałem łagodnie, niemal przepraszająco. – Wojskowym w dodatku. Nie mogę tak po prostu...

– Nie mają ciężko rannych. Pytałam. Obejdą się bez lekarza.

– Tam trwa bitwa. W każdej chwili...

– Pomogłeś Olszanowi?! – podniosła głos. – W ogóle któremuś pomogłeś?! Jednemu chociaż?! Jako lekarz?! – Za dobrze trafiła, bym potrafił odpowiedzieć. – Gówno! Opatrunek, morfina, parę dobrych słów! Tyle im możesz dać! Każdy inny zrobi to samo!

Nie miała racji. Naga, nie poparta zapasem leków wiedza też czasem ratuje życie. Ale nie próbowałem się sprzeczać. Miała prawo mówić to, co mówiła: w moim przypadku ta zasada akurat nie zadziałała. Ci, którzy przeżyli, przeżyliby i bez mojej pomocy, a rannych, których być może ocaliłem przed śmiercią, wredna starucha z kosą dopadła po raz drugi. Może któryś z mych pacjentów będzie zdrowszy niż w przypadku, gdyby trafił w ręce kolegi z drużyny. Może Filipiak poruszy kiedyś nogą, a przynajmniej kołami wózka dlatego, że zajmował się nim lekarz, nie amator. Może. Ale to gdybanie. Fakty stały murem za Gabriellą.

– To dezercja – spróbowałem inaczej. – Zrobiłaś ze mnie dezercera.

– Filipiak się zgodził. Powiedziałam mu.

– Powiedziałaś? – Po raz drugi użyła tego słowa. – Zaraz... Przed czy po? – Nie zareagowała w żaden widoczny sposób. – Jezu... Przez radio, tak? Jak już byliśmy daleko?

Zabrała mi linkę, założyła osłowi na szyję. Gniewko ruszył bez wahania. Odczekałem chwilę. Potem szarpnąłem lekko za grzywę.

– Nie wkurzaj go – mruknęła, nie odwracając się. – Bo cię zrzuci.

– Nie miałaś prawa decydować za mnie.

– Pieprzę prawo.

– Gapa... nie wygłupiaj się. Nie możesz mnie tak wlec... A właściwie dokąd idziemy?

– Na zachód. W stronę Misrak Gashemo. Mamy twoje radio; jak dojdziemy wystarczająco blisko drogi, może ktoś się uda wywołać.

– I to ma być twój plan? – próbowałem roześmiać się szyderczo.

– Odwal się.

– Głupszego nie mogłaś wymyślić. – Ciut przesadziłem: mogła pójść na południe, w kierunku dużo ruchliwszej drogi Werder-Geladi. Sto trzydzieści kilometrów zamiast czterdziestu kilku.

– Odwal się.

– Zatrzymaj tego cholernego osła. Wracam.

– Masz złamaną nogę. Trzech kroków nie... – przerwała sama sobie gniewnym sapnięciem. – Kurwa mać, daj mi spokój! Koniec wojowania! Tylko byś im przeszkadzał!

– Jesteś zdrowo walnięta, wiesz?

– Wiem. A teraz się zamknij. Słyszałeś, co mówił ten pilot: pełno tu patroli Sabaha.

Zamknąłem się. Musiałem pomyśleć.

– Załatwił ich? – zapytałem cicho jakieś dwie minuty później. – To dlatego...? Nie było już po co zostawać, tak?

Nie od razu odpowiedziała.

– Załatwił.

Nie chciała o tym mówić. Ja też nie. Ale musiałem.

– Drabowicza też? – Czułem, że głos trochę mi drży. Ten pomysł z celowaniem w dziurę po rakiecie był mój. – Apache czy ta wyrzutnia?

Tak jakby to miało znaczenie.

– Drabowicza? – odwróciła głowę, nie przerywając marszu. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie. Dokładnie: swoim konturom.

– Myślałem...

– A – mruknęła. – Nie, nie, wszystko poszło dobrze. To znaczy... no, niech będzie: poszło

dobrze.

Zrozumiałem.

– Olszan?

– Fajnie leciał – powiedziała cicho. – Nawet nie wiedziałam, że tak można. Slalomem, między domami. Prawie nie strzelali. I chyba spalił wszystkie wozy, całą trójkę. Ognia było na pół wsi.

Przesadzała, ale uwierzyłem w tę trójkę. Asysta stała blisko M113. Musiała stać blisko, by skutecznie wprowadzać nas w błąd.

– A apache?

– Nie pamiętasz? Drabowicz trafił obok, chyba dobrze, bo tamci zaczęli strzelać tak bez sensu, na wszystkie strony... Potem dostali od Wołynowa rakietę, wiesz, tą kierowaną, przeciwczołgową. No i... bum.

Milczeliśmy jakiś czas. Pozbyłem się drugiego z odciągów, utrzymujących mnie pionowo w siodle. Był przyjemny w dotyku.

– Nie wiedziałem, że chce to zrobić. – Musiała wyczuć coś dziwnego w moim głosie, bo obejrzała się. – Naprawdę.

Było ciemno, starała się iść możliwie szybko, więc ograniczyła się do tego jednego spojrzenia. Potem patrzyła już tylko pod nogi.

– O co chodzi?

– Chyba faktycznie nie nadaję się na lekarza. Lesik miał rację.

– Dlaczego? – zapytała spokojnie.

– Okłamałem go. Olszana. – Rytm jej kroków nie zmienił się. – To nie wątroba. Odłamek przeszedł przez jelita. Mógł przeżyć.

– Co? – Chyba drgnęła, ale pewności nie miałem. Było ciemno, co jakiś czas ona albo Gniewko musieli nagle przeskakiwać jakiś kamień.

– Zakażenie to nie krwotok. Miał szansę. Gdyby nas znaleźli... no, w parę godzin... Rozumiesz? Zabiłem własnego pacjenta.

Nie od razu się odezwała. Może dlatego nie potrafiłem się doszukać przekonania w jej głosie.

– Bzdura. Sam zdecydował.

– Bo myślał, że to koniec.

– Dobrze myślał. Nawet gdyby ktoś się zjawił... To brzuch. Bez operacji i tak... A nikt by go nie zoperował.

– Mamy w kontyngencie jeden duży śmigłowiec medyczny, prawdziwą latającą salę operacyjną. Gdyby w ogóle przysłali pomoc, to pewnie i jemu. A jak nie śmigłowiec, to zrzut kontenera, sprzętu i paru chirurgów. Teoretycznie rzecz jest do zrobienia. Mógł przeżyć.

– Gdyby chirurdzy zjawili się w ciągu paru godzin? – upewniła się. – No to daruj sobie

teoretyzowanie. Nie zjawia się.

– Nie rozumiesz. Chodzi o nadzieję. Lekarz nie ma prawa...

– Zapomniałeś, co zrobił? – Nie odpowiedziałem. – A zresztą o czym my w ogóle...? – Odwróciła się w moją stronę, wyraźnie ożywiona. – Przecież powiedziałeś o tej wątrobie, zanim odkrył karty! Nie pamiętasz?! Nie okłamałeś go! Pomyliłeś się tylko!

– Nie – mruknąłem.

– Tak, Jacek. – Szła tyłem, ignorując wszelkie kamienie czy krzaczki, na które mogły się natknąć jej pięty. – Jesteś zmęczony, półżywy.

– Dzięki – uśmiechnąłem się słabo. – Nie dość, że olewa Hipokratesa, to jeszcze niedouczony. Rzeźnik, nie lekarz.

– Wszystko ci się popieprzyło. To było, zanim zastrzelił Lesika. Po co miałbyś kłamać? Nie wiedziałeś, kim jest. Po prostu potem, jak się ujawnił, nie cofnąłeś błędnej diagnozy. A to nie to samo.

Broniła mnie. Najlepiej, jak umiała. Nagle zrozumiałem, dlaczego miętoszę w dłoni połączone węzłami pasy tkaniny. Oddarła je od własnej sukienki, ostatniej, jaką miała. Może to niewiele znaczy, ale cały jej majątek składał się już tylko z tenisówek, majtek, osła i właśnie tej sukienki – a ona podarła ją tylko po to, bym podróżował wygodniej.

Miałem wielką ochotę zakończyć w tym właśnie miejscu. Jeśli spotykasz księżniczkę z bajki i widzisz odbicie księcia w jej oczach...

– Zabiłem go. Mnie uratował życie; ciebie lubił i chyba chciał, żebyśmy byli razem; Agnieszka go kocha, a ja go zabiłem.

– Nie miałeś wyjścia. – Szła wolniej, lecz wciąż tyłem. – To morderca. Gdybyś powiedział, że się pomyliłeś, że to nie wątroba, mógł uznać, że coś kombinujesz, i zwyczajnie cię zastrzelić.

– Tylko że ja się nie pomyliłem.

Milczała przez chwilę. Długo, biorąc pod uwagę, że każdy następny krok mógł ją kosztować lądowanie na tyłku.

– O co ci właściwie chodzi? – zapytała znużonym głosem.

– Nie wiem – przyznałem. – Może... On też gadał jak najęty.

Odwróciła się w końcu, zaczęła patrzeć pod nogi.

– Ty nie umrzesz – rzuciła krótko.

– Wiedziałem, że to on. Zanim jeszcze dostał tym odłamkiem. Celował we mnie. Nie strzelił, ale... I odblokowała mi się klapka w mózgu. Pamiętasz, jak znaleźliśmy wóz Hanusika? Powiedziałaś, że może zepsuło im się radio, a ja, że epidemie zdarzają się ludziom, nie nadajnikom.

– No i?

– No i przypomniało mi się, że Olszanowi siadły dwa po kolei. Jemu jednemu. Najpierw

krótkofalówka, potem radmor.

– I zacząłeś go podejrzewać?

– Wtedy? Jeszcze nie. To znaczy: wrócił na listę podejrzanych, ale na ostatnie miejsce. Miał najlepsze z was wszystkich alibi. Aż na trzy przypadki z sześciu. Nie lał kwasu, bo leciał śmigłowcem. Nie zabił Gietzy, bo siedział w okopie z parą świadków. I nie włamał się do walizki Agnieszki, bo miał do niej dostęp. Mógł co najwyżej zwerbować Mengeszę, zabić rannych i Ukraińca. Troje następnych na liście miało alibi najwyżej na jedną z akcji kreta. A Lesik i Wołynow wcale.

Przez chwilę słyszałem tylko odgłos kroków: jej i osła.

– Myślałam, że to mnie najbardziej podejrzewasz – mruknęła.

– Najbardziej to się bałem, że to ty.

Znów milczała przez chwilę.

– Nie ja.

Teraz ja pomyślałem trochę nad dobrorem słów.

– To już nieważne.

– Bo zginiemy? – zapytała spokojnie.

– Bo Olszan miał rację. Jak się kocha, reszta nie ma znaczenia.

Nie chciałem tego mówić. A już na pewno nie w taki sposób. Mimochodem, do jej pleców. Ale tak wyszło i kiedy klamka zapadła, byłem nawet zadowolony. Z tego, że nie zareagowała, też byłem zadowolony.

– Dlaczego go okłamałeś? – zapytała kilkanaście kroków dalej. Nic w jej głosie nie wskazywało, że usłyszała i zrozumiała.

– Bo dotarło do mnie, że chodzi mu o radio. Szedł do zenitówki, bo było tam jedyne, przez które mógłby pogadać bez świadków. Kiedy poprzednim razem pojawił się śmigłowiec, też złapał radmora i odbiegł na bok. Ale miał pecha: trafił na pierwszy nadajnik, który się sam z siebie, uczciwie, popsuł. Pomyślałem, że w obu przypadkach próbował jakoś odkręcić atak. Ja też miałem radio i gdyby mnie zastrzelił... Ale nie zdecydował się. – Przerwałem na chwilę. – Wiesz, wierzę mu. Wierzę, że nikogo nie chciał... Dlatego tak kurewsko się czuję.

– Zasłużył sobie – rzuciła bez przekonania.

– Wiem. – Znów kilkanaście sekund, wypełnionych jedynie odgłosem kroków. – Ale od początku grałem Agnieszką. Pomyślałem, że jeśli coś dla niego znaczy, a uwierzy, że to koniec, to może... Rozumiesz? Postawiłem na to, co w nim dobre. I trafiłem. Aż za dobrze. Liczyłem, że pomoże nam coś zrobić z apache'em: odprawi ich, nastraszy, zmyli... A potem zaczął wiązać ten pocisk do sokoła i nie umiałem mu powiedzieć, że wcale nie musi, bo... Jezu, nigdy nie spojrzę jej w oczy. Chyba go naprawdę kocha. Trudno się nie zakochać w takim facecie.

– Nie patrz – powiedziała spokojnie. – I nic jej nie mów. Był śmiertelnie ranny, koniec,

kropka.

– Dobrze.

– I przestań gadać. Naprawdę możemy się natknąć na patrol Sabaha.

Miała rację. Zamknąłem się i zacząłem sobie wmawiać, że połowa zmniejszonej racji morfiny to aż za dużo na takiego jak ja zdechlaka i że noga ani trochę nie boli.

*

Najpierw myślałem, że mówi do mnie. Chyba zasnąłem i chyba mi się śniła. Jej głos był cichy, łagodny, prosiła o coś. Potrwało trochę, nim zrozumiałem, że nie mnie, a Gniewka. Prawdę mówiąc, musiałem rąbnąć prawą piętą o ziemię, by oprzytomnieć.

Zassałem powietrze.

– Przepraszam – szepnęła. – Leż.

Znów mówiła do osła. I to jego szyję opasała ramionami, przygniatając do ziemi. Mnie nie musiała: po tym, jak coś zachrząściło tuż pod prawym kolaniem i końcówki złamanej kości szarpnęły nerwy, sam zwałem się na bok i ani mi było w głowie się podnosić.

Wstęga blasku przecięła mrok. Zza wzgórza wytoczył się samochód. Oprócz reflektorów miał parę światełek na dachu i tylko po tym rozpoznałem ciężarówkę. Odgłos silnika niewiele mówił – w Afryce nie wlepia się mandatów za brak tłumika – a odległość była zbyt duża. Właściwie Gabriela mogła darować sobie przewracanie osła: i tak by nas nie zauważyli. Ale leżała potem jeszcze długo, mimo iż wóz zniknął w mroku, a ja nie miałem do niej o to żalu. W końcu wstała.

– Boli? – W jej głosie nie było skruchy, ale troska już tak.

– Trochę. Wytrzymam.

– To już drugi. Słyszałam jeden pół godziny temu.

– Pół godziny? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

Wyciągnęła rękę, poczułem na czole jej chłodne palce. Może nawet bardziej zimne niż chłodne.

– Masz gorączkę. Spałeś. – Nie cofała ręki. – Zimno ci?

Było mi zimno. Delikatnie mówiąc. Pustynne noce i zdrowego potrafią przyprawić o szcęknięcie zębami.

– Wytrzymam.

W końcu zabrała dłoń z mego czoła.

– Jak trafimy na trzeci... – przerwała na chwilę, patrząc, jak Gniewko dźwiga się na równe nogi, odsuwa o krok i spokojnie obwąchuje kępę suchej trawy. Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nie umiałabym go... Mam go od maleńkiego. Jest jak pies. Zabiłbyś własnego psa?

Dostałem po głowie którymś z wiader, przytroczonych z tyłu siodła. Pewnie na wypadek, gdybym nie zrozumiał, o czym mówi.

– Jak trafimy na trzeci? – powtórzyłem.

– Samochód – wyjaśniła niepotrzebnie. – Bo to i tak bez sensu. Co z tego, że spuszczę mu krew, skoro ciebie musiałabym zostawić. Więc pomyślałam, że moglibyśmy spróbować... no wiesz.

Księżyc zdążył wyrzeć zza horyzontu i w zupełności wystarczyłyby mi oczy. Ale wolałem sięgnąć, pomacać. Pod ładownicą było jej biodro. Czułem je aż za dobrze. W torbie pozostał jeden magazynek.

– Pełny chociaż?

– Ten? Tak.

Czyli drugi, dołączony do karabinu, już nie. Miałem pistolet z zapasowym magazynkiem, ale decyzja przyszła mi łatwo.

– Zapomnij. Nocą trzeba dużo strzelać. Nie stać nas na walkę.

– A na marsz? – zapytała ponuro.

Wstałem. Znieczulenie działało jeszcze na tyle mocno, że póki używałem lewej nogi, nawet nie bardzo bolało. Wyciągnęła ręce, by pomóc mi przy wsiadaniu. Nie poruszyłem się.

– Jedź sama.

– Sama? – powtórzyła tępo.

– Nie dojdiesz, musisz jechać, jak długo się da. A nas obojga Gniewko nie poniesie. Muszę zostać. Podam ci pozycję i przyślesz po mnie...

– Co ty pierdolisz?! – przerwała mi brutalnie.

– Zresztą nie muszę tu... Z kijem dokuśtykam jakoś do Kasali.

– Co ty pierdolisz, idioto?! – Teraz już krzyczała. – Myślisz, że cię zostawię?!

– Nie bądź wulgarna – zdobyłem się na uśmiech.

– Mam cię zostawić, żebyś tu zdechł jak pies, a tobie się język nie podoba?! Robisz ze mnie ostatnią kurwę i razi cię wulgarność?!

– Gapa, pomyśl rozsądnie. We dwoje nie mamy...

– Sram na rozsądek! Słyszysz?! Sram!

– Uspokój się.

– Jestem spokojna! Włazisz na tego osła, czy mam ci spokojnie przypieprzyć w łeb i nieprzytomnego wsadzać?! – Zaczęła ściągać karabin z pleców. – Już raz sobie poradziłam, żaden problem!

Nie wierzyłem, by mnie uderzyła, ale jeszcze mniej wierzyłem w sens dyskusowania z nią w tej chwili. Oparłem się brzuchem o osła i uniosłem dłonie w geście kapitulacji.

– Dobrze już, dobrze. Potem pogadamy.

*

Nie pogadaliśmy. Zasnąłem. Może nie był to sen w pełnym tego słowa znaczeniu – ostatecznie nie spadłem z osła – jednak mimo czuwającego błędnika, świadomość zrobiła sobie wolne.

Śniła mi się woda. Ale i łóżko. Prawdziwe, takie z grubą kołdrą.

– Zęby ci dzwonią. – Gabriela mi się nie śniła: żaden sen nie przysporzy człowiekowi tyle bólu. Uważała wprawdzie, lecz sama uwaga to za mało przeciw grawitacji i własnej słabości. Nie wyszło jej, w trakcie zsiadania z osła zawadziłem prawym kolaniem o coś twardego. Na ziemię zwałem się ze świeczkami w oczach i jękiem w gardle. – Kurczę, przepraszam... Przepraszam, Jacek. Aż tak boli? Przepraszam.

Posadziła mnie przy pniu jakiegoś drzewa, ściągnęła siodło. Tak myślałem: że o siodło chodzi. Dopiero kiedy zdjęła z grzbietu osła pasiastą derkę i zaczęła rozkładać ją na ziemi, zorientowałem się, w czym rzecz.

– Nie trzeba. Wytrzymam. Musimy...

– Mów za siebie – przerwała mi na poły gniewnie, na poły miękko.

Byłem zbyt słaby, by protestować od razu. Chciałem chociaż przez chwilę popatrzeć na formujące się posłanie, powyobrazić sobie, że leżę i że jest mi ciepło.

– Powinniśmy iść, póki ciemno – powiedziałem bez przekonania.

Zdjęła karabin, oparła o pień. Potem wyciągnęła rękę. Księżyc świecił na całego, więc widziałem, jaka jest szczupła i jak drży.

– Muszę odpocząć. Głowa... Trochę mi się kręci, wiesz. Jak poleżę z pół godziny... Odpoczniemy, dobrze?

Opadła na legowisko. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak wolno mówi. Język nie nadążał za myślą, głos brzmiał bełkotliwie. Mój zresztą też. I to nie od teraz. Po prostu byłem zbyt zmęczony i obolały, by wcześniej zauważać takie drobiazgi.

Derka okazała się parą koców. Gabriela uniosła ten drugi, poklepała ręką miejsce w sąsiedztwie swych bioder. Potem od razu położyła się na wznak, zamknęła oczy, z bolesnym westchnieniem uwolniła od buta pierwszą stopę. Spod wystrzępionej sukienki błysnęło bielą damskich fig. Podczołgałem się na rękach i kolanie lewej nogi. Koc był szeroki; mieściłem się na nim, nie dotykając jej wcale.

– Jejku, jak dobrze... – Okryła nas drugim kocem, tym w pasy. Było zimno, czułem suchy zapach ziemi, woń osła i starego ludzkiego potu. Nic przyjemnego. Noga bolała, organizm żebrał o wodę. Ale przyznałem jej rację: było dobrze. Przynajmniej przez chwilę.

Napawali się jej smakiem, leżąc w ciszy obok siebie. Lekki wiatr szeleścił w górze

listowiem akacji. Ciepło z wolna powracało do mego ciała, ale wciąż miałem dreszcze i nie potrafiłem uwierzyć, że za parę godzin będę błagał o choćby odrobinę nocnego chłodu.

– Jacek?

Słuch też człowiekowi siada wraz z odwodnieniem organizmu, ale nie dlatego ledwie ją usłyszałem. Po prostu szeptała.

– Spróbuj zasnąć. – Też mówiłem szeptem, głównie dla zaoszczędzenia resztek wilgoci w ustach. – Odpocznij.

Chyba próbowała. Raz i drugi zahaczyłem spojrzeniem o jej powieki. Były zamknięte; srebro księżycowego światła zastygło nieruchomo w gąszczu długich rzęs. Próbowała. Ale nie wyszło.

– Tam nie ma naszego wojska, prawda? Jechali kolumną, w biały dzień... Nikt nam nie pomoże, co?

Przypomniałem sobie drogę pod Misrak Gashemo. To nie wyglądało jak przemarsz wojska przez wrogie terytorium.

– Jesteś stąd. Najwyżej zgubisz się w tłumie. Nic ci nie zrobią.

– Tak – przyznała. – Mnie nic nie zrobią.

Nie otwierała oczu. Mogłem wpatrywać się w jej profil i nie myśleć o tym, jak bardzo chce mi się pić. Była piękna i pragnąłem jej prawie w połowie tak mocno, jak wody. A może i w dwóch trzecich.

– Gapa... mam prośbę.

– Zdejmij buty – wymruczała. – Zobaczysz, jak fajnie.

– Gdyby co... Nie strzelaj, jeśli cię znajdą ci od Sabaha.

– Dasz radę? Mogę ci pomóc.

Usiadłem, sięgnąłem do sznurówki. Gotowa faktycznie to zrobić. I paść trupem od odoru skarpet. Już nie pamiętałem, kiedy po raz ostatni miałem okazję zdjąć buty.

– Nie zabije cię. Byłby ostatnim frajerem, gdyby zabił taką dziewczynę. Nie wariuj. Daj się wziąć żywcem. Proszę.

Miała rację z tymi butami: fajnie było poczuć pieszczotę wiatru na gołych stopach. Skarpety też zdjąłem.

– Jaką dziewczynę?

Znów leżeliśmy obok siebie. Jej ramię dotykało mego rękawa.

– Przecież wiesz.

– Nie wiem. Powiedz.

Patrzyłem w gwiazdy. Ostatni raz. To wiele ułatwia.

– Piękną. Mądrą. Cudną. – Słowa same przedzierały się przez barierę drętwiejącego od suchości języka. – Jesteś... nie ma takiej drugiej.

– Drugiej może nie – zgodziła się. – Za to lepszych masa.

– Głupstwa opowiadasz.

– Mam trzydzieści lat. – Nadal nie otwierała oczu, tak jakby naprawdę próbowała zasnąć. – I nikt mnie nie chciał. Nigdy. Owszem: do łóżka, na szybki numer. To chętnie. Zaliczyć w Polsce czarną dupę to atrakcja. Ale pójść na spacer środkiem Piotrkowskiej i trzymać za rękę? Kupić loda na spółkę i lizać na zmianę, przy ludziach? Przedstawić rodzicom? – Nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć. – Wmawiałam sobie, że to przez bezrobocie, ale tak naprawdę przyjechałam tu po faceta. Bo tam chyba nigdy... A jestem normalna. Żadna zakonnica. Chcę mieć dom, męża i dzieci.

Uniosłem rękę, by zaraz potem położyć z powrotem na kocu. Nie uciekła na koniec świata dlatego, że brakowało jej męskich rąk na piersi czy pośladkach. Chciałem co prawda odnaleźć jej dłoń, lecz różnica nie wydawała mi się w tej chwili taka wielka. Każdy kawałeczek Gabrieli był słodki, dotyk każdego budził dreszcz.

– Jeszcze się doczekasz. Masz czas. Tylko nie daj się zabić.

– Nie mam czasu. Ani pracy, domu, pieniędzy. Nic. Zero atutów. Najgorsza kandydatka świata. Tylko debil taką weźmie. A ja nie chcę debila. W tym też problem. Gówniana ze mnie partia, ale wymagania mam wcale nie gówniane. Przed wyjazdem poszłam do biura matrymonialnego. Kazali spisać preferencje. Proszę bardzo. Przed czterdziestką, najwyżej trochę po, nie bardzo gruby, nie bardzo dzieciaty, z jakąś pracą, bo ja nie miałam, a z czegoś musielibyśmy żyć. Matura, bo o czymś trzeba czasem pogadać. Wszystko. Pani się zdziwiła, że tak skromnie, no to dopisałam niebieskie oczy. Jak się da.

– Oczy?

– Zawsze mi się podobali faceci z niebieskimi.

– I co?

– I nic. Pies z kulawą nogą. Ożeniłbyś się z Murzynką?

Retoryczne pytanie. To znaczy: w momencie, gdy wymawiała te słowa. Bo potem... Było cicho, było ciemno, nie poruszyła się. Ale jakoś wyczułem, że jednak czeka.

– Przez biuro? Nie. Nie sądzę. To faktycznie problem. – Patrzyłem, jak jej powieki unoszą się, głowa obraca powoli, a odbita od czarnych tęczówek księżycowa poświata nasiąka bolesnym zdziwieniem. – No co? Nie jesteś dzieckiem. Wiesz, że to niełatwe dla białego faceta.

Przyglądała mi się. Była czarna i tylko tyle zdołałem stwierdzić: że mi się przygląda.

– Dzięki za szczerość. To znaczy... naprawdę. Nie myśl, że...

– Rozwódka też jest problemem. I panna z dzieckiem. Albo starsza o parę lat. Puszczalska. Żydówka. Prawosławna. Ateistka. Dewotka. Ambitna karierowiczka. Nimfomanka. Głupawa blondynka. I co z tego? Człowiek się zakochuje i...

– Tamtego nie widać na ulicy. Nie wstyd się z taką pokazać.

– Gapiliby się na nas – przyznałem. – Ale to nie ma nic wspólnego ze wstydem. Za piękna

jesteś, żeby się ciebie wstydzić.

– Nie jestem piękna.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Jestem... zgrabna – znalazła odpowiednie słowo. – I tyle.

– Niech ci będzie – zgodziłem się. – Ale uwierz mi: to wystarczy. Sabah prędzej zarżnie ulubionego wielbłąda i połamie najlepszy karabin, niż zabije taką laskę. Za cenna jesteś.

– O co ci chodzi? – zapytała rzeczowo.

– Żebyś nie robiła głupstw. Podniosła ręce, jeśli się zrobi beznadziejnie. Póki się żyje, jest nadzieja. Raz już od niego uciekłaś. A poza tym...

– I tak miałam za niego wyjść? – domyśliła się. Po czym zafundowała mi kolejną niespodziankę. – Dobrze.

– Co: „Dobrze”? – Nie ufałem jej. Za łatwo poszło.

– Jeśli umrzesz, nie będę strzelać. To chciałeś usłyszeć? Proszę. Tylko powiedz, dlaczego. Co cię to obchodzi.

Zawahałem się. Jeśli wtedy nie dotarło do niej... Może lepiej zostawić wszystko tak, jak było?

– Zależy mi na tobie – powiedziałem ostrożnie.

– Jak bardzo?

– No... bardzo. Najbardziej. – Czekala na więcej, wobec czego pozbierałem odwagę i uśmiechnąłem się do niej. – Chciałbym z tobą być, jeśli z tego wyjdziemy. Ożenić się – sprecyzowałem.

Powiedziałem to. Tak po prostu.

– Rozumiem. – Serce na chwilę zastygło mi w piersi, bo w jej głosie nie było żadnej z emocji, tradycyjnie przypisywanych pannom, które właśnie wysłuchały oświadczyn. – Tylko że raczej nie wyjdziemy. Z żeniaczki nici. Więc może jakaś namiastka?

– Co? – Leżałem: to dlatego szczęka nie opadła mi z wrażenia.

– Nigdy nie robiłam tego z facetem, którego kocham. Fajnie by było raz spróbować. Byłbyś tak uprzejmy?

– Chcesz...? – Nie poruszała się i pewnie dlatego nie miałem pewności, że to nie początek omamów, wywołanych odwodnieniem.

– No. Odkąd cię zobaczyłam przed namiotem. Zakochałam się dopiero obok naszej sławojki, wiesz, po kolacji u wujka, ale do łóżka poszłabym z tobą już wtedy. Takie... napalenie od pierwszego wejrzenia.

– Gapa...

– Wiem, że to kiepska pora. Też ledwo żyję. Śmierdę, a ciebie boli. Ale to chyba ostatnia okazja.

Sięgnąłem dłonią do jej policzka. Poruszył się pod opuszkami mych palców. Była zbyt czarna, bym widział uśmiech. Ale poczułem go.

– Nie mam niebieskich oczu. – Też musiałem się uśmiechnąć.

– Masz. Tylko takie... listopadowe.

Obróciła się na brzuch, uniosła na łokciach i zaczęła mnie całować. Policzki, broda, czoło, nos... Powoli, niespiesznie. Usta omijała. Pomyślałem, że jak dziecko, zostawiające na deser najlepszy kawałek tortu. Pomyślałem, że jak dziwka, z definicji nie całująca w usta. Różne myśli kłębiły mi się w głowie. Wszystkie nieważne.

Było za dobrze, by myśleć.

Uklękła, ściągnęła pas i to, co zostało z sukienki. Nie wiem, czy z góry tak zaplanowała, czy po prostu miałem szczęście, ale blask księżycy padał zza mej głowy wprost na jej piersi. Małe i wielkie zarazem, sterczące w górę ostrymi wierzchołkami sutków i spływające ku żebrom słodkim ciężarem dojrzałych owoców. Była taka chwila, gdy bałem się, że nie dorosnę do jej oczekiwania. Ale dorosłem błyskawicznie.

Próbowałem siadać, obejmować ją. Nie pozwoliła. Lewa dłoń przycisnęła do koca mój bark, prawa odpiniała guziki. Nie zdejmując majtek, przełożyła kolano nad moimi biodrami, usiadła na nich okrakiem. Zdjęła ze mnie pas. Kiedy zdejmowała bluzę, wciąż przytrzymując ręką i nie pozwalając, bym się podniósł, zrozumiałem, kto rządzi na tym kocu. Nie wiedziałem, czy robiła to świadomie. Jeśli tak, kochałem ją za rozum. Jeśli nie – za instynkt. Dopiero później, dużo później, dotarło do mnie, że powinienem także za opiekuńczość.

Miałem gorączkę, rozwalone podudzie i czort wie co w stawie kolanowym: może odłamek, może kawałki kości. Morfina przestawała działać. Nadawałem się do klasycznego seksu jak szklanka do wbijania gwoździ. Po prostu starała się zrobić to tak, by nie bolało.

W końcu doczekałem się. Spotkaliśmy się: najpierw piersi, potem usta. Pocałunek był jak wszystko inne: niespieszny, delikatny. Muśnięcia, potem dotyk, dopiero później, naprawdę późno, nacisk, który rósł, aż pękła kolejna bariera i języki zaczęły spijać smak warg, wpychać się na cudze terytorium.

Pozwoliła przechylić się na bok i mogłem sycić palce bogactwem jej piersi. Szczupła, trochę szorstka dłoń powędrowała w dół, wpełzła mi do spodni. Nie za głęboko, ale głęboko się nie dało, bo na przeszkodzie stanęły jej własne biodra. Nie uniosła ich. Może dlatego, że za mocno obejmowałem ją w talii, a może z winy lewej nogi, wyrzuconej daleko w bok, poza niewyraźny obrys koca. Było coś wyuzdanego w tej pozycji, ale wiedziałem, że po prostu stara się trzymać z dala od opatrunku i od tej wiedzy chciało mi się jej dwa razy mocniej.

Wszystko szło dobrze. Nie czułem bólu. Nie czułem zimna, choć koc zapodział się czort wie gdzie. Żadne z nas nie udusiło się, bo gdy już brakowało tchu na pocałunki, pozwalała łapać się za pośladki, podciągać wyżej, ujmować oburącz to jedną, to drugą pierś i ssać słone jeżyny

brodawek. Po paru nieudanych próbach udało mi się nawet przezwyciężyć jej niemy opór, unieść ramię i sięgnąć ustami zagajnika porastającego pachę. Zapach potu był tu ostry, wyczuła jednak w końcu, że proszę, a nie składam łaskawą propozycję, i potem wpuszczała mnie już bez problemu.

Do tego drugiego lasu, większego, też dotarłem. Dłonią. Odwzajemniła się, rozpinając mi spodnie i nawet zaczęła je ze mnie ściągać. Otrzeźwienie dopadło jej zupełnie nieoczekiwanie.

– Poczekaj... poczekaj, Jacek. – Znieruchomiała, klęcząc okrakiem nad moim udem. – Ja... nie wiem. Muszę... Boże, co my robimy?

Ja po prostu leżałem i czekałem, próbując zgadnąć, czy zaryzykuje przewlekanie rozciętej nogawki przez zgrubienie opatrunku, czy po prostu zostawi wszystko tak, jak było, znów zadrze kolano i dosiędzie mnie, nie zważając na szorstkość drelichu pod łydkami i stopami. To, czego potrzebowała, było już na wierzchu. I było gotowe. Aż nadto.

– Kocham cię – szepnąłem.

Dotknęła mego uda. Dalej nie sięgnęła. Tylko spojrzeniem, ale i ono przeniosło się po chwili na twarz. Czulem, jak kurczowo zgniata moją nogę między kolanami, i niczego nie rozumiałem.

– To dziecko. – Jej głos brzmiał niemal jak jęk. – Nie wolno tak...

– Czego nie wolno? – Pogłaskałem jej udo, potem pierś.

– Rodzić.

Dałem spokój piersi, uniosłem się, objąłem ją, położyłem na sobie. Trochę zabolalo, kiedy przydusiła mi go do brzucha kością miednicy, ale nie próbowałem niczego z tym robić. Wtuliła się we mnie jak ktoś, kto bardzo tego potrzebuje, no i nie zablokowałem sobie dostępu do kieszeni na prawym udzie.

– Boję się. – Ciepło jej szeptu grzało mi szyję, kędzierzawe włosy łaskotały w ucho. – Sama ze sobą sobie nie radzę, a co dopiero... I umrę, jak ciebie nie będzie. Poważnie. Nie chcę tak żyć.

– Gapa... Gapcia... no coś ty? – Nagle poczułem się jak męski gnojek z opowieści starzejących się, rozgoryczonych kobiet. Ale było już za późno: wyjęty z kieszeni pakiecik miałem w dłoni, a dłoń na jej ramieniu. Nawet jeśli nie dotarło do niej, że to coś więcej niż palce, mogło dotrzeć w każdej z następnych sekund.

– Co ja mam robić? – zapytała płaczliwym tonem. – Będzie mi ciebie przypominało, ile razy spojrzę.

– Już dobrze. – Pogłaskałem jej twarz wolną ręką. – Rozumiem. Już dobrze. Nie musimy... Słuchaj, to naprawdę nieważne. Po prostu sobie poleżymy. Nic nie musisz robić. Właściwie to nawet lepiej. Zawsze to... no, płyn. Po co niepotrzebnie...?

Podniosła głowę. Nie rozpuściła włosów, ale po bitwie o Kasali i tak wyglądały jak strzecha po przejściu solidnej wichury, więc mimo księżycowego światła niewiele widziałem. Co innego ona.

– Nie zgubiłeś – ni to zapytała, ni stwierdziła. Zanim zdążyłem zareagować, wyłuskała mi z palców ofoliowany pakiecik. – I dobrze.

Usiadła obok mnie, zaczęła rozdzierać opakowanie.

– Jeśli to dla mnie, to nie musisz. – Stać mnie było na rozsądek i szlachetność, ale nie na to, bym składał takie deklaracje, nie dotykając jej ani trochę. Głaskałem dziewczęce udo i zadawałem jawny kłam dowodowi sterczącemu pomiędzy moich ud. – Nie zależy mi. Kocham cię. Niczego nie musisz udowadniać. To... to się nie liczy. Z byle kim można... Właśnie jak kochasz, to możesz się obyć bez...

Słuchała, ale robiła swoje. Umilkłem. Nie stosunku się bała, a po prostu ciąży. Trzydzieści lat, nie trzynaście. Byłem idiotą, doszukując się w jej zachowaniu czegoś więcej niż zwyczajny rozsądek zwyczajnej, myślącej kobiety. Sparzyła się? Wiele razy? I co z tego? Nadal próbowała, wciąż miała w sobie nadzieję i nic nie wskazywało na to, by wizja oddania się mężczyźnie budziła w niej jakieś opory.

Wtedy, przy płonącym wraku AML-90, też po prostu zwyciężył rozsądek. Ktoś, kto czuje awersję do fizycznego kontaktu, nie zrobiłby tego tak dobrze, zręcznie i szybko. Zanim się zorientowałem, miałem na sobie je obie: i prezerwatywę, i Gabrielę. Białe figi znikły. Chciała tego. Od pierwszego pchnięcia pełnych, cudnie uformowanych bioder wiedziałem, że chce tego co najmniej równie mocno jak ja.

Opadła na łokcie, jej włosy pchały mi się do oczu, ust, paznokcie drapały pierś, a zęby zaciskały się na sutkach. Nie wiem, jak długo. Za krótko. Gdyby robiła to przez rok, też uznałbym, że czas galopował, ale oczywiście nie podarowała mi tyle. W gruncie rzeczy znieruchomiła całkiem szybko.

Jej jędrne piersi rozpląszczyły mi się na żebrach, nos zatonął w zagłębieniu obojczyka. Leżałem zaskoczony, klatka piersiowa rezonowała dudnieniem dwóch serc, a chłód nocy potęgował wrażenie gorąca w miejscach, gdzie nasze ciała przywarły do siebie.

– Już? – Głupio to brzmiało, ale nic innego nie przyszło mi do głowy, a jej nagły bezruch domagał się wyjaśnień. Przyszło mi nawet do głowy, że mogła zemdleć. Była słaba. Oboje byliśmy słabi. Gdyby była moją pacjentką, posłałbym za kraty faceta, który robił jej to, co ja teraz. Powinna leżeć w szpitalu i mieć w sobie igłę kroplówki, a nie...

– Masz rację. – Nie zadała sobie trudu odrywania twarzy od mojej piersi, więc mówiła trochę niewyraźnie. – Jak się kocha, można się obejść bez pieprzenia. Głupia jestem.

– Nic ci nie jest? – Naprawdę się o nią bałem.

– Jest mi. Chcę to z ciebie zdjąć.

Za bardzo konsekwentna nie była, ale zrozumiałem, o czym mówi.

– To zdejmuj. – Uśmiech sam, bez pytania, wpełzł mi na twarz.

– Ale nie powiedziałam ci prawdy. To znaczy: całej.

– A co mnie obchodzi prawda? Jesteś ze mną. Wystarczy.

– Tak, wiem. Bo umrzemy. Ale chcę, żebyś wiedział. Nigdy nie robiłam tego z kimś, kogo bym kochała. Teraz dopiero. – Objąłem ją mocniej. – I nigdy bez gumki. Jak się jest czarną dupą na jeden szybki numer... Oni uważali, ja uważałam. Zero zaufania. Ale w końcu przytrafiło się. Akurat teraz. Dwa razy z rzędu.

– Teraz? – Miała trzydzieści lat i wiedziałem, że nie będę pierwszy. Na swój sposób było to nawet dobre: chyba lepiej zostać wybranym przez kogoś, kto miał już inne możliwości, i chyba lepiej mieć pewność, że zdobyło się kogoś, kto cieszy się powodzeniem. Ale nauczyłem się już myśleć o jej facetach w kategoriach czasu mocno przeszłego.

– Myślałam, że wyjdę za Sabaha. No i raz wciągnęłam go do łóżka. Wiesz, oni nie bardzo uznają antykoncepcję. Zresztą nic nie miałam.

– Muszę tego słuchać?

– Musisz. – Miała mnie w sobie, stać ją było na taką twardość. Też byłem twardy i wiedziała, że może sobie pozwolić na wiele. – Jeśli mamy ryzykować, to razem, świadomie.

– Ryzykować?

– Nie pamiętasz, co mówił Koliszewski? Wszystkie tu albo już mamy AIDS, albo jesteśmy na dobrej drodze. – Umilkła na chwilę. – U muzułmanów jest z tym lepiej, ale...

– Gapa, nie dociera do ciebie? Chcę być z tobą. Jak złapałaś HIV, to trudno: będziemy musieli uważać. A zresztą...

– I tak nie przeżyjemy? – domyśliła się.

– Chciałem powiedzieć, że tym się ciężko zarazić. Jeden raz...

– Ale długi. Męczyłam go całą noc i jeszcze...

Dałem jej lekkiego klapsa. I już zostawiłem dłoń na nagim pośladku.

– Za świntuszenie – wyjaśniłem. Uniosła na chwilę głowę, pocałowała mnie w podbródek.

– To moja wina. – Mówiła ciszej i od razu zrozumiałem, że najgorsze zostawiła na koniec. – Ta wojna. Jego matka sama by nigdy... Musiał się zgodzić. Był tu najbardziej europejski ze wszystkich facetów; to dlatego chciałam za niego wyjść, nie dla pieniędzy i pozycji. Mogliśmy prawie normalnie pogadać. Ale spieprzyłam wszystko tamtej nocy. Dwa lata postu. Poniosło mnie. I piłam, bo to jednak trema. A jak wypiję, to jeszcze wolniej dochodzę. Facet musi się mocno...

– Słyszałaś kiedyś słowo: „zazdrość”?

– Przepraszam. – Znów mnie pocałowała, tym razem w ramię. – Wiem, że to boli. Ale powinieneś wiedzieć. No więc wymęczyłam go, za mało skomplementowałam i zbyt jawnie domagałam się orgazmu. Zapamiętał mnie jako rozwiązłą nimfomankę. Dla nich kobieta, która liczy na przyjemność w łóżku, to... No i dał zielone światło matce.

– Zielone światło? – Zaczynałem rozumieć, ale była szybsza.

– Nie znasz tej tradycji? Narzeczona ma być czysta, a żona wierna mężowi nawet w myślach. Więc dziewczynki zaszywają, bo do sikania niepotrzebny taki duży otwór. A wierność? Nie ma zdrady, jak nie ma przyjemności. To prosty zabieg. Żyletka, ciach po łechtaczce i masz święty spokój ze zbyt napaloną babą. Kurczę... moje żebra.

W którymś momencie zacząłem ją dosłownie wgniatać w swój tors.

– Jezus Maria... Gapa... oni ci...?

– Ale ci serce wali – roześmiała się. – No coś ty? Po co bym do ciebie uciekała? Żeby czytać gazetę, jak mi będziesz robił dziecko?

– To dlatego tą szablą...?

– No. Najpierw włoczyłam się po stolicach. Potem rwałam przystojnego oficera. Kurwi charakter znów mi się objawił, więc teściowa naparzyła ziół, podostrzyła nóż i postanowiła zrobić z tym porządek. I o mało co... Zorientowałam się w ostatniej chwili. – Już się nie uśmiechała. – Dobięłam, i czterdzieści jeden osób nie żyje. O ile tam, w Kasali, już nikt więcej... Było pięćdziesiąt siedem, zostało szesnaście. A właściwie pięćdziesiąt osiem. Ten pierwszy, Urbański, też by nie zginął, gdybym nie załatwiła Filipiakowi wyjazdu do Kasali. Niezła jestem. Nawet to przeliczyłam. Prawie trzy tony zwłok za... nie uczyli was, ile waży taka łechtaczka?

Musiałem ująć w dłonie jej twarz, popatrzeć w oczy.

– To nie twoja wina – rzuciłem niemal wrogo. – Słyszysz?

– A czyja? – Nie dała mi wystarczająco dużo czasu na znalezienie odpowiedzi. – Słuchaj, Jacek, ja naprawdę chciałam do niego wrócić. Pieprzyć orgazmy. Jak zobaczyłam, co się dzieje... Tylko już nie mogłam, bo miałam ciebie. I teraz... Wiem, że nie będzie podobne do ciebie. To chyba najbardziej dołuje: że nie urodzisz mężowi dziecka choć trochę podobnego do ojca. To znaczy... białego ojca. Może dlatego nigdy żaden facet... Ale chyba chciałabym mieć twoje. To znaczy na pewno – poprawiła się. – Strasznie bym chciała. Tylko nie wiem, czy to mądre. I właśnie chciałam cię zapytać.

Westchnąłem, przytuliłem jej głowę do piersi. Wciąż mnie dosiadała w tym najśłodszym ze znaczeń, ale chyba żadne z nas nie zwracało na to uwagi. Są sprawy ważne i ważniejsze.

– Ale mi się dziwadło trafiło... Wiesz, jaka jest szansa, że za pierwszym razem...?

– Mała – przerwała mi. – Ale nawet nie o to chodzi. Po prostu chcę... To prawie jak ślub. No wiesz: wspólna decyzja, że będzie dziecko. Wiedziałabym, że coś do mnie czujesz. – Milczałem, wsłuchując się w kołoczące po głowie echo jej słów i próbując nazwać emocje, jakie we mnie wzbudziła. Chyba nie rozegrałem tego najlepiej, bo uniosła twarz, popatrzyła mi uważnie w oczy. – Jacek?

– A ten drugi raz?

Cholera. Wcale nie chciałem wiedzieć. Po prostu unik. Najgłupszy w życiu. Leżała na mnie,

więc fizycznie niewiele dało się zmienić, ale i tak miałem wrażenie, że lekko ją odepchnęło.

– Zaręba – mruknęła.

– Co? – Poczulem, że drętwieją mi ręce. Nie tuliłem jej już. Po prostu moje ręce dotykały jej pleców. Grawitacja, nic więcej.

– Mówiłam ci: to gnojek. – Jej głos był cichy, wyjąłowany z emocji. – Nic za darmo. A ja nie mogłam wrócić z pustymi rękami. Chciałam, żeby Sabah mnie szanował. Zobaczył, że potrafię...

– Spałaś z Zarębą? – Dopiero kiedy nazwałem rzeczy po imieniu, zdałem sobie sprawę, czemu to aż tak boli. Wpadła wtedy na biwak w koszuli nocnej i świadomość, że tak naprawdę umyka z jeszcze ciepłego łóżka innego faceta, przyniosła mi wyłącznie satysfakcję. Kochanek nie jest zazdrosny o męża, któremu odbił żonę, a to był zbliżony układ. Ale Zaręba...

– Nie spałam. – Nadal mówiła jak robot. – Stał przed biurkiem, ja uklękałam. To generał. Nie bierze na kwatery czarnych wieśniaczek. Nie wypada. Kwadrans w gabinecie, to wszystko. Za drugim razem miał już prezerwatywę, ale jak załatwiałam ziarno, jeszcze nie, więc i wtedy mogłam coś złapać. O ile przez usta też można. Trzeciego razu nie było. Już nie dałam rady. Wolałam podrobić papiery.

Skończyła i dopiero wtedy zsunęła się ze mnie, odtoczyła na sam brzeg koca.

Leżeliśmy z dala od siebie, patrząc w gwiazdy. Chyba długo, bo znów zaczęło mną trząść z zimna.

Albo może i nie tak długo. Kiedy sięgnąłem w dół, chcąc pozbyć się prezerwatywy, jeden gniewny ruch dłoni nie wystarczył. Wciąż miała się czego trzymać i wciąż była śliska z zewnątrz.

Dziwka. Zwykła dziwka.

W końcu ściągnąłem to gumowe draństwo. Błogosławiony, cudowny wynalazek, który w ostatniej chwili uratował mnie przed popełnieniem największej głupoty w życiu.

Dziwka. Z Zarębą. Przy biurku. Tym samym, przed którym stałem na baczność, słuchając jego chamskich pokrzykiwań.

Chciałem ją wyrzucić. Obie chciałem wyrzucić.

Jedna lepiła się do palców. Druga do duszy. Nie mogłem.

Dziwka. Za ciężarówkę ziarna... Ile tego było? Dwie, trzy tony? Tysiąc złotych? Zwykła dziwka.

No dobrze: droga dziwka. Nigdy nie będzie mnie na takie stać.

Tysiąc złotych. Albo inaczej: parę krów, które przetrwają do następnego deszczu. Parę kobiecych piersi, które nie wyschną z braku pokarmu. Może jakieś dzieci nie umrą z głodu.

Nie. Po prostu dziwka. Kurwa. Czarna w dodatku.

Kiedyś, jako dziecko, zżarłem pół słoika roślinnego kleju. Odchorowałem to potem. Z tym na palcach byłoby tak samo. Słodycz, która nie dorówna prawdziwym cukierkom i tylko przyniesie

ból. Więc precz z tym gównem.

Cisnąłem jedną w mrok nocy. Połowa kłopotu z głowy. Kości rzucone, odwrót niemożliwy. Stało się. Teraz tej drugiej nie... One tu wszystkie albo już mają, albo są na dobrej drodze.

Znajdę sobie białą i niebieskooką. Bo ma rację: niebieskie oczy nie mają sobie równych. Można potem patrzeć w twarze swoich dzieci i widzieć w nich blask prawdziwego słońca. Moja kobieta będzie miała jasne, szczere oczy, a kiedy wybierze się do stolicy, to ogoli pachy i założy buty.

Nikt nie będzie się na nas gapił na ulicy.

W nocy będę choć trochę widział jej uśmiech.

Dziwki nie muszą się uśmiechać. Bez łaski. Do nich też nie trzeba. I dobrze. Bo nie potrafiłem. Bolało mnie wszystko w środku, a kolano rozcinała tępa piła. Ale była dziwką, była nieprawdopodobnie ekskluzywna i nie mogłem zaprzepaścić takiej okazji.

Wpełzłem na nią i w końcu to zrobiliśmy.

*

Nie słyszałem ich. Nie widziałem. Obudził mnie terkot pierwszych wystrzałów. Albo może dopiero cios ciepłej łuski w rozpalony gorączką policzek. Gabriela padła na kolana, ale raczej z wysiłku spowodowanego zdejmowaniem karabinu z pleców, niż z myślą o uczynieniu z siebie mniejszego celu, więc okienko wyrzutnika znalazło się całkiem blisko.

Ja też nie próbowałem padać. Zbędna fatyga. Znów mnie przywiązała, tym razem do skleconego z gałęzi oparcia, kiwającego się na oślim grzbiecie. O własnych siłach nie przejechałbym nawet paru kroków: przytomność to wracała, to odpływała, świat wirował przed oczami, spuchnięty jak balon mózg zdawał się rozsadać czaszkę. A jednak szliśmy na zachód. Chyba cały dzień, bo kiedy niewidzialna pięść grzmotnęła mnie w brzuch i poleciałem na bok, pociągając za sobą przywiązanego na sztywno Gniewka, czerwieni od nurkującego między wzgórz słońca było dużo więcej niż tej od krwi.

Leżeliśmy. Obaj. Nie próbował wstawać. Wszyscy mieliśmy dość. Gabriela też. Nie straciła głowy; zmieniając magazynek, pomyślała o przełączeniu beryla na ogień pojedynczy, ale nawet wtedy nie próbowała się kłaść. Czyli jednak straciła głowę. Im bardziej cię widać, tym trudniej zabić w razie trafienia. Jeśli jesteś popiersiem w czyimś celowniku, zwykle albo wychodzisz cało, albo dostajesz w twarz czy pierś i giniesz. Ramion jest w dostępnej dla kul sylwetce względnie mało. Co innego, gdy klęczysz. Zamiast błogosławieństwa niebytu, większość celnych pocisków przynosi ból okaleczonych kończyn, bioder, brzucha.

Czułem, że chce umrzeć. Skończyć z tym. Przytomniałem coraz rzadziej i coraz mniej do mnie docierało w tych krótkich przeblyskach świadomości, ale ze trzy razy widziałem ją na

kolanach. Nie potykała się może aż tak często, ale Gniewko stawał, ilekroć padała, i właśnie wtedy się budziłem. Kilka razy udało mi się uruchomić sztywny jak kołek język i wybełkotać coś o zostawianiu mnie tutaj. Odpowiadała: „Spierdalaj!” i szliśmy dalej. W południe przestała odpowiadać.

Teraz też milczała. Dookoła nas wyrastały słupki pyłu, kule siekły suchą ziemię, łuski padały w piach wokół łba leżącego osła, a Gabriela milczała, mierzyła i strzelała. Długo. Musiała zaaplikować mi resztkę morfiny i prawie nie czułem bólu, po jakimś czasie zorientowałem się więc, że udało jej się przydusić tamtych do ziemi. Miała pierwszeństwo strzału i najwyraźniej potrafiła z niego korzystać: kule trafiały blisko i mężczyźni z naprzeciwka, przestraszeni podmuchem śmierci, kryli głowy, waląc z karabinów na oślep.

Potem coś wybuchło, cicho, ale dostatecznie inaczej od prochowych ładunków naboju strzeleckich, bym wychwycił tę różnicę. Potem były kolejne strzały. Później zemdlałem.

Ocknąłem się – a jej nie było. Gniewko leżał na boku, dysząc ciężko. Zza jego brzucha unosił się ku białemu niebu słup czarnego dymu. Próbowałem się dźwignąć na łokciach i popatrzeć, ale po raz kolejny urwał mi się film.

*

Kierowca miał przy pasie blaszaną manierkę. Trzej pozostali, którzy zginęli już poza płonącym samochodem, wyskoczyli tylko z bronią. Woda w manierce ugotowała się, parzyła spękane usta i było jej tyle, co kot napłakał, ale Gabriela dorwała się do niej pierwsza i na pewien czas wróciła jej zdolność mówienia.

– Nie wiem, jak to się... Naprawdę nie celowałam... Tylko na początku. Myślałam, że może w nic ważnego nie trafię i da się pojechać. A oni odskoczyli na bok. Nie wiem, jakim cudem... Przepraszam.

Ręce jej się trzęsły, raczej ze słabości niż skruchy. Sumienie wysycha w człowieku tak samo jak cała reszta. Spieprzyła wszystko, zabiła nas, paląc wóz razem z zapasami, ale nie miała już siły się tym zadreć. Wkładała palce do manierki, pozwalała wodzie przywierać do skóry i wsuwała mi je w usta. Najpierw próbowała po prostu poić, ale nim wróciła, oprzytomniałem trochę i obudził się we mnie lekarz.

– Lepiej nie. To brzuch. Im mniej w środku... Tylko troszeczkę.

No dobrze: nie tylko lekarz. Kierowca wypił niemal wszystko, zanim zagapił się i wyjechał zza wzgórza prosto na nas. Nie było się czym dzielić. A byliśmy we troje.

Sumienie w niej wyschło, więc postawiła Gniewka na nogi, podsuwając manierkę pod pysk i pozwalając, by wstawał, goniąc umykający skarb. Nie załapał się na ani jedną kroplę. Dźwignął siebie, dźwignął mnie, a ona jedynie wytarła palec o jego wyschnięte nozdrza.

– Zostaw mnie. Teraz dojdiesz.

– Mieli plastikowy kanister. – Chyba nie usłyszała. – Taka duża ciężarówka, a ja akurat w bak... Nic nie zostało. Ani kropla.

– Zostaw mnie.

– Spier...

Znów zemdlałem.

*

Znów był koc, mrok wokół nas i gwiazdy nad twarzą. Najpierw myślałem, że to ślepotą albo śmierć, ale potem na chwilę świat przestał mazać mi się przed oczami i zobaczyłem, że to gwiazdy.

No i bolało. Mocno. Po śmierci chyba nie boli.

Leżeliśmy na ziemi. Udało jej się mnie okryć i prawie wpełzła pod koc. Znalazłem ją u swego boku: leżała na brzuchu, z twarzą w piachu. Wsunąłem rękę pod jej policzek. Kwadrans pracy. Ale warto. Nie udusi się. I dotykam jej. Przez następny kwadrans szukałem po omacku manierki i pistoletu. Manierki dla niej, wista dla siebie. Nie znalazłem niczego. Wypiła i chyba wlała mi w usta resztki wody, a broń wyrzuciła. Miała świeże strupy na czole, nad wargami skrzepy krwi z rozbitego nosa. Ktoś, kto pada w marszu, nie mając nawet siły chronić twarzy, nie dźwiga zbędnego balastu.

Karabin zabrała. W końcu trafił na grzbiet Gniewka, w zastępstwie wyrzuconych wiader, ale przypominałem sobie jak przez mgłę, że niosła go jeszcze, gdy słońce czerwieniało i zaczynało świecić nam w oczy.

Zrozumiałem: karabinem łatwiej się bronić, z pistoletu łatwiej się zabić.

Radmor też wisiał przy siodle. Leżałem tuż obok osła – nie miała siły odciągać mnie, gdy upadł – więc jakoś poszło. Sięgnąłem po radiostację, zablokowałem w pozycji nadawania, położyłem sobie na piersi, możliwie blisko ust.

– Pomóżcie nam – wybełkotałem. – Ruszcie w końcu dupy.

Musiałem żyć, mówić, póki się da, a potem dyszeć do mikrofonu. Ktoś mógł usłyszeć, namierzyć, skąd dobiega sygnał. Beznadziejne łamane przez bezsensowne, łamane przez naiwne – ale nic innego mi nie pozostało. Pomyślałem, że nawet na koniec, kiedy już zabrakło jej sił i padła jak zajeżdżony koń, nadal trzyma mnie za uszy przy życiu. Perfidna, podła babska sztuczka. „Chcesz się zabić? Proszę, strzelaj sobie w łeb. Pozbaw mnie ostatniej szansy”.

Milion gwiazd przyglądało nam się obojętnie z góry. I pewnie z setka satelitów szpiegowskich. Byliśmy w samym środku globalnej wsi i umieraliśmy, bo nikt o nas nie wiedział.

Mdlałem. Budziłem się. Mówiłem. Staralem się żyć. Dla niej.

*

Była jak ta z poprzedniej nocy: wielka, hałaśliwa i z lampkami nad szoferką. Pojawiła się po przeciwnej stronie Gniewka i to on wziął na siebie blask reflektorów. Nie oślepiły mnie, choć powinny. Jechała wprost na nas. Chyba. Nie umiałem już dokonywać tak skomplikowanych ocen. Cud, że udało mi się przewrócić na brzuch i oprzeć łufę beryla o ośli bok.

Jeszcze kawałek, a oparłbym o szyję i może nawet zobaczył coś więcej niż dach ciężarówki. Ale niewiele straciłem. I tak od razu przed oczami pokazały mi się czarniejsze od ogadeńskiej nocy plamy i przestałem cokolwiek widzieć. Nadajnik, pozostawiony samopas, zjechał pod brzuch i wpakował mi się, chyba jakimś pokrętem, w sam środek rany. Tak to przynajmniej poczułem. Rąbnęło mnie tak, że dopiero przy trzecim czy czwartym szarpnięciu za rękę zdałem sobie sprawę, że strzelam.

Szósty albo siódmy nabój wyrwał mi karabin z ręki. Nie wiem, po jakim czasie. Chyba nie biłem rekordów szybkostrzelności. Albo głuchłem: silnik ciężarówki słychać było teraz jakby z dużo większej odległości, a i kierunek nie bardzo się zgadzał. Uciekli. Albo było ich więcej. Albo miałem omamy i w ogóle nie było żadnej ciężarówki.

Próbowałem wyrzeć zza osła. Nie wyszło. Zaczepiłem magazynek o szyję Gniewka jak hak, zacząłem się podciągać. Palec trafił na spust, huknęło po raz kolejny, ręka ześliznęła się z uchwytu i beryl, diabli wiedzą jak, znikł mi z oczu.

Chyba straciłem przytomność.

Ocknąłem się i w przeblysku geniuszu zrozumiałem, że karabin upadł na drugą stronę. Za osła. Tam, gdzie znów było pełno światła. Bo przedtem, przez długą chwilę, nie było. A teraz tak.

Warkot. Okropny. Znajomy. Skąd znałem ten dźwięk?

Wiele dźwięków. Cała armia się tam zebrała. Tysiąc ciężarówek.

I czołgi. Już wiedziałem. To Drabowicz tak hałasował. Ale Drabowicz nie zrobiłby nam tego, co tamci robią. Nie rozjechałby na miazgę.

Nie myślałem. Gdybym potrafił myśleć, czołgałbym się do karabinu. Karabin nie zatrzyma czołgu, za to może wybawić od bólu i zgrozy kogoś, kogo kochasz. Nie powinienem okrywać sobą Gabrieli, a to chyba próbowałem zrobić. Byłem słaby i zanim mi się udało, zdążyłem to zrozumieć. Tyle że było już za późno na wracanie po beryla i strzelanie jej w głowę. Tamci okazali się szybsi.

– ...podrywają ten śmigłowiec! – krzyczał jakiś męski głos. – To nasi!

– No, nie wiem. – Drugi z mężczyzn mówił ciszej, ale to ten brał mnie pod pachy, więc zrozumiałem, choć któreś ze stalowych bydła sunęło w naszym kierunku, aż ziemia dygotała. –

Po mojemu to doktorek zdradził na całego.

Nie widziałem go dobrze. Nie szkodzi: i tak był halucynacją. Ludziom nie zwisają z głowy takie długie królicze uszy.

– Zaraz tam zdrada... Jakby ci kto przeszkadzał w mokrej randce, i to z taką laską, też byś walił, z czego wlezie. – Coś zachlupotało mi przed twarzą. – Ciesz się, że to romantycy i wybrali plener, nie namiot. Poszedłbyś oddawać wiedźmina i już nie wrócił.

Syk. Coś podłużnego przechyliło się ku moim ustom. Nie próbowałem ich otwierać. Omamy lepiej ignorować. Zwłaszcza te dobre. Rozczarowanie za bardzo boli. Może nawet zabić.

Nagle szarpnięcie chłodu. Na brodzie, szyi. I zapach. Niewiarygodny.

– Pięknie. Lej tak dalej. Nie uczyli cię, głąbie, że na rany idzie spirytus?

– Ale na ożywianie Żywiec. – Wsunął mi udo pod potylicę, zaczął lekko klepać po policzku. – Hej. Sąsiedzie. Rozumiesz mnie?

Nie patrzyłem na niego. Patrzyłem w bok, na Gabrię. Czarny kontur, nierozpoznawalny na tle płonących z tyłu reflektorów, pochylał się nad nią, ostrożnie unosił głowę, podsuwał pod usta jakieś naczynie.

– To my. – Czołg stanął nagle i wyłączył silnik, a ja ponieważ doszukałem się zarysów hełmofonu w króliczych uszach. – Nie poznajesz?

– Właśnie w tym sęk, że poznał. – Koziej wylał trochę wody na dłoń, zaczął zwilżać twarz dziewczyny. – Obiecał, że nas załatwi? Obiecał. No i przyczał się przy drodze. Honorowy gość. Było nie mówić, że jedziemy kresów bronić. A tak to za szybko ci armia policzy.

– A kto pierwszy Lodówkę zagadnął? – W głosie Koliszewskiego pobrzmiwało to samo roztargnienie. Mówił jedno, a myślał o czym innym: aż za dobrze czułem, jak ostrożnie jego palce rozpinają mi bluzę i obmacują opatrunek. – Kurwa, w sam środek brzucha... Ona też...?

– Chyba nie. – Cień znad Gabrieli uniósł się, niemal podskoczył na kolanach. – Pogońcie ten pierdolony śmigłowiec! I ruchy, panowie! Zjeżdżać z naczep! Reszta też gdzieś tutaj...! – urwał, opadł na pięty, włączył latarkę. – Daj mu wreszcie pić, kretynie.

– Nie... uważaliście. – Odrobina piwa trafiła jednak do moich ust, przywróciła zdolność poruszania językiem.

– Co? – Koliszewski pochylił się, pakując mi w oko jakiś zwisający kawałek hełmofonu. – Słyszysz mnie?

– Na... szkoleniu. Przy ranie... brzucha... nie pić.

Bolało, czułem się, jakby stojący kilkanaście kroków od nas T-72 nie wyhamował w porę i jednak po mnie przejechał, język dalej miałem jak papier ścierny – ale prawie udało mi się uśmiechnąć. Koziej źle celował, trafił w tchawicę i Gabrię, jeszcze nie bardzo przytomna, zaczęła wykastywać wodę. Żyła. A Gniewko...

Gniewko wstał. Tak po prostu. Chwiał się na nogach, zarzucało nim jak pijanym matrosem,

ale nie upadł i od razu ruszył ku najbliższej cysternie. Jakby wiedział, że jej kierowca jest jedynym wolnym w tej chwili żołnierzem, ma pod ręką kanister z wodą i hełm, który zgodzi się użyć w charakterze poidła.

– Gdzie Filipiak? – Z tyłu kolumny zaryczał pierwszy silnik czołgowy i Koliszewski podniósł głos. – Rozumiesz, co mówię?

– Kasali. Wszyscy... jeśli żyją. To znaczy... dobę temu.

Doba. Sam w to nie potrafiłem uwierzyć.

– A wy? Co tu robicie?

Gabriela kaszłała i siadała. Właściwie nie tyle ona, co Koziej ją sadzał, ale światło latarki odbijało się już od jej otwartych oczu.

– Mokra... randka.

– Zaraz będzie śmigłowiec. Wytrzymaj, chłopie, dobrze? Wytrzymasz?

– No pewnie – warknął Koziej. – Z nami wytrzymał, ledwie przez dwie brezentowe ściany, to co mu tam... Jak jej na imię? Jacek?

Jacek? Powinienem zacząć się bać. Dwie największe łajzy w Szóstej Pancерnej bez pytania przechodzą na „ty”. Łoże śmierci. Ale nie umiałem. Za bardzo bolało. I zbyt wielką ulgę czułem. Gabriela podnosiła ręce, siłowała się z Koziejem, próbując połknąć zawartość manierki za jednym zamachem. Na szczęście była słaba jak niemowlak i nie pozwalała jej się utopić.

– Bo co? – Koliszewski zastąpił poduszkę z uda poduszką z hełmofonu, pruł zębami pakiet medyczny, wbijał mi igłę w przedramię. – Chcesz mu odbić Lodówkę? Mało ci jednej szyby?

Przestawałem go słyszeć. Teraz, gdy Gniewko sobie poszedł, a głowę miałem wyżej, widziałem, że ciągników siodłowych jest cholernie dużo. Co najmniej sześć. No tak: smarkacze dochrapali się plutonów. Może sześć, może osiem siedemdziesiątekdwójek. Raczej sześć niż osiem. Z ciągnikami zawsze były problemy. Ale wystarczyły dwa czy trzy, by wypełnić pustynię łomotem silników. Jak już pojeżdżają z naczep, całkowicie wystarczą dwa czy trzy, by dojechać do Kasali i zrobić porządek z każdym, kto stanie na drodze. A pojedzie sześć. Gdybyśmy my mieli sześć T-72...

– Nie zasypiaj! Słyszysz?! Nie możesz spać, chłopie!

Spać?

– Lodówka... – To ja mówiłem? – Dla was... Pani Lodówka. Jak ją który...

*

Uśmiechali się. Oboje. Filipiak trochę kwaśno – ostrzyżonemu na zapałkę twardej łowii w pełnym polowym umundurowaniu z kamizelką, bagnetem, rozpiętą kaburą i wszystkimi innymi bajerami nie wypada wpatrywać się w obiektyw bez stosownej dawki cynizmu.

Agnieszka szczyrzyła zęby jak rozchichotana nastolatka, a plamy brudu na nosie, czole i policzku odbierały jej co najmniej kilka lat oraz całą należyłą powagę. Stali przy burcie bewupa, białego jeszcze, bez jednego kawałka siatki maskującej. Mogłem bez trudu odczytać numer taktyczny.

Nie pamiętałem. Hanusik?

Chciałem sobie przypomnieć. Okładka, jak każda, była wyższa niż szersza, ale zdjęcia nie robiono z myślą o okładce bestsellera i u góry, razem z wierzchołkami widocznych w tle palm, z kadru wypadła głowa idącego na tył wozu podoficera. Naramiennik się zmieścił, więc widziałem, że to podoficer: belki zajmowały sporo miejsca.

Było ich z dziesięciu na wystawie księgarni i jeszcze dwóch wielkich na plakatach reklamujących książkę Wielogórskiej. Ale zdjęcie wykonano pod zbyt ostrym kątem i nie potrafiłem policzyć pasków na naramienniku plamistej bluzy.

Może chociaż pod taką postacią przetrwał? Matce pewnie byłoby troszkę lżej. Parę tygodni temu znów puścili w dzienniku migawkę z zapłakaną kobietą, skarżącą się, że nawet ciała... Wszyscy inni wrócili, a ona, zamiast hermetycznej trumny, dostała list od pana prezydenta. Dziękuję panu prezydentowi, to miłe, ale gdzie ma zapalać świeczkę? Przed tym listem? Pilot się zacinał, trzeba nim było walić o brzeg łóżka i zanim zmieniłem kanał, znów musiałem wysłuchać drętwej gadki jakiegoś faceta w krawacie. Bredził o zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach i czynieniu wszystkiego, co w mocy. Gówno prawda.

Nie miał kto szukać. Nie było już Polaków w Etiopii – opinia publiczna nie przetyka gładko takich jatek.

Zastanawiałem się, czy ktoś wpadł na pomysł, by sprawdzić numer wozu i powiedzieć jej. Chyba nie. A ktoś powinien. Fotografia na okładce *Orla w paszporcie*, murowanego laureata tegorocznej NIKE, to coś więcej niż list pana prezydenta.

A może nikt nie musiał sprawdzać? Poznałem, że ten na górze to dowódca bewupa, pan na włościach. Nie wiem, po czym. Coś w pozie, sposobie poruszania się. Skoro tak, to pewnie i matka...

Słońce smażyło mi ramię okryte lekką mundurową koszulą, walizka wyslizgiwała się ze spoczonej dłoni. Nie było sensu sterczeć tak przed wystawą. Pociąg odjeżdżał z Kaliskiego; jeśli miałem zdążyć pieszko, należało ruszyć odpowiednio wcześniej. A powinienem chodzić. Dużo. Kolano trzeba ćwiczyć. Pan doktor sam najlepiej wie. Pan doktor wiedział, pana doktora bolało i dlatego pan doktor pójdzie na piechotę, w dodatku z ciężką jak kamień walizą w ręku. Jak porządnie boli noga, to co innego już mniej.

Zza rogu miałem tylko sto metrów. A jednak – inny świat. Piotrkowską zrobili na wysoki połysk, wizytówka miasta, deptak, riksze, ogródki piwne, tłumy roześmianych dziewczyn w szortach i kusych spódniczkach. Tutaj – szarość, cień, niemal cisza. Ludzie niby ci sami, ale wystarczyło, że mniej, że na tle piwnicznych okien zamiast witryn, odrapanych ścian, dziur

w chodniku – i też jakoś poszarzeli, wyblakli. Nawet upał nabrał innego smaku.

Trochę mi ulżyło. Nie trawiłem widoku roześmianych dziewczyn, zwłaszcza tych w męskim towarzystwie.

Do bramy wlewało się całkiem sporo światła. Znajomy zapach pleśni i wilgotnego muru zelżał, za to w mroku za spróchniałym skrzydłem połyskiwało więcej tłuczonego szkła i puszek po piwie. Po sprayu chyba nie: nie bardzo było gdzie pisać. I nie bardzo było co.

Zatrzymałem się i powiodłem wzrokiem po znajomych ścianach. Znad „Widzew cioty do roboty” odpadł kolejny płat tynku. Jakiś siedmiolatek odbijał tenisową piłeczkę od skrzyżowania szubienicy dla Kropiwnickiego i apelu: „Jude raus”, ale kiedyostałem przez chwilę obok, odszedł w głąb podwórza. Ruszyłem jego śladem, mijając napisy chwające i mieszające z błotem ŁKS, Widzew i komunę. Ktoś ostrzegał, że znajdzie się pała na generała – napis wyblakł, autor pewnie dawno wyłysiał, ale farba trzymała się niezłe, zadając kłam opiniom o nędzy technicznej wszystkiego, co peerelowskie. W paru miejscach przykryły ją tylko nowsze, choć ani trochę nie zmienione od moich czasów rysunki męskich i damskich genitaliów.

Blżej podwórza śmierdziało moczem. Postawiłem walizkę na pokruszonym betonie i zerknąłem do góry.

Mieszkali hen, pod samym dachem. Kamienica pamiętała carów i kiedy pierwszy raz drapałem się po wysokich stopniach, pod koniec musiałem podciągać kolano ręką. Był marzec, ciężki zimowy szynel wisiał mi na barkach ołowianym ciężarem, brzuch nadal bolał. Wysiadłem z taksówki, ostrożnie przekuśtykałem przez podwórze, na pierwszym półpiętrze nawet zrobiłem sobie przerwę, choć nie tyle z braku sił, co z braku odwagi. Ale potem mnie poniosło. Nadzieja to niezły ogłupiacz.

Później już nigdy nie biegałem. Jeszcze później w ogóle przestałem wspinać się na górę. Przychodziłem, stawałem w bramie, w miejscu, z którego nie widać było ich okien, i gapilem się na trzepak.

Carów może nie pamiętał, ale ją na sto procent. Na dziewięćdziesiąt dziewięć byłem pewien, że wieszala się na nim, fikała koziołki, siadywała przy krzywym słupku, z wypiętą do tyłu pupą i zawiniętą o rdzawą rurę stopą w brudnym sandale. Długonoga, chuda, z podrapanymi kolanami. Widziałem ją. Nie potrafiłem wyobrazić jej sobie z innymi dziećmi, ale z trzepakiem w charakterze towarzysza zabawy – już tak. Więc na trzepak się gapilem.

Nigdy nie trwało to długo. Raz tylko udało mi się trafić na porządny deszcz i spędzić pół godziny w tunelu bramy bez ryzyka, że wezmą mnie za włamywacza lub pedofila. Wsłuchiwałem się w skargę starej rynny, puszczającej wodę wszystkimi szwami, patrzyłem na żalosną, zbitą z desek namiastkę piaskownicy i próbowałem wytłumaczyć sobie, że tak, jak jest, jest lepiej. W mieszkaniu obok ktoś sypał kurwami, w sieni naprzeciwko jacyś gówniarze otwarcie handlowali prochami. Dom śmierdział, straszyl szczerbami połamanych gzymsów,

wysypką odłóżącego tynku. Był wielkim, chyłym się nad grobem staruchem, który kiwał nade mną głową i skrzeczał: „Zawsze mówiłem, że nic dobrego z niej nie będzie”.

W takich domach nie rodzą się księżniczki.

Żyła tu. Wychowała się. To podwórko znało dotyk jej stóp, słyszało, jak się śmieje, kłóci i płacze. Przechodziła przez tę bramę z siatkami pełnymi zakupów, z tornistrem, pierwszą szminką w kieszeni. Nie wiem, skąd przyszła mi do głowy ta kieszeń – pewnie nosiła ją w torebce, jak inne dziewczyny. Ale była czarna, była inna, miała kompleksy i, sam nie wiem kiedy, wbiłem sobie do głowy, że kryła się ze swą kielkującą kobiecością, paradując w wyświechtanych dzinsach, ostentacyjnie gardząc babskimi gadżetami i ukradkiem przemycając szminki po kieszeniach spodni.

Któregoś dnia czarnoskóra dziewczyna wyszła tą bramą, by powrócić jako kobieta. Może półprzypadkiem ze szczęścia. Może zapłakana.

Chciałbym wiedzieć, co wtedy czuła.

Siedziałem na walizce, wpatrzony w przeciwną ścianę, i próbowałem wyjaśnić sam sobie, dlaczego wszystko musiało się skończyć właśnie tak. Potem odkryłem napis. Późno, ale widocznie nie wszystkie peerelowskie farby dorównywały jakości tej od pały na generała i trzeba było oślepiającego lipcowego słońca, by wychynął spod brudu: GAB...SKA MA CZARNOM CI...

Był też rysunek. Maksymalnie uproszczony i jeszcze bardziej zatarty. Kółko przedzielone na pół pionową kreską. I duża kropka w środku. Klasyka. Wszystko bardzo nisko. Raczej nie dlatego, że wyżej brakowało miejsca. Po prostu pisał jakiś smarkacz. Miałem nadzieję, że nie kolega z klasy. Że zdążyła już trochę pożyć, zahartować się.

Siedziałem i patrzyłem. Raz i drugi ktoś przeszedł obok. Szybko, nie zatrzymując się. Musiałem wyglądać jak diler hurtownik, co to źle dopiął walizkę i struł się oparami własnego towaru. Albo, biorąc pod uwagę strój – jak weteran, który prosi o wsparcie, tylko zapomniał o właściwym ułożeniu rogatywki. Wisiała na kolanie i nie zarobiłem ani grosza, choć księgarnie pełne były Wielogórskiej i ludzie rzucaliby monety biedakowi, najwyraźniej postrzelonemu w głowę przez ogadeńskiego separatystę.

Siedziałem i patrzyłem. Nie było ze mną tak źle: nie dałem się ponieść pokusie przechodzenia na drugą stronę i obmacywania ściany.

To nie była ona. To był mur i trochę ciemnej farby. Chyba czarnej.

Powinna być... Cholera. Nie wiedziałem.

Kiedyś trochę malowałem. Gdybym teraz kupił farby, zamknął oczy, skupił się... to też guzik z tego wydzie. Musiałbym fantazjować.

Nie wiedziałem. Ot tak, po prostu. Ale, ostatecznie, co w tym dziwnego? Nie tym łamią serca facetom. Gdyby chodziło tylko o to, co na ścianie...

Następny cień z lewej, od ulicy. Tym razem jakiś mniej odważny. Po paru sekundach zdałem sobie sprawę, że niczyje biodra nie przemykają czym prędzej między mną a kawałkiem ściany, na którym zawiesiłem roztargnione spojrzenie. No pewnie. Nie włącz między faceta a jego babę.

Odwrociłem bez pośpiechu głowę.

Nie przemknęły – i nic dziwnego.

Za dużo bioder i brzucha, za mało nóg, by szybko nieść taki ciężar. To znaczy: nóg było mnóstwo, całe kilometry, jeśli mierzyć w pionie, choć biała sukienka, stosownie skromna, sięgała aż pod kolana. Ale łydki, kostki, bosc stopy tkwiące w sandałkach na lekko podwyższonym obcasie – aż krzyczały o mięso, mleko, grubaśne pajdy chrupiącego chleba z masłem.

Stała całkiem nieruchomo i wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

Podniosłem się. I też znieruchomiałem.

Nie wiedziałem, co robić.

– Długo tak... czekasz? – pierwsza wzięła się w garść.

– Nie czekam. – To usta mówiły, nie ja. – Od marca.

Cisza. Aż dzwoniąca w uszach. Ktoś musiał przypieprzyć neutronówką w sam środek Łodzi. Zabiło wszystkich, stanęły samochody, tylko my zostaliśmy. Słyszałem, jak wali mi serce.

– W marcu jeszcze nie... – urwała. Powoli przesuwalem wzrokiem po szczuplutkich rękach, głębokiej dolinie w miejscu, gdzie pasek przewieszanej na krzyż torebki wcinął się między piersi. Też nie namalowałbym ich z pamięci, ale przynajmniej od razu zauważyłem, jak urosły.

Po raz drugi wracała tą bramą jako świeżo upieczona kobieta.

Świeżo? Brzuch jak bęben. Najmniej siódmy miesiąc. Ale może i...

Nie. Dość.

– Co: jeszcze nie?

– Nieważne.

– Mnie pierwszy raz wypuścili ze szpitala. A ty? Co robiłaś w marcu?

Staliśmy o dobre dziesięć metrów od siebie. Pewnie dlatego ruszyła powoli w moją stronę. Neutronówki jednak nie było, ulicą za jej plecami przetoczył się jakiś hałaśliwy gruchot. Żeby się słyszeć, powinniśmy być bliżej. Ja też zrobiłem parę kroków.

– Ja? Myślałam.

Stanęliśmy oboje. Między nami został metr pustej przestrzeni. Mnóstwo. Trochę. Do Etiopii jest dużo dalej. Była tu. Ze mną.

– O czym?

– Czy... – zawahała się i zamiast kończyć, położyła dłoń na brzuchu. Miała na czym. Półka, nie brzuch.

– W marcu – pokiwałem głową. I uśmiechnąłem się. – Trzeci miesiąc. Ustawowy. Ostatni moment na decyzję. Czyli jest moje.

Wyglądała, jakbym uderzył ją w twarz. Lekko. Symboliczny policzek.

– A myślałeś, że...? Wielkie dzięki.

– Obraziłem cię? – zapytałem spokojnie. Stać mnie było na spokój. Podjąłem decyzję, kłamka zapadła. To zawsze przynosi ulgę.

– Nie, skąd. Przecież się pieprzę, z kim popadnie. Masz prawo się zastanawiać.

– Obraziłem – sam sobie udzieliłem odpowiedzi. – Dobra. Przepraszam. To dlatego, że mi to zwisa.

Teraz już wyglądała jak po dobrym trafieniu w szczękę.

– Aha – powiedziała. Głos jej drżał. – No to wiem, na czym stoję.

– Dlaczego nie usunęłaś?

Przemknęło mi przez głowę pytanie, czy na pewno wiem, co robię. I od razu utonęło. W szampanie, wypełniającym calutką przestrzeń między uszami. Miałem wrażenie, że te cholerne bąbelki wyprą cały szampan właściwy i uniosą mnie, jak wodór unosi balon.

Była tu. Żywa, cielesna, spocona, z małym archipelagiem drobnej wysypki na lewym policzku. Oboje byli.

– Nie twój interes. – Nie dała mi czasu na komentowanie. – Musiałabym u wiejskiej akuszerki. Bałam się, i tyle.

– Jasne. – Niech mówi, co chce. Ważne, że tym głosem, przy pomocy tych ust i tego języka.

– Ze strachu. A do Polski czemu nie wróciłaś? Rozumiem w grudniu: zimą tu marzniesz. Ale na wiosnę? Skoro się zdecydowałaś... – poklepałem swój brzuch.

– A po co miałam wracać? – zwiesiła głowę. Złość gdzieś z niej uszła. – Zresztą... mój paszport spalił się w sanitarce.

Mogła to sobie darować. Jakies dziesięć tysięcy razy miałem na wszystkie strony ten argument. Wystarczyło mi go prawie do kwietnia.

– No tak. I jeszcze musiałaś zająć się Gniewkiem.

– Czemu to robisz? – uniosła na chwilę wzrok, posłała mi rozzalone spojrzenie i znów umknęła z nim ku swym stopom. Zauważyłem, że pomalowała paznokcie. Dyskretny, stonowany lakier. Niewiele różniły się od tych naturalnie orzechowych na dłoniach. – Po prostu powiedz: „No to cześć” i... Nie ma sensu, żebyśmy...

– No to cześć, Gapa. Cieszę się, że cię widzę.

To spojrzenie było z kolei zdziwione. Przyglądała mi się badawczo. W ciemnych oczach udręka stopniowo przeradzała się w ostrożność. Czyli gdzieś głębiej, starannie osłaniana tarczą sceptycyzmu, rodziła się nadzieja.

– Dlaczego właściwie...? Co tu robisz? – O walizkę już nie zapytała, ale spojrzenie było wystarczająco wymowne.

– Uznali, że nowe kolano działa jak należy. Wracam do domu.

Przez jej twarz przemknął grymas... właściwie nie wiedziałem czego. Strachu? Bólu? W każdym razie zdrowo nią szarpnęło. Błyskawicznie wzięła się w garść, znów była tamtą dawną Gabriellą z karabinem, ale właśnie dlatego miałem pewność, że nie uległem złudzeniu.

– To aż...? – przez chwilę, już z pokerową miną, lecz zamiennie długo, szukała właściwych słów. – Nie wiedziałam. – Jeszcze chwila namysłu, wahania. – Twoja noga... Ona jest...? To znaczy...

– Ona jest – zlitowałem się. – Trochę kolana musieli dosztukować, ale w środku. Reszta to nadal ja. Nie proteza. Chociaż mało brakowało.

Ulżyło jej. Tego już nie próbowała ukrywać.

– A brzuch? – Żyłem, chodziłem. Każdy inny zapytałby przez grzeczność, dla odbębnienia towarzyskich formalności. Ona...

Nie – jeszcze nie wiedziałem, dlaczego pyta.

– W porządku. Też odratowali. Ale nie pokazuj się w klinice WAM-u. Strasznie są wkurzeni na twoją technikę opatrywania ran. Miałem puste kiszki, praktycznie przeszło na wylot. Za to pod opatrunkami...

Brawo, Szczebielewicz. Właśnie udało ci się ją unieszczęśliwić.

– Przepraszam. Nie miałam...

– Uratowałaś mi życie – przerwałem jej szybko i trochę zbyt sucho. – To ja przepraszam.

– W porządku. – Zdobyła się na uprzejmy i żałośnie nieautentyczny uśmiech. – To co tu właściwie robisz?

– Mówiłem: wracam do domu. Wstąpiłem po drodze.

– Do...? – Była mądra, limit cudownych przypadków wyczerpaliśmy z nawiązką w Etiopii, ale wyglądało na to, że naprawdę nie ma pewności.

– No... tutaj. To znaczy... wiem, że tu mieszkałaś, a teraz twoja kuzynka z mężem... Ale nie byłem u nich. W każdym razie dzisiaj.

– Aha. – Widziałem, że niewiele zrozumiała. – Źle się czujesz?

– Ja?

– Siedziałaś – zerknęła na walizkę. – Kolano, brzuch... To dlatego?

No jasne. Szedłem sobie na dworzec i łup: zważyło mnie z nóg akurat obok tej rudery. Uznałbym to za najgłupsze pytanie świata, gdyby nie fakt, że sam je sprowokowałem najgłupszym w świecie zachowaniem.

– Czasem tu przychodzę – wyznałem bez zapału.

– Do Doroty? – To była ta kuzynka.

– Ostatnio nie. – Nie było sensu kłamać. – Na początku... Kurwa mać.

– Co?

– Mieszkaś tu, prawda? Gdybym zaszedł wcześniej... Ale przecież zostawiłem jej numer

telefonu! Sama proponowała! Powiedziała, że gdybyś się odezwała... Kartkę zgubiła? Długo tu jesteś?

Przyglądała mi się, analizując to, co powiedziałem. Nie próbowała niczego robić ze zmarszczonym czołem. Udawać, że nasza rozmowa nie ma dla niej znaczenia. Że padło w niej choć jedno słowo, które niedbale puści mimo uszu.

– Nie jestem. – Mówiła też wolno, jak przystało na poważną kobietę poruszającą poważne problemy. Bo była poważna. Awansowała na głowę rodziny. Najmniejszej z możliwych, lecz jednak rodziny. – Przyleciałam do Polski trzy tygodnie temu, ale nie mieszkam u Doroty.

– A gdzie?

– Nieważne. Mówisz, że wzięła twój...? To znaczy... byłeś tu? Kiedyś, nie dziś? – Kiwnąłem głową. – I zostawiłeś numer? – Znow kiwnąłem. – Może do domu? A leżałeś w szpitalu i...

– Mam tylko komórkę. – Odczekałem chwilę. – Po prostu nie dzwoniła.

Przez chwilę patrzyła gdzieś za moje plecy. Ciarki przeszły mi po nich na myśl, że kiedyś mogłaby spojrzeć tak na mnie. Nie, nie z niemą pogroźką, złością, gniewem... Widziałem, jak zabijała ludzi i to nie było to. Mógłbym śmiało wyciągnąć z walizki beryla, wręczyć Gabrieli i zawołać Dorotę – bez ryzyka, że trafię do pudła za współudział w morderstwie. Ale ktoś tu właśnie umarł. Nie dosłownie – dla kogoś innego. Nasze dziecko straciło ciotkę.

– Co? – zapytałem cicho. Czułem, że chodzi o coś więcej niż jeden niewykonany telefon.

– Kiedy u niej byłeś?

– Pierwszy raz? W marcu. Szesnastego.

Zerknęła na mnie. Przeszło cztery miesiące temu. Ludzie zwykle nie pamiętają konkretnych dat po takim czasie.

– Pytałeś o mnie?

– Wtedy? No... nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?

– Wcześniej pisałem listy. To znaczy... list. Tylko nie wszystko... Musiałem coś dopisać, bo zapomniałem, i dostałem drugi. Ale już krótki.

– Kiedy?

– Piątego. Myślałem, że wcześniej dostanę przepustkę, więc już nie pisałem. Zresztą nie było po co. Oddzwoniła do szpitala. Wiedziałem już, że nie dałaś znaku życia.

Obok nas przeszła jakaś dziewczynka. Powoli. W Łodzi, gdzie cudzoziemscy kandydaci na polskich studentów od zawsze uczyli się języka, widok czarnoskórej kobiety nie budził sensacji, ale studentki z Afryki rzadko obnoszą się po mieście z takimi brzuchami. Pomyślałem, że Gabriela jest sama, a mimo to ludzie gapią się na nią na ulicy.

– Dzwoniłam do nich drugiego marca.

– Mają telefon? – Do dziś wiedziałem, że nie, ale wiarygodność kuzynki Doroty drastycznie

spadła w ciągu ostatniej minuty.

– Sąsiadka ma. Zawsze tak telefonowałam. – Zrobiła sobie krótką przerwę. – Cholera. Coś ty jej naopowiadał?

– Ja?

– Nie przepadamy za sobą. Ale nie miała powodu kłamać. A widzę, że nas oboje okłamuje.

Takie odkrycia zwykle trochę dołują ludzi. Ona jedynie stwierdzała fakt wyraźnie roztargnionym głosem. Myślała o czymś innym. Chyba o mnie, bo to we mnie wpatrywała się z taką uwagą.

– Co było w tym liście? – zmarszczyła brwi.

– To Agnieszka znalazła twój adres – zignorowałem pytanie. – A potem jeszcze inne papiery. Połowa tego mieszkania jest twoja.

– Wyprowadziłam się wieki temu. Czasem wpadają starzy znajomi, pytają. Dorota zawsze przekazywała wiadomości. Niby dlaczego teraz...?

– Bała się, że wrócisz. Metraż spory, ale pokoi mało.

– Dlaczego miałabym wracać? – zmrużyła oczy.

– Fakt – przyznałem. – Prokurator chciał z tobą pogadać i też się nie dało. Panna Asmare znikła bez śladu. Wzięła osła, wycalowała wszystkich i odjechała w siną dal.

– Do Addis Abeby – mruknęła. – Dobrze wiesz.

– Nie wiem – powiedziałem z lekką goryczą. – Nic nie wiem.

– Tak wolno czytasz? Książka wyszła w czerwcu.

– Nie czytałem.

– Jak to? – Jej gęste brwi powędrowały wyżej.

– A po cholere? Byłem tam, widziałem w naturze. Potem prokurator wywiercił mi drugą dziurę w brzuchu i wyciągnął każdą minutę. Nie chcę do tego wracać. A w książce nic o tobie nie było. To znaczy... gdzie znikłaś. Pytałem Agnieszkę.

Oparła się o ścianę. Trochę późno dotarło do mnie, że jest lipiec, upał, a ona dźwiga w brzuchu drugiego człowieka. Pociła się, sprawiała wrażenie zmęczonej. Odwróciłem się na pięcie, poszedłem po walizkę, ustawiłem ją obok Gabrieli. Rogatywka powędrowała pod pachę.

– Co?

– Siadaj. Marnie wyglądasz.

– Dzięki. – Z krzywym uśmiechem, ale siadła. – Sama wiem. Za to policja mnie nie zgarnęła. Do rysopisu nie pasuję. Miedziana Wenus... Ma dziewczyna fantazję.

– Tak napisała? – uśmiechnąłem się. – Zdążyłaś kupić?

– Podprowa... – ugryzła się w język. Chyba trochę zła, schyliła się i zaczęła masować kostkę. Jej nogi ładnie znosiły ciężę, ale raczej nie udawała. To, że nie puchły, nie znaczy, że nie bolały. No i nie odwracały uwagi od swej wpadki w taki sposób: wykorzystując ciało. Może ciut

późno, ale odkryłem, że albo się go wstydzi, albo wręcz przeciwnie: wie, jaka to siła rażenia, i szlachetnie, po rycersku, stara się nie używać w walce z dużo słabszym przeciwnikiem.

– No ładnie – poszerzyłem uśmiech. – Jeszcze i złodziejka.

– Akurat nie miałam przy sobie pieniędzy.

– Powiem Agnieszce. Ucieszy się, że ktoś kradnie jej książki.

Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. Była zakłopotana, ale chyba i zadowolona, że sobie z niej żartuję. Tyle że długo to nie trwało. Zaraz potem spoważniała.

– A co u niej?

– Sukces pełną gębą.

– Ja nie o tym. – Wahała się przez chwilę, by w końcu dotknąć dłonią swego brzucha. –

Ona...?

Mój uśmiech też przeszedł do historii. Pokręciłem głową.

– Nie. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej, ale nie.

Milczała przez chwilę. Minuta ciszy dla uczczenia życia, któremu nie udało się zaistnieć. A może dla oczyszczenia głosu z zazdrości? Tamta była bogata, sławna i spontaniczny, radosny seks nie przysparzał jej problemów. Ona zrobiła to raz, bez radości, i teraz chodziła z brzuchem.

Wiedziałem, że bez radości. Potraktowałem ją wtedy jak...

– Gorzej – powiedziała cicho. – Czytałam tę książkę. Dobrze pisze, trochę w stylu Kapuścińskiego. Ale te kawałki o Olszanie... Ślepy zobaczy, że go kochała. Nadal kocha. I pewnie płacze po tym dziecku.

Odczekałem parę sekund.

– Była u mnie parę razy. Podobno przysłałaś jej oświadczenie o tym ich niby ślubie. – Skinęła głową. – I żadnych namiarów na siebie.

– Przydało się?

– Wybraliśmy sławę – uśmiechnąłem się krzywo. Uniosła pytająco brwi. – Przemyciła flaszkę do szpitala i pogadaliśmy sobie o tym. Zastanawiała się, czy zalegalizować ten ślub. Gdyby udało się uchronić majątek Olszana przed urzędami, mogłaby rozdać tę forszę rodzinom zabitych żołnierzy. Ale musiałyby łączyć prokuratorowi jak najęta. Ona, ja, ty... I też bez pewności, że prawda nie wyjdzie na jaw. A książki by nie napisała. Powiedziała, że tak nie chce. Nie umie. Pytała mnie o zgodę, bo ostatecznie miałem te sto tysięcy w testamencie Olszana. Ale że oboje jesteśmy porządni obywatele... No i Zarębę trudniej byłoby zapuszkować na dobre. Prokuratura ma z nim i tak niezły zgryz. Mało dowodów, najlepsi w Polsce adwokaci, trzech profesorów psychiatrii doszukało się u niego nagle ciężkich zaburzeń, a o potwierdzenie, że balansuje na granicy zawału, zwracał się ponoć do samego Religi.

– Czyli niepotrzebne krzywoprzysięstwo. – Jej uśmiech był z gatunku smutnych. – A specjalnie potwierdzałam w ambasadzie.

– Wiem. Pytałem tam o ciebie. Ale nic nie powiedzieli o... – musnąłem końcami palców jej brzuch. Byłem z siebie dumny. Tyle czasu i dopiero teraz jej dotknąłem. Też starałem się być rycerski. Kobiece ciało to potężna broń, tyle że, jak większość tych potężnych, obosieczna. Była młoda, rozpętała prawdziwą wojnę, broniąc swego prawa do fizycznej rozkoszy, dotyk męskich rąk mógł ją lekko oszalać tylko dlatego, że były męskie, składały hołd i niosły obietnicę. Nie chciałem tego wykorzystywać. Jeśli miało nam się udać, musieliśmy pragnąć siebie, nie swoich rąk i całej namacalnej reszty.

– Dzwoniłeś do Addis Abeby? – Nie dała mi szansy odpowiedzieć. – A co u innych?

– Dobrze. Filipiak do wiosny leżał dwie sale dalej. Jak go wypisywali, już ruszał palcami. Niedawno napisał, że przeszedł pół korytarza. Z podpórką, ale jest dobrej myśli. Pisze, że zanim się skończy proces, będzie na chodzie i już bez podpórki przykopie Zarębie w dupę.

– Generałowi? – Śmiała się i przez chwilę miała autentyczne szczęście w oczach. Rozumiałem, dlaczego. – Z wojska go wywałą.

– Dostał Virtuti. Dobrze, że go wywieźli na rehabilitację do tych Stanów, bo tu by go wielbiciele zwyczajnie zdeptali. Pierwszy wojenny bohater od sześćdziesięciu lat. Niedawno widziałem sondaż na najpopularniejszego Polaka. Pobił Małysza i był o jeden punkt za papieżem.

– Naprawdę się cieszę. – Naprawdę się cieszyła i zwyczajnie musiała to powiedzieć. Położyła dłoń... w pierwszej chwili myślałem, że na sercu, ale starała się siedzieć w skromnej pozie, z kolanem przy kolanie, i po prostu brzuch zawędrował tak wysoko. – Jeśli to chłopiec, to będzie Filip.

– Filip?

– Nawet nie wiem, jak ma na imię. – Jej radosny uśmiech zaczął przygasać. – Głupio, nie? Potem już wiedział, o co chodzi z Sabahem, i dalej o mnie walczył, a ja nawet...

– No to dziewczynce damy Filipinka – przerwałem. – A tak w ogóle to czemu nie wiesz? Zabroniłaś mówić? Wolisz niespodziankę?

Z uśmiechu nic nie pozostało. Była zbyt zakłopotana. Znów pochyliła się, by zyskać na czasie masażem stopy. Brzuch napał na piersi, uniósł je. Gdyby była biała, poczerwieniałaby w tej chwili od ucisku na parę naczyń krwionośnych. Jako lekarz nie mogłem na to spokojnie patrzeć.

– Poddusisz ją. – Przykucnąłem, wziąłem w dłoń kostkę Gabrieli, przestawiłem stopę daleko w bok. Potem, nim zareagowała, drugą. – Tak się to robi. Nie chcę mieć córki kretynki. Nie byłaś u ginekologa, co?

– Skąd wiesz? – zapytała cicho. Omijała mnie wzrokiem. Stopy zostały posłusznie tam, gdzie je ustawiłem, ale kolana instynktownie skłaniały się ku sobie. Jakby w obawie, że skorzystam z okazji i... no, tego akurat nie byłem pewien. Mogła się bać, że zaczną ją tam obmacywać dłonie faceta, a mogła, że lekarza.

– Gapa, wyglądasz, jakbyś zesła z plakatu: „Pomóż głodującej Afryce”. Tyłek ci powinienem sprać. Czy ty w ogóle coś jadasz?

– Sprać? – Teraz już ledwo ją słyszałem. – Ty? Niby dlaczego?

W końcu do tego doszliśmy.

– Bo to i moje dziecko.

– Nie bój się – powiedziała trochę za szybko. – Niczego od ciebie nie chcę. Przyjechałam do Polski, bo... Jak się gubi paszport i resztę, to ambasada i tak załatwia darmowy bilet, więc co mi szkodziło? – Szukała przez chwilę kolejnych argumentów. – I o pieluchy tu łatwiej.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałem spokojnie i na tyle rzeczowo, by zrozumiała, że nie ma sensu kręcić. Pochyliła się, znów umknęła wzrokiem ku stopie pod pretekstem konieczności jej wymasowania. Przemknęła mi przez głowę mściwa myśl, że jeśli los nie zakpił ze mnie tak okrutnie i w końcu mi ją podaruje, to nie będzie miała się jak wykręcić i dostanę jej bosa stopy za każdym razem, gdy najdzie mnie ochota. Będzie musiała grzecznie siedzieć na drugim końcu kanapy i cierpliwie czekać, aż się nacieszę ich dotykiem. Albo wysłucha paru gorzkich słów na temat nieczystych zagrań w trakcie poważnych rozmów.

– To taki... no, ośrodek jakby. Dla samotnych matek. Krótka tu jestem, nie było czasu się...

– Przytułek. – Delikatność odłożyłem na lepsze czasy. Te z kanapą i jej nogami na mych kolanach. – Nie masz grosza przy duszy.

– Rozglądam się za jakąś pracą – bąknęła. – A mieszkanie... Sam mówiłeś, że połowa tego po dziadku jest moja. Dorota musi mnie...

– Pani agronom w siódmym miesiącu ciąży? Pracodawcy się o ciebie pozabijają. – Nie próbowała komentować. – A do tej suki nie pójdziesz. Zresztą jej mąż pije. Cztery wizyty, trzy trafienia. Nie będę ryzykował, że jakiś menel zrzuci ze schodów moje dziecko. To cholernie strome schody.

– Dlaczego suki?

– Pisałem jej w tym drugim liście, że chcę ci pomóc. Ojciec zna faceta, który prowadzi spore przedsiębiorstwo rolne. Coś by dla ciebie znalazł. Na Pomorzu, jak komuś niestraszna wieś, to można też całkiem tanio kupić mieszkanie... Miała cię tylko namówić do powrotu, jeśli się odezwiesz.

– Piątego marca nawet ja nie wiedziałam, czy będę miała dziecko.

Tym razem śmiało patrzyła mi w oczy. Kobiecie trudno przyznawać się do takich rzeczy, ale nie próbowała żadnych manewrów przy bolących nogach. Uświadomiłem sobie, że jeszcze nigdy nie stchórzyła, kiedy potrzebowałem jej odwagi. Albo chociaż uważała, że mogę potrzebować.

– Cieszę się, że się zdecydowałaś.

– Ja też – powiedziała zwyczajnie i po prostu. – Tylko nie wiem, skąd wiedziałeś. Nikomu nie mówiłam, że jestem w ciąży.

– Nie wiedziałem.

– Nie? – Jej głos spowolniał. – To dlaczego...?

– Powiedziałem, że zwisa mi, czyje jest. – Dotknąłem jej brzucha. Pierwszy raz tak naprawdę, jak ojciec. – Może to za duży skrót myślowy. To dobrze, że moje. Cudownie. Naprawdę. Ale gdyby nawet nie moje... W Ogadenie nie było żadnego dziecka. A też jakoś... Szukałem cię. Od lutego, ale wcześniej nie było pewności... Mogli mi jednak obciąć tę nogę.

– Szukałeś? – Jej dłonie spoczywały po bokach brzucha, tam, gdzie się wycofały, by zrobić miejsce mojej. Niedaleko. Ale między naszymi rękoma pozostawało trochę wolnej przestrzeni.

– To był właściwie gwałt. Zaręba jest wszystkim, czego nienawidzę w wojsku, a ty właśnie z nim... Byłem na ciebie wściekły. Pomyślałem sobie: „Zwykle kurwiątko”. Więc nawet nie pocałowałem, tylko... Ale...

– Całowałeś mnie.

– Wiem, pamiętam. Ale nie wtedy. Chodzi mi o... – trochę mocniej nacisnąłem na jej brzuch. – No, jak je robiliśmy. Robiłem. – Uczciwość wymagała tego sprostowania.

– Robiliśmy – powiedziała cicho. – I pocałowałeś mnie. Tylko na koniec, ale na pewno. Ja też pamiętam. Jeszcze byłam na chodzie. – Jej dłonie przesunęły się kawałeczek do przodu, dotknęły mojej koniuszkami szczupłych palców. – Może i chciałeś mnie ukarać. Ale to nie był gwałt. Mogłam cię jedną ręką... Jeśli masz wyrzuty sumienia, to niepotrzebnie.

– Mam.

– No to nie miej. Było całkiem fajnie.

– Nie tobie.

– Guzik wiesz, jak mi było.

– Leżałaś jak lalka. Przedtem...

Poczekaj, ale ponieważ nie umiałem dokończyć, zrobiła to za mnie. Po swojemu oczywiście.

– Przedtem to ty leżałaś jak lalka. I co? Tak źle ci było?

– Też skończyło się na narobieniu apetytu – mruknąłem z mieszaniną goryczy, skrępowania i mrocznej satysfakcji. Podała mi argument na tacy.

– Źle ci było? – jej głos stwardniał. Wzruszyłem nieznacznie ramionami. Musiałem się uśmiechnąć. – No widzisz. Małe radości też cieszą.

– Ale za takie coś – położyłem drugą dłoń na jej brzuchu – należy się wiele dużych. Cholernie słona cena za jedną małą.

Znów zrobiła mi miejsce, brzucha okazało się jednak trochę za mało dla czterech dłoni i parę naszych palców musiało się podzielić miejscem. Z prawej górą były te białe, ale z lewej...

W końcu i ona mnie dotknęła. Sama, bez przymusu.

– Co robisz w tej bramie? – Uśmiechała się samymi oczami.

– Czasem tu zachodzę. Miłe miejsce.

Rozejrzała się demonstracyjnie.

– Masz specyficzny gust.

– To już ustaliliśmy. – Teraz drgnęły także kąciaki jej ust, więc zebrałem się na odwagę, podniosłem dłoń i niespiesznie, dając jej czas na reakcję, wsunąłem w krótki rękaw sukienki. Reakcji nie było. Pomijając lekkie zeszytywnienie. – No proszę. Koniec z niechlujstwem.

– Jacek...

Zabrałem rękę. Żadne z nas nie chciało tego tak naprawdę, ale była zakłopotana, a ja przypomniałem sobie o postanowieniu odkładania na później kwestii cielesnych. Wstałem, cofnąłem się o krok.

– Nie szkodzi. Taka też mi się podobasz. Jestem niekonsekwentny, kiedy chodzi o ciebie. Książki nie czytam, a na trzepak się gapię.

– Trzepak? – Nie zrozumiała, ale była inteligentną, dojrzałą kobietą i literaturę stawiała wyżej. – Mam się jakoś do nieczytania książek?

– Też tak. Za dużo tam ciebie, a ona za dobrze pisze.

– Skąd wiesz?

– W „Wyborczej” wydrukowali fragment, jako zapowiedź książki. Z rozpędu przeczytałem.

– Czekala na więcej. – Zdołował mnie.

– Dlaczego?

– Wszystkie kawałki o miłości ostatnio mnie dołują – wyznałem. – Nie wiem tylko, czy bardziej te o szczęśliwiej, czy tragicznej.

– Ten fragment był o miłości? – zapytała mrużąc oczy.

– Po co szłaś do Doroty?

To się nazywa zręczny unik. Ale usprawiedliwiał mnie fakt, że tak naprawdę nie chciałem już uników. Była mi bliska, miałem ochotę wydłubać sobie mózg i przełożyć do jej głowy, by wiedziała o mnie wszystko i byśmy w końcu stali się tą jednością, o której tyle piszą w książkach.

– Chciałam pożyczyć trochę pieniędzy. – Była niedożywiona, sukienka i pantofle z dala pachniały lumpeksem, ona sama w ogóle nie pachniała, co najwyżej najtańszym mydłem z przytułku dla upadłych dziewczyn. Miała sto powodów, by potrzebować pieniędzy, i nawet przez myśl mi nie przeszło, by pytać. Sama powiedziała. – Potrzebuję na test. To znaczy: chyba. Nie wiem. To akurat pewnie jest darmowe, nawet jeśli ktoś nie ma ubezpieczenia, ale na wszelki wypadek... Chcę sprawdzić, czy nie jestem nosicielką.

Oczami wyobraźni widziała co najmniej Szczebielewiczę gubiącego czapkę. Rozczarowałem ją.

– Dobra. Razem skoczymy. Też sobie zrobię dla świętego spokoju.

Wpatrywała się we mnie jak saper w oryginalny model miny.

– Razem? – Czekala. Moze nie na wybuch, ale na tykanie mechanizmu na pewno.

– Ale juz nie tutaj. Chodz.

– Dokad?

– Na razie na Piotrkowska.

To nie bylo daleko, a ona nie wiedziala, co myslec, no i byla kobieta, istota z natury ciekawska. Wstala. Pozwolila mi wziac walizke i wyszla za mna na ulice. Niewiele ryzykowala, wiec czemu nie?

Szedlem blizej kraweznika, walizke nioslem w lewej rece, nie tyle z uwagi na mundur i obowiazek salutowania napotkanym kolegom po fachu, co z uwagi na bolace kolano. Chociaz teraz akurat nie bolalo. Czekalo. Ja caly czekalem. Nadchodzil decydujacy moment.

Z prawej mialem kraweznik, z lewej walizke. Siła rzeczy Gabriela szla jeszcze dalej z lewej, na tyle daleko, ze malo uuzny obserwator mialby problemy ze skojarzeniem nas ze soba. Jakiś kosz na smieci wyrósł nam na drodze i zadne nie musiało zbaczac z kursu, by go obejść.

– O której masz pociąg?

To bylo najgorsze pytanie, jakie kiedykolwiek mi zadala. Nie dla mnie. Dla niej. I dlatego dla mnie tez. To mnie pakowali wtedy, nocą, do sanitarnego smiglowca i to ona patrzyła, jak odlatuje nieprzytomny moze pod skalpel chirurga, a moze juz tylko pod lopate grabarza. Bylem optymistą, mialem nadzieje, ze choc w polowie, w jednej czwartej podziela moje emocje i mdlilo mnie na mysl, ze moglbym sie wóczas znalezc w jej skórze. I oto teraz miala to przezyc po raz drugi. Tylko cizej. Co innego, kiedy kogos odwoza do szpitala, a co innego, gdy sam, z wlasnej woli...

– Zdazymy.

Juz. Naroznik, uderzenie swiatla prosto w twarz, eksplozja kolorow. Bylimy na Piotrkowskiej, w ludzkiej rzece, ktora, jak kazda wielka rzeka, to rwała do przodu wartkim nurtem, to saczyla sie leniwie, meandrowala, gubila mniejsze odnogi w zastoiskach sklepów, ogródków piwnych czy okienek z lodami.

Podszedlem do najblizszego. Kolejki nie bylo: te na patyku, sprzedawane pare kroków dalej, cieszyly sie wiekszym powodzeniem.

– Duzy, czekoladowy. – Postawilem walizke, siegnalem do kieszeni. Gabriela zatrzymala sie obok, zdziwiona patrzyła, jak odliczam drobne.

– Za zlotowke wiecej dam dwa male. – Facet zza szyby usmiechnal sie na poly szlachetnie, na poly chytrze. Chyba sam nie byl pewien, kto zyska, a kto straci przy takim rabacie. – Dla naszego wojska...

– Dobra – zgodzilem sie. – Zlotowka wiecej. Jeden bardzo duzy.

– Jeden? Mogę...

– Wojsko ma zajęte ręce.

– To dla mnie? – Wygarnąłem z podkówki wszystkie liczące się monety i mina Gabrieli z zaskoczonyj zmienila się w trochę nieszczęśliwą. – Nie musisz... Daj spokój, wcale nie jestem taka głodna.

Aha. Czyli podwójne trafienie. Nie taka.

– Trzy liźnięcia twoje, jedno moje – powiedziałem, podając jej wafłowy kubek i podnosząc walizkę. – Wstyd się z tobą pokazać na ulicy. Szkielet, nie dziewczyna.

– Żartujesz... – Jej spojrzenie pobiegło ku tłumowi, przepływającemu obok, i od razu zrozumiałem, który kawałek miała na myśli. Ale udałem, że nie rozumiem.

– Serio. – Ruszyłem wokół niej, próbując ustawić się przy jej lewym ramieniu. – Na studiach przerabialiśmy szkielety. Niektóre były grubsze.

Wciąż nie mogliśmy ruszyć, bo nie rozumiała, w czym rzecz i wykonała pełen obrót, usiłując być uprzejmą i stać twarzą do rozmówcy. Musiałem ująć ją za łokieć i pchnąć we właściwą stronę.

– To tylko ostatnio. – Trzymała lody przed piersią, zbyt przygnębiona, by jeść. – Przedtem... No, może się nie obżerałam, ale... Dopiero na koniec, jak już postanowiłam, że wyjadę, trochę mi zaczęło brakować forsy. – Puściłem jej łokieć. – Coś do ubrania, odłożyć na bilet z Warszawy do Łodzi... Miałam wydatki. No i Gniewko.

– Gniewko? – Skręcałem ku środkowi zamienionej w deptak ulicy, sporo osób trzeba było omijać lub przepuszczać, więc przepuściłem i osła. Coś mu się ode mnie należało.

– Wiem, że to nie pies. – Nadal nie podnosiła loda do ust. – Ale po psie koń jest najlepszym przyjacielem człowieka, a on to prawie tak jak koń, tylko że mniejszy. I uratował cię.

– Jedz.

– Nie mogłam go tak po prostu sprzedać.

– Rozumiem. Shrek też nie miał serca.

– Kto?

No tak. Miała zaległości.

– Jedz tego loda.

Posłusznie odgryzła fantazyjny czubek.

– Musiałam znaleźć mu dobry dom. I trochę dopłacić. Wiesz, taki fundusz emerytalny. Żeby go nie zjedli, jak się zaczną starzeć.

Sięgnąłem po brązową dłoń, kołyszącą się obok rozepchniętego ciężą, kobiecego biodra.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, trochę zmieszana. Ale tylko tyle.

Nie dotarło. Jeszcze nie.

– Co?

– Nic.

Szliśmy przed siebie, prosto w słońce. Było gorąco, prawie jak w grudniu w Ogadenie. Ale fajniej. Dużo fajniej. Nie zabierała ręki.

– To z grubsza środek miasta? – zapytałem z głupia frant.

– Słucham? A... no, tak. Można tak powiedzieć.

– A Łódź to z grubsza środek Polski?

Chyba zastanawiała się, co robią jej palce w moich, ale na chwilę o tym zapomniała. Zaintrygowałem ją.

– To jakaś zagadka? – Liznęła loda.

– Sprawdzam, czy się nie wynarodowiłaś. Polska, też z grubsza biorąc, leży pośrodku Europy, dobrze pamiętam?

– Nawet nie z grubsza. Dokładnie. – Następne liźnięcie.

– A Europa to pępek świata?

– O co chodzi? – uśmiechnęła się niepewnie.

Miałem już jej dłoń, ale teraz uniosłem ją wyżej i wepchałem się palcami w wolne przestrzenie między jej palcami. Brąz, biel, brąz, biel... Trzymałem ją teraz za rękę pięć razy bardziej. Sześć, jeśli uwzględnić fakt, że nasze przedramiona przywarły do siebie wewnętrznymi stronami.

Stała. Ciągle nie rozumiała.

– Teraz ja. – Na sekundę rozchyliłem lekko usta. – Miało być trzy do jednego.

– Proszę? – Sprawiała wrażenie trochę przestraszonej. Nie ruszaliśmy się i to wystarczyło, by wywołać spory wir w ludzkim potoku. Paru chłopaków idących za nami musiało się rozdzielić, jakaś objuczona zakupami rodzina z naprzeciwka stanęła z braku przejścia.

– Lody. Miały być na spółkę.

Ludzie patrzyli na nas. Od pierwszej chwili. W Łodzi wojskowy mundur to rzadkość na ulicy. Kapitana idącego za rękę z czarną dziewczyną w ciąży pewnie jeszcze nigdy to miasto nie widziało. Czulem, że jest zakłopotana, ale do tej pory łagodził to czynnik zaskoczenia. Dawałem jej do myślenia raz po raz i po prostu nie miała czasu na smakowanie tremy.

Zbita z tropu, próbowała oddać mi loda. Tak jak się oddaje każdą inną rzecz: z ręki do ręki, na wysokości łokcia. Schyliłem się, sięgnąłem ustami czekoladowego stożka, mocno już wyokrąglonego przez jej usta i język.

Znieruchomiała. Postawiłem walizkę. Mieliśmy mało czasu, ale nie aż tak mało. W wielkich, brązowych oczach czaiła się trwożliwa niepewność, a lody smakowały inaczej niż wszystkie. Musiałem sprawdzić, jaka będzie ta kompozycja w odwrotnych proporcjach: odrobina czekoladowego kremu i dużo kobiecych ust.

– Co ty wyprawiasz? – Na razie te usta drżały. Albo może to głos. Mówiła cichutko, nie miałem pewności. Ludzie już nie patrzyli na nas. Gapili się. Ci, którzy nadchodzili, przeważnie

zwalniali; ci, którzy przeszli obok, oglądali się przez ramię co najmniej w jednym przypadku na trzy. Parę osób stanęło. Ze dwie czy trzy nawet nie próbowały udawać, że to wina korka, jaki wywołaliśmy. Jakaś staruszka posłała mi oburzone spojrzenie. Ogolony na łyso dwudziestolatek z tatuażem – wyzywające i pogardliwe. Jego rówieśnica, przytulona do boku studenta okularnika – pełne radosnego niedowierzania. Większość była po prostu zadowolona.

– Środek świata. Nigdzie indziej lepiej nie pokażę, że jestem z tobą.

Pocałowałem ją. Leciutko. I od razu się cofnąłem. Z plamą po lodach na koszuli.

– Jacek... – Twarzą też nie za bardzo potrafiła poruszać. – To miłe, naprawdę, ale... Chyba nie zrozumiałeś.

– Chodź – pociągnąłem ją, podnosząc walizkę. – Pociąg nie poczeka.

Ruszyła: trzymałem jej dłoń. Wianuszek gapiów rozstał się przed nami. Chyba nawet nie zauważyła.

– Ja mówiłam o... Żeby na zawsze razem. Tego się bali. Nie chodzenia za rękę i jedzenia lodów. Z jednym parę razy...

– Szybciej, Gabrysia. Muszę być jeszcze dzisiaj u starych. To dopiero siódmy miesiąc, dasz radę.

Przyspieszyła. Czułem, że gdybym zaczął biec, pobiegłaby za mną. I padła dopiero, gdy ja padnę. Jak wtedy, obok Gniewka.

– Tam byśmy zmarli z głodu. Oboje. Dlatego wróciłam. – Brała się w garść, głos przestawał drżeć, długie nogi sunęły w narzuconym przeze mnie tempie. – Nie, żeby cię szantażować dzieckiem.

Precyzyjnym rzutem ulokowała w mijanym koszu wafel z lodami. Gdyby była wyższa, a obok przechodził jakiś trener, straciłbym ją: dziewczyna, która w siódmym miesiącu ciąży i z kulawym facetem uczeptionym jej ręki porusza się z taką gracją, byłaby filarem każdej drużyny.

– Miałem rozwaloną nogę, nie głowę, Gabrysiu. Wiem, o czym mówiłaś.

– Nie bój się. Nie pozwę cię o alimenty.

– Nie boję się.

– Możesz się z nim zawsze spotykać. – Musnęła dłonią brzuch.

– Dzięki.

Zastanawiałem się, czy naprawdę ma taki impregnowany mózg, czy po prostu upewnia się na wszelkie możliwe sposoby. Bo gry, bardzo kobiecej i bardzo uroczej, na pewno w tym nie było.

– Oczywiście zawsze będziemy przyjaciółmi.

– Taką miałem nadzieję.

Zabrała rękę. Była niższa, rytm naszych kroków nie zgadzał się, przeszkadzaliśmy sobie w szybkim marszu.

– Dasz mi swój adres?

Starła się pytać o to jak o godzinę. Nie, wróc: bardziej obojętnie. Kiedy ktoś zasuwa, jak my teraz, pytania o godzinę bywają emocjonalne.

– Dam.

Kilkanaście kroków w milczeniu.

– Kulejesz. – Skończył jej się zapas beznamiętności: znów była smutna, przybita. – Nie gnaj tak. Dopiero cię wypisali.

– Muszę kupić bilet.

– Nie masz? – Rozejrzała się. – Tu niedaleko był postój...

– Jeden mam.

Przeszła kilka metrów – i dotarło do niej. Stała. Miałem lepszy refleks, no i spodziewałem się czegoś zblizzonego, więc zatrzymałem się krok dalej.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Po raz pierwszy od dawna. W minutach, nawet sekundach, nie było tego wiele, ale jeśli mierzyć przetasowaniami w jej głowie – chyba sporo.

– Chcesz...? To ta posada na wsi? O to chodzi?

– Bez przesady – wzruszyłem ramionami. – To tylko znajomy ojca, nie kolega z frontu. Przyjmie cię, ale jak dziecko przejdzie z cycka na smoczek i butelkę. Do wiosny masz czas.

– Więc po co mam z tobą jechać?

– Za rękę Piotrkowską – zacząłem odchyłać palce – wspólne lody, przedstawić rodzicom.

Przyglądała mi się pełna niepewności.

– I co im powiesz? – zapytała cicho.

– „To Gabrysia. Z Filipinką. Pobieramy się”.

– Gabrysia – powtórzyła z dziwnym uśmiechem. – Nigdy tak do mnie nie mówiłaś.

– Wolisz Gapę?

– Nie w tym rzecz. Po prostu... jest inaczej. Coś się zmieniło, prawda?

– To takie głupie imię. Gabriela, potem nic i od razu Gabrysia. Jak mała dziewczynka.

Albo...

– No widzisz. Nawet imię mam do dupy.

– Albo ktoś bardzo bliski. Wtedy nie umiałem cię tak nazywać.

– Jeden bilet ci wystarczy. Nie pojedę z tobą.

– Lubię tę Gapę. Ale teraz już mogę...

– Nie musisz być taki rycerski – znów mi przerwała. – Nie musisz mnie zabierać do tego pociągu i żenić się tylko dlatego, że wpadliśmy.

– Dobra. Nie będę rycerski. Zabiorę cię na gapę i przelecę w kiblu.

– Nie potrzebuję litości – ciągnęła uparcie.

– Jaka litość? Będzie bolało. I wstydu się najesz. Wakacje, pociągi nabite, pełno ludzi na korytarzu.

– Kretyn.

– Gapa.

Trafienie. Próbowwała zdławić śmiech, ale nie dała rady.

Serce podeszło mi do gardła. Żaden uśmiech. Śmiech. Prawdziwy, spontaniczny. Samotna, bezdomna, bezrobotna dziewczyna w ciąży nie śmieje się w taki sposób.

W końcu. W końcu uwierzyła.

– Już wiem, za co cię kocham – powiedziała, szczerząc zęby. – Jesteś całkiem jak Gniewko.

– Co powiedziałaś? – zapytałem cicho.

– Gniewko. – Szczerzenie zębów przeszło w pogodny, spokojny uśmiech szczęśliwej kobiety. Łagodna kpina w kącikach ust i oczy, które spoglądały śmiało w moje oczy, mówiąc: „Przecież wiesz”.

– Gapa... – jęknąłem błagalnie.

– No dobrze. – Podeszła, bez pośpiechu oplótła moją szyję szczupłymi rękoma. – Kocham cię. Ale, Jacek...

– Tak? – Jej usta przysuwały się do moich równie niespiesznie i miałem czas zapytać.

– Jakby nikogo akurat nie było na korytarzu...

Rozchichotała się i trochę ciężko było ją całować. Ale musiałem.

Nie byłem wcale pewien, czy żartuje.